



Santa
Montefiore

DZIEWCZĘTA
Z CASTLE DEVERILL

Świat Książki

Santa Montesiore

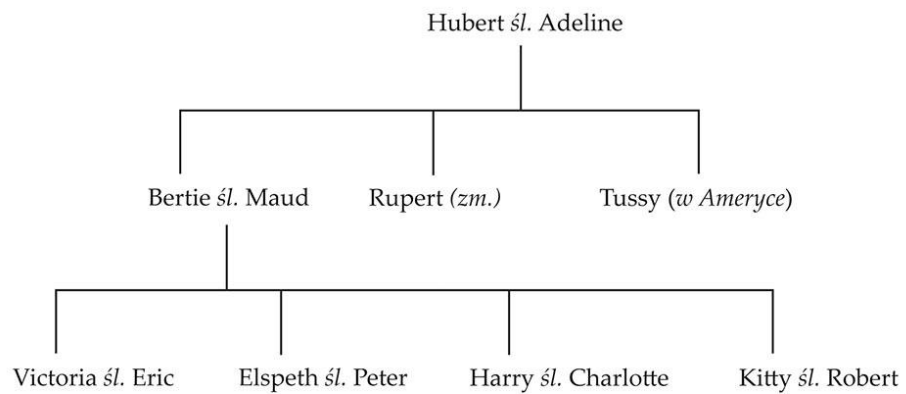
DZIEWCZĘTA
Z CASTLE DEVERILL

Z angielskiego przełożyła
Alina Jakubowska

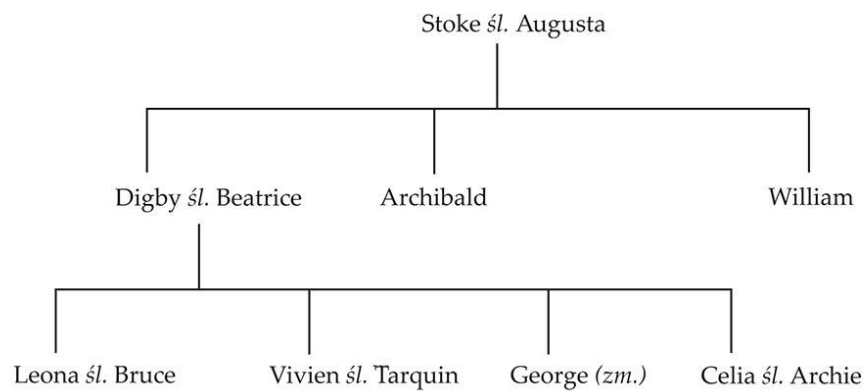

Świat Książki
wydawnictwo

*Sebagowi z wyrazami miłości
i wdzięczności*

**DEVERILLOWIE Z CASTLE DEVERILL
LINIA Z BALLINAKELLY**



**DEVERILLOWIE Z LONDON HOUSE
LINIA Z LONDYNU**



Barton Deverill

Ballinakelly, hrabstwo Cork, 1662

Słony wiatr omiatał białe plaże i skaliste urwiska przy Ballinakelly Bay, niosąc rozpaczliwy krzyk mew i łomot fal. Szare chmury wisiały nisko, a delikatna mżawka zasnuwała powietrze mglistym woalem. Patrząc na dywany zielonych pastwisk i żółtego janowca, trudno było uwierzyć w brutalną historię tej ziemi, ponieważ nawet w wyblakłym wczesnowiosennym świetle jej przyroda była nieskażona, wprost niewinnie piękna.

W chwili gdy, zdawało się, nieprzenikniony baldachim chmur nieco się przetarł, przepuszczając promień słońca, Barton Deverill, pierwszy lord Deverill z Ballinakelly, poprzysiągł sobie, że zabił rany po okrucieństwach Cromwella i przyniesie pocieszenie oraz pomyślność ludziom, nad którymi teraz panował. Otulony aksamitną peleryną w głębokim odcieniu purpury, w nasadzonym nonszalancko na głowę kapeluszu z szerokim rondem ozdobionym zawadiackim piórem i w wysokich skórzanych butach ze srebrnymi ostrogami oraz mieczem u boku, siedział na koniu, przesuwał wzrokiem po szerokich połaciach ziemi nadanej mu w dowód wdzięczności przez przywróconego na tron króla Karola II. Barton Deverill był jednym z głównych przywódców w walce z wojskami Cromwella dokonującymi podboju Irlandii. Po przegranej bitwie pod Worcester uciekł wraz z królem przez morze i towarzyszył mu podczas długiego wygnania; tytuł i ziemia były satysfakcjonującą rekompensatą za rodzinny majątek skonfiskowany mu przez Cromwella w Anglii oraz za lata poświęcenia dla Korony. Nie był już młodym mężczyzną, żadnym przygód i walki, lecz człowiekiem statecznym, pragnął schować miecz do pochwy i cieszyć się owocami swych dotychczasowych poczynań. Gdzie lepiej zapuścić korzenie niż na tej olśniewająco pięknej ziemi?

Zamek z wolna nabierał kształtu. Zapowiadało się, że będzie wspaniały – położony nad samym morzem, z wieżami i wieżyczkami o ostro zakończonych hełmach i wystarczająco grubymi murami, żeby odeprzeć wroga, chociaż lord Deverill miał nadzieję na położenie kresu przemocy. Co prawda, Barton był protestantem i Anglikiem do szpiku kości, nie widział jednak powodu, by on i irlandzcy katolicy nie mieli się nawzajem szanować i żyć w zgodzie. W końcu przeszłość żyje tylko w pamięci, natomiast przyszłość zależy od bieżącego

nastawienia; wzajemne zrozumienie i akceptacja na pewno umożliwią pokój na tej ziemi.

Dał znak towarzyszącej mu pokaźnej świcie i wszyscy z wolna ruszyli ku małej osadzie Ballinakelly. Po nocnej ulewie droga rozmiękła, chlupot kopyt obwieścił więc ich przybycie, wywołując strach w sercach ludzi, którzy byli świadkami zbyt wielkiego rozlewu krwi, by ze spokojem przyjąć pojawienie się konnego zastępu Anglików. Mężczyźni przyglądali mu się ze zrozumiałą rezerwą, dopóki nie rozpoznali swego nowego lorda i władcy. Poblądłe kobiety na wszelki wypadek pospiesznie zabrały dzieci i ukryły się w domach, ryglując za sobą drzwi. Kilku nieustraszonych młodzików stało boso w mżawce jak strachy na wróble, z szeroko otwartymi, wygłodniałymi oczami, gdy angielscy szlachcice w wykwintnych skórzanych butach i kapeluszach z piórami wjeżdżali w sam ich środek.

Lord Deverill zatrzymał wierzchowca i zwrócił się do swego przyjaciela, sir Toby'ego Beckwyth-Stubbsa, krzepkiego mężczyzny z sumiastym kasztanowatym wąsem i długimi kręconymi włosami ułożonymi w misterne pukle.

– Oto serce mojego imperium – rzekł, robiąc zamaszysty gest dłonią w rękawiczce, po czym dodał z sarkazmem: – Doprawdy, widzę, że jestem tu kochany.

– Lata rozlewu krwi nauczyły ich ostrożności, Bartonie – odparł sir Toby. – Ale pewien jestem, że dzięki delikatnej perswazji zdołamy ich przywołać do porządku.

– Nie będzie takiej perswazji, o jakiej myślisz, przyjacielu. – Barton podniósł głos. – Będę wielkoduszny, jeśli przysięgną mi posłuszeństwo.

W tym momencie kobieta ubrana w długą czarną pelerynę wyszła na drogę. Wydawało się, że wiatr nagle ustał i wszystko znieruchomiało. Obdarte dzieciaki gdzieś znikły i pozostała tylko ta niewiasta, której suknia ciągnęła się po błocie.

– Któż to? – rzucił ostro lord Deverill.

Zarządca majątku podjechał do swego pana.

– Maggie O'Leary, milordzie – poinformował.

– Kimże jest ta Maggie O'Leary?

– Ziemia, na której pan buduje zamek, milordzie, należała do jej rodziny.

– Aha. – Lord Deverill potarł brodę. – I pewnie chce ją odzyskać?

Żart tak rozbawił jego towarzyszy, że zaśmiali się gromko, odrzucając głowy. Ale młoda kobieta wpatrywała się w nich z taką zuchwałością, że śmiech rychło uwiązł im w gardle, zamieniając się w zduszony chichot. Nikt nie odważył się odwzajemnić jej spojrzenia.

– Chętnie jej coś zapłacę – dodał lord Deverill pojednawczo.

– To wariatka – syknął zniecierpliwiony sir Toby. – Lepiej od razu jej się pozbadźmy.

Ale Barton Deverill uniósł rękę. W odważnej postawie kobiety było coś, co wzbudziło jego ciekawość.

– Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Maggie O’Leary zatrzepotała białymi palcami, a ruch ten był tak lekki i płynny, że jej dłonie przywodziły na myśl parę śnieżnobiałych ptaków. Gdy zsunęła z głowy kaptur, Barton Deverill wstrzymał oddech. Nigdy nie widział tak urodziwej niewiasty, nawet na francuskim dworze. Włosy miała długie, czarne i lśniące niczym skrzydło kruka, a twarz bladą jak księżycowa poświata. Wydęła usta, pełne i czerwone jak owoce ostrokrzewu. Ale to jej błyszczące jasnozielone oczy sprawiły, że śmiech zamarł lordowskim sługom na ustach i zmusił ich do wykonania znaku krzyża.

– Miej się na baczności, panie – szeptali do niego. – Ani chybi to czarownica!

Maggie O’Leary uniosła głowę i utkwiała wzrok w lordzie Deverillu. Jej głos był niski i melodyjny jak wiatr.

– *Is mise Peig Ni Laoghaire. A Tiarna Deverill, dhein tú éagóir orm agus ar mo shliocht trín ár dtalamh a thógáil agus ár spiorad a bhriseadh. Go dtí go gceartaíonn tú na h-éagóracha siúd, cuirim malacht ort féin agus d-oidhrí, I dtreo is go mbí sibh gan suaimhneas síoraí I ndomhan na n-anmharbh.*

Lord Deverill zwrócił się do zarządcy.

– Co ona mówi? – Ale stary sługa przełknął ślinę, bojąc się powtórzyć jej słowa. – No, mówże, człowieku – ponaglił. – Czyżbyś stracił język?

– Dobrze, mój panie, ale niech Bóg nas chroni przed tą czarownicą! – Odchrząknął, po czym przetłumaczył niepewnym i drżącym głosem: – „Nazywam się Maggie O’Leary. Lordzie Deverillu, skrzywdziłeś mnie i moich potomków, odbierając nam ziemię i łamiąc nam ducha. Póki nie naprawisz wyrządzonych nam krzywd, przeklinam ciebie i twój ród, przeklinam was na wieczność. Niech wasze dusze nigdy nie zaznają spokoju, błakając się między światem żywych i umarłych”.

Zza pleców dobiegły ich gwałtowne głębokie oddechy, a sir Toby sięgnął po miecz.

Lord Deverill odwrócił się do swoich ludzi i uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Czy mamy się bać pustych słów jakiejś chłopki? – zadrwił.

Gdy znów odwrócił wzrok, Maggie zniknęła.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Ballinakelly, 1925

Kitty Trench pocałowała chłopca w miękki policzek. Gdy dziecko odwzajemniło uśmiech, w jej sercu wezbrała dojmująca czułość.

– Bądź grzeczny dla panny Elsie, Mały Jacku – rzekła łagodnie. Poklepała go po rudych włosach, które miały dokładnie taki sam odcień jak jej własne. – Niedługo wrócę. – Gdy zwracała się do niani, przywołała na twarz wyraz zdecydowania. – Pilnuj go dobrze, Elsie. Nie spuszczaaj z oka!

Elsie zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy niepokój pani Trench ma coś wspólnego z dziwną Irlandką, która poprzedniego dnia pojawiła się w ich domu. Stała na trawniku, wpatrując się w dziecko, a wyraz jej twarzy był mieszaniną smutku i tęsknoty, jakby widok małego chłopca sprawiał jej ogromne cierpienie. Elsie podeszła do nieznajomej i spytała, czy może w czymś pomóc, ale kobieta wymamrotała jakieś przeprosiny i uciekła. Było to tak zadziwiające, że Elsie natychmiast opowiedziała o tym pani Trench. Jej gwałtowna reakcja wytrąciła nianię z równowagi. Kitty zbladła, a w jej oczach odmalowało się przerażenie, jakby od dawna bała się przybycia tej kobiety. Załamała ręce, ściągnęła brwi, nie wiedząc, co począć. Wyjrzała przez okno, a potem, jakby pod wpływem nagłego impulsu, wybiegła do ogrodu i zniknęła za bramą. Elsie nie wiedziała, co zaszło między tymi dwiema kobietami, ale gdy pół godziny później Kitty wróciła, oczy miała czerwone od płaczu i cała się trzęsła. Objęła chłopca i tak mocno go ścisnęła, że niania zaczęła się obawiać, czy go nie udusi. A potem zabrała go na górę do sypialni i zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając Elsie w stanie najwyższego zdumienia.

Niania uśmiechnęła się teraz przekonująco do swojej pani.

– Nie spuszcze go z oka, obiecuję – powiedziała, biorąc dziecko za rękę. – Chodź, paniczku Jacku, pójdziemy pobawić się pociągiem.

Kitty poszła do stajni i osiodłała swoją klacz. Gdy mocno podciągała popręg, zaciskała szczękę, przypominając sobie wczorajsze bulwersujące wydarzenie, z powodu którego przez pół nocy biła się z myślami, a przez drugie pół dręczyły ją koszmary.

Wczoraj niespodziewanie odwiedziła ją Bridie Doyle, niegdyś jej pokojówka i przyjaciółka, a zarazem biologiczna matka Małego Jacka. Dziecko było owocem jej przelotnego i skandalizującego romansu z ojcem Kitty, Bertiem Deverillem.

Bridie musiała zostawić noworodka w klasztorze i uciec do Ameryki. Potem ktoś zabrał niemowlę z klasztoru i podrzucił na progu Kitty, dołączając list z prośbą, by się nim zaopiekowała. Cóż innego mogła zrobić? – rozmyślała, wsiadając na konia. Przecież oddała Bridie wielką przysługę, za którą ta powinna być jej do zgonnie wdzięczna. Ojciec Kitty w końcu uznał syna, a Kitty wraz ze swym mężem, Robertem, wychowywała przyrodniego brata jak własne dziecko – i równie mocno go kochała. Nic na świecie nie mogło jej z nim rozłączyć. Nic. A teraz Bridie wróciła i chciała swego syna z powrotem. „Raz musiałam go zostawić, drugi raz tego nie zrobię” – powiedziała, a wtedy lodowata ręka strachu ścisnęła serce Kitty.

Kitty wyruszyła, tłumiąc łkanie. Nie tak dawno były sobie z Bridie bliskie jak siostry. Ta przyjaźń została jednym z jej najcenniejszych doświadczeń. Ale Kitty wiedziała, że z powodu Małego Jacka pojednanie między nimi będzie niemożliwe. Musiała zaakceptować, że Bridie, którą kiedyś kochała, już nie istnieje.

Kitty galopowała przez pola w kierunku zamku, który kiedyś był jej wspaniałym rodzinnym domem, a teraz leżał w ruinie, odwiedzany jedynie przez gawrony i duchy umarłych. Zanim przed czterema laty strawił go pożar, Castle Deverill trwał dumnie na swoim miejscu, zdawało się na wieczność, a chmury napływające znad morza odbijały się w jego wysokich oknach jak w jasnych rozmarzonych oczach. Przypomniła sobie mały salonik babci Adeline, pachnący torfem i bzem, oraz swego dziadka Huberta, który lubił strzelać do katolików z okien garderoby. Przypomniła sobie zapach stęchlizny w bibliotece, gdzie jadalali ciasto porterowe i grywali w brydża, oraz skrytkę pod schodami dla służby, gdzie spotykała się w tajemnicy z Bridie, gdy była małą dziewczynką. Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak wymykała się z Hunting Lodge, by poszukać rozrywki w towarzystwie swoich kochanych dziadków. W tamtych czasach zamek był dla niej ucieczką od nieczułej matki i dokuczliwej guwernantki, ale dziś symbolizował jedynie stratę – odejście w przeszłość epoki, która wydawała się o wiele bardziej czarująca niż teraźniejszość.

Kiedy galopowała przez pola, wspomnienia Castle Deverill z okresu jego świetności wypełniły jej serce intensywną tęsknotą. Ale ojciec postanowił sprzedać zamek i wkrótce przejdzie on w obce ręce. Myślała o Bartonie, pierwszym lordzie Deverillu z Ballinakelly, który zbudował zamek, i w sercu ścisnęło ją z emocji – prawie trzysta lat rodzinnej historii obróciło się w popiół, a wszyscy męscy potomkowie uwięzieni w zamkowych murach na wieczność jako przeklęte duchy, nigdy nie zaznają spokoju. Co się z nimi stanie? Ojciec postąpiłby szlachetnie, oddając ruiny O’Learym; w ten sposób uwolniłby swoich przodków i ocalił własną duszę. Ale Bertie Deverill nie wierzył w klątwy. Tylko Kitty i Adeline posiadały dar widzenia duchów i doskonale wiedziały, jaki los czeka Bertiego i jego potomków. W dzieciństwie Kitty uważała duchy za zabawne, ale dziś napawały ją

smutkiem.

W końcu jej oczom ukazał się zamek. Zachodnia wieża, w której aż do śmierci rezydowała Adeline, stała nadal nietknięta, ale reszta przypominała szkielet gigantycznego zwierzęcia, stopniowo rozkładającego się w lesie. Bluszcze i powoje pięły się po resztkach murów, wkradając się przez puste oczodoły okien, dążąc do zawładnięcia każdym kamieniem. Ale dla Kitty zamek nadal miał magnetyczny urok.

Przejechała kłusem przez teren porośnięty wysokimi chwastami, gdzie kiedyś znajdował się trawnik do gry w krokieta. Zeskoczyła z konia i poprowadziła go naokoło murów do głównego wejścia. Tam, przy czarnym lśniącym samochodzie, czekała na nią kuzynka. Celia Mayberry stała sama, ubrana w długi czarny płaszcz, sięgający niemal do ziemi, blond włosy miała upięte w staranny koczek, a na głowie elegancki mały kapelusik. Na widok Kitty się rozpromieniła.

– Och, kochana Kitty! – wykrzyknęła z entuzjazmem, oplatając przyjaciółkę ramionami. Pachniała tuberozą oraz pieniędzmi.

Kitty z równą mocą odwzajemniła uścisk.

– Jakże się cieszę! – odpowiedziała szczerze. Kuzynka Celia, która w dzieciństwie spędzała tu każde lato wraz z resztą „londyńskich Deverillów”, jak nazywano angielskich kuzynów, kochała Castle Deverill prawie tak silnie jak ona. Kitty czuła potrzebę bliskiego z nią kontaktu, równie nieodpartą jak chęć powracania do wspomnień, ponieważ Celia była jedną z niewielu osób w jej życiu, które się nie zmieniły. Im Kitty robiła się starsza i przeszłość stawała się bardziej odległą, była za tę stałość Celi coraz bardziej wdzięczna. – Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, że przyjeżdżasz? Mogłaś zatrzymać się u nas.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – odparła Celia; wyglądała jak dziecko, które pragnie zdradzić jakiś sekret.

– No i zrobiłaś! – Kitty podniosła wzrok na spalone mury. – Wygląda jak duch, czyż nie? Duch naszego dzieciństwa.

– Zostanie odbudowany – rzekła Celia stanowczo.

Kitty spojrzała na nią z troską.

– Wiesz, kto go kupił? Nie wiem, czy przeżyję tę wiadomość.

Celia się roześmiała.

– Ja! – wykrzyknęła. – To ja go kupiłam! Czyż to nie cudowne? Zamierzam przywrócić ducha naszego dzieciństwa. Ty, ja i nasze dzieci będziemy mogły znów przeżywać wspaniałe chwile. Będzie jak dawniej!

– Ty, Celio? – Kitty z zaskoczenia na moment straciła dech. – Ty kupiłaś Castle Deverill?

– Formalnie Archie go kupił. Cóż z niego za szczodry mąż! – Rozpromieniła się ze szczęścia. – Czy to nie najlepszy sposób rozwiązania problemu, Kitty? Ja też należę do Deverillów! Mam takie samo prawo jak reszta rodziny. Powiedz, że

jestes szczęśliwa, no, powiedz wreszcie!

– Ma się rozumieć, że jestem szczęśliwa. Czuję ulgę, że nie kupił go ktoś obcy, ale muszę przyznać, że jestem trochę zazdrosna – odparła nieco zakłopotana Kitty.

Celia znów objęła ją ramionami.

– Proszę, nie miej do mnie urazy. Zrobiłam to dla nas. Dla rodziny. Nie chciałam, żeby zamek poszedł w obce ręce. To byłoby jak oddanie własnego dziecka. Nie zniósłabym myśli, że ktoś inny buduje swoje życie na naszych wspomnieniach. A tak wszyscy będziemy mogli się nim cieszyć. Ty możesz nadal mieszkać w White House, wuj Bertie, jeśli oczywiście zechce, w Hunting Lodge, i możemy znów być szczęśliwi. Po tych wszystkich cierpieniach, które przeżyliśmy, zasługujemy na szczęście, nie sądzisz?

Kitty uśmiechnęła się z czułością. Celia była prawdziwą królową sceny.

– Masz rację, Celio. Cudownie będzie obserwować, jak zamek wraca do życia. I to dzięki Deverillom. Tak być powinno. Żałuję tylko, że to nie ja tego dokonam.

Celia przyłożyła rękę w rękawiczce do brzucha.

– Będę miała dziecko, Kitty – oznajmiła z uśmiechem.

– Wielkie nieba, Celio, ile jeszcze niespodzianek masz dla mnie w zanadrzu?

– Tylko te dwie. A co z tobą? Pospiesz się. Modlę się, żebyśmy obydwie miały córki, które będą dorastać w Castle Deverill, tak jak kiedyś my.

Nagle Kitty zdała sobie sprawę, że Celia napisała na nowo swoją przeszłość, wierząc, że przebywała w zamkowych murach dłużej niż tylko podczas sierpniowych wakacji. Należała do tych powierzchownych ludzi, którzy ot tak, zależnie od okoliczności, potrafią zmienić swój życiorys i wierzą w absolutną prawdziwość swojej wersji.

– Chodź! – Celia chwyciła Kitty za rękę i pociągnęła za sobą przez framugę drzwi, za którymi kiedyś znajdował się paradny hol. – Wejźmy do środka! Mam wielkie plany. Chcę, żeby ten zamek był dokładnie taki sam jak wtedy, gdy byłyśmy dziewczynkami, a może nawet jeszcze piękniejszy. Pamiętasz ostatni Letni Bal? Czyż nie był cudowny?

Kitty i Celia brnęły wśród sięgających do kolan chwastów, zdumione widokiem młodych drzewek, które wysiały się wśród ostów i ciernistych krzewów i wyciągały wiotkie gałązki ku światłu. Przechodziły po miękkiej ziemi z pokoju do pokoju, płosząc gawrony i sroki, które z oburzeniem wzbijały się w powietrze. Celia paplała, przywołując przeszłość w barwnych anegdotach i czułych reminiscencjach, ale Kitty nie mogła pozbyć się uczucia smutku, który owijał ją jak ciężki czarny welon. Z bólem serca wspominała dziadka Huberta, który zginął podczas pożaru, i babcię Adeline, zmarłą zaledwie przed miesiącem w zachodniej wieży. Pomyślała o bracie Bridie, Michaelu Doyle'u, który podpalił zamek, i swej

głupocie, która zawiodła ją na farmę, gdzie nikt nie usłyszał jej krzyków, gdy była gwałcona. Myślami poszybowała do swego kochanka, Jacka O’Leary’ego, i spotkania z nim przy zamkowym murze, gdy mocno ją przytulając, błagał, żeby z nim uciekła do Ameryki. Wreszcie oczyma duszy ujrzała peron na stacji, gdzie Jack został aresztowany. Zaczęło jej się kręcić w głowie, serce ścisnęło się ze strachu, gdy upiory przeszłości wybudziły się ze snu. Zostawiła Celię w ruinach jadalni i pobiegła do biblioteki, szukając schronienia wśród przyjemniejszych wspomnień – brydża, wista i ciasta porterowego.

Kitty oparła się o ścianę. Z westchnieniem przymknęła oczy. Zdała sobie sprawę, że żywi ambiwalentne uczucia do tego kanarka ćwierkającego o domu, o którego przeszłości nie ma wielkiego pojęcia. Paplanina Celi cichła w oddali, tłumiona jękiem jesiennego wiatru, hulającego wśród zamkowych murów. A ledwie Kitty przymknęła powieki, szóstym zmysłem wyczuła gromadzące się wokół niej duchy. Chłodne powietrze stało się jeszcze zimniejsze. Nic nie mogło szybciej i pewniej sprowadzić ją znów do dzieciństwa. Ostrożnie otworzyła oczy. Stała przed nią babcia jak żywa, tylko młodsza niż w chwili śmierci; biła od niej oślepiająca jasność, jakby oświetlał ją reflektor. Za nią stał dziadek Hubert oraz Barton Deverill, pierwszy lord Ballinakelly, a dalej inni nieszczęśni potomkowie Deverillów, których klątwa Maggie O’Leary skazała na wieczną tułaczkę po krawędzi zaświatów; ich twarze przesuwaly się przed jej oczami jak w kryształowym kalejdoskopie.

Kitty zamruwała, gdy Adeline łagodnie się do niej uśmiechnęła.

– Widzisz, kochanie, nie jestem daleko – odezwała się, a Kitty była tak poruszona jej obecnością, że ledwie czuła gorące łzy spływające jej po policzkach.

– Tęsknię za tobą, babciu – wyszeptała.

– Daj spokój, Kitty. Wiesz lepiej niż ktokolwiek, że istnieję, tylko w innej strefie. Miłość łączy nas na wieczność. Zrozumiesz, co to wieczność, gdy przyjdzie na ciebie kolej. Ale akurat teraz mamy bardziej przyziemne sprawy do omówienia.

Kitty skórzaną rękawiczką wytarła łzy z policzków.

– Jakie sprawy?

– Przeszłość – powiedziała Adeline, a Kitty wiedziała, że ma na myśli uwięzione tu od dawien dawna duchy. – Klątwa musi zostać zdjeta. Być może ty masz szansę, żeby to zrobić. Być może tylko ty.

– Ale to Celia kupiła zamek, babciu.

– Jack O’Leary jest kluczem, który otworzy bramy i pozwoli duchom odlecieć.

– Ale ja nie mogę mieć Jacka i nie posiadam zamku. – Słowa zazgrzytały jej w ustach jak drut kolczasty. – Nie mam takiej mocy...

– Z kim tu rozmawiasz? – To była Celia. Podejrzliwym wzrokiem omiotła pusty pokój i zmarszczyła brwi. – Chyba nie gadasz z tymi swoimi duchami,

prawda? Mam nadzieję, że stąd znikną, zanim wprowadzimy się z Archiem. – Zaśmiała się nerwowo. – Właśnie sobie pomyślałam, że mogę tu stworzyć salon literacki. Literaci są bardzo atrakcyjni, nie uważasz? A może wynajmę modnych spirytystów z Londynu i zorganizuję seanse? O rany, to byłoby zabawne! Mógłby się nam objawić Oliver Cromwell i przestraszyć nas na śmierć! Och, mam tyle wspaniałych pomysłów. Co powiesz na przywrócenie tradycji Letniego Balu? Czyż nie będzie cudownie? – Wzięła Kitty pod rękę. – Chodź, zostawimy tu samochód, weźmiemy konia za uzdę i przejdziemy się do Hunting Lodge. Archie ma poinformować Bertiego, że kupiliśmy zamek. Zostawiłam to jemu. Jak myślisz, jak twój ojciec na to zareaguje?

Kitty głęboko zaczerpnęła powietrza, żeby odzyskać równowagę. Ludzie cierpiący rozwijają w sobie cierpliwość. Zawsze potrafiła dobrze maskować ból.

– Myślę, że będzie zachwycony tak samo jak ja – powiedziała, idąc przez zrujnowany hol u boku kuzynki. – Więzy rodzinne są najważniejsze. Co do tego wszyscy Deverillowie są zgodni.

*

Bridget Lockwood siedziała przy drewnianym stole na farmie, gdzie dorastała jako Bridie Doyle, teraz czując się tu zupełnie nie na miejscu. Miała wrażenie, że jest zbyt duża na tę izbę, jakby wyrosła z mebli, niskich sufitów i małych okien, z których kiedyś spoglądała w gwiazdy, marząc o lepszym życiu. Jej eleganckie ubranie, rękawiczki z kozłej skóry i wspaniały kapelusz pasowały do tego domu jak wół do karety. Pani Lockwood była zbyt wytworną damą, żeby czerpać przyjemność z dawnego sposobu życia. Jednak jakaś część niej, która w Ameryce cierpiała z tęsknoty za domem, pragnęła napawać się ciepłem rodzinnego ogniska. Jakże często marzyła, że siedzi na tym krześle, pije maślanekę, czuje woń torfowego dymu z paleniska oraz słodkawy zapach krów z sąsiadującej z domem obory. Ileż to razy myślała z utęsknieniem o swoim łóżku z pierzyną, o odgłosie kroków ojca na schodach, pocałunku matki na dobranoc i cichego mamrotania babci odmawiającej różaniec? Długo by wyliczać! A teraz znajdowała się w środku tego wszystkiego, za czym tak bardzo tęskniła. Dlaczego więc odczuwa smutek? Cóż, nie jest już tamtą dziewczyną. Nie pozostał po niej żaden ślad, oprócz Małego Jacka...

Wielu sąsiadów przyszło powitać Bridie po powrocie z Ameryki; wszyscy komplementowali jej niebieską popołudniową suknię zdobioną koralikami i frędzlami oraz dopasowane kolorystycznie pantofle, a kobiety dotykały twardymi, spracowanymi palcami materiału, ponieważ mogły tylko pomarzyć o czymś tak luksusowym. Były tańce, śmiechy i bimber pędzony przez ich sąsiada Badgera Hanratty'ego, ale Bridie miała wrażenie, że obserwuje wszystko jak przez mgłę, i nie mogła się odnaleźć wśród ludzi, których kiedyś tak dobrze знаła i kochała.

Wyrosła z tego świata. Z zazdrością obserwowała Rosettę, swą włoską pokojówkę i towarzyszkę, którą przywiozła z Ameryki. Dziewczynę poprosił do tańca brat Bridie, Sean; wyraźnie stracił dla niej głowę. Widać było, że Rosetta czuje się tu bardziej swojsko niż Bridie. Ta zaś pragnęła zdjąć buty i tańczyć tak jak oni, a jednak nie mogła. Ciężyla jej w sercu tęsknota za synem... i nienawiść do Kitty Deverill.

Pragnęła wślizgnąć się znów w skórę, którą zrzuciła z siebie jako dwudziestojednolatka, gdy w ciąży uciekła do Dublina, żeby ukryć swój sekret, ale trauma po porodzie, a potem ból z powodu porzucenia dziecka i Irlandii odmieniły ją na zawsze. Spodziewała się jednego dziecka, była więc zaskoczona, gdy urodziła dwójkę – chłopca i maleńką, ledwie żywą dziewczynkę, jak później powiedziały jej zakonnice. Zakonnice zabrały dziewczynkę, żeby ją ratować, ale wkrótce wróciły z wiadomością, że dziecko nie przeżyło. Bóg je zabrał. Powiedziały, żeby się zajęła żyjącym bliźniakiem. Nie pozwoliły Bridie nawet pocałować córeczki na pożegnanie. Dziecko zniknęło, jakby nigdy nie istniało. Potem lady Rowan-Hampton namówiła Bridie, żeby zostawiła chłopca pod opieką zakonnice, a sama wyruszyła do Ameryki, gdzie miała zacząć nowe życie.

Tylko ktoś, kto oddał dziecko, zna to uczucie pustki, goryczy i palącego poczucia winy. Przeżyła już więcej niż większość ludzi w trakcie całego życia, a jednak dla Seana, matki i babci pozostała nadal ich małą Bridie. Nie wiedzieli nic o jej nieszczęsnej przeszłości ani o udręce terażniejszości – gdy zdała sobie sprawę, że jej syn nigdy nie pozna swej matki – ani o bogactwie, które posiadała zarówno dzięki przypadkowi, jak i własnej przebiegłości. Wierzyli, że nadal jest tą samą Bridie. Nie miała serca wyprowadzać ich z błędu.

Kiedy rozważała kupno Castle Deverill, zastanawiała się, czyby tam zamieszkała, gdyby jej plan się powiódł. A może chciała kupić zamek w akcie zemsty za krzywdy wyrządzone jej przez Bertiego i Kitty Deverillów? Albo ze szczerego uczucia nostalgii? Przecież jej matka była tam kucharką, a ona w dzieciństwie biegała w tę i z powrotem po zamkowych korytarzach z Kitty. Jak zareagowaliby Deverillowie, gdyby odkryli, że to biedna, bosonoga Bridie Doyle została panią na zamku? Uśmiech, który zakwitł na jej wargach, świadczył dobitnie, że jej zamiar wynikał z głębokiej urazy i chęci zemsty. Jeśli jeszcze raz nadarzy się okazja kupna, spróbuje znów.

Gdy Sean, Rosetta, pani Doyle i jej babcia, stara pani Nagle, szykowali się do wyjścia na mszę, Bridie poprosiła ich, żeby na chwilę usiedli. Wzięła głęboki oddech i splótła palce. Na ich twarzach odmalował się niepokój. Bridie przenosiła spojrzenie z matki na babcie, a potem na Rosettę, która siedziała obok Seana z twarzą zarumienioną z miłości.

– W Ameryce wyszłam za mąż – oświadczyła.

Matka i babka popatrzyły na nią zaskoczone.

– Jesteś mężatką, Bridie? – spytała cicho pani Doyle.

– Jestem wdową, mam – poprawiła ją Bridie.

Jej babcia się przeżegnała.

– Mężatka i wdowa w wieku dwudziestu pięciu lat! Boże, zmiłuj się nad nami! I żadnych dzieci na pocieszenie!

Bridie skrzywiła się cierpko; babcia nie wiedziała, jaki ból wywołały te słowa.

Pani Doyle powiodła wzrokiem po niebieskiej sukni córki i też się przeżegnała.

– Dlaczego nie jesteś w żałobie, Bridie? Przyzwoita wdowa nosi żałobę po zmarłym mężu.

– Skończyłam z czernią – odparowała Bridie. – Uwierz mi, dość już łez wypłakałam.

– Ciesz się, że nie ma tu twego brata Michaela i nie jest świadkiem twojej hańby. – Pani Doyle przycisnęła chusteczkę do ust, aby stłumić łkanie. – Ja noszę żałobę od dnia, gdy Bóg zabrał twojego ojca, niech spoczywa w pokoju, i będę ją nosić, aż się z nim połączę. Tak mi dopomóż Bóg.

– Bridie jest za młoda, żeby zrezygnować z życia, mam – powiedział delikatnie Sean. – A Michael nie ma prawa kogokolwiek osądzać. Przykro mi, Bridie – zwrócił się do siostry głosem pełnym współczucia. – Na co on umarł?

– Na atak serca – odpowiedziała Bridie.

– Chyba był za młody na atak serca? – zdziwiła się pani Doyle.

Bridie zerknęła na Rosettę. Nie chciała ujawniać, że pan Lockwood był w takim wieku, że mógłby być jej ojcem.

– Rzeczywiście, straszne nieszczęście, że zmarł w kwiecie wieku. Zamierzałam tu z nim przyjechać, żeby ojciec Quinn nas pobłogosławił i żebyście mogli go poznać...

– Wola boska – rzekła pani Doyle urażona, że Bridie nie raczyła poinformować ich o swoim małżeństwie. – Jak się nazywał?

– Walter Lockwood. Był wspaniałym człowiekiem.

– Pani Lockwood... – Zamyśliła się pani Nagle. Najwyraźniej podobało jej się to nazwisko.

– Poznaliśmy się w kościele. – Bridie wiedziała, że wzmianka o kościele spotka się z ciepłym przyjęciem. – Co niedziela odprowadzał mnie po mszy i stopniowo bardzo się polubiliśmy. Byliśmy małżeństwem zaledwie siedem miesięcy, ale szczerze mówiąc, nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Mam za co być wdzięczna losowi. I chociaż nadal boleję nad tą stratą, chciałabym podzielić się z wami moim powodzeniem. Zostawił mnie ze złamanym sercem, ale bardzo bogatą.

– Nic nie jest ważniejsze od wiary w Boga, Bridie Doyle – powiedziała stara

pani Nagle, znów robiąc znak krzyża. – Ale ja jestem tak stara, że pamiętam wielki głód. Za pieniądze nie można kupić szczęścia, ale mogą nas ocalić przed głodem i biedą. Zapewniają wygodne życie nawet w nieszczęściu. – Jej okolone zmarszczkami stare oczy, tak małe jak rodzynki, zaślnęły w ponurym świetle pokoju. – Droga do grzechu jest wybrukowana złotem. Ale powiedz mi, Bridie, o jakich pieniądzach mówimy?

– Krzyż w życiu doczesnym, korona w przyszłym – stwierdziła poważnie pani Doyle. – Widać Bóg zdecydował się pomóc nam w tych ciężkich czasach i dlatego nasze serca muszą być przepełnione wdzięcznością – dodała, nagle zapominając o bezwstydnym niebieskiej sukience córki oraz o tym, że nie napisała do nich o swoim małżeństwie. – Niech Bóg cię błogosławi, Bridie. Zamienię tarę na wyżymaczkę i podziękuję Bogu za Jego dobroć. A teraz do kościoła! Nie zapominajmy o twoim bracie Michaelu, który przebywa w klasztorze Mount Melleray, Bridie. Odmówimy nowennę do Świętego Judy, żeby ocalił go przed picciem i sprowadził do nas trzeźwego i pełnego skruchy. Sean, pospiesz się, nie możemy się spóźnić.

Bridie w eleganckim zielonym płaszczu wykończonym futrem zasiadła w bryczce obok matki i babci, otulonych grubymi wełnianymi szalami, biedna Rosetta zaś z tyłu, ledwie się mieszcząc, ponieważ nie było tam miejsca na tyle osób. Sean w odświętnym ubraniu usiadł na koźle, powożąc osiołkiem, który męczył się, ciągnąc taki ciężar. Kiedy podjechali pod wzgórze, Bridie, Rosetta i Sean zsiadli i poszli pieszo, żeby ulżyć zwierzęciu. Znad morza wiał zimny wiatr, figlarnie szukając okazji, żeby porwać kapelusz Bridie i zanieść go gdzieś hen. Przytrzymała go stanowczo, przerażona, gdy jej delikatne buty grzęzły w błocie. Postanowiła kupić bratu samochód, aby mógł dojeżdżać na mszę, ale podejrzewała, że babcia nie zgodzi się na to, co uznawała za *eiri in airde* – czyli fanaberie. Żadnej ostentacji, dopóki żyje.

Ojciec Quinn już usłyszał o triumfalnym powrocie Bridie do Ballinakelly i utkwivszy swe chciwe oczy w jej drogim płaszczu i kapeluszu oraz miękkich skórzanych rękawiczkach, cieszył się na myśl, że okaże hojność dla kościoła; w końcu w Ballinakelly nie było bardziej pobożnej rodziny niż Doyle'owie. Zdecydował, że dzisiejsze kazanie poświęci dobroczynności, i uśmiechnął się ciepło do Bridie Doyle.

Bridie wyprostowana, z godnie uniesioną głową przeszła przez nawę. Czowała na sobie każde spojrzenie i wiedziała, co ludzie myślą. Dużo dzieliło ją od tamtej bosonogiej dziewczynki, przerażonej piekielnymi wizjami ojca Quinna, jego wygrażającym palcem i tyranizującymi kazaniami. Pomyślała o Kitty Deverill, o jej ładnych sukienkach i jedwabnych wstążkach we włosach, i o tej głupiej Celi Deverill, która kiedyś spytała ją: „Jak wytrzymujesz zimą bez butów?”, a potem o koleżankach ze szkoły, które przezywały ją nędzarką, ponieważ włożyła

pantofelki – prezent od lady Deverill po śmierci swego ojca, i ziarno gniewu, zagnieżdżone w jej sercu, wypuściło kolejny pęd. Wielkie bogactwo dawało poczucie siły. Nikt nie ośmieli się nazwać mnie nędzarką – pomyślała, siadając obok brata. – Teraz jestem damą i należy mi się szacunek.

Dopiero po mszy, gdy zapalała świecę, przyszedł jej do głowy genialny w swej prostocie pomysł. Skoro Kitty nie pozwoliła jej nawet zobaczyć dziecka, po prostu je zabierze! Nie będzie to kradzież, ponieważ nie można ukraść swojej własności. Przecież jest jego matką. Całkiem słuszne i naturalne, że powinien być z nią. Zabierze go do Ameryki i rozpocznie nowe życie. Że też wcześniej o tym nie pomyślała! Uśmiechnęła się, zdmuchując płomień świecy. To oczywiste, że taka inspiracja musiała pochodzić bezpośrednio od Boga. Doznała tego olśnienia dokładnie w momencie, gdy zapaliła świeczkę za syna. Żaden zbieg okoliczności; na pewno była to boska interwencja. Przeżegnała się w milczeniu i podziękowała Bogu za Jego współczucie.

Przed kościołem po mszy tradycyjnie gromadzili się ludzie. Zazwyczaj witali się i plotkowali, ale dzisiaj stali w półkolu jak stado płochliwych cieląt i wpatrywali się ciekawskimi oczami w drzwi kościoła, niecierpliwie oczekując, aż ekstrawagancko ubrana Bridie wyłoni się w całej swej krasie. Przyciszonymi głosami nie rozmawiali o niczym innym.

– Mówią, że poślubiła bogatego starca.

– Ale umarł, niech jego dusza odpoczywa w pokoju, i zostawił jej fortunę.

– Miał osiemdziesiąt lat, może nawet dziewięćdziesiąt, co za wstyd! Zawsze mierzyła wysoko!

– Aha, pewnie szuka kolejnego męża, niech Bóg nas uchwata. Ale teraz żaden z naszych synów nie będzie dla niej dość dobry...

Starzy ludzie zegnali się nabożnie, nie widząc nic dobrego w jej nagłym bogactwie. Czyż nie napisano w *Ewangelii Świętego Mateusza*, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do królestwa niebieskiego? Tylko młodzi żywili do niej niechęć i podziw zarazem. Pragnęli tak jak ona udać się do tej ziemi mlekiem i miodem płynącej i dorobić się tam majątku.

Gdy Bridie wyszła z kościoła, przestraszył ją widok tłumu, który czekał na nią, jakby była członkiem rodziny królewskiej. Rozmowy ucichły, ale nikt nie kwapił się, żeby ją powitać. Ludzie po prostu stali i mruczeli coś pod nosem. Bridie powiodła wzrokiem po znajomych twarzach, wśród których dorastała, i ku niemałemu zaskoczeniu zobaczyła malującą się na nich nieśmiałość. Przez moment poczuła się zażenowana i niecierpliwie rozejrzała się wokół w poszukiwaniu przyjaciela. Wtedy zauważyła Jacka O’Leary’ego.

Przepychał się przez tłum, uśmiechając się do niej pokrzepiająco. Ciemne włosy jak zawsze opadały mu na czoło, a w jasnych oczach błyszczących krystalicznym, lodowatym błękitem migotało rozbawienie. Jeden kącik ust miał

uniesiony i Bridie lekko ścisnęło w sercu na widok tego znajomego uśmiechu. Przypomnił jej tamte dni, kiedy byli przyjaciółmi...

– Jack! – powitała go, gdy do niej podszedł.

Wziął ją pod ramię i poprowadził przez przyległy do kościoła cmentarz w ustronne miejsce, gdzie mogli porozmawiać na osobności.

– No, no, Bridie Doyle! – powiedział, kręcąc głową i pocierając zarost na szczęce. – Czyż nie wyglądasz teraz jak prawdziwa dama?

Bridie pławiła się w jego podziwieniu.

– Musisz wiedzieć, że jestem teraz damą – odparła, a Jack zauważył, że jej irlandzki akcent stał się mniej wyraźny po pobycie w Ameryce. – I jestem wdową. Mój mąż zmarł. – Przeżegnała się. – Niech Bóg ma w opiece jego duszę.

– Przykro mi, Bridie. Jesteś za młoda, żeby opłakiwać męża. – Przesunął wzrokiem po jej płaszczu. – Naprawdę wyglądasz wspaniale – dodał z szerokim uśmiechem, a wtedy zauważyła, że stracił jeden ząb. Wyglądał dużo starzej. Zmarszczki wokół oczu i ust pogłębiły się, cera była poszarzała i zniszczona, spojrzenie głębokie i pełne cieni. Pomimo że jego uśmiech nadal jaśniał pełnym blaskiem, Bridie wyczuła, że wiele wycierpiał. Nie był już tym niefrasobliwym młodym chłopcem o aroganckim spojrzeniu, z jastrzębiem na ramieniu i psem u stóp. Było w nim coś wzruszającego, tak że miała ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać go po głowie.

– Wróciłaś na stałe? – zapytał.

– Nie wiem, Jack... – Odwróciła się od wiatru, przytrzymując dłonią kapelusz. Walcząc z narastającym poczuciem wyobcowania, dodała: – Nie wiem, gdzie teraz jest moje miejsce. Wróciłam, spodziewając się, że będzie tak samo, ale to ja się zmieniłam, dlatego wszystko wydaje mi się obce... – Zdając sobie sprawę, że to zabrzmiało bardzo żałośnie, odwróciła się z powrotem do niego i głos jej stwardniał. – Trudno byłoby mi żyć tak, jak żyłam kiedyś. Przyzwyczyłam się do czegoś lepszego... – Jack uniósł brew; Bridie pożałowała, że wylała przed nim swe żale. Ale jeśli był jakiś mężczyzna, który naprawdę ją znał, był nim właśnie Jack. – Ożeniłaś się? – spytała.

– Nie. – Zapadła chwila ciszy. Ciszy, w której odbijało się echem nazwisko Kitty Deverill, jakby nadeszło wraz z szeptem wiatru i zawisło pomiędzy nimi. – Mam nadzieję, że wszystko ci się dobrze ułoży, Bridie. Miło cię widzieć znów w domu – rzekł w końcu. Bridie nie była w stanie odwzajemnić jego uśmiechu. Jej niechęć do dawnej przyjaciółki oplotła jej serce jak korona cierniowa. Obserwowała go, jak odchodzi nonszalanckim krokiem, który tak dobrze знаła i kochała. Było oczywiste, że po tylu latach nadal czeka na Kitty Deverill.

Rozdział 2

Londyn

– Wielki Boże! – Sir Digby Deverill odłożył słuchawkę, kręcąc głową. – Co za niespodzianka! – wykrzyknął, wpatrując się w telefon, jakby nie do końca mógł uwierzyć w otrzymaną wiadomość. Podniósł się ze skórzanego fotela, podszedł do barku i z jednej z kryształowych karafek nalał sobie whisky. Trzymając szklankę w zadbanej, ozdobionej biżuterią dłoni, zapatrzył się w okno. Słyszał turkot samochodu przejeżdżającego po dywanie z liści przez Kensington Palace Gardens, ekskluzywnej zamkniętej ulicy luksusowych rezydencji w stylu włoskim lub w stylu królowej Anny, zbudowanych przez milionerów, takich jak on sam, którzy dorobili się fortuny na kopalniach złota w Witwatersrand, i stąd nazywanych randlordami. Mieszkał tu w okazałym pałacyku Deverill House, obok sir Abego Baileya, również randlorda, i finansisty Lionela Rothschilda.

Pociągnął potężny łyk, krzywiąc się, gdy płyn podrażnił mu gardło. Natychmiast poczuł się lepiej. Odstawił szklankę i wyjął z kieszonki złoty zegarek na łańcuszku. Wprawnie otworzył wieczko. Zajaśniał błyszczący cyferblat, pokazując za kwadrans jedenastą. Wyszedł do holu, gdzie zastał kamerdynera w purpurowo-złotej liberii rozmawiającego przyciszonym głosem z lokajem. Gdy go zobaczyli, lokaj dyskretnie znikł, podczas gdy kamerdyner stanął na baczność, oczekując na polecenie swego pana. Digby zawahał się u podnóża wspaniałych schodów.

Usłyszał śmiech dobiegający z salonu na górze. Wyglądało na to, że jego żona ma towarzystwo. Nie była to niespodzianka, zawsze miała towarzystwo. Beatrice Deverill, pełna energii, szczodra i ekstrawagancka, była znaną w Londynie salonową lwicą. Cóż, nic na to nie poradzi, ale nie był w stanie ukrywać tej wiadomości ani chwili dłużej. Pospieszył na górę, przeskakując co drugi stopień, białe getry migwały przy każdym kroku spod idealnie wyprasowanych szarych spodni w kratkę. Miał nadzieję, że uda mu się choć przez minutę porozmawiać z żoną na osobności.

Dotarłszy do drzwi salonu, z ulgą skonstatował, że jedynymi gośćmi były: Maud, żona jego kuzyna Bertiego, która siedziała sztywno na brzeжку sofy, jej blond włosy perfekcyjnie obcięte na boba podkreślały mistrzowsko wyrzeźbione kości policzkowe i uderzająco piękne oczy w kolorze zimnego błękitu, oraz jej najstarsza córka, Victoria, obnosząca swój wielkopański majestat jako hrabina

Elmrod. Poza nimi w salonie znajdowała się matka Digby'ego, Augusta, przewodząc grupie niczym gruba królowa w czarnej wiktoriańskiej sukni z koronkowym żabotem, który pienił się wokół jej licznych podbródków, oraz w wielkim kapeluszu z piórami.

Gdy wszedł, na czterech twarzach pojawił się wyraz zaskoczenia. Doprawdy niezwykle, żeby Digby pojawił się tutaj o tej porze dnia. Zazwyczaj przebywał w White's, klubie dżentelmenów, albo zaszywał się w gabinecie, telefonując do swoich bankierów z Baringsa lub Rothschilda, albo do pana Newcomba, który trenował jego konie w Newmarket, albo rozmawiał z kumplami z Południowej Afryki.

– Co się stało, Digby? – spytała Beatrice, widząc jego zarumienione policzki, drgające wąsy i nerwowe kręcenie dużym brylantowym pierścieniem, który nosił na małym palcu prawej ręki. Digby był nadal przystojnym mężczyzną z lśniącymi blond włosami opadającymi mu na czoło i wesołymi, inteligentnymi oczami, w których teraz malował się wyraz oszołomienia. Opanował się jednak, przypominając sobie o dobrych manierach.

– Dzień dobry, moje drogie, Maud, Victorio, mamó. – Zmusił się do uśmiechu i uklonił, ale nie potrafił ukryć zniecierpliwienia, by jak najszybciej podzielić się wiadomością.

– Nie bądź taki oficjalny, Digby. Co się stało? – powtórzyła natarczywie Augusta.

– Tak, wuju Digby, wszystkie jesteśmy okropnie ciekawe – powiedziała Victoria, zerkając na matkę.

Maud spojrzała wyczekująco na Digby'ego; niczego nie uwielbiała bardziej od dramatów innych ludzi, ponieważ dawały jej satysfakcjonujące poczucie wyższości.

– Chodzi o Castle Deverill – zakomunikował, patrząc prosto na Maud, która poczerwieniała. – Właśnie odebrałem telefon od Bertiego...

– Czegóż chciał? – Maud odstawiła filiżankę. Nie rozmawiała z mężem od chwili, gdy po pogrzebie Adeline oznajmił całej rodzinie, że rzekomy podrzutek, którego jego córka Kitty wychowuje jak własne dziecko, tak naprawdę jest jego nieślubnym synem. Wiadomość nie tylko szokowała, lecz także była upokarzająca. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przezwycięży tę traumę. Bez słowa wyjechała do Londynu, przysięgając, że już nigdy się do niego nie odezwie. Jak również, że już nigdy nie postawi stopy w Irlandii; dla niej zamek mógł całkiem szczerząc za to wszystko, co ją tam spotkało. Od początku nie lubiła tego miejsca.

– Bertie sprzedał zamek, a kupiła go Celia – oświadczył Digby, a jego słowa zadźwięczały tak wyraźnie jak strzały.

Cztery kobiety wpatrywały się w niego w osłupieniu. Nastąpiła długa cisza. Victoria zerkała nerwowo na matkę, usiłując odczytać jej myśli.

– Rozumiem, że Archie go dla niej kupił – skonstatowała w końcu Augusta, uśmiechając się w fałdy swoich podbródków wylewających się na koronkowy żabot jej sukni. – Jakże oddanym okazał się mężem!

– Czy ona zwariowała? – wykrztusiła Beatrice. – Co, u diabła, zamierza zrobić ze zrujnowanym zamkiem?

– Może chce go odbudować? – podsunęła Victoria z sarkastycznym uśmiechem.

Beatrice spojrzała na nią poirytowana.

Maud gwałtownie złapała się za szyję, zaciskając swoje cienkie palce tak mocno, że na skórze wystąpiły czerwone plamy. Cieszyła się ze sprzedaży zamku, ruiny nie były jej do niczego potrzebne i nie przydawały prestiżu. Ale nie spodziewała się, że kupi go ktoś z Deverillów! Doprawdy, w takiej sytuacji nie mogła się czuć komfortowo! Lepiej by było, gdyby przeszedł w ręce jakiegoś nowobogackiego Amerykanina, który ma więcej pieniędzy niż rozumu. To była przykra niespodzianka, że stał się własnością londyńskich Deverillów. W dodatku kupiła go ta płocha, frywolna, głupiutka Celia! Jeśli miał pozostać w rodzinie, jedynym prawowitym dziedzicem był Harry. I po co ta tajemnica? Celia, kupując go w sekrecie, zachowała się jak oszustka. Dlaczego? Czyżby chciała poniżyć ją i jej rodzinę? Maud zmrużyła lodowato niebieskie oczy, dziwiąc się, że przy swoim doskonałym zmyśle obserwacji nie zauważyła perfidii w tej z pozoru nierozgarniętej dziewczynie.

– Głupcy! – prychnął Digby. – To ich zrujnuje. Ta zachcianka będzie workiem bez dna i nie przyniesie żadnych korzyści. Szkoda, że wcześniej nie omówili tego ze mną. – Stał przed kominkiem i zaczepiwszy kciuki o kieszenie kamizelki, odchylił się do tyłu na obcasach swoich eleganckich dziurkowanych półbutów.

– Przynajmniej zostanie w rodzinie – stwierdziła Victoria. W gruncie rzeczy los zamku jej nie obchodził. Nigdy nie lubiła wilgotnej i zimnej Irlandii. Jej małżeństwo, co prawda, było równie chłodne, ale dzięki niemu była hrabiną Elmrod, która mieszka w Broadmere w hrabstwie Kent oraz w rezydencji w Londynie, gdzie w pokojach jest ciepło, a hydraulika działa bez zarzutu. Chciałaby szepnąć matce do ucha, że już lepiej się stało, niż gdyby Kitty miała go kupić. To by matkę dobiło. Dla Victorii to też byłby wstrząs. Pomimo swego bogactwa i pozycji towarzyskiej wciąż w skrytości ducha była zazdrosna o najmłodszą siostrę.

Augusta utkwiała władcze spojrzenie w Maud i głośno wciągnęła powietrze przez nos, co zwiastowało nieuchronnie potok złośliwości pełnych wyniosłego jadu. Matka Digby’ego nie była aż tak stara, żeby nie odczytać niewypowiedzianych słów z pięknych aczkolwiek zaciśniętych z goryczą ust Maud.

– A ty co o tym myślisz, moja droga? Zapewne to dla ciebie szok, że posiadłość przechodzi w ręce londyńskich Deverillów. Cóż, ja osobiście pogratuluję Celi, że ocalała rodzinny skarb. Wszyscy musimy przyznać, że Castle Deverill to prawdziwy klejnot w rodzinnej koronie.

– Och, tak, zamek Deverilla jest jego królestwem – wtrącił Digby, cytując rodzinne motto, które miał głęboko wyryte w sercu.

– Deverill Rising – dodała Augusta, odnosząc się do posiadłości Digby’ego w Wiltshire – jest niczym w porównaniu z Castle Deverill. Nie wiem, dlaczego sam go nie kupiłeś, Digby? Takie pieniądze to dla ciebie bagatela.

Digby sapnął i zakołysał się na obcasach. Matka miała rację; mógł kupić zamek bodaj i dziesięć razy. Ale Digby, pomimo wszystkich ekstrawagancji i snobizmów, był roztropnym i pragmatycznym człowiekiem.

– Nie zbudowałem swojej fortuny na wariackich papierach, mam – odparował. – Twoja generacja pamięta czasy, gdy Brytyjczycy sprawowali władzę absolutną w Irlandii, a Anglo-Irlandczycy żyli tam jak królowie. Doskonale zdajemy sobie jednak sprawę, że te czasy dawno minęły. Zamek podupadał na długo przed tym, zanim spalili go rebelianci. To szaleństwo próbować wskrzesić trupa. Przyszłość jest tu, w Londynie. Irlandia się skończyła. Celia niestety przekona się o tym na własnej skórze. Rodzinne motto odnosi się nie tylko do cegieł i zaprawy, lecz także do ducha Deverillów, który noszę w sercu. To jest mój zamek.

Maud wciągnęła powietrze przez rozszerzone nozdrza i uniosła podbródek, żeby zademonstrować swoje męstwo wobec spotykającego ją bezmiaru nieszczęść.

– Muszę przyznać, że to jest szok. – Westchnęła. – Kolejny szok. Jakbym nie doznała ich dość w życiu! – Drżącą ręką wygładziła platynowe modnie przystrzyżone włosy. – Najpierw moja najmłodsza córka przynosi mi wstyd, nalegając na przyjazd z nieślubnym dzieckiem do Londynu, a potem mój mąż przyznaje się przed całym światem do ojcostwa. Jakby tego poniżenia nie wystarczyło, decyduje się sprzedać dziedzictwo naszego syna...

Augusta popatrzyła porozumiewawczo w oczy Beatrice. Maud zdawała się zapominać, że to wskutek jej nacisków Bertie zdecydował się na sprzedaż posiadłości.

– A teraz będzie należeć do Celi – ciągnęła Maud. – Nie wiem, co powiedzieć. Powinam być zadowolona. Ale nie mogę. Biedny Harry będzie zdruzgotany, że kuzynka sprzątnęła mu dom sprzed nosa. A ja, cóż, będę musiała nieść ten krzyż.

– Mamo, gdy tata zdecydował się na sprzedaż, wiadomo było, że zamek nigdy już nie będzie należał do Harry’ego – wtrąciła delikatnie Victoria. – Naprawdę uważam, że Harry’ego to mało obchodzi. On i Celia są zresztą bardzo zaprzyjaźnieni, poza tym jasno się wypowiedział, że nie chce mieć nic wspólnego

z tym miejscem.

Maud pokręciła głową i uśmiechnęła się z wystudiowaną pobłażliwością.

– Moja droga, nie o to chodzi. Gdyby zamek kupił ktokolwiek inny, nie miałabym z tym problemu. Problem polega na tym, że kupili go Deverillowie.

Beatrice rzuciła się do obrony córki.

– Cóż, to już się stało, prawda? Celia odbuduje zamek i przywróci mu dawną świetność, a my będziemy z radością spędzać tam lato jak za dawnych dobrych czasów. Jestem pewna, że Archie wie, co robi, kochanie – zwróciła się do Digby'ego. – W końcu to jego pieniądze. Jakie mamy prawo kwestionować, na co je wydaje?

Digby zagadkowo uniósł brew. Zdawał sobie sprawę, że były to jego pieniądze, a nie Archiego Mayberry'ego. Nikt w rodzinie nie wiedział, ile zapłacił Archie, żeby przyjął z powrotem Celię po tym, jak uciekła z przyjęcia weselnego do Szkocji z drużbą swego świeżo poślubionego męża. W ten sposób Digby ocalił przyszłość córki, a zarazem rodzinę Mayberry'ch od finansowej ruiny.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie – upierał się teraz z właściwym dla siebie pragmatyzmem. – Celia jest lekkomyślna. Ma skłonność do dramatyzowania i lubi przygody. – Nie musiał o tym przekonywać obecnego tu towarzystwa. – Zmęcz się Irlandią, gdy tylko skończy odbudowę. Zateńskni za rozrywkami Londynu. Zanudzi się w Ballinakelly. Zapamiętajcie moje słowa! Gdy wszyscy przestaną rozprawiać o jej odwadze i przedsiębiorczości, zacznijcie szukać innych rozrywek. A biedny Archie zostanie z zamkiem – i co wielce prawdopodobne, z pustymi kieszeniami.

– Nonsens! – Gromki głos Augusty jak wystrzał z armaty przerwał kazanie syna. – Podniesie go z popiołów i przywróci reputację rodziny. Mam tylko nadzieję, że dożyję, żeby to zobaczyć. – Westchnęła ciężko. – Chociaż, zważywszy, jak się czuję, nie mam zbyt wielkiej nadziei.

Beatrice ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami, ponieważ jej teściowa uwielbiała zamęczać towarzystwo przewidywaniem swej nieubłaganej nadciągającej śmierci. Niekiedy nawet chciała, żeby kostucha udowodniła, że kobieta ma rację.

– Och, przeżyjesz nas wszystkich, Augusto – powiedziała, siłąc się na cierpliwość.

Victoria zerknęła na zegar stojący na kominku.

– Myślę, że powinniśmy już pójść – zauważyła, wstając. – Dziś po południu zamierzamy z mamą obejrzeć dom przy Chester Square – dodała radośnie. – To ci poprawi humor, mamo.

Maud podniosła się z sofy.

– Teraz, gdy straciliśmy zamek, muszę gdzieś zamieszkać – odpowiedziała, uśmiechając się z wdzięcznością do najstarszej córki. – Przynajmniej mam ciebie,

Victorio, i Harry'ego. Wygląda na to, że wszyscy w tej rodzinie chcą mnie zranić. Obawiam się, że dziś wieczorem nie przyjdę do ciebie, Beatrice. Nie sędzę, abym miała dość sił. – Pokręciła głową, jakby ciężar całego świata spoczywał na jej barkach. – Zważywszy, że całe londyńskie towarzystwo obmawia mnie za plecami, to jest kolejny krzyż, który będę musiała nieść.

*

Harry Deverill leżał wsparty o poduszki, paląc papierosa. Prześcieradło miał zarzucone na nagie biodra, ale jego brzuch i klatka piersiowa były wystawione na podmuchy wiatru wpadające przez otwarte okno pokoju. Uprawianie miłości z żoną Charlotte było dla niego przykrym obowiązkiem, który wypełniał z myślą o porankach z Boysiem Bancroftem w tym podłym hoteliku w Soho, gdzie nikt się nimi nie interesował. Ułożył usta w kształt litery „o” i wypuścił kółeczko dymu. Gdyby nie Boysie, nie byłby w stanie żyć w takim zakłamaniu. Gdyby nie Boysie, jego życie nie byłoby nic warte, ponieważ praca polegająca na sprzedaży obligacji w City w ogóle nie sprawiała mu przyjemności. Bez Boysiego jego życie miałyby znikomy sens.

– Drogi kolego, masz zamiar cały dzień wylegiwać się w łóżku? – spytał Boysie, wychodząc z łazienki. Włożył już bieliznę i zapinał koszulę. Gęsta, potargana brązowa grzywka opadała mu na czoło, a kąciki wydatnych ust wykrzywiły się z rozbawieniem.

Harry jęknął.

– Nie idę dzisiaj do pracy. Potwornie mnie nudzi. Nie mogę tego znieść. Poza tym nie chcę, żeby ten poranek się skończył.

– Och, ale ja chcę – rzekł Boysie, przesuwając oczami po okazałej różowej bliźnie – pamiętacie z czasów wojny – na ramieniu Harry'ego, w które został postrzelony. – Jestem umówiony na lunch z mamą i ciotką Emily w Claridge'u, a potem przejdę się do White's i zobaczę, na kogo wpadnę. Wieczorem może zajrzę do salonu twej uroczej ciotki Beatrice. W ubiegły wtorek zebrało się tam niezłe towarzystwo, z całą obsadą *Nie, nie, Nanette*. Wszystkie te girlsy trajkoczące jak barwne papużki! Był niezły ubaw, jak by to ujęła Celia. Śmiem twierdzić, że twój wuj Digby miewa na boku małe romansiki, nie sądzisz?

– Nie wątpię, że ma kochankę w każdym zakątku Londynu, ale trudno zaprzeczyć, że jednocześnie jest oddanym mężem. – Harry westchnął z frustracją, siadając na łóżku. – Żałuję, że nie mogę pójść z wami na lunch, ale obiecałem Charlotte, że zabiorę ją do Ritza. Dziś są jej urodziny.

– Mógłbyś przyprowadzić ją do Claridge'a. Puścimy do siebie oczko i być może uda nam się wymknąć na moment do toalety. Nic tak nie podnieca jak mały fortel.

Harry uśmiechnął się szeroko, od razu wrócił mu dobry nastrój.

– Prawdziwy z ciebie szelma, Boysie.

– Dlatego mnie kochasz. – Pochylił się i pocałował Harry'ego. – Zbyt jesteś piękny, żeby zachować to tylko dla siebie.

– A więc do zobaczenia wieczorem u Beatrice.

Boysie westchnął i utkwiał poważny wzrok w twarzy kochanka.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz cię pocałowałem? Tamtego wieczoru u Beatrice?

– Nigdy tego nie zapomnę – odparł Harry.

– Ja też nie. – Znów go pocałował. – Do wieczora, stary.

Harry wracał do domu przez St James's Park. Dzień był pochmurny, jasne letnie słońce poszło świecić gdzieś nad południowymi krainami. Zebrały się wilgotne i szare chmury, wiatr podrywał brunatniejące liście i unosił je nad ziemią. Harry naciągnął mocniej kapelusz i wsunął ręce do kieszeni spodni. Wkrótce zacznie mżyć, a on nie wziął ze sobą płaszcz. Rano nie zapowiadało się na deszcz.

Kiedy dotarł do swojego domu na Belgravii, Charlotte czekała na niego w holu. Wyglądała na podekscytowaną. W poczuciu winy spanikował. Może został nakryty? Ale gdy wszedł do środka, powitała go niezwykle radośnie. Odetchnął z ulgą, że nadal niczego nie podejrzewała.

– Dzięki Bogu, że jesteś, kochanie! Telefonowałam do biura, ale powiedzieli, że dzisiaj nie przyszedłeś.

Nerwowo unikał jej spojrzenia, oczekując kłopotliwych pytań. Ale gdy podał kapelusz kamerdynerowi, chwyciła go za ramię.

– Mam ważną wiadomość – wypaliła.

– Nie trzymaj mnie więc w napięciu.

– Chodzi o zamek. Wiem, kto go kupił!

– Naprawdę? – Harry wszedł za nią do salonu.

– Nie uwierzysz.

– Mów!

– Celia!

Harry wpatrywał się w żonę skonsternowany.

– Żartujesz?

– Jestem śmiertelnie poważna. Twoja kuzynka Celia kupiła zamek.

– Wielkie nieba! Skąd wiesz?

– Dzwonił twój ojciec, około godziny temu. Nie wiedziałam, gdzie cię złapać. Bardzo chciałam ci powiedzieć. Nie jesteś chyba zły, prawda? Wiesz, że cię uwielbiam, z zamkiem lub bez, a zresztą i tak nie chciałabym mieszkać w Irlandii.

– Moja kochana Charlotte, wcale nie jestem zły. Raczej zaskoczony, że sama mi o tym nie powiedziała.

– Na pewno zamierzała. Bertie wspomniał, że pojechała spotkać się z Kitty. Przypuszczam, że ją pierwszą chciała zawiadomić. Wiesz, jak są sobie bliskie.

Opadł na fotel, położył łokcie na kolanach i splótł palce.

- Kto by pomyślał? Archie chyba oszalał.
- Oszalał z miłości! – wybuchła Charlotte.
- Odbudowa pochłonie fortunę.
- Och, ale Archie jest bajecznie bogaty! – Charlotte nie mogła przecież wiedzieć, skąd Archie wziął pieniądze.
- Nigdy nie widziałaś Castle Deverill. Jest ogromny. – Nagle poczuł ostry, niespodziewany ból w piersi, jakby ktoś żywcem wrywał mu serce, wyzwalając wspomnienia, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy.
- Wszystko w porządku, kochanie? Strasznie poczerwieniałeś. – Przykucnęła obok fotela. – Jesteś zdenerwowany, widzę to. To całkiem naturalne. Castle Deverill był twoim domem i dziedzictwem. Ale może lepiej, że pozostanie w rodzinie? Nie jest stracony. Nadal będziesz mógł tam jeździć w odwiedziny.
- *Castellum Deverilli est suum regnum*[1] – wyrecytował.
- Co mówisz, kochanie? To po łacinie?

Popatrzył na nią uważnie, czując się jak mały chłopiec na skraju łez.

- To nasze rodzinne motto. Było wyryte nad frontowym wejściem... To znaczy, przed pożarem. Nie sądziłem, że ten zamek mnie jeszcze obchodzi – dodał cicho. – Nie chcę mieszkać w Irlandii, ale, na Boga, myślę, że mam do niego sentyment. Nawet wielki. Tam mieszkało wiele pokoleń mojej rodziny. Jedno po drugim w nieprzerwanej linii. – Westchnął i pokręcił głową. – Tata tego nie mówi, ale ja wiem, że sprzedaż zamku sprawiła mu ogromny ból. To dlatego coraz więcej pije... Szczęśliwi ludzie nie tracą się w alkoholu. Sprzedaż zamku przerwie rodzinną tradycję, która trwała, odkąd Barton Deverill otrzymał tę ziemię w tysiąc sześćset sześćdziesiątym drugim roku. – Opuścił wzrok na swoje ręce. – Ja jestem tym zerwanym ogniwnem.
- Kochanie, to nie ty ją przerwałeś, ale twój ojciec – przypomniała Charlotte.
- I to nie twoja wina, że rebelianci spalili zamek.
- Wiem, że masz rację. Ale jednak czuję się winny. Być może powinienem zrobić coś więcej.
- Cóż mogłeś zrobić? Nawet moje pieniądze by nie wystarczyły, żeby go odbudować. Powinieneś się cieszyć, że zajmie się tym Celia. Barton Deverill na pewno byłby zadowolony, że zamek pozostanie w rodzinie.
- Celia robi, co w jej mocy, żeby wszystko z powrotem poskładać, ale już nigdy nie będzie tak samo. – Charlotte była bardzo miła i współczująca, ale jej słodycz działała mu na nerwy. Chciałby dzielić swój ból z ukochanym mężczyzną.

Charlotte delikatnie musnęła dłonią jego policzek.

- Ona zrobi wszystko, żeby odzyskał swój dawny urok, jestem tego pewna – powiedziała pokrępiąco. – A pewnego dnia to ty będziesz lordem Deverillem. Daj mi syna, kochanie, a twoja linia nie wygaśnie. – Wpatrywała się w niego

z uwielbieniem, nieświadoma faktu, że na myśl o posiadaniu dzieci jej mężowi skręcał się żołądek. – W końcu to tylko dom.

Harry spojrział na nią i zmarszczył brwi. Charlotte jest jego żoną, a jednak nigdy go nie zrozumie. Jak by mogła?

– Nie, moja kochana Charlotte – rzekł, uśmiechając się smutno. – To coś o wiele ważniejszego.

*

Kitty wróciła do Hunting Lodge, położonego w niewielkiej odległości od zamku, z Celią, która prowadziła jej konia za wodze. Nie lubiła tego surowego, brzydkiego domu, w którym kiedyś mieszkała. Był ciemny i pozbawiony uroku, z małymi oknami i szczytowymi ścianami strzelającymi w niebo ostro jak włócznie. Był ładnie usytuowany, zbudowano go bowiem nad rzeką, ale woda zdawała się przenikać przez mury, w całym budynku pozostawiając wilgotny osad. W przeciwieństwie do zamku Kitty nie miała stąd miłych wspomnień. Nadal czuła w dziecięcym skrzydle obecność zgorzkniałej szkockiej guwernantki oraz ślady nieszczęsnej tęsknoty, która zakonserwowała się w wilgotnych murach. Dla Kitty szczęście kojarzyło się w naturalny sposób z ogrodami, szklarniami, lasami i wzgórzami oraz oczywiście z zamkiem, który zawsze był jego sednem.

Zaprowadziła konia do stajni, gdzie stajenny dał mu wodę i siano. Celia podekscytowana paplała o planach odbudowy.

– Podłączymy elektryczność i system hydrauliczny. Nie zamierzamy na niczym oszczędzać. Przede wszystkim zamek będzie wygodniejszy niż kiedyś. – Wzięła Kitty pod ramię, idąc w stronę domu. – I jeszcze piękniejszy. Zatrudnię najlepszego architekta z Londynu i podniosę tego feniksa z popiołów. Jestem tak podniecona, że ledwie mogę oddychać!

W salonie Bertie, ojciec Kitty, i Archie, mąż Celi, delectowali się sherry w towarzystwie przyjaciółki Bertiego i jego dawnej kochanki lady Rowan-Hampton. Torf ledwie się tlił w kominku, dając niewiele ciepła, za to zadymiając pokój tak, że ledwie się widzieli.

– Ach, Kitty, co za urocza niespodzianka – rzekł Archie, wstając i czule całując ją na przywitanie. – Przypuszczam, że Celia już przekazała ci dobrą nowinę.

– Owszem. Nadal staram się z nią oswoić. – Kitty nie podzielała entuzjazmu Archiego. – Dzień dobry, tato, witaj, Grace. – Pochylając się, żeby pocałować przyjaciółkę, pomyślała o cudownie kojącej potędze czasu. Kiedyś gardziła Grace, ponieważ miała ona długoletni romans z jej ojcem, ale teraz była jej wdzięczna za nieustającą lojalność wobec byłego kochanka, którego twarz wydawała się coraz bardziej nalana od alkoholu. Kitty domyślała się, że oprócz Grace ojcu nie pozostało wielu przyjaciół. Bertie Deverill, który w młodości uchodził za

najbardziej dziarskiego mężczyznę w Zachodnim Cork, teraz był wrakiem człowieka, zniszczonym przez whisky, rozczarowania i dręczącą świadomość własnych porażek. Pomimo że formalnie uznał Małego Jacka, dziecko było dla niego ciągłym przypomnieniem wstydlivej chwili słabości.

– Moja droga Kitty, zostaniesz na lunch? – spytał. – Musimy uczcić tę wspaniałą transakcję.

Kitty pomyślała o Małym Jacku i żołądek ścisnął jej się z niepokoju. Ale odsunęła od siebie obawy i zdjęła kapelusz. W końcu Elsie obiecała nie spuszczać go z oka.

– Bardzo chętnie – odparła, siadając obok Grace.

Grace Rowan-Hampton wyglądała dorośnie jak dojrzały owoc. Choć miała prawie pięćdziesiąt lat, jasnobrązowe włosy zdradzały jedynie lekkie oznaki siwienia, a ciemnobrązowe oczy były czujne, bystre i pełne charakterystycznego dla niej ciepła. Kitty przyjrzała jej się uważnie i doszła do wniosku, że kluczem do jej urody były nieco pulchne kształty oraz nieskazitelna cera; mżawka i delikatne irlandzkie słońce okazały się jej sprzyjać.

– Celia i Archie zrobili nam ogromną niespodziankę – stwierdziła Grace z uśmiechem. – W ostatnich tygodniach zżerała nas ciekawość, ale teraz wiemy, że mamy co świętować. Deverillowie w pewnym sensie odzyskali zamek. Doprawdy, Bertie, nie mogłam znieść myśli, że kupi go ktoś, kto nie ma zrozumienia dla jego historii.

– To samo powiedziałam Archiemu – odparła Celia, ujmując dłoń męża. – Gdyby to miejsce wpadło w obce ręce, cierpiałabym do końca życia. Po prostu kocham historię. Wszystkie te opowieści o Henryku VIII, czy ktokolwiek to był... Jakże to romantyczne!

Na twarzy Kitty pojawił grymas dezaprobaty. Tylko ktoś, kto nie miał prawdziwej więzi z zamkiem, mógł tak wszystko pokręcić.

– A dla mnie najważniejsze jest szczęście żony – wtrącił Archie. – Mamy nadzieję, że pana to też uszczęśliwi, lordzie Deverill.

Bertie skinął w zamyśleniu głową, chociaż Kitty uważała, że ojciec całkiem już przestał myśleć. Jego zmętniałe oczy miały nieobecny wyraz człowieka, dla którego nic nie ma znaczenia poza zawartością butelki.

– W dodatku Celia oczekuje dziecka – obwieściła Kitty, nagle zmieniając temat.

– Jakbyśmy nie mieli dość powodów do świętowania – rozpromieniła się Celia, kładąc rękę na brzuchu i patrząc z ożywieniem na męża. – Obydwoje jesteśmy bardzo, bardzo szczęśliwi.

– Dziecko! – ucieszyła się Grace. – Jakież to ekscytujące! Musimy wznieść toast!

– Czyż nie jest cudownie? Wszystko układa się doskonale – powiedziała

Celia, gdy podnosili kieliszki.

*

Było późne popołudnie, gdy Kitty jechała przez wzgórza do domu Jacka O'Leary'ego. Zachodzące słońce zostawiło smugę roztopionego złota na falach pociemniałego morza pod jasnym jesiennym niebem. Wpadła na chwilę do domu, żeby zajrzeć do Małego Jacka; zastała go w dziecięcym pokoju bawiącego się radośnie z nianią. Kitty z ulgą przyjęła, że jej mąż Robert pracuje w swoim gabinecie. Nie lubił, żeby mu przeszkadzano w trakcie pracy, a więc do niego nie zajrzała. Później opowie mu o Celi i zamku. Opuszczała White House zadowolona, że Mały Jack jest bezpieczny z Elsie i Robertem.

Spiesząc się na spotkanie z kochankiem, zapomniała o kapeluszu i teraz jej długie rude włosy fruwały na wszystkie strony, wirując w podmuchach wiatru, ciągnącego znad wody. Na podwórku przed pobielonym domkiem szybko zeskoczyła z konia i podbiegła do drzwi.

– Jack! – zawołała, wpadając do środka.

Od razu zorientowała się, że nikogo nie ma. Dom był cichy i pusty jak muszla. Potem zauważyła leżącą na stole torbę ze sprzętem weterynaryjnym i serce jej podskoczyło z radości. Bez niej nie pojechałby z wizytą.

Wybiegła z domu i ruszyła w dół wydeptaną ścieżką na plażę, mijając trawy i wrzosa, które ustąpiły miejsca skałom i jasnożółtemu piaskowi. Ryk morza ścierał się z wyciem wichru. Kitty mocniej otuliła się płaszczem, zadrżała z zimna. Po chwili zobaczyła na końcu wąwozu czyjąś postać. Natychmiast ją rozpoznała; krzyczała i machała rękami, ale jej głos ginął w ogłuszającym skrzeku mew kłócących się na skałach. Parła dalej, niezdarnie odgarniając włosy z twarzy i chroniąc się przed wiatrem. Pies Jacka zauważył ją pierwszy; w podskokach pobiegł po piasku na jej spotkanie. Jack też w końcu ją dostrzegł; od razu zrobiło jej się różniej na duszy i przyspieszyła kroku. Widok Jacka w starym brązowym palcie, ciężkich butach i tweedowej czapce z daszkiem był tak pokrzepiający, że zaczęła płakać, ale wiatr porywał łzy, zanim zdążyły opaść na policzki, i zabierał hen ze sobą.

– Co się stało? – spytał Jack, biorąc ją w ramiona. Jego melodyjny irlandzki akcent działał na jej duszę jak balsam. Wtulając policzek w jego płaszcz, uzmysłowiła sobie, że jej miejsce jest tutaj, w objęciach Jacka O'Leary'ego. Ich romans wybuchł jak uderzenie pioruna, a teraz należał już do codzienności – a może raczej był jej perłą.

– Celia kupiła Castle Deverill – oznajmiła. Czuła, jak przyciska swą zarośniętą twarz do jej głowy i mocniej ją przytula. – Nie powinnam mieć nic przeciw temu, ale jednak to mnie dotknęło.

– Oczywiście, że cię dotknęło, Kitty.

– Zamierza odbudować zamek, a potem w nim zamieszkać, a ja będę żyła jak uboga krewna w White House. Czy nie będę poza nawiasem?

– Przeżyłaś o wiele gorsze rzeczy, Kitty – przypomniał.

– Wiem, że to tylko zamek, ale... – Opuściła ramiona, a Jack dojrzał w jej oczach widmo porażki.

– To tylko zamek. Ale dla ciebie znaczył o wiele więcej, prawda? – Pocałował jej skroń, wspominając ze smutkiem, jak kiedyś na próżno próbował namówić ją, żeby opuściła zamek i wyjechała z nim do Ameryki. Ba, gdyby chodziło tylko o zamek, może teraz byłiby szczęśliwym małżeństwem po drugiej stronie Atlantyku.

– Bridie wróciła – dodała ponuro.

– Wiem. Widziałem ją dziś rano na mszy, paradującą w eleganckim stroju i biżuterii. Rzeczywiście znalazła w Ameryce bogatego męża, ale go straciła. Plotka głosi, że złożyła hojną ofiarę na kościół. Ojciec Quinn będzie zachwycony.

– Wróciła po Małego Jacka – oznajmiła Kitty, a żołądek znów ścisnął jej się ze strachu. – Powiedziała, że raz musiała go zostawić, ale że to się już nie powtórzy.

– I co jej odpowiedziałas?

– Że zostawiła go pod moją opieką. Ale ona odparowała, że to Michael podrzucił dziecko na mój próg z liścikiem. Oświadczyła, że to ona jest jego matką i on należy do niej. Ale ja wytłumaczyłam Małemu Jackowi, że jego mama jest w niebie i że go kocham, i opiekuję się nim w jej zastępstwie. Nie mogę mu teraz zakomunikować, że nagle jego matka zmartwychwstała.

– Ona nie może ci go odebrać, Kitty. Podpisała dokument, że rezygnuje ze swoich praw.

Kitty przypomniała sobie dawną Bridie, kochaną przyjaciółkę, i znów ścisnęło ją w sercu.

– Prawdopodobnie nie wiedziała, co podpisuje – szepnęła.

– Nie współczuj jej. Dobrze na tym wyszła, czyż nie? – Wziął Kitty za rękę i ruszyli po plaży w stronę domu.

– Boję się, że spróbuje mi go ukraść – wyznała Kitty z nieśmiałym uśmiechem. Wiedziała, jak absurdalnie zabrzmiały te słowa.

Jack popatrzył na nią z czułym uśmiechem.

– Zawsze miałaś bujną wyobraźnię, Kitty Deverill. Nie sędzę, żeby Bridie była aż tak głupia, aby dopuścić się porwania. Dojechałaby najwyżej do Cork, bo całą policję postawiono by na nogi.

– Masz rację, oczywiście. Jestem głupia.

Obrócił ją do siebie i pocałował.

– A to z jakiej okazji? – Roześmiała się.

– Ponieważ cię kocham. – Uśmiechnął się, odsłaniając przerwę po wybitym

w więzieniu zębem. Założył kosmyk jej włosów za ucho i pocałował ją bardziej namiętnie. – Zapomnij o zamku, zapomnij o Bridie Doyle. Pomyśl o nas. Skoncentruj się na przyszłości, a nie na tym, co minęło. Powiedziałaś, że to już ci nie wystarcza. Wiesz, że mnie też nie wystarcza...

– Nie wystarcza, ale nie wiem, jak to rozwiązać.

– Pamiętasz, jak kiedyś poprosiłem cię, żebyś wyjechała ze mną do Ameryki?

Kitty na to wspomnienie zaczęły piec oczy.

– Ale aresztowano cię i nigdy się nie dowiedziałeś, że jednak postanowiłam z tobą wyjechać.

Wsunął palce pomiędzy włosy na jej szyi i przesunął chropowatymi kciukami po linii jej szczęki.

– Moglibyśmy znów spróbować. Zabrać Małego Jacka i zacząć od nowa. Może nie musielibyśmy wyjeżdżać tak daleko. Moglibyśmy pojechać gdzieś indziej. Rozumiem, że nie chcesz opuszczać Irlandii, ale teraz, gdy Celia kupiła zamek, trudno ci będzie mieszkać w posiadłości, która kiedyś należała do twojego ojca.

Kitty spojrzała w jego jasnoniebieskie oczy, w których smutna historia ich miłości zdawała się odbijać jak ciemne chmury.

– Wyjedźmy do Ameryki – powiedziała nagle, kompletnie zaskakując Jacka.

– Naprawdę tego chcesz? – wykrztusił.

– Tak. Jeśli mamy wyjechać, musimy wyjechać daleko, daleko stąd. To złamie Robertowi serce. Nie tylko straci żonę, lecz także Małego Jacka, którego traktuje jak syna. Nigdy mi nie wybaczy.

– A co z Irlandią?

Przykryła dłońmi jego zimne ręce; niski tembr jego głosu połączony z miękkim irlandzkim akcentem otulił ją ciepłem jak futro z lisa.

– Z tobą zawsze czuję się blisko Irlandii, Jack. Każde słowo, które wypowiadasz, przybliża mnie do niej.

1 Zamek Deverilla jest jego królestwem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział 3

Bridie usłyszała dochodzący ze stodoły głośny śmiech Rosetty. Był wesoły i perlisty jak szemrzący strumyk. Nagle zdała sobie sprawę, że przez tyle miesięcy znajomości nigdy nie słyszała, żeby Rosetta śmiała się tak radośnie, i poczuła ukłucie zazdrości, ponieważ ten beztroski dźwięk wydawał jej się obcy, tak samo jak rodzinny dom po latach pobytu w Ameryce. Miał bowiem w sobie jakieś ciepło i intymność, którego Bridie nie mogła już zaznać z powodu swego bogactwa i prestiżu. Wróciła myślami do Jacka O'Leary'ego i dziewczyny, której część nadal w niej tkwiła, i zatęskniła do tego niewinnego okresu w życiu, gdy w marzeniach śmiała się z nim beztrosko, gdy pragnęła, żeby ją objął i pocałował; gdy każdą komórką ciała łaknęła jego miłości. Ale Kitty jej go skradła, tak samo jak później ukradła jej syna. Z pogardliwym parsknięciem odepchnęła od siebie te dziecinne marzenia. Nie była już tamtą Bridie Doyle. Serce jej stwardniało, zdławiła w sobie czułość, która przynosiła jej tylko nieszczęścia.

Weszła do stodoły. Zaskoczona twarz Seana zarumieniona w poczuciu winy wyłoniła się zza stogu siana. Chwilę później wychynęła stamtąd Rosetta; miała potargane włosy i bluzkę do połowy rozpiętą.

– Musimy porozmawiać, Rosetto – odezwała się Bridie sztywno. Potem zwróciła się do brata: – Na pewno znajdziesz sobie jakieś zajęcie.

Sean uśmiechnął się szeroko do Rosetty, której śniada skóra poczerwieniała od kontaktu z jego zarostem, i wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą ciężkie wrota.

– Widzę, że pomagasz w gospodarstwie – powiedziała Bridie i zaraz pożałowała pełnego niechęci tonu w swoim głosie.

– Chciałabym być pomocna – odparła Rosetta. – Tutejsza okolica jest taka dzika i romantyczna.

Bridie zauważyła jej rozmarzone spojrzenie i zazdrość popchnęła ją do kolejnej złośliwości.

– Uwierz mi, w moim dzieciństwie tutaj nie było nic romantycznego. Pamiętam tylko surowe zimy i biedę.

Uśmiech Rosetty zbladł.

– Przykro mi, Bridget. – Te dwie kobiety łączyło tak wiele, że były bardziej przyjaciółkami niż panią i służącą. Rosetta drżącymi palcami zaczęła zapinać bluzkę.

Serce Bridie zmiękło.

– Przepraszam – zreflektowała się. – Masz rację. Tu jest dziko

i romantycznie. Kiedyś też to czułam. Ale te dni minęły i nigdy nie wrócą. Wyjeżdżam, Rosetto. Wracam do Dublina. A potem do Ameryki. Tym razem na zawsze. Chciałabym, żebyś pojechała ze mną, ale pozostawiam to do twojej decyzji. – Westchnęła, podejrzewając, że ich wspólna przygoda dobiega właśnie końca. – Czas, żeby mój brat się ożenił. Sądzę, że dokonał już wyboru. – Rosetta zarumieniła się, spuszczając oczy. – Widzę, że tobie on też się podoba.

– Tak, Bridget – odparła Rosetta, a Bridie była zaskoczona stopniem swego rozczarowania i urazy. Ale ciepłe uczucia do Rosetty przeważyły nad goryczą i w końcu ujęła rękę przyjaciółki.

– Czy on...?

– Tak, poprosił mnie, żebym za niego wyszła.

– Po dwóch tygodniach? – zdumiała się Bridie.

Rosetta wzruszyła ramionami w ten beztroski, charakterystyczny dla niej włoski sposób.

– Pewne rzeczy wie się od razu – powiedziała.

Bridie była poruszona tymi słowami i pełna podziwu dla swojej przyjaciółki. Rosetta zawsze była silna, zdecydowana i pewna siebie.

– A więc musisz zostać. – Serdecznie, choć z żalem, objęła Rosettę, ponieważ nagle przestraszyła się samotnego rejsu przez Atlantyki. – Będzie mi ciebie brakowało – dodała zduszonym głosem. – Tyle razem przeszliśmy, ty i ja. Teraz zrozumiałam, że jesteś moją jedyną przyjaciółką. Utrata ciebie sprawia mi ból. – Nagle jej głos zrobił się tak cienki jak dźwięk piszczałki. Odchrząknęła i zebrała się w sobie. – Ale coś muszę zrobić. Coś, co jest dla mnie najważniejsze na świecie.

– Co powiesz swojej rodzinie?

– Napiszę do nich z Dublina i wyjaśnię, że już tu nie przynależę. To trochę tak, jakbym próbowała włożyć starą sukienkę, z której wyrosłam. – Roześmiała się, żeby pokryć łzy. – Możesz im powiedzieć, że wyjechałam do Nowego Jorku. Że nie byłam w stanie znieść pożegnania. Dopilnuję, żebyście byli zabezpieczeni finansowo. Mama kupi sobie wyżymaczkę, a Sean nie będzie musiał się martwić o gospodarstwo. Mógłby dokupić ziemi i wyremontować dom. Wątpię, czy zdoła przeprowadzić tu większe zmiany, dopóki babcia żyje. Napisz do mnie, Rosetto. – Uścisnęła jej dłonie.

– Gdzie cię znajdę?

– Wysłę ci szczegółowe informacje, gdy już rozwiążę swoje problemy. Wygląda na to, że znów będę potrzebowała pomocy Beaumonta Williamsa – dodała, mając na myśli swojego prawnika.

– Jesteś pewna, że chcesz wracać do Nowego Jorku? – spytała Rosetta.

– Tak, wrócę, i dostarczę tym wszystkim nowojorskim damom nowych powodów do plotek! Mogę liczyć na pomoc pana Williamsa. On i jego żona byli

dla mnie dobrzy, gdy zmarła pani Grimsby i zostawiła mi majątek. Wtedy nie znałam nikogo w Nowym Jorku. Wiem, że nadal mogę na nich liczyć. – Uśmiechnęła się cierpko. – Pieniądze w zadziwiający sposób skłaniają do lojalności.

– Uważaj na siebie, Bridget.

Bridie popatrzyła na przyjaciółkę ze smutkiem.

– A ty opiekuj się Seanem. To dobry człowiek. – Nie wspomniała o Michaelu. Rosetta wkrótce odkryje, jak różni mogą być bracia. Było to tylko kwestią czasu, gdy ojciec Quinn wypuści Michaela z Mount Melleray.

– Dużo szczęścia, Bridget! Będę się za ciebie modlić.

– A ja za ciebie. Moja rodzina ma szczęście. Przyda im się trochę dobrej włoskiej kuchni. – Bridie powstrzymywała łzy.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia nasze drogi znów się skrzyżują.

– Ja też mam taką nadzieję, Rosetto. Choć wątpię, by tak się stało.

Jakiś czas później Bridie wsiadła do taksówki, która zawiozła ją na stację kolejową w Cork. Byłoby zbyt niebezpieczne, gdyby zobaczono ją na peronie w Ballinakelly. Trzymała misia, którego kupiła w mieście, mając nadzieję, że spodoba się chłopcu. Miała również nadzieję, że gdy już osiadą w Ameryce, jej syn zapomni o Irlandii i wszystkim, co się z nią wiąże. Z niecierpliwością oczekiwała świętowania jego czwartych urodzin w styczniu i rozpoczęcia nowego życia razem. Kupi mu więcej prezentów, niż kiedykolwiek widział. Kupi mu, co tylko będzie chciał! Naprawi te lata, gdy byli rozdzieleni. Jej serce trzepotało z podniecenia. Jeśli w głębi sumienia pojawiał się cień wątpliwości, przypominała sobie, że to Bóg rozświetlił ciemność jej rozpaczy i zainspirował ją do naprawienia zła. Mały Jack należy do niej. Maryja Dziewica, będąc matką, pierwsza ją zrozumie.

Bridie poprosiła kierowcę, żeby poczekał na drodze w niewielkiej odległości od wejścia na teren White House, w obawie, by nie została zawczasu przyłapana. Zamierzała przenieść dziecko przez zagajnik, a nie głównym podjazdem. Nie przewidywała żadnych przeszkód w realizacji swojego planu, jej pragnienie odzyskania syna było tak wielkie, że całkiem ją zaślepiło, działała jak w transie. Oczyma wyobraźni widziała, jak trzyma małą rączkę w swojej dłoni i oboje idą razem szczęśliwi o zachodzie słońca, zjednoczeni i spokojni.

Było wczesne popołudnie, ale niebo tak już pociemniało od gęstej powłoki chmur, że wydawało się, że jest o wiele później. Morze miało kolor szarobrazowy, małe łódki unosiły się na nim, ponure i smutne w gasnącym świetle. Nawet pomarańczowe i żółte liście wyglądały buro w wilgotnym wietrze, który kręcił nimi po ziemi, a potem zgarniał w stosy wzdłuż kamiennego muru otaczającego posiadłość Deverillów. Bridie pospieszyła wzdłuż muru, szukając miejsca łatwego do przeskoczenia. Zaatakowały ją wspomnienia tamtych dni, gdy razem z Celią i Kitty spotykały się przy murze w pobliżu zamku i bawiły nad rzeką z Jackiem

O'Learym, jakże atrakcyjnym w tej swojej kurtce i czapce z daszkiem, i musiała mocno się starać, żeby stłumić tęsknotę, która zalała ją wielką falą żalu. Im szybciej wyjedzie z Ballinakelly, tym lepiej, pomyślała stanowczo, ponieważ wspomnienia zaczęły przedzierać się przez jej starannie skonstruowany system obronny jak chwasty przez kruszący się stary mur. Wreszcie znalazła miejsce, gdzie kamienie spadły w rosnącą za nimi gnijącą paproć, uniosła spódnicę i zwinnie przeskoczyła przez mur, uważając, żeby nie zmoczyć misia.

Powoli i uważnie przemykała przez zagajnik. Serce zaczęło jej walić i pomimo zimnego wiatru ciągnącego znad morza na jej czole pojawiły się krople potu. Widziała dom wylaniający się zza drzew. Żółte światła w oknach sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej obco i ogarnęła ją niechęć do Kitty, że tu przynależy. Ściskając mocno misia, przeszła naokoło domu, uważnie rozglądając się wokół siebie, czy nikt jej nie widzi.

Upewniwszy się, że jest sama, podkradała się wzdłuż ścian, zaglądając przez okna. W panice, że może już nigdy nie odnajdzie syna, dostrzegła wreszcie uchylone okno z tyłu domu. Światło wylewało się na zewnątrz wraz ze śmiechem, który instynktownie rozpoznała; był to dla niej stracony głos dziecka – jej dziecka.

Serce jej ścisnęło się z emocji, gdy bezszelestnie skradała się wokół podmurówki z piaskowca w stronę głosu, który ją przywoływał. W jej rozhuśtanej wyobraźni śmiech nagle zmienił się w błagalny krzyk, który знаła z koszmarów sennych; synek prosił ją, by go odnaleźć i sprowadzić do domu.

Ledwie ośmielając się oddychać, cicho podeszła do okna i zajrzała przez szybę do wnętrza. Krzyk ustał. Chłopiec siedział na podłodze obok mężczyzny, którego nie spodziewała się zobaczyć; śmiejąc się radośnie, bawili się kolorową drewnianą kolejką. Wzdrygnęła się na widok mężczyzny, w którym natychmiast rozpoznała dawnego nauczyciela Kitty, a teraz jej męża, pana Trencha. Spoglądał z góry na chłopca z niekłamaną czułością. Wyglądał całkiem inaczej niż tamten poważny nauczyciel, spędzający wolny czas na czytaniu książek. Zawsze był przystojny w pewien konwencjonalny, nudny sposób, ale teraz wesołość w jego oczach i radosny uśmiech ożywiały tę poważną z natury twarz. Przycisnęła misia do piersi, gdy Trench wziął Jacka w ramiona i przycisnął usta do jego buzi. Dziecko wtuliło się w niego i zachichotało. Gdyby nie znała prawdy, uznałaby, że to ojciec i syn. Łączące ich uczucie wyglądało na naturalne i prawdziwe. Serce Bridie aż spuchło z zazdrości, a oczy wypełniły się łzami; stłumiła łkanie w miękkiej głowie misia.

Wtedy w drzwiach stanęła kobieta, którą Bridie widziała dwa tygodnie temu na trawniku. Powiedziała coś do mężczyzny. Puścił chłopca, wstał i z niechęcią wyszedł za nią z pokoju. Bridie dostrzegła swoją szansę. Okno było otwarte. Jack był sam. Wiedziała, że ma tylko kilka minut.

Bez wahania podniosła zasuwkę i szerzej otworzyła okno. Wyczuwając

czyjaś obecność, chłopiec odwrócił się i popatrzył na nią zaskoczony. Bridie pochyliła się do środka i uśmiechając się zachęcająco, wyciągnęła do niego misia. Dziecko patrzyło na zabawkę, rozszerzając oczy z zaciekawienia. Z zachwytem obserwowała, jak szybko wstaje i biegnie ku niej z wyciągniętą rączką. Przez jedną błogosławioną sekundę pomyślała, że biegnie do niej i poczuła w duchu nagły przypływ radości. Ale on chwycił misia i cofnął się o krok, żeby go dokładnie obejrzeć. Mogła go teraz złapać. Potrafiła być szybka, zajęłoby to sekundę. Mogłaby wziąć Jacka w ramiona, wyskoczyć z nim na zewnątrz i zniknąć w ciemnościach nocy, zanim ktoś by zauważył, co się stało.

– Jak pójdziesz ze mną, dam ci jeszcze jednego – szepnęła, przechylając się przez parapet do środka. Chłopiec nagle puścił zabawkę, jakby go sparzyła, a na jego twarzy pojawił się strach. Uszy mu poczerwieniały i wybuchł płaczem. Dla Bridie było to przerażające doświadczenie; wzdrygnęła się i odskoczyła, jakby ją spoliczkowano. Patrzyła bezradnie na chłopczyka, który stał jak wrośnięty w ziemię, zanosząc się od płaczu i wpatrując w nią, jakby była potworem. Prawda zabolowała ją jak siarczasty policzek: Mały Jack tu przynależał! To był jego dom i jego rodzice. Ona była tylko obcą, groźną nieznajomą. Poczowała współczucie i wyrzuty sumienia. Wyciągnęła rękę, żeby go pocieszyć, ale dziecko tylko gapiło się na nią z przerażeniem. Bridie cofnęła rękę i mocno przycisnęła ją do piersi.

Zrobiła krok w tył i zdążyła się schować, zanim pan Trench i kobieta wbiegli do pokoju. Płacz stopniowo cichł; Jack z wolna uspokajał się w objęciach albo pana Trench, albo swojej niani. Bridie nie widziała go z miejsca, w którym stała. Wyczuwając kogoś przy oknie, przylgnęła mocniej do ściany, wstrzymując oddech i w duchu modląc się do Najświętszej Pani, żeby ją chroniła. Czyjaś ręka pojawiła się w oknie i je zamknęła, a potem szybko zaciągnęła zasłony. Bridie nic już nie mogła zobaczyć. Z rozpaczą mocno zakotwiczoną w sercu wróciła przez lasek do czekającej na nią taksówki.

*

Kitty wróciła do domu z sercem przepelnionym nadzieją i lękiem spowodowanymi rozmyślaniami o własnej przyszłości. Zastała Małego Jacka w piżamie, siedzącego na kolanie Roberta. Drugą nogę, której nie mógł zginać na skutek przebytej w dzieciństwie choroby, Robert wyciągnął przed siebie. Chłopiec słuchał opowieści o samochodzie. Ssał palec, a drugą ręką przytulał ulubionego misia. Zaabsorbowany bajką nie oderwał głowy od ramienia Roberta, tylko siedział śpiący i zadowolony. Kitty z wahaniem przystanęła w drzwiach i przyglądała się temu wzruszającemu obrazkowi na tle ciepłego blasku kominka, na moment zapominając o swoim planie. Robert zerknął na nią, nie przerywając czytania; jego oczy powitały ją z uśmiechem. Kitty w poczuciu winy wycofała się z pokoju. Na próżno starała się odtworzyć tę scenę z Jackiem O’Learym w roli Roberta.

Zastała Elsie w łazience, porządkującą zabawki Małego Jacka. Chłopiec lubił bawić się łódkami w kąpieeli.

– Jak ci minął dzień, Elsie? – spytała zdeterminowana, by oderwać się od dręczących ją wyrzutów sumienia. Myśl o ucieczce do Ameryki wprawiała ją w ogromne zdenerwowanie.

– Bardzo przyjemnie, pani Trench. Mały Jack był taki grzeczny.

– Widać, że jest zmęczony. O mało nie zaśnie, słuchając tej bajki.

Panna Elsie uśmiechnęła się z czułością.

– To prawda. Ale on kocha bajki i uwielbia, gdy pan Trench mu je czyta. – Odwróciła twarz do swojej pani. Widząc jej zafrasowaną minę, Kitty zorientowała się, że coś ją niepokoi. – Dzisiaj bardzo tego potrzebował – dodała Elsie.

– Potrzebował?

– Tak. Coś go mocno przestraszyło w pokoju dziecięcym. Nie wiem, co to było. Lis albo jakiś ptak za oknem. Biedna mała kruszynka mało nie wypłakała oczu. Odtąd kurczowo się trzyma mnie lub pana Trencha.

Kitty poczuła, że jej serce znów ściska przerażająca zimna ręka.

– Widziałaś coś za oknem?

– Nie. – Niania się zawahała. Nie chciała się przyznać, że złamała obietnicę i zostawiła Jacka na moment samego, ani też do tego, że znalazła nieznanego misia na podłodze i schowała go na dno skrzyni z zabawkami. – Pan Trench bawił się z nim, ale musiał wyjść z pokoju, ponieważ ktoś przyszedł. Ja zostawiłam go tylko na chwilę i wtedy musiał coś zobaczyć. Jestem pewna, że nic złego się nie stało, ale pomyślałam, że pani o tym powiem, żeby pani wiedziała, dlaczego dzisiaj wieczorem jest trochę niespokojny.

– Dziękuję, Elsie.

Kitty pospieszyła do sypialni. Robert kładł dziecko do łóżka. Pomogła mu, odkrywając koce, by mógł wsunąć pod nie chłopca. Robert delikatnie pogłaskał Małego Jacka po rudych włosach i pocałował w czoło.

– Dobranoc, kochanie – powiedział.

Mały Jack nagle ocknął się i złapał go za rękę.

– Zostań! – jęknął.

Kitty z przestachem spojrzała na Roberta.

– O co chodzi, skarbie? – spytała, klękając obok łóżeczka.

Mały Jack usiadł i zarzucił jej ramiona na szyję, przywierając do niej tak, jakby bał się, że materac go połknie.

– Ta pani może znowu przyjść!

– Jaka pani? – Kitty spojrzała na Roberta z przerażeniem, chociaż już wiedziała, o kogo chodzi.

– Nie ma żadnej pani. Jesteśmy tylko my i panna Elsie – zapewnił go Robert.

Kitty mocno go przytuliła i gładziła po włosach.

– Gdzie widziałeś tę panią, pamiętasz?

– W oknie – wyszeptał.

– Czego chciała?

– Dała mi misia, ale ja go nie chcę!

Kitty ścisnęło w piersiach.

– To musiała być jakaś Cyganka, kochanie. – Kitty starała się zapanować nad drżeniem w głosie. – Nie ma czego się bać, zapewniam cię. Już sobie poszła i na pewno nie wróci. Jesteś bezpieczny. Nie pozwolimy, żeby stała ci się krzywda, kochanie. Nigdy.

Kitty delikatnie gładziła chłopca po główce, aż wreszcie udało jej się go uśpić.

Na dole zastała Roberta podsycającego ogień w kominku.

– Myślisz, że naprawdę widział kogoś przy oknie? – Robert odłożył pogrzebacz. – Co się stało, Kitty? – spytał, widząc jej pobladłą twarz.

– Mówiłam ci, że matka Małego Jacka była pokojówką w zamku. Pamiętasz?

– Tak – odparł Robert, mrużąc oczy. – Jak się nazywała?

– Bridie Doyle.

Robert wpatrywał się w nią zaskoczony.

– Bridie Doyle? Ta niepozorna dziewczyna, która pracowała jako twoja pokojówka?

– Tak – potwierdziła Kitty.

– Wielkie nieba! Co twój ojciec sobie myślał?

– Nie wyobrażam sobie, żeby wtedy w ogóle myślał. Po urodzeniu dziecka Bridie wyjechała do Ameryki i straciłyśmy kontakt. Nie sądziłam, że kiedykolwiek ją spotkam. Ale ona wróciła. – Kitty przyłożyła rękę do szyi. – Wróciła po Małego Jacka.

– Skąd wiesz?

– Pokazała się tu dwa tygodnie temu. Powiedziała mi, że raz musiała go porzucić, ale drugi raz tego nie zrobi. Myślę, że to ona była przy oknie. – Przerazenie na myśl o tym, co mogło się stać, podcięło Kitty kolana. Opadła na fotel. – Bałam się, że do tego dojdzie.

Robert poczerwieniał z wściekłości.

– Jak ona śmie! – Ruszył w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Powiedzieć panie Doyle, że nie może ot, tak tu przyjść i zabrać dziecko. Ono już do niej nie należy. Nie ma znaczenia, że je urodziła. Oddała je i na tym koniec. Mały Jack jest prawowitym synem lorda Deverilla, a jego wychowanie powierzono nam.

– Och, Robercie, nie możesz wdrzeć się do domu pani Doyle i rzucać oskarżeń! Nie wiesz, czy przyszła go ukraść. Może chciała tylko dać mu prezent.

Uniósł brwi.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Chcę w to wierzyć.

– A więc jesteś głupia, Kitty.

– Robercie!

– Nie zamierzam dręczyć się wątpliwościami. Mówimy o naszym chłopcu. Dziecku, które kochamy ponad wszystko na świecie. Myślisz, że podejmę takie ryzyko?

– Co zamierzasz?

– Wygarnę jej, co trzeba. I dopilnuję, żeby nigdy już się do niego nie zbliżyła.

Kitty nigdy nie widziała Roberta tak rozzłoszczonego. Jego wściekłość ją przerażała. Przerazała dlatego, że ewidentnie podsycala ją miłość. A jeśli tak mocno kochał Małego Jacka, jak mogła rozważać wywiezienie go do Ameryki?

Schowała na razie swój plan głęboko w sercu.

– Jadę z tobą – oznajmiła. – Z tą nogą nie powinieneś prowadzić.

– Zgoda – odparł, idąc do holu. – Możesz prowadzić, ale najpierw powiedz pannie Elsie, żeby nie spuszczała Małego Jacka z oczu.

Jechali szybko w milczeniu. Samochód pędził po dywanie usłanym z liści i gałązek przez bezlitosne wiatry i jesienny deszcz. Reflektory omiały snopem światła kamienne murki i żywopłoty. Od czasu do czasu zajaśniała w ciemności para lisich oczu jak żarzące się na złoto węgielki. Kitty zadrżała i rękami w rękawiczkach mocniej chwyciła kierownicę.

W końcu zaczęli podskakiwać na wyboistej drodze, która wijąc się przez dolinę, prowadziła do farmy Doyle'ów. Zwolniła, by nie utknąć w jakiejś dziurze albo nie przebić opony. Serce jej przyspieszyło na widok domu, w którym Michael Doyle ją zgwałcił. Chociaż wiedziała, że go tu nie zastanie, strach nie słuchał się rozumu.

Kitty zatrzymała się przed domem i wysiadła. Zrównała się z Robertem i wzięła go za rękę.

– Uważaj na słowa, Robercie – szepnęła. – Wątpię, żeby rodzina Bridie знаła prawdę o Małym Jacku.

– Ani mi w głowie wtajemniczać cały klan Doyle'ów w sprawę naszego syna – odparował, a rozkazujący ton jego głosu dodał Kitty pewności siebie.

Robert głośno zapukał do drzwi. Po chwili otworzyły się i wyjrzał z nich Sean. Na ich widok zrobił zaskoczoną i trochę przestraszoną minę. Bez wahania jednak otworzył drzwi szerzej i zaprosił ich do środka. Wewnątrz stara pani Nagle siedziała przy palenisku, paląc glinianą fajkę, a jej córka w bujanym fotelu cerowała. Ładna młoda kobieta, której Kitty nigdy dotąd nie widziała, siedziała przy stole. Bridie nie było.

Gdy Kitty i Robert weszli, wnosząc ze sobą powiew zimnego powietrza, cztery pary oczu spojrzwały na nich z rezerwą.

– Dobry wieczór – powiedział Robert, zdejmując kapelusz. – Proszę wybaczyć to najście. Przyjechaliśmy zobaczyć się z panną Doyle.

Pani Doyle zacisnęła usta i odłożyła robótkę.

– Nie ma jej tu – odezwał się Sean, stojąc pośrodku izby z założonymi rękami.

– A gdzie jest? – zapytał ostro Robert. – To ważna sprawa.

– Wyjechała...

– Dokąd? – wtrąciła Kitty.

– Wraca do Ameryki.

Robert popatrzył na Kitty, a ona spostrzegła, że jego twarz nagle się rozpogodziła jak niebo po burzy.

– Aha, to dobrze – stwierdził, zakładając kapelusz.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał Sean.

– Już to zrobiłeś – rzucił Robert, zmierzając do drzwi.

Kitty zauważyła, że policzki pani Doyle są wilgotne od łez, oczy zaś starej, znużonej życiem pani Nagle przepelnia mieszanina smutku i rezygnacji. W pokoju zapanowała ciężka, przygnębiająca atmosfera, którą Kitty chciałaby rozproszyć, ale jednocześnie pragnęła jak najprędzej stąd wyjść i wrócić do bezpiecznego domowego zacisza. Idąc pospiesznie do samochodu, myślała o stracie, jaką poniosła biedna pani Doyle, i szczerze jej współczuła.

Kitty uruchomiła silnik i zawróciła. Gdy samochód powoli jechał po kamieniach, Robert wyciągnął rękę i położył na jej nodze. Zerknął na nią, ale jej twarz ledwie majaczyła w ciemności.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Zaczerpnęła powietrza.

– Teraz już tak.

– Nie powinnaś tu przyjeżdżać.

– Chciałam.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie wierzyłaś, że sam sobie poradzę?

– Nie ufam ci za kierownicą. Ale całkowicie ufam we wszystkim innym, a szczególnie w tej sprawie, Roberte – wyznała, odwracając się, by na niego spojrzeć. – Mam pewność, że cokolwiek się stanie, ochronisz Małego Jacka; ochronisz nas oboje.

– Wiesz, Kitty, że ty i Mały Jack jesteście dla mnie całym światem. Zrobiłbym dla was wszystko.

Kitty utkwiała wzrok w drodze, a poczucie winy niczym ostrze wbijało się w sam środek jej serca.

*

Bridie stała na pokładzie statku i patrzyła na irlandzkie wybrzeże oddalające się we mgle. Z nostalgią zaprawioną kroplą goryczy wspominała, jak trzy lata temu po raz pierwszy opuszczała ojczyznę. Podróżowała w najtańszej klasie, za cały bagaż mając to, co na sobie, i małą torbę, ale choć zboleła z powodu utraty dziecka, które zostawiła w klasztorze, była pełna nadziei na lepszą przyszłość i obserwowała, jak jej przeszłość oddala się coraz bardziej, aż w końcu całkowicie znika.

Czuła się tak, jakby straciła Małego Jacka nie raz, ale dwa razy. Miała szansę go odzyskać. Wyciągnęła do niego rękę, ale widząc, że dziecko kocha swój dom, pojęła, że więzy codziennego życia bywają silniejsze od więzów krwi. Zawstydziała się, że chciała przekupić synka zabawką. Niestety, musiała znów go porzucić. Tym razem czuła się jeszcze bardziej upokorzona.

Przyglądała się otulonej kłębamí mgły wyspie, którą kochała i straciła; wiedziała, że to bolesne przeżycie będzie równie ciężkie jak za pierwszym razem. W tej zielonej ziemi spoczywało ciało jej córki, na tych zielonych łąkach jej syn będzie dorastał, nie wiedząc o istnieniu swojej matki i jej tęsknocie, nie wiedząc, skąd naprawdę pochodzi. Będzie dorastał w posiadłości Deverillów i nigdy nie pozna skromnej farmy, leżącej zaledwie kilka kilometrów za wzgórzami, skąd wywodziły się jego korzenie.

Łzy popłynęły jej po policzkach, ale nawet nie usiłowała ich wytrzeć. Znajdowała jakąś dziwną przyjemność w cierpieniu; ból w klatce piersiowej oraz tępe rwanie w głowie dostarczały przewrotnej satysfakcji, że wola życia okazuje się silniejsza, chociaż wzburzone morskie fale uderzające o statek zachęcają do znalezienia ukojenia w swoich odmętach. Wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana, gdy tak przywoływały ją rytmicznym szeptem. Jakże łatwo byłoby ulec tym nawoływaniom... A jednak tego nie zrobiła. Pozwoliła, by cierpienie trawiło jej duszę. Wiedziała, że gdy zabije w niej wszystkie myśli, uczucia i wspomnienia, w końcu ją opuści. Tak było wcześniej, i teraz też tak się stanie.

Zamknęła oczy i wciągnęła w płuca wilgotne morskie powietrze. Może zostawiała swego syna, ale jej córka, jej słodka mała dziewczynka, której nawet nie pobłogosławiła pocałunkiem, była z nią nadal. Czyż Kitty nie nauczyła jej, że umarli nigdy nas nie opuszczają? Była to jedyna wartość, która pozostała po ich przyjaźni. Myśl tę pielęgnowała głęboko w sercu.

Rozdział 4

Hazel i Laurel, dwie niezamężne siostry Adeline Deverill, znane jako Krzaczki[2], stały nad jej grobem i podziwiałały purpurowe jagody krzewu, który tam zasadziły. Można by je uznać za bliźniaczki, ponieważ były takiego samego wzrostu, miały okrągłe rumiane twarze, nerwowo ściągnięte usta i siwiejące włosy spięte na czubku głowy. Ale przy bliższej obserwacji okazywało się, że dwa lata starsza Hazel miała oczy jasne, niebieskie jak niebo, Laurel zaś w kolorze mgły zbierającej się zimą nad Morzem Irlandzkim. Nie były pięknosciami, nawet w młodości, w przeciwieństwie do rudowłosej Adeline o rozbijającym spojrzeniu, ale ich miłe usposobienie wyrażało się w miękkich rysach i zaskakująco uroczych uśmiechach. Ujmowała ich potrzeba przebywania razem; wydawało się, że zrezygnowały z małżeństwa i dzieci, aby pozostać ze sobą.

– Zawsze lubiła czerwony – westchnęła Hazel.

– Kochała kolory – przyznała jej rację Laurel. – Wszystkie.

– Oprócz czarnego – dodała Hazel.

– Czarny to nie jest kolor, Hazel. To brak koloru.

– Adeline mawiała, że ciemność to po prostu brak światła. Oraz że jako taka nie istnieje. Pamiętasz, Laurel?

– Tak, pamiętam.

– Była taka mądra. Bardzo mi jej brakuje. – Hazel przycisnęła pogniecioną bawełnianą chusteczkę do oczu. – Podczas konfliktu[3] jej obecność była naprawdę krzepiąca.

– To prawda – zgodziła się z nią Laurel. – Przeżyliśmy niespokojne czasy, ale czuję, że pokój zstąpił na Ballinakelly i te bestie, które chciały wyrzucić stąd Anglików, schowały pazury. Nie sądzisz, Hazel?

– Och, tak. Ale żałuję, że nastąpiły takie zmiany. Nienawidzę zmian. Nic nie jest...

– Takie samo po pożarze – dokończyła Laurel. – Żadnych partyjek wista w bibliotece, żadnych przyjęć... Och, uwielbiałam przyjęcia!

– Nikt nie wydawał takich przyjęć jak Adeline. Nikt! – powiedziała dobitnie Hazel. – Cóż, pozostały nam tylko wspomnienia. Cudowne, cudowne wspomnienia. – Westchnęła ze smutkiem na myśl o dawnych czasach. – Teraz, gdy Celia kupiła zamek, już nie będzie tak samo.

– Nie będzie tak samo – przyznała ponuro Laurel. – Będzie zupełnie inaczej. Jednak wspaniale, że przywróci go z powrotem do życia. Mam nadzieję, że pamięta, jaki był kiedyś. Jak sądzisz, może powinniśmy jej coś doradzić?

– Będzie nam wdzięczna za pomoc, na pewno. Znałyśmy zamek lepiej niż ktokolwiek inny.

– Oprócz Bertiego, być może – wtrąciła Laurel.

– Oczywiście, oprócz Bertiego.

– I być może Kitty? – dodała Laurel.

– Tak, i Kitty – zgodziła się z nią Hazel lekko poirytowana. – Ale my wiemy, jak Adeline chciałaby, żeby wyglądał. – Hazel wpatrywała się w wilgotną ziemię, w której pogrzebano ciało ich siostry.

Laurel wciągnęła głęboko powietrze.

– Jesteśmy ostatnie z naszego pokolenia, wiesz o tym.

– Mam tego świadomość, Laurel. Trzeba szukać pocieszenia w młodszej generacji. Jestem bardzo wdzięczna Elspeth i Kitty. Gdyby nie nasze cioteczne wnuczki i ich kochane dzieci, nie warto by żyć dalej. Absolutnie.

– Adeline była pewna, że w końcu i tak się spotkamy.

– Bzdury! – powiedziała Hazel.

Laurel popatrzyła ze zdziwieniem na siostrę.

– Moja droga, myślę, że po raz pierwszy mamy inne zdanie na jakiś temat.

– Doprawdy?

– Tak.

– Mam nadzieję, że to nie będzie precedens – dodała z niepokojem Hazel.

– Nie wiem. Możliwe. Czy to nie byłoby okropne? Nagle w późnym wieku...

– Daj spokój. – Hazel położyła dłoń na ramieniu siostry.

– Że nagle na starość zaczniemy się kłócić – dokończyła Laurel.

– Nie można do tego dopuścić.

– Nie można. To by wszystko zepsuło.

– To prawda. Wszystko.

– Może pójdziemy do domu i napijemy się herbaty?

– Chodźmy! – Hazel uśmiechnęła się z ulgą. – Tak się cieszę, że co do tego się zgadzamy!

*

Adeline przyglądała się, jak jej siostry wychodzą na ulicę i kierują się w stronę domu. Ze swego miejsca w zaświatach widziała wszystko, co działo się w Ballinakelly. W przeciwieństwie do Huberta i innych dziedziców Castle Deverill, których duchy z powodu klątwy Maggie O’Leary miały pozostawać w zamku, dopóki ziemia nie zostanie zwrócona O’Learym, Adeline mogła się swobodnie przemieszczać. Jestem wolnym duchem, myślała z satysfakcją. Z łatwością mogłaby całkiem opuścić ten świat; ciekawość tego, co istoty ludzkie nazywały niebem, była bardzo silna. Ale Adeline łączyły z Hubertem zbyt potężne więzy, żeby ciekawość miała zwyciężyć. Pozostała z nim, ponieważ go kochała.

Kochała też Irlandię oraz rodzinę, która tu pozostała. Dopiero gdy ich czas na tej ziemi się wyczerpie, odejdzie do nieba; pójdą wszyscy razem, tak jak zawsze.

Adeline intrygowały ostatnie wydarzenia wokół zamku. Celia zatrzymała się w Hunting Lodge u Bertiego i spędzała mnóstwo czasu na oglądaniu ruin i dyskusjach z panem Leclaire'em, architektem, którego sprowadziła z Londynu. Podobny do małej ropuchy, z lśniąca, okrągłą twarzą, łysą głową, mięsistymi ustami oraz wadą wymowy, która powodowała, że pluł, wymawiając „s”, pan Kenneth Leclaire wykazywał szalony entuzjazm z powodu tego ambitnego zlecenia. Celia Mayberry należała do takich klientów, których lubił najbardziej – ciemnych jak tabaka w rogu i posiadających nieograniczony budżet. Miał efektowne pomysły i przeskakiwał za rozmarzoną Celią od jednego wypalonego pomieszczenia do drugiego, machając ramionami i opisując w samych superlatywach wystawny splendor tych pokojów, gdy zostaną już odbudowane zgodnie z jego genialną wizją. Celia po każdej jego sugestii klaskała w dłonie i piskliwym głosem wykrzykiwała słowa zachęty: „Och, Kenny, kochany, uwielbiam twoje pomysły! Zrealizuj je! Jak najszybciej!”.

Celia chciała, żeby Kitty cieszyła się postępami odbudowy tak samo jak ona. Adeline, rozbawiona podrygującym panem Leclaire'em oraz namiętnością Celi, która z kłapkami na oczach chciała odtworzyć przeszłość zapamiętaną w różowych wspomnieniach, czuła smutek na widok swej ukochanej wnuczki, błądzącej po ruinach, jakby sama była duchem szukającym siebie wśród popiołów.

Kitty wyglądała na bardzo samotną i smutną. Utrata domu i ukochanych dziadków sprawiła, że coś wewnątrz niej zgasło, jakby delikatne przesunięcie chmury zaciemniło blask słońca i pograżyło ją w cieniu. Ale było coś jeszcze. Z odległego miejsca, w którym Adeline się teraz znajdowała, widziała duszę Kitty jak na dłoni. Wszystkie wypadki z życia wnuczki zostały odsłonięte przed jej babcią jak otwarta księga. Adeline zobaczyła brutalny gwałt na farmie Doyle'ów oraz ten moment na peronie stacji, gdy Jacka O'Leary'ego schwytali czarno-brunatni[4]; wiedziała, że Michael Doyle nie tylko zgwałcił Kitty, lecz także odebrał jej szansę na szczęście z Jackiem. To on unicestwił jej przyszłość, a jednocześnie, idąc za ciosem, zabrał Małego Jacka z klasztoru w Dublinie i oddał pod jej opiekę. Adeline zobaczyła wszystko z niezwykłą wyrazistością. Wiedziała również o planach Kitty wyjazdu do Ameryki. Już raz Kitty straciła tę możliwość i była zdeterminowana nie pozwolić jej umknąć po raz drugi. Adeline zdawała sobie jednak sprawę, że kraj po drugiej stronie Atlantyku nie stanie się ojczyzną dla Małego Jacka. Chłopiec to przecież Deverill. To zamek Deverillów był miejscem, do którego przynależał.

Nikt nie miał większego prawa do Castle Deverill niż Barton Deverill, człowiek, który go zbudował i wymyślił rodzinne motto. Ale Barton był już zmęczony nawiedzaniem tego przeklętego miejsca. Adeline usiłowała go wypytać

o Maggie O'Leary, ale do księgi jego życia nie miała wglądu; ta księga została definitywnie zamknięta. Wyczuła, że było w niej coś, czego Barton się bardzo wstydził. Niemal widziała jakby jakiś czarny kleks wsiąknięty w papier. Z jakiego powodu Barton był aż tak nieszczęśliwy? Oczywiście widok zamku w ruinie na pewno napawał go smutkiem – wszyscy byli z tego powodu nieszczęśliwi, choć zapał, z jakim Celia zmierzała do realizacji swoich planów, znacząco podniósł rodzinę na duchu. Tylko Barton pozostał niby w czarnej dziurze, nie wykazując żadnej chęci, żeby się wydobyć z tego stanu. Dlaczego? To pytanie nurtowało Adeline.

Adeline nieprzerwanie rozmyślała o klątwie, która nadal wisiała nad rodziną. Wiedziała więc, jaki los czeka Bertiego i Harry'ego za to, co przed wiekami uczynił Barton. Ale... właściwie co on dokładnie zrobił? Budowa zamku na ziemi nadanej mu przez Karola II nie była przestępstwem. Maggie O'Leary, co prawda, przeklęła go za to, co sama uznawała za kradzież, ale Adeline wyczuwała, że za tym wszystkim kryło się coś więcej. Jeśli odkryłaby, co takiego strasznego zrobił Barton, być może zdołałaby coś na to zaradzić. Zamierzała, udając się do ostatecznego miejsca wiecznego odpoczynku, zabrać tam ze sobą Huberta, Bertiego i Harry'ego. A potem niech się dzieje, co chce.

Kitty galopowała przez wzgórza wokół Ballinakelly. Mokry wiatr zlepiał jej włosy w wilgotne kosmyki, policzki nabrały rumieńców. Lodowate powietrze paliło gardło i mroziło czubek nosa. Rytmiczny stukot kopyt na twardej ziemi zabrał ją z powrotem do czasów skradzionych chwil z Jackiem przy Magicznym Kręgu, gdy jedynym problemem na drodze do ich szczęścia wydawało się uzyskanie błogosławieństwa ojca. Roześmiała się gorzko, żałując, że nie może cofnąć zegara. Jakże proste było życie, zanim Michael Doyle, wojna o niepodległość oraz pożar skomplikowały je bardziej, niż kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić. Ale teraz zostawi wszystko za sobą. Zacznie od zera i zapomni o przeszłości. Razem ze swymi dwoma Jackami zbuduje przyszłość na nowej ziemi. Tam Mały Jack będzie mógł dorastać z dala od cienia rodzinnej tragedii. Ale nie zdoła sama tego dokonać.

Jak wiele razy w przeszłości, podjechała kłusem przed rezydencję Grace Rowan-Hampton, gdzie oddała konia stajennemu. Znowu Grace okazała się jedyną osobą, do której Kitty mogła się zwrócić o pomoc.

Brennan, wyniosły kamerdyner, otworzył drzwi i wziął od niej płaszcz i rękawiczki. Nie zaskoczył go widok panny Kitty Deverill, bo tak zawsze będzie o niej myślał, pomimo że teraz była mężatką. Przywykł, że przyjeżdżała tu bez uprzedzenia, gdy jeszcze była panną, i wkraczała do holu, głośno wołając jego panią. Zastanawiał się, co się stało tym razem.

Grace była w pomywalni i układała duży bukiet kwiatów do kościoła, chociaż o tej porze roku niewiele ich można było znaleźć w ogrodzie. Miała na

sobie zieloną suknię i kardigan w zielononiebieskim kolorze, brązowe włosy ściągnęła do tyłu w niestaranny koczek, pozostawiając luźne kosmyki wokół głowy oraz na szyi. Na widok Kitty uśmiechnęła się ciepło, a w jej brązowych oczach odmalowała się radość.

– Co za miła niespodzianka! – powiedziała, odkładając sekator. – Muszę sobie zrobić przerwę od tego okropnego zajęcia. Chodźmy do salonu, napijemy się herbaty. Brennan rozpałił tam w kominku. Palce o mało mi nie odpadną, tak mi zgrabiały!

Kitty udała się za nią do centralnej części domu, ozdobionego wieloma perskimi dywanami i udekorowanego jasnymi kwiecistymi tapetami, boazeriami oraz portretami przodków w złotych ramach; patrzyli oni z olejnych obrazów zmętniałymi, wylupiającymi oczami charakterystycznymi dla Rowan-Hamptonów, a odziedziczył je również ich nieszczęsny potomek sir Ronald.

– Ronald przysłał telegram, że przyjeżdża pojutrze z chłopcami i ich rodzinami, a więc usiłuję ogrzać dom – wyjaśniła Grace, przechodząc lekkim krokiem przez hol. Jej synowie walczyli w wielkiej wojnie i jakimś cudem wszyscy przeżyli. Od czasu konfliktu woleli mieszkać w Londynie, który uznawali za bardziej ekscytujący pod względem towarzyskim i bezpieczniejszy dla dzieci. – Namówiłam ich, żeby przyjechali do domu na Boże Narodzenie, choć szykuje się niewiele ciekawych przyjęć. Bez zamku nie jest tu już tak samo. Ale sprawi mi przyjemność znów mieć ich wszystkich w Ballinakelly. Czuję się nieco samotna.

Kitty domyślała się, że sir Ronald wiedział o niewierności żony. Obydwoje, jak widać, byli zwolennikami edwardiańskiego stylu małżeństwa: żona wydaje na świat dziedzica oraz jego zastępcę, a potem może prowadzić własne życie, pod warunkiem wszakże, że zachowa dyskrecję. Oczywiście, mężczyźni o takiej pozycji jak sir Ronald też brali sobie kochanki, chociaż Kitty nie mieściło się w głowie, jak ten czerwony na twarzy, brzuchaty jegomość mógł się komukolwiek podobać. Już sam ten pomysł wydawał jej się obrzydliwy. Sir Ronald rzadko przyjeżdżał do Irlandii i wyglądało na to, że Grace ułożyła sobie tutaj życie bez niego. Kitty wyczuwała, że Grace była raczej poirytowana, gdy się zjawiał. Zastanawiała się, czy Grace miała innych kochanków oprócz jej ojca. Ale powątpiewała, by kiedykolwiek naprawdę była sama.

Usiadły naprzeciwko siebie na sofach. Po chwili pokojówka przyniosła tacę z herbatą i ciastem i postawiła ją na stoliku pomiędzy nimi.

– Widzę, że Celia niestrudzenie dąży do zrealizowania swoich planów – zagaiła Grace. – To musi być trudne dla ciebie i Bertiego obserwować ją i tego śmiesznego małego człowieka, którego zatrudniła, jak szaleją w ruinach waszego domu. Sądzę jednak, że to lepsze niż inny wybór.

– To lepsze niż wiele innych wyborów – odparła Kitty. Przyglądała się Grace nalewającej herbatę do porcelanowych filiżanek. – Krzaczki wprowadzają ją

z równowagi swoimi sugestiami. Myślą, że są pomocne, a nie zdają sobie sprawy, że Celia chce zrobić wszystko na swój sposób. – Zapadło milczenie, podczas którego Kitty zastanawiała się, od czego zacząć.

W końcu Grace uśmiechnęła się znacząco.

– O co chodzi, Kitty? Już przedtem widziałam ten wyraz w twoich oczach. Knujesz jakiś spisek?

Kitty wzięła głęboki oddech i pospiesznie wypaliła:

– Wyjeżdżam do Ameryki z Jackiem O’Learym. Tym razem naprawdę i Michael Doyle mnie nie powstrzyma.

Na wzmiankę o Michaelu Doyle’u Grace odstawiła filiżankę, a jej uśmiechnięte oczy nagle spoważniały.

– Michael jest w Mount Melleray, Kitty – powiedziała tonem, który sugerował, że Michael pojechał do klasztoru, żeby odbyć pokutę, a nie żeby się wyleczyć z alkoholizmu. – Jestem pewna, że żałuje wielu rzeczy, których dopuścił się podczas konfliktu, ale jak mówiłam ci wcześniej i jeszcze raz powtórzę, nie jest winny połowy tego, o co go oskarżasz. – Podała Kitty filiżankę. – Musisz wybaczyć i zapomnieć, jeśli chcesz odnaleźć szczęście.

– Jednej lub dwóch rzeczy nigdy mu nie wybaczę, Grace – odparowała Kitty. Wiedziała jednak, że Grace nie uwierzy w ani jedno złe słowo na temat Michaela Doyle’a. Nie uwierzyła, gdy jej powiedziała, że Michael spalił zamek. A Kitty nie zwierzyła jej się, co jeszcze zrobił. Nie wiedziała dlaczego, być może z powodu wspólnych działań podczas wojny o niepodległość, ale Grace w jakiś sposób troszczyła się o Michaela. – Ale nie przyszedłam tu po to, żeby się z tobą spierać – ciągnęła. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Tak też pomyślałam – stwierdziła Grace, podnosząc filiżankę i opierając się z powrotem o poduszki. – Jesteś pewna, że chcesz opuścić Ballinakelly? I zostawić Roberta?

Och, nie chciała myśleć o Robercie. Poczucie winy było nie do zniesienia.

– Jack i ja jesteśmy dla siebie stworzeni, Grace – powiedziała zła, że musi ją o tym przekonywać. – Los rozdzielał nas w przeszłości, ale teraz nic nam nie przeszkodzi. Muszę wymyślić jakąś historię, która pozwoli mi wyjechać z Małym Jackiem bez wzbudzania podejrzeń. Jak wiesz, Robert pracuje w domu, a więc zawsze w nim przebywa. Chcę, żebyś dała mi alibi.

Grace uśmiechała się nad filiżanką herbaty.

– Zważywszy na alibi, które ty kiedyś mi dałaś, z przyjemnością ci się odpłacę.

– A więc pomożesz mi?

– Kitty, moja droga, ocaliłaś mi życie po zabójstwie pułkownika Manleya. Gdybyś nie potwierdziła, że tamtego wieczoru, gdy zwabiłam go w śmiertelną pułapkę, jadłyśmy razem kolację, oskarżyliby mnie o współudział w morderstwie

i wtrącili do więzienia.

– Wystarczy, że wiedzieliby połowę z tego, do czego ty i ja byliśmy zdolne podczas konfliktu, a wtrąciliby nas obie do więzienia – dodała cierpko Kitty.

– Rzeczywiście. A więc przynajmniej tak mogę ci się teraz odwdziżyć. Ale byłoby niewłaściwe z mojej strony, gdybym jako przyjaciółka szczerze ci czegoś nie doradziła. Mały Jack ma dwóch ojców: Bertiego, swego biologicznego ojca, i Roberta, który jest dla niego wszystkim, czym ojciec powinien być. Musi poznać Bertiego, jestem pewna, że tak się stanie w swoim czasie, ale on kocha Roberta i temu nie zaprzeczysz. Pomyśl o nim, planując ucieczkę. Czy twoje szczęście jest ważniejsze niż jego? Odrywając go od wszystkiego, co zna i kocha, narażasz go na olbrzymi stres. Po tym wszystkim, co przeszłaś, na pewno doceniasz wagę rodzinnych korzeni oraz domowego ogniska z obydwójgiem rodziców.

Kitty spochmurniała, gdy została zmuszona do konfrontacji z możliwymi konsekwencjami swoich poczynań oraz wstydem budowania własnego szczęścia na nieszczęściu tych, którzy ją kochają.

– Przykro mi – ciągnęła Grace. – Nie chcę, żeby zabrzmiało to niezręcznie, ale jestem starsza i bardziej doświadczona niż ty i to mnie przyjdzie ratować sytuację po twoim wyjeździe. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ojciec bardzo cię kocha. Jest też bardzo dumny ze swojego nieślubnego synka. Widzę to w jego oczach, gdy o nim mówi. Jestem pewna, że gdybyś dała im szansę, Bertie i Mały Jack by się zaprzyjaźnili.

– Nie zapominaj, że na początku ojciec wyrzekł się mnie za to, że wzięłam Jacka na wychowanie. Wolałby, żebym pozwoliła mu umrzeć na progu.

– To nieprawda! – zachnęła się Grace. – Wtedy był przerażony, to oczywiste, ale gdy sprawę przemyślał, zmienił zdanie. Zrozumiał, że w życiu nie ma nic ważniejszego od rodziny. Czyż nie uznał go publicznie? Mały Jack jest jego synem, Kitty. Jest Deverillem.

– Nie dam się przekonać, Grace. Ostatnim razem straciłam Jacka, ponieważ uwierzyłam, że mam tu obowiązki. Tym razem wyjadę, zabierając Małego Jacka ze sobą.

– Nie akceptuję tego, co robisz, Kitty, ale wiem, że zawdzięczam ci życie. Możesz powiedzieć, że zabierasz Małego Jacka do mnie do Londynu. Ustalimy to po świętach. Pomogę ci zorganizować podróż przez Atlantyk i zapewnię ci kogoś, kto za ciebie poręczy, gdy już tam dotrzesz. Niech Bóg pomoże tym, których tu zostawisz.

Kitty zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Robert sobie poradzi, a tata przeżyje – powiedziała, idąc w stronę drzwi. – W końcu ma ciebie.

Grace odprowadziła ją wzrokiem do wyjścia. Kitty podejrzewała, że romans Grace z Bertiem zakończył się w chwili, gdy ocaliła jej życie. W istocie Grace

wykorzystała ten moment jako wymówkę, żeby przerwać związek, którym była już znużona. Wyjaśniła Bertiemu, że ma wobec Kitty dług wdzięczności i nie chce jej odplacać, sypiając z jej ojcem. Ale to nie do końca była prawda. Tylko Grace wiedziała, kiedy i dlaczego jej romans z Bertiem dobiegł końca. Otóż gdy zwabiła pułkownika Manleya do opuszczonego domu przy Dunashee Road, gdzie Michael Doyle i inni rebelianci mogli go zabić, ona i Michael, podnieceni niebezpieczeństwem, rzucili się na siebie jak wygłodniałe zwierzęta. Tamtej pamiętnej nocy zaczął się jej romans z Michałem Doyle'em.

Podeszła do kominka i zapatrzyła się w ogień. Płomienie lizały brykiety torfu, a gęsty dym pachniał ziemią. Położyła dłoń na karku i zamknęła oczy. Ciepło sprawiło, że poczuła się senna i rozgorączkowana.

Widziała go tak wyraźnie, jakby stał przed nią, jego ponurą twarz tak blisko siebie, że niemal czuła na skórze jego oddech. A nawet ten bardzo męski zapach, który należał tylko do niego: kombinację potu, soli, korzeni i czegoś dzikiego, co sprawiało, że traciła kontrolę i spełniała wszystkie żądania Michaela. Wówczas ją wziął po raz pierwszy i wiele razy potem. Grace uzależniła się od rozkoszy, jaką jej dawał, ponieważ żaden z jej poprzednich kochanków nie mógł się równać z Michałem Doyle'em. Zakasował ich wszystkich, nawet Bertiego Deverilla. Była w nim witalność, pierwotność i zmysłowość, które czyniły z niej kobietę rozwiązłą. Brał ją ostro, niecierpliwie, a gdy skończył, błagała o więcej. Przy nim cała drżała, ale nigdy nie czuła się bardziej kobietą, niż gdy był wewnątrz niej.

Teraz przebywał na odwyku w Mount Melleray. Tęskniła za chwilą, gdy wróci. Fantazjowała na temat ich spotkania. Z powodu zamknięcia w klasztorze jego namiętność na pewno się zwiększy. Będzie jak ogier wypuszczony na pole, a ona będzie czekać na niego jak chętna klacz. Poczekaj tyle, ile trzeba. Żaden mężczyzna nie był już w stanie jej zadowolić.

*

Kitty wróciła do domu zmęczona i rozczarowana. Grace była głosem jej sumienia. Kitty zdawała sobie sprawę, że jej zamiary są samolubne. Ale po tym, co wycierpiała, czy nie zasługuje, by wreszcie wziąć z życia coś dla siebie?

Chciała pojechać do Jacka, ale bała się wzbudzić podejrzenia. Zbyt wiele już razy wykorzystywała ojca, siostrę Elspeth, która mieszkała blisko, oraz Grace jako wymówek dla swoich długich nieobecności. Musi być bardziej dyskretna. Niedługo będą mieli całe życie dla siebie. Do tej pory postara się odgrywać rolę dobrej żony.

Najpierw zajrzała do Małego Jacka, który właśnie jadł podwieczorek, a potem do Roberta, który pracował w gabinecie. Wiedziała, że nie należy mu przeszkadzać, gdy siedzi przy biurku, poszła więc na górę i rozebrała się ze stroju do konnej jazdy. Gdy zeszła na dół, Robert był już w holu.

– Napijesz się czegoś? – spytał, uśmiechając się do niej. – Mam ochotę na

drinka. Cały dzień byłem pochłonięty moją powieścią. Ledwie już rozróżniam litery. – Zdjął okulary i potarł nos. Brązowe oczy miał zaczerwienione i podkrążone. – A ty co robiłaś, kochanie?

– Pojechałam zobaczyć się z Grace – odparła, czując ukłucie winy.

– Ach, tak. Co u niej?

– To samo co zawsze. Spodziewa się, że cała rodzina zjedzie do niej na dwa dni na Boże Narodzenie. – Udała się za Robertem do salonu i patrzyła, jak idzie w kierunku barku.

– Co chciałabyś robić w święta? Powiedziałem rodzicom, że w tym roku zostajemy w Irlandii, zważywszy, że dopiero się tutaj osiedliliśmy. Elspeth i Peter nas zaprosili...

– Wiem – przerwała mu. – Ale nie zniosę ich zimnego domu i panującego tam rozgardiaszu. Może zaprosimy ich i tatę do nas? Mama spędzi święta z Victorią w Broadmere i wątpię, czy Harry przyjedzie. Mały Jack się ucieszy, że tym razem będzie gościć kuzynów u siebie. Tam możemy postawić choinkę. – Wskazała na odległy kąt salonu. – I pomoże nam ją udekorować. – Na myśl, że będzie to ostatnie Boże Narodzenie, jakie Mały Jack spędzi w White House, tak ścisnęło ją w piersi, że musiała przyłożyć tam rękę i usiąść. Realność tej decyzji sprawiła, że doceniła to, co posiada, i nagle wydało jej się droższe niż dotąd. W gruncie rzeczy myśl, że straci ten dom, być może na zawsze, przyprawiła ją o zawrót głowy z rozpacz.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – spytał Robert, podając jej kieliszek sherry. – Wyglądasz bardzo blado.

– Jestem zmęczona – odparła z westchnieniem. – Położę się dzisiaj wcześniej. To mi dobrze zrobi.

– Na pewno. Nie rozmawiajmy już o świętach.

W tym momencie Jack w szlafroku stanął w drzwiach, jego rude włosy szczesane z czoła błyszczały od wilgoci. W ręce trzymał drewnianego pajaca na sznurku.

– Popatrz, co dostałem od Roberta!

Kitty spojrzała na męża.

– Naprawdę?

– Zobaczyłem go na wystawie sklepu z zabawkami w Ballinakelly i nie mogłem się oprzeć.

– Czy nie jest zabawny? – powiedział chłopiec, prowadząc pajaca po dywanie w kierunku Roberta.

Kitty obserwowała, jak dziecko się koncentruje i z mozołem manewruje drewnianym krzyżykiem, żeby kolejno podnosić duże czerwone stopy zabawki. W końcu dotarł do Roberta, a ten posadził go sobie na kolanach i pocałował w policzek.

– Jesteś taki mądry, Jacku. Myślałem, że ta sztuczka zajmie ci o wiele więcej czasu.

Jack posłał Kitty rozpromieniony uśmiech.

– Jesteś bardzo zdolny, kochanie – zgodziła się. – Jak to miło, że Robert kupił ci prezent.

Jack wtulił się w Roberta, a Kitty zapiekły w oczach łzy. Słowa Grace odbijały się echem w jej sumieniu. Pomimo całej siły woli Kitty nie była w stanie ich uciszyć.

2 Hazel (ang.) – leszczyna; laurel (ang.) – wawrzyn.

3 Troubles (ang.) – dosł. kłopoty – określenie odnosi się tu do wydarzeń z okresu pierwszej wojny światowej i lat dwudziestych dwudziestego wieku, kiedy Irlandczycy toczyli walkę o uniezależnienie się od Wielkiej Brytanii.

4 Czarno-brunatni – brytyjskie siły specjalne, przysłane do Irlandii podczas konfliktu w celu wspierania irlandzkiej policji; nazwa powstała od kolorów umundurowania.

Rozdział 5

Nowy Jork, 1925

– To naprawdę wielka przyjemność znów panią widzieć, pani Lockwood. – Beaumont L. Williams serdecznie ścisnął rękę Bridie. – Doskonale pani wygląda, zważywszy, że ma pani za sobą długą i męczącą morską podróż. – Pomógł jej zdjąć płaszcz, a potem gestem wskazał skórzany fotel przed kominkiem.

Bridie usiadła i zdjęła rękawiczki, ściągając je kolejno z każdego palca. Rozejrzała się po gabinecie, z przyjemnością wdychając jego znajomy zapach, ponieważ podczas trzech lat pobytu w Nowym Jorku była tu częstym gościem. Aromat dymu z cygar, starej skóry, zakurzonych książek oraz cytrynowa woń wody kolońskiej pana Williamsa dawał jej wytęsknione poczucie domowego ciepła.

– Przykro mi, że zakup zamku nie został uwieńczony sukcesem – rzekł, a jego bystre oczy zabłyśły.

– To był impulsywny pomysł, panie Williams. Przeczytałam artykuł w gazecie, że lord Deverill go sprzedaje, i zareagowałam bez zastanowienia. Cóż, ktoś inny mnie uprzedził, ale nie żałuję. Nie mam ochoty mieszkać w Irlandii.

– Cieszę się, że to słyszę. A więc Elaine i ja jesteśmy zwycięzcami. – Usiadł w fotelu naprzeciwko niej i założył nogę na nogę. Kamizelka rozciągnęła się na jego wydatnym brzuchu. Położył na nim pulchne dłonie i splótł palce.

– Mimo wszystko – dodała powoli – proszę trzymać rękę na pulsie. Jeśli zamek znów zostanie wystawiony na sprzedaż, proszę dać mi znać.

– Oczywiście, pani Lockwood. Jak doskonale pani wie, zawsze nadstawiam uszu.

Roześmiała się.

– To prawda, panie Williams. Proszę mi powiedzieć, jak się ma Elaine? Brakowało mi jej bardzo – przyznała, a w sercu zrobiło jej się ciepłej na myśl o starej przyjaciółce.

– Ciesz się na spotkanie z panią – odparł. – Nie sądziliśmy, że pani wróci.

– Ja też nie sądziłam – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Lockwoodowie wygnali mnie z Manhattanu, ale nie dam się zastraszyć, panie Williams. Nowy Jork to wystarczająco duże miasto, żebyśmy wszyscy się tu pomieścili. Zgodnie z pańską sugestią zastanawiałam się nad rozpoczęciem życia w nowym miejscu. Ale Nowy Jork jest jedynym miejscem, które znam, oprócz Irlandii, i tutaj czuję się

swojsko. Nie wątpię, że znajdzie mi pan przyjemny dom do zamieszkania. Elaine i ja będziemy mogli znów się spotykać i pewnie niebawem znajdę tu przyjaciół.

– I nowego męża – dodał z uśmiechem pan Williams. – Jest pani młodą kobietą i jeśli wolno mi zauważyć, piękną. Wszyscy kawalerowie z Manhattanu zlecą się pod pani drzwi jak stado wilków.

– Dosyć przerażająca wizja, panie Williams – zauważyła, ale jej szeroki uśmiech świadczył, że pochlebstwo sprawiło jej przyjemność.

– Proszę mi powiedzieć, czemu zmieniła pani zdanie i wróciła?

Bridie westchnęła, jej wąskie ramiona oraz klatka piersiowa opadały i wznosiły się podczas oddechu. Przez moment pod modnym kapeluszem i drogimi ubraniami prawnik dostrzegł w niej zagubione dziecko. Zalała go zaskakująca fala współczucia, bo nie był mężczyzną, który łatwo się wzrusza tragicznym losem kobiety.

– Życie jest dziwne – odpowiedziała cicho. – Przyjechałam tu jako dziewczyna bez grosza, pokojówka z małego miasteczka na południowym zachodzie Irlandii, pracowałam u budzącej strach pani Grimsby, która za sprawą jakiegoś boskiego cudu pozostawiła mi w spadku fortunę, i z dnia na dzień stałam się bardzo bogata. Potem wyszłam za mąż za dżentelmena, prawdziwego dżentelmena w starym stylu, który obdarzył mnie szacunkiem i swoim wspaniałym towarzystwem. Jego dzieci mogą zarzucać mi, co chcą, ale nie jestem poszukiwaczką złota, panie Williams. Nigdy nią nie byłam. Chciałam, żeby się mną opiekowano, potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa i pragnęłam na zawsze odegnać samotność. Tylko tyle. Byłam młodą dziewczyną w obcym kraju i nie miałam nikogo, kto by się mną zajął. Rzeczywiście przebyłam długą drogę... – Utkwiła wzrok w ogniu i ciepły blask płomieni na sekundę oświetlił głęboki żal w jej oczach. – Chciałam, żeby wszystko było tak jak kiedyś, gdy jako mała, bosonoga dziewczynka przypominałam stracha na wróble, bo choć w brzuchu nieraz mi burczało z głodu, w domu panowała miłość. – Uśmiechnęła się tęsknie, oddając wspomnieniom czasów, gdy wszystko było takie proste. – Była muzyka i śpiew, a ja przynależałam do tego miejsca tak jak bujany fotel mamy albo wiszący nad paleniskiem czarny kociołek, w którym gotowała się zupa z pasternaku. Oczywiście, nie jestem naiwna i dobrze pamiętam, jak było nam ciężko. Zimno, głód i smutek. – Pomyślała o ojcu zamordowanym w biały dzień przez Cygana i serce jej ścisnęło się z poczucia winy i bólu. Gdyby tamtego dnia z Kitty i Jackiem nie przyłapali Cyganów kłusujących na ziemi lorda Deverilla, jej ojciec mógłby żyć i, kto wie, czy w ogóle musiałyby opuszczać Irlandię. – Ale gotowa byłam od nowa to wszystko cierpieć, byle tylko znów tam przynależeć. – Oderwała wzrok od ognia i utkwiała go w panu Williamsie, który słuchał jej z wyrazem powagi i współczucia na twarzy. Uśmiechnęła się przepaszająco. – Zdałam więc sobie sprawę, że muszę wrócić do miasta, które mnie na nowo stworzyło.

Skinął głową ze zrozumieniem.

– To miasto być może zmieniło panią we wspaniałą damę, jaką pani jest teraz, ale dokonała tego pani sama, pani Lockwood, dzięki swojej sile charakteru i odwadze.

– Na pewno sama przebyłam długą drogę.

– Gdy otrzymałem telegram, że pani przyjeżdża, rozejrzałem się za mieszkaniem dla pani. I znalazłem apartament, który chciałbym, żeby pani obejrzała. Elaine pomoże pani się zadomowić. Jak rozumiem, wróciła pani bez Rosetty?

– Tak, rzeczywiście. Potrzebuję nowej pokojówki tak szybko, jak to możliwe.

– Zjedźmy dziś wieczorem razem kolację. Elaine nie może się doczekać tego spotkania. Wskoczmy gdzieś, w jakieś modne miejsce. Mam nadzieję, że nie odłożyła pani swoich pantofelków do lamusa?

Bridie roześmiała się, wszystkie jej niepokoje związane z przyszłością uleciały wobec pewnego siebie i wielce kompetentnego Beaumonta Williamsa.

– Oczywiście, że nie, panie Williams. Odkurzę je i z przyjemnością włożę. Ciekawe, czy pamiętają charlestona.

Bridie spędziła dwa tygodnie w hotelu Waldorf-Astoria. W tym czasie Beaumont Williams załatwił wynajem przestronnego apartamentu przy Park Avenue, szerokiej eleganckiej ulicy znajdującej się dwie przecznice od Central Parku, przy której mieszkali najbogatsi i najbardziej znamienici nowojorczyacy. Cieszyła się z powrotu na Manhattan. Dobrze się czuła w tym odległym, dynamicznym mieście, które zdawało się odrzucać wszystko, co stare, i brać w objęcia wszelkie nowości – podniecające fale jazzu, jaskrawe światła i ekstrawaganckie imprezy. W dobie prohibicji obowiązywał zakaz produkcji i dystrybucji alkoholu, a jednak można było tego wcale nie zauważyć. Trunki dostarczano po kryjomu i raczono się nimi w tajnych barach przy muzyce George'a Gershwina, Louisa Armstronga, Bessie Smith i Duke'a Ellingtona. W tych przybytkach Bridie mogła zapomnieć o swoich smutkach i tańczyć, aż horyzont nad Nowym Jorkiem rumienił się w blaskach świtu. Mogła od nowa uczestniczyć w prywatnych przyjęciach w Upper East Side, gdzie delectowano się drinkiem Orange Blossom w kryształowych szklankach i szeptano jej do ucha komplementy w zacisznych kącikach. Jak ryba w wodzie odnalazła się w gronie nowych przyjaciół, dla których hedonizm stanowił esencję życia. Tutaj znów była Bridget Lockwood, a warkot ciężarówek, autobusów, samochodów i trolejbusów, gwizdy i syreny, odgłosy wind i szufli, stukot obcasów na chodnikach, muzyka dobiegająca z sal koncertowych i stepowanie ze scenicznych desek były tak hałaśliwe, że zagłuszały cichy szept, który gdzieś w głębi jej duszy należał do Bridie Doyle i wzywał ją do domu. W oślepiających światłach Times Square mogła upajać się

pozornym szczęściem, które miało swe źródło w szampanie i zakupach, wydawaniu pieniędzy na modne stroje i kosmetyki oraz wieczorach spędzanych w nowych kinach. Chłonęła Nowy Jork z wielkim zapałem, zdeterminowana, żeby już nigdy nie cofnąć się w przeszłość.

Apartament, w którym zamieszkała, był jasny i przewiewny dzięki wysokim sufitom oraz dużym oknom, i udekorowany w wykwintnym, niezmiernie modnym stylu art déco. Błyszczące czarno-białe marmurowe podłogi, krzykliwe geometryczne tapety, srebrne i skórzane meble oraz lustrzane powierzchnie nadawały mieszkaniu splendor, jakby prosto z Hollywood. Bridie rozkoszowała się tym wszystkim. Czuła się jak w innym świecie i to doskonale jej odpowiadało. Wyglądając przez okno, widziała skromne czarne fordy obok błyszczących rolls-royce'ów i duesenbergów w jaskrawych kolorach czerwieni i zieleni; zauważyła, że w mieście coraz rzadziej widuje się konie i bryczki. W Irlandii konie były nadal głównym środkiem transportu, a na wsi niewiele osób posiadało samochody. Wszystko na Manhattanie zdawało się należeć do przyszłości i czuła dreszczyk emocji, że jest częścią tego nowego wspaniałego świata.

Elaine poleciła Bridie pochodzące z Ekwadoru małżeństwo, które miało dla niej pracować. Manolo w charakterze szofera, a Imelda, jego drobna i cicha żona, jako pokojówka i gospodyni. Pan Williams pomógł jej kupić samochód. Wybrała niebieskiego jak niebo wintona z miękkim dachem, który latem można było składać, i luksusowymi skórzanymi siedzeniami. Odpowiadało jej to, że Manolo i Imelda nic o niej nie wiedzą. Zaakceptowali ją taką, jak teraz jest – młodą majątną wdowę – i była im za to wdzięczna. Co prawda, nie minęło wiele czasu, a osławiona pani Lockwood, która kilka miesięcy temu ozdabiała rubryki towarzyskie magazynów i gazet, zaczęła znów w nich błyszczeć, ale nikogo już nie interesowała jej przeszłość; jej droga do bogactwa i sukcesu stała się przebrzmiałą pieśnią. Teraz fascynowano się jej wykwintnymi kreacjami oraz tożsamością szczęściarzy, którzy towarzyszyli jej w wieczornych wypadach do miasta.

– Och, popatrz, Bridget, tu jest twoja fotografia – emocjonowała się pewnego dnia Elaine, zatapiając twarz w gazecie. – Uroczą pani Lockwood w wykwintnym futrze z norek na przedstawieniu sztuki Noëla Cowarda *Wir...* – czytała.

– Nie mają o czym pisać? – przerwała jej Bridie, w głębi duszy zachwycona zainteresowaniem, ponieważ fotografia umacniała jej poczucie przynależności do tego świata.

– Jesteś piękną, bogatą wdową, która co wieczór wychodzi z innym mężczyzną na przyjęcie lub tańce. Nie powinno cię to zaskakiwać. – Elaine odrzuciła blond loki do tyłu i zaciągnęła się papierosem Lucky Strike. – Cieszę się, że włożyłaś tę sukienkę z frędzlami. Wyglądasz w niej niezwykle szykownie, jak prawdziwie nowoczesna kobieta.

– Nowoczesna, ale chyba nie wamp, nieprawdaż, Elaine? – upewniła się.

Elaine uśmiechnęła się szeroko znad gazety.

– Nie jesteś wampem, kochanie, po prostu dobrze się bawisz. Obserwuję, jak adorują cię najprzystojniejsi faceci na Manhattanie, i czasem żałuję, że jestem mężatką. Oczywiście, to wcale nie znaczy, że Beaumont nie ma w sobie wszystkiego, o czym marzy kobieta! – Wybuchła gardłowym śmiechem, a Bridie jej zawtórowała.

– Twój mąż jest bardzo dystyngowany – powiedziała Bridie, uważnie dobierając słowa, ponieważ pana Williamsa w żadnym razie nie można było nazwać przystojnym mężczyzną.

– Czasem dziewczyna pragnie czegoś więcej niż dystynkcji, jeśli wiesz, o co mi chodzi – westchnęła Elaine i odłożyła gazetę. – Każda kobieta potrzebuje odrobiny przygody, w przeciwnym wypadku życie staje się nudne. A nuda jest naszym największym wrogiem, nie sądzisz?

– Boże, ocal nas przed nudą – zgodziła się Bridie. Strzepnęła okruszek z kłapy swego różowego satynowego szlafroka. – Gdy nie mam nic do roboty, jestem zmuszona do rozmyślań, a myślenie zabiera mnie do miejsc, w których nie chcę się znaleźć. Jakie rozrywki mamy w planie na ten weekend, Elaine?

– Beaumont zasugerował, żebym zabrała cię do Southampton. W sobotę Reynoldsowie wydają przyjęcie świąteczne, które, jak się zdaje, będzie najbardziej wystawnym przyjęciem w tym roku. Zależy im, żebyś była. Dodasz szczyptę tajemniczości...

– I skandalu, jak sądzę – wtrąciła Bridie. – Niektórzy ludzie w tym mieście mają dobrą pamięć.

– Ale nie Marigold i Darcy Reynoldsowie. Po prostu są wielkimi kolekcjonerami ludzi. Każdy, kto jest kimś w tym mieście, tam będzie. Mamy skromny dom przy plaży w Sag Harbour, który, co prawda, zamykamy na zimę, ale możemy się w nim zatrzymać. – Elaine patrzyła na Bridie rozbieganym wzrokiem. – Beaumont nie może się wybrać. Interesy, no, wiesz. – Wzruszyła ramionami. – Szkoda. Możemy pojechać razem, tylko we dwie. Będzie fantastycznie! Co ty na to?

Bridie odziedziczyła po pani Grimsby luksusowy różowy pałacyk w Hamptons, ale idąc za radą męża, Waltera Lockwooda, sprzedała go. Od tamtej pory nie była w Hamptons. Przypomniała sobie, jak patrzyła przez okno na długą białą plażę, i frustrację, którą odczuwała, że nie wolno jej wyjść, żeby się nią cieszyć. Pani Grimsby należała do nader wymagających chlebowawczyń. Potem, gdy ta stara kobieta umarła, wreszcie udała się na długi spacer po piasku. Właśnie podczas tej przechadzki, gdy fale miękko uderzały o brzeg, a lśniące światło podskakiwało na ich grzbietach, zdała sobie sprawę, że będzie jej brakować pani Grimsby. Czasami nadal to się zdarzało. Autokratyzm starej damy dawał Bridie

największe poczucie bezpieczeństwa, odkąd przerażona swoją ciężką wyjechała z Ballinakelly, a ciężka praca – naprawdę ciężka – była ucieczką przed bólem.

– Bardzo mi się podoba ten pomysł – powiedziała.

W sobotę rano wyruszyły nowym niebieskim samochodem do Southampton. Elaine przekonała Bridie, że będzie o wiele zabawniej bez Manola, i pewna swoich umiejętności siedziała za kierownicą. Dach został opuszczony, a one otulone w futra, w rękawiczkach, kapeluszach i chustkach dla ochrony przed chłodem. Radośnie paplając, przepychały się przez tłum samochodów wyjeżdżających na weekend z miasta. Był rześki zimowy poranek. Niebo nad Manhattanem jaśniało błękitem, pełne optymizmu i wolne od trosk. Słońce wisiało nisko nad rzeką Hudson, pieszcząc fale na wodzie kapryśnymi pocałunkami i rzucając pomarańczową poświatę na pnące się w górę drapacze chmur. Kiedy jechały przez most Brookliński, Elaine zaintonowała piosenkę *Herbatka dla dwojga* z musicalu *Nie, nie, Nanette*, który miał premierę w tym roku na deskach Broadwayu i od tej pory wszyscy wystukiwali rytm wpadających w ucho melodii. Bridie dołączyła do niej, chociaż nie znała wszystkich słów i uśmiechała się z fałszywą skromnością do zachwyconych mężczyzn, którzy zerkali na nie z innych samochodów, gdy ich żony nie patrzyły.

Poza miastem wzdłuż szosy pojawiły się gigantyczne billboardy reklamujące samochody, papierosy i nowe odbiorniki radiowe firmy Atwater Kent, na zakup którego namawiała ją Elaine, ponieważ były bardzo stylowe. Z plakatów uśmiechały się piękne twarze, obiecując przyjemność, splendor i szczęście. Zanurzona w świecie luksusu Bridie była zachwycona, że jest jego częścią. To dla niej przeznaczone były owe promienne uśmiechy i kryjące się za nimi komfortowe życie. Ona i Elaine czuły się swobodne, beztroskie i wyzwolone, popularne, modne i niefrasobliwe.

Wkrótce pozostawiły miasto za sobą; beton i cegła ustąpiły miejsca polom i lasom, farmom i wiejskim domkom. Zima pozbawiła przyrodę listowia; sękaty i powykręcane gałęzie nagich, zmarzniętych drzew były chłostane przez wiatry i deszcze nadciągające znad morza. Młode kobiety śpiewały dla rozgrzewki, a ich oddechy tworzyły chmurki pary w zimnym powietrzu. Dopiero późnym popołudniem dotarły do pomalowanego na biało drewnianego domu Elaine ze spłowiełym, szarym gontem i werandą z widokiem na wodę.

– Beaumont kupił ten domek w młodości i chociaż teraz ma dość pieniędzy na zakup czegoś okazalszego, upiera się, żeby go zatrzymać. Zaskakujący sentymentalizm, nie uważasz? – powiedziała Elaine, podjeżdżając pod dom.

– Doprawdy, wygląda uroczo – odparła Bridie, chcąc jak najszybciej znaleźć się w środku i ogrzać.

– Connie powinna go dla nas przygotować. Chodź, sprawdzimy. – Ale zanim zdążyły wejść po schodkach pod drzwi, przysadzista kobieta, o wroście najwyżej

metr pięćdziesiąt, otworzyła je na oścież. Powitał je miły zapach palącego się drewna, gotowanego jedzenia i komfortu.

Przygotowania przed imprezą bywają bardziej ekscytujące niż samo przyjęcie. Nigdy nie można przewidzieć, czy spotkanie okaże się sukcesem czy porażką, ale czas przygotowań jest zawsze podniecający. Elaine i Bridie, popijając dzin z sokiem pomarańczowym i słuchając jazzu z gramofonu, w satynowych halkach i pończochach tańczyły w sypialni Elaine, w przerwach układając włosy i robiąc makijaż. Pochodząca z Meksyku Connie wyprasowała ich sukienki i wyglansowała pantofelki do tańca, utyskując pod nosem po hiszpańsku, że nic dobrego nie wróży wyprawa dwóch młodych kobiet na przyjęcie bez męskiej asysty. Kręcąc głową z powątpiewaniem, ale jednocześnie z uśmiechem pomachała im na pożegnanie, a potem weszła do środka, żeby posprzątać bałagan, którego narobiły w sypialni.

Wspaniała rezydencja Reynoldsów w stylu włoskiej willi, usytuowana na okazałej działce z widokiem na plażę w Southampton, słynęła z zachwycającej sali balowej, pałacowych kominków i fantastycznych ogrodów. Darcy Reynolds dorobił się fortuny na Wall Street. Wydawało się, że jego życiowe motto brzmi: „Nie ma sensu zarabiać, jeśli nie można pokazać swego bogactwa”. A więc posiadłość – albo „domek letni”, jak nazywała ją rodzina – huczała od imprez podczas letnich miesięcy, a cisza zapadała tu dopiero po pierwszych przymrozkach. Jednak tej zimy wypadły pięćdziesiąte urodziny Darcy’ego i z tej okazji postanowił wydać najbardziej wystawne przyjęcie, jakie kiedykolwiek widziano na Long Island.

Bridie i Elaine od razu oszołomiły światła. Budynek wyglądał jak pokryty gwiazdami, a ich oślepiające blaski przyćmiewały nawet Księżyc w pełni, błyszczący jak wielki srebrny dolar ponad ozdobnymi kominami. Centralnym elementem okrągłego holu były imponujące złocone schody, które rozchodziły się na dwie strony, a potem łączyły na podeście przed szerokim, półokrągłym oknem i znów się rozdwajały. Ogromny kryształowy żyrandol wisiał nad głową Bridie, która nie mogła powstrzymać się przed wspomnieniami z przygotowań do Letniego Balu w Castle Deverill. Służba zdejmowała wówczas żyrandole w sali balowej i na rozpostartym na podłodze płótnie rozkładała je na drobne elementy, polerując każdy kawałek szkła, aż lśniły jak diamenty.

W odległym końcu sali na podeście ulokowała się jazzowa orkiestra złożona z czarnych muzyków pod batutą Fletchera Hendersona, której energetyzująca muzyka odbijała się echem od ścian. W sali gęstniał tłum ludzi, modnie ubranych, pijących szampana z kryształowych smukłych kieliszków albo koktajle z wykwinnych szklaneczek na delikatnych nóżkach. Serwowano martini i cosmopolitany, nikt ani myślał o prohibicji; a jeśli w ogóle, to tylko czyniło przyjęcie bardziej ekscytującym. Niektórzy goście już zaczęli tańczyć. Kobiety z piórami i opaskami na czołach, sznurami koralu i pereł, frędzlami i pomponami,

w krótkich sukienkach i fryzurach przypominały rozświergotane egzotyczne ptaki wśród mężczyzn z lśnącymi, zaczesanymi do tyłu włosami i w muszkach pod szyją. Śmiech i rozmowy wybijały się ponad dźwięki instrumentów dętych i perkusji. Bridie wraz z Elaine znalazły się pośrodku tego gwaru. Bridie wydawało się, że to Elaine zna tu wszystkich, ale wkrótce okazało się, że większość towarzystwa słyszała również o osławionej pani Lockwood. Nie minęło wiele czasu, jak stały z kieliszkami szampana otoczone wianuszkami konkurentów chcących z nimi zatańczyć.

– Popatrz, kochanie, Noël Coward rozmawia z Gertrude Lawrence i Constance Carpenter. Ciekawe, co tam knują? – powiedziała Elaine, z zaciekawieniem zerkając na sławnego angielskiego dramaturga i aktorki. – Nie chcielibyście podsłuchać choć strzępów ich rozmowy?

– Mnie wystarcza patrzeć na słodką panią Lockwood – oświadczył młody człowiek, który przedstawił się jako Frank Linden.

Bridie posłała mu figlarny uśmiech.

– Jest pan zarozumiały – skwitowała kokieteryjnie.

– Jak to? Czy jest coś złego w powiedzeniu kobiecie, że jest urocza? – Zauważył, jak Bridie się rumieni, po czym dodał: – Zatańczysz ze mną?

Powiodła wzrokiem po tańczących na parkiecie. Wszyscy cudownie się bawili.

– Dobrze – zgodziła się, oddając Elaine pusty kieliszek po szampanie.

Frank wziął ją za rękę i poprowadził przez tłum na środek parkietu; orkiestra akurat zaczęła grać *Yes sir, that's my baby*. Gwar podniósł się i wielka fala ludzi zalała parkiet. Bridie była dobrą tancerką. Od pamiętnego wieczoru, gdy zatańczyła z ojcem w kuchni w Ballinakelly, kochała poruszać się w rytm muzyki. A nie istniało nic bardziej ekscytującego niż jazz. Tańczyła z werwą, a Frank patrzył na nią z podziwem.

Kolacja okazała się prawdziwą ucztą; kolejne smakowite danie prezentowało się jeszcze piękniej niż poprzednie. Bridie piła szampana, tracąc z wolna orientację, który to już kieliszek, po czym zasiadła do jedzenia przy okrągłym stoliku wraz z Elaine i grupą jej przyjaciół. Zauważyła, że Elaine była na większym rauszu niż zazwyczaj i otwarcie flirtowała z Donaldem Shaw, młodym człowiekiem w białym smokingu, poklepując go po klatce piersiowej omdlewającą ręką i śmiejąc się gardłowo ze wszystkiego, co mówił. Opaska na jej głowie przekrzywiła się na bok, prawie zakrywając lewe oko, makijaż zaś nieco się rozmazał, nadając jej trochę wyzywający wygląd. Bridie cieszyła się, że pan Williams nie jest tego świadkiem. Ale sama była zbyt podniecona i kręciło jej się w głowie od bąbelków, żeby martwić się o Elaine.

W sali balowej było bardzo gorąco. Muzyka wibrowała Bridie w uszach, od alkoholu zrobiła się senna, a czysta rozkosz, że jest częścią tak modnego tłumy,

dawała jej poczucie wszechmocy. A więc gdy Frank Linden wziął ją za rękę i poprowadził po schodach na górę, żeby znaleźć zaciszny pokój, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał, zgodziła się bez wahania. W ciemnościach którejś z gościnnych sypialni przycisnął ją do ściany i pocałował. Zachwycona, że znów jest obiektem zainteresowania mężczyzny, zarzuciła mu ramiona na szyję i odwzajemniła pocałunek. Zamknęła oczy i poczuła, jak pokój przyjemnie zawirował.

Gdy znów je otworzyła, leżała na łóżku w bieliźnie, a dłoń Franka Lindena wsunięta pod jej halkę pieściła jej piersi. Była zbyt senna, żeby zaprotestować, a poza tym intensywne pobudzenie sprawiało, że wiła się z przyjemności jak kot. Cichy jęk, który wydobył się z jej ust, Frank uznał za zachętę i wsunął rękę pomiędzy jej uda, delikatnie ją drażniąc. Bridie go nie powstrzymywała, a przyspieszony oddech i ciche jęki świadczyły, że jest skłonna pozwolić mu na więcej. Przesunął rękę do góry, aż natrafił na jej jedwabne majtki i wędrował palcami wyżej i wyżej. Bridie gwałtownie rozchyliła nogi. Jęki zamieniły się w urywane oddechy i westchnienia, gdy pozwoliła, by rozkoszne ciepło rozlało się w jej brzuchu.

Gdy się obudziła, Frank spał obok niej. Słyszała dochodzącą z dołu muzykę, powolną, łagodną oraz kobiecy śpiew. Nie budząc go, wstała i nieporadnie pozbiierała swoją garderobę. Ubrała się, przekręciła mosiężną gałkę i po cichu wyslizgnęła się na korytarz. Wchodząc na podest, zauważyła Elaine siedzącą na schodach z papierosem w dłoni.

– Wszystko w porządku? – spytała, przysiadając obok przyjaciółki.

– Czy petting można uznać za zdradę? – odezwała się Elaine matowym głosem.

– Twój mąż pewnie by tak uważał.

– W takim razie złamałam jedno z dziesięciu przykazań. – Odwróciła się do Bridie, a jej duże niebieskie oczy zaśniły. – Czyż nie powiedziałam, że kobieta od czasu do czasu potrzebuje małej przygody?

– Powinnyśmy już wracać do domu – stwierdziła Bridie.

– Masz rację. Mam dość przygód jak na jedną noc. – Elaine zmrużyła oczy. – Gdzie jest Frank?

– Śpi.

Elaine zatkanęło.

– Więc ty też...?

– Nie ma nikogo, kogo mogłabym zdradzić – odpowiedziała Bridie. – Taka młoda wdowa jak ja potrzebuje przygód, nie uważasz?

– Masz zamiar znów się z nim spotkać?

Bridie wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę.

– Tylko mała rozrywka?

– Tak, dziś wieczorem odkryłam, że dziewczyna może się zabawić bez... komplikacji. – Żałowała, że nie wiedziała tego, gdy była pokojówką w Castle Deverill.

Elaine uśmiechnęła się, nadal trochę zamroczone alkoholem.

– Mogłam ci to powiedzieć, Bridget.

– Dasz radę prowadzić? – spytała Bridie, wiedząc, że sama nie może.

Elaine chwyciła się balustrady i z trudem wstała.

– Nigdy nie czułam się lepiej – zachichotała.

Dwie kobiety wzięły się pod ramię i stąpając niepewnie, zaczęły schodzić w dół paradną klatką schodową.

– Niech Bóg błogosławi Amerykę – powiedziała Bridie, ponieważ naprawdę wierzyła, że Ameryka dała jej drugą szansę.

Elaine ścisnęła ramię przyjaciółki.

– Niech Bóg nas błogosławi – dodała.

Rozdział 6

Celia i Archie spędzili Boże Narodzenie z sir Digbym i lady Beatrice Deverill w Deverill Rising, okazałej rezydencji w Wiltshire, którą Digby kupił i wielkim kosztem odrestaurował za pierwsze duże pieniądze zarobione na kopalniach diamentów w Południowej Afryce. Pierwotnie dom nazywał się Upton Manor, ale nie był wystarczająco wspaniały dla świeżo upieczzonego milionera. Wspomnienia z letnich wakacji w Castle Deverill zainspirowały Digby'ego, by nadać swej rezydencji nazwę, pod którą przejdzie do historii jako siedziba znamienitego rodu. Dlatego pospiesznie przemianował go na Deverill Rising. Ich syn George odziedziczyłby posiadłość, gdyby jego życie nie zostało tak brutalnie przerwane przez wielką wojnę. To bardzo przygnębiło Digby'ego i przyćmiło blask jego wizji. Jednak tryskający energią i zawsze nastawiony optymistycznie starał się otrząsnąć z tragedii i szukać jaśniejszej strony życia. Przy każdej okazji wypełniał dom przyjaciółmi z nadzieją, że pewnego dnia jego wnuk będzie tak samo hołubił to miejsce jak on.

Na święta przyjechały również starsze siostry Celi, bliźniaczki Leona i Vivien, ze swymi mężami, Bruce'em i Tarquinem, oraz małymi dziećmi. Celię nie łączyła z nimi specjalna zażyłość ze względu na siedmioletnią różnicę wieku. Bliźniaczki były ładnymi blondynkami o długich arystokratycznych nosach, jasnoniebieskich oczach i mało wyrazistych osobowościach. Wiodły bardzo konwencjonalne, spokojne życie. Dopiero gdy Celia kupiła zamek, ożywiły się i pobudzone zazdrością objawiły zaskakujące wzburzenie. Nie mogły uwierzyć, że lekkomyślna Celia, która zszokowała londyńskie towarzystwo, uciekając ze swego ślubu z drużbą Archiego, objęła w posiadanie rodzinną siedzibę Deverillów. Było to dla nich – prowadzących skromne życie u boku mężów oficerów – prawdziwym szokiem. A jeszcze bardziej zadziwił je ojciec, który pomimo tylu kłopotów, które sprowadziła na niego Celia, był z niej wyraźnie dumny.

Digby'ego początkowo wzburzyła wiadomość od Celi, ale widząc ekscytację córki oraz dumę Archiego, że udało mu się dokonać tego zakupu, nieco złagodniał; również jego żona Beatrice wyzbyła się wielu obiekcji. Archie, chcąc zrobić wrażenie na teściu, opowiedział mu o śmiałych planach architekta, podkreślając, że zawierają wiele jego własnych pomysłów. Digby od razu zażądał spotkania z panem Leclaire'em. Musiał dopilnować, żeby jego nieobliczalna córka nie wykazała się ambicjami ponad miarę. Przywrócenie zamkowi jego dawnej świetności to jedno, ale budowa pałacu, który tam nigdy nie istniał, to już przesada.

– Pojadę z wami do Irlandii zaraz po Nowym Roku – oświadczył

z narastającym entuzjazmem na myśl o własnym zaangażowaniu. – Z przyjemnością zobaczę Bertiego. Powiedz mi, moja droga, jak się ma mój kuzyn?

Przejęta Celia była zaróżowiona ze szczęścia.

– Och, tatusiu, bardzo chcę, żebyś poznał pana Leclaira. On ma mnóstwo pomysłów. Doskonale rozumie, czego chcemy. Wszystko, co proponuje, idealnie współgra z moją wizją. To nawet zabawne, ale on uważa, że jestem genialna!

– Zachowujesz się, jakbyś miała kopalnię pieniędzy – powiedziała ze skwaszoną miną Leona.

Celia zignorowała siostrę.

– Spodoba ci się, tato. Wszyscy go podziwiamy. To wspaniały artysta.

– A jak się ma kuzyn Bertie? – podjęła matka.

Celia westchnęła.

– Przypuszczam, że dobrze jak na te okoliczności – odparła, niechętnie godząc się na zmianę tematu. – Maud oświadczyła, że nigdy nie wróci do Irlandii, a słyszałam od Harry'ego, że finalizuje właśnie transakcję kupna domu przy Chester Square. Nadal będą więc prowadzić oddzielne życie, ponieważ wątpię, żeby Bertie kiedykolwiek opuścił Hunting Lodge. Powiedziałam mu, że może zostać tak długo, jak zechce. W końcu to jego dom. Ale jest podekscytowany, że odbudowuje zamek. Naprawdę podekscytowany. Prawda, Archie?

– Jest bardzo zainteresowany naszymi planami – zgodził się z nią mąż.

– Wyobrażam sobie, że robi dobrą minę do złej gry – zauważyła Vivien. – Chodzi mi o to, iż trudno się cieszyć z faktu, że ktoś obcy odbudowuje jego dom.

– Celię trudno nazwać „kimś obcym” – wtrącił Archie.

– Na pewno jest zachwycony – stwierdził Digby.

– Jakże się cieszę – powiedziała Beatrice. – Obawiałam się, że to spowoduje rozdzwięk w naszej rodzinie.

– Och, nie ma takiej obawy, mamó – zapewniła Celia. – Wszyscy są bardzo szczęśliwi. A zwłaszcza Kitty! Nasze dzieci będą razem dorastać i bawić się tam, gdzie my się bawiliśmy. Czy to nie fantastyczne, że historia się powtarza? Wciągniemy się w irlandzki sposób życia, nieprawdaż, Archie? Polowania i wyścigi! Archie będzie chodził z psami strzelać do bekasów, tak jak kiedyś wuj Hubert. Och, będzie cudowna zabawa! – Klasnęła w dłonie, odrywając myśli od biednego Bertiego, topiącego smutki w kolejnych butelkach whisky.

– Mam nadzieję, że zainstalujecie ogrzewanie. O ile pamiętam, w Castle Deverill nie było żadnych wygod, zawsze było tam zimno i wilgotno – powiedziała Leona.

– Och, tak, panowała tam okropna wilgoć – przyznała jej rację Vivien. – Spałam w futrze, żeby nie zamarznąć.

– Zobaczycie, będzie tam wszystko, co najlepsze – zapewniła stanowczo

Celia.

– Szkoda, że nie możesz wydać tych pieniędzy na poprawę klimatu. –
Zaśmiała się Leona.

Vivien jej zawtórowała.

– Wielkie nieba, w Irlandii pada przez cały czas, czyż nie?

– W Anglii też ciągle pada. – Celia rzuciła siostronom miażdżące spojrzenie. –
Ale pamiętam, że latem w Ballinakelly było zawsze słonecznie i ciepło.
Zamierzamy z Archie organizować Letni Bał w Castle Deverill. Będzie jak
dawniej. Świece, muzyka, tańce! Wszyscy powiedzą, że nikt nie wydaje takich
przyjęć jak pani Mayberry. Prawda, kochanie? – zwróciła się do Archiego.

Archie Mayberry uśmiechnął się do niej pobłażliwie. Kupując żonie zamek,
znów poczuł się jak mężczyzna. Tym szczodrym gestem odbudował swój
wizerunek w oczach przyjaciół i rodziny. Po ucieczce Celi z wesela obawiał się, że
teściowie mogą nabrać przekonania, że jest zbyt nudny, aby zatrzymać przy sobie
młodą żonę. Bał się, że może nigdy nie odzyskać ich szacunku. Irytowało go, że
został poniżony przed przyjaciółmi. Ale czyż pieniądze nie są najskuteczniejszym
środkiem do uzyskania wybaczenia i zapomnienia? To dzięki łapówce Digby'ego,
ponieważ w gruncie rzeczy było to przekupstwo, mógł uchronić rodzinę od
bankructwa, a zarazem śmiało spojrzeć na siebie w lustrze. O ironio, udało mu się
odwzajemnić teściowi jego szczodrość, kupując rodzinną siedzibę Deverillów.
Digby Deverill, sympatyczny i wytworny, miał jak wielcy biznesmeni
nieprzeniknioną osobowość, ale z wyrazu jego twarzy Archie wyczytał, że został
przez teścia zaakceptowany, o co przez cały czas zabiegał. Miał nadzieję, że
pewnego dnia zasłuży również na jego szacunek.

*

Kitty i Robert spędzili Boże Narodzenie w White House. Ojciec Kitty,
Bertie, przybył na świąteczny lunch z Elspeth i Peterem oraz Krzaczkami. Chociaż
Elspeth była o siedem lat starsza od Kitty, obie siostry bardzo się do siebie
zbliżyły, odkąd Elspeth prawie pięć lat temu poślubiła Petera MacCartaina
i wprowadziła się do jego wilgotnego zamku, położonego w niewielkiej odległości
od Castle Deverill. Mały Jack z radością otworzył prezenty, a potem bawił się
z trzema kuzynami. Hazel i Laurel nadszakiwały dzieciom jak kwoki, a Robert
i Peter, stojąc przy kominku, przyglądali się im z rozbawieniem. Bertie, by nie
zepsuć świątecznego nastroju, naprawdę dobrze się maskował, ale Kitty wiedziała,
że tak naprawdę jest w głębokiej depresji. Zastanawiała się, czy opłakiwał utratę
zamku czy swojej matki, czy może bardziej Grace. Bo na pewno nie chodziło
o Maud.

A jednak Bertiemu brakowało żony. Nierzadko się zdarzało – o ironio losu!
– że długetni małżonkowie, wcześniej sobą śmiertelnie znudzeni i dopuszczający

się zdrać, w starszym wieku stawali się dla siebie wsparciem i podporą. Bertie przez wiele lat zdradzał żonę z Grace (wcześniej miał dyskretne flirty z ładnymi dziewczętami), ale ten romans należał już do przeszłości, i teraz okazało się, że często myślał o Maud. Wydawało się absurdem, by po tak wielkim złodowaceniu, jakie nastąpiło w ich małżeństwie, zapragnął odwilży. Sam tego nie rozumiał. Kochał Grace – zawsze będzie ją kochał – ale Grace nieodwołalnie zakończyła ich romans i byli już tylko przyjaciółmi. Błysk pożądania, który ożywia jej jasnobrązowe oczy, zniknął. Dziś patrzyła na niego ze współczuciem. Och, to pożalowania godne dla mężczyzny być obiektem współczucia! Mimo że bardzo starała się je ukryć, odgadwał jej myśli. Z drugiej strony Maud wcale mu nie współczuła, gardziła nim i była na niego wściekła, on zaś w jej złości widział teraz coś wspaniałego. Ostatecznie, czyż wściekłość nie jest zaprzeczeniem obojętności? Maud na pewno nie traktowała go obojętnie. Miała mu za złe jego romans, ale czy to nie ona pierwsza opuściła małżeńskie łóżko, gdy zawrócił jej w głowie jego dawny szkolny kolega Eddie Rothmeade. Myślała, że o tym nie wiedział, ale się myliła. Ledwie potrafiła ukryć swoje zadurzenie. Cóż, to już odległa przeszłość. Gotów był o wszystkim zapomnieć. Jego żona nienawidziła go za jego brak ostrożności z pokojówką, ale jeszcze bardziej miała mu za złe, że formalnie uznał dziecko zrodzone z tego związku. A na dokładkę miała do niego pretensje, że sprzedał zamek, chociaż sama go do tego namawiała. Za niemałą sumę kupił jej przecież willę na Belgravii, aczkolwiek wiedział, że dla niego nie będzie tam miejsca. Oczywiście, rozwód nie wchodził w grę dla kobiety z taką obsesją na punkcie opinii towarzystwa. Czy przypadkiem nie zawrócił jej w głowie inny mężczyzna, który mógł zaoferować więcej niż on? Ta kwestia napawała go wielkim smutkiem. Gdy myślał o swojej zimnej i pięknej żonie, zastanawiał się, czy gdyby zachowywał się inaczej (być może mniej arogancko), mógłby uczynić ją szczęśliwą. Zastanawiał się też, dlaczego gdy próbował utopić swoje smutki w whisky, popadał w jeszcze większą depresję. We mgle zamroczonego alkoholem umysłu widział Maud taką, jaką była wtedy, gdy ją poślubił, gdy jej nieuchwytny uśmiech działał na niego jak ciepłe promienie świtu. Ale już nigdy się do niego nie uśmiechnie, tego był pewien. Być może ostateczność tej sytuacji wywoływała w nim taką nostalgię za przeszłością. Czyż tak nie jest na świecie? Zawsze pragnie się tego, czego nie można mieć.

Dzień po Bożym Narodzeniu Kitty usłyszała wiadomość, że Liam O'Leary, ojciec Jacka, zmarł w Wigilię. Pokojówka, która jej o tym doniosła, nie знаła bliższych szczegółów, wiedziała jedynie, że pogrzeb odbędzie się nazajutrz w katolickim kościele Wszystkich Świętych w Ballinakelly. Kitty chciała pojechać, żeby pocieszyć Jacka, ale obawiała się, że jej obecność wzbudzi podejrzenia. Na pewno przebywa z matką oraz resztą rodziny; w Ballinakelly mieszkało wielu O'Learych. Wysłała więc tylko stajennego z listem kondolencyjnym. Była

przekonana, że Jack wyczyta między wierszami prośbę, by zawiadomił ją, kiedy bezpiecznie może go odwiedzić.

W dzień pogrzebu Kitty stała przy oknie sypialni i wpatrywała się w morze, niespokojnie obgryzając paznokcie. Jack jeszcze się do niej nie odezwał. Czy ich plany wyjazdu do Ameryki się opóźnią? Może w ogóle zostaną anulowane? Czy będzie mógł opuścić matkę zaraz po śmierci ojca? Wiedziała, że Jack ma rodzeństwo, wspominał również, że jego matka ma siostrę, ale Kitty nie wiedziała, gdzie mieszka ani czy utrzymują bliskie stosunki. Natomiast była pewna, że pani O'Leary ubóstwia Jacka.

Bardzo chciała uczestniczyć w pogrzebie. Ale nie mogła. Robert uznałby to za niestosowne, a miejscowi za dziwne, pomimo że Jack jako lokalny weterynarz od lat przyjeżdżał do Castle Deverill leczyć zwierzęta. Cóż więc jej pozostało? Tylko czekać.

Grace przygotowywała ich wyjazd na pierwszy weekend lutego. Nie planowała wcześniej wyjazdu do Londynu, powiedziała więc Kitty, całkiem bez ogródek, że ma nadzieję, iż przez miesiąc zdąży się jeszcze zastanowić. Ale Kitty była pewna, czego chce. Jej przeszłość była naznaczona poświęceniem. Teraz nadszedł jej czas i zamierzała wykorzystać swoją szansę.

Tydzień przed świętami okropnie cierpiała z powodu miesiączki. Leżała w łóżku z potwornymi bólami brzucha, a Robert taktownie wyniósł się do swojej gotowalni. Ale teraz nie było powodu wypędzania męża do innego pokoju i, co zaskakujące, wcale tego nie chciała. Niedługo miała go zostawić i wyjechać na drugą stronę świata. Odseparuje go również od Małego Jacka, być może na zawsze. Nienawidziła siebie, że pozwoliła, aby namiętność uczyniła ją tak samolubną; w końcu Robert był dla niej zawsze miły i kochał ich oboje. Bezgraniczne poczucie winy, że wyjeżdżając, go unieszczęśliwi, na dodatek zabierając ze sobą Małego Jacka, zawiodło ją w końcu w jego ramiona. Przypominała morskie stworzenie, czepiające się skały, która była jego domem, podczas gdy wartki prąd spychał je w morskie odmęty. Gdy kochała się z Robertem, zdała sobie sprawę, że można jednocześnie kochać dwóch mężczyzn – w zupełnie inny sposób.

W końcu dostała wyczekiwany list od Jacka. Prosił ją, żeby do niego przyjechała, kiedy tylko będzie mogła. Zaniepokojona, że może chce opóźnić ich wyjazd, osiodłała konia i pogalopowała przez wzgórza do jego położonego na uboczu domku z widokiem na morze. Z oddali widziała wstążkę dymu ulatującego z komina. W zanikającym świetle dnia dostrzegła złotą poświatę bijącą z jednego z okien na dole. Znad wody skradała się mgła i horyzont, zazwyczaj tak przejrzysty, był otulony szarością, w której z łatwością mogły się zagubić rybackie łodzie. Nie będzie księżycy, żeby oświetlał jej powrót, ale nie miała wątpliwości, że w jakiś sposób odnajdzie drogę.

Zeskoczyła z siodła i przywiązała konia do ogrodzenia za domem. Nie

pukając, od razu weszła do środka. Jack siedział przy kuchennym stole, wpatrując się w na wpół opróżniony kufel ciemnego piwa. Gdy weszła, podniósł się, wziął ją w ramiona i gwałtownie przytulił. Serce jej się skurczyło na widok jego zbolalej twarzy. Uściskała go ze wszystkich sił. Wtedy Jack się rozplakał. Łkał w jej szyję jak mały chłopiec, a Kitty przypomniała sobie o swoich ukochanych dziadkach i serce jej zalała fala współczucia.

Gdy ból nieco ustąpił, wrócił do stołu i opróżnił kufel. Kitty postawiła czajnik na kuchni i zaparzyła herbatę. Jack powiedział jej, że ojciec zmarł spokojnie we śnie, ale matka przeżyła szok, znajdując go rano sztywnego obok siebie.

– Był dobrym człowiekiem – mówił cicho. – Gdyby nie wojna, żyłby dłużej, jestem tego pewien. A przecież ta wojna nie była nasza. Powinien zrobić to, co ja, i trzymać się irlandzkiej ziemi. Ale mieliśmy inne poglądy polityczne. Kłóciliśmy się na ten temat i wiem, że nie pochwalał mojej decyzji, żeby nie walczyć. Gdyby znał choć połowę tego, czego dokonałem przez te lata, dałby mi coś więcej niż prztyczka w ucho. Ale o niczym nie wiedział. Gdy wrócił z wojny, coś się w nim wypaliło. Nigdy nie opowiadał o tym, co widział i robił, ale ja wiem, że przeżył okropne rzeczy. Stracił radość życia. Mam nadzieję, że znów ją odnajdzie, gdziekolwiek jest.

– Odnajdzie – zapewniła go Kitty. – Wrócił do domu.

– Kocham cię za tę twoją niezachwianą pewność, Kitty. – Uśmiechnął się szeroko, przyglądając się, jak przynosi czajniczek do stołu i nalewa herbatę do dwóch kubków. Gdy usiadła naprzeciwko niego, sięgnął po jej dłonie ponad drewnianym stołem. – Jesteś albo szalona jak marcowy zając, albo naprawdę posiadasz wiedzę o największej tajemnicy życia. Tak czy owak, kocham cię tak samo.

– Ja też cię kocham, Jack, pomimo twojej małej wiary – odparła z uśmiechem.

– Zaczniemy nowe życie w Ameryce, ty, ja i Mały Jack. Marzę o tym, żeby z tobą spacerować, trzymając cię za rękę na oczach całego świata.

Kitty mocno ścisnęła jego dłonie.

– Ja też o tym marzę. Życie dotąd nie było dla nas łaskawe, prawda?

– Tym razem zaokrętuujemy się na statek i zobaczymy, co życie nam przyniesie.

– To będzie bardzo ekscytujące dla Małego Jacka. Nigdy nie był na statku...

Jack zauważył jej niepokój pod pozorem radości.

– Wiem, że się o niego martwisz, kochanie. Ale to dzielny chłopak. Dla niego to będzie przygoda. – Spoglądał na nią czule. – Damy mu braci i siostry. Dużą rodzinę. Wkrótce zapomni o Ballinakelly.

– Mam nadzieję, że masz rację.

– On cię kocha, Kitty, bardziej niż kogokolwiek na świecie. I nauczy się kochać mnie. Obiecuję ci, że tak się stanie. Będę dla niego dobrym ojcem.

Oczy zaczęły szczypać Kitty od łez.

– Wiem, że będziesz, Jack. Ale boję się. Chciałabym zrobić wszystko, co dla niego najlepsze, ale zarazem muszę zrobić to, co najlepsze dla mnie. Czuję, że jestem rozdarta... Robert...

Twarz Jacka stwardniała.

– Nie myśl o Robercie, Kitty! – burknął. – On nie ma do ciebie prawa. My jesteśmy jak rośliny, których splecione korzenie sięgają bardzo głęboko. Mamy za sobą długą historię. Dzielimy wspomnienia i przygody, które nigdy nie będą udziałem Roberta. On mi ciebie ukradł. Gdybyś za niego nie wyszła, mogłabyś poślubić mnie. Nie, nie zaprzeczaj! Wiesz, że to prawda. Gdyby nie on, bylibyśmy razem.

Skinęła głową i wyzwoliła dłonie z jego uścisku. Podniosła kubek do ust i popijała herbatę.

– Wiem, że jesteś rozdarta, i mam świadomość, z czego rezygnujesz, decydując się na wyjazd ze mną. Nie myśl, że nie rozumiem. Ale zasługujemy na to, Kitty. Przed nami nie ma innej drogi. Wóz albo przewóz. Jeśli nie pojedziesz ze mną, i tak wyjadę, ponieważ nie widzę tu przyszłości bez ciebie.

– Wyjadę z tobą – zapewniła go cicho. – Obiecuję.

Zerknął przez okno. Mgła zgęstniała wokół domu i wcześniej zapadła ciemność.

– Lepiej już jedź, Kitty, bo inaczej zgubisz się we mgle.

– Mogłabym jeździć po tych wzgórzach z zamkniętymi oczami – oświadczyła, wstając.

– Odprowadzę cię – powiedział nagle, z głośnym skrzypnięciem odsuwając krzesło.

– Nie musisz. Jeśli zobaczą nas razem, wszystko będzie stracone. Dam sobie radę. Przez całe życie jeżdżę po tych wzgórzach.

Przycisnął usta do jej ust i żarliwie ją pocałował.

– Pomyśleć, że wkrótce nadejdzie dzień, gdy będę mógł cię całować od świtu do zmierzchu bez przerwy.

– Och, Jack, nie mogę się doczekać. Chcę, żebyś teraz mnie całował... – Wsunęła dłoń pomiędzy guziki jego koszuli, ale ją powstrzymał.

– Musisz jechać do domu, Kitty – nalegał. – Jeszcze chwila, a zrobi się całkiem ciemno. Proszę, moja kochana, jedź już.

Niechętnie włożyła płaszcz, rękawiczki i wcisnęła kapelusz głęboko na głowę. Wskoczyła na siodło i pomachała do Jacka, który stał rozpaczliwie samotny na progu.

– Tęsknię za dniem, gdy mój dom będzie twoim domem – powiedział,

a Kitty posłała mu dłonią pocałunek, zanim lekko ścisnęła konia i pokłusowała ścieżką prowadzącą na wzgórze.

*

Robert się niepokoił. Zapadła ciemność, a Kitty jeszcze nie wróciła. Nie rozumiał tej potrzeby ciągłych konnych przejażdżek. Jeśli chciała udać się do Ballinakelly, o wiele łatwiej było skorzystać z samochodu. Stał przy oknie w salonie i wpatrywał się w mglistą noc. Jedyne, co mógł dojrzeć, to własną bladą twarz, wpatrzoną w niego z niepokojem. Potarł podbródek. Nikt nie wie, dokąd pojechała. Nawet stajenny nie miał pojęcia. Pokręcił tylko głową i powiedział Robertowi, że pani Trench osobiście osiodłała klacz i odjechała bez słowa. Prawdopodobnie wybrała się na przejażdżkę po wzgórzach. Robert się martwił. Musiała przecież widzieć nadciągającą mgłę. Dlaczego, na Boga, wybiera się na przejażdżki po wzgórzach w mgliste styczeniowe popołudnie?

Zastanawiał się, czy nie wyruszyć na poszukiwania. A jeśli spadła z konia? Może coś sobie zrobiła? Może leży gdzieś ranna w błocie? W nocy zamarźnie z zimna. Ogarniała go panika. Wziął głęboki oddech i starał się myśleć racjonalnie. Po pierwsze, nigdy jej nie znajdzie. Mogła być wszędzie. Z powodu sztywnej nogi nie mógł długo chodzić po polach ani wziąć samochodu. Błotniste drogi były śliskie, jeszcze sam gdzieś utknie albo co gorsze, będzie miał wypadek. Poczul się całkowicie bezradny. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać.

A może była u swojego ojca, rozważał. Ostatnio bardzo się o niego martwiła. Bertie cały czas milczał, pogrążał się w melancholii. Tylko Mały Jack i jego narastająca żywiołowość zdawały się nieco rozpraszać jego smutki. Ale gdyby tak było, Kitty nie pojechałaby na wzgórze. Przecięłaby las i pola, ponieważ Hunting Lodge leżało po drugiej stronie posiadłości. Na pewno już wróciłyby do domu. Może pojechała odwiedzić Grace? Były ze sobą związane jak siostry. Zdawać się mogło, że nawet bliższe sobie niż siostry, co uwidaczniało się w sposobie, w jaki się do siebie zwracały, czasem ze zniecierpliwieniem, czasem z uczuciem, ale bez rezerwy, która często pojawia się w kontaktach poza najbliższą rodziną. Podłoża ich głębokiej przyjaźni zapewne nigdy nie pozna. Ale Grace gościła właśnie swoją rodzinę, a żadne formalne zaproszenie nie nadeszło. Nie, Kitty nie pojechała z wizytą do Grace, to pewne.

Wreszcie frontowe drzwi się otworzyły i Kitty weszła do środka; twarz miała zaczerwienioną z zimna, a tycjanowskie włosy, związane na karku w węzeł, potargane. Roberta zalała fala ulgi, a zarazem wściekłości, że naraziła go na taki niepokój.

– Gdzie, u diabła, byłaś? – rzucił ostro, wychodząc do holu.

Kitty się roześmiała.

– Chyba nie martwiłeś się o mnie z powodu mgły?

– Oczywiście, że tak, głupia dziewczyno!
Kitty poczuła się urażona jego protekcyjnym tonem.
– Znam te wzgórza lepiej niż niejeden pasterz – odparowała cierpko. – Nie miałeś powodu do niepokoju.
– Gdzie byłaś?
Wzruszyła ramionami, zdejmując rękawiczki.
– Na przejażdżce.
– Gdzie?
– Po co te wszystkie pytania, Robercie? Oskarżasz mnie, że mam kochanka ukrytego gdzieś na wzgórzach?
Robert był oszołomiony.
– Nie – powiedział. – Ten pomysł nie przyszedł mi do głowy. A powinien?
Zarumieniła się jeszcze bardziej.
– Robisz z igły widły. Chciałam się przejechać, i tyle. Nie boję się mgły.
– Zakazuję ci przejażdżek przy takiej pogodzie. To niebezpieczne.
Kitty westchnęła zniecierpliwiona.
– Och, doprawdy, Robercie, zachowujesz się, jakbyś znów był moim nauczycielem.
– Gdy byłem twoim nauczycielem, nie musiałaś się mnie słuchać. Ale wobec męża jesteś zobowiązana do posłuszeństwa.
– Nie będziesz mi mówił, co mam robić – burknęła, idąc w stronę schodów.
– Ależ tak, będę! Masz małego chłopca, za którego jesteś odpowiedzialna – przypomniał. – I masz mnie, na dobre i na złe. Nie pozwolę, żebyś po zmroku włóczyła się po okolicy. Masz cały dzień do dyspozycji. Proszę, zrób mi tę przysługę i wybieraj się na przejażdżki w ciągu dnia. Nie proszę przecież o zbyt wiele.

Kitty, wściekła, że Robert jej rozkazuje, a jednocześnie zirytowana własnym poczuciem winy, gotowa była rozniecić kłótnię. Czując złość do Roberta, łatwiej by jej przyszło go zostawić. Nie odwracając się, weszła na schody. Robert śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła, a potem, utykając, wrócił do swego gabinetu i z hukiem zatrzęsął za sobą drzwi.

Kitty przeczytała małemu Jackowi bajkę i utuliła go do snu. Pocałowała w czoło i długo napawała się mocnym objęciem jego małych ramion wokół szyi. Jego widok tak udobruchał jej serce, że gdy Robert wszedł, aby powiedzieć chłopcu dobranoc, z trudem jej przychodziło nadal się dąsać. Jednak kolację zjedli w milczeniu. Gdy Robert próbował nawiązać rozmowę, odpowiadała monosylabami, aż w końcu zrezygnował i tylko brzęk sztućców przerywał mocno naładowaną ciszę. Kitty poszła do łóżka sama i zgasiła światło. Znów powędrowała myślami do wyjazdu i ogarnęło ją znajome poczucie rozpaczy. Gdy zamknęła oczy, usłyszała otwierane drzwi i szuranie nogami, gdy Robert, utykając, wolno wszedł

do sypialni. Wolalaby, zeby widzac, ze ona spi, wycofal sie, ale on tego nie zrobil. Usiadl na lozku, objal ja i przyciagnal do siebie.

– Nie chce z toba walczyć, kochanie – wyszeptal. – Kocham cie.

Delikatny ton jego glosu rozbil ja i odsunela od siebie rozpacz. Obrčila sie ku niemu i go pocalowala. Calowala go czule, a gdy to robila, lzy zawisly na jej rzesach; wiedziala, ze zdradza Jacka, ale wiedziala rowniez, ze powoduje ja glębsze pragnienie. Nie probowala go zrozumiec ani usprawiedliwiac. Ale gdy rozpinala guziki pizamy meza i gladzila dlonia jego klatke piersiowa, byla swiadoma, ze poddaje sie losowi. Teraz byl on w rekach Boga.

Rozdział 7

Po Nowym Roku Digby Deverill przybył do Ballinakelly z Archiem oraz Celią i zatrzymali się w Hunting Lodge. Nie byli tu od pogrzebu Adeline, gdy Bertie nie tylko obwieścił rodzinie, że sprzedaje zamek, ale również publicznie uznał swego nieślubnego syna Jacka Deverilla. To dopiero był lunch, zadumał się Digby z sardonicznym uśmiechem. Maud wypadła z pokoju jak burza i schroniła się w Londynie, dogłębnie upokorzona i zraniona. Pozostali goście zaniemówili, co było doprawdy niezwykle w tak gadatliwej rodzinie. Dziś, kilka miesięcy później, Digby był w stanie spojrzeć na ten epizod z drwiącym rozbawieniem.

Digby kochał hrabstwo Cork. Ciepło wspominał czasy, gdy jako młody chłopiec spędzał wakacje w Castle Deverill. Razem z Bertiem i jego młodszym bratem Rupertem, który później zginął w wielkiej wojnie, wybierali się łódką na ryby z Hubertem, budzącym szacunek ojcem Bertiego. Digby nie był zaprawionym wędkarzem, ale kochał dramatyzm morza, jego tajemniczą głębię, szeroki horyzont i poczucie samotności w obliczu wielkiego błękitu. Fascynowali go miejscowi rybacy w grubych swetrach, czapkach i ciężkich butach, ich pobrużdżone twarze, zniszczone od wieloletniej ekspozycji na słońce wiatry, ich spierzchnięte dłonie, zrogowaciałe i chropowate; uwielbiał słuchać ich przekomarzań, gdy wieczorami Bertie i Rupert zabierali go na piwo do O'Donovana w Ballinakelly. Kuzyn Hubert wolał komfort własnego domu i znajomego towarzystwa. Znajdowali go w bibliotece w Hunting Lodge (ponieważ w tych dniach w zamku mieszkali dziadkowie Bertiego), siedzącego przed kominkiem i jedzącego ciasto porterowe w towarzystwie swych wilczarzy, czekających na jakieś kąski.

„Ktoś chętny na brydża?” – pytał, a Digby zawsze się zgłaszał, ponieważ w wuju Hubercie było coś takiego, że zawsze chciał zasłużyć na jego dobrą opinię.

Hubert odszedł, zginął podczas pożaru, który strawił zamek. Adeline też odeszła. Te myśli utwierdzały Digby'ego w przekonaniu, że z życia trzeba czerpać pełnymi garściami i żyć świadomie, zdecydowanie i odważnie, nie tak jak Bertie, który dryfuje samotnie po morzu whisky i rozczarowań. Trzeba coś zrobić, i to szybko, inaczej Bertie też odejdzie, a to naprawdę będzie koniec pewnej epoki.

Digby przyjechał do hrabstwa Cork, żeby spotkać się z panem Leclaire'em, miał także zamiar wyrwać kuzyna z depresji. Wiedział, że należy czekać na odpowiedni moment. Bertie był dumnym i wrażliwym człowiekiem. Musiał być w odpowiednim nastroju, by wysłuchać czyjejś rady. Istniało niebezpieczeństwo, że się obrazi, co mogłoby mieć doprawdy pożałowania godne konsekwencje.

Czekając na ten ulotny moment, Digby z werwą zapoznawał się z planami

odbudowy zamku. W zeszłym roku spoglądał na ruiny, ale nigdy nie trudził się, by przyjrzeć się im dokładniej. W towarzystwie więc tryskającego optymizmem architekta, który oprowadzał go po rumowisku (jednocześnie rozkoszując się myślą o swym ogromnym wynagrodzeniu), Digby wolno wędrował z pokoju do pokoju, niczym pies tropiący zapach przeszłości. Odnalazł go w holu, gdzie ciągle znajdował się kominek; przypomniał sobie z rozrzewnieniem pewien Letni Bal, gdy stał tutaj ze swoją świeżo poślubioną żoną Beatrice, która była tu po raz pierwszy. Pamiętał jej twarz tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Jej zadziwienie, radość, absolutny zachwyt nad pięknem zamku oświetlonego setkami świec i przystrojonego nieprzebranymi bukietami kwiatów.

Leclaire wyrwał go z rozmarzenia, spiesząc przez hol do salonu, a raczej resztek, które po nim zostały. Lśniące czarne wrony skakały po kamieniach, sprzecząc się między sobą. Architekt wskazał fragmenty ścian, które pozostały nietknięte, i te, które należało do końca rozebrać. Gestykulował przesadnie, wyrzucając ramiona w powietrze, podczas gdy Celia przytakiwała szczebiotliwie, rozpluwając się w zachwytach nad każdym jego pomysłem.

– Chcę to na wczoraj – podchwytywała każdą sugestię.

Archie bacznie obserwował reakcję teścia, oczekując po nim aprobaty.

– Wykorzystamy oryginalny kamień, gdzie tylko się da, sir Digby – mówił Leclaire. – A tam, gdzie będziemy musieli użyć nowego, postaramy się go idealnie dopasować. Pani Mayberry zasugerowała, żebyśmy kupili stary kamień, ale wyjaśniłem – nieprawdaż, pani Mayberry? – że to istotnie powiększy koszty. Stary kamień jest bardzo kosztowny.

– Na pewno pani Mayberry oceni obie możliwości, panie Leclaire – powiedział Digby. Uśmiechnął się do córki, a Celia wsunęła mu rękę pod ramię, ponieważ z doświadczenia wiedziała, co oznacza taki uśmiech: tak czy owak, będzie miała stary kamień!

Gdy przedzierali się przez rumowisko ku ocalałej zachodniej wieży, gdzie Adeline zamieszkała po śmierci Huberta, Celia nagle zauważyła dwie umorusane buzie dzieci obserwujących ich zza muru. Szturchnęła Archiego.

– Zobacz, ktoś nas podgląda – szepnęła.

Archie podążył za jej wzrokiem. W pewnej odległości wśród kamieni kryło się dwóch chłopców. Gdy zorientowali się, że zostali zauważeni, nagle zniknęli.

– Kto to jest? – spytał Archie.

– Miejscowe dzieciaki, jak sądzę. Muszą być ogromnie zaintrygowane. W końcu ten zamek od stuleci górował nad Ballinakelly.

– Nie sądzisz, że powinniśmy zwrócić im uwagę? Weszli na prywatny teren. Na bramie wisi tablica z zakazem wstępu.

– Kochanie, ich nie obchodzą żadne tablice. To dzieci. – Roześmiała się, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu jakiejś czekoladki. Znalazła na wpół zjedzony

batonik i przedarła się przez zgliszcza do miejsca, gdzie chowali się chłopcy.

– Cześć, łobuziaki! – Z uśmiechem pochyliła się nad nimi. Zaskoczeni wpatrywali się w nią jak para zapędzonych w pułapkę lisów. – Nie bójcie się. Nie zamierzam się gniewać. Macie, to dla was, szpiegowanie wzmaga głód. – Ręką w rękawiczce podała im czekoladkę. – Wpatrywali się w nią z rezerwą. – No, proszę. Nie jesteście głodni? – Starszy chłopiec wyciągnął brudne palce i wziął czekoladkę. – Jak się nazywacie? – spytała Celia.

Starszy chłopiec odwinął sreberko i ugryzł batonik.

– Séamus O’Leary – odpowiedział z silnym irlandzkim akcentem. – A to mój młodszy brat, Éamon Óg. – Szturchnął brata, który z rozdziawionymi ustami gapił się na tę elegancką angielską damę, jakby pochodzącą z innego świata. Nigdy nie widział czegoś tak błyszczącego jak brylanty w jej uszach. Gdy dostał kuksańca w żebra, zamknął usta i zamrugał, ale nie był w stanie oderwać oczu od kobiety.

– W dzieciństwie bawiłam się z chłopcem, który nazywał się Jack O’Leary. To chyba wasz krewny?

– To nasz kuzyn – odparł Séamus. – Jego ojciec właśnie umarł – dodał, delektując się smakiem czekolady.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Celia.

– Kochanie, jedziemy obejrzyć plany! – zawołał Archie.

– A wy lepiej uciekajcie do domu, zanim lord Deverill was zobaczy – poradziła Celia chłopcom.

Czmychnęli bez słowa i po chwili zniknęli za zachodnią wieżą. Celia wróciła do samochodu Bertiego, przy którym stał już pan Leclair z Digbym. Obaj spoglądali na fronton nad wejściem.

– *Castellum Deverilli est suum regnum* – Leclair przeczytał inskrypcję, nadal widoczną na osmalonych kamieniach.

– Teraz to królestwo Celi – oświadczył Digby.

– Będę wielkoduszną panią – obiecała, energicznym krokiem idąc obok Archiego przez trawę. – Gdy już zamek powstanie z ruin, wydam małe przyjęcie dla mieszkańców Ballinakelly. To będzie nowy początek.

– Mieszkańcy Ballinakelly zawsze byli lojalni wobec Deverillów – zauważył Digby. – Pożar to nie ich sprawa, lecz irlandzkich nacjonalistów z innych części kraju, na pewno nie stąd. Jestem pewien, że ludzie z Ballinakelly będą zachwyceni, gdy zamek zostanie przywrócony do dawnej świetności. A teraz jedźmy już obejrzyć plany, panie Leclair.

Wsiedli do samochodu; Digby zajął miejsce za kierownicą i jak zwykle prowadził szybko. Zajechali z fantazją pod Hunting Lodge.

Dopiero ostatniego dnia pobytu Digby znalazł odpowiedni moment na rozmowę z Bertiem. Podczas dwóch tygodni Digby uważnie obserwował kuzyna. Bertie nie wykazywał do niczego entuzjazmu. Energia całkiem go opuściła, a jego

joie de vivre skwaśniała, jakby życie rozczarowało go do takiego stopnia, że czuł niechęć do jakiegokolwiek rozrywki.

Tylko raz udali się na polowanie. I tylko dlatego, że Digby nalegał. Wyruszyli z psami i ustrzelili kilka ptaków na bagnach, ale Bertiego już wyraźnie nie cieszył sport, który kiedyś tak uwielbiał. W niczym nie znajdował przyjemności, a gdy inni cieszyli się, potrafił im tylko zazdrościć. Ożywiał się jedynie wtedy, gdy pojawiała się Kitty z jego małym synkiem Jackiem. Digby uważał, że dziecko posiada naturalny wdzięk Deverillów, i był pewien, że Bertie widzi w nim siebie, pełnego beztroskiego wigoru, który utracił. Ale przeważnie kuzyn pił za dużo i często był tak rozkojarzony, że nawet nie można było nawiązać z nim rozmowy.

Ponieważ był to ostatni dzień pobytu Digby'ego w hrabstwie Cork, Bertie nie mógł wykręcić się od wycieczki łódką na ryby. Pogoda dopisywała, było ciepło, zwłaszcza jak na styczeń, a morze spokojne. „Znakomity dzień na wyprawę na ryby”, oznajmił serdecznie Digby, mając nadzieję, że zarazi kuzyna swoim entuzjazmem. Bertie zgodził się, aczkolwiek niechętnie, i obaj mężczyźni ruszyli do portu, gdzie stała przycumowana łódka Bertiego. Digby w rzucającym się w oczy stroju, składającym się z marynarki, kamizelki oraz pumpów w żółtobrazową kratę, w grubych żółtych skarpetach i pasującej do całości czapce z daszkiem, Bertie zaś w trochę dyskretnej tweedowej garniturze. Digby spodziewał się docinków pod swoim adresem, ale Bertie nie był rozmowny. Stracił również poczucie humoru.

Już na otwartym morzu Digby wykorzystał okazję.

– Posłuchaj, stary – zaczął, a Bertie słuchał, ponieważ nie miał nic innego do roboty, prócz wpatrywania się w wędkę i czekania, aż drgnie. – Ostatnie dwa lata były dla ciebie trudne, nie ma co gadać. Doznałeś ogromnych strat: zamek, twoi rodzice i Maud. Ale nie możesz skupiać się na negatywach, inaczej w nich utoniesz. Musisz myśleć pozytywnie i wyrwać się z tego marazmu. Rozumiesz, co mówię? – Bertie skinął głową, nie odrywając oczu od wędkę. Digby zdał sobie sprawę, że jego słowa nie robią na nim żadnego wrażenia, ale dzielnie brnął dalej: – Bertie, stary przyjacielu, powiedz mi, w czym tkwi sedno problemu? Hop, hop, to ja, Digby, twój kuzyn i przyjaciel! Rozmawiasz ze mną. Widzę, że masz kłopoty, i chcę ci pomóc. – Nadal brak odpowiedzi. Digby poczuł, że schodzi z niego powietrze. Jak większość Anglików nie potrafił mówić o emocjach i zwykle się przed tym wzbraniał. Ale wyczuwał, że ocalenie Bertiego w jakiś sposób leży teraz w jego rękach, i postanowił dalej naciskać, chociaż doprawdy czuł się bardzo niezręcznie. Spróbował innej metody. – Pamiętasz, jak byliśmy chłopcami? Twój ojciec zabierał nas na tę łódkę i uczył wędkowania. Oczywiście w moim przypadku wiele nie osiągnął. – Digby zaśmiał się ponuro. – Nie byłem typem sportowca.

Ku zaskoczeniu Digby'ego Bertie ożywił się na wspomnienie przeszłości.

Wykrzywił kąciki ust w zapowiedzi uśmiechu.

– Na koniu też byłeś beznadziejny – powiedział.

Ośmielony Digby kontynuował zagłębianie się w przeszłość.

– Hubert zawsze twierdził, że daje mi spokojnego konia, ale te cholerne bestie ruszały z kopyta, ledwie na mnie łypnęły. Podejrzewam, że specjalnie dawał mi płochliwe konie.

– Gdyby tego nie robił, włókłbyś się za starszymi paniami – rzekł Bertie.

– Z żalem muszę przyznać, że nawet twoje ciotki, Krzaczki, lepiej trzymały się w siodle niż ja.

– A pamiętasz, jak Rupert wdrapał się na dach zamku?

– Adeline omal nie dostała ataku serca!

– Tak samo jak twoja mama. Pamiętam, jak osunęła się na ziemię i ktoś zawołał, żeby przynieść sole trzeźwiące. – Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Po chwili Bertie spoważniał. – Tęsknię za Rupertem – rzekł ze smutkiem.

– To był dobry człowiek – przyznał Digby. – Gdyby teraz był z nami i tak jak ty jedyną pociechę znajdował w whisky, co byś mu powiedział?

Bertie poczerwieniał.

– Powiedziałbym mu, żeby dał sobie z tym spokój. Zmusiłbym go, żeby poszedł po rozum do głowy.

– A więc ja chcę, żebyś dał sobie z tym spokój, Bertie – poprosił cicho Digby. – To cię niszczy. Nie mogę spokojnie na to patrzeć.

Nastała dłuższa cisza, jakby Bertie trawił te słowa. Po chwili jednak się usztywnił.

– Ja nie mam żadnego problemu – stwierdził krótko. – My, Irlandczycy, lubimy naszą whisky.

– Nie jesteś Irlandczykiem – sprostował Digby. – I pijesz o wiele za dużo.

– Z całym szacunkiem, Digby, to nie twoja sprawa.

– Należę do rodziny – przypomniał Digby stanowczo.

Bertie ciężko westchnął. Odwrócił się i popatrzył na kuzyna załzawionymi, podeszłymi krwią oczami.

– Nie wiesz, jak to jest. Straciłem wszystko.

– To jeszcze nie powód, żeby topić smutki w alkoholu.

– Łatwo ci mówić, Digby. Masz miliony, dobrą żonę i Deverill Rising, który nie został obrócony w perzynę przez rebeliantów, chcących wygnać cię z kraju, gdzie twoja rodzina żyła przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Nadal żyją twoi rodzice. Czego nie dotkniesz, zamienia się w złoto. Masz cholerne szczęście i prawdopodobnie blondynkę w każdym porcie. Życie jest wspaniałe, czyż nie? Ale dla niektórych z nas to ustawiczna walka. Miałem kochankę, wiesz o tym. Kochałem ją. Ale i ją straciłem.

Digby tracił cierpliwość.

– Przestań uważać się nad sobą. Prawda jest taka, że nie jesteś szczególnie atrakcyjny, gdy jesteś pijany. A wydaje mi się, że przeważnie jesteś pijany. Prawdopodobnie miała dość smrodu alkoholu w twoim oddechu.

Digby, zorientowawszy się w porę, że nadchodzi cios, który niechybnie trafi go w szczękę, zareagował jak czujny bokser, z zadziwiającą siłą oraz zręcznością łapiąc Bertiego za ramię. Bertie wpatrywał się w niego oszołomiony, dysząc ciężko jak osaczony byk.

– Jesteś cholernym idiotą, Bertie Deverillu. – Digby przygotowywał się do ataku. – Wcale się nie dziwię, że Maud cię zostawiła, tak samo jak twoja kochanka. Sam sobie jesteś winny, czyż nie? Jesteś słaby, tak, słaby! Nie zasługujesz na to, by nosić nazwisko Deverill. Gdyby twój ojciec mógł cię teraz zobaczyć, prawdopodobnie sam by ci przyłożył. A ponieważ jego tu nie ma, zrobię to za niego.

Digby pięścią wymierzył cios poniżej żeber Bertiego. Bertie zgiął się wpół, na moment stracił dech, ale udało mu się wzięć zamach i uderzyć Digby'ego w nogi. Digby stracił równowagę. Łódź kołysała się, gdy dwaj mężczyźni walczyli jak chłopcy podczas bijatyki na boisku. Digby prowokował kuzyna, obrzucając go wymyślnymi obelgami, mając nadzieję, że Bertie w końcu się podda i dostrzeże błędy w swoim postępowaniu. Ale Bertie walczył dalej zapamiętale. Rzucił się na Digby'ego i w końcu obaj wypadli za burtę do lodowatego morza. Chwilę później wychynęli na powierzchnię, łykając słoną wodę i powietrze. Zszokowani zimnem nie byli w stanie mówić.

Digby pierwszy wdrapał się z powrotem na łódź. Podciągnął się z trudnością, ponieważ ubranie nasiąkło wodą i było bardzo ciężkie. Buty ciążyły jak kamienie u stóp i ciągnęły go w dół. Padł na dno łódki jak opasy mors, ciężko dysząc. Dopiero po chwili przypomniał sobie o Bertiem. Niemrawo wstał i oparł się o burtę. Bertie walczył w wodzie o przetrwanie. Ubranie i buty prawie uniemożliwiały mu utrzymywanie się na powierzchni.

– Chcesz umrzeć?! – wrzasnął Digby. – Tego właśnie chcesz? Bo jeśli tak, zostawię cię. Ale jeśli chcesz żyć, musisz rzucić picie, Bertie. Słyszysz mnie? Twój wybór! – Bertie zakaszłał, zakrztusił się i nagle zniknął pod wodą, wydobywając się tylko dzięki desperackim kopnięciom nogami oraz machaniu ramionami. – No i jak będzie, Bertie? zawołał Digby.

Bertie nie chciał umierać.

– Chcę żyć! – z ledwością krzyknął, krztusząc się rozpaczliwie i łykając słoną wodę. – Proszę... Digby... Pomocy!

Digby wyciągnął wiosło z dulki i przytrzymał je nad wodą, tak żeby Bertie mógł złapać pióro i przyciągnąć się do łodzi. Przez chwilę Bertie przytrzymał się krawędzi, dysząc ciężko.

– No, dalek, chłopie! Musimy wrócić do domu, zanim umrzesz z wyziębienia

– powiedział już łagodnie Digby. W końcu złapał Bertiego za przemoczoną marynarkę i wciągnął go łodzi. Bertie zwałił się na dno, trzęsąc się ze strachu i zimna.

– Ty draniu! – wycharczał, ale uśmiechał się pod nosem.

– Wybrałeś życie, Bertie. Będę cię trzymał za słowo. – Digby wyciągnął do niego rękę. Po chwili wahania Bertie ją ujął. Digby pomógł mu wstać.

Bertie zatoczył się, ale zaraz odzyskał równowagę.

– Nie zawiodę cię, Digby.

– Wiem o tym.

Dwaj mężczyźni uściskali się, mokrzy i przemarznięci do szpiku kości. Nigdy nie byli sobie bliżsi.

*

Kitty nie mogła spotykać się z Jackiem w jego domu od tamtej krótkiej u niego wizyty po śmierci ojca. Mieszkał u matki, pogrążonej w bólu. Przesyłali sobie liściki, tak jak za dawnych czasów, gdy kładli je pod luźnym kamieniem w ogrodzie warzywnym. Tylko że teraz Kitty wysyłała stajennego. Spotykali się przy Magicznym Kręgu, gdzie wymieniali ukradkowe pocałunki, których świadkami były tylko mewy, krążące nad nimi jak latawce na wietrze. Przybliżający się termin wyjazdu wisiał nad Kitty niczym miecz katowski, który miał odciąć ją od domu. Przerazało ją to, a jednocześnie tego pragnęła.

Traktowała Roberta z coraz większym zniecierpliwieniem. Warczała na Celię i z byle powodu płakała.

Aż wreszcie doszło do boskiej interwencji.

A kiedy już poznała swój los, zstąpił na nią dziwny spokój. Rezygnacja wynikająca z totalnego poddania. Wydawało jej się, że wypuściła długi, powolny oddech i wraz z nim nadeszło ukojenie. Teraz miała absolutną pewność, co powinna robić. Nie było miejsca na pytania, wątpliwości, niezdecydowanie, jej umysł był jasny jak kryształ. Nawet ból płynący z wiedzy, ile udręki ta decyzja spowoduje, wydawał się odsunięty na bok, jakby należał do kogoś innego.

Rano w przeddzień planowanego wyjazdu pociągiem do Queenstown Kitty pojechała konno przez wzgórza do domu Jacka. Nie mogła sobie pozwolić na płacz. Wysunęła podbródek i zacisnęła zęby, pozwalając, aby zimny wiatr studził jej emocje. Gdy dojechała do celu, jak zwykle przywiązała konia do ogrodzenia i pchnięciem otworzyła drzwi. Jacka nie było, ale spakowana torba leżała w holu. Usiadła przy stole i czekała, obserwując, jak słabe zimowe światło powoli przesuwa się po deskach podłogi.

W końcu usłyszała, jak na podwórzu Jack gwizdże na psa. Chwilę później otworzył drzwi i wypowiedział jej imię.

– Kitty.

Od razu wiedział. Jeszcze zanim przyjrzał się jej twarzy. Tym razem nie wziął jej w ramiona, nie obiecał, że będzie na nią czekał i nie całował, żeby zapomnieć o bólu. Wpatrywał się w nią z całkowitym niedowierzaniem pomieszanym ze złością, wiedząc, że to, co ma mu do powiedzenia, zrani go jak pocisk.

– Dlaczego?

Kitty patrzyła na swoje palce, splecione przed nią na stole.

– Jestem w ciąży – oznajmiła. Jack zatoczył się, jakby otrzymał mocny cios.

– To dziecko Roberta – dodała cichym, opanowanym głosem.

Jack usiadł naprzeciwko i zatopił twarz w dłoniach. Zapadła cisza. Tak ciężka, że Kitty zwiesiła ramiona pod jej ciężarem. Rozboliła ją głowa.

– Jesteś pewna? – spytał w końcu.

– Tak – odrzekła.

– Jak mogłaś? – Popatrzył na nią z rozpaczą.

– To mój mąż. Nie mogłam mu odmówić.

– Mogłaś. Mogłaś, Kitty! – Podniósł głos. – Jeślibyś tylko chciała.

Uniosła podbródek i ośmieliła się na niego spojrzeć. Wszystkie przeszkody na drodze ich nieszczęsnej miłości zdawały się stopniowo gasić blask w jego oczach, a teraz wyglądał na całkiem wypalonego. Pokręcił głową.

– A więc to tak? – Kręcił głową. – To już koniec? Po tym wszystkim, co przeszliśmy, po tylu latach, gdy się kochaliśmy, dotarliśmy do kresu?

– Tak mi przykro... – powiedziała.

Uderzył pięścią w stół.

– Przykro! Przykro ci!

Oczy zaszczyły ją od łez.

– Naprawdę, przepraszam...

– Przepraszam! To niezbyt odpowiednie słowo, Kitty Deverill. Można przepraszać, gdy się rozleje herbatę. Albo za ubłocenie chodnika. Można przepraszać za jakieś duperele! Ale nie możesz przepraszać za krzywdę, jaką mi wyrządzasz! Rozumiesz? Czekałem na ciebie, tak długo czekałem... – Jego twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. – Ale z tym już koniec.

Łza spadła na stół.

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Czy ty kiedykolwiek naprawdę mnie kochałaś, Kitty?

Fala emocji zalała jej piersi. Przycisnęła do nich dłoń, jakby mogła tym gestem ukoić ból.

– Och, tak, Jack – wykrztusiła. – Nadal cię kocham, całym sercem.

– Nie, to nieprawda. Gdybyś mnie kochała, porzuciłabyś dla mnie wszystko.

– Wstał, podszedł do okna, odwracając się do niej plecami, i zapatrzył się na morze.

– Bóg jeden wie, jak bardzo cię kochałem, Kitty Deverill – wyznał znużonym głosem. – Bóg również wie, że prawdopodobnie nigdy nie przestanę cię kochać. To będzie jak klątwa, z którą będę musiał żyć, ale przeżyłem gorsze rzeczy, a więc dam radę.

Kitty powoli wstała, całe ciało ją bolało. Podeszła i objęła go w pasie. Nie odezwał się, gdy przycisnęła czoło do jego pleców. Przytulając się do niego, czuła zapach przeszłości. Zapach torfowego ognia, gorącej herbaty, porterowego ciasta i końskiego potu. Aromat wilgotnej ziemi i morza. Zamknęła oczy i zobaczyła ich jako dzieci, gdy chodzili po murze, włączyli się nad rzeką w poszukiwaniu żab, całowali przy Magicznym Kręgu, podziwiali zachód słońca nad Smuggler's Bay. Potem usłyszała strzały, krzyki mężczyzn, wrzaski czarno-brunatnych, ciągnących Jacka po peronie stacji. Chciała przytulić się do niego, stopić z nim i nigdy go nie puścić. Atakował wszystkie jej zmysły, aż nie była w stanie zdusić w sobie rozpacz. Trzymała go gwałtownie, ale on stał sztywno, opierając dłonie o okienną ramę, i patrzył w morze. Wiedziała, że go straciła.

Wyszła z domu. Jack nawet się nie obejrzał. Gdyby się odwrócił, może by się ugięła. Może podbiegłaby do niego; może nawet zmieniłaby zdanie... Ale on tego nie zrobił. Dosiadła konia i powoli ruszyła ścieżką z sercem ciężkim jak głaz. Wiatr osuszył jej łzy, a widok aksamitnych pól hrabstwa Cork jak zawsze ukoił jej znękaną duszę. Irlandia była jedyną miłością, na którą mogła liczyć.

Kierując się w stronę wzgórz, zrozumiała, że Jack miał rację. Tylko ciąża mogła powstrzymać ją przed ucieczką. Zdawała sobie z tego sprawę, ale pozwoliła, żeby to się wydarzyło. To nie los tak chciał. Ani nie przeznaczenie. Kitty modliła się o dziecko, żeby ocaliło ją przed nią samą. Była przekonana, że tu przynależy, do Castle Deverill, z taką samą niezachwianą pewnością, jak wiedziała, że żyje i oddycha. Nawet Jack O'Leary z niezwykle władzą, jaką posiadał nad jej sercem, nie mógł oderwać jej od domu.

*

Rozpacz Kitty frustrowała Adeline. Gdyby Kitty poślubiła Jacka i w jakiś sposób odzyskała zamek z rąk Celi, duchy uwięzione pomiędzy światami mogłyby w końcu zaznać wolności. Przyglądając się Kitty, gdy wracała do domu, rozumiała jednak, tak dobrze jak rozumiała własne serce, że Kitty się nie zmieni. Wybrała Irlandię, tak jak zawsze.

Adeline stała na wzgórzu, skąd rozciągał się widok na morze. Podmuchy zimnego wiatru ciągnęły od morza w głąb lądu. Fale wznosiły się i opadały, stale zmieniając kształt, a ich wierzchołki wyciągały się do góry niczym dłonie ku niebiosom. Te wysiłki szły na marne, gdy rozбивały się o skały, tworząc białą pianę, bulgoczącą i gotującą się, gdy woda wdzierała się na nie i cofała w rytmie, zrozumiałym jedynie dla Boga. Ale Adeline wychwytywała melodię w tym huku

wody, a jej serce pęczniało jak morze, gdy podziwiała ziemię, którą tak ukochała.

Dziką, tajemniczą, nieskazitelnie piękną Irlandię.

Gdyby Hubert mógł zamieszkać na tych wzgórzach tak jak ja, rozmyślała ze smutkiem, podziwiając czerwone niebo i ogniste chmury, które zdawały się umykać przed zachodzącym słońcem jak stado płonących owiec. Ale zamiast tego jej nieszczęsny mąż musiał tkwić w zamku wraz z pozostałymi lordami Deverillami, a doprawdy nie było tam miejsca dla nich wszystkich.

Śmierć, co prawda, pozbawiła ich ziemskich ciał, ale poza tym niewiele ich zmieniła. Ciągłe gderali i marudzili, kłócili się i narzekali, słowem – sprawiali kłopoty. Adeline zastanawiała się, czy Celia będzie żałować dnia, gdy zdecydowała się na odbudowę zamku, ponieważ syn Bartona, Egerton, potrafił być bardzo dokuczliwy, gdy nabierał ochoty na jakieś szelmstwo. Lubił tupać na korytarzach, skrzypieć drzwiami i potrącać meble. Owszem, zawieszenie gdzieś w przestrzeni pomiędzy światami bez perspektywy wyzwolenia było wielce frustrujące, a na dodatek ciążyły im grzechy całego życia. Ale przynajmniej uzyskali pewną wiedzę na temat swojej egzystencji. Upewnili się, że istnieje życie po śmierci, a czas to tylko iluzja. Jednak ich przekłete dusze nie mogły wznieść się na wyższy poziom, tylko błąkały się uwięzione za niewidzialnymi kratami. I choć dostrzegali w górze błysk światła, nadal tkwili w cieniu jakby z ciężarem przytroczonym do szyi.

Adeline natomiast mogła pójść, gdzie chciała. Wrota niebios stały przed nią otworem. To miłość trzymała ją przy Hubercie. Oczekując na przełamanie klątwy, mogła widzieć cały świat, ale gdy poszybowała wzrokiem ku innym ziemiom, znów wróciła myślami do tego małego skrawka Irlandii, gdzie błąkała się nad wodami...

Rozdział 8

Connecticut, 1926

Martha Wallace uklękła na sofie przy oknie i z zachwytem wpatrywała się w śnieg, który jak białe puszyste piórka opadał na ogród. Dzisiaj były jej czwarte urodziny. Angielska niania, miła i delikatna pani Goodwin, powiedziała, że śnieg to prezent dla niej od Boga. Dziewczynka rozpostarła dłonie na szybie i uniosła w niebo ciemnobrązowe oczy, żeby sprawdzić, czy nie dostrzeże Go wśród chmur, ale widziała tylko miliony opadających szybko i równomiernie gęstych płatków. Zatraciła się w ich magii.

– Czas już, kochanie – powiedziała pani Goodwin, wchodząc do pokoju Marthy z purpurowym płaszczkiem przewieszonym przez ramię i pasującym do niego kapelusikiem w ręku. – Nie możesz się spóźnić na swoje przyjęcie. Babcia Wallace zaprosiła całą rodzinę, żeby świętować twój wielki dzień. Będzie wspaniała zabawa.

Martha oderwała oczy od hipnotyzującej bieli i zsunęła się z sofy. Stała przed nianią. Kobieta uśmiechnęła się czule i przykucnęła, żeby zrównać się z dzieckiem.

– Wyglądasz ślicznie – pochwaliła, poprawiając niebieskie kokardy w ciemnobrązowych włosach dziewczynki i delikatnie wygładzając niebieską jedwabną sukienkę z białą szarfą i kołnierzykiem, którą z wielką starannością wyprasowała, nie zostawiając ani jednego załamania. – Pamiętam, jakim ładnym byłaś niemowlęciem. Twoi rodzice z dumą pokazywali cię wszystkim. Bardzo cię kochają, wiesz o tym. A więc i ty musisz być dla nich dobra.

Martha przyłożyła palec do ust w dobrze wyćwiczonym geście.

– Ciii – syknęła przez zęby.

– Masz rację, kochanie. – Pani Goodwin ściszyła głos. – Twoi tajemniczy przyjaciele muszą pozostać sekretem – przypomniawszy, pomagając włożyć płaszczyk. – To straci swój urok, jeśli wszystkim o tym opowiesz. Wtedy już nie będzie sekretu, prawda?

– Ale tobie, nianiu, mogę powiedzieć – wyszeptała Martha, przyglądając się, jak palce kobiety sprawnie zapinają guziki.

– Możesz powiedzieć mnie, ale nikomu innemu – potwierdziła pani Goodwin. – Zostałaś pobłogosławiona cudownym darem, Martho. Ale nikt tego nie zrozumie.

Martha skinęła głową i z ufnością wpatrywała się w nianię. Coś ścisnęło panią Goodwin w piersi, gdy spojrzała głębiej w oczy dziecka, była bowiem pewna, że dostrzeże w nich samotność. Nie chodziło o to, że Marcie brakowało miłości czy towarzystwa, ale wydawało się, że nosi w sobie pustkę, której nic nie może wypełnić. Przyszła z tym na świat, ze skłonnością do patrzenia przez okno, jakby wypatrywała czegoś, co utraciła, albo tęskniła za czymś, czego nie może pamiętać. Była melancholijną, marzycielską, samotną małą dziewczynką – a to dziwne u dziecka, które miało szuflady pełne zabawek i wszystko, czego dusza zapagnie. Pam Wallace bezwstydnie rozpieszczała jedynaczkę, dawała jej wszystko, czego ta zapagnęła. Ale Martha nie wymagała wiele, a prezenty nie budziły jej szczególnego zainteresowania. Wolała przebywać w krainie własnej wyobraźni, obserwować przesuwające się chmury, przyglądać owadom i kwiatom, rozmawiać z istotami, których nikt inny nie potrafił zobaczyć. Pani Goodwin, obserwując przedziwne zachowania dziewczynki, zastanawiała się, czy w sercu tego dziecka nie dźwięczy jakieś echo jej ojczyzny albo w podświadomości nie pojawiają się przebłyski wspomnień, że przyszła na ten świat jako jedna z dwojga, ale wyruszyła w podróż za ocean sama.

Pani Goodwin niepotrzebnie usłyszała rozmowę rodziców Marthy na temat pochodzenia ich dziecka. Szczerze mówiąc, nie miała zamiaru podsłuchiwać. Wielkie nieba, gdyby wiedziała, czego się dowie, na pewno nie nadstawiałyby uszu! Ale stało się, usłyszała i nic nie mogła już na to poradzić. Martha miała wtedy około dwóch lat. Państwo Wallace'owie pozostawili uchylone drzwi do sypialni, a niania, położywszy dziecko spać, przypadkiem znalazła się w korytarzu akurat w momencie, gdy mąż i żona dyskutowali o rzucającej się w oczy melancholii małej Marthy i rozważali, jak temu zaradzić.

– Powinniśmy zaadoptować jeszcze jedno dziecko – powiedziała wtedy pani Wallace do męża, a pani Goodwin zatrzymała się w pół kroku jak wrośnięta w ziemię. Stała nieruchomo, ledwie ośmielając się oddychać, ale ciekawość przeważała nad jej poczuciem przyzwoitości. – Powinniśmy również zaadoptować jej brata – ciągnęła pani Wallace.

– To ty chciałaś tylko jedno dziecko – wytknął jej pan Wallace. – Twierdziłaś, że nie poradysz sobie z więcej niż jednym. I chciałaś dziewczynkę.

– To dlatego, że matka nigdy nie traci córki.

– Siostra Agatha próbowała nas zachęcić, żebyśmy wzięli oboje – przypomniał jej mąż. – W końcu byli bliźniakami. Zawsze możemy pojechać do Dublina i dowiedzieć się, czy nie ma tam jakichś innych dzieci do adopcji. Z radością dałbym dom kolejnemu osieroconemu dziecku.

Wtedy pani Goodwin poczuła się nieswojo; odniosła wrażenie, że podsłuchuje parę złodziei przygotowujących skok.

– Gdybym wiedziała, jaką samotnicą okaże się Martha, na pewno wzięłabym

też jej brata – przyznała Pam Wallace.

Oszołomiona i przerażona pani Goodwin z wysiłkiem oderwała ciężkie stopy od podłogi i czym prędzej uciekła do sypialni dziewczynki. Pochyliła się nad łóżeczkiem i wpatrywała w dziecko z ogromnym żalem i współczuciem. Martha miała brata, brata bliźniaka, rozmyślała, przyglądając się śpiącej dziewczynce. Co się z nim stało? Czy on też odczuwał wokół siebie pustkę? Czy obydwójce w jakiś sposób podświadomie wiedzieli, że kiedyś nie byli sami? A co z ich matką? Dlaczego porzuciła swoje dzieci? Pani Goodwin była pewna, że państwo Wallace'owie nigdy nie powiedzą Marcie, że została adoptowana. Usłyszała o tym po raz pierwszy i zastanawiała się, kto jeszcze wie. Dla ludzi z zewnątrz matka i córka były bardzo do siebie podobne. Obydwie miały ciemnobrązowe włosy, oczy w kolorze torfu i jasną irlandzką skórę. W ich wyglądzie nie było nic mogącego budzić wątpliwości dotyczące pochodzenia Marthy. A pani Wallace kochała Marthę, trudno temu zaprzeczyć. Gorąco ją kochała. Niemniej jednak w tym, co zrobili, w rozdzieleniu bliźniąt, było coś strasznego. Myśl, że Martha być może nigdy się nie dowie, skąd pochodzi ani że miała brata, budziła w niani ogromny niepokój.

Pani Goodwin wzięła Marthę za rękę i sprowadziła ją na dół do holu, gdzie czekała jej matka, już z torebką w ręce. Pani Wallace była wymuskaną, pretensjonalną żoną bardzo bogatego człowieka. Ciemne włosy, przycięte na szykownego boba, były lekko pofalowane, brwi wydepilowane w cienkie łuki, co nadawało jej twarzy wyraz ustawicznego zdziwienia, a małe usta pomalowane na purpurowo, tak samo zresztą jak długie paznokcie, teraz ukryte pod długimi białymi rękawiczkami. Wysoka, smukła, miała wąskie biodra, tak że moda lat dwudziestych dwudziestego wieku – suknie z opuszczoną talią i płaskie piersi – była dla niej niezwykle korzystna. W czasach pani Goodwin, a jej młodość przypadła na koniec ubiegłego wieku, kobieta musiała mieć pełne kształty, ale obecnie zmysłowy biust nie budził zachwytów. Jednak pani Goodwin już nie interesowała się ani mężczyznami, ani modą. Od czasu, gdy owdowiała, poświęciła swoje życie małym dzieciom, a z doświadczenia wiedziała, że potrzebują one czegoś miękkiego, żeby się przytulić.

Pani Wallace odwróciła się, żeby popatrzeć na córkę, która schodziła po schodach, asekuracyjnie trzymając nianię za rękę. Purpurowe usta matki rozciągnęły się w uśmiechu pełnym zadowolenia. Martha sprostała jej oczekiwaniom. Długie włosy dziewczynki były wyczesane, aż lśniły, wstążki starannie zawiązane w dwie małe kokardy, szkarłatny płaszczyk zapięty z przodu na rząd lśniących czerwonych guzików, a jej buciki – och, maleńkie niebieskie pantofelki, które zostały specjalnie ufarbowane, żeby pasowały do sukienki, wystającej spod płaszczyka – były śliczne jak u lalki. Pani Wallace okazała swoje zadowolenie.

– Wyglądasz jak z obrazka, kochanie – pochwaliła z egzaltacją, wyciągając rękę do dziewczynki. Ledwie można było dosłyszeć irlandzki akcent, ukryty pod amerykańską nosową wymową. – Wyglądasz jak prawdziwa mała solenizantka. Przyćmisz wszystkich kuzynów!

Martha podeszła do matki i ujęła jej dłoń. Serce pęczyło jej z dumy, ponieważ niczego bardziej nie pragnęła, jak zadowolić mamę.

Pani Goodwin już miała włożyć kapelusik na głowę dziewczynki, gdy powstrzymała ją dłoń w białej rękawiczce.

– Nie popsujmy jej fryzury – powiedziała pani Wallace. – Tak pięknie zawiązała pani te kokardy. Szkoda byłoby je pognieść. Wsiądziemy szybko z samochodu i spróbujemy się nie zmoczyć, prawda, Martho? – Martha skinęła głową, zerkając przelotnie na nianię, która uśmiechnęła się zachęcająco.

Pani Goodwin wzięła kapelusik i skinęła głową.

– Jak pani sobie życzy, pani Wallace.

– Chodźmy już, kochanie, nie zwlekajmy. Prezenty i tort czekają na ciebie. Babcia obiecała, że Sally upiecze najlepszy tort czekoladowy, jaki kiedykolwiek jadłaś.

Niania przyglądała się, jak matka i dziecko schodzą ze schodków na podjazd, gdzie szofer stał wyprostowany na baczność przy otwartych tylnych drzwiach samochodu, szarą czapkę miał grubo pokrytą śniegiem, a dłonie w czarnych rękawiczkach prawdopodobnie mocno zmarznięte. Patrzyła, jak jej mała podopieczna mości się na skórzanym siedzeniu, a za nią jej matka. Następnie szofer zamknął drzwi, chwilę później zasiadł za kierownicą i samochód ruszył w kierunku głównej drogi, pozostawiając świeże ślady na śniegu. Pani Goodwin wołała, żeby dziewczynka włożyła jednak kapelusik.

Dom teściowej Pam Wallace znajdował się w niewielkiej odległości. Martha cieszyła się jazdą i patrzyła przez okno na ładne domy i drzewa pokryte białym puchem. Krajobraz przypominał zimową krainę czarów i była nią zachwycona. Pam siedziała sztywno obok córki. Była zbyt pochłonięta własnymi myślami, aby zauważać magiczny świat na zewnątrz, zbyt podniecona zbliżającym się przyjęciem, żeby nawet porozmawiać z dzieckiem. Będzie tam jej szwagierka, Joan, z czwórką swoich dzieci w wieku od dziewięciu do czternastu lat, i Dorothy ze swymi chłopcami: dziesięcioi dwunastolatkiem. Na myśl o nich w Pam wstąpił duch rywalizacji. Miała nadzieję, że Martha popisie się dobrymi manierami. Bo jeśli nie, na pewno powiedzą, że postąpiła nieroztropnie, adoptując dziecko obciążone złym pochodzeniem.

Duży dom Teda i Diany Wallace'ów, zbudowany z czerwonej cegły, miał białe okiennice, szary dach i imponujący ganek wsparty na dwóch solidnych kolumnach. W tym domu wychowywał się Larry wraz z dwoma starszymi braćmi, dopóki w wieku dwudziestu pięciu lat nie poślubił Pam. Larry posiadał to

wszystko, czego rodzice Pam, irlandzcy katolicy, życzyli sobie dla córki: stare amerykańskie pieniądze, doskonałą edukację i wysokie stanowisko w służbie dyplomatycznej. No, prawie wszystko, ponieważ Larry Wallace nie był katolikiem. Miał znakomite stosunki, był dobrze ułożony, nienagannie ubrany, wysportowany, przystojny i, co najważniejsze, bogaty, ale w kwestii religii ojciec Pam, Raymond Tobin, nie był w stanie pójść na kompromis, dlatego nawet nie przyszedł na ślub. Raymond Tobin, który opuścił rodzinną farmę w Clonakilty po tym, jak jego syn Brian został zamordowany przez IRA w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku, ponieważ walczył po stronie Brytyjczyków w czasie wojny, nie był gotowy na żadne ustępstwo w kwestii religii. Tobinowie od stuleci żenili się z katoliczkami. „Nie dam Pameli Mary swojego błogosławieństwa na ślub z protestantem” – powiedział i odciął się od córki. Honora, matka Pam, ze względu na dobro najmłodszej córki odłożyła na bok swe zastrzeżenia i postarała się zaakceptować mężczyznę, którego wybrała i pokochała Pam. Jeśli utrata syna czegoś ją nauczyła, to tego, że miłość jest jedyną prawdziwą wartością na tym świecie.

Pam poślubiła Larry’ego w wieku dwudziestu dwóch lat po sześciu miesiącach narzeczeństwa. Na początku byli niezmiernie szczęśliwi, a wysiłki Pam, żeby zyskać akceptację amerykańskiej rodziny z East Coast, która też miała zastrzeżenia do małżeństwa Larry’ego z katoliczką, zaczęły przynosić rezultaty. Ale po dwóch latach daremnych prób zajścia w ciążę lekarz Pam potwierdził jej najgorsze obawy: nigdy nie będzie miała dzieci. Udręka z powodu bezdzietności skłoniła ją do desperackiego poszukiwania innych rozwiązań.

Adopcja nie była chlebem powszednim w świecie Wallace’ów. Ted Wallace powiedział, że nie kupuje się psa bez rodowodu, a więc dlaczego miałyby się kupować dziecko, nie wiedząc, skąd pochodzi. Diana Wallace natomiast martwiła się, że będzie im trudno pokochać nie swoje dziecko. Ale Pam była zdeterminowana, a mąż ją wspierał podczas niedzielnych obiadów u teściów, chociaż dyskusje przeradzały się czasem w gwałtowne kłótnie. Ojciec Pam, Raymond Tobin, zgadzał się z Tedem, chociaż obaj mężczyźni nigdy się nie poznali. „Nigdy nie wiesz, co dostajesz – rzekł do córki. – Kupisz sobie syna, Pamelu Mary, ale niezależnie, jakie imię mu nadasz, nie będzie on ani Tobinem, ani Wallace’em”. Jednak jej matka, rozumiejąc rozpaczliwą tęsknotę córki za macierzyństwem, wyszeptała, że byłoby szlachetnie dać szansę jednemu z tych biednych irlandzkich dzieci, które rodzą się w zakonach, ponieważ ich niezamężne matki są zbyt młode, żeby się nimi zająć. Przy pomocy matki Pam znalazła w Nowym Jorku agencję adopcyjną, mającą kontakt z klasztorem Matki Bożej Królowej Nieba w Dublinie. Larry załatwił sobie posadę w Europie, gdzie miał rozwijać stosunki anglo-amerykańskie, a więc wyjechali na dwa lata do Londynu, skąd raz po raz udawali się do Irlandii w poszukiwaniu upragnionego dziecka. Zdając sobie sprawę, że ich działanie jest niekonwencjonalne, zrobili wszystko, co

w ich mocy, żeby utrzymać sprawę w tajemnicy. Wiedziała tylko rodzina Larry'ego i rodzice Pam, ponieważ trudno byłoby to ukryć przed najbliższymi.

Martha była dokładnie taka, jaka powinna być uprzywilejowana i rozpieszczona mała dziewczynka. Ładna, grzeczna, urocza, miała subtelne rysy twarzy, a zdaniem Pam, nawet arystokratyczne. Czyż siostra Agatha nie powiedziała im, że matka dziecka pochodzi z dobrej rodziny? Na dodatek Martha była oczkiem w głowie babci Wallace. Po raz pierwszy się zdarzyło, że Diana Wallace wydawała dla wnuka urodzinowe przyjęcie. Pam powinna czuć dumę, ale w gruncie rzeczy była zbyt zdenerwowana, żeby cieszyć się tą chwilą. Joan i Dorothy będą tam ze swoimi wspaniałymi pociechami – małymi klonami rodziców – których przeznaczeniem jest kontynuowanie linii rodowej, co jest sprawą niezwyklej wagi dla teścia Pam. A któż znał rodowód Marthy?

Pam zwróciła się do dziecka, a w tonie zadanego przez nią pytania zabrzmiało lekkie ostrzeżenie.

– Będiesz dzisiaj grzeczna, prawda, Martho?

– Tak, mamó – odparła dziewczynka posłusznie. Wyczuwając zdenerwowanie matki, zaczęła wyłamywać sobie palce.

Kiedy Pam zajęła do domu teściów, Joan, żona najstarszego syna Wallace'ów, Charlesa, siedziała już w salonie na sofie obok Dorothy, żony środkowego syna Stephena. Teściowa, budząca szacunek Diana Wallace, zajmowała honorowe miejsce w fotelu. Joan, dyskretnie obrzucając wzrokiem swoje szwagierki, oceniła, że wśród nich jest najlepiej ubrana. Wyraźnie się z tego powodu odprężyła. Jej kasztanowe krótkie włosy zawijały się na policzkach jak haczyki na ryby. Miała na sobie liliową krótką sukienkę z modnie obniżoną talią, a na niej długi kardigan, dobrany kolorem do kapelusza i ozdobiony na jej lewym ramieniu aplikacją w kształcie kwiatu. Wszystkie elementy kreacji były pieczołowicie dopasowane, zgodnie z najnowszymi trendami mody – czarne pantofle z paskiem, pończochy w kolorze burgunda i długi, spływający do talii, sznur niebieskich koralików – i całość wyglądała niezwykle sztywno. Dorothy, która we wszystkim wzorowała się na Joan, próbowała uzyskać podobny efekt, ale poniosła porażkę i po prostu wyglądała okropnie. Pam, choć jej szyk był równie wystudiowany jak Joan, w porównaniu ze szwagierką prezentowała się sztywno i dość pospolicie.

Babci Wallace pojaśniała twarz na widok Marthy. Wyciągnęła do niej ramiona, a dziewczynka ufnie w nie wpadła, wiedząc, że babcia zawsze chętnie ją uściśnie.

– Czyż to nie moja urocza solenizantka? – powiedziała Diana Wallace. – Oj, chyba znów urosłaś, młoda damo.

Pam zauważyła, że Joan na widok takiej demonstracji uczuć babci do wnuczki zacisnęła na moment usta w cichej satysfakcji. Joan delectowała się

faktem, że Pam nie może mieć dzieci, i cieszyło ją, że była pierwszą synową, która dostarczyła dziadkom wnuki. Ma i Grumps, ponieważ tak nazywano w rodzinie Dianę i Teda, uwielbiali swoje wnuki. Grumps interesował się grą chłopców w tenisa i golfa, a Ma czytała dziewczynkom bajki i zachęcała je do nauki gry na pianinie i malowania. Wkrótce Dorothy urodziła chłopców, ale Joan nie czuła się zagrożona, ponieważ szwagierka podziwiała ją gorąco i szczerze, a poza tym Diana Wallace darzyła specjalnym uczuciem dzieci swego najstarszego syna. Dopóki Pam nie wróciła z Europy z dzieckiem.

Pam nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Joan, gdy po raz pierwszy zobaczyła Marthę. Badawczo zajrzała do kołyski i parsknęła z pogardą:

– Kłopot z adopcją polega na tym, że nigdy nie wiesz, co dostajesz. Geny są bardzo silne, wiesz o tym. Możesz wychowywać ją według swoich wzorców, ale wewnątrz zostanie tym, kim jest naprawdę. A kim ona jest? – Pokręciła głową i zrobiła współczującą minę. – Czas pokaże. – Pam była zdecydowana udowodnić Joan, że się myli.

Pam zdjęła Marcie czerwony płaszczyk i przez chwilę dziewczynka stała w niebieskiej jedwabnej sukience z białym okrągłym kołnierzykiem i białą szarfą. Nawet Joan nie mogła zaprzeczyć, że mała solenizantka wygląda uroczo. Pam puchła z dumy, ponieważ żadne z dzieci Joan czy Dorothy nie posiadało w sobie tyle poruszającej serce słodyczy. W Marcie tkwiło coś, co różniło ją od reszty. Była jak łabędź wśród gęsi, jak orchidea wśród stokrotek, pomyślała uszczęśliwiona Pam. Chwilę później pojawiły się inne dzieci, rozgorączkowane biegiem po domu i zabawą w chowanego. Stos prezentów piętrzył się na pianinie; Marthę obdarowywano kolejnymi lśniącymi paczuszkami, obwiązanymi kolorowymi wstążkami z kokardami. Otwierała je ostrożnie przy pomocy kuzynów i co chwila wyrażała swój zachwyt. Dobrze wiedziała, że nie należy kręcić nosem na prezenty, które nie przypadają jej do gustu, za każdym więc razem uprzejmie dziękowała, cały czas czując na sobie przenikliwy, a zarazem usatysfakcjonowany wzrok matki.

Podwieczorek podano w oranżerii, którą udekorowano ładnymi kolorowymi serpentynami i jaskrawymi balonikami. Dzieci piły sok pomarańczowy, jadły kanapki z jajkiem i szynką i pochłaniały łapczywie tort urodzinowy w kształcie kota, który upiekła kucharka pani Wallace. Twarz Marthy na widok tego cuda z czterema płonącymi świeczkami rozjaśnił urzekający uśmiech.

Babcia Wallace ledwie mogła oderwać wzrok od najmłodszej wnuczki i gdy tylko dziewczynka powiedziała lub zrobiła coś zabawnego, zaraz komentowała.

– Czyż ona nie jest niezwykła, prawda, Pam? – zachwycała się. – Nie ma nawet jednego okruszka na sukience.

Wyraźnie zirytowana Joan stała w kącie oranżerii z filiżanką herbaty.

– To tylko dlatego, że ona jest adoptowana – szepnęła do Dorothy, wiedząc, że znajdzie w niej sojusznika. – Ma celowo przesadza, żeby Pam poczuła się lepiej.

Rozczuła się nad nią, ponieważ dziewczynka jest ofiarą losu.

– Och, nie sądzę, żeby była ofiarą losu, Joan – powiedziała Dorothy. Chwilę później, gdy Joan już miała się obruszyć na szwagierkę za nietypowy dla niej brak zgody, Dorothy dodała: – Ona jest dziwna. George mówi, że ma jakąś wymyśloną babcię o imieniu Adele czy Adine, czy coś podobnego. Ofiary losu nie mają wymyślonych babć. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że ona ma zdolności paranormalne.

Joan zmrużyła oczy.

– Paranormalne? Co masz na myśli?

– Myślę, że ona widzi zmarłych ludzi.

– Nie sądzisz, że ich sobie wyobraża?

– Myślę, że ona naprawdę widzi zmarłych. Ostatnio w jakimś magazynie czytałam artykuł na temat parapsychologii. Wiele małych dzieci ma wymyślonych przyjaciół, którzy wcale nie są wymyśleni. Najwyraźniej to dość powszechne zjawisko.

– Żadne z moich dzieci nie miało wymyślonych przyjaciół – stwierdziła Joan.

– Ani żadne z moich, dzięki Bogu! Gdyby tak było, szybko wybiłabym im to z głowy! Na pewno Stephen nie pochwałaby czegoś takiego.

– Martha teraz jest milutka – podkreśliła Joan – ale z czasem może sprawiać kłopoty. W przypadku naszych dzieci przynajmniej wiemy, skąd biorą się ich wady.

– Święta prawda, Joan.

– Rodzinne wady są w jakimś sensie do przyjęcia, ale... – Joan westchnęła ze źle ukrywaną satysfakcją. – Przewinienia Marthy zawsze będą dla nas zaskoczeniem.

Po podwieczorku, gdy reszta rodziny przeniosła się z powrotem do salonu, pojawił się Ted Wallace ze swoim średnim synem Stephenem, którzy jedli lunch w klubie golfowym. Ku wielkiemu rozczarowaniu Teda gra w golfa okazała się niemożliwa ze względu na opady śniegu. Obaj mężczyźni byli w znakomitych humorach po posiłku zjedzonym z przyjaciółmi i zakończonym grą w bilard. Ted był entuzjastą wszelkich rozgrywek sportowych, zwłaszcza tych związanych z piłką, a Stephen odziedziczył po ojcu zarówno miłość do sportu, jak i jego uzdolnienia. Wkroczyli do salonu, syci, z humorem komentując przebieg swojego zwycięstwa przy bilardowym stole.

Wnuki grzecznie stanęły i przywitały się z dziadkiem, który był wysokim, trzymającym się prosto, imponującym mężczyzną o szerokich ramionach, gęstych siwych włosach szesanych do tyłu z szerokiego, pokrytego bruzdami czoła i nadal atrakcyjnej twarzy pomimo swoich pięćdziesięciu dziewięciu lat. Ted Wallace interesował się bardziej wnukami płci męskiej, podobnie jak on zapalonymi

graczami, ale dla dziewczynek też znajdował miłe słówka, chwając ich ładne sukienki lub pytając o ulubionego królika czy psa. Gdy dzieci znów się rozbiegły, stanął przed kominkiem i zapalił cygaro, Stephen zaś usiadł obok żony na kanapie, oparł się o poduszki i westchnąwszy z zadowoleniem, wyciągnął nogi.

– Wygląda na to, że będzie padać przez całą noc – zauważył Ted. – Na waszym miejscu nie odkładałbym wyjazdu. Samochody ugrzęzną w takim śniegu. Oczywiście, bylibyśmy zachwyceni, gdybyście u nas przenocowali.

– Wielki Boże, nie mam odpowiednich butów do chodzenia po śniegu! Jeśli samochód gdzieś utknie, a my razem z nim... – zaniepokoiła się Joan. – Jesteś pewien, że nadal pada? – Z lękiem zerknęła przez okno.

– Nie macie się czego obawiać jeszcze przynajmniej przez godzinę – odpowiedział jej teść. – Przecież do was niedaleko. – To prawda, synom Diany Wallace udało się znaleźć domy w odległości kilku kilometrów od posesji rodziców, co mogło świadczyć, że ciągle trzymają się matczynej spódnicy.

– Zawołam dzieci – zdecydowała Dorothy, wstając.

– Jak się udało przyjęcie? – spytał Ted, wypuszczając kłęby dymu z cygara.

– Och, Martha doskonale się bawiła – podkreśliła Diana. – To nasz prawdziwy mały skarb.

– Tak miło zobaczyć ją razem z kuzynami – powiedziała Joan. – Ona naprawdę jest jedną z nas, czyż nie?

– Oczywiście – potwierdziła Pam, trochę zbyt szybko. – To niezwykle miło z twojej strony, Ma, że wydałaś dla niej przyjęcie. Cieszyła się każdą jego minutą.

Diana roześmiała się melodyjnie.

– Czyż nie jestem jej ulubioną babcią, Pam? Muszę robić wszystko, co w mojej mocy, żeby utrzymać się na czele.

– Trudno konkurować z kimś wyimaginowanym – wtrąciła Joan z diabelskim uśmieszkiem.

– To ona ma wyimaginowaną babcię? – zaciekał się Stephen, kładąc dłonie na karku i ziewając.

– Och, oto i ona. Dlaczego jej nie spytamy? – podpowiedziała Joan, gdy Martha weszła do pokoju za starszymi dziećmi.

– Nie mam pojęcia, o czym Joan mówi – zachnęła się Pam, a jej twarz wyrażała zażenowanie.

– Wcale nie zmyślam. Dorothy, jak ona ma na imię, ta wymyślona babcia Marthy?

Stojąca w drzwiach Dorothy zbladła, wyglądała na zakłopotaną. Wyraźnie nie chciała stać się bohaterką jakiegoś zamieszania.

– Pomóż nam, kochanie – zwróciła się Joan do małej dziewczynki. Martha zerknęła z niepokojem na matkę. Zniecierpliwiona Joan stuknęła długimi paznokciami po oparciu fotela. – Powiedz, jak ma na imię twoja wymyślona,

a może nie całkiem wymyślona babcia? Bardzo chcemy to usłyszeć.

Pam poderwała się i wzięła córkę za rękę.

– Chodźmy już, kochanie, musimy dojechać do domu, zanim całkiem nas zasypie. – Zwróciła się do szwagierki i twarz jej stwardniała. – Potrafisz być bardzo nieżyczliwa, Joan.

Joan roześmiała się, a potem z westchnieniem przycisnęła rękę do piersi.

– Daj spokój, Pam. To tylko zabawa. Jesteś przeczulona. Diana może współzawodniczyć z babcią Tobin, ale konkurowanie z duchem przekracza jej możliwości.

Diana pokręciła głową.

– Nie ma nic nadzwyczajnego w posiadaniu wymyślonych przyjaciół. Martha tyle czasu spędza sama, że to zupełnie normalne, że wymyśla przyjaciół, z którymi się bawi. Nie mam nic przeciwko temu, że masz jeszcze jedną babcię, Martho. Byle tylko była dla ciebie tak miła jak ja.

Dziewczynka uśmiechnęła się, chociaż jej oczy załśniły od łez.

Pani Goodwin zauważyła, że po powrocie do domu Martha była bardzo przygaszona. Pani Wallace powiedziała, że dziecko jest zmęczone, ale później, gdy Martha już leżała w łóżku, niania po raz drugi coś podsłuchiwała. Tym razem zatrzymała się przy otwartych drzwiach celowo. Taka powaga i spokój nie były podobne do Marthy, a już szczególnie po przyjęciu urodzinowym. Państwo Wallace'owie siedzieli w salonie, racząc się drinkiem przed kolacją. Pani Goodwin krążyła pod drzwiami, łowiąc uszami fragmenty rozmowy.

– Gdyby była naszym biologicznym dzieckiem, nie przeszkadzałyby mi jej wady albo dziwactwa, jak je nazywasz, ponieważ byłyby to nasze rodzinne skazy, które znam. Ale ponieważ ona pochodzi nie wiadomo skąd, nie mogę przestać się martwić, że jest inna. A ja nie chcę, żeby była inna, Larry! Aby dopasować się do rodziny, Martha musi być taka sama jak inne dzieci. Nie rozumiesz?

– Myślę, że niepotrzebnie się zamartwiasz. Wyrośnie z tego, gdy pójdzie do szkoły i nawiąże prawdziwe przyjaźnie.

– Nie chcę czekać tak długo. Chcę rozwiązać to teraz.

– Co proponujesz? – spytał Larry.

– Zaprowadzę ją do lekarza.

Larry się roześmiał.

– Ona nie jest chora, Pam.

– Rozmawianie z ludźmi, których nie możemy zobaczyć, to swego rodzaju choroba, Larry. Na pewno to nie jest normalne. – Pam podniosła głos.

Pani Goodwin złapała się za szyję. Co powie lekarz na temat „daru” Marthy? Jak zamierza ją „leczyć”? Usłyszała, jak pan Wallace ciężko wzdycha. Nie miał zbyt wiele cierpliwości do spraw domowych.

– Jak uważasz, Pam. Jeśli uspokoi cię, gdy jakiś lekarz powie, że rozmowa

ze stokrotkami to zupełnie normalne w tym wieku, proszę bardzo.

– Mary Abercorn poleciła mi pewnego człowieka w Nowym Jorku, który wyleczył jej syna ze stanów lękowych. Bobby jest teraz beztróskim chłopcem, więc ten specjalista musi być dobry.

– A więc to nie lekarz?

– Nie, on jest... – zawahała się. – No, wiesz, to ktoś, kto zajmuje się duszą, nie ciałem.

– Jakiś szarlatan?

– No, wiesz, Larry!

– W porządku, psychiatra? – Nastąpiła dłuższa pauza, gdy pan Wallace rozważał sugestię żony. W końcu odezwał się rozstrzygającym tonem: – Pod warunkiem że jej nie wyrządzi krzywdy.

Pani Goodwin usłyszała już dość. Pospieszyła na schody i szybkim, cichym krokiem, ponieważ odgłos jej butów tłumił chodnik, weszła na górę. A gdy już tam dotarła, oparła się o poręcz i przymknęła oczy. Odetchnęła głęboko, próbując zagłuszyć strach. Jednak mimo jej wysiłków, czał się jak cień w jej sercu. Nie wiedziała, co zrobi psychiatra, ale wiedziała na pewno, że nie wyjdzie z tego nic dobrego.

Rozdział 9

Martha leżała w łóżku, słuchając znajomych odgłosów nocy: szmeru istot przemieszczających się po jej sypialni, ich szeptów, pomruków i gorączkowej aktywności – chociaż w ciemności nie potrafiła powiedzieć, co robią. Wiedziała, że są czymś zajęci, że są ludźmi, chociaż nie takimi jak jej rodzice i pani Goodwin; instynktownie wyczuwała, że są ludźmi nie z tego świata.

Te nocne szmery nigdy nie przerażały Marthy, ponieważ babcia Adeline zapewniła ją, że duchy nie chcą zrobić jej krzywdy. „Są po prostu ciekawe – wyjaśniła. – Zaświaty są bliżej nas, niż sobie wyobrażamy”. Martha lubiła Adeline. Miała delikatny uśmiech, łagodne oczy, a jej śmiech był lekki jak piórko. Przy matce Martha musiała się zachowywać najlepiej, jak potrafiła. Musiała się starać nie pobrudzić sukienki czy bucików. Musiała być grzeczna i uprzejma. Musiała być dobrą dziewczynką. Chociaż była zbyt mała, żeby zrozumieć skomplikowany świat dorosłych, intuicyjnie wiedziała, że o uczucie matki musi walczyć. Wiedziała, że jej miłość nie jest bezwarunkowa. Z Adeline było inaczej. Wyczuwała, że Adeline kocha ją taką, jaką jest. A przecież ta babcia nie mówiła jej nic szczególnego. Miłość przejawiała się w jej spojrzeniu, sprawiającym, że dziecko czuło się kochane i cenione.

Pani Goodwin powiedziała Marcie, żeby nie opowiadała nikomu o Adeline. Dziewczynka miała z tym trudność, ponieważ Adeline była dla niej tak samo prawdziwa jak babcia Wallace – no, prawie tak samo. Wiedziała, że matka nie lubi, jak opowiada o „wymyślonych przyjaciółach”, jak ich nazywała. Bo gdy o nich przypadkiem wspomniała, wyraz twarzy matki się zmieniał. Nagle robił się bardzo surowy. Matka wciągała w siebie miłość, jakby była czymś namacalnym, tak samo jak dziadek zaciągał się dymem z cygara. W jednej chwili wypełniała przestrzeń naokoło niej, a potem, wraz z następnym głębokim wdechem znikła z powietrza, pozostawiając Marthę zimną, samotną i zawstydzoną. W takich chwilach Martha bardzo się starała znów wydobyć z matki miłość. Była nadzwyczaj grzeczna. Z czasem matka i córka przywykły do tej huśtawki we wzajemnych relacjach. Pam cofała swoje uczucie w podświadomej próbie utrzymania kontroli nad dzieckiem, Martha zaś bardzo się starała z powrotem je zdobyć. Przez cały czas, gdzieś w tle, była obecna Adeline, która zapewniała Marthę, że jest kimś wyjątkowym.

Martha leżała teraz w łóżku, wsłuchując się w odgłosy pokoju i odnajdując w nich spokój. Nie zdawała sobie sprawy, jak kruchy jest jej świat. Ale niebawem miała się tego dowiedzieć.

Nazajutrz rano pani Goodwin ubrała ją w zieloną sukienkę, pasujący do niej

rozpinany sweterek i białe podkolanówki. Zebrała jej włosy do tyłu i przewięzała zieloną kokardą. Potem sprowadziła ją na dół do holu, gdzie czekała na nią matka. Tym razem jechała do Nowego Jorku. Pani Goodwin opowiadała jej o ekscytującym Manhattanie i Martha nie mogła się doczekać, aż go zobaczy. Nie była jeszcze nigdzie dalej niż w domu babci Wallace i myśl o dużym mieście bardzo ją emocjonowała.

Nowy Jork okazał się rzeczywiście podniecający. Martha przyciskała nos do szyby i patrzyła na wysokie budynki, które wyrastały wyżej niż drzewa, oraz na chodniki, szare od rozmokłego śniegu i błota. Nigdy nie widziała tylu ludzi i tylu samochodów, które jechały w długich rzędach, a niektóre trąbiły niecierpliwie. Przed frontem eleganckiego budynku z brązowego piaskowca samochód zatrzymał się, jej matka przewiesiła torebkę przez ramię i czekała, aż szofer otworzy drzwi. Gdy stał wyprostowany na baczność, Pam wysiadła z samochodu, potem wzięła Marthę za rękę i zaprowadziła ją po stromych schodach pod drzwi.

Martha, która beztrąsko paplała w samochodzie, nagle ucichła. Trzymała się blisko mamy, mocno ściskając ją za rękę. Było coś przytłaczającego w tym miejscu, co przyprawiało ją o strach. Wystraszyła ją winda, ponieważ przypominała klatkę dla zwierząt. Przy otwarciu i zamknięciu, gdy drzwi wydały grzechoczący dźwięk, Martha poczuła się, jakby zamykano ją w więzieniu. Doznała ulgi, gdy matka otworzyła je na pierwszym piętrze, i mogły z niej wyjść. Kobieta z jaskrawoczerwonymi ustami i rzęsami długimi jak odnóża pająka powitała je zza biurka. Pam przedstawiła się i kobieta zaprosiła je do poczekalni.

Pam przywiozła ze sobą książkę z obrazkami, żeby Martha miała co oglądać, gdy czekały. Była to jej ulubiona książeczka o małym kotku, który się zagubił, a później został znaleziony. Dziewczynka, oglądając kolorowe ilustracje, zapomniała o przerażającej windzie. Chwilę później wysoki, sztywny mężczyzna pochylił się nad nią. Miał lśniące blond włosy z przedziałkiem na boku i gładką białą skórę.

– Witaj, Martho – powiedział, a sposób, w jaki wymówił jej imię, świadczył o cudzoziemskim pochodzeniu. Wyciągnął do niej rękę, Martha podała mu swoją i pozwoliła mu nią potrząsnąć. – Nazywam się Edlund. Chwilę porozmawiam z twoją mamą, a potem poproszę cię, żebyś weszła do mojego gabinetu. – Uśmiechnął się do niej, ale Martha była zbyt zdenerwowana, żeby odwzajemnić uśmiech. Wpatrywała się w duże niebieskie oczy, takie dalekie, ponieważ mężczyzna był naprawdę słusznego wzrostu, wyczuwając w jego energii coś odpychającego. Potem zniknął z jej matką w gabinecie, zamykając za sobą drzwi. Marthę skręcało w żołądku z nerwów. Położyła książkę na kolanach, ale jej nie oglądała, tylko wpatrywała się w drzwi, bojąc się tego momentu, gdy pan Edlund się w nich pojawi i ją wezwie.

Po chwili, która wydawała się bardzo długa, drzwi rzeczywiście się

otworzyły i pan Edlund zaprosił ją do środka.

– Możesz już wejść, Martho – poprosił, a dziewczynka zsunęła się z krzesła i zaniepokojona weszła do gabinetu.

Z ulgą zobaczyła, że matka siedzi przed drewnianym biurkiem, na którym leżą starannie ułożone dokumenty oraz książki i stoją fotografie w ramkach. Obok matki stało krzesło i pan Edlund powiedział Marcie, żeby usiadła. Zrobiła, co jej kazano, i zacisnęła ręce na kolanach. Rozejrzała się po pokoju. W kącie znajdowała się lekarska kozetka przykryta białym prześcieradłem, a obok stała lampa, której bardzo jaskrawa żarówka rzucała oślepiające światło jak jakieś demoniczne oko.

Kiedy pan Edlund się odezwał, drgnęła i oderwała wzrok od niepokojącej lampy.

– Twoja mama dużo mi o tobie opowiedziała. Mówi, że jesteś bardzo grzeczną dziewczynką. – Martha zerknęła na matkę i zobaczyła, że się uśmiecha. Poczula się nieco pewniej. – Jesteś jedynaczką i właśnie skończyłaś cztery lata. Mam rację? – Martha skinęła głową. – Dobrze. Miałaś miłe przyjęcie urodzinowe? – Znów skinęła głową. – Mam nadzieję, że nie zjadłaś zbyt dużo tortu? – Martha zarumieniła się, ponieważ zjadła za dużo ciasta i potem nawet trochę ją mdliło, ale przecież nie wylała niczego na sukienkę. Znów zerknęła na matkę, która zachęcająco skinęła głową.

– Odpowiedz na pytania pana Edlunda, Martho. On jest lekarzem – dodała Pam Wallace z naciskiem. – Możesz powiedzieć mu o wszystkim.

Pan Edlund nie poprawił pani Wallace, ponieważ uważał się za lekarza duszy, chociaż nie posiadał formalnych kwalifikacji zawodowych.

– Masz wielu przyjaciół, Martho? – spytał. Martha nie wiedziała, co odpowiedzieć. Właściwie nie wiedziała, co to znaczy. Czasem bawiła się z kuzynami, ale większość czasu przebywała sama w domu. Nagle przyszła jej na myśl pani Goodwin i przytaknęła. – Kim są twoi przyjaciele, Martho? – dopytywał się pan Edlund.

– Pani Goodwin – odpowiedziała cicho.

– To jej niania – wyjaśniła pomocnie Pam i roześmiała się lekko. – Ona nie jest przyjaciółką, Martho, tylko twoją nianią. A to co innego.

– Czy to prawda, że masz przyjaciół, których inni ludzie nie mogą zobaczyć? – kontynuował pan Edlund. Teraz jego twarz była bardzo poważna. Martha zaczęła się kręcić na krześle. Pani Goodwin przestrzegła ją, żeby nikomu nie wspominała o Adeline. Spojrzała na matkę z obawą, że za chwilę wycofa swoje uczucie, ale ku jej zdumieniu mama nadal się uśmiechała.

– Kochanie, możesz powiedzieć panu Edlundowi o wszystkim. Nie będziesz miała z tego powodu żadnych kłopotów – zapewniła.

Martha była zmieszana. Nie mogła zrozumieć, dlaczego może powiedzieć temu obcemu panu o Adeline, gdy nie wolno jej było mówić o niej w domu.

– Tak – odpowiedziała, a jej głos był zaledwie cieniem dźwięku, tak że pan Edlund musiał głęboko pochylić się nad biurkiem, żeby ją usłyszeć.

– Czy masz jednego przyjaciela, czy wielu przyjaciół?

– Wielu.

Skinął głową.

– Rozumiem. Ale twoja mama mówi, że masz jedną specjalną przyjaciółkę.

– Tak – odparła Martha.

– A jak twoja specjalna przyjaciółka ma na imię?

– Adeline.

– Gdzie się z nią spotykasz?

– W moim pokoju.

– W nocy? – Martha skinęła głową. – Czy ona teraz tu jest?

Martha pokręciła głową.

– Nie.

Pan Edlund uśmiechnął się z satysfakcją. Odchylił się w fotelu i splótł palce na brzuchu. Popatrzył na Pam, która tak bardzo chciała, żeby wyleczył jej córkę z dziwnych halucynacji, że była gotowa uwierzyć we wszystko.

– To bardzo proste – powiedział, a Pam całym swoim ciałem wyraziła ulgę.

– Och, tak się cieszę – westchnęła.

Opuścił wzrok na dziecko.

– Wiesz, że Adeline nie jest prawdziwa, czyż nie, Martho? – A gdy dziewczynka nie odpowiadała, dodał: – Tobie wydaje się prawdziwa, ale tak nie jest. Ona jest jak sen, dlatego widzisz ją wieczorem, gdy kładziesz się spać. Wymyśliłaś ją, ponieważ jesteś samotna i chcesz z kimś porozmawiać. Rozumiesz już, że Adeline jest po prostu twoją fantazją?

Martha wiedziała, że Adeline nie jest żadną fantazją i widywała ją nie tylko wieczorem, gdy szła spać. Ale popatrzyła z niepokojem na matkę. Na twarzy Pam nadal widniał uśmiech, ale Martha wyczuła, że za chwilę wessie swoje uczucie, i przeraziła ją zimna samotność, która ją otoczy. Bała się tego bardziej niż położenia na kozetce, gdzie miałoby ją obserwować demoniczne oko. A więc skłamała. Pani Goodwin uczyła ją, że kłamstwo jest czymś złym, ale ona nie chciała, żeby mama schowała swoją miłość do niej, a poza tym nie chciała, żeby pan Edlund zadawał jej dalsze pytania.

– Tak – przyznała więc, czując łzy pod powiekami.

Kłamstwo przyniosło zadziwiający efekt. Pam odwróciła się do niej zaskoczona.

– Widzisz, kochanie, Adeline jest w twojej głowie i w ogóle nie jest prawdziwa. Nie mam pojęcia, dlaczego musiałaś sobie wymyślić babcię, gdy masz już dwie, które bardzo cię kochają.

Martha wytarła łzę. Jej matka zwróciła się znów do pana Edmunda:

– Jak to możliwe wymyślić taką osobę? Ustawicznie o niej opowiadała, odkąd nauczyła się mówić.

– Umysł ludzki to bardzo skomplikowana rzecz, pani Wallace. Martha wymyśliła Adeline z konieczności i teraz wierzy, że jest prawdziwa. Dzieci mają szczególnie bujną wyobraźnię. To często się zdarza. Dzieci na ogół wyrastają z tych urojeń, a jeśli nie...

– Tak? – podchwyciła z niepokojem Pam.

– Jest wiele możliwości. Ale nie rozmawiajmy o tym teraz. Chyba że Martha nadal będzie wierzyć, że widzi jakichś dziwnych ludzi... A więc na razie powinna się pani postarać, żeby córka miała dość rozrywek. Potrzebuje przyjaciół do zabawy, musi być zajęta. Gdy wspomni o Adeline, proszę jej delikatnie przypomnieć, że ta kobieta istnieje tylko w jej wyobraźni. I proszę jej o tym przypominać regularnie, wtedy uda się wybić jej to z głowy. Martha jest wystarczająco mała, żeby perswazja okazała się skuteczna.

Pam była bardzo wdzięczna i zadowolona. Opuściła gabinet pana Edlunda z mocnym postanowieniem, że znajdzie Marcie małych przyjaciół do zabawy oraz ciekawe zajęcia. Na przykład zorganizuje jej lekcje gry na skrzypcach. Zamiast siedzieć w oknie i marzyć, będzie ćwiczyć gamy. Co za ulga usłyszeć, że fantazje Marthy to tylko symptom jej samotności! Pam nie mogła doczekać się, aż przekaże to Joan i Dorothy. Powie im, do jakich wniosków doszedł pan Edlund – albo raczej doktor Edlund; w tym punkcie skłamię, ponieważ diagnoza postawiona przez lekarza zabrzmi wiarygodniej.

Martha po schodach zeszła za mamą do samochodu. Nie odezwała się przez całą powrotną drogę, tylko patrzyła ze smutkiem przez okno. Za to jej matka paplała, jaki cudowny jest doktor Edlund i jakie rozsądne postawił rozpoznanie. Nie zdawała sobie sprawy, że zniszczył coś w sercu dziecka: jej zachwyty dla magii.

Pani Goodwin z troską czekała w holu na powrót swojej podopiecznej. Gdy samochód zatrzymał się przed domem, już zapadał zmierzch. Śnieg zaczął znów sypać. Widziała płatki w złotej aureoli wokół ulicznych lamp. Martha wysiadła i powoli szła w stronę domu. Po mowie jej ciała niania od razu poznała, że dziewczynka jest głęboko nieszczęśliwa. Pani Wallace wyciągnęła do niej rękę i Martha pozwoliła się pociągnąć matce, która jak najszybciej chciała wejść do środka.

Wieczorem, gdy pani Goodwin kładła dziewczynkę do łóżka, spytała ją o Nowy Jork. Martha wyznała niani, że nie lubi pana Edlunda.

– Co ci powiedział, kochanie?

– Że Adeline nie jest prawdziwa.

Pani Goodwin już zamierzała wyrazić swój sprzeciw. Wiedziała, że Martha urodziła się z darem jasnowidzenia, ale nie chciała, aby dziecko popadło w kłopoty. Być może lepiej, żeby uwierzyła, że istoty, które widzi, są jedynie wytworem jej

wyobraźni. W ten sposób mało prawdopodobne, by popełniła błąd i znów zaczęła o nich mówić. Pani Goodwin wołała nawet nie myśleć o konsekwencjach. Co wtedy zrobi pan Edlund? Nie chciała, żeby Martha dorastała z przeświadczeniem, że dzieje się z nią coś złego. Nie chciała też, by pani Wallace uważała, że coś jest nie tak z jej córką.

– Moja droga, jesteś wyjątkowym dzieckiem – zaczęła delikatnie pani Goodwin. – Czasem dzieci są tak wyjątkowe, że dorośli nie są w stanie ich zrozumieć. Nie ma znaczenia, czy Adeline jest prawdziwa czy nie. Dla ciebie ona jest prawdziwa. Jeśli to cię uszczęśliwia, nie ma w tym nic złego. – Dziewczynka zamrugała i spojrzała na nianię z miłością i ufnością, ta zaś pocałowała ją w czoło. – Dobranoc i niech Bóg ześle ci spokojny sen, kochanie.

Pani Goodwin poinformowała panią Wallace, że córka jest gotowa powiedzieć jej dobranoc. Pam pogłaskała Marthę po głowie i pocałowała ją w policzek.

– Byłaś dzisiaj bardzo grzeczną dziewczynką, Martho – pochwaliła, a wtedy ciężar w sercu Marthy nieco zelżał. Gdy Pam wyszła z pokoju, Martha została sama w ciemnościach. Chwilę później usłyszała znajome szmery, szelesty i szepty. Nakryła twarz kołdrą i zaczęła śpiewać. Odkryła, że gdy śpiewa, nie słyszy głosów.

Adeline obserwowała ją ze smutkiem. Współczuła dziecku z powodu doznanego wstydu i użalała się nad ignorancją matki. Wiedziała, że teraz stanie się to, co przytrafiało się podobnym dzieciom od wieków: Martha straci swój dar. Utraci zdolność postrzegania wokół siebie delikatnych wibracji, a przez to straci swoją wyjątkową osobowość i stanie się taka jak wszyscy. Adeline nic na to nie mogła poradzić. Po prostu zgaśnie jak tęcza, gdy słońce przestaje świecić.

– Nadal będę przy tobie – szepnęła w ciemność pod kołdrą. – Zawsze będę.

Nazajutrz Pam przyniosła Marcie prezent. Pani Goodwin okazała się bardzo pomocna przy jego wyborze. Martha potrzebowała czegoś, co pokocha. Nie interesowały jej zabawki, lalki czy misie. Ona kochała prawdziwe stworzenia takie jak owady, ptaki i zwierzęta. Pani Goodwin wpadła więc na znakomity pomysł. Martha postawiła pudełko na stole i ostrożnie uniosła pokrywkę. W środku zobaczyła dwoje oczu wpatrzonych w nią z rezerwą. Dziewczynka wstrzymała oddech. Jej buzia rozkwitła w szerokim uśmiechu.

– Kotek! – wykrzyknęła podniecona. Sięgnęła do pudełka i delikatnie wyjęła zwierzątko. Kociak zamruczał i wtulił się w ciepłe ciało Marthy, gdy trzymała go na rękach.

– To chłopiec – powiedziała jej matka. – Musisz wymyślić dla niego imię.

– Jak go nazwiesz, kochanie? – spytała pani Goodwin.

Martha zastanawiała się przez chwilę, a później imię jakby samo wskoczyło jej do głowy.

– Mały Jack.

Pani Wallace zrobiła zdziwioną minę. Nie знаła nikogo o imieniu Jack.

– Skąd przyszło ci do głowy to imię?

– To ładne imię – wtrąciła niania.

– Jestem pewna, że sobie na nie zasłuży – dodała Pam.

Martha pochyliła się i przywarła ustami do miękkiej główki zwierzęcia. Dwie kobiety wymieniły spojrzenia i się uśmiechnęły. Obydwie miały nadzieję, że teraz gdy Martha ma małego przyjaciela do zabawy, prawdziwego przyjaciela, już dłużej nie będzie się czuła samotna.

– Dziękuję, pani Goodwin – powiedziała Pam, kładąc rękę na ramieniu starszej kobiety.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała niania. – Myślę, że Martha i Mały Jack są dla siebie stworzeni.

Rozdział 10

Ballinakelly, 1926

Wiosna uśmiechała się w Ballinakelly z niewinnym dziecięcym optymizmem. Promienny blask słońca błogosławił ziemię i obsypywał morze złotymi pocałunkami. Ptaki i motyle wlatywały w powietrze, a świerszcze cykały radośnie w wysokich trawach. Hazel i Laurel szły główną ulicą do kościoła, trzymając się pod rękę. Wiatr igrał ze wstążkami ich kapeluszy i targał obrębkami sukienek, one zaś odpowiadały na jego żarty z właściwą sobie wesołością, starając się gwoli przyzwoitości utrzymać kapelusze i spódnice na właściwym miejscu, a jednocześnie się nie rozdzielić.

W końcu dotarły do kościoła Świętego Patryka. Mury oblewała lśniąca pomarańczowa poświata, a widok wieży, wznoszącej się ku niebu, podnosił na duchu dwie siostry, które przeżyły tyle strachu podczas konfliktu, że nawet teraz miały obawy przed wyjściem z domu. Zostały ciepło powitane przez wielebnego Maddoxa, którego zaczerwieniona twarz i okrągły brzuch zdradzały zamiłowanie do dobrego jedzenia i wina oraz niemożność narzucenia sobie jakiegoś rodzaju umiarkowania.

– Drogie panny Swanton! – Uściskał kolejno ich małe dłonie w swych dużych i pulchnych rękach. – Czyż to nie piękny dzień? – W nabożny sposób wzniosł oczy do nieba, jakby konsultował się z Bogiem nawet w sprawie pogody.

– Och, rzeczywiście! – zgodziła się z nim Hazel, niemal czując wewnętrzny przymus, by mu podziękować. – Mamy cudowną wiosnę i jestem pewna, że lato będzie równie piękne. – Westchnęła ciężko. – Adeline tak by się cieszyła polnymi kwiatami na wzgórzach...

– Lady Deverill cieszy się kwiatami we wspaniałym ogrodzie Boga – zapewnił ją pastor.

– Oczywiście – wtrąciła Laurel.

– Adeline wierzyła, że jako duch będzie przebywać wśród nas – dodała Hazel. – W takim razie jest tutaj i sama się nimi cieszy.

– Z pewnością – zgodziła się z nią siostra. – Napawa się wspaniałym boskim ogrodem wraz z wielebnym Dauntem, który był takim dobrym pastorem. Jesteśmy bardzo zadowolone, że nasza skromna parafia zyskała tak znakomite zastępstwo.

Wielebny Maddox uśmiechnął się z wdzięcznością i zaprosił je do kościoła.

– Drogie panie, wejdźcie do środka i nacieszcie uszy muzyką. Pani Daunt

ćwiczyła nowe utwory i bardzo by chciała, żebyście ich posłuchały. Muzyka była dla niej ogromnym pocieszeniem w tym trudnym okresie. – Przyglądał się, jak dwie kobiety wchodzą do kościoła. Najbardziej zgodne siostry, jakie kiedykolwiek widział.

Wkrótce kościół zaczął się zapełniać przedstawicielami anglo-irlandzkiego ziemiaństwa, które nie zostało wygnane ze swoich domów podczas konfliktu, oraz protestantami z klasy pracującej. Panowała tu teraz nieznana wcześniej atmosfera wspólnoty. Przemoc scementowała tę małą społeczność, znajdowali w swoim gronie wzajemne wsparcie, jak stado owiec na wietrznych wzgórzach otoczone przez wilki. Sklepiarze witali lordów i lady szczerymi uśmiechami, szlachetnie zaś urodzeni ciepło odwzajemniali ich pozdrowienia.

Lord Deverill usiadł na stałym miejscu w pierwszej ławce. Kitty zajęła miejsce obok niego z Robertem i JP, jak teraz nazywano Małego Jacka, ponieważ Kitty uznała, że czteroletniego chłopca nie powinno się już nazywać „małym”, a poza tym ochrzczono go Jack Patrick. JP również do niego pasowało. Prawdę mówiąc, za każdym razem wypowiedzenie imienia Jack sprawiało jej ból.

Kitty zauważyła zmianę w swoim ojcu, subtelną jak niewidzialne przesunięcie płyt tektonicznych pod powierzchnią ziemi. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy to się stało, ale wyglądało to tak, jakby podjął decyzję, że odmieni swój stosunek do siebie i świata. To wewnętrzne przesunięcie rzutowało na całą jego osobowość na wiele sposobów. Zniknęła gdzieś melancholia, uzalanie się nad sobą i potrzeba upijania się do nieprzytomności. Wydawał się wdzięczny za życie i za wszystkie drobne przyjemności, jakie niesie ze sobą. A najbardziej wydawał się wdzięczny za Kitty i Elspeth; spędzał też dużo czasu ze swym synkiem JP, który zwracał się do niego „tato”, i cieszył się jak każdy ojciec ze wszystkich rozrywek z dzieckiem na świeżym powietrzu. Jasność bijąca z oczu Bertiego przekonała Kitty, że jego uczucia są szczerze, aczkolwiek zachodziła w głowę, co je zainspirowało. Nawet entuzjastycznie wspierał Celię w jej pracach renowacyjnych na zamku, codziennie odwiedzając plac budowy, gdzie setki ludzi harowało jak armia mrówek. Kitty żałowała, że nie dzieli z nim tego zapału, ale nie mogła; była to dla niej zbyt wielka udręka.

Nie chciała też myśleć o Jacku O’Learym. To również bolało. Zniknął z jej życia, a ono toczyło się dalej. Nie mogła uwierzyć, że to możliwe, ale tak było. Na początku kwietnia Celia urodziła córkę, którą nazwała Constance po teściowej. Dziecko Kitty miało pojawić się na świecie na jesieni. Robert chodził nieprzytomny ze szczęścia. Wziął teraz Kitty za rękę i ścisnął, gdy potężne akordy odbijały się echem od kamiennych murów kościoła. Kitty dokonała wyboru i musi nauczyć się z tym żyć.

– Kim jest ten mężczyzna siedzący obok Grace? – szepnęła Hazel do Laurel. Laurel wychyliła się do przodu i zerknęła na drugą stronę nawy.

Obok Grace Rowan-Hampton siedział mężczyzna, którego żadna z sióstr nigdy przedtem nie widziała. Obydwie zaczęły się w niego wpatrywać, a gdy chłonęły jego gęste srebrne włosy, głęboko osadzone brązowe oczy oraz starannie przystrzyżone białe wąsy nad szerokimi, zmysłowymi ustami, czas stanął w miejscu. Gwar ucichł wraz z dźwiękami muzyki organowej i tylko ich serca, które zaczęły bić w nieznanym, a raczej dawno zapomnianym tempie, dudniły im w uszach. Zjednoczone jak zwykle, podziwiałały i zarazem obawiały się srebrnego wilka w swoim gronie. Przez wiele dekad ich zapamiętałego panieństwa żaden mężczyzna nie miał w sobie tyle siły, żeby poruszyć ich serca. Nagle, ku ich przerażeniu, dżentelmen odwrócił się i przytrzymał ich spojrzenia w niewoli przez jedną elektryzującą chwilę. Uśmiechnął się i uprzejmie skinął im głową. Zarumienione z zażenowania zdały sobie sprawę, że muzyka i rozmowy wokół nich rozbrzmiewają głośniejsze niż przedtem. Oderwały od niego wzrok i zaczęły wachlować czerwone twarze książeczkami do nabożeństwa.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – szepnęła Laurel.

– To musi być ojciec Grace – powiedziała Hazel.

– Jak myślisz, czy ma żonę? – spytała Laurel, po czym pospiesznie dodała: – Boże, wybac mi, że zadaję takie pytanie w Twoim domu. Nie odpowiadaj na to, Hazel. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To chyba z tego upału. Jest okropnie gorąco, nieprawdaż?

– Rzeczywiście, Laurel. Okropnie gorąco. Nie widzę, by był z żoną... Wygląda na to, że jest z Grace.

– Ciii, wielbny Maddox zaczyna nabożeństwo. Musimy się skupić.

Hazel nerwowym ruchem przyłożyła palce do ust.

– Uśmiechnął się do nas, Laurel. Widziałaś?

Laurel dała siostrze kuksańca.

– Ciii – syknęła. Ale jej usta drgnęły w podnieceniu.

Wielbny Maddox mówił wzruszająco, kazanie zdawało się nie mieć końca. Był znany z tego, że upajał się dźwiękiem własnego głosu, aż stawał się głuchy na wszystko, ale dzisiaj czerpał ze swego kaznodziejstwa jeszcze większą przyjemność niż zazwyczaj. Być może działo się tak z powodu słońca albo chciał zrobić wrażenie na dystyngowanym dżentelmenie, siedzącym obok lady Rowan-Hampton. Tak czy owak, jego głos wznosił się i opadał burzliwymi falami, zdania ciągnęły się jak guma, by raz po raz zamienić się w krótkie burknięcia gwoli obudzenia przysypiających wiernych.

Gdy wreszcie odmówił końcowe modlitwy oraz tradycyjne błogosławieństwo celtyckie, które szczególnie sobie upodobał, Krzaczkę poderwały się do wyjścia jako pierwsze. Wołały uciec, zanim ów diabelsko przystojny pan zdoła zauważyć, do jakiej konfuzji je doprowadził.

Grace zwróciła się do starszego mężczyzny, który rzeczywiście był jej

ojcem:

– Przepraszam za proboszcza, tato. Zamienia ambonę w scenę teatralną.

Lord Hunt poklepał córkę po dłoni.

– Nie martw się o mnie, moja droga. Gdy się nudzę, co często mi się przytrafia w kościele, mój umysł błądzi swoimi ścieżkami. Dziś jednak to nie umysł, lecz moje oczy pobłądziły. – Uśmiechnął się figlarnie.

Grace pokręciła głową.

– Tato, jesteś niepoprawny. Mama przewraca się w grobie, gdy widzi, jak się zachowujesz. Jeśli masz zamieszkać ze mną w tej małej społeczności, musisz prowadzić się stosownie. Ostrzegam cię, takie miasteczko jak nasze kocha plotki. A jeśli masz lisie zamiary, postaraj się przynajmniej o dyskrecję.

– Nie wiem, o czym mówisz, Grace. – Roześmiał się rozbrajająco. – Jestem wzorem cnót. A poza tym trochę dla mnie za późno na takie sprawy... – Uniósł krzaczaste białe brwi i uśmiechnął się wilczym uśmiechem, który uświadomił jej, że wcale nie jest za stary ani niechętny „takim sprawom”. Grace również się uśmiechnęła, ponieważ pod tym względem była nieodrodną córką swego ojca.

Wyszli na słońce i Grace przedstawiła ojca Bertiemu i Kitty. Stary uwodziciel pocałował dłoń Kitty, a jego krótkie wąsy połaskotały jej skórę.

– Muszę przyznać, że kobiety w Ballinakelly są niezwykle atrakcyjne – rzekł z figlarnym błyskiem w oczach.

Kitty się roześmiała.

– Zbyt pan łaskaw. – Uśmiechnęła się przy tym szeroko do Grace, która pokręciła głową w udawanym zażenowaniu.

– Tata jest tu zaledwie od pięciu minut, a już się źle prowadzi – zauważyła.

– Mały flirt to sekret długowieczności – wygłosił lord Hunt. – A ja zamierzam żyć długo.

– Musi pan przyjść do nas na kolację – zaproponował radośnie Bertie. – Chcielibyśmy pana uroczyście powitać.

– To bardzo miło z pańskiej strony, lordzie Deverill. Grace wiele mi opowiadała o pańskiej rodzinie i muszę przyznać, że ogromnie mnie intryguje jej historia. Przykro mi z powodu pożaru, ale z tego, co słyszę, zamek jest obecnie odbudowywany.

– Kupiła go córka mojego kuzyna i prowadzi właśnie prace renowacyjne. Chętnie go panu pokażę. To ambitny i ekstrawagancki projekt, delikatnie rzecz ujmując, ale wierzę, że po zakończeniu zamek będzie wyglądać wspaniale.

– Bardzo chętnie, dziękuję – powiedział lord Hunt.

Grace z czułością spozjrzała na byłego kochanka. Ostatnio widywała przebłąski dawnego beztroskiego Bertiego w jego uśmiechu i w oczach, które wydawały się jasne jak światło poranka. Jego ubrania odzyskały świeży wygląd, a może chodziło o to, jak je nosił. Tweedowy garnitur nie był już pognieciony ani

przetarty, kapelusz znów tkwił zawadiacko na głowie. Zauważyła, że cera Bertiego przestała zdradzać jego nadmierne umiłowanie alkoholu, a zatem przestał pić whisky, a nawet wino, i zastanawiała się, co w niego wstąpiło. Kiedyś dała mu ultimatum: albo ona, albo alkohol. Nie był w stanie zrezygnować ani z jednego, ani z drugiego. Komu udało się go przekonać, jeśli jej się nie powiodło?

Usiadła za kierownicą samochodu i czekała, aż ojciec do niej dołączy. Ale on wyraźnie cieszył się ze spotkania z mieszkańcami miasteczka i rozkoszował zainteresowaniem, jakim obdarzały go kobiety, ponieważ nawet w wieku siedemdziesięciu czterech lat był przystojnym mężczyzną. Powędrowała wzrokiem za okno. Chudy pies kuśtykał po ulicy na trzech nogach, długim nosem węsząc w poszukiwaniu pożywienia. Mężczyźni w czapkach na głowie i z rękami w kieszeniach trzymali się w grupach, a w ich oczach nadal czaiła się nieufność, pozostała po konflikcie. Kobiety plotkowały pod bezchmurnym niebem, podczas gdy dzieci bawiły się na drodze, a ich śmiech odbijał się echem od ścian domów. Nagle zobaczyła Michaela Doyle'a.

Wstrzymała oddech. Serce jej stanęło. Wrażenie było tak przeszywające, że aż poczuła je fizycznie. Przez chwilę nie mogła się poruszyć. Śledziła go wzrokiem, gdy nonszalanckim krokiem w towarzystwie swego brata Seana szedł ulicą. Zamrugła, nie wierząc własnym oczom. Była pewna, że Michael odwiedzi ją jako pierwszą zaraz po powrocie do Ballinakelly. Siłą woli chciała przyciągnąć jego spojrzenie, ale on nawet przelotnie na nią nie zerknął. Szedł dalej, głęboko zatopiony w rozmowie z bratem. Przyglądała się jego twarzy, którą tak często pieściła, teraz gładkiej i promiennej, ponieważ podobnie jak Bertie wyleczył się z alkoholizmu. Ale nie myślała o Bertiem. Przyćmiony przez obraz Michaela Doyle'a zniknął z jej wyobraźni, podobnie jak wszyscy poprzedni kochankowie. Michael Doyle wrócił z Mount Melleray i nic innego nie miało znaczenia. Wydawał się teraz wyższy, potężniejszy, bardziej męski i atrakcyjny niż przedtem. Ogarnęło ją gorąco, dostała gęsiej skórki, ścisnęło ją dołku. Mocno chwyciła się kierownicy. Właśnie ją minął. Przyglądała się jego plecom. Oczy ją zapiekły od intensywnego patrzenia. Jak to możliwe, że jej spojrzenie nie paliło go przez marynarkę? Jak to możliwe, że nie wyczuwał jej obecności? Dlaczego się nie odwrócił? Chciała do niego podbiec; rzucić mu się w ramiona, przytulić i poczuć jego twarde dłonie na skórze, zachłanne usta na swoich ustach. Ale wiedziała, że musi się pohamować. Musi poczekać. Przecież doskonale wiedział, gdzie mieszka. Była pewna, że przyjdzie tak szybko, jak będzie mógł. Na pewno pragnął jej równie gorąco.

– Lord Deverill to czarujący młody człowiek – rzekł lord Hunt, wsuwając się na siedzenie pasażera. Nie zauważył bladości na twarzy córki ani wyraźnego pożądanego w jej oczach. – Miło z jego strony, że zaprosił mnie, żebym obejrzał zamek. Wiesz, jak lubię historię.

Ledwie ojciec zatrzasnął drzwi, Grace uruchomiła silnik i powoli ruszyła ulicą, rozglądając się nerwowo. Ojciec nadal dzielił się z nią myślami, ale go nie słuchała. Była skupiona, by ściągnąć na siebie spojrzenie kochanka, żeby ją zobaczył i domyślił się, że pragnie, by do niej przyszedł. Kiedy samochód zbliżał się do pubu O'Donovana, znów go dostrzegła i po chwili się z nim zrównała. Przyhamowała i jechała wolno, równo z nim. Sean zerknął na nią, ale Michael, zajęty rozmową, nie zdawał sobie sprawy, że w jadącym obok samochodzie siedzi zdesperowana kobieta, która chce, żeby na nią spojrział.

Nie mogąc się powstrzymać, zatrąbiła. Obaj mężczyźni, jak również inni przechodnie, odwrócili się zaskoczeni. Wychyliła się przez okno i rozpromieniła w uśmiechu, udatnie skrywając swoje męki. Grace Rowan-Hampton była doświadczoną aktorką i w udawaniu nie miała sobie równych.

– Panie Doyle – odezwała się i nawet głos jej nie zadrżał.

– Lady Rowan-Hampton! – Michael miał zaskoczoną minę. Zdjął czapkę i czekał na jej dalsze słowa.

– Cieszę się, że pan wrócił. Mój mąż poszukuje silnych mężczyzn, żeby wyczyścić zagajnik za domem. Zimowe wichury powaliły kilka drzew. Gdyby pan i pańscy przyjaciele szukali jakiejś pracy, proszę do mnie zajrzeć.

Skinął głową.

– Popytam u O'Donovana – zaproponował.

– Dziękuję – odparła, mając nadzieję, że tak jak zawsze odczyta z jej oczu wiadomość. – Będę na pana czekała. Sir Ronald chciałby, żeby tę pracę wykonać jak najszybciej. Wierzę, że znajdzie pan kilku chętnych.

Odjechała, ponieważ nie było nic więcej do powiedzenia. Jej ojciec z osłupieniem patrzył, jak w tylnym lusterku Grace sprawdza, czy mężczyzna odprowadza wzrokiem samochód, ale on tego nie zrobił. Zniknął w pubie O'Donovana, a na ulicy pozostało tylko kilku niechlujnych wyrostków, podziwających jej odjeżdżający z warkotem silnika lśniący wóz.

Po powrocie do domu Grace pospieszyła na górę, aby przebrać się w wygodniejszą suknię. Spędziła dużo czasu przed lustrem, poprawiając fryzurę, ożywiając policzki różem i delikatnie skrapiając perfumami skórę za uszami i na dekolcie. Spodziewała się, że Michael niebawem przyjdzie.

Ethelred Hunt umościł się w dużym fotelu na tarasie; chroniony przed wiatrem i ogrzewany promieniami słońca, siedział w okularach na nosie i czytał „Irish Timesa”. Pokojówka przyniosła mu kieliszek sherry, a on zapalił papierosa. Z satysfakcją wciągnął głęboko dym, a potem wydmuchał go w powietrze. Nie zastanawiał się nad dziwnym zachowaniem córki przed pubem ani nadzwyczajnie długim czasem, jaki spędzała w sypialni, ponieważ Ethelred Hunt należał do mężczyzn skoncentrowanych głównie na własnych przyjemnościach i teraz jego uwagę zaprzętały owe dwie damy podobne do ptaków, które wyglądały na bardzo

poruszone jego widokiem w kościele. Miałyby z nimi niezłą zabawę. Nie na darmo nazywano go „Ethelred – zawsze gotowy”. Gdy Grace w końcu pojawiła się na tarasie, nawet nie zauważył jej zdenerwowania. Wyczekiwała przez resztę dnia, ale Michael nie przyszedł.

Dopiero nazajutrz Brennan zapukał do drzwi swej pani i oznajmił, że przed domem czeka grupa młodych mężczyzn, którzy przyszli robić porządki w zagajniku. Serce Grace lekko podskoczyło.

– Świetnie – powiedziała. – Poinformowałam Tannera, że ma się ich spodziewać. Daj mu znać, że przyszli. – Chociaż bardzo chciała wybiec przed dom, wiedziała że takie zachowanie byłoby niestosowne. A zresztą, od jak dawna Michael jest w Ballinakelly? Spodobała jej się myśl, że teraz on sobie na nią poczeka.

Brennan udał się na poszukiwanie ogrodnika. Podniecona Grace krążyła niespokojnie po pokoju, wyłamując palce. Ethelred pojechał z Bertiem obejrzeć zamek, a potem wybierał się na lunch do Hunting Lodge. Zanosiło się, że nie będzie go całe popołudnie. Grace podejrzewała, że Bertie zechce pokazać mu całą posiadłość. Ojciec był znakomitym jeźdźcem oraz miłośnikiem wyścigów, a skoro Bertie równie dobrze mógł uchodzić za wdowca, obaj mieli ze sobą wiele wspólnego. Ronald był w Londynie, gdzie obecnie spędzał mnóstwo czasu. Aż do zmroku miała dom dla siebie i postanowiła nie zmarnować okazji.

Gdy Michael nie podszedł pod okno gabinetu ani jak miał w zwyczaju, nie przyszedł do jej saloniku, zaczęła się martwić. Czyżby poszedł do zagajnika, żeby zachować pozory? Przecież mógł wymyślić jakiś pretekst... Wyszła na taras i spojrzała przez trawnik. Słyszając szelest liści kaliny za plecami, wzdrygnęła się i odwróciła, spodziewając się zobaczyć Michaela z pożądanym uśmiechem na twarzy, ale to była tylko para kłócących się gołębi. Westchnęła ciężko i zmarszczyła czoło. Dlaczego tak długo to trwa?

Doprowadzona do pasji wyszła do holu poszukać Brennana. Przez wiele lat kamerdyner widział przewijających się tu mężczyzn i nigdy nawet nie uniósł brwi. Wiele razy wpuszczał Michaela i bez anonsowania pozwalał mu szwendać się po domu, jakby tu mieszkał. Raz nawet go ostrzegł, gdy sir Ronald wrócił niespodziewanie. Teraz spytany, czy Michael pracuje w zagajniku, przecząco pokręcił głową.

– Nie, proszę pani. Michael Doyle nie przybył z tymi ludźmi.

Twarz Grace pociemniała z wściekłości. Jak śmiał tak ją poniżyć?

– Dziękuję, Brennan. Jeśli się pokaże, powiedz mu, że źle się czuję. – Weszła na górę, gdzie padła na łóżko, przytuliła się do poduszki i zastanowiła nad dalszym planem działania.

Wieczorem jej ojciec wrócił w świetnym humorze. Bez końca snuł opowieści o wspaniałym dniu, jaki spędził z Bertiem.

– Wiesz, przedstawił mi swego nieślubnego syna. Ładny chłopiec i do tego bardzo bystry. Bertie powiedział mi, że jego żona jest na niego tak wściekła, że nie pozwoliła mu przeprowadzić się do Londynu, gdzie kupił jej dom na Belgravii. Wygląda na to, że utknął tu na dobre. Poradziłem mu, żeby wymienił ją na nową.

– Och, doprawdy, tato! – obruszyła się Grace. – Ona nie jest koniem.

– Z tego, co słyszałem o Maud Deverill, Bertie miałyby więcej pociechy z konia.

Grace pomimo fatalnego nastroju nie mogła powstrzymać śmiechu. Cóż, przynajmniej ojciec dobrze się bawi, bo ona na pewno nie. Nieustannie rozważała, dlaczego Michael do niej nie przyszedł, i żadne wytłumaczenie nie uśmierzało jej rozczarowania i wściekłości. Niech sobie znajdzie naprawdę dobrą wymówkę, bardzo dobrą wymówkę! – pomstowała w duchu. Inaczej pożałuje, że wrócił z Mont Melleray!

Grace przez cały tydzień chodziła rozstrojona, kryjąc frustrację pod maską płytkiej wesołości. Wydawało się, że wszyscy w hrabstwie chcą poznać jej ojca. Codziennie jeździli na prośzone kolacje, podczas których Ethelred zabawiał towarzystwo komicznymi opowieściami i anegdotami, jak zwykle mocno przesadzonymi i upiękuszonymi, a niektórymi nawet całkiem zmyślonymi, ponieważ lord Hunt był człowiekiem o wyjątkowo bujnej wyobraźni. Gdziekolwiek się pojawił, roztaczał atmosferę zabawy. Ale nikt nie był bardziej oczarowany starym wilkiem niż Krzaczki, które w sobotni wieczór siedziały po obu jego stronach przy stole u Bertiego. Rumieniły się, zacinały i chichotały jak nastolatki, gdy Ethelred oślepiał je pełnym blaskiem swojej uwagi; sprawiał, że były bezsilne jak perliczki, a ich małe serca trzepotały jak nigdy przedtem. Oczywiście absolutnie zgadzały się z sobą w kwestii nieodpartej atrakcyjności lorda Hunta, ale po raz pierwszy w życiu wołałyby się różnić w tej ocenie.

Grace nie widziała Michaela od poprzedniej niedzieli. Udała się do kościoła i bezskutecznie starając się skoncentrować na nabożeństwie, zastanawiała, jak, na Boga, ma się z nim skontaktować, nie ujawniając ich zażyłości. Jej ojciec, całkowicie obojętny dla spraw boskich, bezwstydnie okazywał zainteresowanie Krzaczkami, które siedziały po przeciwnej stronie nawy, kryjąc zarumienione twarze w książeczkach do nabożeństwa. Gdy uśmiechnął się szeroko do dwóch starych panien i uniósł dłoń w dyskretnym pozdrowieniu, Grace przyłożyła palce do ust i spochmurniała, patrząc w przestrzeń.

Orientowała się, że Michael bywa u O'Donovana, ale kobiety nie chodziły do pubów, a już na pewno nie kobiety z jej sfery. Wiedziała, gdzie mieszka, ale nie mogła pojechać na farmę Doyle'ów i o niego wypytywać. Dawna sieć wymiany wiadomości, która tak skutecznie funkcjonowała podczas wojny o niepodległość, przestała istnieć, ale jeśli by nawet działała, liścik zapewne nie sprowadziłby go pod jej drzwi. Wyraźnie jej unikał. Z jakiegoś powodu – a utwierdzała się

w przekonaniu, że miał wystarczająco dobry powód – nie pokazywał się u niej. Nie miała więc wyboru, jak sama zaaranżować spotkanie.

Cóż, w każdym romansie jednej stronie bardziej zależy niż drugiej. Grace doskonale o tym wiedziała. Teraz to ona była mniej pożądana i nie mogła się z tym pogodzić. Gdy kochankowie dają sobie nawzajem wyjątkową rozkosz, wydawało jej się niemożliwe, że mogą siebie nie pragnąć. Dopadnie go. Zmusi, żeby stanął z nią twarzą w twarz i się wytłumaczył.

Szansa nadarzyła się na targu, który odbywał się w Ballinakelly w pierwszy piątek maja. Ludzie przybywali z całego hrabstwa, żeby pooglądać konie, kupić lub sprzedać zwierzęta oraz spotkać znajomych. Wiatr od morza kręcił się po placu z krotochwilną ciekawością, tańczył w promieniach słońca i obrębkach sukien pań, porywał dym z fajek farmerów i papierosów chłopaków. Humory dopisywały, młodzi flirtowali, dzieci bawiły się wśród kur i kóz, zarabiając kilka groszy za ich pilnowanie, a mężczyźni szli do pubu. Przygrywała niewielka orkiestra, była też Cyganka przepowiadająca przyszłość, która kręciła się wśród tłumu z koszykami wrzосу i świętych obrazków. Głosy unosiły się pośród salw śmiechu, muczenia krów i beczenia owiec.

Bezsenne, pełne udręki noce zszarpały Grace nerwy. Jej ojciec natomiast był niezwykle podekscytowany. Zaznajomiwszy się już z połową społeczności Ballinakelly, bardzo chciał poznać tę drugą. Gdy wpadł na Krzaczkę, uprzejmie się skłonił, a potem wziął je obie pod ramię, zachęcając, by go oprowadziły. Całe szczęście, że miał dwie ręce, ponieważ zarówno Laurel, jak Hazel pragnęły się wesprzeć na jego ramieniu.

Grace towarzyszyła ojcu i Krzaczkom, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę, ale nie śledziła toku rozmowy, a jej wypowiedzi były zdawkowe. Wypatrywała w tłumie Michaela. Wiedziała, że tu będzie. Jako farmer bywał na każdym jarmarku. Może nawet wystawił jakiegoś byka do udziału w konkursie?

Wreszcie dostrzegła go po drugiej stronie placu: było to zaledwie mignięcie głowy górującej nad innymi, ale nie do pomylenia ze względu na burzę czarnych kręconych włosów. Bez słowa zostawiła ojca oraz Krzaczkę i zaczęła przedzierać się przez tłum, pochylając głowę, by ktoś znajomy nie zatrzymał jej na rozmowę. Parła do przodu, by jak najszybciej dotrzeć do Michaela, ale czuła się tak, jakby przedzierała się przez morze, ponieważ z każdym krokiem fala ludzka odpychała ją w tył.

Gdy w końcu podniosła wzrok, okazało się, że on stoi tuż-tuż, dokładnie przed nią, i patrzy na nią z poważnym wyrazem twarzy. Czarne jak węgiel oczy były takie same, ale zniknęła z nich dzikość.

– Życzę wspaniałego poranka, lady Rowan-Hampton! – Mężczyzna, z którym rozmawiał, ulotnił się i Grace poczuła się, jakby byli sami w oceanie ludzi.

– Muszę z tobą porozmawiać – wyszeptala, powstrzymując się przed położeniem drżącej ręki na jego przedramieniu, tylko po to, by poczuć jego twarde ciało. – Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? Kiedy wróciłeś? Czekałam... – Pogardzała sobą za błagalny ton głosu, ale dłużej nie potrafiła ukryć emocji.

– Zmieniłem się – odpowiedział poważnym tonem, rozglądając się wokół dla pewności, że nikt nie podsłuchuje. – Okazałem skruchę za swoje grzechy.

– O czym ty mówisz? Pojechałeś tam, żeby wyleczyć się z alkoholu, a nie po to, żeby zostać mnichem!

Zakłopotany spuścił wzrok.

– Zmieniłem się – powtórzył, tym razem z naciskiem. – Michael Doyle, którego znałaś, nie żyje. Bóg wyleczył mnie z picia i otworzył mi oczy na moje grzechy z przeszłości.

Grace pokręciła głową, nie będąc w stanie pojąć tego, co słyszy.

– Nadal jesteś mężczyzną, Michaelu – zniżyła głos jeszcze bardziej, przysuwając się do niego. – Bóg nie może tego zmienić.

– Nie będę łamał Jego przykazań. Jest pani mężatką, lady Rowan-Hampton.

– Ale ja ciebie potrzebuję! – Nawet teraz chciała mu siebie zaoferować. Chciała go dotknąć, pocałować jego spocone czoło. Z trudem się hamowała, by nie wyciągnąć ręki i go nie pogłaskać.

– Przykro mi, Grace – powiedział, tym razem z większą czułością.

– Czekałam na ciebie, do diabła! Czekałam całe miesiące! – Głos miała błagalny, prawie histeryczny. – Kim ja jestem? Jakąs nierządnicą?

– Tak – odparł z powagą, która ją zszokowała. – Nie wolno mi patrzeć na nierządnicę. Nigdy już nie odwiedzę Babilonu.

Michael spoglądał na kobietę, która zawsze doskonale panowała zarówno nad sobą, jak i wszystkimi innymi. Była śmiertcioną bronią podczas wojny o niepodległość i wielu brytyjskich żołnierzy straciło przez nią życie, a teraz stała przed nim jak zwyczajna kobieta, która zwraca się z błagalną prośbą do mężczyzny. Pokręcił głową.

– Myślę, że powinnaś odejść, zanim wzbudzimy powszechne zainteresowanie – zauważył spokojnie.

Grace wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, jednocześnie nienawidząc swego uzależnienia od tego mężczyzny. Oczy zaszyły jej mgłą, ale nadal szukała na jego twarzy śladów rozbawienia. Przecież musiał żartować! Na pewno to jakiś cholerny żart! Ale twarz Michaela się nie zmieniła. Patrzył na nią cnotliwie, jakby był jakimś księdzem. Odwróciła się gwałtownie, policzki płonęły jej z upokorzenia i wściekłości.

Jeśli w Mount Melleray mogłabym o tobie zapomnieć, wyleczyć się z ciebie, Michaelu, pojechałabym tam w mgnieniu oka, pomyślała.

Rozdział 11

W pierwszą środę czerwca sir Digby i lady Deverill udali się na Derby, najslynniejszą płaską gonitwę na świecie na torach wyścigowych Epsom w hrabstwie Surrey. W towarzystwie Celi i Archiego, Harry'ego i Boysiego oraz ich bezbarwnych żon, Charlotte i Deirdre, które dwaj młodzi mężczyźni najchętniej zostawiliby w domu, dopisywały im humory. Panie miały na sobie eleganckie kapelusze nasunięte na czoło i płaszcze. Beatrice wybrała większy kapelusz, w bardziej edwardiańskim stylu, ozdobiony ekstrawaganckimi strusimi piórami i perłami, który przyciągał zarówno wzrok, jak i komentarze, ponieważ wiele z dostojnych dam uważało lady Deverill za kobietę wyzywającą.

– Co ona sobie myśli? Że jest królową? – szeptały, ukrywając twarze za programem wyścigów.

Dżentelmeni byli ubrani w eleganckie cylindry i fraki, ale w jakiś sposób buty i kapelusz Digby'ego bardziej lśniły niż u innych, krój kołnierzyka zaś był troszeczkę bardziej ekstrawagancki niż dyktowała konwencja, a jego dumny krok zaświadczał, że jest bardzo ważnym człowiekiem. Dzisiaj paradował ze szczególnym poczuciem własnej ważności, ponieważ po raz pierwszy w gonitwie biegł trzylatek Lucky[5] Deverill, którego trenował w Newmarket.

– Mam nadzieję, że będzie miał farta londyńskich Deverillów, a nie tych z Cork – szepnął Boysie do Celi, która natychmiast go zgaśniła, dając mu klapsa w dłoń.

– Jesteś nieznośny, Boysie!

– Nie można nikogo ganić za mówienie prawdy, Celio – odpowiedział, pociągając nosem.

– Tata twierdzi, że koń ma dużą szansę wygrać.

– Myślę, że jest w tym przekonaniu odosobniony – ocenił Boysie. – Zważywszy notowania u bukmacherów.

– Co oni wiedzą! – Celia parsknęła lekceważąco. – Tata mówi, że Lucky urodził się do zwycięstw.

– I przyszedł czwarty w 2000 Guineas w Newmarket. Tak, wiem, twój ojciec też mi to mówił.

– Ale postawisz na niego, prawda?

– Tylko dla ciebie, Celio. Aczkolwiek wątpię, żebym zbił na tym majątek.

– Jeśli wygra, jego wartość jako ogiera poszybuję w górę. Stawki za krycie będą ogromne. Papa zarobi na nim fortunę.

– Kolejną – dodał Boysie z ironicznym uśmiechem. – Twój ojciec jest

dobry w zbijaniu fortun.

W kapeluszach, płaszczach, kryjąc się pod parasolami, małe towarzystwo, które zaparkowało samochody za główną trybuną, pospieszyło do środka. Wewnątrz było ciepło i luksusowo; szybko zabrano się do przekąsek.

– Wielkie nieba, ile ludzi tam na wzgórzu! – jęknęła Celia, spoglądając na przeciwległe ogólnodostępne zbocze, gdzie wesołe miasteczko wyłaniało się z deszczu jak mitologiczny potwór morski. – Jak ja nienawidzę tego pospólstwa!

– *Hoi polloi*[6] – skwitował Boysie. – Ciesz się, że oni są tam, a my tutaj.

– Racja – zgodziła się z nim. – Tam jest prawdziwe piekło. Mogłabym przysiąc, że przywiało tu dziś cały East End.

– Kochanie, cały Londyn tu przywiało – poprawił ją Boysie. – Można by pomyśleć, że deszcz zniechęci ludzi, ale dla brytyjskiej publiki nie ma jak zabawa w plenerze.

Ze względu na niesprzyjającą pogodę ograniczono liczbę pociągów i ten wyścig wkrótce nazwano „benzynowym Derby” z powodu prowizorycznych parkingów, które stworzono na rozległych podmokłych polach po dwóch stronach drogi, żeby pomieścić zwiększoną liczbę samochodów. Deszczowa pogoda nie powstrzymała tysięcy ludzi, którzy przybyli samochodami, piętrowymi autobusami lub autokarami wycieczkowymi. Niektórzy nawet przyjechali powozami ciągniętymi przez wspaniałe konie. Stłoczeni w pojazdach pasażerowie machali radośnie do tłumu policjantów w czapkach i hełmach, usiłujących zaprowadzić tu jakiś porządek na przyjazd króla i królowej. Gdy w końcu monarsza para pojawiła się, eskortowana przez długi konwój błyszczących samochodów, tłum znieruchomiał i patrzył. Król siedział sztywno obok królowej, ubranej w typowy dla niej ozdobny kapelusz z piórami, i unosił raz po raz rękę, pozdrawiając poddanych. Ale dziewczęta były bardziej zainteresowane olśniewającym księciem Walii; na jego widok wybuchł wielki aplauz.

Gdy na trybunach zapanował względny spokój, Digby i Beatrice przeszli się po galerii, żeby powitać przyjaciół i znajomych. Wtedy Digby wpadł na premiera Stanleya Baldwina, ponieważ obrady parlamentu były zawsze zawieszane na czas Derby.

– Och, pan premier! – wykrzyknął, podchodząc do niego energicznym krokiem.

Premier omiótł wzrokiem ekstrawagancką purpurowo-zieloną kamizelkę Digby’ego oraz różowy krawat w kropki i uśmiechnął się szeroko. Jak na człowieka o tak dobrym pochodzeniu w sir Digbym było coś nader krzykliwego. Pan Baldwin pozdrowił go, unosząc kapelusz.

– Witam państwa, sir Digby, lady Deverill. Widzę, że startuje w wyścigu państwa koń.

– Owszem – odpowiedział Digby. – To wspaniały młodzik. Młody, ale

szybki. Wiele po nim oczekuję.

– Nie wątpię, sir Digby – rzekł premier wyniośle. – Nie wspiąłby się pan tak wysoko, gdyby nie pańska wola zwycięstwa.

– Ani pan, ośmielam się twierdzić.

– Rzeczywiście. – Pan Baldwin uśmiechnął się i skinął głową w uznaniu dla celnej riposty Digby’ego. – Jakie są zakłady?

– Szesnaście do jednego – odparł Digby.

– Spore ryzyko. – Stanley Baldwin nie miał zwyczaju owijać w bawełnę. Zaśmiał się cicho. Było mało prawdopodobne, żeby Lucky Deverill wygrał. – Tak czy owak, życzę szczęścia – skwitował. – A ciekaw jestem, jak postępują prace w tym pańskim zamku?

– Moja córka wkłada w to mnóstwo pieniędzy. Jeśli bogactwem i wspaniałością nie przyćmi zamku Windsor, będę bardzo rozczarowany.

– Zamierza tam mieszkać? – spytał z niedowierzaniem premier, ponieważ Celia miała reputację lwicy salonowej. – Można by podejrzewać, że taka pełna wigoru osoba jak pani Mayberry uzna życie w hrabstwie Cork za zbyt nudne, zwłaszcza w porównaniu z Londynem. – Uśmiechnął się do Beatrice, zauważając duże brylanty błyszczące w jej uszach oraz na lewej piersi w postaci misternie wykonanej broszki w kształcie kwiatu. Ach, ci randlordowie! – pomyślał i ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

– Och, ale latem jest tam pięknie – wtrąciła z emfazą Beatrice.

– Ale zimą już nie tak wspaniale – upierał się pan Baldwin.

– Pozostaje mieć nadzieję, że Celia będzie błyszczeć wystarczająco jasno, by zaszcześcić urok Londynu w Ballinakelly. – Digby dwa razy stuknął parasolem w podłogę i wybuchnął dźwięcznym śmiechem, który zabrzmiał jak grudka złota w misce poszukiwacza. – Na Boga, nikt inny tego lepiej nie robi!

Pan Baldwin mu zawtórował. Żywiołowość Digby’ego była bezwstydna, ale zarazem nieodparta.

– Co do tego nie mam wątpliwości, sir Digby. Pani Mayberry sama jest słońcem.

Uwagę Beatrice przykuła jakaś przyjaciółka. Pan Baldwin pożegnał lady Deverill uniesieniem kapelusza. Digby położył dłoń na ramieniu premiera i pochylił się ku niemu.

– Proszę dać mi znać, jeśli w jakikolwiek sposób mógłbym pomóc partii – rzekł ściszym głosem.

– Oczywiście – odpowiedział bezceremonialnie pan Baldwin. – Wysoko sobie cenimy pańską pomoc.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia doczekam się nagrody – zasugerował Digby.

– Został pan już sownie wynagrodzony tytułem baroneta – przypomniał mu

premier.

– Och, to tylko drobna ozdóbka. – Digby się zaśmiał. – Tytuł wicehrabiego bardziej przypadłby mi do gustu.

– Doprawdy? – Premier był nieco zażenowany tupetem swego rozmówcy. – Sądzę, że już zaszedł pan daleko – dodał.

– Do pewnego poziomu – skomentował Digby z perlistym śmiechem. – Tylko do pewnego poziomu.

Celia krążyła wśród tłumu z Boysiem i Harrym, którzy pozostawili żony w gronie rozmawiających o pogodzie okropnie nudnych edwardiańskich dam, wystarczająco wiekowych, żeby pamiętać czasy wojny krymskiej. Archie towarzyszył matce, która złapała go za ramię, w ten sposób demonstrując, że do niej należy. Nie pozbędzie się jej aż do lunchu. Celia, Boysie i Harry, zachwyceni chwilową wolnością, kręcili się w poszukiwaniu ludzi, z którymi można interesująco porozmawiać.

Kiedy dotarli do schodów prowadzących na wyższe piętro, właśnie schodził w otoczeniu swej świty sam książę Walii, który opuścił lożę królewską, żeby odwiedzić padok. Rozpoznał Celię i jego przystojna twarz rozjaśniła się w uprzejmym uśmiechu.

– Droga Celia – powiedział, a ta przykucnęła w głębokim dygnięciu.

– Czy mogę Waszej Wysokości przedstawić mojego kuzyna Harry’ego Deverilla i przyjaciela Boysiego Bancrofta? – spytała.

Książę uściśnął im dłonie, a młodzi mężczyźni nisko się skłonili.

– Znam Celię, odkąd była taka – rzekł książę, pokazując ręką wysokość kilkudziesięciu centymetrów nad ziemią.

– Przypuszczam, że Wasza Wysokość zamierza mi powiedzieć, że prawie się nie zmieniłam – roześmiała się Celia.

Błękitne oczy księcia Edwarda zabłysły kokieteryjnie.

– Na pewno trochę urosłaś – odparł. – I wyładniałaś.

– Och, Wasza Wysokość jest nader uprzejmy. Jego Królewska Mość wygląda znakomicie – dodała. – A królowa...

– Mama nosi takie brzydkie kapelusze – zauważył książę. – Wygląda okropnie w tych śmiesznych toczkach!

Celia zachichotała.

– Tata wystawił konia w tym wyścigu – poinformowała.

– Ach, tak? Jeśli wygra, stanie się nieznośny.

– On już jest nieznośny – wyznała z uśmiechem Celia.

– Prawdziwy z niego *bon viveur* – rzekł książę.

Celia uśmiechnęła się konfidencjonalnie i nachyliła ku swemu rozmówcy.

– Trafił swój na swego, sir.

– Celio, jesteś niepoprawna! – Książę się roześmiał. – Poszukam twojego

ojca, żeby życzyć mu powodzenia.

– Och, bardzo proszę, sir. O mało nie wyjdzie z siebie, chociaż nigdy się do tego nie przyzna. – Książę zaśmiał się z cicha, po czym wmieszał się w tłum ludzi, którzy obserwowali go w nadziei, że do nich zagadnie.

– Książę Walii zbił mnie z pantałyku – skomentował Boysie, gdy książę się oddalił. – Jest niezwykle atrakcyjny!

– Czyżby mój dowcipny przyjaciel zapomniał języka w gębie? – powiedział Harry, udając zaskoczenie.

– Obawiam się, że tak, stary – odparł Boysie. – Na szczęście Celia wykazała się wystarczającym refleksem za nas troje.

– Znam go od lat – przyznała Celia. – Jest taki uroczy! Ale chodźmy, poszukajmy jakichś młodych ludzi do rozmowy – poprosiła. Ostatecznie zrezygnowali więc z wejścia na schody.

Na przeciwległym wzgórzu przy torze zgromadziły się tysiące ludzi. Pogoda nikogo nie zniechęciła. Hałas był ogłuszający: gwizdały trąbki, bukmacherzy, głośno krzycząc, przyjmowali zakłady, sprzedawcy reklamowali swoje towary, silniki samochodów terkotały, ludzie przekrzykiwali się w różnych dialektach. Namioty z przekąskami o mało nie pękły w szwach; tłum kłębił się przy stoiskach, a w wesołym miasteczku panowała ogólna wesołość. Z karuzeli dobiegał śmiech, unosił się wokół miejsc, gdzie grano w rzutki, a szybko cichł w mrocznych budkach, gdzie straszyły wilkołaki i inne potwory. Cyganie zwabiali łatwowiernych do swoich kolorowych wozów, gdzie za drobną opłatą wróżyli im przyszłość (i zwycięzcę Derby), a artyści siedzieli pod prowizorycznymi daszkami i szkicowali portrety tych, którym deszcz nie zniszczył kapeluszy i fryzur. Piętrowe autobusy i samochody, zaparkowane tuż przy torze, wypełnione były ludźmi, którzy chcieli mieć jak najlepszy widok na wyścig, uliczni sprzedawcy zaś nagabywali ich, proponując rozmaite towary. Ziemia robiła się coraz bardziej grząska, ale pragnienie dobrej zabawy ożywiało widzów – tak samo jak chęć wygrania pieniędzy, ponieważ do bukmacherów ustawiały się bardzo długie kolejki.

Przed rozpoczęciem gonitwy Celia udała się z ojcem na padok, żeby obejrzeć paradę koni. Dżokej Digby'ego, Willie Maguire, był prawie czterdziestoletnim Irlandczykiem wzrostu około metr sześćdziesiąt, znanym z upodobania do alkoholu. Szeptano, że Willie jest niesolidny i że sir Digby popełnił błąd, proponując mu udział w wyścigu, ale Digby był na tyle mądrym człowiekiem, że przyjmował rady od tych, którzy lepiej się znali na rzeczy. A trener jego konia, Mike Newcomb, miał wieloletnie doświadczenie oraz rozległą wiedzę i Digby bezgranicznie mu ufał. Gdyby Newcomb wyznaczył siedemdziesięcioletniego dżokeja z artretyzmem, przystałby na to bez szemrania.

– Och, tato, byłoby cudownie, gdyby Lucky Deverill wygrał! A Willie w tym

zielono-białym stroju na pewno wygrałby zarazem konkurs na najbardziej atrakcyjnego dżokeja.

Digby się zaśmiał.

– Podejrzewam, że ma większy przebieg niż wszyscy tu razem wzięci.

– A Lucky Deverill jest znakomitym koniem. – Celia przesunęła wzrokiem po lśniących końskich zadach.

– Bez wątplenia jest dobrze wytrenowany. Pokona ten dystans w podskokach.

– W podskokach? – powtórzyła Celia, nie rozumiejąc wyścigowego żargonu ojca.

– To jest nasz rok – powiedział Digby do córki. – Jeśli kiedykolwiek mam wygrać Derby, to właśnie teraz.

– Naprawdę tak myślisz?

Digby w zamyśleniu pokiwał głową, przypominając sobie dzień, w którym odniósł sukces na diamentowych polach w Południowej Afryce.

– Gdy raz ma się szczęście, Celio, nosi się je ze sobą przez jakiś czas. Szczęście przyciąga szczęście. Nadszedł czas je wykorzystać.

– Czy to samo można powiedzieć o pechu? – spytała.

– Obawiam się, że to działa w dwie strony. Czasem pech przykleja się do ciebie jak błoto. Wtedy trzeba przetrzymać złą passę. Ale my jesteśmy na fali wznoszącej, moja kochana Celio, i dzisiaj wygramy. – Pomachał do Williego, gdy dżokej prowadził konia.

– Och, tato, jesteś tak cudownie pewny siebie – wypaliła, pełna podziwu dla brawury ojca.

– Aż moje szczęście się skończy – dodał.

– Na pewno tak nie będzie.

– W końcu to się zdarzy – rzekł z przekonaniem. Uśmiechnął się jak hazardzista, którego podnieca zarówno perspektywa straty, jak i zysku. Dla niego liczył się dreszczyk emocji. – Ale czasem można dopomóc własnemu szczęściu. – Puścił do córki oczko.

Konie opuściły padok i przedelfowały przed lożą honorową, skąd uważnie obserwowali je król, królowa i księżę Walii. W powietrzu wyczuwało się napięcie, gdy konie zajmowały swoje pozycje startowe. Celia stała obok ojca w pierwszym rzędzie na samej górze głównej trybuny, dokładnie naprzeciwko mety.

– Jestem kłębkim nerwów – powiedziała, przestępując nerwowo z nogi na nogę. – Ale równocześnie okropnie podekscytowana.

Digby przyłożył lornetkę do oczu i przyglądał się koniom przygotowującym się do startu. Serce waliło mu jak młotem, policzki miał zaczerwienione z emocji i musiał wyteńczyć całą siłę woli, żeby uspokoić drżenie rąk. W środku widział wyraźnie Lucky'ego Deverilla i zielono-biały strój Williego Maguire'a.

Wymamrotał coś pod nosem. Potem opuszczono flagę, lina opadła i konie ruszyły.

Celia ledwie ośmielała się oddychać, gdy konie galopowały po łagodnym wzniesieniu, zbijając się w ciasną gromadę. Gęsty tłum przy barierkach po obu stronach toru dopingował w ogłuszający sposób swoich faworytów. Digby nic nie mówił. Stał nieruchomo z lornetką przyciśniętą do oczu, podczas gdy Celia podskakiwała i wierciła się obok niego niespokojnie. Beatrice wyłamywała nerwowo palce, a Harry i Boysie po prostu patrzyli, jak Lucky Deverill zostaje z tyłu po zewnętrznej.

– Digby będzie musiał zmienić mu imię na Unlucky Deverill – skomentował Boysie cicho, a Harry zachichotał. Pomyślał o zakładzie, który postawił, żeby wesprzeć Celię; równie dobrze mógł spalić te pieniądze.

Konie pogalopowały na wzgórze, znikając na chwilę za zagajnikiem na szczycie, zanim rozpoczęły bieg w dół w stronę Tattenham Corner, najśłynniejszego zakrętu w wyścigu. Niedoświadczone konie, bojąc się stromego zbocza, zwalniały, podczas gdy te obeznane z terenem wychodziły na czoło, pryskając błotem spod kopyt. Lucky Deverill jeszcze niczym się nie wyróżnił. Włókł się za pierwszą szóstką. Beatrice rzuciła ukradkowe spojrzenie na męża, gwałtownie wciągając powietrze przez nos na widok jego nieruchomego profilu; było coś w ledwie dostrzegalnym drganiu jego dolnej wargi, co rozdzierało jej serce. Celia włożyła palec do ust i gryzła rękawiczkę.

Kiedy konie zwolniły przed ostatnią prostą, zaczęły się dziać rzeczy nadzwyczajne. Ostry zakręt wyrzucił niektóre z nich na pole, a wtedy Willie Maguire, zaprawiony dżokej, wykorzystał sytuację i przepchnął się do środka. Ku zaskoczeniu Digby'ego Lucky Deverill nabierał rozpędu – i to w jakim tempie! Nadgarstki Digby'ego zbieleły. Opuścił lornetkę. Konie pędziły po zboczu w kierunku mety, a Digby'emu jedynie migał przed oczami zielono-biały punkt przedzierający się do przodu i mijający najpierw czwartego, potem trzeciego jeźdźca. To niemożliwe! Oddech utknął mu w piersi. Hałas się wzmaczał, ale Digby nic nie słyszał oprócz tętna walącego mu w skroniach.

Wszyscy teraz stali. Celia krzyczała, Beatrice z trudem chwytiała powietrze. Harry i Boysie zaniemówili ze zdziwienia; z otwartymi ustami patrzyli, jak Lucky Deverill wysuwa się na czoło gonitwy. Mając zaledwie sto metrów do mety, Willie Maguire dosiadający nadzieję sir Digby'ego pędził, jakby ścigał się z wiatrem. Później zrównał się z liderem i przez dobrą chwilę konie biegle łeb w łeb. Ale Lucky'ego Deverilla niosło szczęście londyńskich Deverillów i niemal rzutem na taśmę Willie Maguire pierwszy osiągnął metę.

Digby stał, wymachując pięściami w powietrzu. Celia zarzuciła mu ramiona na szyję. Beatrice osuszała oczy chusteczką Boysiego. Harry kręcił głową z niedowierzaniem i chciał uściskać Boysiego, ale włożył ręce do kieszeni i omiatał wzrokiem tłum wlewający się teraz na tor.

Nagle Digby utonął w morzu ludzi. Jedni klepali go po plecach, inni uśmiechali się i mu gratulowali. Jak liść niesiony siłą wodospadu został porwany przez setki zaskoczonych widzów, zarówno przyjaciół, jak i nieznanym. Gdy w końcu dotarł na dół, pospieszył na metę, żeby pogratulować Williemu Maguire'owi. Ujrzawszy Lucky'ego Deverilla z rozszerzonymi chrapami i sierścią lśniąca od deszczu i potu, pogłaskał go po mokrym nosie, po czym chwycił wodze, by zaprowadzić konia na padok dla zwycięzców. Natychmiast obiegli go dziennikarze; zadawano mu pytania, a fotografowie oślepiali go błyskami fleszy.

– Naprawdę, to nie moja zasługa. – Usłyszał własne słowa. – Willie Maguire wykazał się wielką odwagą i umiejętnościami, a Lucky Deverill udowodnił, że wszyscy się mylili. To Newcombowi, trenerowi Lucky'ego Deverilla, należy pogratulować. Jeśli państwo pozwolą, zaraz zrobię to osobiście. – Dopiero przy pomocy policjantów udało mu się wydostać z tłumu dziennikarzy.

– Wielkie nieba, on wygrał! – dziwił się Boysie do Celi. – Doprawdy ma szczęście! Diabeł mu dziecko kołysze!

– Tata sam jest kowalem swego szczęścia – sprostowała Celia dumnie.

Do Beatrice, która już zdążyła ochłonąć i z wdziękiem przyjmowała gratulacje, podszedł oficjalnie wyglądający mężczyzna w okularach, ze starannie przystrzyżonym wąsem. Chrząknął.

– Lady Deverill, mogę panią poprosić? Król chciałby pani osobiście pogratulować.

Beatrice się rozpromieniła.

– Oczywiście. Przepraszam – zwróciła się do otaczającej ją gromadki. – Monarcha mnie wzywa. – Ludzie rozstąpili się, żeby zrobić przejście, i Beatrice pospieszyła do łoża honorowej, gdzie Jego Wysokość czekał w przyległym saloniku w otoczeniu dworzan. Król, nieduży brodaty mężczyzna o szorstkim głosie, we fraku i cylindrze, z kolekcją wojskowych medali na piersi, wyglądał jak emerytowany pułkownik armii.

– Droga lady Deverill – powitał ją, gdy weszła, wyciągając do niej rękę. Beatrice ujęła ją, a król pocałował ją w policzek, łaskocząc przy okazji brodą. Potem dygnęła stosownie. – Musi pani być bardzo dumna – stwierdził.

– Och, jestem bardzo dumna, Wasza Wysokość. – W przeciwieństwie do swego syna król był małomówny, a więc Beatrice, by pokryć zakłopotanie, dodała z ożywieniem: – Teraz, gdy wygrał Derby, trudno mi będzie skłonić męża, by mocno stąpał po ziemi. – Roześmiała się głośno, żeby wypełnić ciszę.

– Och, tak, rzeczywiście – odezwał się w końcu król, spoglądając na nią swymi jasnoniebieskimi oczami.

– Bardzo ciepło wspominamy wizytę Waszej Wysokości w Irlandii – zauważyła, przypominając sobie jego oficjalną wizytę w południowej Irlandii piętnaście lat temu. – Czy Wasza Królewska Mość wie, że Celia odbudowuje

Castle Deverill?

– Doprawdy?

– Och, tak! – wybuchła Beatrice. – To prawdziwa tragedia, że jeden z najpiękniejszych zamków w Irlandii został zrównany z ziemią podczas konfliktu. Cudownie, że taki piękny zabytek powstanie z ruin.

– Z pewnością – mruknął król. – W Castle Deverill odbywały się wspaniałe polowania. – W tym momencie podszedł koniuszy i szepnął coś królowi do ucha. – Muszę iść wręczyć sir Digby’emu jego trofeum – rzekł monarcha.

– Oczywiście – powiedziała Beatrice, raz jeszcze opadając w niskim ukłonie. Pomimo pewnego skrępowania podczas tej konwersacji, opuściła Jego Wysokość w znakomitym humorze, ponieważ w końcu król to król, a Beatrice niezmiernie imponował blask rodziny panującej.

*

– W zasadzie nie można pragnąć niczego więcej – rzekł Digby do żony, gdy pod wieczór dotarli do Deverill House. Nalał sobie drinka, a Beatrice wyczerpana całodniowym podnieceniem padła znużona na sofę.

– Jak daleko zamierzasz jeszcze dojść, Digby? – spytała, wzdychając z rozkoszą, że wreszcie może rozsiąść się wygodnie.

– Co masz na myśli? Zamierzam wygrać 2000 Guineas i Gold Cup – odpowiedział. Przyniósł szklankę do nosa i wąchał słodki zapach whisky. Jego ambicje w znacznym stopniu zaspokoiłoby wejście w politykę, ale zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z trupów w szafie, aby podjąć ryzyko wystawienia swego życia na widok publiczny. Zdając sobie sprawę, że pytanie żony wcale nie dotyczy koni, dodał: – Nie mam ochoty obciążać swego życia polityką, moja droga. – Zagłębił się w fotelu, a tymczasem pokojówka przyniosła tacę z herbatą.

– Bzdura – skomentowała z uśmiechem Beatrice. – Uwielbiasz być w blasku fleszy. – Pokojówka podała jej filiżankę. – Ach, dziękuję. Tego właśnie potrzebuję, żeby odzyskać energię. Co za dzień! Co za doskonały dzień! Celia jest panią na Castle Deverill, a mój mąż wygrał Derby. Zbyt cudowne, żeby było prawdziwe. – Patrząc, jak pokojówka nalewa herbatę, zatopiła zęby w maślanym herbatniku. – Zdaję sobie sprawę z dobrodziejstw, jakimi los nas obdarował, i nie przyjmuję niczego za oczywistość. Gdy na wojnie straciliśmy naszego ukochanego George’a, myślałam, że moje życie się skończyło. Ale widać, można podnieść się z popiołów, nieprawdaż? Trzeba żyć dalej, tylko trochę inaczej. Jedna część mnie się zamknęła, ale odkryłam, że jest we mnie jeszcze coś więcej. Ujawniły się inne moje cechy. I oto mamy niesamowite szczęście, a ja jestem wdzięczna i dumna! – Popijała herbatę, przełykając gulę, która niespodziewanie uformowała się jej w gardle.

Digby popatrzył uważnie na żonę.

– Codziennie myślę o George’u, Beatrice – wyznał cicho. – Tęsknię za nim.

Byłby zachwycony naszym sukcesem. Kochał konie i miał w sobie sportowego ducha. Ekscytowałby się dzisiejszym wyścigiem. Ale nie było mu to pisane. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jest, patrzy teraz na nas...

Pograżyli się w milczeniu, wspominając syna. Chociaż w tej chwili obydwójce uważali się za wybrańców losu, wiedzieli, że nic, żadne osiągnięcie, żaden sukces czy triumf nie wynagrodzą im tak wielkiej straty.

*

Kitty usiłowała pogodzić się ze swoim wyborem. Brnęła z mozołem przez każdy dzień, pokonując fale bólu i żalu, i tylko rozwijające się w jej brzuchu życie tamowało krwawienie w jej sercu. Miała wrażenie, że otworzyła ciało Irlandii i wyrwała zeń duszę. Bez Jacka krajobraz wydawał się ogołocony, szlochał złotymi łzami na wilgotną trawę, gdy jesień kradła ostatki lata. Usiłowała znajdować sobie zajęcia, opiekowała się JP, przygotowywała pokój dla mającego pojawić się dziecka i starała się nie dopuszczać do siebie wspomnień o mężczyźnie, którego kochała; widziała go na każdym bliskim jej sercu wzgórzu i w każdej dolinie, snującego się jak mgła, która nie chce opaść. Dopiero gdy w końcu października wraz z pierwszymi przymrozkami wydała na świat dziewczynkę, którą na pamiątkę miodowego miesiąca we Włoszech nazwali Florence, wstąpiła w nią nadzieja. Kitty ku swej wielkiej radości odkryła, że przemożna miłość do córki przytłumia tęsknotę za Jackiem.

Robert stał obok łóżka i trzymał w ramionach maleńkie dziecko. Przyglądał się mu z zadziwieniem.

– Jest taka śliczna – powiedział do Kitty, która leżała oparta o wysokie poduszki.

– Jak uważasz, JP? – spytała przytulonego do niej małego chłopca.

JP zmarszczył nos.

– Uważam, że jest brzydka – stwierdził. – Wygląda jak pomidor.

Wybuchnęli śmiechem.

– Ty też wyglądałeś jak pomidor, gdy byłeś niemowlęciem – uprzytomniła mu Kitty. – A popatrz, jakim teraz jesteś przystojnym chłopcem.

– Nie ma za dużo włosów – zauważył JP.

– Teraz nie, kochanie, dopiero wyrosną – odpowiedziała Kitty. – Będiesz się nią opiekował i nauczysz ją jeździć konno.

– A ona będzie cię podziwiać. – Robert podał Florence z powrotem Kitty i przysiadł na brzegu łóżka. – Będiesz jej starszym bratem.

– Chociaż naprawdę jesteś jej wujkiem – wyjaśniła Kitty.

– Pomyśl o tym. Wujek JP. Brzmi niezłe, prawda? – zasugerował Robert.

Chłopiec uśmiechnął się z dumą, przypatrując z zaciekawieniem Florence. Dziewczynka zaczęła się wiercić i płakać. JP znów z niesmakiem zmarszczył nos.

Robert wyciągnął do niego rękę.

– Chyba powinniśmy wyjść i pozwolić Kitty nakarmić dziecko – powiedział.

– Czy ona zawsze będzie tak piszczeć? – JP zeskoczył z łóżka.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Robert.

Kitty przyglądała się, jak wychodzą z pokoju. Mała rączka JP w dużej dłoni Roberta, skoczny dziecięcy krok obok idącego powoli i ociężale mężczyzny. W sercu ją ścisnęło. Chociaż trudno jej było dokonać wyboru, rozumiała, że postąpiła właściwie. Wpatrując się w niewinną buzię swego dziecka, wiedziała, że tu jest jej miejsce.

5 Lucky (ang.) – szczęśliwy; tu: Szczęściarz Deverill.

6 *Hoi polloi* (gr.) – tłum, rzesza (w znaczeniu pejoratywnym), hołota.

Rozdział 12

Nowy Jork, jesień 1927

Bridie mieszkała w Nowym Jorku od dwóch lat. Stale gościła na łamach plotkarskiej prasy, bywała w teatrach, w eleganckich restauracjach i kawiarniach oraz oczywiście w zadymionych tajnych barach Harlemu. Jej smutek szumiał jak cichy strumyk pod twardą tarczą, którą zbudowała wokół siebie, by chronić się przed wspomnieniami i melancholią. Patrząc na nią, rzec by można, że jest jak lód na rzece – piękna, ale zimna. Jej życie toczyło się jakby na powierzchni – pozornie radośnie i beztrąsko. Szczęście kupowało się tak jak wszystko inne: płacąc pieniędzmi. Kiedy ogarniał ją ponury nastrój, odwiedzała sklepy, żeby kupić sobie więcej szczęścia – drogich ubrań i kapeluszy, butów i torebek, piór i cekinów, brylantów i pereł. Z butików wylewało się szczęście – a ona miała możliwość zdobycia takiej jego ilości, jaką chciała.

Byli też mężczyźni – mnóstwo mężczyzn. Zawsze kręcił się wokół niej jakiś adorator i cieszyła się jego towarzystwem, gdy przyszła jej na to ochota. Podczas tych nocnych godzin, gdy ciemność brała ją w swoje objęcia, a kochankowie pieścili ją czułymi palcami, cichy strumyk wzbierał w niej, pęczniał i zalewał jej serce falami tęsknoty. Jej dusza tęskniła za miłością, wspomnienia o niej się wyostrzały. W tych błogosławionych chwilach mogła udawać, że mężczyzna, który obejmuje ją ramionami, który się z nią kocha, którego usta ją całują, jest jej szczerze oddany. Ale nie wszystko złoto, co się świeci. Wraz z pierwszym światłem poranka rzeczywistość kruszyła jej marzenia i Bridie pozostawało walczyć z samotnością w sklepach przy Piątej Alei, gdzie szczęście sprzedawano wraz z innymi złudzeniami.

Beaumont i Elaine Williamsowie byli jej sprzymierzeńcami w nowym świecie kapryśnych i fałszywych przyjaciół. Ufała panu Williamsowi, który znał ją, zanim odziedziczyła fortunę. Była wówczas naiwną i pokorną pokojówką, niedawno przybyłą z Irlandii. Prawnik osobiście pilnował jej interesów, jego biuro zajmowało się jej rachunkami. Bridie sownie mu płaciła za jego przebiegłość i mądrość. Dziś, gdy służba wykonywała wszystkie domowe prace, jedynym jej celem stała się dobra zabawa. We wszystkich rozrywkach towarzyszyła jej Elaine. Bridie, równie frywolna i zachłanna uciech, nie wahała się ich fundować swojej przyjaciółce. W końcu Elaine była dla niej tak samo nieodzowna jak lina ratunkowa dla tonącego.

Ale gdy już zaczynała wierzyć, że zapomina o przeszłości, przeszłość przypomniła jej o sobie.

Był gorący, wilgotny wieczór na Manhattanie. Bridie i Elaine poszły do kina Warners Theatre na *Don Juana*, nowy film w nowatorskiej technice dźwiękowej z muzyką orkiestrową. John Barrymore grał nieodpartego amanta. Były tak podekscytowane, że powrót do domu nie wchodził w grę.

– Te pocałunki naprawdę mną wstrząsnęły – powiedziała Elaine, biorąc Bridie pod rękę, gdy pospiesznie szły Broadwayem. – Co teraz? Mam ochotę jeszcze gdzieś się zabawić.

– Ja też – zgodziła się z nią Bridie. – Chodźmy do Cotton Club – podsunęła. – Tam zawsze jest świetna zabawa. – Wyciągnęła rękę, żeby złapać taksówkę.

Cotton Club był modnym lokalem w Harlemie, gdzie bywali najbardziej stylowi nowojorczyki; podawano tam znakomite jedzenie i nielegalny alkohol, można było tańczyć przy muzyce na żywo i oglądać występy artystyczne. Brzęczało tam jak w ulu, tętniło życiem. Bridie szczególnie upodobała sobie ten klub, ponieważ w tym upajającym, hałaśliwym i zatłoczonym miejscu mogła zapomnieć, kim naprawdę jest.

Ale tego wieczoru przy okrągłym stoliku, w towarzystwie nieznanym Bridie mężczyznom w eleganckich garniturach i wachlowany przez dwie skąpo odziane girlsy, siedział jedyny mężczyzna w Nowym Jorku, który mógł pamiętać dawną Bridie: Jack O'Leary.

Wpatrywała się w niego kompletnie zaskoczona. Zmienił się. Włosy miał krótko obcięte, był gładko ogolony i nosił nieskazitelny garnitur oraz krawat. Ale był to bezsprzecznie Jack z tymi samymi głęboko osadzonymi jasnoniebieskimi oczami i krzywym uśmiechem. Ludzie przechodzili, kłębili się wokół niej, ale ona stała niewzruszona jak skała, aż Elaine kuksańcem w bok wytrąciła ją z tego stuporu.

– Co się dzieje, Bridget? – Elaine podążyła za jej spojrzeniem. – Znasz tych facetów? – spytała, po czym dodała zduszonym głosem: – Wyglądają podejrzanie, mówię ci.

– Znam jednego z nich – wymamrotała Bridie, nagle czując mdłości.

– Tego przystojniaka? – Elaine zachichotała.

– Znałam go w przeszłości.

– Jeśli tu ci się nie podoba, możemy pójść gdzie indziej.

– Nie, zostanmy. Jestem tylko zaskoczona. To ostatnia osoba, którą spodziewałam się zobaczyć w Nowym Jorku.

Gdy obie kobiety wpatrywały się w niego, Jack podniósł wzrok. Początkowo jej nie poznał. Patrzył na nią z obojętnym wyrazem twarzy. Dopiero po chwili ją rozpoznał i rysy mu złagodniały. Zmrużył oczy. Na moment zastygli, mierząc się wzrokiem przez kłęby dymu, jakby ktoś rzucił na nich jakiś urok.

W końcu Jack odepchnął krzesło i ruszył w jej kierunku.

– Zostawię cię, żebyś mogła spokojnie porozmawiać o starych czasach – powiedziała Elaine i zniknęła w tłumie tańczących ludzi.

Bridie czekała, serce jej waliło i nagle poczuła się mała, zagubiona i bardzo daleko od domu.

– Bridie? – niedowierzał. – To naprawdę ty?

– Nie bądź taki zdziwiony. Wróciłam tu już dwa lata temu. To ja powinnam być zaskoczona twoim widokiem. I doprawdy jestem.

Zaśmiał się cicho.

– Punkt dla ciebie, Bridie. – Wpatrywał się intensywnie w jej twarz, jakby szukał drogi powrotnej do Ballinakelly.

– Kiedy przyjechałeś? – spytała, podniecona intensywnością jego spojrzenia.

– W lutym zeszłego roku, ale wydaje mi się, jakby to było dziesięć lat temu.

Mdlące uczucie w żołądku Bridie narastało.

– A Kitty? – musiała zapytać, nagle podejrzewając, że uciekli razem.

Twarz Jacka pociemniała.

– Chodźmy gdzieś usiąść. Napijesz się?

– Bardzo chętnie! – zgodziła się z entuzjazmem, gdy podchodzili do małego stolika w zacisznym kącie klubu.

Jack skinął na kelnera, który jak się zdawało, dobrze go znał. Zamówił szampana dla Bridie i piwo dla siebie.

– Przyjechałem tu sam, Bridie, żeby zacząć nowe życie.

Bridie poczuła ulgę.

– A więc obydwójcie uciekliśmy.

– To prawda. – Skrzywienie jego ust świadczyło, że jest równie udręczony jak ona. – Zaraz wypijemy za nasze spotkanie.

– Znalazłeś pracę, Jack?

– Mężczyźnie jest łatwo znaleźć pracę w Nowym Jorku. Wydaje się, że połowa tego miasta to Irlandczycy.

– Co robisz?

– To i owo – odparł wymijająco.

– Tylko nie wpakuj się w kłopoty, Jack – ostrzegła go.

– Nie martw się. Miałem już w życiu dość kłopotów. Tym razem nie dam się w nie wpuścić! – Uśmiechnął się szeroko i w tym uśmiechu zobaczyła tamtego Jacka, znanego jej z dzieciństwa. Ale w jego oczach dostrzegła też coś, czego nie rozpoznała – jakiś twardy błysk, jak mignięcie noża.

– Ale ty przecież jesteś weterynarzem. Kochasz zwierzęta.

– Na taką pracę nie ma dużego zapotrzebowania w mieście, Bridie. Powiedzmy, że przewożę określony towar przez Wielkie Jeziora. A w tym fachu przydaje się doświadczenie w posługiwaniu się bronią, na wypadek gdyby jacyś

kolesie próbowali nas okraść.

– Pobyt w więzieniu powinien cię nauczyć, czym grozi łamanie prawa, Jack – wypomniała.

– Zamierzam coś osiągnąć w Ameryce, Bridie. Za wszelką cenę. Tutaj są szanse i nie pozwolę im uciec.

Obserwując go, Bridie zastanawiała się, czy brakowało mu podniety i dramatu wojny o niepodległość, czy może tak długo wiódł życie rebelianta, że było to jedyne życie, jakie zna. Jedno było pewne: robił coś złego.

Kelner przyniósł ich drinki na tacy. Bridie wypła łyk szampana. Jack objął palcami szklankę z piwem, a Bridie natychmiast wróciła wspomnieniami do domu na farmie w Ballinakelly. Gdy wracała z pracy na zamku, zastawała swoich braci i Jacka siedzących przy stole i spiskujących nad cynowymi kuflami z ciemnym piwem.

– Znaleźliśmy się daleko od domu, ty i ja – skwitował Jack.

– Dlaczego wyjechałeś?

– Ojciec umarł – wyjaśnił, ale Bridie wiedziała, że to nie był prawdziwy powód.

– Przykro mi, niech spoczywa w pokoju – powiedziała ze współczuciem.

Napił się piwa, a potem zapatrzył w swoją szklankę. Rysy twarzy mu stwardniały, pogardliwie wykrzywił kącik ust.

– Wyjechałem z powodu Kitty – wyznał, a Bridie skinęła głową. To nie była żadna rewelacja. – Obiecała, że ze mną wyjedzie, ale mnie okłamała. Nigdy nie miała zamiaru wyjechać. – Westchnął ciężko. – Nigdy naprawdę nie zamierzała porzucić Ballinakelly ani Roberta. Powiedziała, że nie może wyjechać, ponieważ oczekuje dziecka Roberta. – Pociągnął następny głęboki łyk, a potem się skrzywił. – Jest chytra jak lis, to pewne.

Serce Bridie przepełniło się żalem. Kitty oczekiwała własnego dziecka, które będzie dorastać wraz z Małym Jackiem. Życie nie było fair. Kitty miała tyle szczęścia, a ją los tak niesprawiedliwie potraktował.

– Myślisz, że celowo zaszła w ciążę? – spytała.

– Na pewno. Nigdy jej nie wybaczę. Zmarnowałem życie, czekając na Kitty Deverill.

– Ona ukradła mi syna – oświadczyła Bridie. Ulga, że może się komuś zwierzyć, sprawiła, że oczy jej zaszklily się od łez. Jack był jedyną osobą w tym mieście, która ją zrozumie.

– Jack Deverill...

– Imię ma po tobie – przypomniała mu Bridie.

Roześmiał się gorzko.

– Teraz zmieni mu imię. – Znów krzywo się uśmiechnął.

– To mój syn – powtórzyła. – Przyjechałam po niego, ale on myśli, że nie

żyję. Powiedziała mu, że umarłam. To kobieta bez serca. A ja nie mogłam wyznać mu prawdy! Musiałam wyjechać bez niego. Boże, miej nade mną litość!

– Przykro mi. To ciężkie brzemię.

– Staram się o tym nie myśleć. Przyjechałam tu, żeby zacząć od nowa. Nowe życie. Nowa ja. Zostawiłam tamtą Bridie za sobą. Tutaj jestem Bridget Lockwood, jakbyś nie wiedział.

– Do twarzy ci z tym nowym wizerunkiem. Obydwoje zostawiliśmy naszą przeszłość w starym kraju.

Uśmiechnęła się, a Jack pomyślał, że do twarzy jej z tym ożywieniem. W Ballinakelly, gdy widział ją na mszy, sprawiała wrażenie sztywnej i naburmuszonej, ale tutaj, nawet w tym szykownym stroju, była w niej miękkość i wrażliwość. Przypominała tamto umorusane dziecko, które bało się włochatych dżdżownic i szczurów. Odwzajemnił jej uśmiech.

– Żałosna z nas para – podsumował. – Wypijmy za naszą pomyślność!

Uniosła kieliszek.

– Za naszą przyszłość!

– Oczywiście. I za to, żeby i mnie dotknęła ręka Midasa!

*

Gdy Jack kochał się z Bridie, nie musiała nic udawać. Była z mężczyzną, którego zawsze kochała. To jego szukała w objęciach innych, ale nigdy nie znalazła. Miękkie irlandzkie samogłoski, które płynęły z jego ust, zabierały ją z powrotem do bezpiecznej, znajomej krainy, dłonie, które ją pieściły, usta, które ją całowały, należały do jedynej mężczyzny, który naprawdę ją znał. Minęło wiele lat, nim ich ścieżki znów się skrzyżowały. Ale wreszcie to się stało. Bridie była pewna, że ich przeznaczeniem jest połączyć się na zawsze. Wierzyła, że w końcu w tym odległym mieście odnalazła prawdziwy dom.

W ramionach Bridie Jack usiłował zapomnieć o Kitty. Wypił tak dużo, że za każdym razem, gdy zamykał oczy, miał wrażenie, że kocha się z Kitty. Chociaż targą nim wściekłość, nie mógł się zmusić, żeby je otworzyć. Serce go bolało z tęsknoty i żalu za domem. Tęsknił za Kitty. Zatopił twarz w ciele Bridie. Pragnął być znowu w domu.

Wtuleni w siebie, oblani złotą poświatą ulicznych lamp, wracali pamięcią do dawnych dni, gdy obydwójce byli młodzi, niewinni i pełni ambicji: Bridie chciała lepszej przyszłości z dala od Ballinakelly, a Jack wolnej, niepodległej Irlandii. Zapalił papierosa i oparł się o poduszki; Bridie leżała wsparta na łokciu, a fala jej czarnych włosów opadała na białą pościel. Ale Jack pragnął, tak bardzo pragnął, żeby te włosy były rude...

– Opowiedz mi o lordzie Deverillu – poprosił.

– Wtedy jeszcze nie był lordem – sprostowała.

– Powiedziałaś Michaelowi, że cię zgwałcił, prawda?

Bridie nie okazała skruchy.

– Musiałam, inaczej by mnie zabił.

– A on w odwecie spalił zamek i przyczynił się do śmierci Huberta Deverilla.

Bridie wyglądała na przerażoną.

– Nie mów tak, Jack. Michael nie...

– Och, zrobił coś jeszcze gorszego... – Ale Jack nie potrafił się zmusić, żeby zdradzić sekret Kitty; zaciągnął się mocno papierosem i pokręcił głową. – Sama wiesz, do czego jest zdolny.

– W gruncie rzeczy ma dobre serce – przekonywała Bridie. – Ocalił mojego syna, oddając go pod opiekę Kitty. Zaniósł na próg domu, w którym powinno być jego miejsce. Gdyby tego nie zrobił, kto wie, gdzie Mały Jack by teraz był? Mógł zaginać bez wieści gdzieś po drugiej stronie świata. A tak przynajmniej wiem, gdzie jest, wiem, że jest bezpieczny i pod dobrą opieką. Michael nie musiał tego robić, ale zrobił. Widzisz, nie jest całkiem zły.

– Nikt nie jest do końca zły, Bridie. Ale Michael też nie jest święty. Pasowało mu sprowadzić Małego Jacka do domu. Zadaj sobie pytanie, dlaczego Michael, który jest tak zdecydowanie antybrytyjski, oddał swego siostrzeńca pod opiekę anglo-irlandzkiej kobiecie. Dlaczego to zrobił?

– Ponieważ Mały Jack jest moim synem, właśnie dlatego – powtórzyła z emfazą Bridie. – Ale on nie jest tylko Doyle'em, jest również Deverillem. Przecież Michael nie mógł go oddać mojej mamie, prawda? Dostałaby ataku serca, i babcia też. Wybór Kitty był oczywisty, zwłaszcza że jest siostrą przyrodnią Jacka.

– Rzeczywiście Mały Jack jest Doyle'em, a Michael jest oddany rodzinie – przyznał z namaszczeniem Jack. – Ale domyślałam się, że przyniósł dziecko pod drzwi Kitty, żeby uspokoić swoje brudne sumienie. Można rzec, że jedną ręką odebrał komuś życie, żeby drugą dać je komu innemu. Być może dziecko było swego rodzaju gałązką oliwną dla Kitty, którą tak bardzo skrzywdził.

Bridie nie była przekonana.

– On to zrobił dla mnie, Jack. Zrobił to dla naszej rodziny. Może chciał zawstydzić pana Deverilla i zmusić go do zmierzenia się ze swoim przestępstwem?

– Przestępstwem, którego nie popełnił – przypomniał jej Jack.

– Nie, to nie był gwałt – przyznała Bridie. Ale nie chciała dopuścić myśli, że stała się powodem spalenia zamku i śmierci lorda Deverilla. – Jednak nie powinien mnie wykorzystać – dodała. – Byłam w wieku jego córki i nie potrafiłam mu odmówić.

– Rzeczywiście, nie powinien, Bridie.

Westchnęła, odrywając myśli od tych ukradkowych chwil w Hunting Lodge, gdy pan Deverill delikatnie odkrywał jej kobiecość.

– Ale ja go kochałam, wiesz? Był dla mnie miły. Dzięki niemu czułam się wyjątkowa. – Zaśmiała się gorzko. – Nikt inny tego nie dokonał.

Jack popatrzył na nią zagadkowym wzrokiem.

– Jak blisko byliście?

Uśmiechnęła się smutno.

– Myślałam, że bardzo blisko.

– To znaczy?

Bridie była głucha na subtelną zmianę tonu jego głosu i ślepa na czujne spojrzenie, jakim śledził ją przez kłęby papierosowego dymu.

– Opowiadałam mu o wszystkim – rzuciła beztrąsko. – Był moim przyjacielem i powiernikiem, a przynajmniej tak myślałam. Zdałam sobie sprawę, kim naprawdę dla niego byłam, gdy powiedziałam mu, że noszę jego dziecko. Zachował się brutalnie. Potraktował mnie jak śmiecia! Po tym wszystkim, co między nami zaszło... Po tym, gdy uwierzyłam, że mnie kocha...

Ale Jack już jej nie słuchał. Myślał o tych odważnych mężczyznach, którzy podczas wojny o niepodległość walczyli u jego boku i zginęli. Ile napadów i zasadzek zostało spalonych przez nieroztropne zwierzenia tej dziewczyny?

– Nie pomyślałaś, że pan Deverill może powtórzyć twoją pustą paplaninę pułkownikowi Manleyowi?

– Nigdy nie powiedziałam mu nic ważnego.

– Może tak ci się tylko wydawało?

– Niczego takiego nie zrobiłam.

– Spałaś z naszym wrogiem, Bridie.

– W łóżku byliśmy po prostu kobietą i mężczyzną, którzy sprawiają sobie przyjemność.

– Byłaś siostrą Michaela. Uczestniczyłaś w wielu naszych spotkaniach na farmie. Wiedziałaś, co się dzieje.

– Nigdy niczego nie zdradziłam.

– To była niebezpieczna zabawa, Bridie.

– Dobrze o tym wiem – burknęła. – Czy byłabym tutaj, tysiące kilometrów od domu, gdyby ta zabawa nie była niebezpieczna? Kosztowała mnie zbyt dużo. Nigdy nie odzyskam dawnego życia. Próbowałam, ale drzwi zostały zamknięte na zawsze. Gdyby nie moja odporność oraz łut szczęścia, pan Deverill mógł mnie całkiem zniszczyć. Już nie odzyskam syna, a i on nigdy nie pozna swojej matki. Zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam, i z tego, czego nie zrobiłam. Spałam z panem Deverillem, ale nigdy nie zdradziłam naszych ludzi. Nikogo nie zdradziłam.

– Każde działanie ma swoje konsekwencje, a twoje okazało się niszczące.

Wpatrywała się w niego czarnymi oczami, w których Jack nagle ujrzał Michaela Doyle'a.

– A jakie konsekwencje ma to, Jack? – spytała.

Odwzajemnił jej spojrzenie, czując narastający chłód w sercu.

– Mam nadzieję, że tylko dobre, Bridie.

Wyraz jej oczu złagodniał; gdy się uśmiechnęła, znów wyglądała na wrażliwą, bosonogą i potarganą dziewczynkę, którą kiedyś była.

– Odnależliśmy się w tak ogromnym mieście. Jaka była na to szansa? Jesteś jedynym człowiekiem w całej Ameryce, który naprawdę mnie zna. Przy tobie nie muszę niczego udawać, mogę być sobą. A ty możesz zapomnieć o Kitty. Jeśli naprawdę zechcesz, to nie takie trudne. Uwierz mi, ja to wiem. – Wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia i powiodła palcami po jego piersi. – Popełniłam w życiu wiele błędów, ale to nie jest jeden z nich.

Jack zgasił papierosa w popielniczce, stojącej na stoliku przy łóżku, i ciężko westchnął. Zamknął oczy i zaczął wędrować dłonią po jej włosach, które wkrótce siłą jego wyobraźni zmieniły się z hebanowych w miedziane. Bridie usnęła, ale Jack leżał rozbudzony, natrętne myśli nie pozwoliły mu na wytchnienie. Teraz na trzeźwo zdał sobie sprawę, że wcale tego nie chciał.

Gdy jej oddech stał się powolny i regularny, a nieśmiało wschodzące słońce zaczęło zmieniać barwę nieba z indygo na złotą, wyplątał się z objęć Bridie i po cichu ubrał. Zerkając na spokojnie śpiącą kobietę, poczuł ukłucie współczucia. Czowała się samotna i zagubiona tu, na Manhattanie, ale on nie był tym mężczyzną, który pomógłby jej się odnaleźć. Obydwoje szukali w drugim Irlandii, a znaleźli tylko zawiedzione nadzieje.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że jeśli ma uwolnić się od Kitty, musi być również wolny od przeszłości. A to oznaczało rozstanie z Bridie. Było mu naprawdę przykro, że ją zrani, odchodząc bez wyjaśnienia i pożegnania. Ale ona też musi zostawić za sobą przeszłość. Czy inaczej mogą znaleźć szczęście?

*

Kiedy Bridie się obudziła, miejsce obok niej było puste. Popatrzyła, gdzie leżał Jack, i uśmiechnęła się na wspomnienie minionej nocy. Czowała się jak nowo narodzona. Jakby przeobraziła się w osobę, którą zawsze chciała być. Była bogata, niezależna i miała Jacka. Jacka, którego zawsze kochała. Jacka, którego ukradła jej Kitty. Jack należy teraz do niej.

Przekręciła się na bok i nastawiła uszu. Czy Jack jest w łazience? Nic nie usłyszała prócz szumu samochodów dochodzącego z ulicy. Zmarszczyła brwi i zawołała:

– Jack? – Jej głos zdawał się odbijać echem w pustym pokoju. Pomyślała, że musi być w kuchni; mężczyźni są zawsze głodni.

Włożyła szlafrok i na bosaka przeszła do salonu. Ranek wlewał się przez

okna zamglonymi promieniami światła, co jedynie wydawało się podkreślać pustkę i ciszę w mieszkaniu. Potem usłyszała cichy odgłos kroków w korytarzu i serce jej podskoczyło ze szczęścia.

– Jack? – znów zawołała.

– Dzień dobry pani. – Rozległ się głos pokojówki, Imeldy. Kobieta z uśmiechem, zaciskając dłonie na fartuszku, weszła lekkim krokiem do pokoju.

Bridie przyłożyła dłoń do piersi, czując zawrót głowy. Zrozumiała, że Jack odszedł.

CZEŚĆ DRUGA

Barton Deverill

Londyn, 1667

Prawie cały dwór przybył na premierę nowej sztuki Johna Drydena *The Maiden Queen* w Theatre Royal przy Drury Lane. Wykwintni arystokraci zasiedli w łóżach; ubrani w kolorowe jedwabie i aksamity, w upudrowanych perukach i z muszkami na twarzach, wyglądali w świetle świec jak olśniewające rajskie ptaki. Damy ukryte za wachlarzami dzieliły się dworskimi plotkami, podczas gdy lordowie dyskutowali o polityce, kobietach i kochankach króla. Lord Deverill siedział w łoży obok żony, lady Alice, córki ogromnie bogatego hrabiego Charnwell, oraz swego przyjaciela sir Toby'ego Beckwyth-Stubbsa. Omiótł wzrokiem parter teatru, gdzie panie i panowie z powodu gorąca zlewali się potem, a dziwki i dziewczyny roznoszące w przerwach owoce piszczwały i flirtowały z fircykami w ciężkim, przesyconym perfumami powietrzu jak podniecone kurczaki w zagrodzie.

Król przybył ze swoimi nieślubnym synem, księciem Monmouthem, oraz bratem, księciem Yorku. Publika na parterze wdrapała się na krzesła, kobiety wychylały się z łóż, żeby zobaczyć wejście królewskiej pary, a lady Alice wypatrywała królewskiej kochanki, dorodnej i swawolnej Barbary Palmer, hrabiny Castlemaine, najlepiej ubranej damy w kraju.

Przy wtórze szmerów i szeptów królewskie towarzystwo z szelestem tafty i wachlarzy zasiadało na swoich miejscach. Zdaniem lorda Deverilla była to niesmaczna scena. Dwór Karola II pławił się w rozpustnej beztrosce, trochę na katolicką modłę, jakby puszczono w niepamięć purytańskie czasy strasznego Cromwella. Deverill przybył tu jedynie po to, by uzyskać audiencję u króla i dzięki temu zapewnić sobie liczniejszy kontyngent żołnierzy oraz więcej broni dla utrzymania pokoju w Zachodnim Cork. Budowa Castle Deverill dobiegła końca i teraz zamek górował nad okolicą jako potężny symbol brytyjskiej supremacji, ale Irlandczycy to buntowniczy naród, który nieustannie angielskich najeźdźców podgryzał jak dzikie psy stare kości. Gdy Londynem wstrząsała wielka zaraza, a niedługo potem, przed rokiem – wielki pożar, lord Deverill schronił się w swojej irlandzkiej rezydencji, gdzie wisiały nad nim chmury całkiem innego rodzaju. Otóż stale nękało go wspomnienie klątwy Maggie O'Leary oraz groźba rebelii z powodu *Importation Act* – ustawy zakazującej sprzedaży bydła do Anglii.

Zgodnie z tym, co sobie poprzysiągł tamtego dnia na wzgórzu nad

Ballinakelly, dobrze traktował swoich dzierżawców. Płacili czynsz w rozsądnej wysokości, a on był tolerancyjny wobec ich katolickiego Kościoła. Jego żona oraz jej dwórki karmiły biednych i odziewały ich dzieci. Naprawdę był wielkodusznym panem. Jego lojalność wobec Korony była niezachwiana, ale rozwścieczyła go ustawa podpisana przez króla. Zajęty wewnętrznymi problemami, flirtując zbyt blisko z królem Francji i przygotowując się do walki z Holendrami, król nie chciał skorzystać z prawa weta, żeby nie drażnić parlamentu. Lord Deverill obawiał się kolejnej rebelii, podobnej do tej z czterdziestego pierwszego roku, i chciał ostrzec króla przed niebezpieczeństwem.

Lord Deverill często myślał o Maggie O'Leary. Był religijnym człowiekiem, który nie lekceważył klątw, w dodatku sir Toby stanowczo twierdził, że ta groźba pośrednio uderzała w króla, i upierał się, że Irlandka powinna zostać spalona na stosie. Ale Barton Deverill nie chciał podsycać nienawiści, zabijając młodą kobietę – piękną młodą kobietę – nawet jeśli to prawda, że była czarownicą. Właściwie to nie jej przekleństwo ciągnęło się za nim jak cień, ale jej oryginalna, niepokojąca uroda oraz nieomal powalający wdzięk.

Widział ją zaledwie dwukrotnie. Raz, gdy publicznie przeklęła go na drodze do Ballinakelly, i drugi – na polowaniu. W towarzystwie Toby'ego oraz swojej świty galopował przez las w pościgu za jeleniem. Nagle zwierzę skryło się w zaroślach po lewej stronie, on zaś w gęstwinie drzew po prawej zauważył jelenia, stojącego na pagórku. Nie tracąc czasu na powiadomienie swoich towarzyszy, skręcił w prawo i cicho pokłusował w kierunku zwierzęcia.

Po chwili ściągnął wodze i zatrzymał konia. Panowała cisza, słyszał jedynie świergot ptaków i szept wiatru w gałęziach. Jeleń był wspaniały. Stał dostojny jak monarcha i patrzył na niego wyniośle lśnącymi, czarnymi oczami. Powoli, żeby go nie wystraszyć, dobył muszkietu. Naładował go i wycelował. Wtem jeleń zniknął, a na jego miejscu pojawiła się kobieta. Deverill oderwał oko od broni i wpatrywał się w kobietę w niemym osłupieniu. Miała na sobie pelerynę, ale pod kapturem łatwo rozpoznał twarz Maggie O'Leary. Opuścił muszkiet i gapił się na nią, nie mogąc wydobyć słowa. Jej uroda go onieśmieliła, a zresztą wiedział, że choćby udało mu się przemówić, i tak by go nie zrozumiała. Zielone oczy miała szeroko otwarte i zagadkowe, a kąćki czerwonych jak jagody ust uniesione były do góry w drwiącym uśmiechu. Ogarnęła go żądza; oszalał wprost z pożądania. Dziewczyna uniosła swe delikatne ręce i zdjęła kaptur. Włosy opadły jej na ramiona w gęstych, czarnych falach, a jej blada twarz rzuciła na niego urok jak tarcza Księżycy w pełni.

Zeskoczył z konia i ruszył ku niej. Poczekała, aż prawie się z nią zrównał, a potem odwróciła się, lekko zbiegła z pagórka i schowała się w lesie. Pobiegnął za nią, zachęcony kokieteryjnymi spojrzeniami, które rzucała mu przez ramię. Las gęstniał, gałęzie drzew spletały się ze sobą, półmrok rozświetlały jedynie wątle

i blade promienie. Nawet ptaki przestały śpiewać. Z ziemi unosił się mdły zapach gnijących roślin. Kobieta nagle stanęła i się odwróciła. Lord Deverill nie czekał na zaproszenie. Chwycił ją, oparł o pień dębu i przycisnął usta do jej ust. Zarzuciwszy mu ramiona na szyję, żarliwie odwzajemniła pocałunek. Cichy jęk wydobył się z jej gardła, gdy zatopił twarz w jej szyi, sycąc się zapachem szałwi bijącym od jej skóry. Rozrywał sznurówki jej stanika, aż odkrył piersi, białe na tle jego smagłych dłoni, a ciepło i odurzający zapach jej nagiego ciała zwielokrotniły jego żądzę. Oszałały z pożądania zadarł jej spódnicę. Podniosła nogę i oplótła wokół jego tułowia, żeby ułatwić mu zadanie. Westchnęła gwałtownie z satysfakcji, a jej powieki zatrzepotały jak skrzydła ćmy, gdy z jękiem w nią wszedł. Poruszali się jak jedna wijąca się bestia, twarz przy twarzy, oddech im rwał się, puls galopował, gdy łąpczywie czerpali przyjemność.

Jednocześnie osiągnęli szczyt, a potem opadli w plątanie kończyn, ubrań i potu na miękkie leśne runo. W końcu Maggie wyswobodziła się z jego objęć i odsunęła. Obciągnęła spódnicę, ale gorset pozostawał rozsznurowany, eksponując piersi. Utkwiła w Bartonie szeroko otwarte bezwstydne oczy, dzikie jak oczy wilka, biorąc go znów w niewolę na dłuższą chwilę. Potem przemówiła. Miała głos jedwabisty jak wiosenny wietrzyk, ale Deverill nie rozumiał jej ojczywego języka. Nachmurzył się, a ona chyba uznała jego zakłopotanie za zabawne, ponieważ wybuchła salwami drwiącego śmiechu. Gdy Barton mocniej zmarszczył brwi, przekręciła się na kolana i gibka jak kot podpełzła do niego na czworakach. Usiadła na nim, przygwoździła mu nadgarstki do ziemi i raz jeszcze przycisnęła usta do jego ust. Wzięła między zęby jego dolną wargę i mocno zagryzła. Czując smak krwi, wzdrygnął się.

– Na Boga, kobieto, zraniłaś mnie! – krzyknął, ale Maggie tylko głośniej się roześmiała. Grube pukle czarnych włosów opadały kaskadą na obnażone piersi, nabrzmiałe usta wykrzywiły się w tajemniczym uśmiechu, ale jej oczy, dzikie zielone oczy, nagle popatrzyły na niego tak lodowato, że krew zastygła mu w żyłach. Raptem przycisnęła mu sztylet do gardła. Lord Deverill przestał oddychać, patrzył na nią z przerażeniem. Wybuchła perlistym śmiechem, który wydobywał się gdzieś z jej brzucha, i poderwała się na nogi. Uśmiechnęła się do niego, tym razem z rozbawieniem, i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, pozostawiając go oszołomionego i samotnego w głębi lasu.

Wrócił do rzeczywistości, otrzymawszy kuksańca w zębra.

– Barton! – To była jego żona Alice. – Król daje ci znak. Obudź się!

Lord Deverill zwrócił się w stronę łoży królewskiej. Rzeczywiście król uniósł rękę w białej rękawiczce. Lord Deverill skłonił się w odpowiedzi. Król pstryknął palcami na dworaka, który pochylił głowę, a król szepnął mu coś do ucha.

– Jestem przekonana, że uzyskasz audiencję – powiedziała Alice,

uśmiechając się z satysfakcją. – Król Karol zawsze pamięta o tych, którzy byli lojalni wobec jego ojca.

Przedstawienie właśnie się zaczynało; lord Deverill odwrócił wzrok w kierunku sceny, w roztargnieniu przesuwał palcem po wargach.

Rozdział 13

Ballinakelly, 1929

Celia i Kitty wystrojone w swoje najelegantsze jedwabne suknie stały na górze, na najwyższym piętrze zamku, i przez okno przypatrywały się morzu. Słońce powoli zachodziło. Jego tarcza, w środku dnia świecąca jaskrawożółto, teraz pociemniała, nadając niebu kolor przykurzonego różu i soczystej pomarańczy. Później w płomieniach ustawi się na horyzoncie i miękkie odcienie nabiorą intensywności królewskiej purpury i złota, ale wtedy już obie kobiety będą przyjmować gości, którzy wkrótce przybędą z całego hrabstwa, ponieważ właśnie dziś Celia, jako pani wspaniale odrestaurowanego Castle Deverill, wydawała swój pierwszy Letni Bal.

Zardzewiałą wjazdową bramę zastąpiło oryginalne, wykute z żelaza arcydzieło sztuki kowalskiej, pomalowane na czarno i ozdobione herbem Deverillów, który został wkomponowany w misterny wzór dla podkreślenia rodowego prestiżu. Flary paliły się po obu stronach podjazdu, którego nawierzchnię zmodernizowano; najpierw go wysmołowano, potem posypano piaskiem, a następnie wyżwirowano. Ekstrawagancja ta wzbudziła ciekawość wśród miejscowych, ponieważ zastosowanie smoły i piasku było prawdziwą nowością; wiele dróg w hrabstwie Cork było nadal wąskimi ścieżkami, których nawierzchnię stanowiła ubita ziemia i cegły. Ogrodom przywrócono dawną świetność, dzika, przerośnięta roślinność została poskromiona, kort tenisowy odnowiony, a trawnik do krokiet skoszony i wyrównany. Zachwycały klomby kwitnących kolorowych kwiatów, różowe róże i fioletowe powojniki pięły się po murkach oddzielających rabaty z bylinami, a w warzywniku hodowano sałatę, marchewkę, pietruszkę i rzodkiewki w inspektach, które były sumiennie pielone przez zastęp wynajętych przez Celię pracowników z Ballinakelly, przyuczonych przez pana Wilcoxa, jednego z ogrodników wypożyczonych z Deverill Rising. Szklarnie Adeline odmalowano, wymieniono zbite szyby, a spadziste ozdobne daszki wypolerowano, aż lśniły. Celia nalegała, żeby hodowano w nich tylko storczyki, co wymagało skomplikowanego i kosztownego systemu nawilżania i regulacji temperatury. Jedyną rośliną, pamiętającą czasy Adeline, pozostał gigantyczny krzew konopi indyjskich, który Celia z jakichś niewiadomych nawet dla siebie powodów postanowiła zatrzymać. Digby, zgodnie z rekomendacją pana Leclaira'a, kupił stary kamień, pozyskany ze zrujnowanego zamku w Bandon, żeby

Castle Deverill nie stracił autentycznego charakteru, tak że tylko zachodnia wieża i kilka ocalałych ścian świadczyły o tragicznej przeszłości. Zamek więc wyglądał dokładnie jak przed pożarem, tylko bardziej świeżo, niczym znużony wojną żołnierz, który umył twarz, ogolił się i zmienił mundur na nowy przyozdobiony złotymi guzikami.

Wystrój wewnątrz jednak to już inna sprawa. Oprócz wielkiego holu, gdzie nadal znajdował się kamienny kominek, oraz imponujących drewnianych schodów, identycznych jak kiedyś, niewiele pozostało z dawnego domu Huberta i Adeline. Celia zaprojektowała go i udekorowała zgodnie ze swoim pretensjonalnym i snobistycznym gustem. Zniknęła gdzieś naturalna elegancja i wdzięk domu otaczanego miłością i czule dopieszczanego przez pokolenia Deverillów, który nosił ślady tego uczucia jak pluszowy miś, który od przytulania i zabawy ma wytarte futerko, oberwane uszy i nos postrzępiony od pocałunków. Celia urządziła wewnątrz tak, żeby zrobić wrażenie na gościach, a nie żeby po ciężkim dniu polowania w deszczu powitać rodzinę w przytulnym domostwie. Podłogę w holu wyłożono białym i czarnym marmurem, ściany wytapetowano i obwieszono obrazami starych mistrzów, meble ozdobiono zabytkowymi rosyjskimi i rzymskimi bibelotami oraz wszystkim innym, co modnego Celia mogła znaleźć. Meble zakupione na wyprzedaży pochodziły z francuskich pałaców, w większości z okresu Pierwszego Cesarstwa i były obite luksusowymi purpurowo-złotymi tkaninami. Kupiła całą bibliotekę na metry, ale przytulna atmosfera gabinetu Huberta, gdzie kiedyś przesiadywał w wytartym skórzanym fotelu przed kominkiem, paląc cygara i czytając „Irish Timesa”, podczas gdy Adeline malowała przy stoliku ustawionym przed wykuszowym oknem, bezpowrotnie się ulotniła. Wszystko lśniło, ale nie było w tym nic ujmującego. Urok tego miejsca został strawiony przez ogień, a odtworzenie go okazało się ponad możliwości młodej kobiety, którą inspirował jej powierzchowny gust. Ciepły blask miłości, której nie można kupić, zastąpiły rzeczy nabyte za pieniądze.

– Pamiętasz, jak stałyśmy tu jako małe dziewczynki? – zagadnęła Celia z większym uczuciem niż zwykle.

– Byłyśmy wtedy we trzy – przypomniała Kitty.

– Co się stało z Bridie?

– Zapewne wróciła do Ameryki.

– Czy życie nie jest dziwne? – powiedziała Celia z rzadką u niej zadumą. –

Kto by pomyślał, że my trzy, urodzone w tym samym roku, wylądujemy w miejscu, w którym teraz jesteśmy? Ja jestem panią na zamku i mam dwie córki. Ty wyszłaś za swojego nauczyciela i masz Florence oraz JP. A Bridie mieszka po drugiej stronie świata i Bóg jeden wie, ile teraz ma dzieci. Tamtego wieczoru podczas ostatniego Letniego Balu żadna z nas nie miała pojęcia, co zgotuje jej los.

Kitty była świadoma, że Celia niewiele wie o tym, przez co przeszły ona i Bridie, ale nie zamierzała jej oświecać.

– Często myślę o tamtych szczęśliwych dniach – odpowiedziała z westchnieniem. – Zanim sprawy źle się potoczyły.

– Zanim na wojnie straciłyśmy tych, których kochałyśmy – zauważyła cicho Celia. Pomyślała o swoim bracie George’u, którego ostatnio rzadko wspominała, i nagle straciła dobry humor. Pokręciła głową, żeby rozproszyć wspomnienia i uśmiechnęła się z przymusem. – Ale teraz znów jest cudownie, nieprawdaż? – rzuciła stanowczo. – Życie nigdy nie było lepsze. – Odwróciła się i z satysfakcją kontemplowała dzieło, które wreszcie ukończyła. – Wlałam całą moją miłość w to miejsce – zwróciła się do Kitty. – Castle Deverill to moje trzecie dziecko. Przez resztę życia będę go upiększać. Z każdej podróży do Francji, do Włoch coś przywiozę... To niekończące się przedsięwzięcie i jakże podniecające! Idę w ślady naszych przodków, którzy wyruszyli w wielkie podróże po Europie i przywozili cudowne skarby. – Westchnęła uszczęśliwiona. – A dziś wieczorem wszyscy będą podziwiać moją wizję. Docenią pracę, którą musiałam w nią włożyć. Mam nadzieję, że Adeline patrzy teraz na nas, gdziekolwiek jest. I mam nadzieję, że pochwała moje starania.

Kitty wiedziała, że babcia im się przygląda, ale wątpiła, czy obchodzi ją, co Celia zrobiła z jej domem, ponieważ Adeline znajdowała się teraz w świecie, w którym rzeczy materialne nie mają znaczenia.

– Zejdźmy na dół, goście wkrótce przyjadą – powiedziała, odsuwając się od okna.

Dwie kobiety przeszły przez zamek do frontowych schodów. Na moment przystanęły na podeście, żeby zerknąć na swoje odbicia w wiszącym tu dużym lustrze w złoczonej ramie. Celia wyglądała olśniewająco w jasnoniebieskiej sukni i podziwiała jej śmiały krój, odsłaniający prawie całe plecy. Kitty – w eleganckim jedwabiu w kolorze ciemnej zieleni – spoglądała w lustro na odbicie dwóch uśmiechniętych twarzy i dotkliwie czuła nieobecność trzeciej. Gdzie teraz jesteś, Bridie? – myślała. Czy też za nami tęsknisz? Mimo wszystko brakuje mi ciebie.

Długi rząd samochodów powoli sunął pod frontowe wejście. Służba Celi stała w pogotowiu, żeby wprowadzić damy w długich sukniach oraz mężczyzn w frakach – musieli przejść przez drzwi, nad którymi nadal widniał ocalały herb rodziny Deverillów i motto Bartona: *Castellum Deverilli est suum regnum*. Odbudowa zamku od lat była przedmiotem rozmów w hrabstwie, a suma wydanych na ten cel pieniędzy rodziła liczne domysły, wszyscy więc byli ogromnie ciekawi rezultatów. Celia i Archie stali przed kominkiem, na którym pysznił się wazon letnich kwiatów z ogrodu, ściskając ręce i przyjmując komplementy. Celię cieszyły westchnienia podziwu i zaskoczenia, gdy goście wkraczali do imponującego holu. Większość z nich, regularnie odwiedzająca

zamek przed pożarem, czyniła teraz szybkie porównanie. Niektórych zachwycił rzucający się w oczy przepych, inni zaś uznawali go za przejaw złego gustu.

– Przypomina piękny, ale bezosobowy hotel – szepnął Boysie do Harry’ego, gdy stali na tarasie z widokiem na ogrody. – Ale, na Boga, zatrzymaj to dla siebie, inaczej nigdy mnie tu nie zaproszą.

– Czuję ogromną ulgę, że to wewnątrz w niczym nie przypomina tego, co było, inaczej ogromnie cierpiałbym za domem – wyznał Harry.

– A więc żadnych żalów? – spytał Boysie, który wystarczająco dobrze znał Harry’ego, żeby wiedzieć, że czuł ich mnóstwo.

– Żadnych – potwierdził stanowczo Harry, opróżniając kieliszek szampana. – Celia wykonała wspaniałą robotę.

Boysie powoli zaciągnął się papierosem.

– Twoja matka gotowałaaby się z zazdrości, gdyby tu była.

– Może więc szczęśliwie się składa, że jej nie ma?

– Nie zniosłaby widoku Celi jako pani na włościach, które zgodnie z zasadą powinny należeć do niej. Celia jest ostentacyjnie szczęśliwa, a Maud nie znosi szczęśliwych ludzi. Kocha tylko tych cierpiących, ponieważ ma nadzieję, że jeśli cierpienie dotknie kogoś innego, to ją ominie. A Digby zachowuje się jeszcze bardziej pyszałkowato niż zwykle. Nie podziwiasz, jak teraz nosi frak? Dziwne, ale wygląda w nim okropnie arogancko. Do arogancji to ma wyjątkowy talent. Gdyby nie był sir Digby Deverillem, można by pomyśleć, że jest bardzo pospolitym człowiekiem. Ale widzę, że twoja droga Charlotte jest znowu w ciąży. Jak to ci się udaje, stary przyjacielu? Może po dwóch córkach zostaniesz pobłogosławiony dziedzicem?

Harry spojrzał Boysiemu prosto w oczy i uśmiechnął się szeroko.

– Ty też masz dwójkę, a więc prawdopodobnie tak samo jak tobie, stary.

Boysie zaśmiał się cicho i wymienili między sobą znaczące spojrzenie.

– Czy twój ojciec wie, że w życiu Maud pojawił się niejaki Arthur Arlington? – zmienił temat.

– Nie pytałem go. Ale na pewno wie, tak samo jak pół Londynu. Mama nie prosiła o rozwód, ale myślę, że ojciec by się na niego zgodził. Ich małżeństwo jest farsą. A ten Arthur to palant.

– Bardzo bogaty palant – dodał Boysie.

Harry westchnął z rezygnacją.

– Ale życie dobrze się papie teraz układa. – Obserwował ojca wśród grupki ludzi, którzy stali na trawniku do krokietu i patrzyli na zamek. Bertie wskazywał na dach, zapewne opowiadając im o etapach rekonstrukcji. – To jednak dziwne, że tak się zachwyca sukcesem Celi – rzekł cicho. – Prędzej spodziewałbym się, że będzie rozgoryczony, ale tak nie jest. Wierzę, że jest szczerze zadowolony.

– Być może przez lata świadomość odpowiedzialności, że jest lordem

Deverillem z Castle Deverill, była dla niego ciężkim brzemieniem. Kto wie, może czuje ulgę, że się go pozbył. Tak samo jak ty.

– Tutaj nie mógłbym być sobą – przyznał Harry, wspominając przelotny romans z Josephem, pierwszym lokajem. – Byłoby wysoce niestosowne zakwaterować cię w jednym z domków na terenie posiadłości. Obawiam się, że przywykłeś do bardziej wykwinionych warunków.

– Rzeczywiście, stary. Poza tym Irlandia, jak na mój gust, jest o wiele za wilgotna. – Wyjął pusty kieliszek z rąk Harry'ego i odstawił go na tacę przechodzącego obok kelnera. – A może pora zająć się trochę naszymi żonami, co? Mimo wszystko by wypadało...

– Świetny pomysł – zgodził się Harry, po czym dwaj mężczyźni opuścili taras i weszli do środka.

*

Hazel i Laurel stały w sali balowej i ze zdziwieniem rozglądały się wokół. Celia urządziła ją w wystawnym rokokowym stylu. Na białych ścianach widniały złożone sztukaterie, ozdobione asymetrycznymi, ekstrawaganckimi wzorami. W żyrandolach nie paliły się już świece, ale błyszcząły elektryczne żarówki, które odbijając się w dużych lustrach, upiększały pokój niczym złote gwiazdy.

– Spójrz na kwiaty, Hazel – powiedziała Laurel. – Nigdy nie widziałam tylu lilii! – Wciągnęła powietrze przez rozszerzone nozdrza. – Cudownie pachną. Naprawdę, Celia ma powody do dumy. Dzisiejszy wieczór to jej wielki triumf.

Hazel już miała przyznać jej rację, gdy rozległ się znajomy i nerwowo wyczekiwany głos lorda Hunta. Dżentelmen zamaszystym krokiem wszedł do sali i powitał siostry z entuzjazmem. Odwróciły się raptownie, z trudem kryjąc zadowolenie na jego widok.

– Drogie panny Swanton! – Kłaniał się z afektacją, kolejno ujmując dłonie Krzaczków w białych rękawiczkach i przyciągając je do ust.

Obie damy przeszły dreszcz podniecenia, ponieważ w towarzystwie lorda Hunta czuły się znów młode, piękne i rozkosznie lekkomyślne. Podczas trzech lat zamieszkiwania z córką lord zyskał wyjątkową popularność w Ballinakelly z powodu swego uroku, poczucia humoru i niepoprawnej skłonności do flirtów.

– Nie mogę się powstrzymać, by nie nadmienić, że obie panie wyglądają dziś promiennie. – Powiódł przenikliwym spojrzeniem brązowych oczu po ich prawie identycznych sukniach, a Hazel i Laurel poczuły się tak, jakby jego wzrok przenikał materiał i pieścił czule ich od dawna zaniedbywaną skórę.

– Dziękuję, Ethelred – wydusiła Laurel, gdy z wysiłkiem udało jej się odzyskać głos.

– Stoję dziś wieczorem przed trudną decyzją – wyznał, przybierając żalną minę.

– O mój Boże! – zaniepokoiła się Hazel. – Jaką to decyzją, Ethelred?

Przenosząc spojrzenie z jednej na drugą, westchnął teatralnie.

– Z którą z was zatańczyć najpierw, ponieważ chciałbym tańczyć z wami obiema.

Laurel zerknęła na Hazel i obydwie nerwowo zachichotały.

– Czy nie ma jakiegoś tańca dla trzech osób naraz? – spytał.

– Obawiam się, że nie – powiedziała Laurel. – Chociaż Celia jest taka nowoczesna, że nigdy nic nie wiadomo.

– Widzę, że żadna z was nie ma szampana. Pozwólcie, że odprowadzę was do ogrodu. Wieczór jest cudowny. Czyż nie będzie miło cieszyć się drinkiem przy tak pięknym zachodzie słońca?

– Och, rzeczywiście – zgodziła się Hazel.

– Z pewnością! – zawtórowała jej Laurel.

Lord Hunt podał każdej z nich ramię. Gdy Laurel wsuwała rękę z jego lewej strony, poczuła ukłucie czegoś dogłębnie alarmującego i nieprzyjemnego: rywalizacji. Spojrzała na Hazel i przez jedną przelotną chwilę zapragnęła, by jej siostra się rozchorowała. Zszokowana, westchnęła raptownie i zmusiła się do wyparcia tego uczucia. Hazel uśmiechała się do obiektu swych żarliwych pragnień, ale gdy mężczyzna odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do Laurel, ona również poczuła początki czegoś, do czego wstydziła się przyznać. Obie siostry gwałtownie odwróciły wzrok ku drzwiom prowadzącym do szerokiego korytarza, a stamtąd do holu. Żadna z nich nie wyjawi tej drugiej swoich uczuć do Ethelreda. Nigdy! Po raz pierwszy w życiu miały przed sobą tajemnicę, którą nie chciały się podzielić.

*

Digby stał w ogrodzie i przyglądał się zamkowi z wielką satysfakcją, zupełnie jakby własnymi rękami podniósł go z ruin. To był klejnot w jego rodzinnej koronie, apogeum życiowego sukcesu. Uśmiechnął się z zadowoleniem, wspominając lata, gdy walczył, żeby zbić fortunę w Południowej Afryce. Jakże daleko i wysoko zaszedł! Mocne klepięcie w plecy wyrwało go z zadumy. Podniósł wzrok i zobaczył rozpromienioną, czerwoną twarz sir Ronalda Rowan-Hamptona.

– Drogi Digby! – wykrzyknął sir Ronald. – Cóż to za sukces ten zamek! Celia i Archie przynieśli ci chlubę. To wielki triumf, arcydzieło, świadectwo odwagi w obliczu przeciwności losu. Podniosłeś go z popiołów. Ten zamek jest godny króla!

– Nie mogę przyjąć na siebie całej chwały – odparł gładko Digby. – To wizja Celi i jej dzieło.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – stwierdził sir Ronald. – Córka ma twój styl i wyczucie proporcji. Wszystko, czego się tkniesz, ma wielką skalę, czyż nie,

Digby? – Sir Ronald spojrzął na zamek i pokręcił głową. – Musiał kosztować niemałą fortunę.

– Kosztował wielką fortunę – powiedział szczerze Digby. – Ale gra była warta świeczki. Teraz zamek należy do Celi, a pewnego dnia będzie należał do jej syna, a później do jego syna, i tak dalej. Nie tylko odbudowała zamek, lecz także stworzyła dziedzictwo dla następnych pokoleń. Jestem z niej ogromnie dumny. – Ale w duchu zastanawiał się, czy teraz, gdy projekt został skończony, jego córki nie znudzi prowincja i w te pędy nie wróci do Londynu. Zdawał sobie sprawę z jej niespokojnej natury, ponieważ odziedziczyła ją po nim. Pozostawała nadzieja, że zdoła ją poskromić.

*

Grace stała we francuskich drzwiach, przyglądając się swemu mężowi rozmawiającemu z Digbyem na trawniku. Goście zaczęli wchodzić na górę do jadalni, w której Adeline zawsze wydawała kolacje. Ale to już nie była tamta jadalnia, ponieważ Celia urządziła ją całkiem inaczej. Po pierwsze, przodkowie Deverillów nie przyglądali się gościom ze ścian, ponieważ wiele obrazów strawił pożar; Celia kupiła portrety przodków innych ludzi, żeby zapełnić puste miejsca. Zbudowanie kolekcji zajmie długi czas. Deverillom zajęło ponad dwieście lat.

Grace rozmyślała o Michaelu Doyle'u. Bezustannie o nim myślała. Nękał ją, dręczył i zakłócał jej spokój. Obawiała się, że oszaleje z pożądania i tęsknoty. Żaden mężczyzna nie zrobił z niej takiej idiotki, a jednak nie mogła powstrzymać się przed swym głupim zachowaniem. Straciła dumę tamtego dnia na targu, gdy poszła za nim na tyły pubu O'Donovana i rzuciła się na niego jak szalona, rozwiązała kobietą, próbując wszystkich sztuczek, które zazwyczaj spełniały swoje zadanie, bo niegdyś Michael tracił kontrolę nad sobą i spełniał jej zachcianki. Ale teraz ją odrzucił.

– Grzeszyłem – powiedział.

– Nie możesz się obwiniać za to, co robiłeś w czasie wojny – odparła. – Bóg jeden wie, że mam w tym swój udział.

– Nic nie rozumiesz. Rzeczy, których się wstydzę, nie mają nic wspólnego z wojną.

– A więc z czym?

Odwrócił się.

– Przykro mi, Grace. Nie chcę więcej na ten temat rozmawiać.

Zostawił ją samą, a ona zastanawiała się, co zrobił tak strasznego, że nie mógł jej o tym powiedzieć.

Patrząc na trawnik, na swojego męża i Digby'ego oraz na Kitty, która wyszła, żeby zaprosić gości na kolację, zachodziła w głowę, co takiego Michael zrobił i jak może się tego dowiedzieć. Gdyby odkryła przyczynę jego poczucia

winy, mogłaby wymyślić sposób, by go od niej uwolnić.

*

Pod koniec kolacji, gdy podano kawę, Bertie wstał, a wśród gości zapadła cisza. Był to całkiem inny Bertie niż tamten chwiejący się pijak, który po pogrzebie matki zawiadomił rodzinę o zamiarze sprzedaży zamku i uznaniu swego nieślubnego syna. Dziś był trzeźwy, zadbany, szczupły i młodzieńczy – a nawet pełen werwy.

– Nigdy Deverillowie nie byli tak zjednoczeni – powiedział i podniósł kieliszek. – Za Celię i Archiego!

Wszyscy skoczyli na równe nogi i wzniesli toast za odważnych młodych ludzi, a potem Digby wygłosił mowę, dziękując Bertiemu za wielkoduszność i powtarzając raz jeszcze rodzinne motto, które jak wyjaśnił, odnosi się nie tylko do zamku, lecz także do ich rodzinnego ducha. „Który żyje w nas wszystkich” – zakończył. Beatrice wytarła oczy serwetką. Harry uśmiechnął się do Celi. Kitty popatrzyła z czułością na ojca, a Elspeth pomyślała, jakie to szczęście, że nie ma tu dzisiaj ani Maud, ani ich starszej siostry Victorii, które zwarzyłyby wszystkim nastrój. Nagle ciszę przerwało głośne chrapanie. Augusta, siedząca po drugiej strony stołu, spiorunowała wzrokiem swego męża.

– Bądź tak miła, moja droga – zwróciła się do damy z jego lewej strony. – Daj mu kuksańca w zębra, dobrze?

Archie poprowadził Celię na parkiet, gdzie grał zespół jazzowy sprowadzony z Londynu. Krzaczki powstrzymały się przed kłótnią o pierwszy taniec z Ethelredem, przeciwnie, jedna chciała ustąpić miejsca drugiej.

– Doprawdy, Laurel, ty musisz iść pierwsza.

– Nie, Hazel, nalegam. To ty powinnaś. – W końcu Ethelred rzucił monetą i Hazel wygrała ku ogromnemu rozczarowaniu Laurel, której pozostało się uśmiechać i udawać obojętność.

Boysie i Harry tańczyli ze swoimi żonami, w skrytości ducha pragnąc się ich jak najszybciej pozbyć, żeby nacieszyć się sobą w jednej z ekstrawagancko urządzonych sypialni na górze. Kitty tańczyła z ojcem, wsłuchana w muzykę, podczas gdy Robert patrzył na nią tęsknie, ponieważ sztywna noga uniemożliwiała mu taniec. Kitty usiłowała wyrwać się z przygnębienia; jej ojca uszczęśliwiała przedsięwzięcie Celi, a więc dlaczego ona się nie cieszyła? „Nasze córki będą tu dorastać, tak jak my będą się cieszyć tym wszystkim, czym my się cieszyliśmy” – powiedziała Celia, gdy Kitty urodziła Florence. I miała rację, historia się powtórzy i Florence będzie czerpać przyjemność z mieszkania w zamku, tak samo jak ona kiedyś. A więc dlaczego czuła się tak rozgoryczona?

– Wszystko tu jest cudowne – powiedziała Beatrice do Grace, gdy obserwowały tancerzy odbijających się w błyszczących lustrach.

– Rzeczywiście – zgodziła się z nią Grace. – Celia zapowiedziała, że przywróci stare czasy, i dokonała tego. – Chociaż obydwie wiedziały, że powrót do przeszłości nigdy nie jest możliwy, z zadowoleniem pograżyły się we wspomnieniach i sekretnej tęsknocie za latami sprzed wielkiej wojny, gdy wakacje w Ballinakelly jawiły się jak złote czasy.

*

Było dobrze po północy, gdy Boysie i Harry znaleźli się sami w holu. Wspaniałe majestatyczne schody wabiły ich na górę, jakby ozdobne poręcze były złowrogimi demonami i szeptały słowa zachęty. W głowach im szumiało od szampana, serca mieli obolałe z tęsknoty, tym bardziej dotkliwej, że nie mogli otwarcie kontynuować swego romansu i musieli żyć z brzemieniem tajemnicy i w poczuciu oszustwa. Bez słowa zwinnie weszli po schodach. Dudnienie muzyki, tupot stóp oraz głosy oddalały się, gdy podążali długimi korytarzami, zagłębiając się w zamkowe czeluście. Celia wydała mnóstwo pieniędzy na instalację elektryczności, ale Harry był nieprzyzwyczajony do jasnego światła tam, gdzie kiedyś stały tylko świeczniki i lampy naftowe. Hydraulika również działała, co było prawdziwym cudem, zważywszy, że kiedyś służba nosiła wodę w kubelkach. Harry tęsknił za tymi czasami, mijając drzwi do sypialni, w której Kitty nakryła go w łóżku z lokajem Josephem; zacisnął zęby, żeby zapanować nad emocjami.

Nagle zamek zaczął znaczyć dla niego więcej niż stracone dziedzictwo, przypominał również jego porażki; co on zrobił ze swoim życiem? Snuł się bez celu po Londynie, pomiędzy klubem a domem, a w tych niekończących się spotkaniach towarzyskich nie było żadnego sensu. Jego praca w City była tak nudna i monotonna, że czasem nawet żałował, że nie jest na wojnie, gdzie przynajmniej o coś walczył. Wydawało się, że pożar odebrał mu coś więcej niż dom – odebrał mu też życiowy drogowskaz. Idąc przez zamek, którego już nie rozpoznawał, czuł rozsadzający ból w piersi. Tęsknotę za tym, co stracił, i za mężczyzną, którym już nigdy nie będzie.

– Boysie – jęknął.

Boysie się odwrócił.

– Co się stało, stary?

Harry nie potrafił ubrać w słowa poczucia pustki, jaką odczuwał. Zamiast tego chwycił Boysiego za rękę i wycofał się z nim z powrotem korytarzem, zatrzymując się w końcu przed drzwiami sypialni, gdzie ulokowała go Celia. Bez słowa pociągnął kochanka w ciemność i zatrzasnął drzwi.

– To szaleństwo – zaprotestował Boysie, ale w głowie za bardzo mu szumiało od szampana, aby oprzeć się natarczym ustom Harry'go.

Nagle zapaliło się światło. Zaskoczeni odwrócili się raptownie i zobaczyli Charlotte siedzącą na łóżku z baldachimem, z białą twarzą na tle różowej koszuli

i z ustami otwartymi w niemym okrzyku. Przerażeni popatrzyli na siebie. Alkohol szybko wyparował im z głów. Pod wpływem szoku natychmiast otrzeźwieli, ale Harry doznał również głębokiego poczucia ulgi.

*

Wysoko w zachodniej wieży Adeline i Hubert patrzyli na rozgwieżdżone niebo. Księżyc dochodził do pełni, otaczała go aureola srebrnej mgły, a jego niesamowite światło tworzyło mozaikę cieni na trawniku.

– Pamiętasz ten Letni Bal z naszej młodości, Hubercie? – spytała Adeline. – Oczywiście wtedy ludzie przybywali we wspaniałych powozach ze stangretami w liberiach. Pamiętam stukot kopyt na podjeździe, gdy zajeżdżali – zadumała się. – Teraz goście przyjeżdżają samochodami. Czasy się zmieniły. – Spojrzała na Huberta i uśmiechnęła się smutno. – Mieliśmy dobre życie, prawda?

Hubert odwrócił się do żony, jego twarz znajdowała się w cieniu, jakby z drugiej strony księżyca.

– Ale naszym przeznaczeniem jest pozostać tutaj na... – zawahał się, ponieważ ledwie mógł wykrztusić to przerażające słowo – na wieczność, Adeline. Takie jest nasze przeznaczenie? Nasze życie w obliczu wieczności jest zaledwie mgnieniem, ale wieczność... Jak długo trwa wieczność, Adeline?

Przyłożyła dłoń do jego policzka, starając się dodać mu otuchy.

– Klątwa zostanie zdjęta – powiedziała stanowczo. – Obiecuję.

Przerwał im głos dochodzący z fotela.

– To tak samo prawdopodobne jak wyprawa człowieka na Księżyc. – Był to Barton Deverill, bardziej zrzędlivy niż kiedykolwiek.

Adeline go zignorowała. Jego gorycz była zaraźliwa i miała negatywny wpływ na nastrój Huberta.

– Nie słuchaj go, kochanie. To zgorzkniały starzec o nieczystym sumieniu.

– Nic nie wiesz o moim sumieniu, kobieto – burknął Barton.

– Wyczuwam twoje wyrzuty sumienia – odparowała Adeline. Doprawdy wystawiał na próbę jej cierpliwość.

– Wyczuwasz tylko, że gniję tu bez mała od dwustu pięćdziesięciu lat.

– Nie możesz gnąć, jeśli nie masz ciała, Bartonie – odpowiedziała z ożywieniem, po czym zwróciła się do męża: – Obiecuję, kochanie, że cię stąd wydostanę. Zostanę z tobą tak długo, jak ty tu będziesz. A potem odejdziemy razem. Wszyscy.

Barton roześmiał się cynicznie ze swego fotela.

– Tak ci dopomóż Bóg!

Rozdział 14

Digby, zasiadłszy przy śniadaniowym stole, z entuzjazmem zabrał się do jajecznicy na grzankach z chrupiącym bekonem i smażonymi pomidorami posypanymi szczypiorkiem. Bał okazał się wielkim sukcesem. Chociaż nie uczestniczył w jego organizacji, miał przecież znaczący wkład w odbudowę zamku. Początkowo dystansował się od tego projektu, uważając go za finansowe samobójstwo i umysłowe szaleństwo, ale w końcu uległ pokusie wskrzeszenia przeszłości i po cichu brał w nim udział, podpisując mnóstwo czeków opiewających na wysokie sumy. Ale czy tamte letnie wakacje w Castle Deverill nie były najbardziej uroczymi tygodniami w jego życiu? Jakże zazdrościł Bertiemu i Rupertowi, że dorastali w tym magicznym miejscu. Czuł się przy nich wówczas jak ubogi krewny. Teraz będą tu dorastać jego wnuki, a on będzie żył wśród nich. Deverill Rising to jedno, jednak czymś zupełnie innym był Castle Deverill. To historia, prestiż i po prostu – czyste piękno. Włożył sporą porcję jajecznicy do ust i przeżuwał z upodobaniem. Beatrice, która potrafiła czytać w myślach męża, uśmiechnęła się do niego z drugiej strony stołu.

Delektował się filiżanką herbaty, czytając „Irish Timesa”, gdy do pokoju wpadła Celia.

– Tato, wczorajsza noc to prawdziwy triumf! Nie zmrużyłam oka!

– To był twój wielki sukces, moja droga. Powinnaś być z siebie dumna. – Na chwilę oderwał oczy od gazety, żeby spojrzeć na rozpromienioną twarz córki. – Byłaś przeuroczą gospodynią.

– Wszyscy podziwiali zamek! – Tryskała entuzjazmem. – I komplementowali wystrój wnętrza.

– I wszyscy podziwiali ciebie – dodała z uśmiechem matka.

– Och, mamó, byłam tak szczęśliwa, że prawie eksplodowałam. Naprawdę, nigdy się tak nie cieszyłam.

– Myślę, że szampan jeszcze nie wyparował ci z głowy – rzucił zdawkowo Digby, przewracając stronę gazety.

– W takim razie powinnaś szybko coś zjeść – poradziła Beatrice.

Celia podeszła do antycznego orzechowego kredensu, kupionego na aukcji u Christie's z pomocą Boysiego, który tam pracował, i nałożyła sobie na talerz jajecznicy z pomidorami.

Chwilę później przywłókł się Harry, twarz miał szarą jak popiół, a podkrążone oczy wyglądały jak podbite.

– Ktoś miał bardzo namiętą noc. – Zaśmiała się Celia, ale Harry z trudem

zdołał wykrzesać uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział, starając się zabrzmieć wesoło. – Chyba mam kaca.

– Usiądź, napij się herbaty i zjedz grzanekę. Od razu poczujesz się lepiej, mając coś w żołądku – poradziła troskliwie Beatrice. – Naprawdę marnie wyglądasz – dodała, gdy wyciągnął krzesło i usiadł obok niej. Poklepała go po ręce swą pulchną, ozdobioną pierścionkami dłonią i uśmiechnęła się ze współczuciem. – Jak rozumiem, kac jest wynikiem bardzo udanego przyjęcia – dorzuciła czule.

– Niewątpliwie – zgodził się z nią Harry, rozmyślając nad tym, jak pechowo przyjęcie się zakończyło.

Niebawem pojawili się Boysie i Deirdre. Obydwoje wyglądali świeżo i promiennie, jakby wcześniej położyli się spać i zdążyli już odbyć poranny spacer.

– Co za wspaniały bal, Celio – rzekł Boysie, siadając obok niej. – Tylko dwóch nudziarzy na liście gości i udało mi się obu uniknąć!

– Zdradź mi, kim są, a dopilnuję, żebyś w przyszłym roku siedział pomiędzy nimi przy stole – zażartowała Celia.

– W takim razie nie będę aż tak niedyskretny – odparł z uśmiechem Boysie. Skrzyżował spojrzenie z Harrym, ale szybko odwrócił wzrok. – Co mogę ci przynieść na śniadanie, kochanie? – zwrócił się do żony.

Gdy Boysie podszedł do kredensu, do pokoju weszła Charlotte z twarzą białą jak płótno. Beatrice przeniosła wzrok z niej na Harry'ego i nabrała podejrzeń, że ich bladość nie ma nic wspólnego z kacem.

Po śniadaniu Harry'emu udało się porozmawiać z Boysiem na osobności. Stali na tarasie w ciepłym słońcu, podczas gdy armia służących sprzątała pozostałości po wczorajszym balu. Harry stał przygarbiony i z rękami w kieszeniach. Boysie zapalił papierosa.

– Czy ty chciałeś zostać przyłapany, Harry? – spytał, a Harry wzdrygnął się na dźwięk twardego tonu w głosie Boysiego.

– Nie... to znaczy, oczywiście, że nie. – Ale wcale nie był tego pewien.

– Cholernie głupio się stało, że natknęliśmy się na twoją żonę. Dziś rano nie wyglądała na szczególnie zadowoloną z tego powodu.

– Ona nic nie powie – powiedział Harry.

– Tak byłoby lepiej.

– Ale do mnie też się nie odzywa.

– Nic dziwnego. Zdrada z kobietą to jedno, ale z mężczyzną to zupełnie inna sprawa. Biedna dziewczyna. Wyglądała, jakby ktoś strzelił jej prosto w serce.

– Zapewne tak się stało. – Harry westchnął i potarł podbródek. – Paskudna sytuacja.

Boysie popatrzył na przyjaciela i twarz mu złagodniała.

– Co zamierzasz teraz zrobić, stary?

– Nic.
– Nic?
– Nic nie mogę zrobić. Poczekam i zobaczę, co ona zamierza.
– Pewnie da ci takiego kopa, że wylądujesz na księżycu. – Boysie zaśmiał się, strzepując popiół na piaskowiec z Yorku u swoich stóp.
– Mam nadzieję, że nie – odparł Harry. Nerwowo przełknął ślinę. – Mam nadzieję, że zrozumie.
– Celia by zrozumiała, ale Charlotte to nie Celia. Ona przypomina owieczkę, Harry. Nie myśli samodzielnie. Owce idą za tłumem, a obawiam się, że tłum nie ma dobrego zdania o homoseksualistach. Lepiej miej nadzieję, a raczej – lepiej módl się, żeby nie wspomniała o tym swojej rodzinie. – Zaciągnął się papierosem.
– Chodźmy znaleźć Celię.
Ale Harry wiedział, że Celia w niczym tu nie pomoże. Nagle poczuł nieodparte pragnienie porozmawiania z Kitty.
– Wybiorę się na spacer, stary. Trochę ruchu dobrze mi zrobi. – I ruszył przez ogrody w kierunku White House.

*

Kiedy Harry z twarzą zaczerwienioną po szybkim marszu pojawił się w oddali na podjeździe, Kitty siedziała z dwuletnią Florence na trawniku, splatając wianuszki ze stokrotek. Harry przeszedł przez bramę i maszerował pod górkę w ich kierunku.

– Harry! – zawołała, machając do niego. – Co za miła niespodzianka!
Harry zdjął słomkowy kapelusz i usiadł w cieniu jabłoni, która osłaniała małą dziewczynkę przed słońcem.
– To było wspaniałe przyjęcie, nieprawdaż? – zagaiła Kitty, ale jej oczy zdradzały, że robiła wysiłek, żeby znaleźć coś pozytywnego w świeżo odrestaurowanym zamku.
– Dla ciebie też jest to trudne? – spytał.
– Bardzo – odparła. – Czuję się okropnie, przyznając się do tego, ale wiem, że przy tobie mogę być szczerą.
– To prawda. O rany, jak Florence urosła! – Poglaskał dziecko po płowych włosach. – Wykapany ojciec, prawda?
– Tak, pod każdym względem jest podobna do Roberta – zgodziła się Kitty, czując ukłucie bólu, ponieważ od razu pomyślała o Jacku O’Learym. Szybko jednak wysiłkiem woli odpędziła od siebie wspomnienia. – A on świata poza nią nie widzi.
– A gdzie jest JP?
– Na przejażdżce. Ma obsesję na punkcie koni, jak ja kiedyś. Nie można go oderwać od jego kucyka. – Roześmiała się. – Jest też bardzo śmiały. Niczego się

nie boi. Już jeździ z psami. Tata jest z niego bardzo dumny. JP jest urodzonym jeźdźcem. A jeśli chodzi o Florence... – Westchnęła, spoglądając czule na córkę. – Dopiero zobaczymy.

– Przejdiesz się ze mną, Kitty? – poprosił nagle Harry.

Kitty wyczuła napięcie w głosie brata i pospiesznie wstała.

– Oczywiście.

Zawołała Elsie, a gdy niania podeszła, żeby zaopiekować się Florence, Kitty wraz z Harrym ruszyli w dół wzgórza w kierunku morza.

– O co chodzi, Harry?

Wcisnął kapelusz na głowę, a ręce do kieszeni.

– Pamiętasz, jak zastałaś mnie i... – zawahał się, nie mogąc wymówić tego imienia.

– I Josepha – przyszła mu z pomocą.

– Właśnie. – Patrzył w dół na swoje stopy, gdy szli po trawie. – Kochałem go.

– Wiem – powiedziała Kitty. Zerknęła na brata, marszcząc brwi. – Nie kochasz Charlotte, prawda?

– Lubię ją – przyznał, a Kitty wyczuła, co z takim wysiłkiem próbował jej powiedzieć. W przyływie czułości, wzięła go pod ramię i przytuliła się do niego.

– Wiem, że Joseph też cię kochał. Pamiętam wyraz rozpaczony na jego twarzy, gdy wyjeżdżałeś na front. Widziałam go w oknie na górze. Wyglądał jak duch. Zdałam sobie wtedy sprawę, że on nie tylko cię pocieszał tamtej nocy... Po zakończeniu wojny, gdy wróciłeś do domu i uczyniłeś go swoim lokajem, wiedziałam dlaczego. Nigdy cię nie oceniałam, Harry. Miłość do innego mężczyzny to nie jest uczucie konwencjonalne, ale ja cię kocham takim, jakim jesteś.

Harry'ego ścisnęło w gardle; zamrugnął, żeby powstrzymać palące łzy.

Doszli do końca ścieżki, gdzie trawa ustąpiła miejsca białemu piaskowi i poszli dalej plażą. Mewy szybowwały na wietrze i spadały z nieba, żeby pochwycić małe stworzenia wyrzucone przez przyływ. Morze było spokojne pod czystym niebem, fale lizwały delikatnie i rytmicznie piasek. Harry położył rękę na dłoni Kitty i ją uścisnął.

– Dziękuję, kochana Kitty. Przez minione lata dzieliliśmy wiele sekretów. Teraz chcę cię prosić o zachowanie kolejnej tajemnicy oraz spytać o radę, jak mam postąpić, ponieważ zrobiłem coś okropnego.

Kitty skinęła głową. Lękała się tego, co zamierzał jej powiedzieć.

– Od lat mam romans z mężczyzną. Odkąd przyjechałem do Londynu... – Zerknął na nią niespokojnie w oczekiwaniu na jej reakcję.

– Mów dalej – zachęciła.

– Wiedziałem, że moim obowiązkiem jest się ożenić. Dałem Charlotte dwoje

dzieci i jeśli nie poroni z powodu szoku, ponieważ nakryła mnie z tym mężczyzną, dam jej trzecie.

Kitty przystanęła.

– Och, Harry! – Ręce jej opadły. – Jak to się stało?

– Nie wiedziałem, że tak wcześnie się położyła. W sypialni było ciemno.

Wciągnąłem Boysiego do środka...

Kitty gwałtownie westchnęła.

– Boysiego Bancrofta?

– Tak, nie powiedziałem?

Kitty pokręciła głową.

– Powinnam się domyślić. Wy dwaj jesteście przecież jak papużki nierozłączki.

– Charlotte włączyła światło i nas zobaczyła.

– Co powiedziała?

– Nic. Boysie od razu wyszedł. Usiłowałem ją pocieszyć, ale nakryła głowę poduszką i płakała. Łkała całą noc. Nadal się do mnie nie odzywa. – Uniósł dłonie do góry. – Na litość boską, poradź mi, co powinienem zrobić!

Kitty znów zaczęła iść. Przyspieszyła kroku i szła ze wzrokiem wbitym w ziemię. Harry towarzyszył jej w milczeniu, mając nadzieję, że znajdzie odpowiedź zapisaną na piasku. Wreszcie Kitty przystanęła, odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

– Charlotte cię kocha, Harry, a więc twoja zdrada to dla niej prawdziwy cios. Przede wszystkim musisz dać jej czas, żeby się z tym oswoiła. Dokonała dwóch okropnych odkryć: po pierwsze, że masz romans, a po drugie, że z mężczyzną, co, jak wiesz, jest wbrew prawu i grozi więzieniem. Będzie się zastanawiała, czy kiedykolwiek ją kochałeś, czy też ożeniłeś się z nią tylko z obowiązku. I czy nienawidziłeś każdej minuty, gdy się z nią kochałeś. Czuje się poniżona i zraniona. Gdy oswoi się z tymi dwoma odkryciami, zacznie z tobą rozmawiać.

– Co powie?

– Albo wystąpi o rozwód, albo ujawni sprawę i wtedy będziesz musiał udźwignąć skandal, przy którym mój skandal z JP to był pryszcz. Mama dostanie ataku hysterii, to oczywiste, ale to będzie najmniejsze z twoich zmartwień.

– Boże, pomóż mi! – jęknął.

– Albo...

– Albo? – spytał gorączkowo. – Albo co?

– Albo ci wybaczy.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Ponieważ cię kocha, Harry. Ale musisz ją zapewnić, że skończysz z Boysiem. Musisz ją przekonać, że to był moment szaleństwa. Zrzucić winę na nadmiar szampana. Powiedz jej, że ją kochasz. Że kochasz dzieci. Zależy ci na

rodzinie i nie zrobisz nic, co by ją naraziło na szwank. Chyba możesz to zrobić, prawda?

– Nie mogę zrezygnować z Boysiego – wykrztusił z przerażeniem.

– Będziesz musiał. Albo Charlotte, albo Boysie. Nie możesz mieć ich oboje, Harry.

– Ale ja go kocham.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem. Ale czasem ze względu na większe dobro trzeba zrezygnować z ukochanej osoby. – Na rzęsach Kitty zawisły łzy. – To trudne, prawie niemożliwe, ale można to zrobić.

Harry wpatrywał się w swoją siostrę oniemiały, nie zdając sobie sprawy, że Kitty mówi o sobie. Nie brał w ogóle pod uwagę, że będzie musiał zrezygnować z Boysiego, gdy wciągał go do swojej sypialni. Chciał zostać przyłapany, by uwolnić się od ciężaru kłamstwa, ale ani myślał zrezygnować z jedynej osoby, którą kochał ponad wszystko. Chwycił siostrę i wtulił twarz w jej ramię. Szlochając, nie zauważył, że ona również płacze. A Kitty płakała z powodu Jacka O’Leary’ego i własnego złamanego serca.

Kiedy Harry powrócił do Castle Deverill, zastał Charlotte i Deirdre grające w krokieta z Boysiem i Celią. Krzaczki w kwiecistych sukienkach i słomkowych kapeluszach spacerowały po ogrodach z lordem Huntem, który trzymał ręce skrzyżowane na plecach i uważnie się przysłuchiwał. Laurel i Hazel dołożyły ogromnych starań przy fryzurach oraz makijażu i rezultaty były zaskakujące – wyglądały o wiele młodziej, niż wskazywałyby na to ich wiek. Digby, Archie, Bertie i Ronald – w długich białych tenisowych spodniach i swetrach z wycięciem w serek – grali w debła w tenisa, podczas gdy Beatrice i Grace, sącząc z wysokich szklanek lemoniadę z miętą, przyglądały im się z ławki albo przynajmniej udawały, że kibicują.

– Tata przysporzy Krzaczkom mnóstwo niepotrzebnych problemów – zwierzyła się Grace, przyglądając się temu niezwykłemu trio. – Straszny z niego szelma i obawiam się, że Hazel i Laurel dały mu się zauroczyć. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Och, daj spokój – pocieszyła ją Beatrice. – On dostarcza im ogromnej przyjemności. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zainteresował się nimi tak przystojny mężczyzna jak twój ojciec.

– On się świetnie bawi, ale gdy to go znudzi, a znudzi mu się, zobaczysz, będzie katastrofa. Bo wtedy zainteresuje się kimś innym. Znam go dobrze. Moja matka była nadzwyczaj tolerancyjną kobietą.

– Jestem pewna, że traktują go z przymrużeniem oka – powiedziała Beatrice, przyglądając się, jak Digby przygotowuje się do serwowania.

– Mylisz się, Beatrice. Są naprawdę oczarowane. Zupełnie jak para

debiutantek. Mam nadzieję, że się o niego nie pokłócą. To byłoby okropne.

– Dobry strzał, kochanie! – Beatrice klasnęła, gdy Digby zdobył punkt. – One są dorosłe, Grace. Jestem pewna, że potrafią o siebie zadbać.

– Obyś miała rację, ale obawiam się najgorszego.

Gdy Harry podszedł, Charlotte ze swej pozycji obok trzeciej bramki popatrzyła na niego ze złością. Boysie przyglądał im się dyskretnie, podczas gdy Celia, ubrana w zwiewną spódnicę i bluzkę w kolorze kości słoniowej oraz kapelusik i perły, ustawiła kulę i zamachnęła się młoteczką. Deirdre, która na próżno usiłowała dowiedzieć się, co zaszło pomiędzy nimi, stała obok męża, zadowolona, że ich małżeństwo nie przeżywa takich dramatów.

– Harry, gram tak beznadziejnie, że liczę na twoje wsparcie – powiedziała Celia. – Zgadza się? – spytała pozostałych.

Charlotte upuściła młoteczek.

– Może mnie zastąpić. Mam już dość. – Nadąsana ruszyła w stronę zamku.

– O rany! – jęknęła Celia, obserwując, jak odchodzi. – Nigdy nie miałam takich humorów, gdy byłam w ciąży.

– Mam za nią pobiec? – spytał z wahaniem Harry, ale bał się, co może usłyszeć. Zerknął na Boysiego i na moment ich spojrzenia się skrzyżowały. Jak mogę z niego zrezygnować? – pomyślał z rozpaczą. Raczej umrze, niż porzuci Boysiego.

– Nie, nie przerywaj gry – powiedziała Celia, tak pochłonięta własną osobą, że nie była w stanie zauważyć delikatnych napięć pomiędzy innymi członkami towarzystwa. – Twoja kolej, Deirdre! Zostaw Charlotte, Harry. Poczuj się lepiej, jak się trochę zdrzemnie. Pewnie jest zmęczona po wczorajszej nocy. Wiem coś o tym, a przecież nie jestem w ciąży.

Harry zerknął na francuskie drzwi, prowadzące z tarasu do salonu, ale jego żona już za nimi zniknęła.

Nieco później, gdy w końcu zebrał się na odwagę, żeby z nią porozmawiać, zastał ją leżącą na łóżku i wpatrującą się w przestrzeń z przygnębionym wyrazem twarzy. Zamknął drzwi i podszedł do niej. Zobaczył, że jej ciało sztywnieje jak u wystraszonego kota, usiadł jednak na brzegu materaca.

– Kochanie, musimy o tym porozmawiać – zaczął, czując mdłości z nerwów. Splótł palce i wpatrywał się w nie, jakby zastanawiał się, jak je rozplątać. – Przepraszam – powiedział. Gdy się nie odzywała, odchrząknął i starał się przypomnieć sobie rady Kitty. – Kocham cię, Charlotte. Wiem, że mi nie wierzysz, po tym... po tym, co wczoraj zobaczyłaś, ale zapewniam cię, że to był tylko moment szaleństwa. Szampan, podniecenie, nostalgia, nie myślałem racjonalnie. Nie byłem sobą i wstydę się tego. Bardzo mi wstyd i błagam cię o wybaczenie.

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Na jej twarzy malowała się pustka. Ileż by dał za jej myśli!

– Kochasz mnie, Harry? – spytała cichym głosem.

– Tak, moja kochana, kocham. Kocham nasze dzieci, kocham rodzinne życie. Nie zrobię już nic, co mogłoby zagrozić temu wszystkiemu, co tak bardzo kocham.

Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę. Usta miała zaciśnięte, a oczy duże, okrągłe i błyszczące.

– Nie mogę wybaczyć ani tobie, ani Boysiemu. Wstydzę się za ciebie. To, co robiliście, jest sprzeczne z naturą... – Odwróciła głowę, gdy jej oczy wypełniły łzy. – Ale nikomu o tym nie powiem. Ale już nigdy nie spotkasz się z Boysiem, prawda? Nie możesz... po tym... – Zaniosła się histerycznym płaczem.

Harry zdjął buty, położył się obok, objął i przyciągnął ją do siebie. Jak będzie wyglądało jego życie bez Boysiego?

– Chcę wrócić do Londynu – powiedziała. – Nie chcę tu zostać ani minuty dłużej. Znajdź jakąś wymówkę i zawieź mnie z powrotem do Londynu. Resztę lata spędzimy w Norfolk z mamą i tatą, a ty postarasz się zapomnieć o Boysiem i tym żenującym incydencie. – Uniosła rękę w obronnym geście nad swym ciężarnym brzuchem. – I nie chcę, żebyś mnie dotykał.

– Charlotte... – wyjąkał.

– Mówię serio, Harry. Potrzebuję czasu. Nie mogę zapomnieć o tym, co widziałam. Nie potrafię udawać, że nic się nie stało.

– To był moment szaleństwa.

Odwróciła głowę, a wyraz jej twarzy był twardy i ostry.

– A co, gdyby mnie tu nie było? Co wtedy? Co byście zrobili? – wzdrygnęła się i znów zaczęła łkać. – Co byście zrobili, Harry?

– Nic. To był tylko pocałunek. To wszystko.

Odwróciła się gwałtownie, wyraźnie okazując, że mu nie wierzy.

Harry wyjaśnił Celi, że Charlotte źle znosi ciężar i chce spędzić resztę lata ze swoimi rodzicami.

– Fatalnie się składa – powiedziała nadąsana Celia. – Psuje nam wakacje. Pierwsze od prawie dziesięciu lat, które spędzamy razem w Castle Deverill. Miały być wyjątkowe, a ona je zniszczyła. – W gniewnym geście skrzyżowała ramiona. – Boysie nie będzie szczęśliwy, że wyjeżdżasz. Też będzie wściekły. Psujecie całą zabawę.

Harry wzruszył ramionami.

– Przykro mi. Nic na to nie poradzę.

Nagle twarz Celi pojaśniała.

– Już wiem, ona zabierze dzieci do Norfolk, a ty możesz tu zostać. Och, zostań, Harry, kochanie! Będzie tak jak za dawnych czasów. A gdyby udało się skłonić Deirdre, żeby z nią pojechała, byłoby jeszcze lepiej!

– Nie – rzekł stanowczo Harry. – Nie mogę jej tego zrobić.

- A więc ty też psujesz nam zabawę. Bardzo trudno będzie mi ci wybaczyć.
- Ale oczywiście to zrobisz.
- Oczywiście. Następnym razem zostaw ją w domu. Zresztą nie sądzę, żeby podobało jej się w Irlandii.

Samochód ze spakowanymi rzeczami czekał na podjeździe z szoferem Celi i za kierownicą. Harry i Charlotte pożegnali się, starając się odegrać przekonujący pokaz małżeńskiej jedności. Wszystkim było przykro, że odjeżdżają, ale nikt nie cierpiał bardziej niż Harry. W końcu pomógł żonie zająć miejsce na tylnym siedzeniu, starannie chowając jej spódnice, zanim zamknął drzwi. Potem instynktownie spojrzął w okno ponad drzwiami. Boysie stał na półpiętrze i spoglądał na niego z góry z twarzą naznaczoną bezbrzeżnym smutkiem. Żołądek podskoczył Harry'emu do gardła, gdy przypomniał sobie, co Kitty powiedziała o Josephie. Boysie też wyglądał jak duch. Za szybą jego twarz była biała, a oczy przypominały czarne dziury, w których odbijała się rozpacz. W gardle Harry'ego uformowała się gęstwa; na chwilę znieruchomiał wpatrzony w Boysiego. Chciałby mu pomachać na pożegnanie, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Jeszcze by się rozkleił i zaczął płakać jak mały chłopiec. Oderwał oczy od okna i powoli przeszedł na drugą stronę samochodu. Otwierając drzwi, znów podniósł wzrok. Boysie nadal tam stał. Dłoń miał teraz rozpostartą na szybie i opierał się o nią czołem; jego oddech pokrył szkło chmurą mgiełki. Harry głęboko zaczerpnął powietrza i z wysiłkiem wszedł do auta. Zatrzasnął drzwi, a potem włożył palec do ust i mocno zagryzł. Gdyby się rozplakał, Charlotte poznałaby prawdę: że kocha Boysiego ponad wszystko. I zawsze będzie go kochał.

Rozdział 15

Nowy Jork

Po tym, jak Jack O'Leary cichaczem o świcie wymknął się z jej mieszkania, Bridie pogрузzyła się w depresję, z której nie miała ani ochoty, ani woli się wydźwignąć. Uwierzyła, że ich zabłąkane dusze wreszcie dotarły do celu i zaznają u swego boku spokoju, niczym para ślepych stworzeń, które nagle znalazły światło. A jednak Jack odszedł, pozostawiając ją z sercem roztrzaskanym na kawałki i tym dotkliwszą tęsknotą za domem. Miała wrażenie, że zabrał ze sobą całą Irlandię, a ją pozostawił kompletnie zagubioną, odciętą od świata i przestraszoną.

Szukała pocieszenia w alkoholu. Odkryła, że swoiste szczęście można znaleźć w butelce dżinu. Zaczynała pić z samego rana, gdy jej poczucie straty było najbardziej dojmujące, i kontynuowała przez cały dzień, aby powstrzymać nawrót bólu. Ale skutki odurzenia dawały jedynie płytki i gorzki rodzaj przyjemności. To było jak przyłożenie szorstkiego plastra na sączącą się ranę; trucizna nadal z niej wyciekała.

Elaine dwoiła się i troiła, żeby wydobyć ją z nałogu. Wylewała dżin do ubikacji, kusiła zakupami, nowymi atrakcjami i przyjęciami, ale Bridie pozostawała nieugięta; wyciągała z różnych skrytek butelki, których nie odnalazła Elaine, i nadal piła.

– Jesteś młoda i piękna, Bridget – krzyknęła na nią Elaine pewnego popołudnia, gdy zastała przyjaciółkę w łóżku z kołtunem na głowie, podkrążonymi oczami i nieobecnyim spojrzeniem. – Możesz mieć każdego mężczyznę, którego zechcesz!

– Ale ja chcę tylko Jacka – odparła Bridie, łkając w jedwabną poduszkę. – Kocham go przez całe życie, Elaine. Nigdy nie kochałam nikogo innego, jak długo żyję. – W stanie upojenia alkoholowego jej irlandzki akcent stawał się wyraźniejszy.

– Musisz wziąć się w garść.

– Zrobie, co zechcę! – Bridie też podniosła głos. – Jeśli ci się to nie podoba, nie przychodź do mnie!

Z miesiąca na miesiąc stan Bridie się pogarszał. Zaniepokojona o przyjaciółkę Elaine postanowiła porozmawiać o niej z mężem.

– Jest tylko jedno rozwiązanie – stwierdził stanowczo Beaumont. – Ona musi przestać pić.

– Nie chce mnie słuchać.

– Mnie posłucha – powiedział z przekonaniem. – Ja z nią porozmawiam.

Pewnego szczególnie wietrznego wiosennego przedpołudnia Elaine i Beaumont Williamsowie nacisnęli dzwonek apartamentu Bridie przy Park Avenue, po czym wjechali windą na najwyższe piętro. Drzwi otworzyła pokojówka. Weszli do wysprzątanego holu, w którym naprzeciwko wejścia wisiało na ścianie ogromne lustro przypominające kształtem błyszczący, srebrny wachlarz. Elaine uchwyciła odbicie swej zatroskanej twarzy w kilku panelach szkła. Beaumont bez wahania podał Imeldzie płaszcz i szybko wkroczył do przestronnego salonu, ponieważ należał do tych mężczyzn, którzy nie tracą czasu, gdy podejmą się jakiegoś zadania. Podeszedł do okna i popatrzył na ulicę w dół. Widok był fantastyczny. Poczul satysfakcję, że podjął dobrą decyzję, doradzając pani Lockwood wynajem tego apartamentu.

Chwilę później pojawiła się Bridie w turkusowym japońskim szlafroku w duże kolorowe orchidee oraz w turkusowych aksamitnych rannych pantoflach. Przez moment Elaine pomyślała, że się pomyliła, ponieważ włosy Bridie były dziś czyste, lśniące i uczesane w modnego boba, a staranny makijaż nadawał jej twarzy świeży i zdrowy blask. Ale gdy do nich podeszła, Elaine zwróciła uwagę na jej niepewny krok i szkliste oczy, z których wyzierała bezbrzeżna rozpacz i samotność. Wiedziała, że Bridie dokonuje wielkiego wysiłku, żeby ukryć prawdę.

– Co za niespodzianka – przywitała ich Bridie, opadając na fotel. – Czemu zawdzięczam te odwiedziny? – Ale nieufność w jej spojrzeniu świadczyła, że domyśliła się jej celu.

Beaumont nadal stał przy oknie. Odwrócił się z uśmiechem; można by pomyśleć, że przybył ze zwykłą wizytą towarzyską.

– Dawno tu nie byłem, pani Lockwood – powiedział. – Muszę przyznać, że bardzo elegancko się pani urządziła.

– Dziękuję, panie Williams – odparła. – Napiją się państwo kawy lub herbaty? Imelda zaraz przyniesie.

– Ja dziękuję. Ale może Elaine ma na coś ochotę.

Elaine przycupnęła na sofie i nerwowo wyłamywała palce.

– Chętnie napiję się kawy. – Nie ośmielała się skrzyżować spojrzenia z przyjaciółką, obawiając się, że ta dostrzeże w nim zdradę.

– A ja poproszę o filiżankę herbaty – zadysponowała Bridie.

Podczas gdy Imelda przygotowywała napoje, Beaumont gawędził swobodnie z Bridie. Bridie nadal miała nadzieję, że uda jej się go oszukać i odwlecze, a być może nawet uniknie nieuchronnych pytań. Nie miała złudzeń, dlaczego przyszli tu we dwoje. Po chwili, która dla Elaine wydawała się wiecznością, Imelda przyniosła jej filiżankę kawy, a swojej pani czajniczek z herbatą. Beaumont wyciągnął krzesło i usiadł obok Bridie. Gdy nalewała sobie herbatę, ręka tak jej się trzęsła, że

porcelanowa pokrywka głośno grzechotała. Ta prosta czynność obnażyła ją, jak zerwanie maski z twarzy złodzieja. Dolna warga jej drżała, gdy usilnie walczyła, żeby zapanować nad ręką. Beaumont bez słowa przykrył jej rękę swoją dłonią i skrzyżował z nią spojrzenie. Oczy Bridie przypominały oczy zapędzonego w kąt królika, z twarzy zaś Beaumonta bił spokój i współczucie.

– Proszę mi pozwolić, pani Lockwood – powiedział łagodnie, a Bridie zamrugła, jakby nagle znów była dzieckiem i wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w ojca, który ją bezgranicznie kocha i rozumie. Ten drobny gest sprawił, że w jej oczach wezbrały łzy. Beaumont uniósł czajniczek i nalał herbatę, ale Bridie obawiała się podnieść filiżankę, by nie rozlać gorącego napoju.

– Pani Lockwood – zaczął – pamięta pani nasze pierwsze spotkanie? – Bridie skinęła głową. – Na werandzie pani Grimsby, nieprawdaż? Była pani wówczas przestraszona dziewczyną, która dopiero co przyплыnęła statkiem z Irlandii i w Nowym Jorku nie miała nikogo, kto by o nią zadbał. – Dwie łzy spłynęły po policzkach Bridie, pozostawiając mokre strużki na makijażu. – Daleko pani zaszła od tamtej pory i wykazała się taką odwagą, że gdybym był pani ojcem, pęczniałbym z dumy. – Bridie przełknęła ślinę na wspomnienie swego kochanego, nieżyjącego ojca, Tomasa, zadźganego nożem przez jakiegoś Cygana. – Zaszła pani o wiele za daleko, żeby teraz wszystko zaprzepaścić. – Bridie utkwiała wzrok w filiżance. Poczowała się zawstydzająco trzeźwa. Drżącymi rękami podniosła filiżankę i wypila łyk herbaty. – Lekarstwa na złamane serce nie znajdzie się na dnie butelki dzinu – ciągnął pan Williams. – Ani na dnie żadnej innej butelki, ośmielam się dodać. Lekarstwo na pani stratę tkwi wewnątrz pani. To pani wybór, czy pozwoli temu młodemu człowiekowi dać się zniszczyć czy wyjdzie z tego silniejsza. Może pani utopić swój smutek i zarazem siebie w alkoholu albo znów wziąć życie za rogi, tak jak czyniła pani przedtem. Jest pani bogata, młoda i piękna. Niejeden mężczyzna dałby sobie rękę uciąć, żeby panią poślubić.

– Ale ja nie chcę nikogo...

Beaumont przerwał jej w pół zdania.

– Pamięta pani, że kiedyś powiedziała mi, że kobieta bez męża nie ma ani pozycji towarzyskiej, ani ochrony? – Bridie powoli skinęła głową. – Miała pani rację, ale zapomniała pani o jednej ważnej sprawie. Niezamężna kobieta musi sama podążać długą i często trudną ścieżką życia, a to może być bardzo trudne doświadczenie. My, ludzie, nie jesteśmy samotnikami. Szukamy pocieszenia w towarzystwie innych. Potrzebuje pani męża. – Bridie pomyślała o swoim nieżyjącym mężu i przez jedną przelotną chwilę przypomniała sobie poczucie bezpieczeństwa, jakie jej dawał. – Musi pani zapomnieć o tym Irlandczyku, tak jak udało się pani zapomnieć o Irlandii. Kierować się nie głosem, który woła panią do domu, ale patrzeć w przyszłość. Mężczyzna pani przeznaczony gdzieś tu jest i go znajdziemy. – Posłał jej krzepiący uśmiech.

Bridie odstawiła filiżankę. Elaine była tak spięta, że aż rozboleły ją ramiona. Siedziała, popijając kawę, ogromnie dumna ze swego mądrego i elokwentnego męża – i ogromnie zawstydzona z powodu swej niemądrej i głupiej niewierności.

– A teraz podejmiemy kilka prostych kroków. Po pierwsze, musimy skończyć z uzależnieniem od alkoholu. – Cień obawy przemknął przez twarz Bridie. Zamierzała się przeciwstawić, ale teraz nie było już sensu. Pan Williams znał prawdę. Nie mogła ukryć przed nim, kim naprawdę jest. – Chciałbym, żebyśmy się przeszli po mieszkaniu i żeby mi pani pokazała, gdzie ma schowane butelki – powiedział z wyrozumiałością. – Potem się ich pozbędziemy, butelka po butelce. To będzie oznaka rozpoczęcia nowego rozdziału.

Najpierw z oporem, ale po chwili z narastającym entuzjazmem Bridie pokazywała panu Williamsowi miejsca, gdzie ukryła dzin. Zarówno Elaine, jak i Beaumont byli zaskoczeni jej przebiegłością, ale żadne tego nie okazało. Alkohol został wylany z rytualną powagą, jakby odprawiano egzorcyzmy. Bridie doznała oczyszczenia i uchwyciła się tego obiema rękami. Pan Williams rzucił jej linę ratunkową. Szaleństwem, a nawet samobójstwem byłoby z niej nie skorzystać.

Powoli i z ogromnym wysiłkiem Bridie wydobywała się z depresji. Zmuszała się, by nie myśleć o Jacku, przełknąć rozczarowanie i skupić się na przyszłości. Było coś znajomego w tej determinacji, by pozostawić przeszłość za sobą i ruszyć naprzód. Przerabiała to już wiele razy, ale z tego powodu wcale nie było jej łatwiej. Tyle tylko, że rozpoznawała ścieżkę, którą już kiedyś wydeptała. Elaine była dla niej stałą podporą i towarzyszką, a przy wielu okazjach, gdy Bridie się załamywała, trwała przy niej, żeby ją wesprzeć.

W końcu Bridie znów mogła być z siebie dumna. Tak jak kiedyś czerpała przyjemność z zakupów i tańców, chodzenia do teatrów oraz na przyjęcia, chociaż teraz była trochę bardziej przygaszona i o wiele ostrożniejsza. Niewielu mężczyznom pozwoliła się adorować. Serce miała nadal zdruzgotane, łzy zbierały jej się pod powiekami, a wspomnienie Jacka ciągle było żywe. Ale miesiące mijały i gdy lato tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku wybuchło jaskrawą barwą kwiatów i podmuchami ciepłych wiatrów, wspomnienia przygasły i ostrza bólu stępiały. Podczas dorocznego letniego przyjęcia u Reynoldsów w Southampton hrabia Cesare di Marcantonio wypatrzył ją w ogrodzie wśród tłumu – dojrzał do miłości jak złota brzoskwinia na drzewie – i zdecydował się ją zerwać.

– Kim jest ta piękna kobieta? – spytał swojego przyjaciela Maxa Arkwrighta, który przyprowadził go na to przyjęcie.

– To osławiona pani Lockwood – odparł Max, przeczesując dłonią gęste, płowe włosy. – Wszyscy ją tu znają.

– Jest mężatką? – Rozczarowanie w głosie hrabiego było wręcz namacalne.

– Nie, wdową.

To wyjaśnienie sprawiło hrabiemu przyjemność. Max zaczął mu opowiadać historię, którą znał z gazet i plotek na salonach przy Piątej Alei. Hrabia uważnie słuchał, unosząc brwi, a jego zainteresowanie rosło wraz z każdym pasjonującym szczegółem.

Zdając sobie sprawę, że z drugiego końca ogrodu obserwuje ją tajemniczy nieznajomy, Bridie spytała o niego przyjaciółkę. Elaine zmrużyła oczy w zachodzącym słońcu i zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, kto to jest – wyznała szczerze, a przecież znała tu większość ludzi. – Ale znam mężczyznę, z którym rozmawia. To Max Arkwright, notoryczny kobieciarz. Pochodzi z bogatej bostońskiej rodziny, większość czasu spędza w Argentynie i Europie na grze w polo i uwodzeniu kobiet. Nieżonaty birbant i uwodziciel. Ciągnie swój do swego. Zostałaś ostrzeżona.

– Och, nie jestem zainteresowana żadnym z nich – powiedziała lekceważąco Bridie, ukrywając swoje zainteresowanie nieznajomym. – Pytam z ciekawości. Jego przyjaciel się we mnie wpatruje. Prawie czuję jego gorące oczy pod sukienką.

– Lepiej więc odsuń się, Bridget, zanim cię poparzą.

Obie kobiety przedarły się przez tłum na szerokie schody prowadzące na taras wspaniałej rezydencji w stylu włoskim. Gdy Bridie ukradkiem zerknęła przez ramię, zauważyła, że mężczyzna nadal jej się przygląda, i poczuła na skórze dawno zapomniany dreszczyk podniecenia.

Na tarasie Bridie wędrowała pośród ogromnych donic z białymi i niebieskimi hortensjami, witając się z przyjaciółmi i nowymi znajomymi. Uśmiechała się i gawędziła z wdziękiem nabytym przez lata praktyki i wytrwałości, ale jednocześnie wypatrywała przystojnego mężczyzny, który przykuł jej uwagę w ogrodzie. Słońce powoli zachodziło, oblewając trawnik ciepłym bursztynowym światłem, a głośny świergot ptaków z wolna zamierał, gdy mościły się do snu na gałęziach, obojętnie obserwując ruch na dole.

Bridie już zaczynała podejrzewać, że mężczyzna opuścił przyjęcie, gdy poczuła lekkie dotknięcie na nagim ramieniu. Obróciła się gwałtownie. Mężczyzna stał przed nią z nieśmiałym, prawie zawstydzonym wyrazem na nieodparcie atrakcyjnej twarzy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się z obco brzmiącym akcentem. Bridie zabrało chwilę zrozumienie tego, co mówił. – Hrabia Cesare di Marcantonio – przedstawił się, wymawiając Cesare jako „Czesare”, a resztę tak melodyjnie, że z trudem można było rozróżnić poszczególne sylaby. Jego imię zabrzmiało słodko w jej uszach i natychmiast poprawił jej się nastrój. – Ujrzałem panią w ogrodzie i musiałem podejść, żeby się przedstawić. Prawdopodobnie w eleganckim amerykańskim towarzystwie to niestosowność, ale w Argentynie, gdzie się wychowałem, albo we Włoszech, gdzie spędziłem pierwsze dziesięć lat mojego życia, nie złożyć hołdu pięknej kobiecie to niegrzeczność.

Policzki Bridie przybrały kolor fuksji, gdy przesunął pieszczotliwym spojrzeniem po jej twarzy.

– Bridget Lockwood – odparła. – Nie brzmi to tak egzotycznie jak pańskie nazwisko.

– Ale ja nie dorównuję pani urodą, więc jesteśmy kwita. – Gdy uśmiechnął się, bruzdy wokół jego ust zmarszczyły się jak u lwa, a białe zęby zaśniły jasno na tle ogorzalej skóry. Długie kurze łapki głęboko żłobiły skronie, a w oczach koloru zielonego agatu czaiło się szelmstwo, które od razu przypadło Bridie do gustu. Włosy miał czarne jak focze futro i tak błyszczące, jakby je wywoskował. Gdy promienie słońca oświetliły czubek jego głowy i rozjaśniły je na kolor karmelizowanego cukru, Bridie poczuła, że ma ochotę przeczesać je palcami. Ale mocno trzymała szklankę lemoniady, starając się nie okazać zdenerwowania.

– Co pan robi w Southampton? – spytała, zdając sobie sprawę z naiwności swego pytania i żalując, że nie wymyśliła czegoś lepszego.

– Gram w polo. Muszę wyznaczyć, pani Lockwood, że lubię rozrywki. – Bridie uśmiechnęła się, zauważając, że zatytułował ją „panią” Lockwood, chociaż nie udzieliła mu tej informacji. Była podekscytowana, że o nią wypytywał. – Moja rodzina posiada w Argentynie dużą i bardzo dochodową farmę, a więc czerpię z życia możliwie jak najwięcej przyjemności. Zdecydowałem się spędzić tu lato na grze w polo i spotkaniach z przyjaciółmi. Pewnego dnia przyjdzie mi przejąć obowiązki po ojcu, a więc dla czego, póki mogę, mam stronić od rozrywek, prawda?

– Mieszka pan w Argentynie?

Wymijająco wzruszył ramionami.

– Jestem obywatelem świata. Mieszkam trochę w Argentynie, trochę w Rzymie, czasem w Monte Carlo, a niekiedy w Paryżu. Teraz jestem w Nowym Jorku. Być może kupię dom w Southampton; ludzie tutaj są bardzo mili. – Powiedziawszy to, objął ją powłóczystym spojrzeniem, które sprawiło, że żołądek podskoczył jej do gardła.

Zrobił na niej wrażenie – jego beztronski sposób życia, eleganckie ubranie, błyszczące spinki w kształcie pszczoły w komplecie ze spinką do krawata i ogólnie otaczająca go aura luksusu i przywilejów. Czowała, że jej ekscytacja narasta. Nigdy przedtem nie poznała mężczyzny, którego spowijałby taki nimb tajemniczości i egzotyki. W trakcie swobodnie toczącej się rozmowy z wolna odkrywała, że lubi go coraz bardziej. Odkąd straciła Jacka, nawet nie próbowała pozszywać rozdartego serca, ale teraz nagle tego zapragnęła. Chciała ofiarować je temu nieznanemu mężczyźnie. Pozwoliła mu pożerać się wzrokiem i ani przez myśl jej nie przeszło, by wracać do domu.

Elaine zaciekawiona, że jej przyjaciółka rozmawia z tajemniczym przyjacielem Maxa Arkwrighta dłużej, niż nakazywałaby przyzwoitość,

zdecydowała się włączyć do ich rozmowy. Gdy do nich podeszła, Bridie szybko ją przedstawiła, przyznając z kokietyjnym uśmiechem, że ma problem z wymówieniem jego nazwiska.

– Cesare di Marcantonio – powtórzył, również się uśmiechając. – Teraz proszę to powiedzieć.

– Cesare di Marc... – zaczęła powoli Bridie.

– Marcantonio.

– Marcantonio – powiedziała i uśmiechnęła się triumfalnie.

Elaine przyglądała się przyjaciółce z rosnącym niepokojem. Równie dobrze mogło jej tu nie być, ponieważ tych dwoje było zapatrzonych w siebie.

– To jest moja droga przyjaciółka Elaine Williams – przedstawiła Bridie, otaczając ją ramieniem. – Gdy pojawiłam się na Manhattanie i nie miałam żadnej przyjaznej duszy, Elaine przybyła mi na ratunek. Od tej pory mnie nie odstępuje. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Elaine popatrzyła chłodno na hrabiego.

– Tak, teraz też jestem przy tobie – podkreśliła. – Chodźmy coś zjeść, Bridget. Bufet wygląda kusząco.

– Chętnie będę paniom towarzyszył – zaproponował hrabia ku konsternacji Elaine. – Z wielką przyjemnością zjem coś w towarzystwie dwóch tak uroczych dam.

Przeszli przez taras, a potem po schodach na trawę, gdzie ustawiono stoły.

– On jest naprawdę seksowny, Bridget, ale ani trochę bym mu nie ufała – syknęła Elaine, gdy schodzili po schodach.

– Boże, miej mnie w swojej opiece! Chyba się zakochałam – szepnęła w odpowiedzi Bridie, ignorując ostrzeżenie przyjaciółki.

– Bądź ostrożna – poprosiła Elaine. – Nic o nim nie wiemy.

– Wiem wszystko, co chcę wiedzieć – odparła wyniośle Bridie. – Podoba mi się.

U podnóża schodów pojawił się Beaumont z dwoma dużymi talerzami.

– O, tu jesteś, Elaine. Zjesz ze mną?

Elaine zaskoczył widok męża, ale wzięła talerz i spojrzała z rozczarowaniem na Bridie.

– Dasz sobie radę? – zatroskała się.

– Czuję się świetnie – odpowiedziała Bridie i ruszyła przez trawnik z hrabią.

– O co chodzi? – spytała Elaine męża, gdy usiedli przy jednym z okrągłych stolików ustawionych pod mieniącymi się lampkami, którymi przystrojono ogród.

– Bridget w końcu znalazła sobie mężczyznę – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Ale czy on jest odpowiedni? Nic o nim nie wiemy.

– Wysoce nieodpowiedni, jak podejrzewam – skwitował Beaumont. –

Wątpię, czy to ma jakieś znaczenie. Potrzebuje romansu, żeby podnieść się na duchu.

– Czy on naprawdę jest hrabią?

– We Włoszech hrabiów na pęczki – rzekł lekceważąco. – Najważniejsze, że wzbudził jej zainteresowanie. Powinniśmy się cieszyć. Nie musi od razu zostawać hrabiną di Marcantonio!

Ale Beaumont Williams, który zwykle miał rację, tym razem się pomylił. Pocałunek, który hrabia Marcantonio skradł Bridie pod drzewem wiśni w ogrodzie Reynoldsów, był jednym z tych, które będzie ona pieczołowicie przechowywała w pamięci.

– Mogę znów cię zobaczyć? – spytał Cesare, biorąc Bridie za rękę i patrząc w jej czekoladowobrązowe oczy, jakby odkrył w nich jakiś bezcenny skarb.

– Chętnie – odparła, ledwie ośmielając się wierzyć, że spodobała się tak pięknemu mężczyźnie. – Bardzo chętnie.

*

W następnych tygodniach Cesare zabrał Bridie do klubu Meadowbrook na Long Island, żeby obejrzała mecz polo, a potem na swój własny mecz, gdzie stała na trybunie w letniej sukience i z zapartym tchem śledziła jego szarże z uniesionym kijem. Był silny, wręcz atletycznie zbudowany, odważny i coraz bardziej jej się podobał. Widziała w nim księcia z dalekiego kraju; budził jej podziw i szacunek. Opowiadał jej historie o dorastaniu we włoskich pałacach, a potem o przeprowadzce do Argentyny, gdzie jego rodzina posiadała wspaniałe domy w najelegantszych dzielnicach Buenos Aires. Jego latyfundium na pampie było tak ogromne, że mógł jechać od świtu do zmierzchu, nie opuszczając własnej ziemi.

– Pewnego dnia cię tam zabiorę i pokażę ci, jak tam jest pięknie o zachodzie słońca, gdy równiny przybierają kolor czerwieni, a niebo ma kolor indygo. Zakochasz się w tym.

Hrabia Cesare wydawał się rozkoszować towarzystwem osławionej pani Lockwood. Pokazywał się z nią na imprezach dobroczynnych, na prywatnych przyjęciach, w salach tanecznych Manhattanu, w klubach jazzowych i tajnych barach Harlemu. Gdziekolwiek przebywali eleganccy ludzie, bywał tam też i hrabia, ubrany w wytworne garnitury ozdobione jedwabnymi poszetkami i misternie wyhaftowanymi złotymi pszczołami na butonierkach koszul i marynarek; emblemat pszczoły widniał wszędzie – był odcisnięty na skórze jego portfela, a nawet wygrawerowany na srebrnym klipsie do banknotów. Hrabia Cesare nosił zaczesane gładko włosy, które były czarne jak smoła i tak błyszczące jak jego wyglansowane dwukolorowe buty, a zęby miał równie olśniewająco białe jak białka oczu. Zaczęły się szerzyć plotki, a podniecenie pęczniało jak pompowany balon, że szykuje się kolejny ślub. Każde pojawienie się hrabiego

i Bridie witały błyski fleszy, dziennikarze komentowali każdy ich ruch: *Wszzechobecny hrabia Cesare di Marcantonio kolejny raz towarzyszył swojej przyjaciółce, bywalczyńi salonów, pani Lockwood, podczas kolacji dobroczynnej w Metropolitan Museum... Pani Lockwood miała na sobie suknię Jean Patou...* Ci, którzy pogardzali Bridie, uważając ją za nienasyconą parweniuszkę, parskali z dezaprobatą i wyrażali się lekceważąco o hrabim jako o pospolitym łowcy przygód, ci zaś, którym podobała się brawurowa pokojówka i jej ziszczony amerykański sen, kiedy została jedną z najbogatszych kobiet w mieście, świętowali nowy rozdział w jej życiu.

Bridie pozwoliła hrabiemu znów się pocałować. I znów. Jego pocałunki były zmysłowe, drażniące, zachłanne i bardzo długie. Muskał jej wargi, mruzczał coś do niej po hiszpańsku, jego ręce błądziły pod jej bluzką, a język eksplorował czeluście jej ust. Doprowadzał ją do szaleństwa; musiała wyęźać wszystkie siły, by pohamować swoją namiętność. A potem, zaledwie po miesiącu znajomości, poprosił ją o rękę.

– Kocham cię całym sercem – powiedział, klękając na jedno kolano w Central Parku, gdzie zabrał ją na piknik. – Uczynisz mi ten honor i zostaniesz moją żoną?

Oczy Bridie wypełniły się łzami. Uklękła naprzeciwko niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Uczynię – odpowiedziała, a gdy on znów przykrył ustami jej usta, zdała sobie sprawę, że szczęścia nie można kupić, ponieważ wyrasta ono z miłości.

Rozdział 16

Londyn, jesień 1929

Beatrice zauważyła, że Digby jest trochę przygaszony, odkąd wrócili do Londynu z Letniego Balu w Castle Deverill. Samo wydarzenie okazało się wielkim sukcesem, Celia była promienną i uprzejmą gospodynią, która uwodziła wszystkich uśmiechem i entuzjazmem dla swej nowej roli: pani na zamku w Ballinakelly. Przez następne tygodnie nie rozmawiano o niczym innym. Zamek wzbudzał podziw, ogrody były manifestacją piękna, a goście, w tym Krzaczkki, Bertie, Kitty i Harry, nie mogli się nachwalić wysiłków Celi i Archiego. A mimo to Digby sposepniał i odzywał się coraz rzadziej. To musiało niepokoić rodzinę, która znała go jako mężczyznę przebojowego, pełnego fantazji i wigoru. Beatrice zastanawiała się, czy nie wpada w lekką depresję w związku z zakończeniem prac na zamku, a tym samym końcem swojej roli w tym wielkim przedsięwzięciu. Z natury hazardzista i ryzykant Digby wyżywał się w działaniu, a teraz musiał wrócić za biurko w zacisze swego gabinetu. Owszem, spekulował na rynkach, naradzał się ze swoim prawnikiem oraz brokerem, i jak zwykle żywo interesował się końmi, ale był jakiś dziwnie ostrożny w podejmowaniu decyzji i nieswój. Beatrice zauważyła, że spędzał mnóstwo czasu, stojąc przy oknie, paląc cygara i wpatrując się w głąb ulicy, jakby spodziewał się zobaczyć na podjeździe jakiegoś niepożądanego gościa.

Beatrice usiłowała męża rozerwać, wypełniając dom gośćmi. We wtorkowe wieczory jak zawsze gromadzili się w jej salonie politycy, aktorzy, pisarze i stali bywalcy, a na weekendy zapraszała do Deverill Rising przyjaciół Digby'ego z wyścigów. Wydawało się jednak, że nic nie jest w stanie uwolnić go od niepokoju i przywrócić mu jego zwykłą *joie de vivre*. Gdy go o to pytała, klepał ją po dłoni i uśmiechał się krzepiąco.

– Nie ma się czym martwić, moja droga – mawiał. – Mam wiele spraw na głowie, to wszystko.

Czy przewidział krach na Wall Street z dwudziestego czwartego października? Czy instynktem hazardzisty wyczuwał nieuchronnie zbliżającą się katastrofę? Nie potrafiła orzec, ale jeśli tak było w istocie, gigantyczne spadki na londyńskiej giełdzie kilka dni po „czarnym czwartku” w Nowym Jorku w pełni potwierdziły jego ponure przeczucia. Digby zamknął się w gabinecie i siedział w nim przez większość dnia przy telefonie, krzycząc do słuchawki. Wyłonił się z niego dopiero późnym wieczorem z czerwoną i mokrą od potu twarzą. Po raz

pierwszy od początku ich małżeństwa Beatrice zobaczyła w oczach swojego męża strach.

Celia wróciła do Londynu, by kupować kolejne ekstrawaganckie ozdoby do ukochanego zamku. Przeczytała o krachu w gazetach i rozmawiała z matką, która martwiła się o ojca, ale nie wyobrażała sobie, że spadki na nowojorskiej giełdzie mają cokolwiek wspólnego z nią. Gdy spytała Archiego o stan ich finansów, zapewnił, że są w jak najlepszym porządku, że mają mnóstwo pieniędzy i z powodu jakichś zawirowań giełdowych nie musi ograniczać swoich wydatków. Niewiele więc myśląc, kontynuowała zakupy; szalała po sklepach w Knightbridge i na Bond Street, podczas gdy reszta londyńskiej socjety trzęsła się ze strachu, a miejski smog pogrążał Londyn w złowróźbnej szarej mgle.

– Co za nuda – żaliła się do Harry’ego podczas lunchu w Claridge’u. – Tata jest w paskudnym nastroju, a to zupełnie do niego niepodobne! A mama się o niego zamartwia, co tylko pogarsza mu humor. Wczoraj Leona i Vivien przysły na herbatę i jeszcze bardziej zdenerwowały mamę, powtarzając to, co usłyszały zapewne od swoich głupich mężów, że teraz będziemy biedni, bez grosza przy duszy i godni pożałowania. O rany, jak ja nie cierpię swoich sióstr! – Pociągnęła łyk szampana i uśmiechnęła się figlarnie. – A więc, żeby poprawić sobie nastrój, kupiłam wspaniały obraz do holu. Powieszę go w miejsce tego obleśnego starego generała z psem, który wisi przy wejściu na schody...

Gdy tak trajkotała, Harry próbował skoncentrować się na jej słowach, ale widział tylko poruszające się ładne czerwone usta, ponieważ jego myśli kręciły się nieodmiennie wokół Boysiego Bancrofta.

Celia nie miała pojęcia, jaki zamęt w jego życiu wywołał jej Letni Bal. Oczywiście, nie ponosiła tu żadnej winy, spoczywała ona wyłącznie na jego barkach. Gdyby nie zabrał Boysiego do pokoju, który dzielił z żoną... Gdyby nie był taki nieostrożny... Gdyby nie chciał, w jakiś podświadomy sposób, zostać przyłapany... Odkąd wyjechał z Ballinakelly z Charlotte, pogrążył się w bezdennej rozpacz. Życie bez Boysiego nie miało sensu. Teraz, gdy obiecał żonie, że nigdy się z nim nie spotka, miał wrażenie, że słońce przestało świecić, noce są gęste jak smoła, a jego kończyny ciężkie jak ołów. Miał wrażenie, że porusza się w wodzie, i to zawsze pod prąd. Nieszczęście go przytłaczało; podczas gdy Celia kąpała się w jasnym świetle, on przebywał w nieustannym cieniu. Cień ten przenikał go do szpiku kości. Cierpienie było wszechogarniające, a jednak nie mógł się zdobyć, by zwierzyć się Celi. Musiał być mistrzem udawania, uśmiechać się we właściwych momentach, jak zawsze dowcipkować i wybuchać beztroskim śmiechem, podczas gdy jego serce kurczyło się z bólu jak śliwka pozostawiona w trawie na łaskę zimowych mrozów.

Celia, niepodzielnie skoncentrowana na swoim zamku, nawet nie zapytała go o Boysiego. Gdyby była bardziej uważna, być może zastanowiłaby się, dlaczego

Boysie nie je z nimi lunchu. Zapytałaby, dlaczego nie przychodzi we wtorki do salonu jej matki oraz dlaczego Harry, do tej pory tak częsty gość w Deverill House, od lata nie przekroczył progu tego domu. Gdyby nie była tak uparcie skupiona na sobie i ozdabianiu nowego domu, może zaniepokoiłaby ją bladość kuzyna, żywy ból w jego oczach, którego nie był w stanie ukryć, albo opuszczony kącik ust, gdy zaskakiwał go nagły smutek. Ale nie była. Celię niezmiernie cieszyło opowiadanie Harry'emu o nowych nabytkach i wspaniałych planach na święta. O tłumach dzieci, które miały przyjechać, ponieważ „zamek tej wielkości to naturalne miejsce rodzinnych spotkań”. Święta Bożego Narodzenia to będzie „prawdziwy odlot”, ponieważ przyjadą tam wszyscy, zamiast jak zwykle siedzieć dwa tygodnie w Deverill Rising.

W końcu przestała paplać o sobie i odstawiła pusty kieliszek.

– Kochanie, a jak się miewa Charlotte? Była taka przygnębiona po balu... Wrócił jej dobry nastrój?

Harry wytarł usta serwetką, pomimo że były czyste.

– Tak – skłamał. – Źle znosi tę ciężę. W Norfolk, gdzie spędziliśmy resztę lata, poczuła się wyraźnie lepiej. Sądzę, że po prostu brakowało jej własnej rodziny. Nasza czasami bywa trochę przytłaczająca.

Ale prawda była taka, że Charlotte mu nie wybaczyła. Od powrotu z Norfolk ani razu nie zaprosiła go do sypialni i na pewno nie zapomniła tego, co widziała, ani nawet się o to nie starała. Była równie nieszczęśliwa jak on. Naturalne zmęczenie z powodu ciąży w połączeniu z poczuciem niedoli pogłębiało jeszcze jej gorz. Żyli jakby w różnych wymiarach, pozostając ze sobą tylko ze względu na dzieci i opinię w środowisku; znajomi i rodzina niczego nie zauważyli, a wszelkie oznaki drażliwości pomiędzy nimi składano na karb zaawansowanej ciąży Charlotte i obaw Harry'ego w związku z kryzysem na rynkach. Zresztą większość londyńskiego towarzystwa bała się krachu gospodarczego i wszyscy, oprócz Celi, martwili się o przyszłość.

Jedyną osobą, która wykazywała taką samą jak Celia beztroskę w kwestiach finansowych, była Maud, matka Harry'ego. Po kupnie nieruchomości przy Chester Square, nie myśląc zupełnie o mężu, który wydał na ten cel pieniądze uzyskane ze sprzedaży swojej rodzinnej siedziby, zabrała się ochoczo do urządzania nowego domu przy pomocy pana Kennetha Leclaire'a, sławnego architekta, który wyczarował takie cuda w Castle Deverill. Maud ani myślała zamieszkać z Bertiem, a więc pozostał on w Hunting Lodge dzięki uprzejmości Archiego i Celi, którzy pobierali od niego symboliczny czynsz. Harry miał wątpliwą przyjemność poznać kochankę Maud, Arthura Arlingtona, młodszego brata hrabiego Pendrith, powszechnie znanego hultaja i hazardzistę, a poza tym dwukrotnego rozwodnika. Harry spotkał z nim matkę na przedstawieniu baletowym i był doprawdy zbulwersowany. Jak na kobietę, której tak desperacko zależało na opinii, Maud

zachowywała się niezwykle swobodnie w towarzystwie Arthura, który jak wszyscy wiedzieli, eskortował ją zarówno do Royal Opera House, jak i do łóżka. Być może pociągało ją jego arystokratyczne pochodzenie, rozmyślał Harry. Nic bowiem nie podniecało matki bardziej niż tytuł.

– Nie mógłbyś zostawić Charlotte w Norfolk na Boże Narodzenie? – indagowała Celia. – Będzie dopiero co po porodzie. Na pewno nie zechce przeprowadzać się przez wzburzone morze do Ballinakelly. Będzie jej wygodniej zostać w domu, gdzie zaopiekuje się nią matka. Jak myślisz, czy uda się namówić Boysiego, żeby też zostawił tę nudną Deirdre? Może przyjechałby dopiero na Nowy Rok? A właściwie dlaczego wy obaj musieliście się ożenić? Było o wiele zabawniej, gdy byliście wolni.

– Ty też wysłaś za mąż – rzekł stanowczo Harry.

– Och, to co innego. Wasze żony to nudziary, a Archie jest taki zabawny! – Twarz jej pojaśniała, gdy wyrażała podziw dla męża. – Niczego mi nie odmawia, jeśli chodzi o zamek. Powinieneś zobaczyć te cuda, które kupiłam we Francji. Musieliśmy wysłać je statkiem, a to zabrało tygodnie. Można by pomyśleć, że to żegluga przez Atlantyk, a nie przez nasz pocziwy kanał! Niedługo będzie aukcja u Christie's. Sprzedają olśniewające rzeczy z Rosji. Po rewolucji ci straszni bolszewicy wyprzedali wszystkie skarby. Nie uwierzyłybyś, jakie tam było bogactwo! Kilka rzeczy wpadło mi w oko. Och, jestem bardzo podniecona. Poszedłbyś ze mną? Będę licytować jak szalona, podnosząc rękę przy każdej okazji. Jakież to zabawne! Ogromnie się ekscytuję!

– Dziwię się, że Archie choć trochę cię nie hamuje, zważywszy obecną sytuację – powiedział Harry i skinął na kelnera, aby przyniósł rachunek.

– Kochanie, nie ma się czym martwić. Musisz pamiętać, że poślubiłam bardzo mądrego człowieka.

Harry nie był co do tego przekonany.

– Wszystkich nas dotknął kryzys.

– A więc musi mieć jakieś ukryte rezerwy. – Zachichotała. – Ponieważ ja je wydaję!

Jednak parę tygodni później pewnością Celi zachwiał jej ulubiony krawiec przy Maddox Street, który odmówił udzielenia jej kredytu. Błada z niepokoju oczekiwała, aż Archie wróci do domu z długiego lunchu w klubie. Ledwie się pojawił, od razu go o to spytała.

– Moja droga, to tylko znak naszych czasów – wyjaśnił chłodno. – Wszyscy wykazują dodatkową ostrożność.

– A więc nie ma się czym martwić?

– Absolutnie nie.

Odetchnęła z ulgą.

– Tak się cieszę. Byłabym zrozpaczona, nie mogąc pójść na rosyjską aukcję

do Christie's. Chciałam, żeby Harry ze mną poszedł, ale on odmówił, a więc pójdę z mamą. Doprawdy, wszyscy robią tyle hałasu o nic! – Objęła męża i go pocałowała. – Jesteś cudowny, Archie. Wprost cudowny. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Zmarszczył brwi, lecz ona w swoim zaślepieniu nie zauważyła, że unika jej wzroku.

– Wiesz kochanie, co sprawia mi największą przyjemność? – ciągnęła.

– Nie wiem, więc mi powiedz.

– Przyglądanie się, jak tata cieszy się z Castle Deverill. Dorastał w jego cieniu, kochał go i pragnął tam przynależeć jak jego kuzyni – Bertie i Rupert. Mama powiedziała mi, że letnie wakacje spędzane w Ballinakelly wywierały na nim takie głębokie wrażenie, że teraz czerpie przyjemność i satysfakcję z faktu, że go posiadamy. Zupełnie, jakby sam był jego właścicielem. Zrobiłeś cudowną rzecz, nie tylko odbudowując rodzinne gniazdo, ale oddając je londyńskim Deverillom. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy. Ogromny prestiż. Kocham wujka Bertiego i pielęgnuję wspomnienia z czasów, gdy żyli Hubert i Adeline, ale jestem szczęśliwa, że zamek dostał się w moje ręce. Bardzo go kocham i tata również. Dziękuję, kochanie, że to zrobiłeś. Niewiarygodnie nas uszczęśliwiłeś.

Archie wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

– Zawsze tego chciałem – powiedział, a ona poczuła jego twarz w swoich włosach.

*

Pod koniec listopada Charlotte Deverill powiła chłopca – dano mu na imię Rupert po stryju Harry'ego, który zginął pod Gallipoli. Narodziny syna nieco stępiły jej wrogość w stosunku do męża. Po dwóch córkach pojawienie się na świecie chłopca dało rodzicom powód do prawdziwej radości. Na chwilę mogli zapomnieć o wzajemnej niechęci i świętować narodziny spadkobiercy wielowiekowego tytułu oraz mieć nadzieję, że pewnego dnia mały Rupert doczeka się syna, który przekaze swój tytuł następnej generacji. Harry kochał córki, ale narodziny syna poruszyły go w szczególny sposób. Nowo narodzone dziecko oderwało go od ustawicznej tęsknoty za Boysiem i ożywiło jego zniechęcone serce. Niewinność małego Ruperta dogłębnie go wzruszała i każda jego mina wywoływała płynący z głębi serca uśmiech. Ale potem, gdy grudzień przyniósł ze sobą wietrzne noce i zimne, ciemne poranki, czarny pies rozpaczy znów zaczął go ścigać.

Mała biała dłoń Celii stale uniesiona w górę zrobiła wrażenie na wszystkich obecnych na wielkiej aukcji dzieł sztuki rosyjskiej w Christie's. Zachęcana przez matkę licytowała mnóstwo rzeczy i wygrała wszystkie, których pragnęła. Aby to uczcić, matka i córka zjadły razem lunch w Mayfair, dyskutując o planach Celii

urządzenia wielkiego noworocznego balu.

– Będzie jeszcze wspanialszy niż ten letni – zwierzała się Beatrice. – Zaproszę też Maud i Victorię, chociaż ich nie znoszę. Myślę, że nadszedł czas na wyciągnięcie gałązki oliwnej, nie sądzisz, mamo? Bardzo chcę, żeby Maud zobaczyła, czego dokonałam, i wyraziła swoją opinię.

– Bardzo wątpię, żeby kiedykolwiek znów postawiła stopę w Ballinakelly. Sądzę, że nie zniosłaby widoku dziedzictwa swego męża w twoich rękach. Ale na pewno doceni twój gest. Być może tym razem przyjadą twoje siostry. W zeszłym roku spędziły święta z rodzinami swoich mężów, a więc teraz kolej na nas. Powiedziałam im, że zamierzasz urządzić rodzinne święta. Wszyscy są ciekawi, co ty i Archie zrobiliście z tym miejscem. To jedyni członkowie naszej rodziny, którzy jeszcze nie widzieli zamku, ponieważ latem nie mogli przyjechać. – Beatrice uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Gdy pomyślę o tych wszystkich dzieciach biegających po zamku i ogrodzie. Będą się wspaniale bawić! – Potem jej uśmiech zamarł i niepokój zmarszczył jej brwi. Zaczęła się bawić kieliszkiem. – A twojemu ojcu dobrze zrobi wyjazd z Londynu. Ostatnio jest bardzo strapiony. Nawet powiedział mi, żebym się ograniczyła tam, gdzie mogę...

– To znaczy, że powinnaś przestać wydawać pieniądze? – spytała przerażona Celia.

– Obawiam się, że tak. Robię, co w mojej mocy. Jestem pewna, że kłopoty się skończą, ale zanim to się stanie, należy być rozważnym. – Zaśmiała się melancholijnie. – Od wyjścia za mąż nie musiałam na niczym oszczędzać. Wiesz, że twój ojciec był bardzo majątnym człowiekiem, gdy go poznałam. Dopisało mu szczęście w kopalniach diamentów, a potem w czasie gorączki złota. Był pełnym fantazji poszukiwaczem przygód. Ale jest też ryzykantem. Nie wiem, co się dzieje, ale obawiam się, że niektóre z jego ryzykownych inwestycji nie wypaliły, a kryzys pozbawił go części majątku. Mam nadzieję, że to nic aż tak poważnego. Przetrzymamy to, nieprawdaż?

– Tata da sobie radę – powiedziała z naciskiem Celia. Nie mieściło jej się w głowie, że ojciec może stracić majątek, a ona oparcie. – On jest zbyt mądry, żeby pozwolić, by coś takiego go zniszczyło. Ale masz rację, Boże Narodzenie w Castle Deverill sprawi, że poczuje się lepiej. Wszyscy pocujemy się lepiej. To miejsce ma tyle uroku!

*

Zgodnie ze wspaniałą tradycją Deverillów – dziedziców na Castle Deverill, Celia zaprosiła całą rodzinę na dwa świąteczne tygodnie, obejmujące Boże Narodzenie i Nowy Rok, a bal na koniec roku miał przyćmić wszystkie wydawane tu wcześniej przyjęcia.

Maud, zgodnie z przewidywaniami, nie przyjęła zaproszenia. Jednak

Victoria potwierdziła swój przyjazd, pisząc, że przez piętnaście lat sumiennie wykonywała swoje obowiązki u boku męża w Broadmere, ich rodzinnej posiadłości w Kent. Idąc śladem swojej teściowej, owdowiałej hrabiny, podejmowała dzierżawców i pracowników posiadłości, a więc zasługuje wreszcie na to, by spędzić święta zgodnie ze swoim pragnieniem. Stoke i Augusta również przyjęły zaproszenie, co było wielką niespodzianką, ponieważ Augusta zapewniała, że nie dożyje Bożego Narodzenia. Siostry Celi także zgodziły się przyjechać, tak samo jak Harry i Charlotte, ku rozczarowaniu Celi, która miała nadzieję, że Harry'emu uda się jednak zostawić swoją zrzędlivą żonę w Anglii. Jednak największe rozczarowanie sprawił jej Boysie. Odpisał swym pięknym kaligraficznym pismem na luksusowej, mięsistej kremowej papeterii z Mount Street, że niestety nie może przyjąć zaproszenia, czego niezmiernie żałuje, ponieważ Celia Mayberry jest znana, nie tylko w Ballinakelly, lecz także w Londynie jako niezrównana pani domu. Komplement sprawił Celi przyjemność, niemniej jednak zasmuciło ją, że jeden z jej najdroższych przyjaciół nie będzie obecny na jej pierwszych świętach w Castle Deverill i pierwszym balu noworocznym.

Kitty i Robert zapowiedzieli swój przyjazd w dzień Bożego Narodzenia z Krzaczkami i Bertiem oraz Elspeth i jej mężem, Peterem, rumianym na twarzy mistrzem polowania na lisy, który chciał koniecznie zapoznać Archiego z zaletami irlandzkiego życia na wsi, sadzając go na konia i wysyłając na polowanie. Zamek miał roić się od dzieci kuzynów Deverillów, które będą robić to, co zawsze robiły tu dzieci – biegać po posiadłości jak dzikie psy. Celia była podniecona niczym koń pełnej krwi podczas Derby i nie mogła się doczekać przyjazdu gości.

Wreszcie samochody zaczęły sunąć po podjeździe i zatrzymywać się przed imponującym wejściem, które Celia udekorowała wieńcem z jodły i ostrokrzewu z czerwonymi jagodami. Kamerdyner stał przy drzwiach, żeby powitać gości, a trzech lokajów czekało w pogotowiu, aby odnieść ich bagaże do sypialni. Od morza wiał wilgotny wiatr, a szare chmury kłębiły się nad wieżami zamku, ale nic nie mogło stłumić radości Celi z powitania gości w swym domu, ogrzanym wielkim kosztem.

Pierwsi przyjechali Augusta i Stoke. Augusta wysiadła z samochodu przy pomocy szofera, a potem przystanąła na chwilę, wpatrując się w mury z pełnym zadumy wyrazem twarzy, jakby przypominała sobie dni, gdy przyjeżdżała w odwiedziny do Adeline i Huberta, zanim ogień uczynił te niewypowiedziane krzywdy rodzinie. Przez moment wydawało jej się, że widzi twarz w zachodniej wieży i zamrugła, żeby wyostrzyć wzrok. Może jakieś dziecko tam się bawiło albo była to gra światła? Odwrócił jej uwagę mąż, który przeszedł naokoło samochodu i podał jej ramię. Spojrzała na wejście, gdzie za otwartymi drzwiami dojrzała ogromny hol i ogień huczący w położonym w głębi kominku.

*

– Ona ciągle żyje – skomentowała Adeline do Huberta, gdy wyglądali gości z okna wieży. – Podejrzewam, że przeżyje ich wszystkich.

– Mam nadzieję, że nie – rzekł Hubert.

– Na pewno przeżyje swojego męża. Stoke coraz bardziej chwieje się na nogach. O, jest następne auto! Zobaczmy, któż to? – Czekala obok Huberta, ale jego coraz trudniej było rozbawić w monotonnej próżni, w której przebywał już od tylu lat. Adeline się uśmiechnęła. – To Harry i Charlotte. – Westchnęła i przechyliła głowę na bok. – Biedny Harry, jest taki nieszczęśliwy. Cóż, życie nie jest łatwe.

– Życie po życiu jest jeszcze gorsze – gderał Hubert.

– Lepiej się do tego przyzwyczaj – rozległ się z fotela głos Bartona. – Nie masz na co narzekać.

– Nie kłóćcie się! – poprosiła cierpliwie Adeline. – Powinniście jakoś się dogadać, ponieważ wygląda na to, że zostanieie tu przez długi czas. Ach, jest Digby i Beatrice. Pamiętasz, kochanie, jak Digby przywoził ci najlepsze kubańskie cygara? – Hubert tylko coś burknął. – A Beatrice przywoziła nam wszystkim najwytworniejsze jedwabie. Zawsze byli tacy szczodrzy. Biedny Digby, życie mu się trochę skomplikowało. Ale takie doświadczenia są dla nas próbą charakteru. My też podlegaliśmy różnym testom, prawda?

– Żałuję, że cię nie słuchałem, Adeline – powiedział nagle. – Myślałem, że ty... – Zawahał się, a potem zaśmiał się ironicznie. – Myślałem, że jesteś trochę stuknięta, ale to ja byłem głupi. Myślałem, że te duchy to wytwór twojej wyobraźni. A teraz jestem jednym z nich. Jakże ślepi są ludzie i jak łatwo ich wprowadzić w błąd. Spójrz na nich wszystkich! – Popatrzył na kolejny samochód, który sunął po podjeździe. – Oni też są ślepi. Dopiero śmierć otworzy im oczy.

Z tyłu za nimi rozległo się głośnie cmoknięcie.

– Bądź dobrej myśli, Hubercie. Przynajmniej nie jesteś w piekle.

Hubert odwrócił się do Bartona.

– Nie wierzę w piekło, przed którym mnie przestrzegano. Piekło jest dla nas tu, na ziemi. To teraz oczywiste.

– Tam to dopiero będzie piekło – zauważyła złośliwie Adeline. – Hubert uśmiechnął się, ponieważ z samochodu wysiadała Victoria, hrabina Elmrod, ze swym rozpaczliwie nudnym i pozbawionym poczucia humoru mężem Erikiem. – Obawiam się, że będzie zamieszanie. Wszyscy zostaną tu na dwa tygodnie. Dopiero będzie zabawa!

Rozdział 17

Victoria przebywała w zamku zaledwie godzinę, a już dała się we znaki; służący byli zniecierpliwieni jej bezustannymi wymaganiami. Zażądała, żeby wyprasowano wszystkie jej suknie oraz koszule męża. Upierała się, żeby jej ośmioletnia córka, lady Alexandra, miała własną pokojówkę, co oznaczało, że Bessie, jedna z młodszych służących, musiała zostać odsunięta od swych codziennych obowiązków i zająć się dziewczynką.

Victoria przyjechała tu z zamiarem skrytykowania nowatorskiej rekonstrukcji dawnego domu jej ojca, ale ku swemu zaskoczeniu, musiała przyznać, że odbudowany zamek jej się podoba.

– O, jest przyzwoita hydraulika i elektryka! – wykrzyknęła z zachwytem, wchodząc ostentacyjnie do łazienki. – Wielkie nieba, co za różnica! Celia wydobyła tę siedzibę z mroków średniowiecza. Myślę, że będę tu bardzo szczęśliwa. Żałuję, że mama nie jest w stanie przełknąć dumy i przyjechać, ponieważ nawet ona byłaby pod wrażeniem tutejszych wygód i luksusów.

– Moja droga, już ona znalazłaby coś do skrytykowania, zapewniam cię – wtrącił jej mąż, wyglądając przez okno na zadbane ogród. – Ale z powodu zazdrości jej pobyt tu byłby nie do zniesienia.

– Ale spędza święta sama w Londynie.

– Jej wybór, Victorio. Dostała zaproszenie i odmówiła.

– Cóż, nie zamierzam z jej powodu wpędzać się w poczucie winy.

Eric wybuchnął śmiechem.

– Na pewno się o to będzie starać.

*

Harry i Charlotte zamieszkali w tym samym pokoju co poprzednio, a to nie poprawiło ich bardzo napiętych stosunków. Harry od wielu miesięcy nie widział Boysiego i teraz, gdy znów znalazł się w zamku, odkrył, że wspomnienia związane z przyjacielem wyczerniają tu z każdego kąta, przez co pograżył się w jeszcze większym strapieniu i tęsknocie. Też spoglądał przez okno na ogrody, ale zazdrość jego matki nie zaprzętała mu głowy. Harry rozważał pomysł rzucenia się przez okno. Myśl o tym rodziła się powoli, stopniowo wkradała się do jego umysłu jak wieczorny zmrok. Śmierć byłaby wyzwoleniem, rozmyślał. Nie czułby już bólu z powodu separacji ani udręki poczucia winy. Byłby wolny.

Charlotte wyszła z pokoju, żeby porozmawiać z nianią i zajrzeć do małego Ruperta, którego umieszczono w innej części zamku wraz z resztą dzieci. Harry

zapalił papierosa, pozwalając, aby wspomnienia unosiły się przed jego oczami jak statki na morzu. Przypominał sobie Josepha, swoją pierwszą miłość, i tamten wieczór, gdy Kitty nakryła ich razem w łóżku; a potem ten dzień, gdy musiał się pożegnać i wracać na front. Przypominał sobie wojnę, łoskot pocisków, rozrywające głowę eksplozje bomb i tęsknotę, straszliwą tęsknotę, gdy nocami siedział skulony w okopach, wpatrując się w gwiazdy, które skrzyły się jak odległe światła domu. Teraz czuł taką samą tęsknotę za Boysiem i było to równie okropne.

Wieczorem przybyły Krzaczkę z Kitty i Robertem, Elspeth z Peterem i wszystkimi swoimi dziećmi oraz Bertie, który przyszedł piechotą z Hunting Lodge, oświetlając sobie drogę latarką. Wszyscy serdecznie się uściskali, ponieważ minęło wiele czasu od spotkania londyńskich Deverillów i tych z Ballinakelly. Okrzykom radości nie było końca.

– Cieszę się, że Bóg mnie na razie oszczędził i mogę raz jeszcze zobaczyć zamek przywrócony do jego dawnej wspaniałości – oświadczyła Augusta stentorowym głosem, opadając na fotel jak worek kartofli. Żabot czarnej sukni okalał jej szyję jak pióra, a diamenty w uszach były tak ciężkie, że rozciągały małżowiny. Z trudem splotła opuchnięte, artretyczne palce, na których drogocenne kamienie tworzyły kiść błyszczących kolorów. – Teraz, gdy już go zobaczyłam, jestem gotowa odejść.

Mężczyźni stali w holu, dyskutując o opłakanym stanie gospodarki, podczas gdy Celia oprowadzała po salonie swoje siostry, Vivien i Leonę. Kitty zaś i Elspeth musiały znieść niekończący się monolog Augusty o śmierci. Beatrice gawędziła z Krzaczkami, zauważając przy okazji, że coś w nich się zmieniło. I nie chodziło o ich wygląd, chociaż musiała przyznać, że wyraźnie przywiązywały do niego większą wagę. To było coś nieuchwytnego, ale mimo to rzucało się w oczy. Coś popsulo się w ich relacjach.

– Przypuszczam, że Archie zaprosi towarzystwo na tradycyjne polowanie w drugi dzień świąt – powiedziała Hazel.

– Tak sądzę – potwierdziła Beatrice. – Na pewno weźmie w nim udział, chociaż, jak mniemam, nie jest zapalonym jeźdźcem.

– Ethelred jest doskonałym jeźdźcem. – Laurel wciągnęła powietrze przez nos i zrobiła minę świadczącą o wielkim podziwieniu i szacunku. – Poznałaś go, prawda?

– Oczywiście – oświadczyła Beatrice, zauważając, że pomiędzy siostrami nagle zapanowała chłodna atmosfera.

– On na pewno będzie na polowaniu – stwierdziła Hazel. – Naprawdę jest doskonałym jeźdźcem.

Laurel uśmiechnęła z przymusem.

– Starał się mnie namówić, żebym wzięła w nim udział.

– I mnie! – Hazel nie dawała za wygraną. – Mnie też starał się namówić. Ale

uważam, że jestem za stara.

– Ale ja nie jestem – burknęła Laurel. – Zastanawiam się nad tym.

– Niemożliwe! – Zdumiała się Hazel.

– Co, myślisz, że nie dam sobie rady? Nie zapominaj, że w swoim czasie bardzo dobrze jeździłam. Lord Hunt twierdzi, że w amazonce będę wyglądać znakomicie. – Laurel zarumieniła się i uśmiechnęła z zadowoleniem. – On za dużo sobie pozwala.

Hazel zacisnęła usta.

– Och, jest Charlotte – powiedziała. – Chciałabym zobaczyć małego Ruperta. Wybaczenie! – I zamaszystym krokiem podeszła do Charlotte, która blada i onieśmielona stała w drzwiach.

Beatrice bezradnie patrzyła, jak Hazel odchodzi. Odwróciła się z powrotem do Laurel i spytała o wielebnego Maddoxa, byle tylko przerwać rozmowę o lordzie Huncie, który przypominał jej lisa w kurniku.

Digby mocno poklepał Archiego po plecach.

– Miło z twojej strony, Archie, że wyprawiasz święta dla całej rodziny. To będą moje najlepsze święta. – Archie pławił się w słowach podziwu z ust teścia. – Muszę przyznać – ciągnął Digby – że nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego męża dla mojej córki. Uczyniłeś ją bardzo szczęśliwą, a to prawdziwy wyczyn. Jest zmienna i ma płochą naturę, ale przez wszystkie te lata nie spuszczała oka z zamku, co nikogo bardziej nie zaskakuje niż mnie. Dodajesz jej wiatru w żagle, Archie. Jak widać, doskonale ją rozumiesz i potrafisz sobie z nią radzić.

– Dziękuję, Digby – rzekł Archie.

– Powiedz mi, jak mężczyzna mężczyźnie, jak stoją twoje interesy?

– Bardzo dobrze.

Digby skinął w zadumie głową i zapatrzył się w przestrzeń.

– Nic, czym mógłbym się martwić?

– Nic – upewnił go Archie.

– Mamy trudne czasy. Jestem hazardzistą, Archie. Spekulantem. Lubię podejmować ryzyko, ale nawet ja się sparzyłem.

– Nie powiem, że wyszedłem z tego bez uszczerbku – przyznał Archie. – Ale byłem przezorny w interesach.

– To dobrze. – Digby znów poklepał zięcia po plecach, po czym dodał: – Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w finansowych tarapatkach, mam nadzieję, że nie będziesz się krępował do mnie przyjść.

– Oczywiście – zapewnił Archie.

Digby odszedł, żeby ponownie napełnić kieliszek. W gruncie rzeczy miał nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie; sam nie był w dogodnej sytuacji, żeby komukolwiek pomagać.

*

W dzień Bożego Narodzenia rodzina udała się do kościoła, a potem wróciła na lunch i otwieranie prezentów. Dzieci, ubrane w najlepsze aksamity i jedwabie, radośnie piszcząc, rozrywały papiery i wstążki. Potem nianie zabrały je do dziecięcego skrzydła, żeby mogły pobawić się nowymi zabawkami. Dorośli popijali sherry, rozwiązywali szarady, grali w karty i przez okna salonu przyglądali się, jak zapada zmierzch.

– W Boże Narodzenie wszyscy powinni być szczęśliwi – powiedziała Kitty do Harry’ego, gdy stali obok siebie, wyglądając na zewnątrz. – Ale czuję nostalgię i smutek z powodu tego, co straciliśmy. – Zerknęła na brata, który starał się znaleźć słowa, żeby wyrazić swoje poczucie samotności. – Postąpiłeś słusznie – zmieniła temat cicho. – Pomimo że jest ci ciężko. Ocaliłeś swoją rodzinę. – Skinął głową, usiłując opanować emocje. Twarz mu się zarumieniła, oczy zalśniły, ale nie spuszczał wzroku z ciemnoszarego nieba i atramentowego ogrodu. – Będzie lepiej, zobaczysz – ciągnęła. – Żal nigdy nie zniknie, ale ostry ból, jaki teraz odczuwasz, z czasem stępuje. Będziesz w stanie go ignorować. Na szczęście życie niesie ze sobą wiele rozrywek. A potem nagle, gdy najmniej się tego spodziewasz, znów ból zakłuje cię w sercu. Ale przejdiesz przez te chwile i one w końcu miną. Myślę o Adeline i o tym, co ona by powiedziała. W życiu musimy przejść przez wiele prób, Harry. Życie na ogół nie jest proste. – Gdy znów na niego spojrzała, miał tak smętny wyraz twarzy, że chciała ująć jego rękę i uścisnąć, ale wiedziała, że nie może tego zrobić; pod wpływem tego czułego gestu jeszcze by się rozkleił.

Nazajutrz po Bożym Narodzeniu myśliwi zgromadzili się na trawniku przed zamkiem, by wyruszyć na polowanie. Był wilgotny dzień, ciepły jak na grudzień. Siąpił deszczyk, a wiatr przynosił zapach sosen, wilgotnej ziemi i morza. Wrony podskakiwały na trawie, dziobiąc ziemię w poszukiwaniu pędraków, a konie parskały w wilgotnym powietrzu. Kobiety w granatowych amazonkach oraz kapeluszach siedziały w damskich siodłach, oprócz Kitty, która w poranek po pożarze postanowiła, że już nigdy nie będzie tak jeździć. Siedziała po męsku na kłaczy, ubrana w bryczesy, granatowy żakiet, bluzkę z wykrochmalonym białym kołnierzykiem wykończonym falbanką, a warkocz ognistorudych włosów sięgał jej prawie do pasa. Obok niej JP trzymał się pewnie na kucyku. JP miał prawie osiem lat i podobnie jak jego przyrodnia siostra, śmiałe spojrzenie szarych oczu i takie same rude włosy, ale jego twarz była szeroka i przystojna jak u jego ojca; ku ogromnej dumie Bertiego przeszedł już obrzęd myśliwskiej inicjacji poprzez smarowanie twarzy krwią upolowanego zwierzęcia. Chcąc jak najszybciej wyruszyć, JP kręcił się z podniecenia w siodle, podczas gdy Robert przyglądał się całemu zamieszaniu wraz z córką Florence, która bała się koni. Archie, namówiony przez Petera do wzięcia udziału w polowaniu, siedział niezdarnie na koniu, usiłując ukryć strach. Z kieszeni wyjął piersiówkę i pociągnął długi łyk tarniówki, ale wcale

nie poczuł się lepiej.

Lord Hunt, wytworny w swym czarnym żakiecie i czarno-brązowych oficerkach, uniósł kapelusz, kłaniając się Krzaczkom, które kręciły się wokół jego konia jak muchy.

– Wspaniały dzień na polowanie – zagadnął jowialnie Ethelred. – Łagodne powietrze. Psy łatwo złapią trop. Muszę was w końcu przekonać, żebyście znów wskoczyły na siodło. Chciałbym zobaczyć was w amazonkach i woalkach. – Uśmiechnął się do nich radośnie z góry, torując sobie ku nim drogę.

Grace prezentowała się elegancko w czarnej amazonce, bladą twarz miała na wpół ukrytą pod prześwitującą czarną woalką. Znać było jednak, że zeszczupiała, a jej usta, zwykle tak zmysłowe, zacisnęły się w twardą linię. Odkąd Michael Doyle ją odtrącił, dotkliwiej odczuwała przemijanie młodości. Ubolewała, że nie jest już piękną, której Michael nie był w stanie się oprzeć. Starła się, jak mogła, ale myśli o Michaelu jej nie opuszczały, a na każde wspomnienie jego dotyku czuła ból na całym ciele. Czy ośmieli się przyznać, nawet przed sobą, że Michael skradł jej nie tylko serce, ale i wypalił w niej pożądanie? Od tamtej pory nie wzięła sobie innego kochanka i musiała znosić męża, próżnego mężczyznę, puszającego się tym, że ma ładną kobietę w każdym mieście. Zerknęła na sir Ronalda. Rozmawiał z Bertiem, siedząc na koniu, który uginał się pod jego ciężarem. Poczula jeszcze większą irytację, gdy odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się serdecznie.

Celia, która z zapałem wcielała się w rolę pani na zamku, siedziała w amazonce w damskim siodle; miała zawadiacko nasadzony czarny kapelusik, a jej lśniące blond włosy zebrane były w staranny koczek i ukryte pod siatką. Podjeżdżała do jeźdźców i witała się z każdym z uprzejmą wyniosłością królowej. Bertie, który wyróżniał się w swoim czerwonym jeździeckim żakiecie, poprosił jednego ze służących roznoszących alkohole, by podał kieliszek Digby'emu, który wyglądał nieco blado. Bruce i Tarquin, mężowie Leony i Vivien, siedzieli pewnie w siodłach, ponieważ obaj po służbie w armii byli doświadczonymi jeźdźcami, podczas gdy ich żony, które nie lubiły konnej jazdy, tylko się przyglądały.

Peter, jako główny łowczy, zadał w róg i polowanie się zaczęło. Psy biegły przodem, z nosami przy ziemi, by złapać trop lisa. Na trawniku nagle zrobiło się pusto, pozostały tylko wrony. Hazel i Laurel stały samotnie na tarasie.

- Cóż, przedstawienie się skończyło – powiedziała Hazel.
- Wrócą na herbatę – pocieszyła ją Laurel.
- Pójdę do salonu i posiedzę przy kominku.
- Żeby znosić Augustę? To nie dla mnie.
- Co masz więc zamiar robić, Laurel? – obruszyła się Hazel.
- Znajdę trójkę chętnych i zagramy w roberka. Na pewno Robert dołączy, a Vivien i Leona też dadzą się namówić.

Hazel wyglądała na dotkniętą. Zawsze grały w brydża razem, gdy żyli Hubert i Adeline.

– Doskonale – oznajmiła, dumnie unosząc podbródek. – Jak sobie chcesz. Tak przy okazji, ja lubię Augustę.

Panie wróciły razem do zamku, czując się nieswojo z powodu niezwyklej u nich rozbieżności zdań.

*

Harry'ego cieszyło polowanie, ponieważ zmuszało do skupienia się na chwili bieżącej, tak samo jak po wojnie, gdy chciał uciec od wspomnień brutalności, której był świadkiem. Teraz pragnął znów się zatracić. Jako chłopiec nigdy nie lubił polowań, był wtedy tchórzem, ale teraz napawał się brawurową jazdą na koniu i nie zważając na osobiste bezpieczeństwo, przeskakiwał żywopłoty, murki i strumyki. Psy złapały trop i gorączkowo podążały jego śladem. Harry galopował na przedzie, adrenalina pulsowała mu w żyłach, serce waliło o żebra, zagłuszając tęsknotę za Boysiem. Po chwili znalazł się obok Kitty, jadącej odważnie jak mężczyzna. Uśmiechnęła się do niego, gdy przebrnęli nad żywopłotem z głogu i zostawili go za sobą z łoskotem kopyt. Brat i siostra jechali razem, rozkoszując się niebezpieczeństwem, które w tej chwili ich łączyło i łagodziło myśli o nieosiągalnej miłości.

Jadąca na końcu kawalkady Grace, z twarzą ochlapaną błotem i włosami wymykającymi się spod szpilek, natknęła się na grupę zabawnie poprzebieranych miejscowych mężczyzn i chłopców, wędrujących traktem prowadzącym z Ballinakelly do innych małych miasteczek na wybrzeżu. Byli z nimi muzykanci i wszyscy śpiewali. Zwolniła do kłusa, aż dostrzegła twarz Michaela Doyle'a i ściągnęła konia. Jakiś młody chłopiec trzymał wysoką tyczkę ozdobioną wstążkami, z małym zawiniątkiem dyndającym na czubku. Zerknęła na Michaela przez woalkę, a on odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem czarnych oczu.

– Dzień dobry, panie Doyle – odezwała się, potem przeniosła wzrok na chłopca i spytała, co się kołysze na czubku jego kija.

– Dzisiaj jest dzień Świętego Stefana – wyjaśnił chłopak, zaskoczony jej niewiedzą. – A to jest strzyżyk[7].

– Strzyżyk? – Zdumiała się. – Martwy strzyżyk?

– Tak – potwierdził na ochotnika jeden z mężczyzn.

– Dlaczego go zabiliście? – Skierowała to pytanie do Michaela, który z racji swej postury górował nad grupą, roztaczając wokół siebie aurę autorytetu i ważności.

– Istnieją trzy legendy na temat świętowania pogrzebu strzyżyka – odrzekł. – Pierwsza, że w ogrodzie Getsemani to strzyżyk skierował uwagę Rzymian na Jezusa. Druga, że ten ptaszek zdradził Irlandczyków, gdy wylądował na bębnie, co

ostrzegło armię Cromwella. – Kąciki ust Michaela wykrzywiły się w uśmiechu; popatrzył na Grace z większą intensywnością. – Ale krąży też opowieść o Clonie – kusicielce, która podstępnie zwabiała mężczyzn do morza na pewną śmierć. Ale odkryto zaklęcie, które ich przed nią chroniło. Cliona, ratując się przed ich zemstą, zamieniła się w strzyżyka. Odtąd poluje się na te ptaszki, żeby pomścić jej występki. – Wpatrywał się w Grace z porozumiewawczym wyrazem twarzy.

Uniosła głowę.

– Idźcie więc dalej – powiedziała, delikatnie ściskając konia. Gdy zaczęli się oddalać, zawołała Michaela.

Począł, aż reszta chłopców znalazła się już poza zasięgiem głosu, zanim się odezwał.

– Słucham, lady Rowan-Hampton?

– Ja jestem tym ptaszkiem dyndającym na patyku – oznajmiła i zagryzła wargę. – Twoja wiara jest twoim czarodziejskim zaklęciem, a ja jestem biednym strzyżykiem.

– Grace...

Naprężyła mięśnie szyi, żeby opanować emocje.

– Wiesz, że czasami dążąc do tego, co w górze, zaniedbuje się to, co na ziemi.

– I niech tak pozostanie – skwitował.

– Wróci ci rozum. Jestem tego pewna.

Pokręcił głową.

– Gdy ktoś raz doświadczył światła, Grace, nie chce powrotu do ciemności.

Burknęła coś z furją, raptownie skręciła konia i pogalopowała, żeby dołączyć do myśliwych.

O zmroku, gdy słabe zimowe słońce przezierało przez kratownicę drzew podobną do kowalskiego paleniska, polowanie dobiegło końca. Upolowano lisa i wszyscy byli niezmiernie podekscytowani udanym pościgiem. Archie prowadził konia w dół wzgórza w stronę zamku, którego okna lśniły zapraszającym blaskiem, obiecując herbatę, ciasto, a w kominkach ogień podsycany torfem. Gdy się zbliżał, wieże i wieżyczki zamku odcinały się na czystym niebie w kolorze indygo, ponieważ wiatr zepchnął dżdżyste chmury w głąb łądu. Widok był urzekający. Pragnął na chwilę się zatrzymać, żeby rozkoszować się tym widokiem, zanim słońce zatopi się za horyzontem i kontur zamku zamaże w ciemnościach, ale pozostali uczestnicy polowania chcieli jak najszybciej wrócić do domu, żeby wziąć kąpiel i wypić herbatę, a więc jechał dalej, nagle czując na barkach ciężar odpowiedzialności. Castle Deverill to coś więcej niż zamek, zdawał sobie z tego sprawę. Było to serce Deverillów, a teraz utrzymanie go przy życiu zależało od niego. Celia kochała ten zamek, ale nie rozumiała, dlaczego go kocha. Archie rozumiał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że było w nim coś więcej niż

wspomnienia; był w nim duch tamtych dobrych czasów.

Gdy dotarli do stajni i oddali konie pod opiekę stajennych, pospieszyli do zamku, żeby przebrać się na podwieczorek. Bryczesy mieli pochłapane błotem, a twarze mokre od potu i ubrudzone ziemią spod kopyt. Gdy Harry skierował się na schody, Celia z zaczerwienioną i błyszczącą twarzą wypadła z salonu.

– Nie uwierzysz, kto właśnie do nas zawitał! – krzyknęła, chwytając go za ramię.

Serce Harry'ego podskoczyło. Czy to możliwe, by Boysie zmienił zdanie i jednak przyjechał?

– Maud! – oznajmiła prędko Celia, drżąc z podniecenia. – Twierdzi, że nudziła się sama w Londynie i że święta Bożego Narodzenia to rodzinne święta. Naprawdę czuję się tak, jakby przybyła jakaś złośliwa czarownica, żeby nam wszystko popsuć! – Ale nie wyglądała na nieszczęśliwą z tego powodu. – Co powie twój ojciec... i Kitty?

Harry ukrył rozczarowanie.

– Chyba nie przywiozła ze sobą Arthura Arlingtona? – spytał, starając się nadać głosowi trochę humoru.

– O Boże, nie! Dopiero byłby skandal. Przyjechała sama. Powiedziała, że chciała zrobić nam niespodziankę.

– No to jej się udało – skomentował Harry, wchodząc na schody.

– Nie przywitasz się?

– Żeby ubrudzić jej nienaganną suknię błotem? Jeszcze nie teraz. Zejdę na dół po kąpiel i cię wybawię.

– Ach, jest tata! – Podbiegła do Digby'ego. – Nigdy nie uwierzysz, kto przyjechał...

*

Maud w jasnej tweedowej sukience i kosztownej futrzanej etoli siedziała sztywno na ławie przy kominku. Blond włosy były obcięte równo z linią szczęki, co podkreślało surowe rysy jej twarzy. Wodziła lodowatymi oczami po pokoju, niczego nie pomijając. Beatrice nieomal słyszała trzaski w jej głowie, gdy przeliczała koszty. Augusta przyglądała jej się dyskretnie ze swego fotela, podczas gdy Charlotte, która zawsze trochę bała się teściowej, znalazła miejsce na kanapie z Leoną i Vivien, mając nadzieję, że Maud nie skieruje na nią uwagi. Krzaczki, które mogły myśleć tylko o lordzie Huncie, zajmowały drugą sofę, oniemiały i wystraszone niczym para myszy w obecności węża. Victoria ulokowała się obok matki na ławie i obserwowała twarze pozostałych kobiet – mieniące się zaskoczeniem, a potem źle ukrywanym przerażeniem – paląc papierosa w cygarniczkę i napawając się ciepłem kominka na plecach.

Wreszcie Maud się odezwała.

– Miło tu – zauważyła spiętym głosem.

Beatrice drgnęły usta. Augusta parsknęła z dezaprobatą.

– Uczono nas, że słowo „miło” jest bardzo pospolitym określeniem, Maud – powiedziała władczo.

– W takim razie uroczo – poprawiła się Maud. – Na pewno jest ciepło, co jest pożądaną zmianą. Na szczęście Adeline nie żyje i nie może zobaczyć, jak bardzo się zmieniło.

– Musiało się zmienić, mamó – wtrąciła Victoria. – Trudno odtworzyć wszystko, co strawił ogień.

– Ale jest zupełnie inaczej. To miejsce straciło duszę.

– Za to jest nowoczesnie – pochwaliła Victoria. – Mnie się bardzo podoba. Też bym się tak urządziła, gdybym miała taką możliwość.

Beatrice uśmiechnęła się do Victorii.

– Zawsze miałaś doskonały gust, moja droga – powiedziała, starając się nie dać sprowokować Maud.

– Nie szcędzono tu kosztów. Doprawdy, nie miałam pojęcia, że Archie jest takim krezusem – dodała Maud.

Augusta znów się obruszyła.

– Rozmowa o pieniądzach jest niestosowna.

– Ale trudna do pominięcia w tak wystawnym otoczeniu – odparowała natychmiast Maud. – Uważam, że wszystko wygląda nawet bardziej okazale niż za życia ojca Huberta. A jak na tamte czasy panował tu niezwykły przepych.

Zanim Augusta zdążyła wtrącić swój komentarz, pojawili się mężczyźni, odświeżeni i ubrani do podwieczorku.

Gdy Maud witała się z synem, jej niechęć do Celi, że przejęła dziedzictwo Harry’ego, uniosła się jak mgła w słońcu. Maud uściskała syna serdecznie, uśmiechając się z rzadko okazywaną komukolwiek tkliwością.

– Przyniesiesz Ruperta na dół, kochanie? Nie mogę się doczekać, by go utulić.

Charlotte się skrzywiła; miała wątpliwości, czy Maud w ogóle potrafi trzymać dziecko.

Digby, kryjąc zaskoczenie, dopytywał się o szczegóły podróży i zastanawiał się, jak zareaguje Bertie na widok żony, która przysięgła, że nigdy więcej nie postawi stopy w Irlandii.

Celia na wszelki wypadek usiadła na podłodze obok swojej babci. Wiedziała, że Augusta będzie jej bronić przed kąśliwymi uwagami Maud. Jakaś część niej żałowała, że Maud tu się pojawiła, ale z drugiej strony uważała jej zaskakujący przyjazd za ekscytujący.

Gdy do salonu wszedł Bertie wraz z Kitty i Robertem, zapadła głucha cisza. Maud nie rozmawiała z mężem od pogrzebu Adeline, czyli od ponad czterech lat,

i wszyscy byli ciekawi, co powie, ale również niepokoił się o Bertiego, którego bardzo lubili.

Na widok Maud twarz Bertiego poczerwieniała. Maud, która przygotowała się do tej chwili, a niczego nie lubiła bardziej, niż skupiać na sobie powszechną uwagę, uśmiechnęła się słodko.

– Miło cię widzieć, Bertie – zaczęła gładko. Uważała, że powitanie należy wypowiedzieć uprzejmie, aczkolwiek chłodno – jakby zwracała się do wikarego lub starego przyjaciela rodziny, który nie należy do specjalnych ulubieńców.

Bertie stał w drzwiach. Wpatrywał się w żonę ze zdumieniem. Digby miał ochotę szturchnąć go w bok. Zamiast tego zdecydował się sam przerwać niezręczną ciszę.

– Czyż to nie urocza niespodzianka? – powiedział w nadziei, że Bertie się z nim zgodzi.

Ale Bertie tylko odchrząknął; zdawało się, że szuka odpowiednich słów, ale ostatecznie ich nie znalazł.

– Witaj, mamó – odezwała się Kitty. Najmłodsza córka Maud nawet nie udawała, że cieszy ją widok matki.

– Witaj, Kitty – odpowiedziała Maud. – Jak udało się polowanie?

– Wyjątkowo dobrze. Było szybkie i niebezpieczne. Dokładnie takie, jak lubię. – Zwróciła się do ojca: – Przyniosę ci herbatę, tato. Po takim dniu obydwójce musimy się rozgrzać. – Kitty się roześmiała.

Maud przeszył dreszcz; zażyłość pomiędzy ojcem i córką była aż nadto widoczna. Przyglądała się Bertiemu, a tymczasem podjęto przerwane rozmowy i niezręczna atmosfera ulotniła się wśród szmeru głosów. Gdy ostatnim razem widziała swego męża, był gruby, nalany i podpuchnięty od alkoholu. Dziś prezentował się dziarsko, zeszczupłał, miał zdrową, gładką cerę. Ręce mu się nie trzęsły, a z jasnych oczu bił dawny blask, którym tak ją kiedyś urzekł. Dobrze mu się żyło, najwyraźniej był szczęśliwy – bez niej.

Chwilę później nadeszła Grace z sir Ronaldem oraz swoim ojcem, który jako adorator Krzaczków wybawił je z niezręcznej sytuacji – wyciągnął je do okna, żeby pokazać im gwiazdy, tego wieczoru świecące niezwykle jasno.

– Temperatura spadła – zauważył Ethelred. – Sądzę, że sypnie śnieg.

– Och, uwielbiamy śnieg! – powiedziała Hazel, myśląc o romantycznym spacerze po ogrodzie w świetle księżycy w towarzystwie lorda Hunta.

– Tak, rzeczywiście – zgodziła się z nią Laurel, pragnąc by Hazel poszukała rozrywek gdzie indziej, a wtedy ona i srebrny wilk mogliby kontemplować razem księżyc.

Ale wbrew wzajemnym oczekiwaniom żadna z nich nie odstępowała swego idola ani na krok. A lord Hunt spokojnie, drobnymi łykami popijał herbatę.

Maud zauważyła, że Grace bardzo wychudła. Zauważyła też, nie bez

satysfakcji, że jej dawna przyjaciółka i rywalka zaczyna tracić urodę. Wstała i podeszła do niej.

– Droga Grace! – zagadnęła. – Tyle czasu minęło!

– Och, Maud, zrobiłaś nam wszystkim wspaniałą niespodziankę – odpowiedziała Grace z nienagannym uśmiechem.

– Nie mogłam sama usiedzieć w Londynie, gdy cała moja rodzina świętuje tutaj.

– Oczywiście, że nie. Dobrze wyglądasz. Londyn ci służy.

Maud uśmiechnęła się, komplement miło polectała jej próżność.

– Och, tak. Ale ty, moja droga, chyba zeszczupiałaś. Chudość nie wpływa dobrze na urodę. Nie masz apetytu?

– Doskonale się czuję, dziękuję – odparła gładko Grace. – Po raz pierwszy cię tu widzę, odkąd Celia kupiła zamek. Czyż nie jest cudowny? W całej Irlandii nie ma siedziby, którą można by z nim porównać. Wszyscy tak uważają.

Maud zeszywniała.

– Mam nadzieję, że nic złego się nie stanie – powiedziała z nieszczerze zafrasowaną miną. – Wiele fortun zmiotł kryzys. Mam nadzieję, że ich jest bezpieczna. Tyle wysiłku i pieniędzy włożyli w tę posiadłość, że szkoda byłoby ją stracić.

– Zawsze byłaś optymistką, Maud – zauważyła Grace.

– A ty zawsze byłaś moją prawdziwą przyjaciółką, Grace – odcięła się Maud.

*

Tej nocy padał śnieg. Gęste białe płatki opadały na zamarznąłą ziemię z kłębowiska chmur, które pod osłoną ciemności niepostrzeżenie nadciągnęły z nad morza. Deverillowie oraz ich bliscy spali spokojnie w swoich łóżkach, nieświadomi śnieżycy za oknami. Zamek pogrążony był w ciszy, wiatr ustał, gwiazdy pochowały się za chmurami; śnieg padał miękko i bezdźwięcznie, a jednak w tym spokojnym bezruchu duchy Castle Deverill wydawały się podenerwowane; w martwej ciszy wyczuwały coś strasznego.

Kiedy pierwsze promienie świtu zaróżowiły niebo na wschodzie, wstał jeden z mężczyzn.

Ubrał się, uważając, by nie obudzić śpiącej żony. Zapiął guziki koszuli i zawiązał krawat. Włożył marynarkę i buty, pilnując, żeby skarpetki pod spodniami były starannie podciągnięte. Oddychając spokojnie, pewną ręką sięgnął za łóżko po linę, którą tam wcześniej schował. Bez zawahania ruszył do drzwi, cicho przekręcił gałkę i opuścił sypialnię. Zwinnie jak kot przekradł się przez zamek i wyszedł na dwór.

Świt był piękny. Na oczach mężczyzny różowa poświata zamieniała się

w złotą, gdy słońce obwieszczało narodziny kolejnego dnia, rozdzierając promieniami szaroniebieskie niebo. Specjalnie przeszedł przez trawnik, pozostawiając na śniegu ciemne ślady. Niebo było teraz czyste, ostatnie gwiazdy zerkwały spomiędzy chmur. A jednak piękno poranka było mu obojętne. Miał wytknięty cel i nic nie mogło go od niego odwieść. Ani urok świtu, ani ludzie, których zostawił. Był spokojny, opanowany i czuł ulgę.

Dotarł do drzewa, na którym widniała tabliczka z napisem POSADZONE PRZEZ BARTONA DEVERILLA 1662, i z łatwością się na nie wspiał. Usiadł okrakiem na gałęzi, która wyrastała równoległe do ziemi, i zaczął zawiązywać linę. Zrobienie pętli nie sprawiło mu kłopotu; w dzieciństwie lubił zawiązywać węzły. Z kieszeni wyjął piersiówkę i pociągnął duży łyk. Alkohol rozpałił mu gardło i rozgrzał trzewia, dostarczając ostatniej przyjemności, której miał doświadczyć na tej ziemi. Nie pozwolił sobie na smutek ani żal, który mógłby go powstrzymać przed wykonaniem planu. Pomyślał, co musiałby znieść, gdyby żył dalej, i doskonale wiedział, bez cienia wątpliwości, że śmierć jest od tego lepsza. Że śmierć jest jedynym wyjściem.

Założył pętlę na szyję i powoli wstał ze swobodą linoskoczka. Przycisnął rękę do pnia, łapiąc równowagę. Podniósł oczy i po raz ostatni spojrzął na zamek. Promienie wschodzącego słońca niczym płomienie z wolna przesuwają się w górę kamiennych murów, pożerając fioletowe cienie odchodzącej nocy. Wkrótce nadejdzie poranek i zamek obudzi się do życia. Ale teraz był jeszcze spokojny, cichy i w jakiś sposób upiorny pod pokrywą śniegu.

Mężczyzna zamknął oczy, oderwał rękę od drzewa i skoczył. Lina wydała cichy jęk, a potem rozległy się rytmiczne trzaski, gdy ciało zakołysało się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią.

Stado wron wleciało w powietrze, a głośnie krakanie odbijało się echem wśród drzew wraz z upiornym krzykiem Banshee[8].

7 W Irlandii drugi dzień Bożego Narodzenia (St. Stephen's Day) nazywany jest dniem „polowania na strzyżyki”. Od domu do domu chodzą kołędnicy nazywani „chłopcami strzyżyka” i zbierają datki.

8 Banshee według legendy to jasnowłosa kobieta, której zawroźdzenie zwiastowało śmierć.

Rozdział 18

Charlotte obudziła się i odkryła, że łóżko po stronie Harry'ego jest puste. Położyła rękę na jego poduszce. Była zimna. Musiał wstać jakiś czas temu. Zacisnęła dłoń w pięść. Przez ostatnie dni był taki nieobecny, dziwnie powściągliwy. Czy kiedykolwiek zdołają naprawić swoje małżeństwo? Po tym, co zobaczyła tamtej nocy, wydawało się to niemożliwe. Ubrała się i zeszła do jadalni, gdzie Digby, Celia, Beatrice i Maud już jedli śniadanie. W pokoju unosił się zapach smażonego bekonu. Pomimo że ostatnio nie miała apetytu, zaburczało jej w brzuchu.

– Ach, Charlotte! – powitał ją Digby z ciepłym uśmiechem. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś?

Charlotte rozejrzała się w poszukiwaniu Harry'ego. Była tak pochłonięta własnym nieszczęściem, że w ogóle nie myślała o stanie ducha swego męża. Może poszedł na poranny spacer w śniegu...? Serce jej ścisnęło się od wyrzutów sumienia. Ostatnio dużo czasu spędzała samotnie.

– Czyż ten śnieg nie jest cudowny! – zachwyciła się Beatrice.

– To szczęśliwy omen – zawyrokowała Celia, wdychając z zadowoleniem.
– Och, jestem taka szczęśliwa! To były najcudowniejsze święta, a na balu sylwestrowym powitamy pomyślny rok dla nas wszystkich.

Digby sceptycznie uniósł brew. Nie sądził, aby rok tysiąc dziewięćset trzydziesty był pomyślny dla kogokolwiek, a już na pewno nie dla niego. Włożył kęs jajka i grzanki do ust i powoli je przeżuwał.

Maud, na której zawsze można było pod tym względem polegać, z właściwym sobie czarnowidztwem rzuciła:

– Kraj dotknął najgorszy kryzys w historii. Nie wydaje mi się, by ktoś czuł się teraz szczególnie szczęśliwy oprócz ciebie, Celio.

Celia przewróciła oczami i już miała powiedzieć coś, czego by zaraz pożałowała, gdy na szczęście matka przysłała jej w sukurs.

– Myślę, że mamy szczęście, że jesteśmy tu razem, w tym pięknym miejscu, w tak uroczy zimowy poranek. Nie wiem, jak wy, ale ja zamierzam po śniadaniu wybrać się na spacer, żeby się nim nacieszyć.

Rozmowa urwała się na chwilę, gdy do jadalni weszła Victoria z Erikiem, a tuż za nimi Stoke, który jak się zdawało, tym razem starannie wyszczotkował swe białe sumiaste wąsy. W trakcie powitalnych uprzejmości i pytań, jak się spało, pojawił się kamerdyner z listem na tacy. Zawahał się na moment, niepewny, komu go podać.

– Co to jest, O’Sullivan? – spytała Celia.

– List, proszę pani. Leżał na stoliku w holu. Ale do nikogo nie jest zaadresowany.

– Podaj mi go – poprosiła, skinawszy dłonią. Otworzyła kopertę i wyciągnęła liścik napisany na maszynie. Zmarszczyła ze zdumieniem czoło. – „Przepraszam” – przeczytała z kwaśną miną.

– Kochanie...? – zagadnęła Beatrice.

– Tylko to jest napisane: przepraszam – powtórzyła Celia.

– Od kogo ten list? – spytał ostro Digby.

Celia odwróciła kartkę na drugą stronę, a potem zrobiła to samo z kopertą.

– Nie ma podpisu. To jakiś żart? – Z gniewem rozglądała się po twarzach zgromadzonych przy stole. – Wcale nie jest zabawny.

Charlotte wybuchła płaczem.

– To Harry! – wykrztusiła. Gwałtownie odepchnęła krzesło i stała z ręką na szyi, z trudem łapiąc powietrze. – To od Harry’ego. Wiem, że to od niego... – Zaczęła szlochać.

Beatrice z konsternacją przyglądała się córce, ta zaś patrzyła z przerażeniem na Charlotte.

Digby zakaszłał w serwetkę. Victoria wyglądała na zbulwersowaną; taki emocjonalny wybuch nie uchodził w towarzystwie.

Maud pobladła.

– Co się dzieje? Co się stało z Harrym? Na litość boską, Charlotte, wyrażaj się jaśniej!

Charlotte starała się opanować.

– On... Nie było go rano w łóżku. Nie wiem, gdzie jest.

– Nie panikujmy – rzekł Eric, stawiając na stole talerz jajecznicy z pomidorami oraz grzanki. – Pewnie wyszedł na spacer. Jest piękny poranek.

– Zrobił coś głupiego, czuję to – upierała się Charlotte. – Napisał ten liścik i odszedł. Wiem, że tak.

– A więc musimy go odnaleźć – zdecydował Digby, rzucając serwetkę na stół. – Trzeba przeszukać teren; dopóki go nie znajdziemy, nikt nie skończy śniadania.

Eric i Victoria westchnęli z dezaprobatą.

– Burza w szklance wody – orzekła Victoria, ale Maud już zmierzała do drzwi.

Stoke pozostał na krześle, patrząc ze zdumieniem, jak wszyscy wychodzą z pokoju. Miał ponad osiemdziesiąt lat i był przygłuchy; w efekcie umknął mu sens rozmowy.

Wiadomość o zniknięciu Harry’ego i zagadkowa treść liściku rozeszła się lotem błyskawicy po zamku. Zapanowała atmosfera nerwowego pośpiechu. Digby,

włożywszy buty i palto, wyszedł na śnieg. Zauważył ślady i ruszył ich tropem. Pod wpływem nagłego złego przeczucia ugięły się pod nim kolana. Beatrice, Maud, Celia i Charlotte pobiegły za nim, wołając Harry'ego ile sił w płucach. Wrony śledziły ich z wierzchołków drzew błyszczącymi oczami. One wiedziały.

– Za co on właściwie przeprasza? – spytała Maud Charlotte, gdy spieszyły za Digbym. – Digby mógłby trochę zwolnić. To na pewno fałszywy alarm. Harry'emu będzie głupio, gdy wróci i dowie się, że cały zamek go szuka.

Charlotte nie mogła opowiedzieć matce Harry'ego o nocy po Letnim Balu. A jeśli Harry uznał, że bez Boysiego nie warto żyć? O Boże, co ona zrobiła? Znow zaczęła płakać. A jeśli to jej wina? Jeśli ona doprowadziła go do śmierci? Modliła się w duszy do wszystkich bogów, którzy mogliby jej zwrócić ukochanego Harry'ego całego i zdrowego: Jeśli wróci, wybaczę mu – obiecywała, przedzierając się przez śnieg. – Może spotykać się z Boysiem tak często, jak zechce. Byleby żył!

Niespodziewanie Digby zawrócił i zaczął maszerować w ich kierunku. Twarz miał czerwona jak burak, ramiona rozpostarte, jakby chciał zasłonić kobiety przed czymś, czego nie powinny oglądać.

– Proszę, wracajcie do zamku – powiedział rozkazującym tonem.

Celię nagle ogarnęła fala mdłości. Za plecami ojca zobaczyła bowiem kołyszące się na drzewie ciało mężczyzny. Przyłożyła rękę do ust i wstrzymała oddech.

– Beatrice, proszę, zabierz dziewczęta do zamku – powtórzył Digby z większym naciskiem. W każdych innych okolicznościach usłuchałyby jego polecenia. Ale Celia wiedzona strachem i przerażeniem ruszyła naprzód, spychając ojca z drogi z taką siłą, że omal się nie przewrócił. Digby, odzyskawszy równowagę, wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, ale ona już biegła po śniegu, łyż ją zaślepiały, dyszała ciężko. Na drzewie, sztywny i bładny jak worek mąki, wisiał Archie.

Celia objęła ramionami jego nogi w próżnym wysiłku, by go podtrzymać. Cichy jęk wydobył się jej z gardła, gdy walczyła z ciężarem martwego męża. Ojciec natychmiast ją objął, starając się oderwać jej dłonie od ciała Archiego. Mówił coś łagodnym, krzepiącym głosem, ale Celia słyszała jedynie krew pulsującą jej w skroniach oraz jęki, które narastały w piersi i wydobywały się w dzikich, nienaturalnych odgłosach, całkiem jej obcych.

Beatrice łkała. Maud zszokowana przyglądała się okropnej scenie rozgrywającej się na jej oczach, a Charlotte padła na kolana i szlochała – tym razem z ulgi. Nagle wśród tego zamieszania pojawił się Harry. Wszyscy spojrzeli nań ze zdumieniem, on zaś przesunął wzrok na bezwładne ciało wiszące na stryczku i Celię, która nadal przywierała do nóg męża, jakby nie zdając sobie sprawy, że nic go już nie ocali. Nie żył od dawna. Charlotte niezdarnie podniosła się z klęczek i oparła o męża.

– Och, Harry! Myślałam, że to ty! – zawyła.

Harry objął żonę, ale nie mógł oderwać oczu od sonej twarzy Archiego i jego złamanego karku. Powoli docierała do niego groza sytuacji.

W końcu Digby'emu z pomocą Harry'ego i Erica, którego zaalarmował hałas, udało się oderwać Celię od ciała i zaprowadzić ją do zamku. Digby zadzwonił na policję i po lekarza, a potem do Hunting Lodge, żeby przekazać Bertiemu tę straszliwą wiadomość.

– Dobry Boże! – Przeraził się Bertie. – Cóż, na Boga, go do tego skłoniło?

Digby westchnął.

– Jedynym powodem, dla którego mężczyzna z pozycją Archiego mógłby się targnąć na własne życie, są pieniądze – rzekł. – Mam okropne przeczucie, że Celię czekają duże kłopoty.

– Zaraz przyjdę – powiedział Bertie, odkładając słuchawkę.

Niebawem rodzina znów zgromadziła się w salonie; toczono rozmowy ściszonymi głosami.

– Miał wszystko, dlaczego to odrzucił?

– Czy ktoś zauważył, że był nieszczęśliwy?

– Nie sądzę, żebym kiedyś widziała Archiego bardzo zadowolonego.

– Pozory czasem mylą.

– Musiał ukrywać coś strasznego.

– Biedna Celia, co ona bez niego zrobi?

Celia otulona kocem siedziała przy kominku, popijając sherry. Szklanka drżała jej w ręku, szczękała zębami, pomimo ciepła. Łkając cicho, przedstawiała sobą żaloszny widok. Kobieta, która zaledwie kilka chwil temu opowiadała o swoim szczęściu, teraz rozpacziała nad jego stratą.

– Zrujnował nam święta – biadolila. – Zrujnował moje noworoczne przyjęcie. Jak on mógł, mamó?

Beatrice, która przytulała córkę do piersi i głaskała po włosach, jakby znów była małą dziewczynką, odwróciła się do starszych córek i wytłumaczyła:

– Ona jest w szoku. Biedne dziecko.

Leona i Vivien przytaknęły, mając teraz wyrzuty sumienia, że darzyły niechęcią młodszą siostrę, ponieważ wydawała się mieć wszystko.

Kitty przybyła z Robertem. Podbiegła do Celi, uklękła przed nią, ujęła jej rękę i delikatnie ścisnęła.

– Kochana Celio, tak mi przykro – powiedziała.

Celia uniosła opuchnięte oczy i uśmiechnęła się przez łzy.

– Byliśmy tacy szczęśliwi – zwierzyła się drętwym głosem. – Archie był taki szczęśliwy. Castle Deverill i rodzina były jego największymi osiągnięciami. Był z tego taki dumny. Dlaczego gdy świętował swój sukces, poczuł potrzebę ucieczki? Nie rozumiem... Jak mógł mi to zrobić?

– Napisał na maszynie jedynie „przepraszam” – przypomniała jej Beatrice. – Nie było tam adresata. Czyż to nie dziwne? Dlaczego nie napisał ręcznie i niczego nie wyjaśnił?

– Nie myślał jasno – zauważyła przytomnie Kitty. – Nie pomyślał o tobie i dzieciach. Ludzie nieszczęśliwi myślą wyłącznie o sobie.

– Nie wydawał się nieszczęśliwy – uświadomiła im Leona.

– Przeciwnie, wyglądał na szczęśliwego – dodała Vivien.

– Ale uczynił mnie wdową! – stwierdziła smutno Celia. Przestała płakać, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy. – Jestem wdową. Moje dzieci nie mają ojca. Jestem sama! – Poddała się następnej fali płaczu.

– Nie jesteś sama, kochanie – oznajmiła Beatrice, przyciskając ją mocniej do piersi. – Masz nas wszystkich i nigdy cię nie zostawimy.

Kitty wyciągnęła z kieszeni torebkę z zielonymi liśćmi i wcisnęła ją w dłoń Beatrice.

– Konopie Adeline – wyjaśniła. – Może ciocia zaparzy jej herbatę? To ją uspokoi.

W drzwiach pojawiła się Augusta w czarnej wiktoriańskiej sukni i szalu, wypełniając je swoją okazałą osobą; stała chwilę, opierając się na lasce i rozglądała władczo po pokoju, szukając swojej wnuczki. Gdy w końcu ją spostrzegła w ramionach matki przy kominku, ruszyła przez tłum, który z szacunkiem się przed nią rozstępował; mijając męża, nakazała mu, żeby przyniósł jej dużą szklankę brandy: „Natychmiast”. Podeszła do sofy, gdzie siedziały Leona wraz z Vivien; wystarczyło, że pstryknęła upierścienionymi palcami, a dwie kobiety jak na rozkaz ustąpiły jej miejsca. Augusta opadła na poduszki, rozlewając się na nich jak czekoladowy pudding i nie pozostawiając po obu swoich stronach ani kawałka miejsca. Kitty, która nadal kuciała u stóp Celi, przeniosła się na ławkę przy kominku, gdzie przycupnęła obok Leony i Vivien niczym trzeci ptak na żerdzi.

– Cóż, moja droga, to tragedia, której nikt z nas nie mógł przewidzieć – zaczęła Augusta poważnym tonem. – Był o wiele za młody, żeby umierać. Nikt nie wie, kiedy kostucha o niego się upomni, ale samobójstwo jest bez wątpienia aktem największego egoizmu.

– Augusto! – odezwała się Beatrice ostrzegawczo.

– Nie potrafię ukryć uczuć, Beatrice. Ten młody człowiek postąpił niegodziwie. Celia na to nie zasługuje. Była dobrą żoną. Uwierzcie mi, miałam w życiu takie momenty, gdy chciałam się nie obudzić, ale nigdy nie naraziłabym rodziny na wstyd i cierpienie. Co, na Boga, przyszło mu do głowy?

– Tego nie wiemy – powiedziała Beatrice, starając się zachować cierpliwość. Pragnęła, żeby wszyscy już wyszli i pozostawili ją samą z Celią.

– Pieniądze! – parsknęła Augusta. – Mężczyzna posuwa się do takiej

skrajności tylko z powodu kobiety lub pieniędzy. Możemy jednak z dużym prawdopodobieństwem założyć, że nie chodziło o kobietę.

Celia pociągnęła nosem.

– On miał mnóstwo pieniędzy, babciu – zaręczyła.

– To się zobaczy. – Augusta pociągnęła nosem. Przesunęła wzrokiem po kosztownym wyposażeniu pokoju. – To mogło być jego zgubą – oświadczyła bez ogródek do wnuczki, która znów pogрузzyła się w łkaniach.

Przyjechał lekarz. Kitty i Beatrice zabrały Celię na górę; podano jej krople walerianowe na uspokojenie i położono ją do łóżka, tak samo jak Adeline w noc, gdy Hubert zginął w pożarze.

– Jesteśmy przekłęci – mruknęła sennie Celia.

– Nie jesteśmy przekłęci – zapewniła ją Kitty, siadając na łóżku i biorąc ją za rękę. – Adeline zwykła mawiać, że jestem dzieckiem Marsa i moje życie będzie pełne konfliktów.

– A więc ja też muszę być dzieckiem Marsa – stwierdziła Celia.

– Postaraj się zasnąć. Archie znalazł już spokój. Zaufaj mi. Teraz trzeba się tobą zaopiekować.

– Naprawdę odnalazł spokój? Nie wisi już na drzewie? – Oczy Celi zalsniły świeżymi łzami.

– Opuścił ciało, zanim się zorientował, co się dzieje.

– Ale nie będzie się smażył w piekle?

– Bóg jest miłością, Celio. – Odgarnęła jej włosy z czoła. – Zresztą duchy nie mogą się smażyć. – Uśmiechnęła się czule do kuzynki, przypominając sobie długie rozmowy o życiu po śmierci, jakie odbywała z Adeline w jej małym saloniku pachnącym dymem torfowym i bzem. – Archie nie był złym człowiekiem. Podejrzewam, że odebrał sobie życie, ponieważ nie potrafił zmierzyć się z przyszłością. Brak odwagi nie jest grzechem. Znajdzie się w objęciach łaskawych duchów, które wskażą mu drogę do domu Ojca, obiecuję ci.

Celia przymknęła powieki. Próbowwała coś powiedzieć, ale słowa więzły jej w gardle, gdy zapadała w drzemkę.

Kitty wróciła do salonu. Teraz, gdy nie było już Celi, wszyscy rozmawiali normalnym tonem.

– Musimy zawiadomić rodzinę Archiego – mówił Bertie stojący w gromadce mężczyzn.

– To zadanie, którego nie życzyłabym najgorszemu wrogowi – powiedziała Victoria, siedząca na sofie obok matki. Zapaliła papierosa w eleganckiej bakelitowej fifce i patrzyła na Augustę, która osunęła się na sofie naprzeciwko i przysnęła, a jej podbródki zatoneły w biuście jak opadający suflet.

– Nie sędę, żebym kiedyś otrząsnęła się z tego widoku – odezwała się słabym głosem Maud, pijąc drugą szklaneczkę sherry. – Pomyśleć, że to mógłby

być Harry.

– Ale to nie był Harry – skwitowała rzeczowo Victoria.

– Ale Charlotte potwornie mnie wystraszyła – kontynuowała Maud. – O co jej chodziło, jak sądzicie?

Victoria zaciągnęła się papierosem.

– Nie mam pojęcia. Być może się pokłócili.

– Mężczyźni nie popełniają samobójstwa z powodu błahej sprzeczki – zauważyła Maud. – Mam nadzieję, że nie są w finansowych tarapatach. Nasza rodzina nie zniosłaby kolejnego skandalu. – Podniosła wzrok, gdy Bertie usiadł obok niej na sofie.

– Przykro mi, że tak się wystraszyłaś – rzekł łagodnie. – Charlotte czuje się z tego powodu bardzo źle.

– I słusznie – rzuciła Maud opryskliwie. – Ponieważ naprawdę mnie przeraziła. Głupia gęś, robi z igły widły.

– Przypuszczam, że Harry cierpiał w milczeniu.

– Cierpiał? Z jakiego powodu? – spytała Maud.

– Utraty domu. Wszyscy musieliśmy udawać, że nic się nie stało, ale przypuszczam, że to nie było łatwe dla nikogo z nas.

Maud utkwiała wzrok w sherry. Ostre rysy jej twarzy złagodniały, gdy się trochę odprężyła. Leona i Vivien przeszły do drugiej części pokoju; Augusta nadal spała, a więc pozostali tu we trójkę.

– Tak, jestem pewna, że masz rację – powiedziała. – To dla nikogo nie było łatwe. Nawet dla mnie, chociaż nigdy nie kochałam tego miejsca tak jak wy.

– Tak właśnie myślałem. – Czułość w głosie Bertiego zaskoczyła Maud.

– Pomimo wszystko okropnie przeżywam fakt, że Harry nigdy nie będzie lordem Deverillem z Ballinakelly, tak jak mu się to prawnie należy. Bez zamku tytuł nie ma znaczenia.

– Ja też się tym przejmuję, mamó – wtrąciła Victoria. Uśmiechnęła się bezceremonialnie, wydmuchując dym. – Wszyscy musieliśmy dzielnie się z tym zmierzyć. – Nie byłoby stosownie w tej chwili dodawać, że jeśli przed pożarem zamek byłby tak wygodny jak teraz, nie uciekałyby z niego tak prędko.

– Jestem szczęśliwy, że postanowiłaś przyjechać – wyznał Bertie, patrząc z uznaniem na żonę. – Przykro mi, że twój pobyt został naznaczony taką tragedią.

– Przeżyliśmy już wiele tragedii – odparła Maud, unosząc podbródek na znak, że nie pozwoli, by kolejna ją zniszczyła. – Ale przetrwaliśmy. Tak też będzie i teraz. Wy, Deverillowie, jesteście stworzeni z twardszego materiału niż ja. To ty ciągniesz mnie za sobą siłą swego pędu. To pomaga.

Uśmiechnęła się lekko do niego.

– Dziękuję, Bertie. Twoja troska jest wzruszająca.

Bertie odwzajemnił uśmiech, a Victorię zaprzątnęła myśl, czy na zgłiszczach

ich małżeństwa nie tli się jeszcze jakiś płomyk.

Wzrok Kitty powędrował ku oknu, przez które zobaczyła grupę policjantów w granatowych mundurach i czapkach z daszkiem, niosących przez trawnik owinięte w prześcieradło zwłoki Archiego.

– Gdzie jest Digby? – spytała Kitty, gdy Robert do niej dołączył.

– Rozmawia z inspektorem w bibliotece. Przypuszczam, że wkrótce dowiemy się, dlaczego się zabił – powiedział Robert. – Mógł zostawić żonie jakąś bardziej zrozumiałą notatkę – dodał. – Celia nie ma żadnej wskazówki. Niczego.

– Zbyt się wstydził, żeby to wyjawić.

– Coś wiesz, Kitty?

– Podejrzewam, że stracił wszystkie pieniądze, tak jak wielu innych. Nie potrafił przyznać się Celi, że nic im nie zostało. Nie mogę sobie wyobrazić innego powodu, dlaczego chciałby zakończyć życie. Założę się o wszystkie moje pieniądze – choć mam ich niewiele – że tu chodzi o wstyd.

– O Boże! Mam nadzieję, że nie będzie musiała sprzedać Castle Deverill.

– Też mam tę nadzieję. Bo jeśli tak, nas wszystkich czekają kłopoty.

Robert ujął jej rękę i uśmiechnął się czule.

– Cokolwiek będzie, Kitty, damy sobie radę. Zniesiemy wszystko, co na nas spadnie, ponieważ jesteśmy zjednoczeni i silni.

*

Harry zastał Charlotte w sypialni. Siedziała przy toalecie i srebrną szczotką czesała swe jasnorude włosy.

– Zastanawiałem się, gdzie zniknęłaś. Przepraszam. Powinienem być bardziej przewidujący.

– Usiądź – poprosiła, odkładając szczotkę na blat toaletki i obracając się na stołku. – Chcę ci powiedzieć coś ważnego.

Harry przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Obawiał się, że zażąda rozwodu. Nie sądził, żeby jego matka przeżyła tę wiadomość, szczególnie po horrorze dzisiejszego dnia.

Charlotte patrzyła na niego, a on zauważył, że jej błękitne oczy złagodniały jak woda na wiosnę. Nie było w nich już lodowatej niechęci, ale jaśniały ciepłem.

– Myślałam, że to ty się powiesiłeś – powiedziała cicho.

– Och, moja kochana! Wyglądam na tak nieszczęśliwego?

Uśmiechnęła się smutno.

– Tak, wyglądasz. Gdy zobaczyłam puste łóżko i usłyszałam o liście, przypuszczałam, że poszedłeś zrobić coś głupiego. Zawarłam wtedy układ z Bogiem...

– Jaki układ?

– Obiecałam, że jeśli żyjesz, wybaczę ci i pozwolę znów spotykać się

z Boysiem.

– Charlotte... – zaczął.

– Nie przerywaj. Dużo o tym myślałam. Kocham cię, Harry. Nie czułabym się tak zraniona, gdybym cię nie kochała. Jestem pewna, że też mnie kochasz na swój sposób.

– Tak – potwierdził.

– Ale wiem, że nie kochasz mnie w taki sposób, jak kochasz Boysiego. To nie jest konwencjonalne uczucie, ale nie mnie to oceniać. Miłość to cudowna rzecz, dokądkolwiek płynie. – Spojrzała na swoje starannie złożone na kolanach dłonie. – Nie wiem, czy Deirdre zdaje sobie sprawę z uczuć Boysiego do ciebie. Być może wie i tylko ja byłam naiwna. Ale dłużej nie będę. Też kocham Boysiego. Jestem nieszczęśliwa, że nie jest już obecny w naszym życiu. Brakuje mi go.

– Och, Charlotte... – Harry rozplótł jej ręce i ujął je w swoje. – Kocham cię. Myślisz, że w naszym małżeństwie jest miejsce dla nas trojga?

Roześmiała się, mrugając, żeby powstrzymać łzy, ale jedna zawisła na jej długich rzęsach.

– Myślę, że tak – wyznała.

Zakrawało na ironię losu, że w tej chwili wielkiej wspaniałomyślności Harry zrozumiał, że kocha swoją żonę bardziej, niż myślał.

Rozdział 19

Nowy Jork, 1929

Bridie promieniała szczęściem. Była zaręczona z pełnym animuszu hrabią Cesarem di Marcantonio i mieszkała w mieście kipiącym życiem, z szerokimi perspektywami i rosnącym bogactwem. Ameryka podzielała jej optymizm. Prezydent Hoover przewidywał, że niebawem nadejdzie dzień, gdy bieda całkowicie zniknie; ekonomiści określali zachodzące procesy „nowym poziomem” dobrej koniunktury i przewidywali, że dobrobyt kraju nigdy się nie skończy; zwykli ludzie zaś wierzyli, że kupując akcje, nie mogą stracić, i wszyscy, począwszy od pucybuta po milionera, grali na giełdzie. Bridie nuciła piosenkę *Blue Skies* Irvinga Berlina wraz z innymi nowojorczykami, przekonanymi, że wreszcie dotarli do garnca złota na końcu tęczy, i wydawała pieniądze z rozrzutnością kogoś, kto jest przeświadczony, że ten garnek nie ma dna. Ignorowała ostrzeżenia Beaumonta Williamsa o nieuchronnym krachu. Okazało się jednak, że jej prawnik, jak zawsze niezawodny, i tu się nie pomylił.

Krach, który nastąpił, miał niszczącą siłę jak upadek z ogromnej wysokości. Bridie słuchała radia, czytała gazety, ale przede wszystkim myślała o sobie. Nie chciała powrócić do biedy z czasów swej młodości.

– Jaki ten krach ma wpływ na moje finanse? – spytała pana Williamsa, siadając w jego gabinecie w znajomym skórzanym fotelu naprzeciwko kominka, który nie był rozpalony ze względu na ciepłą jesienną pogodę.

– Żadnego – odparł prawnik, zakładając nogę na nogę i odsłaniając szczupłą kostkę w bordowej skarpetce. – Pozwoliłem sobie poinstruować pani brokera, żeby pozbył się akcji przed ich paniczną wyprzedają – wyjaśnił od niechcienia, jakby to sprytne posunięcie rozumiało się samo przez się. – Przypomina sobie pani, że spodziewałem się tego od miesięcy. Od lat akcje były poważnie przeszacowane i zdecydowałem, że powinna pani zrealizować zyski póki czas. Rothschild powiedział mądrze: „Zostaw ostatnie dziesięć procent komu innemu”. Jest pani bogatsza niż kiedykolwiek, pani Lockwood. – Oczywiście wobec wzrastającego bezrobocia, bankrutujących farm i spadku sprzedaży samochodów nie był jedynym człowiekiem, który przewidział nadchodzącą katastrofę, ale zdecydowanie jednym z niewielu, którzy zareagowali na czas, aby zminimalizować jej skutki.

Bridie zarumieniała się mocno z wdzięczności.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

– Pani mąż, pan Lockwood, był roztropnym człowiekiem. Zainwestował większość pani majątku w złoto. Przewiduję, że ceny złota pójdą w górę. – Otworzył oprawioną w skórę księgę. – Sugeruję umówienie spotkania z brokerem, ale tymczasem, żeby pani była spokojna, zażądałem przysłania wykazu pani inwestycji. Jak widać, pani Lockwood, pani pieniądze zostały mądrze zainwestowane w krótkoterminowe obligacje rządowe, pierwszorzędne nieruchomości oraz ziemię. Nie chciałbym się przechwalać, ale w tym przypadku muszę przyznać, że okazałem się bardzo przebiegły.

Bridie słuchała, jak prawnik analizuje dane liczbowe i oblicza wartość jej inwestycji, ale niewiele z tego rozumiała. Jedyne słowa, które coś jej mówiły, to „zysk”, „odsetki” i „końcowe saldo”. Przyglądała się temu zadowolonemu z siebie mężczyźnie, jego okrągłemu brzuchowi, ukrytemu pod nieskazitelną szarą kamizelką, czystym, schludnym dłoniom o wymanikiurowanych paznokciach, starannie ogolonej twarzy i lśniącem czarnym włosom, i czuła przypływ wdzięczności, że jest pod opieką tak rozsądnego człowieka. Co by się z nią stało, gdyby nie pan Williams? Nie zastanawiała się jednak, jaka byłaby sytuacja pana Williamsa bez niej; jego dobrobyt, a zdecydowanie dobrze mu się powodziło, był mocniej związany z jej kondycją finansową, niż to sobie wyobrażała.

– Jak pani widzi, pani Lockwood, nie ma powodu do zmartwień. Cały Nowy Jork może się zawalić, ale pani ciągle będzie stała na nogach.

– Mam wobec pana ogromny dług – przyznała, patrząc, jak zamyka księgę i kładzie ją przed sobą na stole. Uniosła lewą rękę i przez chwilę podziwiała lśniący diamentowy pierścionek.

– Piękny pierścionek – zauważył pan Williams. – Mogę zobaczyć? – Sięgnął po jej rękę, przyciągnął ją do siebie i przekręcił do światła. Znał się co nieco na brylantach i nawet bez lupy potrafił ocenić, że ten jest kiepskiej jakości. – Kiedy zamierza pani stanąć na ślubnym kobiercu?

– Nie ustaliliśmy jeszcze daty – odpowiedziała Bridie z twarzą promieniującą szczęściem. – Wszystko potoczyło się tak szybko. Muszę zaczerpnąć tchu. Cesare chce wziąć ślub jak najszybciej.

– Nie wątpię – rzekł pan Williams, w zamyśleniu gładząc się po podbródku. Ale Bridie była zbyt podniecona, żeby dosłyszeć niepokój w jego głosie. – Czy mogę pani udzielić rady? – spytał.

Zważywszy, ile pieniędzy dzięki niemu zarobiła, nie mogła mu tego prawa odmówić.

– Oczywiście.

– Proszę dać sobie trochę czasu. Nie ma pośpiechu ze ślubem. Radzę lepiej poznać tego człowieka. Dobrze by było dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie i przyjaciółach. Zawarcie małżeństwa jest łatwiejsze niż jego rozwiązanie.

Bridie z uśmiechem energicznie pokręciła głową.

– Och, wiem, jak to wygląda, panie Williams. Oczywiście, że wiem. Nic o nim nie wiem, prawda? Ale z Walterem poszłam za głosem rozsądku i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło! Tym razem pójdę za głosem serca. Życie bez miłości nic nie jest warte. Teraz to wiem. Mogę być bogata jak Rockefeller, ale jeśli nie mam miłości, nic nie mam. Wierzę, że znalazłam swoją bratnią duszę.

Beaumont uważnie jej się przyglądał. Była zupełnie inną kobietą niż dwa lata temu, gdy tęskniła za swoim Irlandczykiem i szukała pocieszenia w alkoholu. Policzki miała teraz zarumienione, jej oczy lśniły zdrowiem i optymizmem, wyglądała na pewną siebie i zadowoloną. Beaumont zrozumiał, że nie jest ważne, czy ten hrabia jest prawdziwy czy nie, ponieważ Bridie go kocha. Po tym wszystkim, co przeszła – harówce na służbie u pani Grimsby, małżeństwie ze starszym człowiekiem i wdowieństwie w wieku dwudziestu pięciu lat, porzuceniu przez Irlandczyka, którego wierzyła, że kocha, a znał tylko te fakty i mógł jedynie się domyślać, co jeszcze kryło się w jej przeszłości – zdał sobie sprawę, że zasługuje na odrobinę szczęścia.

– Życzę pani szczęścia, pani Lockwood – powiedział, prostując się w fotelu.

– Dziękuję, panie Williams. – Była kompletnie zauroczona swoim narzeczonym, zlekceważyła więc ostrzeżenia pana Williamsa.

Jednak Beaumont Williams był przedsiębiorczym człowiekiem. Gdy go coś niepokoiło, nie tracił czasu, żeby dotrzeć do sedna sprawy.

A hrabia Cesare di Marcantonio stanowił prawdziwą zagadkę. Nie tylko Bridie niewiele o nim wiedziała. Jego przyjaciele i znajomi z Nowego Jorku wiedzieli o nim jeszcze mniej. Ale Beaumont Williams miał kontakty zarówno we Włoszech, jak i w Argentynie, i gdy dyskretnie tu i ówdzie pogrzebał, był w stanie rzucić nieco światła na mroczne aspekty życia hrabiego.

– Urodził się we Włoszech, gdzieś w Abruzzo – zakomunikowała Elaine przyjaciółce podczas lunchu w małej restauracji Lucio's przy Piątej Alei, której właściciel, brodaty Włoch, zawsze dawał im stolik przy oknie i potrafił sprawić, że kobiety czuły się u niego szczególnie wyróżnione. – Naprawdę pochodzi z arystokratycznej rodziny. Matka jest księżniczką, z rodziny spokrewnionej z którymś papieżem. Chyba nazywają się Barberini, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, o którego papieża chodzi. Wszystkie ich nazwiska brzmią podobnie, nie sądzisz?

– Mów dalej – zachęciła ją Bridie; prezentowała się niezwykle elegancko w modnym małym kapelusiku i oliwkowozielonej sukience ozdobionej błyszczącym sznurem pereł, który zwisał jej do pasa.

– Nie wiadomo dlaczego, ale jego rodzina przeprowadziła się do Argentyny, gdy twój hrabia był dzieckiem. Dla mnie to trochę podejrzane. Ot, rozplynęli się we mgle! Podejrzewam, że chodziło o jakieś długie. W każdym razie jego ojciec należy do tych mężczyzn, którzy robią fortunę, a potem szybko ją tracą, żeby

zdobyć ją znów. Pierwsze pieniądze zarobił na wołowinie, a później zainwestował w przemysł i koleje. Kupił ziemię oraz bydło i eksportował wołowinę na cały świat. Oto, czego dowiedział się Beaumont.

– A co robi teraz? – spytała Bridie.

Elaine wzruszyła ramionami.

– Ojciec Cesare’a, hrabia Benvenuto, jest znaną osobą w Buenos Aires. Żyje na wysokiej stopie, inwestuje w jakieś mrzonki i trwoni pieniądze na kochanki i hazard. Jego reputacja nie jest więc kryształowa. Kto wie, czy udało mu się utrzymać majątek i czy naprawdę go posiadał. Beaumont podejrzewa to ostatnie i chce cię ostrzec, że w życiu twojego hrabiego nie wszystko jest – jak to się mówi w Nowym Jorku – koszerne.

Bridie odłożyła sztucę i na chwilę się zamyśliła. Elaine, czując wyrzuty sumienia, pospiesznie chciała złagodzić wymowę tego, co powiedziała.

– Nie twierdzę, że hrabiemu zależy wyłącznie na twoich pieniądzach, Bridget... – A przecież dokładnie to właśnie wynikało z jej słów. – Ale otacza się bogatymi ludźmi, którzy z radością przyjmują go do swojego grona. Niewątpliwie jest uroczym mężczyzną i zabawnym, a nikt nie kocha tytułów bardziej niż Amerykanie. – Przepraszająco pociągnęła nosem i z lekką obawą zerknęła na przyjaciółkę. – Pomyśleliśmy, że lepiej, żebyś to wiedziała, zanim się z nim oficjalnie zwiążesz.

Ale Bridie uśmiechnęła się pobłaźliwie jak rodzic, któremu zaniepokojony nauczyciel opowiada o ostatnich wybrykach jego dziecka.

– Nie obchodzi mnie historia jego rodziny, Elaine. Ani skąd pochodzi. Bóg wie, że ja pochodzę znikąd. Z czego mam być dumna? Z błotnistej farmy i kilku krów, które ledwie nas żywiły? Nie miałam własnych butów, dopóki nie poszłam do pracy w zamku. Jeśli o mnie chodzi, Cesare może być bez grosza i wywodzić się z chłopstwa. To nie zmieniłoby moich uczuć do niego. Jeśli jego ojciec przegrał pieniądze w karty, ja mam ich dość na nas dwoje. Jeśli jest kobieciarzem, przypilnuję, żeby był mi wierny. Jeśli jest poszukiwaczem przygód, stanę się największą przygodą jego życia. Miłość poniesie nas jak wiatr, a nasze stopy nigdy nie będą dotykać ziemi.

Po tym wyznaniu Elaine nie miała już nic do powiedzenia.

Bridie okazała się ślepa i głucha na oczywiste wady hrabiego. Dla niej nie istniał mężczyzna bardziej przystojny, bardziej romantyczny i uprzejmy. Zaślepiąca miłością nie dostrzegała jego arogancji, bezwstydne gościny za towarzystwem bogatych i potężnych, jego próżności i niezachwianej wiary we własne powodzenie. Wpatrywała się w jego zielononiebieskie oczy i czuła, że światło jego adoracji dosięga najciemniejszych zakątków jej duszy i jak rośliny w opuszczonym ogrodzie nagle skąpane w słońcu – zaczyna rozkwitać. Nie potrzebowała prezentów, pragnęła miłości. A Cesare obdarzał ją uczuciem

wystarczająco głębokim, by zaspokoić jej łapczywe pragnienie.

Cesare miał w sobie taką charyzmę, że wymiotła z jej serca resztki sentymentu do Jacka O'Leary'ego, a nawet stłumiła tęsknotę za Irlandią i synem. Bridie ostatecznie odrzuciła przeszłość i żyła chwilą obecną, wierząc, że nikt i nic już jej nie zrani. Odtąd Cesare będzie się nią opiekował. Oddała mu serce. Weź je, pomyślała, gdy zatopił twarz w jej szyi, i zrób z nim, co chcesz, ponieważ jestem twoja na zawsze.

Datę ślubu ustalono na maj, ale ponieważ był to drugi ślub Bridie, Marigold Reynolds zaproponowała, by ceremonia i przyjęcie weselne odbyły się w rozległych ogrodach jej posiadłości w Southampton. Marigold, niekwestionowana królowa nowojorskiej socjety, była przeszczęśliwa na myśl, że wyda kolejne huczne przyjęcie, na którym pojawią się najmodniejsze gwiazdy filmu, teatru, mediów i sportu. Kryzys na Wall Street mógł ograniczyć wydatki wielu ludzi, ale nie jej. Zaproszenia wytłoczono na kosztownym papierze piękną, ozdobną czcionką i dostarczono trzystu gościom do rąk własnych przez szofera Reynoldsów.

Gdy Ameryka pogrążała się w najbardziej spektakularnym kryzysie ekonomicznym w historii, Bridie i hrabia Cesare świętowali swoje zaręczyny. Byli wielką atrakcją towarzyską w Nowym Jorku, tym bardziej pożądaną, że ludzie łaknęli wytchnienia od ponurych wiadomości, które przynosiły gazety i fale radiowe.

Postanowili kupić dom. Nie było to trudne, ponieważ bankruci musieli je sprzedawać i ceny ostro spadły. Bridie czuła się wręcz oszołomiona wyborem.

– Moja kochana, muszę ci coś powiedzieć – oświadczył Cesare, biorąc ją za rękę, gdy jedli kolację w Jack and Charlie's 21 przy Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, sławnym tajnym barze z sekretnym systemem dźwigni, dzięki którym w wypadku nalotu policji półki z alkoholami się przechylały, butelki tłukły i wraz z zawartością lądowały w kanalizacji.

Bridie wyglądała na zaniepokojoną.

– O co chodzi?

– O pieniądze – odpowiedział, spoglądając na nią z ostentacyjnym uczuciem i namiętnością południowego kochanka. Oczy miał wilgotne i czułe; Bridie zachęcająco ścisnęła mu rękę. – Mój ojciec robi trudności – wyjaśnił. – Poprosiłem go o pieniądze, ale...

Słowo „pieniądze” wypowiedziane takim ujmującym tonem przez mężczyznę patrzącego na nią rozmarzonym wzrokiem, nie mogło zabrzmieć wulgarnie ani budzić podejrzeń. Była to zwykła prośba, wdzięcznie sformułowana prośba od uroczego mężczyzny, którą natychmiast zapragnęła spełnić.

– Mój kochany, najdroższy Cesare – przerwała mu. – Mam dość pieniędzy dla nas dwojga. Nie potrzebujemy pieniędzy twojego ojca. Porozmawiam z panem

Williamsem, moim prawnikiem, i powiem, żeby założył rachunek na twoje nazwisko. Zaraz po ślubie przeleje tam pieniądze. Będziemy dzielić wszystko.

Cesare próbował ukryć ulgę pod udawanym przerażeniem.

– Ale hrabia Cesare di Marcantonio, spokrewniony z rodziną papieża Urbana VIII, nie może przyjąć pieniędzy od kobiety. Opieka nad żoną jest obowiązkiem męża.

Bridie ścisnęła mocniej jego rękę.

– Ja pochodzę znikąd, Cesare. W Irlandii byłam zwyczajną Bridie Doyle, pokojówką wielkiej damy mieszkającej w zamku. Przyjechałam tu, żeby zacząć od nowa i pracowałam dla bogatej starej kobiety, która umarła i zostawiła mi wielki majątek. Miałam szczęście. Proszę, pozwól mi dzielić to szczęście z tobą. Kocham cię, Cesare. Uczyniłeś mnie szczęśliwszą, niż kiedykolwiek mogłam sobie wyobrazić.

– To wbrew moim zasadom. Nie mogę tego przyjąć.

– Ale nie kłóci się z moimi zasadami. Cierpiałam, Bóg jeden wie, bardzo cierpiałam, ale ty przywróciłeś mi wiarę w miłość.

– Znów napiszę do ojca...

– Jak chcesz. Ale teraz jedźmy, cieszymy się naszym wieczorem i nie rozmawiajmy już o pieniądzach.

Splótł palce z jej palcami i patrzył jej intensywnie w oczy.

– Nie mogę się doczekać, żeby się z tobą kochać – powiedział z uśmiechem, który odebrał jej dech. – Jesteś piękną kobietą i wkrótce będziesz moja. Bez pośpiechu będę odkrywał każdy centymetr twego ciała... – Ściszył głos i pochylił się w jej stronę. – A gdy skończę, zrobię to znów.

Bridie zatonęła w jego spojrzeniu. Kupiłaby mu cały świat, gdyby tylko poprosił.

W majowym wiosennym słońcu zakwitły drzewa, a ciepły wietrzyk roznosił białe i różowe płatki jak konfetti. Jednak nadejście wiosny nie poprawiło nastrojów w mieście. Z powodu rosnącego bezrobocia i biedy panowała posępna atmosfera, zdominowana przez złość i strach. Ale wielki kryzys nie dotknął domu Reynoldsów w Southampton. W pierwszą sobotę miesiąca na drodze prowadzącej do posiadłości tłoczyły się prowadzone przez szoferów cadillaki, chryslery i bugatti, wioząc wielkich i sławnych gości na wesele. Wśród nich byli Elaine i Beaumont Williamsowie, jedyni prawdziwi przyjaciele Bridie w Nowym Jorku. Z resztą towarzystwa łączyła ją tylko powierzchowna, nic nieznacząca znajomość, jakkolwiek efektownie by wyglądała. Bridie zdawała sobie sprawę, że gdyby powinęła jej się noga, nadskakujący jej teraz ludzie rozpląnęliby się w powietrzu. Ale nie dbała o to, ponieważ dziś poślubiła ukochanego mężczyznę.

Napisała krótki list do rodziny, w którym zawiadamiła o swoim małżeństwie, nie wspominając jednak o arystokratycznym pochodzeniu

narzeczonego. Nie chciała, żeby podejrzewali, że wychodzi za niego z powodu jego tytułów. Wysłała list i zapomniała o nich wszystkich. Dawne życie tak jej zobojętniało, że rzadko już myślała o rodzinie. Ale to nie oddalenie od rodzinnego domu zamazywało jej pamięć, lecz miłosne zadurzenie. Gdy przebywała w blasku hrabiego, cienie przeszłości nie mogły jej dosięgnąć. Ubrana w kremową suknię od Chanel, wyhaftowaną lśniącyymi w słońcu perłami i paciorkami, szła po dywanie białych róż do miejsca, gdzie czekało nań uosobienie jej marzeń, aby wziąć ją w posiadanie. Pan Williams pełnił rolę jej ojca, oddając ją hrabiemu, podczas gdy Elaine wystąpiła w charakterze drużny. Marigold siedziała z przodu, zadowolona z obecności prominentnych pisarzy, aktorów i bywalców salonowych z Nowego Jorku. Ale Bridie widziała tylko Cesarego. Ujęła jego wyciągniętą dłoń i stanęła u jego boku. Kapłan przeczytał przysięgę, którą obydwójce powtórzyli, i było po wszystkim. Zaczęło się przyjęcie. Wszyscy pili szampana, posilali się w obficie zastawionym bufecie i tańczyli przy majowej pełni Księżycy, który wschodził nad Long Island, różowy w poświacie zachodzącego słońca.

Cesare, trzymając żonę w objęciach, pochylił głowę, żeby ją pocałować. Zabawa trwała wokół nich, ale oni byli niczym mała wyspa odizolowana od reszty gości, jakby w ogóle zapomnieli, że to przyjęcie ma z nimi coś wspólnego.

– Moja ukochana – rzekł czule pan młody – teraz jesteś hrabiną di Marcantonio, żoną hrabiego Cesarego di Marcantonio, którego ród wywodzi się od Maffeo Barberiniego, spokrewnionego z papieżem Urbanem VIII. W herbie rodu Barberinich widnieją trzy pszczoły. Chciałbym, żebyś to nosiła, ponieważ teraz należysz do naszej rodziny. Pragnę, żeby świat o tym wiedział. – Otworzył dłoń i pokazał jej małą broszkę w kształcie pszczoły. Bridie wpatrywała się w nią z zachwytem. Od wspaniałości rodowodu tego mężczyzny zakręciło jej się w głowie. Cesare wsunął dłoń pod materiał jej sukni tuż pod obojczykiem i przypiął broszkę. – Pięknie – powiedział, pozostawiając palce na jej skórze. W jego powłóczywym spojrzeniu Bridie widziała uwielbienie i żądzę.

Wymknęli się tak szybko, jak mogli, i zamknęli za sobą drzwi sypialni. W pokoju panował mrok, przez zamknięte okna i zasłony dochodziły stłumione dźwięki muzyki, a w powietrzu unosił się ciężki, słodki zapach narcyzów, które Marigold postawiła w sypialni na ich noc poślubną.

Cesare delikatnie rozpiął jej suknię, aż spłynęła w dół, tworząc jedwabną plamę u jej stóp. Bridie stała w halce i majtkach, jej skóra lśniła na tle jedwabiu bielizny. Delikatnie zaczął pieścić jej ramiona, szyję, wreszcie twarz; potem rozpuścił jej włosy i przelewał je pomiędzy palcami, gdy lśniącyymi falami opadły w dół. Zadrżała, gdy podniósł jej halkę i ściągnął majtki. Stała przed nim naga, a on podziwiał ją pożądliwymi oczami.

Bridie miała wielu mężczyzn, niektórzy dali jej satysfakcję, inni okazali się rozczarowaniem, ale Cesare niespiesznie zadowalał ją w taki sposób, w jaki nie

uczynił tego żaden z kochanków. A znał się na tych sprawach jak nikt; nawet Bridie ze swym bezpruderyjnym podejściem do seksu rumieniła się z zakłopotania. Zgodnie z obietnicą badał każdy centymetr jej ciała, a gdy skończył, zaczynał od początku. Doprowadził Bridie do stanu wielkiej euforii. Jęczała, mamrotała, wzdychała, a na koniec szlochała, gdy odkryła zmysłowy raj, do którego ją zawiódł mistrzowski kochanek.

Jeśli Cesare mógł czuć się nieswojo z powodu pieniędzy Bridie, nie pokazał tego po sobie. Przeciwnie, zdobył ją szturmem jak przystało na imiennika Juliusza Cezara. Był doprawdy fantastycznym kochankiem. Nowa hrabina di Marcantonio zrezygnowała z jakiegokolwiek kontroli i pozwoliła mu poprowadzić się ku rozkoszy.

Rozdział 20

Connecticut

Kiedy latem tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku Pam Wallace odkryła, że jest w ciąży, pobiegła do kościoła i padła na kolana, dziękując Bogu za Jego interwencję, ponieważ ten upragniony cud pochodził prosto od Niego. Płakała z radości, przysięgając okazać wdzięczność w działaniach charytatywnych oraz dobrych uczynkach (nigdy już o nikim nie powie niczego niemiłego), a potem pospieszyła do domu, żeby przekazać mężowi wspaniałą wiadomość.

Martha nie rozumiała powodu tego zamieszania. A działy się rzeczy nadzwyczajne, wprost nie z tego świata. Nagle jej matkę zaczęto traktować jak kruchą lalkę, która może się połamać przy każdym ruchu. Snuła się po domu powoli, jak inwalidka, ale niesłychanie zadowolona ze swojej choroby. Przemieszczała się od stołu do krzesła, od krzesła do schodów, a stamtąd do drzwi, za każdym razem upewniając się, że ma się czego przytrzymać, gdyby się potknęła. Wszyscy jej nadskakiwali i nakłaniali ją do odpoczynku „dla dobra dziecka”. Larry kupował jej kwiaty i biżuterię w ładnych czerwonych pudełeczkach i nawet odwiedził ją jej ojciec, Raymond Tobin, z naręczem prezentów, proponując pojednanie. W całym domu pachniało jak w kwiaciarni, co ekscytowało Marthę o wiele bardziej niż mające się pojawić dziecko, ponieważ uwielbiała kwiaty. Kręciła się wokół nich jak pszczoła pijana nektarem, podziwiając żywe kolory i wdychając słodki zapach. Głaskano ją po głowie, mówiąc, jakie to szczęście, że będzie miała braciszka lub siostrzyczkę, a Martha w tajemnicy miała nadzieję, że dziecko na zawsze pozostanie w brzuszku mamy, ponieważ była bardzo szczęśliwa w samotności.

Jedyną osobą w rodzinie, która źle przyjęła tę wiadomość, jakby była osobistym wobec niej afrontem, okazała się Joan, ponieważ napawała się faktem, że dziecko Pam było adoptowane, a w związku z tym „dziwne”. Konkurencja w postaci prawowitego Wallace’a, który miał pojawić się na świecie, przyprawiała ją o irytację.

– Zastanawiam się, czy po narodzinach tego dziecka Martha nadal będzie ulubioną wnuczką Ma – powiedziała do Dorothy, gdy kręciły się po modnym butik, przeglądając letnie sukienki.

– Obawiam się, że Martha będzie całkowicie ignorowana – odparła Doroty. – Biedna mała. Ted jest plemiennym mężczyzną, dla niego przede wszystkim liczy

się krew, a i Diana będzie miała bzika na punkcie nowego wnuka, ponieważ od samego początku Pam chciała mieć własne dziecko.

Zawsze dostawała to, co chce, pomyślała kwaśno Joan. Wkurzające, że teraz otrzyma również i to. Joan zdjęła z wieszaka pąsową sukienkę i stając przed długim lustrem, przyłożyła ją do siebie.

– Nie mam nic przeciwko Marcie. Ona jest tylko dzieckiem i jest bardzo... słodka. – Wypowiedzenie tego ostatniego słowa wymagało od niej pewnego wysiłku. – Mam nadzieję, że to będzie chłopiec. Wszyscy mężczyźni chcą mieć syna, Larry niczym się nie różni. Będzie okropnie rozczarowany, jeśli urodzi się dziewczynka. – Przechyliła głowę. – Co o tym myślisz?

– Kolor jest fantastyczny – pochwaliła Dorothy. – Dlaczego jej nie przymierzysz?

– Nie sądzisz, że kłóci się z moimi włosami? Zazwyczaj nie noszę czerwieni.

– Och, Joan, tobie we wszystkim dobrze!

– To prawda, oczywiście. Nie sądzisz, że Pam, gdy mnie w niej zobaczy, zechce mieć taką samą? Jej jest lepiej w czerwieni, a nie chcę, żeby mnie przyćmiła.

– Doprawdy, Joan, jesteś zdecydowanie bardziej stylowa niż Pam. Wiesz, co się mówi o naśladownictwie?

– Że to najwyższa forma pochlebstwa. – Westchnęła. – Cóż, nie czuję się zaszczycona, tylko znudzona. Całe lata to znoszę. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Przynajmniej w najbliższej przyszłości jest skazana na ciężowe suknie!

Podczas ciąży matki Martha nie czuła się ignorowana, ponieważ Pam bardzo się starała włączyć ją we wszystkie stadia rozwoju dziecka. Zachęcała Marthę, żeby kładła jej rękę na brzuchu, aby poczuć poruszający się wewnątrz płód. Zapewniała ją, że gdy dzieci przychodzą na świat, przynoszą ze sobą taki ładunek miłości, że starcza jej dla wszystkich.

– Nie będę kochała cię mniej – zapewniała córkę. – Będę miała w sobie podwójną ilość miłości. – Chociaż Martha była za mała, żeby zdawać sobie sprawę ze swych emocji, instynktownie poczuła się pewniejsza miłości matki. Teraz nie widywała w jej oczach czujności i z troskaniem. A nieprzyjemne wrażenie, że matka wciąga w siebie całe dla niej uczucie, zacierało się z wolna w jej pamięci i wreszcie na wiele miesięcy przed pojawieniem się dziecka na świecie zbladło zupełnie.

Pani Goodwin zauważyła u Marthy narastającą pewność siebie. Przypominała wiosenny pączek, który za chwilę rozkwitnie, odsłaniając różowo-białe płatki. Atmosfera w domu zrobiła się lekka i przyjazna jak słońce późnym popołudniem. Pam chodziła ustawicznie szczęśliwa. Odpoczywała na leżance na werandzie, czytając książki i magazyny albo rozmawiając z przyjaciółkami przez telefon. Panie przychodziły z wizytami i popijały mrożoną herbatę. Plotkowały i słuchały planów Pam, jak urządzi pokój dla nowego dziecka.

Marthę przyprowadzano i pokazywano jak kucyka na wystawie; kobiety podziwiała jej sukienki w kwiatki oraz komentowały, jak bardzo urosła. Pani Goodwin cieszyła się, że sprawa wyimaginowanych przyjaciół Marthy poszła w zapomnienie. Wydawało się, że Martha również o nich zapomniała. Nie wspomniała o nich ani razu od czasu wizyty u lekarza, a gdy bawiła się w ogrodzie, nie mówiła już do siebie ani nie próbowała łapać niewidzialnych istot, które w jej wyobraźni unosiły się nad klombami kwiatów. Na szczęście, jak się zdawało, nie cierpiała z powodu ich nieobecności.

Gdy na wiosnę przyszła na świat mała dziewczynka, dom znów utonął w kwiatkach i prezentach. Babcia Wallace, zdając sobie sprawę, że Martha może się poczuć pozbawiona uwagi, którą teraz przyciąga jej siostra, przyniosła dziewczynce wspaniały dom dla lalek, najcudowniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostała. Miał kręcone schody we wspaniałym holu i dziewięć pokoiów, udekorowanych ładnymi tapetami w kwiatki. Mama podarowała jej miniaturowe mebelki, zastawy i sztuce; powiedziała Marcie, że rodzina lalek, która tam zamieszka, jest prezentem od siostrzyczki, która bardzo chce się z nią zaprzyjaźnić. Martha jej uwierzyła i była pewna, że gdy siostra dorośnie, zostaną dobrymi przyjaciółkami.

Dziewczynkę ochrzczono imieniem Edith. Dziecku, tak cennemu dla matki, na niczym nie zbywało. Tylko rodzice Pam i rodzina Larry'ego wiedzieli, dlaczego młoda matka stawia kołyskę przy swoim łóżku i godzinami przy niej leży, wpatrując się w twarz córki. W rysach Edith dostrzegała Larry'ego, w jej oczach swojego ojca, a w kobieco nadąsanych usteczkach – siebie. Gdy rodzina Larry'ego przyszła z wizytą, z werwą podkreślała, jak bardzo jej mała córeczka jest do nich podobna. Szczególnie do Joan, która najeżyła się jak przestraszony kot i z niechęcią podała swój prezent.

– Wykapany Larry – skomentowała, zaglądając do kołyski. – W ogóle nie widzę podobieństwa do ciebie.

– Ja też – powiedziała Pam, która nie potrzebowała widzieć podobieństwa do siebie w dziecku, które urodziła.

– To ironia, że Martha jest bardziej do ciebie podobna. Edith będzie miała jasne włosy jak Larry.

– Ona należy do Tobinów w takim samym stopniu jak do Wallace'ów, Joan. Joan pokręciła nosem i parsknęła z powątpiewaniem.

– Czy czujesz różnicę?

– Jaką różnicę?

– Że masz teraz własne dziecko. Bardziej ją kochasz?

Pam poczuła się urażona.

– Jak można powiedzieć coś tak okropnego, Joan!

– Nie bądź przeczulona. To naturalne, że własne dziecko kocha się bardziej

niż adoptowane, nie sądzisz?

– Nie. Nie sądzę. Kocham Marthę tak samo jak Edith. Bez różnicy. – Ale Joan zrobiła minę, która sugerowała, że jej nie wierzy. – Możesz sobie myśleć, co chcesz, Joan. Być może ty kochałabyś swoje biologiczne dziecko bardziej niż adoptowane, gdybyś była w mojej sytuacji, ale ja nie jestem tobą. Edith to dla mnie prawdziwy dar; ale przemierzyłam cały świat w poszukiwaniu Marthy.

– To lekka przesada, nawet jak na ciebie, Pam.

– Pragnęłam Marthy i Bóg zawiódł mnie do Irlandii. Była mi przeznaczona w momencie, gdy przysłała na świat. Nie mogłabym bardziej jej kochać.

Joan podniosła ręce do góry.

– W porządku, nie denerwuj się. Ja tylko pytałam. Doprawdy, Pam, jesteś przeczulona.

– Każdy byłby urażony twoimi sugestiami.

– Uwierz mi, wszyscy będą o tym myśleli. Ale tylko ja miałam odwagę to powiedzieć.

– Albo brakuje ci taktu – burknęła Pam. Przyglądała się, jak Joan zapala papierosa i opiera się o krzesło, zakładając nogę na nogę. Była ubrana w olśniewającą pąsową sukienkę, która kłóciła się z jej włosami. Pam głowiła się, jak się dowiedzieć, gdzie ją kupiła. Może mają jeszcze jeden egzemplarz?

*

Pani Goodwin nie miała wątpliwości, że Pam tak samo kocha obie córki, ale od początku Edith pozwalano na więcej niż Marcie. Nie chodziło o to, że Edith była bardziej rozpuszczona – obu dziewczynkom nigdy nie odmawiano niczego pod względem materialnym – ale rodzice inaczej reagowali na ich zachowanie. Martha musiała uważać na swoje maniery i pamiętać o badawczym spojrzeniu matki, która desperacko pragnęła, żeby jej córka zrobiła dobre wrażenie i dopasowała się do otoczenia, podczas gdy Edith mogła zachowywać się dowolnie, i tylko pani Goodwin czasem ją upominała. Zachowanie, za które Martha dostałaby reprimendę, Edith uchodziło bezkarnie. Nic, co by zrobiła, w oczach rodziców nie było złe. Mogła wrzeszczeć i tupać nogami, dąsać się, ssać palec, rozlewać jedzenie, przerywać, żądać czegoś, a jej rodzice tylko się śmiali, mrugali do siebie i komentowali tak, jak nigdy w przypadku Marthy: „Ona jest taka podobna do Ma” albo: „Odziedziczyła upór po dziadkach”. Pani Goodwin zaobserwowała tę różnicę i to ją smuciło. Martha może była za mała, żeby to zauważyć, ale na pewno to odczuwała; małe dzieci szybko wyczuwają niesprawiedliwość i na swój sposób zdają sobie z tego sprawę. Gdy Edith wyrosła z pieluch, szybko stała się nieznośna, ale rodzice wydawali się tego nie widzieć. Była ich dzieckiem, z krwi i kości, a zachwyty nad cudem jej poczęcia kompletnie ich zaślepił. Edith wyrastała więc na bardzo nieprzyjemną dziewczynkę.

Pani Goodwin starała się ją poskromić, gdy pani Wallace nie było w domu. Za każdym razem, gdy Edith, już prawie trzyletnia, zabrała coś Marcie, zmuszała ją do oddania. Kazała jej siedzieć prosto, jeść z zamkniętymi ustami, nie odpowiadać niegrzecznie i nie przerywać innym. A gdy dziewczynka upierała się przy swoim, pani Goodwin groziła, że ją ukarze. Ale kary pani Goodwin nigdy nie były dotkliwe. Kazała jej siedzieć na krześle w kącie albo odsyłała ją do jej pokoju. Na nic to się zdawało. Edith była przeświadczona, że nie dotyczą jej zasady obowiązujące w królestwie pani Goodwin. Wiedziała, że w obecności matki wszystko ujdzie jej na sucho – i miała rację. Niania usiłowała trzymać dziewczynki w pokoju dziecięcym, ale Edith uciekała i biegała po domu w poszukiwaniu mamy, zalewając się łzami i wrzeszcząc co sił w płucach. Pam bladła, brała córkę w ramiona i uspokajała ją obietnicami oraz przekupstwami, a gdy to robiła, Edith tylko umacniała swoją przewagę. Pani Goodwin bezradnie opadały ręce. Ona sama nie miała wątpliwości, kogo bardziej kocha.

Martha, choć zauważała, że siostra jest traktowana inaczej, na nic się nie skarżyła. Nie będąc już jedynaczką, bardzo chciała znaleźć w siostrze przyjaciółkę. Cieszyło ją towarzystwo innego dziecka. A ponieważ była sześć lat starsza, przyjemność sprawiało jej uczenie Edith rysowania, malowania oraz gry na pianinie i skrzypcach. Opowiadała jej o kwiatkach, motylach, ptakach i nigdy nie okazywała znużenia zabawą. Edith z wiekiem stawiała się coraz bardziej krnąbrna, ale Martha zawsze cierpliwie pozwalała młodszej siostrze wybierać, jaką postać chce odgrywać w zabawie i w ogóle w co się bawić. Pani Goodwin zachęcała Marthę, żeby okazała stanowczość i nie pozwalała sobą dyrygować, ale Martha była na to zbyt delikatna i miła. Silny charakter Edith triumfował.

Aż kiedyś pewnego popołudnia Diana Wallace wzięła Pam na stronę.

– Moja droga, nie sądzisz, że Edith wymyka się nieco spod kontroli?

Pam od razu się zjeżyła. Krytykę młodszej córki odbierała osobiście, jak krytykę własnej osoby.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziała wymijająco.

– Martha ma doskonale maniery, jest taka grzeczna, ale Edith... – zawahała się. – Jeśli mam być szczerą, zachowuje się jak dzikuska.

Pam zaniemówiła. W jej oczach Edith była doskonała.

– Kochanie, ja cię nie obwiniam – ciągnęła Diana. – Sugeruję tylko, że być może pani Goodwin nie daje sobie z nią rady. Jeśli w dzieciństwie nie wdrożysz dyscypliny, wyhodujesz potwora. Obawiam się, że Edith rośnie bez żadnej dyscypliny. Złe maniery bardzo źle świadczą o człowieku.

Pam poczuła się zraniona.

– Ma silny charakter, to wszystko – zaprotestowała.

– Zbyt silny – odparła stanowczo Diana. – Jeśli się nie poprawi, będziesz musiała zostawiać ją w domu. Dzieci, które nie nabyły odpowiednich manier, nie

powinno się pokazywać w eleganckim towarzystwie.

Dopiero po tych słowach teściowej Pam się na dobre zafrasowała. Dumna z anielskiego wyglądu córki, prawdziwej przedstawicielki Tobinów i Wallace'ów, zaczęła się martwić, że dziewczynka nie nadaje się do towarzystwa. Była ładna, to fakt; jej twarzyczka w kształcie serca i oczy w kolorze bławatków miały ujmujący wyraz; miała jasne włosy, długie i jedwabiste jak grzywa jednoroźca, a skórę białą jak mleko i gładką jak satyna, a jej uśmiech, w tych rzadkich przypadkach, gdy się uśmiechała, był wprost rozczulający. Ale Pam doskonale wiedziała, że złość piękności szkodzi.

– Zdyscyplinuję ją – obiecała teściowej. – Jest jeszcze mała i inteligentna. Szybko się ją opanuje.

– Może potrzeba mocniejszej ręki – zasugerowała Diana Wallace. – Pani Goodwin się starzeje.

Ale Pam nie chciała oddawać swego bezcennego dziecka w ręce jakiejś nieznajomej, a poza tym pani Goodwin, która przyjechała z nimi do Ameryki z Londynu, była wystarczająco wymagająca.

Wbrew jednak przekonaniu matki Edith nadal we wszystkim stawiała na swoim. Zresztą, nakazawszy niani być stanowczą, Pam po chwili krytykowała ją, że jest zbyt rygorystyczna. A Edith, choć jeszcze dziecko, już była sprytną manipulatką. Wiedziała, jak zjednać sobie matkę. Doskonale zdawała sobie sprawę z efektu, jaki wywoływały jej łzy, a jeśli jednocześnie wysuwała dolną wargę, wyglądało to jeszcze dramatyczniej. Matka nawet przez chwilę nie mogła znieść smutku na jej twarzy. A jeśli chodzi o ojca, wracał do domu późno, czasem zbyt późno, żeby położyć ją do łóżka. Ale w weekendy związała się ojcu na kolanach, gdzie czuła się bezpieczna i wolna od upomnień pani Goodwin oraz pełnych dezaprobaty spojrzeń babci, ponieważ ojciec kochał ją bez zastrzeżeń.

Edith robiła się coraz bardziej zazdrosna o miejsce w sercu babci. Diana Wallace nie ukrywała, że Martha jest dla niej wyjątkowa. Joan i Dorothy usilnie podsuwały jej swoje dzieci, ale gdy Diana spoglądała na Marthę, było oczywiste, że najcześniejsze spojrzenia są zarezerwowane dla tej wnuczki. Edith nie przywykła grać drugoplanowej roli, widziała przecież, że rodzice skupiają swoje uczucia na niej, i w rezultacie jej zachowanie przy babci tylko się pogarszało.

Martha miała wszelkie powody do zazdrości, ale to uczucie było obce jej naturze, i pomimo dzielących je różnic, zawsze ustępowała siostrze dla dobra ich przyjaźni. Natomiast Edith, zamiast podziwiać starszą siostrę, jak to zwykle się dzieje w przypadku młodszego rodzeństwa, była o Marthę zazdrosna. Matka skutecznie wmówiła jej, że jest wyjątkowa, tak więc czuła się urażona, gdy babcia czy ktokolwiek inny obdarzał Marthę większą uwagą. Oczywiście, Edith była na razie dzieckiem i jej akty sabotażu czy buntu przypominały zmarszczki na wodzie wzniecone odnóżami komara. Ale gdy będzie starsza i urośnie, drobne fale mogą

przerodzić się w prawdziwe bałwany.

*

Adeline nie istniała już w świadomości Marthy. Dziecko siłą woli wyparło jej obraz. Adeline powoli zniknęła, jej głos stawał się odległy, aż w końcu była zaledwie ulotnym odczuciem jak powiew wiatru lub promień słońca, o którym Martha postanowiła zapomnieć. Ale Adeline nie porzuciła dziewczynki; Martha należała do rodziny Deverillów, w jej żyłach krążyła krew jej krewnych i wody Irlandii. W głębi serca Martha wiedziała, kim jest. Wiedziała, skąd pochodzi. Pewnego dnia, Adeline była o tym przekonana, mgła zapomnienia uniesie się i Martha zrozumie, że niepokój w jej sercu wynika z tęsknoty za Irlandią. Irlandia ją wezwie do powrotu do domu.

A tymczasem babcia obserwowała ją uważnie i z troską. Martha kochała przyrodę, tak samo jak Adeline, ale pomimo że bardzo starała się zainteresować siostrę florą i fauną w ogrodzie, Edith pozostawała niewrażliwa na piękno. Ojciec kupił córkom kucyki, ale Edith bała się wsiąść. Wrzeszczała, wyrwała się i nie dała się posadzić w siodle. Ale Martha odkryła tę część siebie, którą zostawiła na wzgórzach Ballinakelly, i doskonale się czuła ze stopami w strzemionach, wodzami w dłoniach i wiatrem we włosach. Nie miała pojęcia, że jej biologiczny ojciec jest jednym z najlepszych myśliwych w hrabstwie Cork, ale Adeline wiedziała i uśmiechała się z dumą, gdy dziecko ujawniało ducha Deverillów ukrytego w głębi swej istoty. Pam obawiała się, że spadnie, ale Martha nigdzie nie czuła się tak pewnie jak w siodle. Wszyscy podziwiali jej brawurę oraz tempo, z jakim nauczyła się panować nad koniem.

Pozornie Martha była odbiciem swej adopcyjnej matki. Tak jak Pam chodziła elegancko ubrana i podobnie jak Pam miała dystyngowane i przemyślane ruchy. Zbyt wielka dbałość o maniery pozbawiła ją spontaniczności i żywiołowości. Była w wystudiowany sposób grzeczna, uprzejma i zawsze nieco zalękniona. Ostrożność nie była cechą Deverillów – być może była to cecha Doyle'ów, ale Adeline nie pamiętała Bridie Doyle. Ale gdy Martha przebywała na łonie natury, magia drzew i kwiatów, świergot ptaków oraz brzęczenie owadów wywoływały w niej niepokohowaną i głęboką radość. Adeline wiedziała, że podczas gdy Edith będzie postrzegać tylko powierzchowną powłokę rzeczy, Martha będzie świadoma głębszych tajemnic nieodłącznych naturalnym cudom tego świata. Odziedziczyła to po niej.

*

– Martho, chodź już! – krzyknęła przez okno pani Goodwin. – Czas na kąpiel.

Martha, która leżała na trawniku, czytając zbiorek poezji, westchnęła

z żalem.

– Mogę jeszcze trochę zostać? – spytała. – Proszę.

Pani Goodwin uśmiechnęła się pobłaźliwie. Spojrzała na zegarek.

– Zgoda – odparła. – Ale musisz przyjść za piętnaście minut.

– Obiecuję.

Martha przewróciła się na plecy i zapatrzyła w niebo. Słońce zachodziło nad drzewami i wyglądało jak płonąca złota kula zapadająca się w ziemię. Chmury ponad nim przypominały różowe pióra dryfujące powoli po błękitnym morzu. Skrzyżowała stopy, podłożyła ręce pod głowę i obserwowała, jak róż przybiera kolor przykurzonego indygo. Powietrze było ciepłe, rozmaite muszki unosiły się w powietrzu jak szare chmurki, ptaki na gałęziach głośno ćwierkały, a wiatr przynosił słaby, lecz wyraźny zapach oceanu. Zmarszczyła brwi, ponieważ przed jej oczami, tak szybko, że prawie niezauważalnie, przemknął ulotny obraz. Zobaczyła wysokie klify i skały, o które rozbijały się ogromne fale. Nie wiedziała, co to za widok, ale był niczym uwolnione wspomnienie. Nie mogła nacieszyć nim oczy dłużej, ponieważ rozmyło się jak piana, a nad nią zaświeciła pierwsza gwiazda. Niechętnie wstała i poszła do domu.

Adeline odprowadziła ją wzrokiem.

– Irlandia cię wzywa, moje dziecko – powiedziała, ale jej głos był jak szept niesiony wiatrem. – Należysz do niej i pewnego dnia tam wrócisz. Miłość zawiedzie cię do tej ziemi i z nią połączy. Mam całą wieczność, żeby to zobaczyć.

Rozdział 21

Ballinakelly, 1930

Pani Doyle, jak to miała w zwyczaju, siedziała w bujanym fotelu przy palenisku, podczas gdy zgarbiona i zasuszona postać jej matki, starej pani Nagle, była ledwie widoczna w fotelu naprzeciwko. Starsza pani, teraz już blisko osiemdziesięcioletnia, prawie niewidoma, przesuwiała paciorki różańca i bezzębnymi ustami mamrotała modlitwy, kurcząc się coraz bardziej w czarnej sukni, która niemal ją pochłaniała. Michael stał pośrodku izby, wypełniając ją swoją potężną postacią. W dłoniach trzymał list. Zerknął na Seana i jego ciężarną żonę, Rosettę, która siedziała za stołem, czekając na wieści od Bridie z Ameryki. Potem zwrócił swe czarne oczy na list i zaczął czytać.

Najdroższa Mamo, Babciu, Michaelu, Seanie i Rosetto!

Mam nadzieję, że zastaję was w dobrym zdrowiu. Piszę z sercem przepelnionym szczęściem, żeby podzielić się z wami wspaniałą wiadomością, że znów wychodzę za mąż. Wkrótce nie będę już wdową, ale żoną dżentelmena i będę mogła z optymizmem patrzeć w przyszłość. Z niecierpliwością czekam na przyjazd do domu, abyście mogli go poznać i pokochać jak ja. Mam nadzieję, że podzielicie moją radość i wybaczycie mi, że was wcześniej nie poinformowałam. Wszystko działo się tak szybko, żyłam jak we śnie. Myślę i modlę się za Was.

Wasza kochająca córka i siostra Bridie

Michael podniósł wzrok znad kartki i powiódł nim po zaskoczonych twarzach rodziny. Pani Doyle wycierała oczy chusteczką, stara pani Nagle przerwała modlitwę i zawiesiła kciuk nad paciorkiem różańca, a Sean i Rosetta spojrzeli po sobie w milczącym porozumieniu, charakterystycznym dla młodych małżonków.

– Po raz drugi wychodzi za mąż – skomentował Michael. – Dobrze sobie radzi. – Złożył list i wsunął go do koperty. – Naprawdę Bóg jest łaskawy. Mamy za co Mu dziękować.

Pani Doyle wcisnęła chusteczkę do rękawa i się uśmiechnęła.

– Bóg rzeczywiście jest łaskaw, Michaelu. Nigdy nie pomyślałam, że Bridie może coś osiągnąć, ale jak widać, się myliłam. Mamy za co jej dziękować – dodała, myśląc o swojej wyzymaczce i innych udogodnieniach, które ulżyły jej w ciężkiej pracy.

Bridie ogromnie poprawiła ich życie. Michael po powrocie z Mount Melleray, nie zważając na protesty babki, zabrał się do wykorzystania pieniędzy siostry zgodnie z jej życzeniem. Wykupił od Deverillów ziemię, którą dzierżawił, powiększył stado krów, naprawił i rozbudował dom i budynki gospodarcze, wreszcie kupił samochód – a nawet zatrudnił kilku młodych chłopaków, żeby pomagali mu w gospodarstwie. Po okazaniu skruchy za grzechy i przysiędze, że odtąd będzie prowadził bogobojne życie, uważał, by nie popaść w rozrzutność i nieroztropność. Złożył darowiznę na kościół, co ucieszyło ojca Quinna i dzięki czemu został przewodniczącym miejscowego Stowarzyszenia Świętego Wincentego   Paulo, katolickiej organizacji dobroczynnej zajmującej się pomocą ubogim. Starał się nie obnosić ze swoim świeżej daty dobrobytem, ale ludzie z miasteczka ukradkiem drwili z jego świętoszkowatej próżności i przezywali go „Papieżem”. Doyle’owie mieli wszystko, co potrzeba, chociaż ich wymagania były w istocie skromne. Zawsze było jedzenie na stole, mieli co włożyć na grzbiet, a dom był zabezpieczony przed zimowymi wiatrami.

– Pisz, że przyjeżdża do domu – zauważyła cicho Rosetta, przytulając się do męża. Minęło już pięć lat od jej małżeństwa z Seanem i prawie tyle samo od powrotu Michaela z Mount Melleray, ale szwagier nadal wzbudzał w Rosecie onieśmienie. Miał dominującą osobowość i choć stał się człowiekiem pobożnym, nastawionym na czynienie dobra, „Papież” z Ballinakelly nadal emanował ciemną, groźną energią.

– Co by taki Amerykanin miał robić w Ballinakelly? – spytała pani Doyle, kołysząc się lekko w fotelu, zadowolona, że Michael, którego podziwiała tak samo jak jego ojca, udzielił Bridie swego błogosławieństwa.

– Chciałbym go poznać – powiedział Sean.

– A ja chciałabym znów ją zobaczyć – przyznała Rosetta. Często wspominała swoją przyjaciółkę Bridget, którą poznała w Nowym Jorku, gdy obie były skromnymi pokojówkami, spędzającymi wolne dni na ławkach w Central Parku. Jakże daleko Bridget zawędrowała! – zadumała się z podziwem. Rosetta spojrzała na babcię Bridie i zastanowiła się, czy staruszka dożyje dnia, gdy znów zobaczy wnuczkę. Nie myślała o swojej rodzinie w Ameryce, nawet nie ośmielała się spekulować, czy istnieje szansa, aby znów ją zobaczyć, ani też nie myślała o dwójce swoich małych dzieci, które być może nigdy nie poznają swych włoskich dziadków. – Ona teraz jest żoną dżentelmena – dodała cicho. – Jest wielką damą.

– Wielką damą! – powtórzyła pani Doyle z dezaprobatą. – Boże, miej nas w swojej opiece!

– Chciałabym poznać tego dżentelmena – oznajmiła stara pani Nagle i wszyscy popatrzyli na nią z zaskoczeniem, ponieważ ostatnio niewiele się odzywała. Usta starszej pani zapadły się wokół jej dziąseł, gdy się uśmiechała. – Moja wnuczka zamężna po raz drugi! Święte serce Jezusa! Co powiedziałyby Tomas

o jej bogactwie i drugim małżeństwie, Mariah? – zwróciła się do córki. – Niech jego dusza spoczywa w pokoju.

– Powiedziałyby jej, żeby nie wywyższała się ponad innych, ot co – odparła pani Doyle, unosząc podbródek, ale nie mogła ukryć dumy. – Bóg spogląda na nas wszystkich z jednaką miłością, na królów i na poddanych. Bridie nie jest lepsza od innych, ponieważ jest bogata, ani dlatego, że jest żoną dżentelmena. Prawda jest taka, że prowadziłaby bardziej bogobojne życie, gdyby pozostała wśród nas. Kto wie, jakie życie prowadzi tam, za wielką wodą? – Zaczęła znów pochlipywać i trzęsącą się ręką wyciągnęła chusteczkę z rękawa.

– Ale ona pisze, że zamierza wrócić – wtrąciła z nadzieją Rosetta.

Michael utkwiał władcze spojrzenie w szwagierce i przyglądał się jej strapionej twarzy.

– Ona nigdy nie wróci – rzekł stanowczo. – Nie ma po co.

Włożył czapkę i schylając się pod framugą, wyszedł na słońce. Było już lato, trawa się zazieleniła i jego krowy przybierały na wadze, pasąc się na okolicznych łąkach pełnych kwiatów. Michael wsunął ręce do kieszeni i pomyślał o Bridie. Przypomniawszy sobie ich spotkanie w Dublinie, gdy miała wzdęty brzuch i usta pełne kłamstw, że zgwałcił ją pan Deverill. Przypomniawszy sobie, jak zabrał jej dziecko z klasztoru, przekupiwszy uprzednio jedną z zakonnicek. Zostawił dziecko wraz z listem na progu Kitty, a ona postąpiła tak, jak się spodziewał: pozostała w Irlandii. Dziecko przywiązało ją do domu, ponieważ chłopczyk był Deverillem i przynależał do Ballinakelly, tak samo jak ona. Michael zawarł układ z Oddziałami Pomocniczymi – za swoją wolność zaoferował schwytanie Jacka – i dopilnował, żeby Jack został aresztowany. Kitty uciekła do Londynu, ale wróciła tu. To też przewidział. A teraz jego rywal osiadł w Ameryce na dobre. Jack wyjechał na zawsze. Michael już nigdy nie będzie musiał znosić widoku mężczyzny, którego Kitty tak namiętnie kochała. Tak jak zaplanował, Kitty i JP pozostali w Ballinakelly. Liczył na jej nierozzerwalny związek z Irlandią oraz silny instynkt macierzyński. Okazało się, że miał rację; Kitty była dokładnie tu, gdzie chciał.

Gwałtownie wrócił myślami do chwili, gdy wziął ją siłą na farmie, i ogarnęły go tak potężne wyrzuty sumienia, że musiał usiąść. Skusiła go, to oczywiste, a on zgrzeszył. Wyznał, jak należało, ten grzech przed ojcem Quinnem, otrzymał rozgrzeszenie i zaczął żyć po bożemu. Starał się zawsze „stawiać Pana przed oczy” i nie zagłębiać w rozpamiętywaniu o Kitty Deverill. Ale pomimo wysiłków ta dziewczyna nadal miała w sobie moc, żeby przyciągać jego myśli.

Zatopił twarz w fioletowym wrzosie i kręcił nim pomiędzy palcami. Kitty Deverill... To imię było jak kolczasta róża: piękna, ale zdolna sprawić dotkliwy ból. Jakże on kochał Kitty Deverill. Robił, co w jego mocy, żeby jej unikać, ponieważ każde na nią spojrzenie było jak cios w serce. Podpalił zamek z zemsty za to, co powiedziała mu Bridie, oraz z powodu własnej wściekłości i zazdrości, które

doprowadziły go do niewyobrażalnych postępków. Ale w Mount Melleray stawiał czoła swoim grzechom i Bóg mu wybaczył. Teraz był zupełnie kimś innym – człowiekiem Kościoła. Chciał, żeby Kitty o tym wiedziała. Od niej też chciał przebaczenia.

*

Grace w kapeluszu głęboko wciśniętym na czoło spieszyła do kościoła Wszystkich Świętych. Słońce ocieplało szare mury starego budynku, który był centrum irlandzkiej walki o niepodległość. Wspominała spotkania w zakrystii i plany, które obmyślali z Michaeliem Doyle'em i ojcem Quinnem. Podniecał ją dreszczyk niebezpieczeństwa, ostatecznie to był też powód doprowadzenia do zabójstwa pułkownika Manleya przy Dunashee Road. To właśnie stałe poczucie zagrożenia rzuciło ją w ramiona Michaela. Nigdy nie zapomni gwałtownego podniecenia tamtej nocy, gdy podarli na sobie ubrania, zachowując się jak dzikie zwierzęta. Teraz zmierzała znajomą drogą, ale niebezpieczeństwo, któremu miała stawić czoła, było zgoła innego rodzaju.

Zastała ojca Quinna w głębi kościoła, gdzie rozmawiał z młodym ministrantem. Gdy ją zobaczył, odprawił chłopca machnięciem ręki.

– Lady Rowan-Hampton, proszę ze mną – powiedział, stąpając bezszelestnie po kamiennej podłodze.

Przez niskie drzwi weszli do zakrystii, gdzie stała drewniana szafa z szatami liturgicznymi, mały ceramiczny lawaterz, okazały drewniany stół, a na nim ozdobne srebrne świeczniki, świece, księgi i naczynia liturgiczne. Na ścianach wisiały obrazy religijne i marmurowa rzeźba Chrystusa na krzyżu, której nie było podczas ostatniej wizyty Grace. Spostrzegła, że pieniądze Bridie zostały spożytkowane na upiększenie domu bożego.

Usiadła i złożyła ręce na kolanach.

– Zmieniło się tu od czasu wojny – zauważyła.

– Dzięki pobożnym parafianom – odpowiedział ojciec Quinn. – W gruncie rzeczy mają moralny obowiązek sięgnąć głęboko do kieszeni, gdy Bóg był tak łaskaw, że je nappełnił.

– Oczywiście – odparła Grace. Nie przyszła tu, żeby słuchać umoralniającego kazania.

– Te dni są już za nami, dzięki Bogu – zauważył ojciec Quinn. – Pani pomoc podczas tych lat była bezcenna. Naprawdę bez pani i panny Deverill nie bylibyśmy tak skuteczni. Irlandczycy nigdy się nie dowiedzą, ile zawdzięczają pani w uzyskaniu niepodległości.

– Teraz życie jest ciche i spokojne – stwierdziła Grace z uśmiechem pokrywającym żal. Nigdy nie czuła się bardziej ożywiona niż podczas wojny o niepodległość. – Nadszedł czas, bym zajrzała w swoją duszę, ojciec Quinn.

Zaskoczony uniósł krzaczaste brwi.

– Naprawdę?

– Odczuwam wielkie pragnienie... – zawahała się i spuściła wzrok. – Wstydę się to powiedzieć. Mój mąż rozwiedzie się ze mną. Dzieci będą zbulwersowane. Właściwie wszyscy znajomi oniemiają z przerażenia, ale...

– Ale? – Ojciec Quinn, który usiadł naprzeciwko, pochylił się do przodu.

– Chcę przejść na katolicyzm.

Twarz księdza zarumieniła się z zadowolenia. Nie było nic bardziej ekscytującego dla kapłana niż nowo nawrócony. – Nie mogę udawać, że nie zaskakuje mnie ta rewelacja, lady Rowan-Hampton.

– Wiem. Ale odczuwam tę potrzebę od dawna. Czy ksiądz pamięta, jak uczyłam dzieci angielskiego i spiskowałam z ich ojcami?

– Oczywiście, że pamiętam – potwierdził.

– I wiele razy spotykałam się z fenianami[9] w Dublinie?

– Oczywiście.

– Stałam się jedną z nich, ojciec Quinn. – Gdy wpatrywał się w nią uważnie, w jej oczach pojawił się gorączkowy blask, a policzki się zarumieniły. – Wraz z nieodżałowaną lady Deverill pomagałam karmić biednych i zbierałam ubrania oraz buty dla dzieci. Chciałam ulżyć ich ubóstwu. Chciałam ich edukować, dać im szansę na lepsze życie. Chciałam coś zmienić. Ale również czułam, że jestem jedną z nich, ojciec Quinn. Nie potrafię znaleźć słów, żeby opisać to, co czułam w sercu. Jakiś rodzaj związku, przypuszczam. Głęboki, potężny związek. Już wtedy wiedziałam, że to coś więcej niż poczucie patriotyzmu. To poczucie wspólnoty religijnej. Chciałam być katoliczką. – Ojciec Quinn słuchał jej z fascynacją, przytakując i kręcąc z zachętą głową; nie chciał, żeby przestała. – To było jak cierń w moim sercu, ojciec. Dręczyło mnie i bolało. Gdy siedziałam w kościele, czułam się nie na miejscu, jakbym była obca. Ale nikomu nie mogłam się zwierzyć. Musiałam ukrywać swoje uczucia. A potem wojna się skończyła, zapanował pokój i miałam czas wszystko przemyśleć, zagłębić się w swoją duszę. Zrozumiałam, że jeśli nie wyrażę swego pragnienia, oszaleję.

– A więc podjęła już pani decyzję?

– Tak, ojciec Quinn. Pragnę przyjąć katolicką komunię i chcę, żeby ksiądz to celebrował, ponieważ ufam, że ojciec zachowa dyskrecję. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

– Jak pani sobie życzy. – Wyprostował się na krześle. – Ponieważ jest pani chrześcijanką, nie potrzeba dużo czasu.

Tu Grace mu przerwała.

– Nie chcę niczego przyspieszać, ojciec. Nie jest to łatwa decyzja. Pragnę dążyć do tego powoli i cieszyć się tym procesem. Całe lata czekałam na tę chwilę.

– Jak pani sobie życzy.

– Ponieważ moja sytuacja jest szczególna, nie jestem w stanie dołączyć do katolickiej społeczności tutaj w Ballinakelly. Ale jednocześnie potrzebuję wsparcia i przewodnictwa duchowego od kogoś stąd, nieprawdaż?

– Czy jest ktoś, komu pani ufa, lady Rowan-Hampton?

Zawahała się, mrużąc oczy, jakby szukała w pamięci nazwisk znajomych katolików.

– Pani Doyle – powiedziała w końcu. – Lady Deverill wyrażała się o niej niezwykle pozytywnie, gdy ta pracowała w zamku. Wiem, że jest pobożną kobietą i również dyskretną. Gdy pomyślę, co musiała przejść na farmie podczas tych burzliwych lat, a nigdy nie pisnęła ani słowa!

Ojciec Quinn ponownie uniósł brwi.

– Doskonały wybór. Pani Doyle jest moją najpobożniejszą parafianką. A jak pani wie, jej syn Michael nawrócił się na dobrą drogę. To wzorowa rodzina.

– Wiem, dlatego o niej pomyślałam. Czy zagadnie ją ksiądz na mój temat? Być może mogłabym ją odwiedzić, żeby porozmawiać?

– Jestem pewien, że jej to pochlebi.

Raz jeszcze utkwiała w nim spojrzenie ciepłych brązowych oczu, które teraz wypełniała wdzięczność.

– Chciałabym złożyć ofiarę na kościół – oświadczyła. – Może teraz omówmy, jak mogę pomóc, ojczu Quinn.

Po powrocie do domu Grace zastała ojca, Hazel, Laurel i Bertiego w salonie przy brydżowym stoliku. Zdjęła kapelusz i odłożyła go na krzesło, skąd dyskretnie zabrała go pokojówka.

– Gdzie byłaś? – spytał Ethelred, paląc cygaro.

– W mieście – odpowiedziała beztróska Grace. Okrążyła stół i położyła rękę na ramieniu ojca. Od dłuższego czasu nie czuła się tak lekko na duchu. – A więc ty i Hazel gracie przeciwko Bertiemu i Laurel?

– Całkiem groźni z nich przeciwnicy, ale dajemy radę, nieprawdaż, Hazel? – Puścił oczko do swojej partnerki, a ta zarumieniła się z radości.

– Och, zdecydowanie – potwierdziła, zerkając na siostrę, która miała usta zacisnięte z zazdrości. – Jesteśmy zgraną parą – dodała, spuszczać wzrok na karty.

– Jak się ma Celia? – spytała Bertiego.

Minęło sześć miesięcy od samobójstwa Archiego. Początkowo wszyscy mówili o przeżytych horrorze. Potem zaczęto się zastanawiać, dlaczego Archie targnął się na życie, aż w końcu okropna prawda wyszła na jaw. Podczas kryzysu stracił cały majątek, swój i rodziny. Nie potrafił się zmusić, by powiedzieć o tym żonie, która wydawała pieniądze na prawo i lewo. Digby ubolewał, że zięć był zbyt dumny, aby prosić o pomoc, ale Grace zastanawiała się, czy Digby mógłby go wesprzeć finansowo. Z tego, co słyszała od męża, Digby sam miał kłopoty.

- Jakoś się trzyma – odparł Bertie.
- A co z zamkiem, jeśli mogę spytać?

Bertie z ciężkim westchnieniem opuścił ramiona. Wszyscy podnieśli oczy znad kart.

– Obawiam się, że to nie wygląda dobrze. Ale podejrzewam, że dowiem się o tym jako ostatni.

- Nie myślisz chyba, że go sprzeda?

– Może będzie musiała. Digby jej tak doradza. Z tego, co zrozumiałem, zlikwidowali wszystkie aktywa Archiego. Ale ona tonie w długach i pieniądze muszą się skądś znaleźć. Celia czepia się tego zamku pazurami, ale nie mam zbyt wielkiej nadziei. Wygląda na to, że Castle Deverill w końcu znajdzie się na łasce obcych.

Grace poczuła ogromne współczucie dla starego przyjaciela.

- Może mogłabym jakoś pomóc?

– Nie sądzę, chyba że kupisz zamek.

– Wszyscy byśmy się dołożyli, gdybyśmy mogli – wtrąciła Laurel.

– Dziękuję, moja droga Laurel, to bardzo miłe z twojej strony.

Pojawiła się pokojówka z tacą i postawiła ją na niskim stoliku między pustym kominkiem a sofami i fotelami.

– Może zrobimy sobie przerwę? – zaproponował Ethelred, wypuszczając chmurę słodko pachnącego dymu.

– Świetny pomysł – ożywiła się Hazel. – Chętnie napiję się herbaty. Wspaniale! – Wstała i usiadła obok Grace, która zaczęła nalewać napój z ładnego czajniczka.

– Biedna Celia. – Westchnęła Laurel, patrząc, jak Ethelred siada w fotelu, a potem zajmując miejsce jak najbliżej niego na skraju drugiej sofy.

– Tragiczna historia – zawyrokowała Grace. – Dwoje osieroconych dzieci, ojciec i rodzeństwo Archiego osamotnieni...

– I biedni – dodała posępnie Hazel.

– Och, po prostu okropne. Nie mogę przestać o tym myśleć. To tragedia, gdy młody człowiek rozstaje się z życiem z powodu pieniędzy. Biedny Archie, wybrał ostateczne rozwiązanie krótkoterminowego problemu.

– To głupota utopić fortunę w tak ambitnym projekcie – odezwał się Ethelred.

– Głupota – powtórzyła dobitnie Laurel.

– Digby powinien trzymać ją krócej – skonstatowała Grace. – Jest przecież doświadczonym człowiekiem. Powinien był wiedzieć, na co się porywają.

– Gdy go poinformowałem, że Celia kupiła zamek, a raczej że Archie to zrobił, jęknął i powiedział – dokładnie pamiętam jego słowa: „To ich zrujnuje”. – Bertie powiódł wzrokiem po zaskoczonych twarzach i pokręcił głową. – Dokładnie

takie były jego słowa. Nie sędzę, że można za to obwinać Digby'ego. Celia jest bardzo upartą osobką. Zazwyczaj otrzymuje to, co chce.

– Wielkie nieba! – Zachłysnęła się Hazel.

– Wydaje mi się, że Digby'ego cieszył fakt, że córka ocaliła rodzinne gniazdo – zauważyła Grace. – On też lubi splendor. Pamiętacie, jak wygrał Derby? Miesiącami nie mówił o niczym innym!

– Na pewno zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby ocalić zamek – rzekł Bertie.

– Chociaż nie jestem pewna, czy ma ku temu środki – dodała ponuro Grace. Ethelred zaśmiał się, wypuszczając dym z cygara.

– Pomówmy o czymś przyjemnym. Czy opowiadałem wam, jak kiedyś postawiłem na zwycięzcę Derby? To nadzwyczajna historia...

Wszyscy wsłuchiwali się w jego słowa oprócz Grace, która słyszała już tę historyjkę bez mała dziesięć razy. Ale nikt nie był bardziej oczarowany opowieścią lorda Hunta o przygodzie, oszustwie i triumfie niż Laurel i Hazel, które robiły do niego maślane oczy, z lekko rozchylonymi ustami i z zapartym tchem.

*

Celia i Kitty siedziały na tarasie o zachodzie słońca; cienie się wydłużały, pochłaniając światło na trawniku i wspinając się na ściany niczym demony. Otulone szalami tuliły w dłoniach filiżanki z herbatką z konopi, która skutecznie pomagała Celi tłumić ból. Wsłuchiwały się w zgiełk ptaków szykujących się do snu i samotny krzyk mewy szybującej na wietrze ponad nimi.

– Myślałam, że przeżyłam już wystarczającą porcję rozpacz, gdy George został zabity – odezwała się Celia stłumionym głosem. – Ale nieszczęście może nadejść w każdej chwili i wszystko odebrać.

– Och, Celio, nie przestaję zadawać sobie pytania: dlaczego?

– Uwierz mi, przeżuwałam to słowo tyle razy, że zaskakuje mnie, że ono nadal istnieje. Wiem, dlaczego to zrobił, ale tego nie rozumiem. Nigdy nie powiedział mi, żebym przestała wydawać. Nigdy niczego mi nie odmówił. Oddałabym to wszystko, wszystko, gdybyśmy mogli cofnąć czas i zacząć od nowa. Kocham to miejsce, ale mogłam poskromić swoje ambicje. Teraz to wiem.

– Nie mogłaś tego przewidzieć – zauważyła życzliwie Kitty.

– To właśnie mnie złości. Dlaczego mnie nie ostrzegł? Nawet nie próbował...

– Głos Celi się załamał. Przerwała, dając sobie czas na opanowanie emocji.

Kitty w milczeniu popijała herbatkę i czekała. Mewa poszybowała dalej, zabierając ze sobą swój smutny krzyk. Cienie zaczęły roztapiać się w zmroku. Wkrótce zapadnie noc i Celia znów pozostanie sama ze swoimi lękami. Właśnie dlatego Kitty tak często z nią zostawała; Celia była zbyt przerażona, żeby spać sama.

– Nie dał mi żadnego ostrzeżenia – podjęła. – Mogliśmy rozwiązać problemy razem, ale on się wycofał, zostawiając mnie samą. Osierocił dzieci. Jak mógł być takim tchórzem? – Kitty nie wiedziała, co powiedzieć. Celia nigdy przedtem nie nazwała Archiego tchórzem. – Chodzi mi o to, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie zrobiłby tego swojej żonie i dzieciom. Prawdziwy mężczyzna wziąłby mnie na rozmowę i przedstawił sytuację. Ale Archie nie był prawdziwym mężczyzną. Przez cały ten czas, gdy ja beztrudnie trwoniłam pieniądze na zamek i obrazy z Włoch, on borykał się z finansową ruiną. O Boże, Kitty, jak mnie to wścieka! – Łapczywie pociągnęła łyk herbaty. – Gdy teraz o nim myślę, nie czuję się osamotniona. Czuję się zdradzona! – Roześmiała się histerycznie. – Jeśli go zobaczysz, powiedz mu, jaka jestem na niego zła.

– Możesz mu to sama powiedzieć, Celio. Na pewno na ciebie patrzy i żałuje, że przysporzył ci tyle bólu.

– Czy on jest w piekle? – spytała cicho Celia. – Wielebny Maddox zapewne powiedziałby, że targnąć się na własne życie to potworny grzech. I że Archie jest w piekle.

– Bóg jest wyrozumiały, Celio.

– Ale ja nie. Jeszcze nie. – Westchnęła głośno i dopiła herbatę. – Na razie sprzedaję wyposażenie zamku. Boysie skontaktował mnie z panem Brickworthem, który przyjedzie z Londynu i zrobi wycenę, a potem zamieści w grubym, lśniącym katalogu, by te rzeczy mogli obejrzeć wszyscy w Londynie. Trochę żenujące, ale co na to poradzę.

– Tak mi przykro. – Zmartwiła się Kitty. – Ale dzięki temu może nie będziesz musiała sprzedawać zamku.

– Będę musiała spać na materacu na podłodze. To absurdalne! Czy zamek jest tego wart?

– Nie, nie jest. Życie jest za krótkie. Sprzedaj go i korzystaj z życia. – Kitty uśmiechnęła się ze smutkiem. – Mogłabym powiedzieć „to tylko zamek”, ale wiesz tak samo dobrze jak ja, że to o wiele więcej.

– Dla mnie jest wszystkim – oświadczyła Celia z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. – Wszystkim!

– Dla mnie też – zgodziła się z nią Kitty. Przyglądała się Celii, która dolewała sobie herbaty z czajniczka.

– Może dziś wieczorem się odurzymy i zapomnimy o naszych niedolach?

Kitty podniosła swoją filiżankę.

– Dlaczego nie?

9 Tajne irlandzkie stowarzyszenie niepodległościowe, założone ok. 1858 r.; w 1867 r. zorganizowało powstanie przeciw Wielkiej Brytanii.

Rozdział 22

Digby stał przy oknie w gabinecie i zerkał to na podjazd, to na szeroką aleję zielonych platanów, która ciągnęła się prawie przez kilometr od Kensington do Notting Hill. Była to niewątpliwie jedna z najbardziej ekskluzywnych ulic Londynu. Rozpierała go duma, że tu mieszka. A przecież początki miał nader skromne. Najmłodszy syn starej ziemiańskiej rodziny, która wpadła w tarapaty, zawsze zdawał sobie sprawę, że jego rodzice byli bardziej zainteresowani wspinaczką po drabinie społecznej niż nim. Rozpaczliwie pragnąc wyrwać się z dusznej atmosfery rodzinnego domu, wyruszył do Południowej Afryki z zamiarem zrobienia majątku na kopalniach diamentów. Mieszkał pod namiotem, cierpiał z powodu kurzu, nieżnośnego upału latem i obezwładniającego zimna zimą, a jednak znalazł w sobie pokłady sił, o które się nawet nie podejrzewał. Wodząc wzrokiem po ulicy, powędrował myślami do południowoafrykańskich kopalni diamentów. Miał szczęście, ale w pewnym sensie sam je stworzył – w końcu Bóg pomaga tylko tym, którzy pomagają sami sobie.

Nagle jakaś postać przykuła jego uwagę. To znów był on, stał po drugiej stronie ulicy w kapeluszu mocno nasuniętym na twarz, w długim znoszonym płaszczu, pod krawatem i z gazetą pod pachą. Powoli palił papierosa, jakby miał przed sobą nieskończenie dużo czasu. Digby zaśmiał się ponuro; gdyby to nie było tak przerażające, byłoby nawet śmieszne. Stojąc tam w cieniu, wyglądał jak postać z czarnej komedii.

Nie przestraszy mnie, pomyślał Digby stanowczo. Niech robi, co chce, a zobaczymy, dokąd go to doprowadzi. Ale pod powłoką brawury wcale nie czuł się tak silny ani pewny siebie, jak by to z pozoru wyglądało. Był w jego życiu taki czas, gdy nie czuł strachu przed niczym, ale w miarę upływu lat jego pewność siebie stopniowo się kruszyła z powodu utraty ludzi, których kochał, utraty młodości, poczucia niezniszczalności i nieśmiertelności. W dawnych czasach człowiek pokroju Aureliusa Dupree tylko lekko by go poirytował, niczym ukąszenie komara. Jednak dziś...

Digby nie tylko stworzył swój biznes, zbudował również swoją reputację. Był podporą środowiska, wspierał finansowo Partię Konserwatywną, przyjaźnił się z członkami rodziny królewskiej, politykami i arystokratami. Hojnie wspierał instytucje dobroczynne i sztukę. Był jednym z głównych sponsorów Royal Opera House, ponieważ Beatrice uwielbiała operę i balet, często uczęszczała na przedstawienia i zapraszano ją do łoża królewskiej. Został członkiem wielu komitetów i elitarnych klubów, jak na przykład White's. Oczywiście nadal jego

konie startowały w wyścigach, a odkąd wygrał Derby, stał się człowiekiem, z którym należało się liczyć w tym sporcie. Lucky Deverill przynosił teraz znaczny dochód. Digby był dumny ze swego, jak się wydawało, niesłabnącego talentu do pomnażania pieniędzy. Był hazardzistą, spekulantem, ryzykantem, i najczęściej jego poczynania wieńczył sukces. Ale człowiek być może ma w życiu ograniczoną pulę szczęścia. Rozwagał wejście do polityki. Randlordowie nie mieli szczególnego poważania, ale Digby wiele zyskiwał swoim urokiem osobistym i pieniędzmi. Może kupiłby gazetę jak jego przyjaciel lord Beaverbrook, i w ten sposób wkroczył na arenę polityczną? Gdyby nie ten przeklęty Aurelius Dupree, pomyślał z irytacją, nic by go nie powstrzymało.

Digby przyglądał się mężczyźnie stojącemu na ulicy. Wyglądało na to, że nie zamierza odejść. On też przyglądał się Digby'emu. Obaj mierzyli się wzrokiem jak para byków, z których żaden nie chce okazać słabości, pierwszy odwracając oczy. Digby miał jednak lepszą alternatywę niż bezmyślny pojedynek na spojrzenia, wycofał się więc i wezwał szofera, żeby go zawiózł do klubu. Był piękny letni dzień, ale ze względu na Aureliusa Dupree wolał nie ryzykować przechadzki przez St James Park. Choćby nie wiem ile listów mu przysłał, nigdy nie udzieli mu audiencji. Może sobie wystawać przed domem, to wszystko. W końcu zorientuje się, że to nie ma sensu, i wróci tam, skąd przybył.

*

Harry i Boysie spotkali się na lunchu w klubie White's. Minęło sześć miesięcy, odkąd Charlotte pozwoliła mężowi spotykać się ze starym przyjacielem. Widywali się regularnie, bacząc jednak, by nie wrócić do zwyczaju porannych schadzek w Soho. Charlotte dała swoje błogosławieństwo ich przyjaźni, ale nie romansowi, nawet jeśli specjalnie tego nie podkreśliła. Harry czuł, że ma wobec żony ogromny dług wdzięczności za jej tolerancję, dług, który niegodziwie byłoby odplacić, wskakując Boysiemu do łóżka. Trudno, obydwaj zaakceptowali warunki. Harry był szczęśliwy, że przynajmniej może oddychać tym samym powietrzem co Boysie. Wmówił sobie, że nie musi się z nim kochać. Ale z biegiem czasu utrzymanie pomiędzy nimi dystansu stawało się coraz trudniejsze.

Zasiedli w jadalni, pośród znajomych twarzy, ponieważ wszyscy najznamienitsi londyńscy dżentelmeni należeli do tego klubu. Ale Boysie i Harry widzieli wyłącznie siebie.

– Lepiej być taką ignorantką jak Deirdre – powiedział Boysie. – Być może dzięki temu jest szczęśliwa.

– Charlotte jest szczęśliwa, że znów jesteśmy przyjaciółmi – rzekł stanowczo Harry.

– Ona cię obserwuje, nie popełnij błędu. Śledzi każdy twój ruch. Jedno potknięcie i wpadniesz w tarapaty, stary. – Boysie zaśmiał się cicho, ale z jego

oczku wyzierał smutek. – To naprawdę wszystko, co nas czeka?

Harry utkwiał wzrok w kieliszku wina.

– Nie wiem.

Boysie westchnął z właściwą sobie nonszalancją i z niezadowoleniem wyjął wargi.

– Nie jestem pewien, czy to zdzierzę.

– Musisz. – Harry się przestraszył. – To wszystko, co nam wolno. Lepsze to niż nic. A nie mogę żyć z niczym.

– Po dramatycznej śmierci Archiego Charlotte z pewnością zdaje sobie z tego sprawę. – Uśmiechnął się figlarnie. – Naprawdę zabiłbyś się z mojego powodu? – Pochylił się nad stołem, zatapiając w Harrym spojrzenie swych pięknych zielonych oczu.

– Myślałem o tym – wyznał Harry półgłosem.

– Tylko tego nie zrób – poprosił Boysie. – Ponieważ ja nie mam w sobie tyle odwagi, a zdecydowanie nie mogę żyć bez ciebie. Nie odejdziesz i nie zostawisz mnie samego, prawda?

Harry się uśmiechnął.

– Oczywiście, że nie.

– No, to ustalone. Ciężar spadł mi z serca. Wiesz, że ten hotelik w Soho nadal tam jest. Nikt się nie dowie. Nawet wścibskiej Charlotte nie przyjdzie do głowy tam zajrzeć.

– Nie możemy – jęknął Harry, rozglądając się niespokojnie na boki w obawie, że ktoś ich podsłucha.

– Wiesz, Celia powiedziała mi, że ktoś złożył jej ofertę kupna zamku z całym wyposażeniem. – Boysie zmienił temat, ponieważ reakcja Harry'ego na podobne sugestie pozostawała niezmienna. – Wieści szybko się rozchodzą.

Harry szeroko otworzył oczy.

– Kiedy ci o tym powiedziała?

– Dzwoniła dziś rano.

– I co? Ma zamiar sprzedać? – Harry miał przerażoną minę.

– Oczywiście, że nie zamierza. Uwielbia go. Chce tylko sprzedać wyposażenie. A przynajmniej większość. Jestem pewien, że zatrzyma jedno czy dwa łóżka...

Harry pokręcił głową.

– To desperacja z jej strony. Tak mi jej żal. Nie mogę tego znieść. Jest straszliwie samotna bez Archiego.

– Kochany, straciła coś więcej niż Archiego. Straciła swoją *joie de vivre*. Swego ducha. Myślę, że powinniśmy ją namówić, żeby na trochę przyjechała do Londynu. Musi wyjść do ludzi, przypomnieć sobie, kim naprawdę jest.

– Nie powinna być wdową – zgodził się z nim Harry.

– Chyba, że wesolą wdówką, nieprawdaż? Przypomnimy jej o radosnej stronie życia, stary.

– O Boże, dobre stare czasy! – Westchnął Harry.

Z melancholią zaczęli wspominać swe życie, zanim Deirdre i Charlotte się pojawiły i tak bardzo je skomplikowały.

Niebawem do jadalni wkroczył Digby, czyniąc wokół siebie wielkie zamieszanie. Z zaczesanymi do tyłu ulizanymi włosami, błyskając białymi zębami oraz brylantowymi spinkami do mankietów, głośno witał się z przyjaciółmi i manewrując pomiędzy stolikami, dla każdego znajdował jakieś dowcipne lub sympatyczne słowo. Harry i Boysie zawiesili rozmowę, przyglądając się, jak zmierza w ich stronę, a jego ekstrawagancki strój oraz żywiołowa osobowość budziły rozbawienie i komentarze wśród członków najbardziej szacownego z klubów.

– Ach, witam was, chłopcy! – powiedział, gdy dotarł do ich stolika. – Przynajmniej jest takie miejsce w Londynie, gdzie na pewno nie spotkamy naszych żon. – Roześmiał się, nie zdając sobie sprawy, jak prawdziwe są jego słowa w odniesieniu do Harry’ego i Boysiego, po czym ruszył do stolika, gdzie czekali na niego znajomi.

*

Grace zapukała do drzwi domu Doyle’ów. Zawitała tu po raz pierwszy, ponieważ podczas wojny o niepodległość spotykała się z Michaeliem albo u siebie, albo w stodole Badgera Hanratty’ego na wzgórzach. Gdy otwierała drzwi, serce jej przyspieszyło na myśl, że za chwilę może zobaczyć „Papieża” Michaela, który odpychał ją swą pobożnością, ale którego fizyczność nadal ją podniecała. Czowała jego obecność, jego energetyzująca siła wibrowała w powietrzu niczym muzyka, zwiększając jej podniecenie. Usłyszała czyjś głos; gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła starszą kobietę siedzącą w fotelu przy palenisku.

– Dzień dobry – odezwała się Grace. Staruszka uniosła przymknięte powieki, a na jej wymizerowanej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Stara pani Nagle nie spodziewała się damy w tych skromnych progach. – Jestem lady Rowan-Hampton. Przyszłam zobaczyć się z panią Doyle.

Chwilę później przy schodach pojawiła się pani Doyle. Nerwowo wylamując palce, weszła do pokoju. Była niższa, niż Grace zapamiętała, skórę miała pomarszczoną jak bibułka, a jej czarne okrągłe oczy były takiego samego koloru jak oczy Michaela. Uprzejmie skinęła głową.

– Dzień dobry, milady – powiedziała.

– Ojciec Quinn... – zaczęła niepewnie Grace. Nie chciała, żeby ktoś wiedział, że tu była, oczywiście oprócz Michaela. W końcu to z jego powodu tu przyszła.

– Och, ojciec Quinn... Tak, podkreślał konieczność zachowania dyskrecji.

Może być pani pewna, że ani mama, ani ja nie piśniemy słówka – zawahała się, niepewna, co ma dalej począć, ale przypominając sobie o dobrych manierach, zaprosiła Grace do stołu. – Napije się pani herbaty? Czajnik jest gorący...

– Dziękuję, bardzo chętnie. – Grace usiadła za stołem. Wyczuwała, że Michael przed chwilą tu stał, przytłaczając tę izbę swymi szerokimi ramionami i wyrazistą osobowością. Zastanawiała się, dokąd poszedł i czy szybko wróci. Nie wiedziała, jak długo wytrzyma rozmowę o Bogu z jego matką.

Pani Doyle postawiła na stole dzbanek z herbatą i chleb z rodzynkami, po czym usiadła, składając ręce na podolku. Czekala, aż Grace się odezwie. Grace z wysiłkiem odrywała swe myśli od Michaela i próbowała skoncentrować się na tej komedii. Nie miała ochoty przechodzić na katolicyzm, ale jeśli to było konieczne, żeby zdobyć serce Michaela, zaangażuje się bez reszty.

– Jak ojciec Quinn zapewne wspomniał, chciałabym zostać katoliczką – powiedziała. – Ta decyzja nie spotka się z akceptacją mojej rodziny, ale czuję, że zostałam wezwana, pani Doyle, i chcę na to wezwanie odpowiedzieć.

– W czym mogę pomóc? – spytała pani Doyle, marszcząc brwi.

– Chciałabym się dowiedzieć, co to znaczy żyć po katolicku. Ojciec Quinn przywołał panią jako wzór. Jest pani dobrą katoliczką, pani Doyle. Chciałabym, żeby służyła mi pani za przykład.

Pani Doyle odprężyła się, pojmując, że to wszystko, czego się od niej oczekuje. Rzeczywiście uważała się za dobrą katoliczkę i z chęcią przedstawi lady Rowan-Hampton swe pobożne życie.

– Czy mam... – zaczęła, ale Grace jej przerwała.

– Proszę opowiedzieć mi o pani życiu od początku, tak, to będzie najbardziej inspirujące. Jak to było dorastać w katolicyzmie?

Pani Doyle zaczęła snuć opowieść, a Grace powędrowała myślami ku Michaelowi. Stara pani Nagle zasnęła w fotelu, głowa opadła jej do przodu jak szmacianej lalce. Z kącika ust ciekła jej strużka śliny, skapując na luźny materiał na jej wychudłej klatce piersiowej. Tymczasem pani Doyle zapaliła się do tematu. Mówiła o aniołach, codziennych modlitwach, różańcu, mszy oraz innych drobnych sprawach, będących częścią jej pobożności. Grace słuchała jednym uchem, kiwając głową w odpowiednich momentach, i raz po raz zerkając na drzwi. Pozwoliła gospodyni się rozgadać, a w duszy pragnęła, by drzwi się otworzyły i Michael wszedł do środka.

Pani Doyle w końcu umilkła, żeby złapać oddech. Grace właśnie skończyła pić herbatę. W izbie zrobiło się nieco ciemniej, stara pani Nagle obudziła się z głośnym sapnięciem. Grace zdała sobie sprawę, że powinna już wyjść. Miała wrażenie, że dłużej nie zniesie monotonnego głosu pani Doyle i jej bogobożności. Nagle drzwi otworzyły się z rozmachem i zanim jeszcze go zobaczyła, wiedziała, że to Michael. Odsunęła krzesło i skoczyła na równe nogi, na moment

zapominając, że stara pani Nagle oraz jej córka obserwują ją z fascynacją jak rajskiego ptaka, który zaplątał się pośród gęsi.

Michael patrzył na nią zaskoczony. Widział jej samochód przed domem i zachodził w głowę, co, u diabła, tu robi. Czyżby oszalała?

– Witam panią, lady Rowan-Hampton – powiedział tonem żądającym wyjaśnień.

Grace uśmiechnęła się słodko.

– Witam pana, panie Doyle. – Sprawiało jej przyjemność, że przez chwilę trzyma go w stanie niepewności.

Popatrzył na matkę, która również wstała.

– Lady Rowan-Hampton i ja mamy wiele do omówienia – oznajmiła, czując się zobowiązana do dyskrecji.

– O czym?

– Napijesz się herbaty? – Podeszła do kuchni. – Zagotuję wodę.

– Muszę już iść – wtrąciła Grace. Nastrój wyraźnie jej się poprawił. – Dziękuję, pani Doyle. Dziękuję za poświęcony mi czas. Może znów się spotkamy?

– Jak pani sobie życzy – zgodziła się pani Doyle, której schlebiała ta propozycja. Z przyjemnością opowiadała o sobie komuś, kto słuchał z taką uwagą.

Michael był wyraźnie zmieszany.

– Odprowadzę panią do samochodu – zaproponował, otwierając drzwi.

Grace minęła go z wysoko uniesioną głową, a pełen satysfakcji uśmiech błąkał się w kącikach jej ust.

Słońce już zachodziło. Świergot ptaków wypełniał powietrze dźwiękami lata. Lekki wiaterek wiał ponad wzgórzami.

Michael odwrócił się do niej z pociemniałą twarzą.

– O co tu chodzi, Grace?

– Przechodzę na katolicyzm – oświadczyła wprost.

Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

– Prawdziwa z siebie diablica!

– To prawda – potwierdziła z uśmiechem. – Twoja matka pomaga mi w tej duchowej przemianie. Ojciec Quinn zasugerował, żebym z nią porozmawiała. Ona jest przekonującą katoliczką.

– Wcale nie zamierzasz zmienić wyznania. Sir Ronald się z tobą rozwiedzie.

– Ronald się nie dowie – rzekła bezceremonialnie. – Doskonale wiesz, że żyjemy osobno. Kiedyś ci to nawet odpowiadało.

Przybrał współczującą minę.

– O co w tym wszystkim chodzi, Grace? – Złagodniał.

– To nie ma nic wspólnego z tobą, Michaelu. Ruszyłam do przodu. Możesz spać spokojnie, nie będę kusicielką, która zawróci cię z twojej drogi. Szanuję twoją pobożność. A prawdę mówiąc, nawet ją podziwiam. – Z fałszywą skromnością

spuściła oczy i zawahała się, jakby szukając odpowiednich słów. – Robiłam w życiu rzeczy, których się bardzo wstydę – zniżyła głos. – Chcę się pojednać z Bogiem. Chcę błagać o wybaczenie i prowadzić lepsze życie. To, co nas łączyło, było bardzo intensywne i za nic w świecie bym tego nie zmieniła. Ale rozpoczęłam nowy rozdział. Stary został zamknięty. Na zawsze. – Podeszła do samochodu. – Miło było cię widzieć. Naprawdę miło. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, Michaelu.

Skinął głową, ale jego uniesione brwi wyrażały osłupienie. Przyglądał się, jak otwiera drzwi i siada za kierownicą. Uniosła rękę i wyjeżdżając na drogę, lekko mu pomachała.

Zerknęła w tylne lusterko i zobaczyła, że patrzy za nią, nadal marszcząc czoło. Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana swym planem, czując dreszczyk emocji z powodu nowego wyzwania.

*

Trudno było namówić Celię na przyjazd do Londynu, ale Boysie i Harry upierali się, że nie powinna być sama teraz, gdy najbardziej potrzebuje przyjaciół. Argumentowała, że ma Kitty i Bertiego na każde zawołanie, a Krzaczkę codzienne wizyty z ciastem nasączonym whisky uczyniły swoją misją.

– Już choćby z tego powodu powinnaś uciec na stały ląd – powiedział Boysie, a Celia roześmiała się i w końcu uległa.

Przyjechała do Londynu na początku czerwca. Beatrice bardzo jej nadskakiwała. Ustawiała w jej sypialni świeże kwiaty i urządzała lunche w gronie przyjaciół. Rozumiała, że córka nie czuje się na siłach uczestniczyć w życiu towarzyskim, ale spotkania z bliskimi na pewno będą jak balsam na jej zboląłą duszę. Nawet Leona i Vivien były tak miłe, że nie wspominały o samobójstwie Archiego ani nie pytały o sprzedaż Castle Deverill. Celia wiedziała, że płoną z ciekawości, ale była wdzięczna za ich takt i opanowanie. Tak było do czasu, gdy Augusta wprosiła się na herbatę.

Babcia Celi przybyła lśniącym czarnym bentleyem z wąskim, długim przodem i wielkimi okrągłymi reflektorami przypominającymi rozszerzone nozdrza. Samochód podjechał pod dom przy Kensington Place i zatrzymał się przy schodach wiodących do okazałego wejścia. Augusta poczekała, aż szofer otworzy drzwi, a potem przy jego pomocy wyłoniła się powoli z auta, nisko pochylając głowę, żeby nie zgnieść piór na kapeluszu. Szofer podał jej laskę, wiedząc, że jego pani odrzuci pomoc przy wejściu na schody. „Nie jestem jeszcze całkiem zgrzybiała” – powiedziała, z lekceważeniem odrzucając jego gest.

Ubrana, jak przystało na wiktoriańską damę, w czarną suknię zapiętą wysoko pod szyję, z luźno upiętymi srebrnymi włosami pod kapeluszem, bez słowa minęła kamerdynera i podeszła do Celi, która obowiązkowo czekała na nią przy wejściu

na schody. Augusta, która nie widziała wnuczki od śmierci Archiego, przytuliła ją do swego obfitego biustu i czule uściskała.

– Moje drogie dziecko, nikt nie powinien przechodzić tego, co ty. Nikt. Nie mogę znieść upokorzenia z powodu samobójstwa w rodzinie.

Celia poczuła ulgę, gdy pojawiła się matka i we trzy weszły na górę do salonu.

Augusta rozsiadła się na sofie, zdjęła rękawiczki i położyła je na kolanach.

– Okropnie irytująca historia – powiedziała, potrząsając głową, aż pióra na kapeluszu zatrzepotały jak u kokoszki. – Co miałam powiedzieć moim przyjaciołom? Gdyby nie rozpisywano się o tym w gazetach, mogłabym coś wymyślić, ale w takiej sytuacji musiałam przyznać, że biedny człowiek się powiesił. Na pewno jest jakiś sposób, żeby położyć kres plotkom i nie narażać naszej rodziny na taki wstyd.

Beatrice chciała zmienić temat rozmowy. Już tyle czasu roztrząsali przyczyny tego, co się stało.

– Jest, jak jest – stwierdziła. – Musimy żyć dalej i myśleć o przyszłości.

– Głupi chłopak! Powinien przełknąć dumę i poprosić Digby’ego o pomoc. Digby jest bogaty jak Krezus – skwitowała Augusta, uśmiechając się szeroko na myśl o sukcesie syna. – No cóż, ze wszystkich moich piskląt Digby pofrunął najwyżej. Duma to straszna rzecz...

Beatrice podała jej filiżankę.

– Myślę, że sprawa jest bardziej skomplikowana, Augusto – zasugerowała. Celia skrzyżowała spojrzenie z matką i skrzywiła się, podczas gdy jej babcia wkładała dwie kostki cukru do herbaty. – Jak się ma Stoke?

– Słabiutko – odparła Augusta. – Obawiam się, że już długo nie pociągnie. Co rano jestem zaskoczona, że jeszcze go widzę. A i ja jestem słaba, ale oczywiście to ukrywam.

– Gdy ostatni raz go widziałam, był doprawdy w świetnej formie – zauważyła Celia.

– Możliwe. Ale ma swoje wzloty i upadki. Musiał być akurat w fazie wzlotu. Niestety ostatnie miesiące nie były dobre. W jego wieku pogorszenie bywa bardzo gwałtowne. No cóż, miał udane życie. – Beatrice nie zdążyła zaproponować i Augusta kontynuowała natarczywie: – Jeśli chodzi o mnie, nie sądziłam, że przeżyję samobójstwo Archiego, ale jak widzicie, nadal jestem z wami. Ale jeszcze jedna tragedia i moje serce się zatrzyma. Człowiek nie może tyle znieść. Wypłakałam już wszystkie łzy. – Ciągnęła nieprzerwanie, racząc słuchaczki długimi opowieściami o swoich przyjaciołach, którzy chorowali, umierali albo już nie żyli. Makabryczne historie sprawiały jej szczególną przyjemność. – Muszę przyznać, że mam szczęście. Gdy się z nimi porównuję, zdaję sobie sprawę, że w gruncie rzeczy tak naprawdę wstyd to drobnostka. W końcu ze wstydu nikt nie

umarł.

– Nie byliśmy wcale zawstydzeni – wtrąciła Beatrice. – Czujemy rozpaczliwy smutek z powodu Archiego i współczucie dla Celi. Ale nie rozwodzimy się nad naszym smutkiem.

– Słyszałam od pewnego człowieka z Christie's, że sprzedajesz urządzenie zamku – kontynuowała niezrażona Augusta. Celia załapała się rumieńcem. – Dlaczego? Digby na pewno na to nie pozwoli.

– Digby nie jest w stanie pomóc – odpowiedziała Beatrice, którą ucieszył wyraz zaskoczenia na twarzy teściowej.

– Co masz na myśli? Oczywiście, że może.

– Obawiam się, że nie. Kraj został ciężko doświadczony przez krach na giełdzie i w przypadku Digby'ego nie jest inaczej.

– Wielki Boże, nie wierzę!

– Ale to prawda.

– Zaraz z nim porozmawiam.

– Daj spokój, Augusto – poprosiła pospiesznie Beatrice. – Nie będzie chciał o tym rozmawiać. Wiesz, jaki on jest. Podobnie jak ty, dusi wszystko w sobie. Na zewnątrz trzyma fason, ale to tylko pozory. Jesteś jego matką i powinnaś to wiedzieć. Celia musi sprzedać ruchomości, żeby spłacić długi Archiego, których jest bardzo dużo. – Miała ochotę dodać „i długi jego rodziny”, ale nie chciała wprawiać córki w zażenowanie.

Celia skrzywiła się na myśl o pieniądzach, które musi znaleźć, ale szybko odsunęła niepokoje na bok. Siedząc w pełnym przepychu salonie matki, mogła udawać, że wszystko jest w należyтым porządku.

– A zamek? – spytała Augusta spiętym głosem.

Celia wzruszyła ramionami.

– Być może też będę musiała go sprzedać – odparła.

Augusta wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Wtedy to już na pewno umrę – oświadczyła. – Wstyd może jednak zabić.

*

Celia, uciekając przed babcią i przytłaczającą duchotą Londynu, pojechała do Deverill Rising w Wiltshire, żeby spędzić weekend z najbliższą rodziną. Zaprosiła też Boysiego i Harry'ego, którzy przyjechali z żonami. Na szczęście nie musiała na nie patrzeć na polu golfowym, ponieważ żadna nie grała w golfa; Harry i Boysie wydawali się również z tego powodu zadowoleni.

Digby, ubrany w ekstrawaganckie zielone pumpy w kratę, długie zielone podkolanówki, jaskrawoczerwoną kamizelkę i żółtą koszulę, był nieobliczalnym graczem. Wybuchał gromkim śmiechem, gdy udawało mu się uderzyć w piłkę, i wyrzucał pięść do góry w geście triumfu, gdy jakimś cudem jednym uderzeniem

trafiał do dołka. Jego dwa czarne labradory pędziły prosto do zagajnika jak para mew w pogoni za rybami i pojawiały się po kilku chwilach z piłkami golfowymi w pyskach – głównie Digby’ego z poprzednich partii.

Celia była równym graczem, natomiast Boysie i Harry, modnie ubrani w jasne, dobrze skomponowane kolory, mniej interesowali się rozgrywką. Dla nich był to miły sposób na spędzenie razem poranka w towarzystwie ludzi, przy których czuli się nieskrępowani.

– Babcia zadała mi wiele trudnych pytań – poskarżyła się Celia ojcu po drodze do kolejnego dołka. – Jest okrutnie nietaktowna.

– Przykro mi, ale znasz ją. Lubi mówić prosto z mostu.

– Mówi, że umrze ze wstydu, jeśli sprzedam zamek.

– Przeżyje nas wszystkich, wspomnisz moje słowa.

– Uważa, że dziadek w każdej chwili może odejść.

– Dziadek nigdzie się nie wybiera – rzekł stanowczo Digby. – Jeśli wytrzymał sześćdziesiąt lat w małżeństwie z moją matką, wytrzyma jeszcze kilka. – Zaśmiał się. – Jestem pewien, że przez tyle lat się na nią uodpornił.

Celia schowała ręce do kieszeni swetra.

– Ktoś złożył mi ofertę kupna zamku – powiedziała. – Atrakcyjną ofertę. Chce zapłacić więcej, niż on jest wart.

Digby przystanął.

– Wiesz, kto to jest?

– Nie mam pojęcia. Podobno jakiś bogaty Amerykanin.

– Pytasz mnie o radę?

– Tak. Znasz moją sytuację finansową lepiej niż ja. Doprawdy, kompletna plajta, same zera. Nienawidzę tych wstrętnych zer!

– Nie musisz sprzedawać. – Twarz ojca pociemniała. – Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– On chce kupić zamek wraz z całą zawartością.

– Nie musisz sprzedawać zamku – powtórzył zdecydowanie Digby, przyspieszając kroku. – Już raz go ocaliliśmy i ocalimy go znów. Gdzie są te cholerne psy?

Digby ustawił piłkę na podstawce i przybrał odpowiednią pozycję. Celia zauważyła, że twarz mu poczerwieniała, ale pomyślała, że to z powodu wysiłku spowodowanego marszem po polu. Pokonali sporą odległość, a letnie słońce wściekle prażyło. Może powinien zdjąć kamizelkę? Ustawił kij, przymierzając się kilka razy. Małe kropelki potu pojawiły się na jego brwiach, oddech nagle mu przyspieszył, jakby musiał o niego walczyć. Celia zerknęła z niepokojem na chłopców, którzy też to zauważyli i przyglądali się Digby’emu z troską.

– Tato, powinniśmy zrobić sobie przerwę – zaproponowała Celia. – Jest bardzo gorąco i nawet ja czuję się, jakbym miała zemdleć.

Ale Digby zamierzał wykonać uderzenie. Zrobił zamach. Gdy skręcał ciało, ramię mu osłabło i padł na kolana. Celia rzuciła się ku niemu.

– Tato! – krzyknęła, nie wiedząc, jak go podtrzymać ani co robić. Czuła, że ogarniają ją mdłości. Digby miał teraz fioletową twarz. Oczy wyszły mu z orbit, otworzył usta, ledwie łapiąc powietrze. Przycisnął rękę do klatki piersiowej.

Boysie i Harry pomogli ułożyć go na trawie. Harry rozwiązał mu krawat i rozpiął koszulę. Digby oddychał z trudem. Patrzył na nich, ale wydawało się, że nic nie widzi. Potem, wielką siłą woli złapał Celię za kołnierz i pociągnął ku sobie. Jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. Wydała z siebie przerażony pisk.

– Spal... moje... listy – wydyszał. A potem jego ręka omdlała i opadł na ziemię.

CZEŚĆ TRZECIA

Barton Deverill

Ballinakelly, hrabstwo Cork, 1667

Karol II, mierzący ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, czarnooki brunet, smagły na twarzy i przystojny jak diabeł, przebywał w swoich apartamentach w pełnej zakamarków i będącej w opłakanym stanie króliczej norze, którą był Whitehall Palace. W towarzystwie kochanki, hrabiny Castlemaine, przyjaciela – diuka Buckingham i stada spanieli, o których mówił „moje dzieci”, siedział przy karcianym stoliku, gdy lord Deverill wszedł do pokoju i nisko się skłonił.

– Wasza Wysokość.

– Dołącz do nas, lordzie Deverillu – odezwał się król, nie podnosząc wzroku.
– Siadaj. Ile stawiasz? – Król lubił wygrywać pieniądze od swoich przyjaciół. Deverill rzucił swoje na środek stolika i usiadł. – Jak tam dziewczęta w tej zapomnianej przez Boga Irlandii, Deverillu?

– Urodziwe – odpowiedział lord Deverill. – Ale to nie one zaprzętają moje myśli, Wasza Wysokość, ale rebelianci...

Król machnął ręką i wielkie pierścienie na jego palcach zabłyśły w świetle świec, a kunsztowne koronkowe mankiety rękawa zatrzepotały wokół nadgarstka.

– Oczywiście pošlemy ci ludzi na odsiecz. Porozmawiaj z Clarendonem.

To wszystko, co na ten temat król miał do powiedzenia. Lord Deverill obawiał się, że posiłki przybędą zbyt późno, jeśli w ogóle, ponieważ król był bardziej zaniepokojony wojną z Niderlandami.

– Roztropnie z twojej strony, że poślubiłeś piękną kobietę – ciągnął monarcha, wykrzywiając usta w tak lubieżnym uśmiechu, że hrabina odęła wargi i westchnęła głośno i z irytacją. – Jesteśmy okropnie znużeni oglądaniem wciąż tych samych twarzy i plotkami o tych samych ludziach. Doprawdy, musisz częściej bywać z nią na dworze.

– Bardzo by tego chciała – wyznał lord Deverill.

Król nie mógł się oprzeć wdziękowi pięknych kobiet i z tego powodu nosił przezwisko „stary Rowley” – od imienia rozpustnego starego kozła, który wałęsał się po jego prywatnym ogrodzie. Lord Deverill w przekonaniu, że nie będzie mu do twarzy w ogromnych rogach na głowie, zdecydował więc, że im szybciej wywiezie żonę do Irlandii, tym lepiej.

Nie był to jednak odpowiedni moment, żeby zabierać ją do Castle Deverill. Barton pozostawił żonę w bezpiecznym zaciszu ich londyńskiego domu, a do

Irlandii pojechał sam. Podróż przez morze była długa i mozolna, ale pogoda dopisywała. Dotarł do lądu bez przeszkód. W nielicznej eskorcie królewskich żołnierzy, którzy czekali na niego w porcie, pogalopował przez wzgórza do Ballinakelly.

Silne porywy wiatru popychały go do przodu, a szare, ołowiane chmury gromadziły się nad nim ciężkie i wilgotne. Do wiosny brakowało jeszcze kilku tygodni, krajobraz wyglądał zimowo, pączki na drzewach pozostawały zamknięte. Jednak pomimo ponurego światła i posepnego nieba piękno Irlandii przykuwało. Zielone delikatnie pofalowane pola przemawiały mu prosto do serca. Tym bardziej obawiał się widoku swego zdewastowanego domu.

Z drżeniem pocwałował na szczyt wzgórza i spojrzął w dół na dolinę, gdzie stał jego zamek, z którego rozpościerał się widok na morze. Serce zastygło mu w piersiach, gdy spojrzął na ucieleśnienie wszystkich swoich ambicji, które teraz przedstawiało sobą oplakany widok; spoza zamkowych murów wydobywała się jeszcze strużka dymu, rozwiewana przez wiatr. Wściekłość rozszalała się w nim jak bestia, nagle przebudzona gwałtownym dźgnięciem miecza. Spiął konia ostrogami i pogalopował w dół. Ścisnęło go z bólu, gdy zbliżył się do miejsca bitwy. Chociaż zamek nadal stał na swoim miejscu, doznał straszliwych uszkodzeń, a wschodnią wieżę całkiem pochłonął ogień.

Natychmiast rozpoznał sztandary księcia Ormonde'a. Żołnierze księcia od razu zaprowadzili go do swojego dowódcy.

– Witam, lordzie Deverill – powiedział kapitan, gdy Barton wszedł do sieni.

– Co, u diabła, tu się stało? – spytał, rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu zniszczeń, ale ich nie znajdując. Przynajmniej nie wtargnęli do środka, pomyślał.

– Jego Książęca Wysokość pospieszył na pomoc, gdy tylko dostał wiadomość. Przybyliśmy na czas, żeby ocalić zamek. Pańscy ludzie ledwie się już bronili. Gdyby nie błyskawiczna reakcja Jego Książęcej Wysokości, nie miałby pan do czego wracać.

– Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności. Na zawsze pozostanę dłużnikiem księcia – oświadczył cicho lord Deverill. Obydwaj, książę i lord, jako lojalni stronnicy króla Karola II, towarzyszyli mu na wygnaniu we Francji i zostali bliskimi przyjaciółmi. Po restauracji Stuartów Ormonde odzyskał skonfiskowane przez Cromwella rozległe majątki w Irlandii i ponownie objął stanowisko lorda namiestnika Irlandii, które sprawował podczas rządów Karola I. Stał się najpotężniejszym człowiekiem w kraju. I oczywiście najważniejszym sojusznikiem Deverilla, ale równocześnie jego wiernym przyjacielem. Gdy Barton najbardziej go potrzebował, Ormonde go nie zawiódł. – Kto za tym stoi? – warknął. – Skróć ich o głowę, tak mi dopomóż Bóg!

– Tych, którzy przeżyli, zamknięto w stajniach. Może być pan pewien, że

książę dopilnuje, by za to zapłacili. To nie tylko rebelia przeciwko waszej lordowskiej mości, ale rewolta przeciwko królowi. Zostaną srogo ukarani.

– Muszą posłużyć za przykład – zapowiedział gniewnie Deverill. – Niech ludzie w Cork zobaczą, co ich czeka, gdy powstaną przeciwko angielskim lordom!

Kapitan potarł podbródek i zmarszczył brwi.

– Sercem spisku jest kobieta, lordzie Deverillu. Zostanie osądzona jako czarownica.

Twarz Bartona pobladła.

– Kobieta? – spytał powoli, ale od razu się domyślił, o kogo chodzi.

– Tak. Poganka o nazwisku O’Leary, lordzie. To ona rozpoczęła rebelię. Mężczyźni szybko oskarżyli ją, że rzuciła na nich czar. W końcu to była jej ziemia, nieprawdaż? Chodzą słuchy, że rzuciła klątwę na pana i pańskich potomków. Wiele osób było tego świadkiem.

Lord Deverill nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł temu zaprzeczyć, a każde słowo w obronie tej kobiety mogłoby przynieść efekt przeciwny do zamierzonego, zważywszy, co zaszło pomiędzy nimi w lesie. Przypomnił sobie jej twarz, która pojawiała się w jego marzeniach na jawie oraz nocnych koszmarach, i gwałtownie skinął głową.

– To prawda – musiał w końcu przyznać. Gorączkowo szukał jakiegoś sposobu, by jej pomóc, myśli tłukły mu się po głowie jak wiewiórki w klatce. Ale niczego nie wymyślił. Świadomość, że to ona wzniciła rebelię, oraz wściekłość z powodu zniszczonego domu i jej zdrady sprawiły, że zacisnęła szczęki. Nie miał prawa jej pomagać, nie miał prawa jej kochać. A jednak zalazła mu za skórę i wkradła się do jego serca jak przemyślna gąsienica, a potem przeobraziła się w pięknego motyla. Może to też były czary?

– Co się z nią stanie?

Kapitan skrzywił się, wzruszając ramionami.

– Zapewne skończy na stosie.

Na te słowa lord Deverill się wzdrygnął.

– Zapewne?

– Tak, to będzie decyzja księcia, przedstawiciela Jego Wysokości, i pańska.

– Doskonale – odparł lord Deverill z drżeniem, wiedząc, że nic na to nie może poradzić; nie było rozwiązania, które by ją ocaliło, jednocześnie nie pogrążając jego. – Pozostawię to Jego Księżęcej Wysokości. Nie chcę jej widzieć.

– Nie chciał, żeby ciskała w niego oskarżeniami, chociaż wątpił, by ktoś w nie uwierzył; wstydził się, że wziął ją wtedy w lesie.

– Była w ciąży, milordzie, bardzo zaawansowanej.

– W ciąży? – powtórzył lord Deverill, z wielkim wysiłkiem starając się zachować spokój w głosie. Ale przerażenie, które nagle ścisnęło mu żołądek, było tak potężne jak fizyczny cios.

– Tak, ale ją straciła – dodał kapitan. – Będzie teraz sądzona i niech Bóg ma w opiece jej duszę.

Lord Deverill zagryzł dolną wargę i przesunął językiem po miękkim wnętrzu, gdzie go ugryzła. Nadal zdawało mu się, że czuje krew. Myśl o zobaczeniu tej kobiety skrępowanej jak schwytane zwierzę, sprawiła, że ponownie się wzdrygnął. Bał się, nie tylko dlatego, że była czarownicą, ale ponieważ lękał się własnego serca i tego, do czego mogło go skłonić.

– Niech tak się stanie – powiedział i wyszedł z komnaty.

Rozdział 23

Beatrice na wiadomość o śmierci Digby'ego pogrążyła się w rozpacz. Już raz wiele lat temu udało jej się wyrwać z ciężkiej depresji, wiedziała jednak, że nie ma w sobie tyle wewnętrznych rezerw, żeby znów tego dokonać. Digby był jej sterem, żeglarzem, okrętem; gdy odszedł, życie stało się dzikim i pustym oceanem, który groził, że ją pochłonie. Wycofała się do sypialni i położyła do łóżka, gdzie pozostawała w półmroku, bojąc się stawić czoła światu, w którym nie było już jej męża. Wolałabym umrzeć, myślała posępnie, kuląc się pod kołdrą; czarna jak aksamit pokusa zapomnienia wzywała ją szeptem, obiecując błogi azyl w kompletnej ciszy.

Celia była zrozpaczona i oszołomiona wielką stratą, której doznała tak prędko po samobójstwie Archiego. Ojciec stanowił dla niej solidną opokę – odpowiedzialny, niewzruszony, zdawałoby się – nieśmiertelny. Nie wyobrażała sobie świata bez niego. Co teraz pocnie? Nigdy nie musiała sama sobie radzić. O wszystko troszczyli się mąż i ojciec. Nigdy nie zajmowała się rachunkami, nie rozmawiała z dyrektorem banku. Jeśli miała jakiś problem, ci dwaj mężczyźni rozwiązywali go za nią. Do kogo teraz może się zwrócić? Nie miała nikogo. Usiłowała gdzieś w głębi serca znaleźć wewnętrzną siłę, ale nie znajdowała niczego prócz słabości.

Boysie i Harry zabrali żony do Londynu, zdając sobie sprawę, że te dwie kobiety tylko by irytowały Celię. Rodzina potrzebowała być teraz razem. Celia objęła ich omdlewającymi ramionami i oblała strumieniami łez, obiecując, że zawiadomi o dacie pogrzebu. Stojąc samotnie na schodach, machała do nich, gdy taksówka odjeżdżała z podjazdu.

– Śmierć ściga Deverillów jak bezlitosny drapieżca – skwitował ponuro Boysie, kiedy drobna postać Celi robiła się coraz mniejsza, aż w końcu znikła, gdy samochód skręcił na drogę.

– Na to wygląda – odparł Harry.

– Rób wszystko, co w twojej mocy, żeby się jej wymknąć – dodał pod nosem Boysie.

– Jeśli tak nieugięty człowiek jak Digby dał się pokonać, jakąż my możemy mieć nadzieję?

Celia rozpacziała wraz z siostrami, Leoną i Vivien. Tragedia, jak to zwykle bywa, zbliżyła je do siebie. Siostry przeniosły się do Deverill Rising, żeby pomóc Celi opiekować się matką. Celia była im za to wdzięczna; załamanie nerwowe matki okazało się prawie tak samo szokujące jak śmierć ojca, i przyjęła z ulgą, że

nie musi radzić sobie z tym sama. Podczas następnego tygodnia siostry przypominały sobie z rozrzewnieniem czasy dzieciństwa i zalewały się na przemian łzami radości i smutku, wspominając ojca, jego pretensjonalne, często krzykliwe stroje oraz nieposkromioną energię. Digby należał do tych ludzi, dla których szklanka jest zawsze pełna. Wspominały również swojego brata George'a, który w dzieciństwie chodził za Harrym wokół Castle Deverill jak wierny pies, i tęskniły za tamtymi wakacjami w Ballinakelly, zanim wielka wojna i wojna o niepodległość zmiotły ten świat. Chodziły na długie spacerunki po wzgórzach Wiltshire, znajdując pocieszenie w łagodnym wdzięku natury i we wspomnieniach oraz siłę w sobie nawzajem.

Augusta nie umarła, czego wszyscy, a szczególnie ona sama, się obawiali. Zgodnie ze wspaniałą brytyjską tradycją zacisnęła szczęki, uniosła podbródek, nie pozwalając, by śmierć syna wpłynęła na jej zachowanie. Mężnie przyjmowała kondolencje, wiedząc, że jeśli ulegnie rozpaczce, może już nigdy się z niej nie otrząsnąć – i kurczowo trzymała się swojej religii, pokładając wiarę w Bogu i poddając się Jego woli.

– Akceptacja to jedyny sposób – powiedziała do Maud, która złożyła jej wizytę, gdy tylko usłyszała tę straszną wiadomość. – Następny będzie Stoke, jestem tego pewna. On nie może pogodzić się z odejściem Digby'ego, i w tym leży problem. A tylko poprzez pogodzenie się ze stratą można znaleźć spokój. Czas Digby'ego się skończył i Bóg wezwał go do siebie. Nie ma sensu z tym walczyć. Bóg go nam nie zwróci. Trzeba to zaakceptować, tu leży klucz.

Maud zawsze uważała Augustę za osobę wielce męczącą, ale teraz podziwiała jej życiową filozofię. Zastanawiała się jednak, czy w samotności starsza pani nie pozwala sobie na utratę kontroli. Czerwone obwódki wokół oczu, które można by uznać za oznaki podeszłego wieku, świadczyły, zdaniem Maud, że tak właśnie się dzieje.

*

Nabożeństwo pogrzebowe miało miejsce w wiejskim kościele odległym o kilka kilometrów od Deverill Rising. Była to mała, rodzinna uroczystość. Bertie, Kitty i Robert, Elspeth i Peter oraz Krzaczkowie przybyli z Irlandii, podczas gdy Augusta i Stoke, Maud i Victoria przyjechali z Londynu z Boysiem, Harrym oraz ich żonami. Dwaj bracia Digby'ego pojawili się z małżonkami oraz niektórymi z ich dziećmi, ale zazdrość, która wtoczyła truciznę do ich serc, gdy Digby dorobił się fortuny w Południowej Afryce, nadal uniemożliwiała rodzinne pojednanie, nawet w obliczu śmierci brata. Odjechali zaraz po ceremonii pogrzebowej.

Beatrice wzięli pod ramię jej dwaj silni zięciowie i zaprowadzili do kościoła. A potem od razu odwieziono ją do domu, gdzie znów położyła się do łóżka. Nie czuła się na siłach z kimkolwiek rozmawiać. Jeszcze jedno słowo współczucia

i załamała się jak krucha tratwa na fali. Łkając cicho w poduszkę, poddała się działaniu herbatki z konopi, które Kitty przywiozła z Irlandii, i pogrążyła się w świetle, gdzie panowała błoga cisza i spokój.

– Witaj, Maud. – Gdy rodzina zgromadziła się przed kościołem, Bertie podszedł do żony, z którą od dawna żył w separacji.

Maud uśmiechnęła się do niego ze współczuciem. Zauważył, że jej zwykle lodowato zimne oczy nieco odtajały od czasu, gdy spotkali się w święta.

– Jakże to przykre, że znów spotykamy się w tak smutnych okolicznościach.

– Ostatnio rzeczywiście mieliśmy ich sporo – odrzekł Bertie.

– Biedna Beatrice, jakże musi cierpieć! – Bertie był zaskoczony. Chyba pierwszy raz Maud nie myślała o sobie. – Pamiętam, jak straciła George'a. Nie sądziłam, że kiedykolwiek się z tego otrząśnie, ale w jakiś sposób udało jej się podźwignąć. Ale teraz obawiam się, że już się nie podniesie.

– To stało się tak nagle i niespodziewanie. Miał tylko sześćdziesiąt pięć lat.

Oczy Maud nagle zabłyśły i przesunął się w nich cień strachu. A może było to tylko odbicie chmury?

– Śmierć może przyjść do nas w każdej chwili. Nigdy wcześniej nie miałam takiego poczucia własnej śmiertelności. Jeśli Digby... – Zaparło jej dech. – Jeśli Digby, tak silny i potężny... Jeśli on... – Głos jej się załamał.

Bertie położył rękę na ramieniu żony. Nie odrzuciła jej, ale wpatrywała się w niego z życzliwością, która łagodziła jej ostre rysy.

– Trzeba cieszyć się każdym dniem, Maud – powiedział. Wstrząsnęło nim nagle wspomnienie, gdy sam był bliski rzucenia się w morze, a Digby na niego nakrzyczał, żeby wybrał pomiędzy życiem i śmiercią. – Digby ocalił mi kiedyś życie – wyznał cicho.

– Naprawdę?

– Gdyby nie Digby, utopiłbym się w butelce whisky.

– Och, Bertie... – Westchnęła gwałtownie.

– Wybrałem życie. Wziąłem się w garść. Przysiągłem, że już nigdy nie stracę ani dnia z czasu danego mi przez Boga.

Maud wytarła łzę rękawiczką.

– Zdziwiłeś mnie.

– Naprawdę? – Gwałtownie poprawił mu się nastrój; rzec by można, że był bliski szczęścia.

Skinęła głową.

– Naprawdę, Bertie. Bardzo się cieszę, że znów widzę mężczyznę, którego kiedyś poślubiłam.

– Czy naprawdę on odszedł aż tak daleko? – A gdy znów skinęła głową, dodał: – Być może uda nam się dojść do takiego momentu w życiu, gdy moglibyśmy sobie wybaczyć przeszłość – zaryzykował.

– Nie wiem – powiedziała, obawiając się zrobić krok w przeszłość, którą spowijały ciemności. – Być może.

Kitty przyglądała się rodzicom, którzy stali w słońcu pogrążeni w rozmowie, i ciekawa była, co też mają sobie do powiedzenia. Docierały do niej wieści, że Arthur Arlington nadal towarzyszy matce w niekończącym się korowodzie londyńskich przyjęć.

– Wracamy do domu na herbatę – oznajmiła Hazel, poklepując Kitty po ramieniu. – Pójdiesz z nami?

– Przydałoby się coś mocniejszego niż herbata. – Kitty poszukała wzrokiem Roberta. Dostrzegła, że rozmawia z Bruce'em i Tarquinem. Podejrzewała, że skorzysta z okazji, żeby się z nimi zabrać. – Poczekam na Harry'ego i Boysiego – zawiadomiła. – Odprowadzę was do taksówki.

– Pamiętacie herbatkę z konopi Adeline? – spytała Laurel, gdy szły ścieżką.

– Oczywiście! – odpowiedziała Hazel.

– Czy nie bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy raczyli się nią przez cały czas? – rzuciła Laurel.

– Życie przeszłoby obok nas – stwierdziła Kitty. – Czasem byłoby to przyjemne, ale jednak myślę, że cierpienie uszlachetnia. Zmusza do refleksji, uczy współczucia dla innych. Bylibyśmy samolubni, gdybyśmy nie doświadczali smutku.

Hazel zmarszczyła brwi.

– Mówisz jak Adeline.

Kitty się uśmiechnęła.

– Doprawdy? – Patrzyła, jak Krzaczki wsuwają się na tylne siedzenie taksówki. – Ona tu jest – oświadczyła z pewnością w głosie. – Jestem pewna, że dopilnowała, by Digby odnalazł drogę do domu.

Celia przyglądała się odjeżdżającej taksówce, a potem przesunęła wzrokiem po poważnych twarzach okolicznych mieszkańców, którzy przyszli złożyć hołd zmarłemu. Mężczyźni stali z kapeluszami w dłoniach, podczas gdy kobiety, niektóre z małymi dziećmi, rozglądały się ze współczującymi minami. Wśród nich był stary mężczyzna, który przykuł jej uwagę, choćby ze względu na to, że nie zdjął kapelusza. Na jego wymizerowanej twarzy nie widać było śladu współczucia ani smutku; malował się na niej zimny, wyzywający wyraz, który uraził Celię. Mężczyzna zauważył, że go obserwuje, i pogardliwie zmrugał oczy. Patrzył prosto na nią, jakby zamierzał ją przestraszyć. Zszokowana i oszołomiona bijącą od niego złością Celia raptownie się odwróciła i poszła szukać Boysiego i Harry'ego. A gdy ich znalazła, szybko zapomniała o nieprzyjemnym osobniku.

Celia, nawet pogrążona w autentycznym bólu, nie omieszkła dopilnować, by Charlotte i Deirdre pojechały z Maud i Augustą. Wracała więc do domu w towarzystwie dwojga swoich ulubionych przyjaciół.

– Wiecie, jakie były ostatnie słowa taty? – spytała ze wzrokiem utkwionym w swoje czarne rękawiczki, gdy samochód podskakiwał na wybojach. Mężczyźni pokręcili głowami. – Spal moje listy – rzekła uroczyście. – To były jego ostatnie słowa. To mnie nurtuje... Myślicie, że miał kochankę? To znaczy, byłabym naiwna, uważając, że od czasu do czasu nie robił jakiegoś skoku w bok, ale czy sądzicie, że kochał kogoś innego?

Harry zerknął na Boysiego, ten jednak nie zamierzał pogłębiać nieszczęścia Celi i mówić, co mu chodzi po głowie.

– Nie, nie wyobrażam sobie, by tak było – powiedział. – Kochał twoją mamę. To się rzucało w oczy.

– Mam nadzieję, że masz rację.

– Zamierzasz je spalić? – chciał wiedzieć Harry.

– Nie wiem, gdzie są. – Roześmiała się bezradnie.

– Zaczynj od przeszukania jego gabinetu.

– Nawet jeśli miał sejf, to nie znam szyfru. A nie chcę się włamywać. – Westchnęła. – Gdybyście mieli ukryć listy miłosne, gdzie byście je schowali? – Popatrzyła na Boysiego, a potem na Harry'ego i na moment wydało jej się, że świat stanął w miejscu. Widząc tych dwóch młodych mężczyzn jakby z dystansu, ze świeżej perspektywy, doznała nagłego olśnienia. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Przecież to oczywiste! Harry kochał Boysiego, a ponieważ byli nierozłączni – Boysie odwzajemniał to uczucie. Prawdopodobnie zawsze tak było. Nagle wszystko nabrało sensu. Zręczliwość Charlotte, miesiące, gdy Harry i Boysie się nie widywali, fakt, że Boysie nie skorzystał z zaproszenia do Castle Deverill i przestał przychodzić do salonu jej matki. Razem bardziej wyglądali na parę niż ze swoimi żonami. Spuściła wzrok, obawiając się, że zauważą, iż się zorientowała, i będzie im wstyd. Ale nie mieli się czego bać. Przecież kochała ich bardziej niż ktokolwiek na świecie.

– Nie odpowiadajcie – poprosiła pospiesznie, energicznie kręcąc głową. – To głupie pytanie. Gdzie można coś schować? W dolnej szufladzie? Za książką w bibliotece? Naprawdę, mogą być wszędzie. Zacznę od oczywistych miejsc. Przekopię ten gabinet centymetr po centymetrze. – Przycisnęła rękę do ust i zamknęła oczy. – Och, jak mi go brakuje.

Boysie i Harry objęli ją i mocno uścisnęli.

– Oczywiście, kochanie – zrozumiał Harry. – Ale nie jesteś sama.

– O Boże, nigdy! – przyłączył się Boysie. – Nigdy nie będziesz sama. Zawsze będziesz miała nas.

*

Po pogrzebie Celia zostawiła matkę pod opieką sióstr, a sama wróciła do Londynu z Boysiem i Harrym. Ostatnie słowa jej ojca były wypowiedziane

z wyraźnym naciskiem. Spoczywała na niej odpowiedzialność, żeby wypełnić jego ostatnie życzenie.

Dziwnie się czuła w domu sama. Słyszała uspokajający szum samochodów sunących po Kensington High Street, przekomarzania służby zamieszkującej górne piętro oraz pokoiki ukryte za obitymi zielonym sukniem drzwiami. Światło ulicznych lamp oblewało ulicę za oknem gabinetu ojca bursztynową poświatą, która w jakiś sposób dodawała jej otuchy. Zasuwała zasłony. Mogła wyczuć słodkawą woń cygar, bogaty aromat whisky oraz stęchły zapach papierów, atramentu i książek. A może tylko wyobrażała sobie te zapachy, ponieważ tak bardzo chciała czuć obecność ojca?

Opadła na skórzany fotel i powiodła wzrokiem po biurku. Digby nie był pedantem. Książki, dokumenty, gazety i notatki leżały w nieładzie na blacie. Widać, że Digby robił zapiski, gdzie popadło. Podniosła list, który ostatnio pisał, i przesunęła po nim palcami. Miał ekstrawagancki charakter pisma, przypominający artystyczną kaligrafię. Wstrzymała oddech, lękając się, czy to nie list miłosny, ale zawierał tylko podziękowanie dla lady Fitzherbert za przyjęcie, w którym uczestniczył. Westchnęła bezradnie. Szuflady, szafki, biblioteczki – wszystko nosiło ślady życia jej ojca. Od czego tu zacząć?

Pomału, skrupulatnie, zaczęła przetrząsać szuflady. Nikt ich nie porządkował. Uśmiechnęła się, przypominając sobie nieustanne utarczki ojca z matką. Nie chciał, żeby służba dokonywała inwazji na jego prywatne pokoje, ale Beatrice upierała się, że przynajmniej od czasu do czasu należałoby je odkurzyć. „W końcu będzie tam śmierdzieć jak w klatce chomika” – przewidywała, na co on odparł: „Moja droga, chomiki nie palą cygar ani nie piją whisky, a ja nie mam nic przeciwko odrobinie kurzu”.

Początkowo Celia skrupulatnie brała wszystko do ręki i oglądała. Z każdym przedmiotem musiała się wiązać jakaś anegdota, której nigdy nie słyszała, rozmyślała, przesuując palcem po powierzchniach. Ciekawe, skąd ojciec miał te drobiazgi i co dla niego znaczyły. Stare monety, pióra, wizytówki, dokumenty podróży, plany gonitw konnych, menu i inne pamiątki, wszystko razem pomieszane. W końcu straciła cierpliwość i wyrzuciła zawartość szuflad na dywan.

Nie było tu listów. Być może ukrył je w jakimś specjalnym miejscu. Jeśli ona nie znajdzie tych listów, jej matce też się to nie uda. Poczowała ulgę; nie chciała czytać listów miłosnych od jakichś kochanek. Oczywiście podejrzewała, że miewał kochanki, a na pewno wielbicielki. W końcu był bogatym, atrakcyjnym mężczyzną, który spotykał się z bywalczykami salonów i aktorkami oraz kobietami o wątpliwej reputacji, a więc byłoby dziwne, gdyby któraś nie wpadła mu w oko. Ale to męskie sprawy. Lepiej o nich nie wiedzieć. Pragnęła go zapamiętać jako dobrego męża swej matki. Nie chciała, by cokolwiek zmieniło jej opinię na ten temat.

Celia zabrała się do szafek bibliotecznych. Przeglądając stosy albumów wypełnionych starymi fotografiami w sepii, bardzo silnie czuła obecność ojca. Znajdowały się tam jego zdjęcia z młodości: siedzącego na wielbłądzie w kapeluszu panama, z safari w Afryce, na wyścigach w Ascot w cylindrze i fraku, stojącego przed Tadź Mahal i piramidami w Gizie. Wyglądał nieodmiennie na pełnego werwy i fantazji, z nieodłącznym łobuzerskim uśmiechem na twarzy i szelmowskim błyskiem w oczach. Celia obejrzała też kilka fotografii jego starszych braci, ale prawie ich nie знаła. Babcia Augusta była wtedy zaskakująco piękną kobietą, lecz dziadek Stoke wcale się nie zmienił. Nawet jego sumiaste wąsy wyglądały tak samo. Przypatrywała się dłużej zdjęciom ojca. Zawsze był wesoły, jakby ten świat nieodmiennie go bawił.

Gdy już cały dywan zaścieliły rozmaite szpargały, nie wiedziała, gdzie dalej szukać. Zerknęła na kominkowy zegar. Dochodziła północ. Zaczynała odczuwać zmęczenie. Ale bała się spać sama w tym wielkim domu; pomimo obecności służby na górze wiedziała, że będzie czuwać niespokojnie jak mysz pod miotłą. W domu panował dziwny ponury nastrój, jakby wszystko wokół rozumiało, że jego pan odszedł, i nie bardzo wiedziało, czemu ma służyć. Żałowała, że nie poprosiła Boysiego lub Harry'ego, żeby z nią został.

Znużona stała pośrodku gabinetu, obrzucając wzrokiem pokój w poszukiwaniu sekretnego miejsca, gdzie ojciec mógłby skutecznie ukryć listy. Nie natrafiła jeszcze na sejf, na razie przetrząsnęła wszystkie szuflady. Wtedy jej oczy spoczęły na półkach z książkami, których jej ojciec nie czytał; stanowiło rodzinną tajemnicę, że w życiu nie przeczytał żadnej książki. Dlaczego stało ich tu tak wiele? Nagle wydało jej się to dziwne. Coś zaświtało jej w głowie. Podeszła do półek i zaczęła wyciągać książki i rzucać je na podłogę. Upadały z łoskotem u jej stóp, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Wtedy go znalazła. Sejf ukryty był w ścianie za rzędem niewinnie wyglądających książek. Podekscytowanie dodało jej energii, zmęczenie się ulotniło. Znalezienie klucza nie trwało długo. Leżał w popielniczce wśród rozmaitych monet, grzybków do golfa i spinaczy. W sejfie znalazła trzy listy leżące na wierzchu, na innych dokumentach.

Z walącym sercem usiadła przy kominku w fotelu, w którym zwykł siadywać ojciec i czytać dokumenty, zaczerpnęła tchu i wyjęła pierwszy list z koperty. Gdy zaczęła czytać, głos ojca powrócił do niej wraz z falą poczucia winy. Powiedział przecież, żeby je spaliła; nie kazał jej ich czytać. Ale, przekonywała się w duchu, tego jej nie zabronił. Po chwili wahania ciekawość przewyciężyła wewnętrzny opór i przesunęła wzrokiem po kartce papieru.

Najbardziej obawiała się jakichś cikliwych wyznań, ale teraz, czytając te okropne słowa, wołałaby, żeby to były listy miłosne. Serce opadło jej do żołądka, krew odpłynęła z twarzy. Podłoga zdawała się umykać spod jej stóp, gdy wyciągnęła listy z pozostałych dwóch kopert i pospiesznie je przeczytała. Jakże

teraz żałowała, że nie zrobiła tego, o co poprosił ją ojciec, i od razu ich nie spaliła. Czyż nie uczono jej, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła? Już nigdy nie zapomni ich treści. Czowała się skażona trucizną zawartą w tych słowach. Jakby rzucono na nią klątwę. Pozostawało jej tylko jedno.

Pospiesznie, jakby listy mogły ożyć, nagle stąd uciec i wystawić się na widok publiczny, zmięła je w ciasne kulki i cisnęła na palenisko. Na kominku znalazła zapalki i potarła jedną o draskę. Podpaliła papier i przyglądała się płonącemu małemu ognisku. Płomienie strawiły papier, aż pozostał tylko popiół, który zmieszał się z jakimiś wygasłymi resztkami.

Aurelius Dupree. Nigdy więcej nie chciała usłyszeć tego nazwiska.

Rozdział 24

Londyn stracił swoje najjaśniejsze i najsilniejsze światło – napisał Viscount Castlerosse na szpaltach „Expressu”.

Sir Digby Deverill był jednym z moich najdroższych przyjaciół i jego nagła śmierć na atak serca wywołała szok na salonach londyńskiej elity, ponieważ wszyscy wierzyliśmy, że jest nieśmiertelny. Nic dziwnego, że w nabożeństwie żałobnym za jego duszę uczestniczyła śmietanka towarzyska oraz królowe filmu i teatru. Hrabia Baldwin z Bewdley, który jak szeptano, próbował wciągnąć ekstrawaganckiego i popularnego sir Digby’ego do polityki, siedział obok Winstona Churchilla, hrabiego Birkenhead i lorda Beaverbrooka, założyciela niniejszego pisma, oraz uroczej Betty Balfour i Madeleine Carroll, które dodały splendoru srebrnego ekranu tej posępnej uroczystości w Mayfair i przypomniały nam, że sieć towarzyska sir Digby’ego była zarzucona daleko i szeroko. Król wysłał swego przedstawiciela, ponieważ sir Digby był popularną postacią w świecie wyścigów konnych. Z tego, co słyszałem, kupił kiedyś ogiera z królewskiej stajni za zawyżoną cenę, którą to przysługę król zapamiętał. Nie zaskoczył mnie widok kilku randlordów, wśród nich przyjaciela i sąsiada, sir Abego Baileya, który gawędził, bez wątpienia o sztuce, z estetą Boysiem Bancroftem, jednym z naszych luminarzy w Christie’s; mówi się, że kolekcja sir Abego nie ma sobie równych. Czarny żałobny strój nie umniejszał promiennej urody markizy Londonderry, która przybyła na tę uroczystość w towarzystwie syna, lorda Castlereagh. Ale nic nie przyćmiewało tragicznej piękności najmłodszej córki zmarłego, niedawno owdowiałej pani Celi Mayberry. Niewypowiedziane pytanie cisnęło się na usta wszystkich: czy zamierza sprzedać zamek?

– To niedorzeczne! – Parsknęła Maud, składając gazetę. – Nic jej nie skłoni do sprzedaży zamku.

– Planuje sprzedać wyposażenie – poinformował ją Harry, mieszając mleczko w kawie.

– To nie to samo co zamek. Viscount Castlerosse powinien zająć się pisaniem powieści, byłby w tym o wiele lepszy. Naprawdę sprzedaż zamku była wczoraj ostatnią sprawą, która by nas wszystkich nurtowała.

– Jestem pewien, że Digby w testamencie zostawił Celi dość na pokrycie długów – rzekł optymistycznym tonem Harry.

– Archie zostawił Celię w okropnej sytuacji. Wyobraź sobie, zrobić żonie coś takiego! Co za hańba! – Uśmiechnęła się do syna. Wizyty Harry’ego znacznie poprawiały jej nastrój. Jesień, ze swymi silnymi wiatrami, opadającymi liśćmi oraz

gęstym smogiem, zawsze przyprawiała ją o melancholię. – Co Celia zamierza robić?

– Myślę, że spędzi trochę czasu w Londynie. Przynajmniej do otwarcia testamentu, gdy już będzie wiedzieć, na czym stoi. Niania przyjeżdża z dziećmi. Beatrice...

– Beatrice... – podjęła Maud, zaciskając purpurowe usta. – Beatrice kompletnie się rozsypała. Powinna pamiętać, że ma rodzinę, która jej potrzebuje. Na pewno jest teraz bardzo potrzebna Celi, ponieważ jej siostry są całkowicie bezużyteczne, zresztą nigdy nie były ze sobą blisko. Ale ty ją wspierasz, prawda, Harry? Jestem pewna, że przynosisz jej pociechę.

– Beatrice wróciła do Deverill Rising – wyjaśnił Harry. – Nie chce nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać.

– Musi lepiej się odżywiać. Została z niej połowa kobiety, którą była latem.

– Pograżyła się w rozpacz, mamó. Ale pewien jestem, że to minie.

– Naturalnie, że tak. Wyjdzie z tego. My, Deverillowie, jesteśmy twardzi.

– Musimy.

– Nikt nie wie tego lepiej niż ja, Harry. To, przez co przeszłam, powaliłoby większość kobiet. Ale ja jestem ulepiona z mocniejszej gliny. – Harry zastanawiał się, przez co dokładnie przeszła, prócz drobnych skandali oraz sprzedaży zamku, którego zresztą nigdy nie lubiła. Jednak nie oponował. Miał dość rozsądku, żeby nie spierać się z matką. – Przy życiu trzyma mnie tylko wiara, dzieci oraz pewność, że zawsze robiłam, co w mojej mocy, żeby postępować jak najlepiej.

Harry rozejrzał się po wytwornym salonie, gdzie wyraźnie nie oszczędzono kosztów na wystrój, i postanowił zmienić temat rozmowy.

– Pięknie urządziłaś ten dom, mamó.

– To prawda, ale muszę przyznać, że czuję się samotna. Tylko ty jesteś dla mnie pocieszeniem, Harry. Ty, Charlotte i wasze urocze dzieci. Ale niczego nie żałuję. Niczego. – Uśmiechnęła się znów do niego, a bijąca z niej satysfakcja sprawiła, że Harry poczuł się niezręcznie. – Napawasz mnie dumą, kochanie. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego syna.

*

Celia z lekceważącym parsknięciem zamknęła gazetę. Ojciec powiedział jej przed śmiercią, by nie sprzedawała zamku. To miejsce znaczyło dla niego więcej, niż mogło się wydawać. Nie podda się więc bez walki.

Rozmyślała nad tym podczas nabożeństwa. Castlerosse nie zauważył mężczyzny w filcowym kapeluszu, który przyszedł bez zaproszenia i czaił się z tyłu kościoła, uważnie ich obserwując. Był to ten sam mężczyzna, który na pogrzebie wpatrywał się w nią z taką zajadłością. Celia go zauważyła. Nie miała pamięci do nazwisk, ale nigdy nie zapominała twarzy, a ta wynędzniała, szara

i pokryta plamami wryła jej się w pamięć jak cierń. Od tamtej pory widziała go kilka razy, gdy stał pod latarnią i obserwował jej dom. Przybycie na pogrzeb to jedno, ale uczestnictwo w nabożeństwie za duszę zmarłego to już była doprawdy bezczelność. Oczywiście, ten osobnik nie miał skrupułów. Nie on. Nie Aurelius Dupree.

Domyślała się, że chce zwrócić jej uwagę. Ale tego się nie doczeka! Jeśli go zignoruje, być może odejdzie.

Beatrice nie czuła się na siłach przybyć na odczytanie testamentu. Odbyło się ono w luksusowej kancelarii w dzielnicy St James's. Była obecna Celia oraz jej siostry Leona i Vivien z mężami Bruce'em i Tarquinem oraz Harry, którego Celia zaprosiła w zastępstwie Archiego. Nastrój był ponury i bardzo oficjalny. Pan Riswold, prawnik Digby'ego, nie był zwyczajnym pulchnym i dobrodusznym jegomościem, lecz kościstym, posępnym mężczyzną przypominającym grabarza. Usiadł na końcu stołu i otworzył teczkę. Po wymianie zwyczajowych uprzejmości wyjął z niej starannie ułożone papiery spięte klamrą i ostrożnie położył je przed sobą.

– Zaczniemy – zagaił, a rodzina czekała niecierpliwie, żeby usłyszeć, jak zmarły rozporządził swoim wielkim majątkiem.

Digby przekazał wszystko Beatrice, pozostawiając do jej uznania kwestię podziału pieniędzy i nieruchomości pomiędzy córki. Jak wyjaśnił pan Riswold, pieniądze sir Digby'ego były ryzykownie ulokowane – właśnie takiego określenia użył, spoglądając z lekką dezaprobatą na zgromadzonych – na giełdzie, która jak wszyscy tu obecni wiedzą, załamała się w zeszłym roku. Jeśli sir Digby by żył, pan Riswold był pewien, że z czasem odrobiłby straty, ale obecnie – w tym momencie małe krople potu zaczęły pojawiać się na jego czole – bardzo wiele stracił. Prawnik odchrząknął i unikając ich wzroku, wyłożył ponurą prawdę. Kłopoty finansowe Digby'ego były o wiele większe, niż mogli przypuszczać. Szczęście hazardzisty w końcu go opuściło.

– Jak powiemy o tym mamie? – spytała Leona z poszarzałą twarzą. Wchodzili do kancelarii z przeświadczeniem, że są bardzo bogaci, a dowiedzieli się, że ojciec nic im nie zostawił.

– Nie powiemy o tym mamie – zdecydowała Celia.

– Nie sędzę, żeby udało nam się ukryć przed nią tę informację, Celio – powiedziała Vivien. – Będziemy musieli sprzedać cały majątek, łącznie z Deverill House w Londynie i Deverill Rising w Wiltshire. Największe skarby taty... – Jej oczy zalśniły łzami. Tarquin przykrył rękę żony swoją dłonią i uściśnął dla pocieszenia.

– Mama w takim stanie jak obecnie nie zniesie wiadomości, że musi sprzedać domy – zauważyła Celia.

– Nie dramatyzujmy – wtrąciła Leona. – Jediną osobą, która będzie musiała

sprzedać dom, będziesz ty, Celio. Mama będzie borykać się ze splątą długów ojca, ponieważ tak niewiele walorów zostawił, ale to nie do porównania z twoimi długami.

Celia zeszywniała.

– Zdołam sama spłacić długi Archiego – odparowała ze złością, zdając sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie jest w stanie spłacić nawet połowy z nich.

– Nie kłóćmy się – zabrał głos Harry.

– Racja – zgodził się z nim Bruce. – Musimy przedyskutować sprawę spokojnie jak jedna drużyna. – Starannie przyszyżone brązowe wąsy Bruce’a zadrgały, gdy jego umysł ukształtowany wieloletnią służbą w armii przystępował do układania kolejnej strategii.

– Celia ma rację – rzekł Tarquin, który służył w wojsku równie długo jak jego szwagier i obmyślanie planów i taktyki ekscytowało go w takim samym stopniu. – Nie ma sensu denerwować Beatrice. W tej chwili jest bardzo słaba i takie wiadomości mogą ją dobić. Sugeruję, byśmy dokładnie obliczyli wysokość zadłużenia, a potem skalkulujemy, ile pozostaje na prowadzenie obu domów.

– Z przerażeniem myślę, ile one kosztują – powiedziała Celia. – Wiem, ile wydaję w Castle Deverill.

– Nie rozmawiamy o Castle Deverill – narzuciła Leona, podnosząc nieco głos. Vivien rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, ale Leona i tak kontynuowała. – Gdyby tata nie roztrwonił majątku na twój głupi zamek, nie znaleźlibyśmy się w takiej oplakanej sytuacji.

– Leono, to nie fair – przerwała jej Vivien. – Castle Deverill to było marzenie taty.

– Które przerodziło się w koszmar, nieprawdaż?

– Proszę, nie kłóćmy się – poprosił znowu Harry. Jeśli komuś miałyby być przykro z powodu Castle Deverill, to raczej jemu. A tymczasem wcale mu nie było.

– Nigdy nie lubiłam tego zamku. Był zimny, wilgotny i o wiele za duży – stwierdziła Leona. – W dodatku ty przerobiłaś go na pałac. A on nigdy nie był pałacem. Adeline i Hubert na pewno przewracają się w grobach.

– Leono, dosyć! – odezwał się jej mąż takim tonem, jakiego użyłby wobec niesubordynowanego podchorążego. – Myślmy pozytywnie. Nie ma co rozwodzić się nad przeszłością. Digby miał wszelkie prawo wydawać swoje pieniądze, na co tylko chciał. To on je zarobił.

– I roztrwonił – odpowiedziała z goryczą Leona.

– Musimy opracować strategię. – Bruce zwrócił się do ponurego prawnika, który z uwagą obserwował, jak napięcie w pokoju narasta. – Panie Riswold, jest pan zorientowany w sprawach Digby’ego znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas, a więc może nam pan coś doradzi.

Prawnik wyprostował się, polizał palec wskazujący i przerzucił kolejne

strony dokumentów.

– Spodziewałem się takiej reakcji, a więc pozwoliłem sobie opracować dla państwa plan działania... – Celia od razu się zorientowała, że jej ojciec wybrał tego chudego pedantycznego mężczyznę do prowadzenia swoich spraw ze względu na jego opanowanie w trudnych sytuacjach. – Proszę przygotować się na najgorsze – ostrzegł złowieszczo, a jego klienci doznali przyprawiającego o zawrót głowy wrażenia, że spadają w kierunku nieuchronnej biedy.

Kiedy Celia wróciła do Deverill House, kamerdyner podał jej list na tacy. Natychmiast rozpoznała charakter pisma i pobladła. Na kopercie nie było znaczka.

– Pewien dżentelmen dostarczył to dzisiaj po południu – wyjaśnił kamerdyner.

Na myśl o Aureliusie Dupree dzwoniącym do jej drzwi poczuła dreszcz, jakby oblażło ją tysiące lodowato zimnych mrówek. Opanowała się i spokojnie podziękowała kamerdynerowi, a potem poszła do gabinetu ojca, trzęsącymi się rękami wrzuciła list do kominka i zrobiła z nim to samo, co z innymi: spaliła. Miała nadzieję, że w ten sposób problem zniknie.

Mogła zrobić tylko jedno – wrócić do Castle Deverill. Może Dupree jej tam nie znajdzie. Nazajutrz rano oświadczyła kamerdynerowi, że udaje się do Irlandii, a jeśli ten mężczyzna znów się pojawi – z listem lub bez – ma mu powiedzieć, że wyjechała na dobre, a więc dalsza korespondencja nie ma sensu. Oby tylko nie pojechał do Deverill Rising nękać jej matkę. Jeśli Beatrice pozna treść tych listów, skończy się to następnym pogrzebem...

*

Adeline z troską obserwowała powrót Celi do domu. Wyczuwała jej strach i determinację do zagłębienia się we własne wnętrze w poszukiwaniu siły, a nie miała przekonania, czy Celia ją posiada. Celia czuła się przez wszystkich opuszczona. Co prawda, był Bertie w Hunting Lodge i Kitty w White House, ale nigdy nie zaznała takiego osamotnienia. Adeline głęboko jej współczuła. Ale nie potrafiła jej pocieszyć. Archie i Digby odeszli, a to, że nadal ich duchy ją otaczały, nie miało dla Celi znaczenia, ponieważ nie wyczuwała ich obecności.

– Zazdroszczę takim ludziom jak Digby – wyznał Barton, z trudem wstając z fotela i dołączając do Adeline stojącej przy oknie. – Należy do tych szczęśliwych Deverillów.

– Jeśli masz na myśli to, że może sobie przychodzić i odchodzić wedle życzenia, to zgoda – powiedziała Adeline, której zdarzało się tracić cierpliwość wśród tych zręczliwych duchów. – Ale szczęście mu nie dopisało, skoro odszedł tak szybko. O wiele za wcześnie. Miał jeszcze mnóstwo do zrobienia w ziemskim życiu.

– Czy nie dotyczy to nas wszystkich, Adeline? – rzucił w odpowiedzi

Barton. Westchnął i przyglądał się, jak Celia energicznym krokiem wchodzi do zamku, pozostawiając bagaże służbie, a dzieci pod opieką niani. – Nie po raz pierwszy zamek musiał zostać odbudowany – dodał.

– Ach, tak? – zaciekawiała się Adeline.

– Już kiedyś został spalony.

– W twoich czasach?

Skinął głową.

– Za mojego życia. Historia lubi się powtarzać. Ludzie z Ballinakelly zbuntowali się przeciwko mnie i podpaliли zamek. Zostałem wezwany z Londynu, żeby go bronić. Nie ma nic gorszego, niż widzieć na horyzoncie łuny płomieni nad własnym domem. Wielkie palenisko jak w kuźni u samego Stwórcy. Tak to wyglądało. Bardzo podobnie do tego pożaru wznieconego przez rebeliantów, w którym zginął Hubert.

– Zamku nie podpaliли rebelianci – obruszyła się Adeline. – To była sprawa osobista.

– Miłość i nienawiść idą w parze – skwitował głosem nabrzmiałym żalem.

Adeline spojrzała na niego zaintrygowana. Twarz Bartona wyrażała ból, usta miał wykrzywione z powodu wyrzutów sumienia.

– Co ty zrobiłeś, Bartonie? – zapytała cicho.

Wpatrywał się w coś za oknem. Adeline przypuszczała, że widzi tam twarz kobiety, ponieważ tylko głęboko zakochany mężczyzna mógł mieć takie spojrzenie.

– Zrobiłem coś niewybaczalnego – wyznał. – A jednocześnie nieuniknionego.

– Komu?

Pokręcił głową i zamknął oczy. Przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat utrzymywał ten sekret ukryty bezpiecznie w sercu. Ledwie sam ośmielał się stawić mu czoła. Teraz przy Adeline, jaśniejącej tak oślepiająco jasnym światłem, chciał uwolnić się od swego ciężaru. Chciał uwolnić się od poczucia winy, od ciemności, która spowijała go jak całun, od nieznośnego towarzyszącego mu cienia. Chciał przyjąć trochę bijącego od niej światła.

– Kochałem Maggie O’Leary – wyjął tak cichym głosem, że Adeline nie była pewna, czy go dobrze usłyszała.

– Kochałeś kobietę, która rzuciła klątwę na ciebie i twoich potomków? – Adeline raptownie złapała powietrze. – Tę samą kobietę, która skazała cię na niekończącą się otchłań?

– Tak, kochałem ją. – Te słowa wypłynęły z niego jak trujący jad z rany. – Kochałem ją do głębi serca.

– Czegoś tu nie rozumiem. Skoro ją kochałeś, dlaczego nie zdjęła klątwy?

Odwrócił się do niej, pokręcił głową i tylko uśmiechnął się nikłym,

bezradnym uśmiechem.

*

Celia nigdy nie czuła się taka samotna jak teraz. Pomimo zamku pełnego służby oraz mnóstwa duchów na korytarzach czuła się odizolowana, porzucona i rozpaczliwie zagubiona. Ledwie mogła spojrzeć służącym w oczy, wiedząc, że wkrótce będzie musiała ich zwolnić. Zwijiała się w łóżku w kłębek, dotkliwie czując nieobecność męża. Jego strona materaca wydawała się tak pusta i zimna, że nawet nie chciała jej dotknąć, udając w ten sposób, że nie zauważa tego chłodu. Łzy wsiąkały w poduszkę, aż poszewka całkiem zamokła. Czuła się jak kukielka z gałganków, której odcięto sznurki. Lalkarz pozostawił ją samej sobie. Ale ona nie pragnęła niezależności, która niosła ze sobą niepewność. Potrzebowała bezpieczeństwa tamtych dni, gdy razem z Archiem kupowali we Włoszech meble i obrazy. Zanim pieniądze się skończyły, zanim Archie popełnił samobójstwo, zanim ojciec zmarł na atak serca – zanim wszystko potoczyło się tak okropnie. Zaciskała mocno powieki i się modliła. Bóg był ostatnią deską ratunku, tylko na Niego mogła liczyć, ufając, że Go nie obraziła. Ale czyż Bóg nie jest miłosierny?

Następnego dnia poszła do Kitty. Potrzebowała towarzystwa kogoś, kto ją rozumiał; kogoś, kto nie krytykował jej tak jak Leona i kto tyle samo wycierpiał. Kitty potrafi prawdziwie jej współczuć w tak trudnym położeniu.

Zastała przyjaciółkę siedzącą przy okrągłym stole blisko okna i pakującą prezenty świąteczne. Celia pomyślała, że minęły wieki, odkąd urządziła święta. Jej mąż i ojciec żyli. Czuła się cudownie uprzywilejowana, wręcz pobłogosławiona. Teraz doceniała tamto szczęście jak nigdy przedtem. Tak bywa, że dopiero utrata czegoś sprawia, że docenia się wartość tego, co się straciło.

Kitty, ujrawszy Celię stojącą w drzwiach, taką kruchą i opuszczoną, podniosła się i podeszła do niej z wyciągniętymi ramionami i wyrazem współczucia na twarzy. Słowa były zbędne między tak bliskimi sobie kuzynkami. Kitty objęła Celię i mocno uściskała. Celia dała upust rozpacz i zaczęła głośno łkać na ramieniu przyjaciółki. Kitty, która lepiej niż większość знаła cierpienie, pozwoliła jej do woli się wypłakać, szepcząc słowa współczucia i pocieszenia. Wiedziała, że czas stępi ból – w końcu przestanie rwać i palić, a Celia przyzwyczai się do ustawicznego żalu w sercu, który stanie się jego immanentną częścią jak samo bicie, i ledwie go będzie zauważać. Ale ból będzie w nim już zawsze i w spokojnych chwilach, sam na sam ze swoimi myślami, gdy uwolni głowę od codziennych kłopotów, ten ból wychynie z jej podświadomości i o sobie przypomni. Kitty zamknęła oczy, starając się nie dopuścić, aby twarz Jacka wynurzyła się na powierzchnię, co zdarzało się bez ostrzeżenia. Poczucie swojej straty będzie nieść aż po grób.

Usiadły przy kominku. Celia zwierzyła się Kitty, że Digby stracił wszystko

na giełdzie. Opowiedziała także o rozżaleniu Leony i o tym, jak Vivien próbowała stawać w jej obronie. Podzieliła się swoimi spostrzeżeniami na temat Harry'ego i Boysiego, i była zaskoczona, gdy Kitty wyznała, że wie o ich związku od lat. Opowiedziała o swojej samotności i bólu, ale nie pisnęła ani słowa o Aureliusie Dupree. Nikomu, nawet Kitty, nigdy nie powie o jego istnieniu.

Na początku stycznia Celia otrzymała kolejny list. Doręczono go osobiście i służący przyniósł go na srebrnej tacy pewnego popołudnia, gdy słońce z wolna tonęło w morzu. Od razu lodowaty strach chwycił ją za gardło. Aurelius Dupree był w Irlandii! Przyjechał za nią tutaj, do Castle Deverill! Zaatakował jej fortecę. Nie ośmieliła się otworzyć listu. Nie chciała czytać niczego więcej o ojcu i wydarzeniach, które miały miejsce w Południowej Afryce. To wszystko kłamstwa. Wiedziała, że jej ojciec nie zrobiłby nikomu krzywdy ani nikogo by nie oszukał. Nikczemne kłamstwa! Wrzuciła list do ognia, ale tym razem wiedziała, że niezależnie od tego, ile papieru pochłona płomienie, znajdujące się na nim informacje nie zostaną spopielone, dopóki Aurelius Dupree żyje.

Wiedziała również, że jest kwestią czasu, gdy Aurelius Dupree zapuka do drzwi jej zamku, a ona będzie musiała wpuścić go do środka.

Rozdział 25

Celia, by oderwać się od zmartwień, spędzała mnóstwo czasu z Kitty. Córka Kitty, Florence, bawiła się z jej córką, Connie, tak samo jak kiedyś ona z Kitty. JP był już za duży, żeby interesować się małymi dziećmi. Teraz był niesfornym dziewięciolatkiem, równie sprawnym w siodle, jak i w szkole, a do tego bardzo urodziwym. Wyglądało na to, że odziedziczył najlepsze cechy Deverillów – przeszywające spojrzenie szarych oczu, inteligentny wyraz twarzy, poczucie humoru i urok osobisty. Nikt nie interesował się cechami, które odziedziczył po matce.

Kitty starała się trzymać go jak najdalej od Ballinakelly z obawy, że wpadnie na Michaela Doyle'a, tego brutala i oszusta, znanego teraz wszystkim jako „Papież”. Widziała go tylko raz, przez okno samochodu w drodze do kościoła, i specjalnie odwróciła głowę, żeby nie skrzyżować z nim spojrzenia. Była zdeterminowana, żeby JP nie miał z nim kontaktu. Chłopiec był Deverillem, po pierwsze i przede wszystkim – a po drugie Trenchem. Bridie dokonała wyboru i rozpoczęła nowe życie w Ameryce. Wątpliwe, żeby kiedykolwiek tu wróciła. JP modlił się za swoją mamę, która jak wierzył, przebywała w niebie, ale były to modlitwy pospieszne i zdawkowe. To Kitty była dla niego prawdziwą matką i nie odczuwał nieobecności tamtej. Miał dwóch ojców, Roberta, na co dzień obecnego w domu, i Bertiego, którego często odwiedzał w Hunting Lodge. Z biegiem czasu stawali się sobie z Bertiem coraz bliżsi. Obydwaj mieli podobne pasje: łowienie ryb, polowanie, grę w tenisa i krokieta, majsterkowanie w szopie Bertiego oraz gry słowne, którym oddawali się przed kominkiem podczas podwieczorku. Kitty była przekonana, że Doyle'owie nie mogą mu nic zaoferować, czego by nie miał.

Bertie i JP na strychu Hunting Lodge, w pomieszczeniu, które kiedyś było składzikiem, zbudowali ogromną makietę kolejki. Zajmowała powierzchnię wielkiego blatu opartego na kobyłkach. Były tam zielone wzgórza z pasącymi się owieczkami, tunele, mosty, jeziora, maleńkie domki i zabudowania gospodarcze. Zbudowali też prawdziwą stację z sygnalizacją, zwrotnicami i przejściem dla pieszych. Po jeziorze płynęła nawet łódka, a w niej człowieczek z wędką i rybą na haczyku. Bardziej wyszukane elementy, które były niedostępne w Dublinie, Bertie sprowadził z Londynu. Sklep z artykułami żelaznymi w Ballinakelly był dobrze zaopatrzone w podstawowe materiały, takie jak klej, farby, drewno czy karton. Pewnego szczególnie mokrego styczniowego dnia Bertie i JP, pochłonięci pomysłem budowy makiety zamku wraz ze szklarniami i kompleksem stajni, zdecydowali się pojechać do Ballinakelly po materiały niezbędne do zrealizowania

tego ambitnego projektu.

Gęste chmury nadciągały znad morza, popędzane silnym wschodnim wiatrem, którego lodowate podmuchy smagały nadmorskie klify i gwizdały w kominach. Bertie siedział za kierownicą granatowego forda T obok syna i z lubością myślał o nowym projekcie; wspólna praca nad nim na pewno dostarczy im mnóstwa przyjemności. Bardzo się wstydził, że kiedyś odrzucił JP, że wyparł się Kitty tylko dlatego, że postanowiła zatrzymać niemowlę znalezione na progu Hunting Lodge. Co za ironia, że dziecko, które jak myślał, sprowadzi na niego cywilną śmierć, naprawdę podarowało mu nowy impuls do życia.

Ojciec i syn rozprawiali z podnieceniem o tym, jak zbudują zamek. Bertie sugerował rozmaite materiały, ale JP miał własne pomysły i prezentował je z dużą pewnością siebie. Chciał skonstruować wierną miniaturę Castle Deverill.

– To może nas przerosnąć, JP. – Zaśmiał się Bertie.

– Nic nas nie przerosnie, tato – powiedział radośnie JP. – Możemy zrobić wszystko, ty i ja! – Bertie popatrzył z podziwem na syna, dla którego wszystko wydawało się możliwe. – Zbudujemy Castle Deverill z jego wieżami, oknami i drzwiami. Odwzorujemy też drzewa i ogród warzywny. Już dokładnie wiem, jak wykonać kopułę przy użyciu cebuli, papier-mâché i zielonej farby.

– Zakładam, że Hunting Lodge nie jest dla ciebie dostatecznym wyzwaniem? – spytał Bertie, mając nadzieję, że przekona syna, żeby w zamian odtworzyć tę budowlę.

JP zrobił zdumioną minę.

– Ale to nie jest dom, tato. Castle Deverill to prawdziwy dom!

Bertie pokręcił głową. Mógł to usłyszeć tylko od Kitty.

Na głównej ulicy Ballinakelly panował wielki ruch. Ludzie chodzili pod parasolami albo szukali schronienia przed deszczem w pubach i sklepach. Mężczyźni w czapkach z daszkiem i marynarkach szli energicznym krokiem po chodniku z pochylonymi głowami i skulonymi ramionami, a konie ciągnące wozy stąpały ciężko, zbyt mokre, żeby zwracać na deszcz uwagę. Bertie zaparkował przed sklepem z artykułami żelaznymi i pospiesznie weszli do środka. Pan O’Casey powitał ich z szacunkiem. Stary mężczyzna pamiętający czasy, gdy obecny lord Deverill był małym chłopcem, miał wrodzony szacunek dla arystokracji, a wspomnienie nocy, gdy spłonął zamek, było jednym z najgorszych w jego życiu. Gdy JP przedstawił mu szczegóły swojego projektu, pokręcił się za kontuarem, a nawet wspiął na drabinę, żeby znaleźć odpowiednie materiały. Wyłożył je wszystkie na ladę, a JP dotykał ich w podnieceniu.

– Zbudujemy wspólnie zamek. – Ucieszył się, gdy pan O’Casey włożył okulary i zaczął sumować ceny. Już kończył, gdy zadzwieczał dzwonek nad drzwiami i wilgotny wiatr wdarł się do środka wraz z Michaeliem Doyle’em.

Bertie położył pieniądze na ladzie i odwrócił się do drzwi. Zobaczył

mężczyznę, którego ścigała kiedyś policja w związku z podpaleniem, ale później puściła wolno. Jeśli Bertie żywił jakąkolwiek wrogość wobec Michaela Doyle'a, był za dobrze ułożony, by to pokazać po sobie.

– Dzień dobry, panie Doyle – powiedział gładko.

Michael Doyle spojrział na dziecko i twarz mu złagodniała.

– Dzień dobry, lordzie Deverill. – Uchylił czapkę, odsłaniając szopę czarnych włosów. – A to na pewno młody panicz Jack Deverill? – spytał z uśmiechem.

JP skinął głową.

– Jestem JP – przedstawił się uprzejmie. – Miło pana poznać.

Michael nie widział swego siostrzeńca od czasu, gdy wioził go pociągiem z Dublina. Wtedy JP był jeszcze niemowlęciem. Teraz okazał się ładnym chłopakiem z błyskiem w oczach i – pomimo rudych włosów – wykapanym Doyle'em. To nie ulegało wątpliwości. Michael zauważył mocno zarysowaną szczękę i nos obsypany drobnymi piegami. Szerokie czoło i miękki zarys górnej wargi przywodził na myśl Bridie, ale w bezpośrednim spojrzeniu chłopca dostrzegł też siebie. Na pewno JP był śmiałym dzieckiem, takim jak on kiedyś. Poczł przyplw dumy.

Bertie podziękował panu O'Caseyowi i zabrał z lady papierową torbę z zakupami.

– Chodź, JP – powiedział. – Czeką nas mnóstwo pracy. – Skinął głową Michaelowi, a ten ponownie zdjął czapkę, gdy lord Deverill otwierał drzwi, a potem wychodził za synem na ulicę. Dzwoneczek zadźwięczał raz jeszcze i drzwi za nim się zamknęły. Michael patrzył, jak chłopiec wsiada do samochodu. Zapomniał już o Michaelu i zadowolony paplał coś do ojca. Chwilę później samochód odjechał, a Michael pozostał z dziwnym poczuciem straty. JP był jego siostrzeńcem, ale nigdy się o tym nie dowie.

Michael zrobił zakupy, po czym odjechał do domu samochodem kupionym za pieniądze Bridie. Ciekawe, czy znów zastanie Grace w kuchni modlącą się z jego matką i babką. Zdążył się już do tego przyzwyczaić. Przyjeżdżała tyle razy i zawsze go ignorowała, wierzył więc w szczerść jej intencji. Początkowo podejrzewał, że w podstępny sposób próbuje zwabić go do łóżka, ale gdy miesiące mijały, a ona otrzymywała regularne instrukcje od ojca Quinna i uczestniczyła w mszach w katolickim kościele w Cork, zdał sobie sprawę, że jej konwersja na katolicyzm nie ma nic wspólnego z nim. Naprawdę pragnęła pogodzić się ze sobą i Bogiem. Szanował ją za to. Kiedyś byli współnikami w grzechu, a teraz – w Chrystusie. A jednak nie do końca potrafił zapomnieć o jej zachłannej namiętności i rozpalonej skórze.

Jadąc wśród wzgórz, rozmyślał o Kitty Deverill. Dopóki nie uzyska jej przebaczenia, dopóty nie pójdzie z nikim do łóżka.

*

Grace siedziała na sofie w salonie, podczas gdy ojciec Quinn wypełniał fotel swoją czarną sutanną, trzymając w dłoni szklankę whisky. Grace podchodziła swą ofiarę jak cierpliwy wąż chytrego szczura. Od początku wiedziała, że to trochę potrwa. Ojciec Quinn nie pałał wielką ochotą, aby zdradzić jej sekret, ale znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że zdradziłby własną matkę, jeśli miałoby to służyć jego interesom. Trzeba go było namawiać, nęcić i delikatnie przekonywać – musiał uwierzyć, że wykonuje dzieło Boga. Po pierwsze i przede wszystkim, musiał zaufać Grace. W końcu spiskowali i współpracowali podczas wojny o niepodległość, a więc wiedział lepiej od innych, że Grace potrafi dochować tajemnicy. I doskonale zdawał sobie sprawę, że pomimo ogromnej różnicy pochodzenia ona i Michael byli wiernymi sojusznikami w walce przeciwko Brytyjczykom. Była przekonana, że podstępem uda jej się wydobyć z ojca Quinna tajemnicę straszliwej zbrodni, którą w przeszłości popełnił Michael, a której tak się wstydził.

Posunęła butelkę whisky przez stół.

– Proszę, potrzebuje się ojciec wzmocnić, żeby pełnić swą kapłańską posługę – powiedziała, puszczając mimo uszu jego utyskiwania na młodych ludzi i ich brak poświęcenia.

– W naszych czasach mieliśmy cel, który nas łączył i napędzał – przypomniała. – Bóg wie, że nie chciałabym następnej wojny, ale walka o niepodległość była celem, w który wierzyłam całym sercem i byłam gotowa ryzykować dla niego życie.

– Była pani bardzo odważna – przyznał kapłan, dolewając sobie do szklanki.

– Ale dopuściłam się strasznych czynów – wyznała, zniżając głos. – Pójdę do piekła za popełnione grzechy. – Popatrzyła mu prosto w oczy.

– „Pokutujcie więc i nawróćcie się, aby grzechy wasze zostały zgładzone”[10] – ojciec Quinn zacytował Biblię.

– Zwabiłam pułkownika Manleya na farmę – wyznała cichym głosem, a jej oczy wypełniły łzy. – Gdyby nie ja, Jack O’Leary nie zatopiłby noża w jego sercu. Jestem winna morderstwa tak samo jak on. Czy Bóg może mi to wybaczyć?

– Jeśli szczerze pani żałuje, droga lady Rowan-Hampton, Bóg pani wybaczy i wytrze tabliczkę do czysta.

– Szczerze żałuję, ojcze, całym sercem. Żałuję popełnionych czynów. Czynów, które popełniliśmy, Michael i ja. – Wyciągnęła z rękawa białą chusteczkę i osuszyła nią oczy. – Jakże go podziwiam, ojcze. Był zatwardziałym grzesznikiem... Och, czegoż nie uczynił w imię wolności! A jednak odmienił swoje życie i żyje teraz bogobojnie, niemal jak kapłan. – W celibacie, pomyślała z goryczą, ale zachowała tę refleksję dla siebie. – Gdybym potrafiła choćby

w połowie być tak pobożna jak on, byłabym szczęśliwa, ojciec.

– Michael całkowicie się zmienił, to prawda. Jak pani widzi, przestał pić. A to właśnie alkohol budził w nim diabła i prowadził do grzechu.

– On mi powiedział, ojciec... – Zaczęła łkać. – Och, nie mogę uwierzyć, że on mógł... – Zawahała się i ledwie ośmielając oddychać, umilkła w nadziei, że ksiądz dokończy za nią zdanie.

– Ależ, droga lady Rowan-Hampton, jego grzechy nie obciążają pani.

Raptownie podniosła twarz.

– Wiem, ojciec, ale Bóg może wybaczyć wszelkie zło, nieprawdaż?

– Rzeczywiście, może. Jeśli Michael naprawdę żałuje, wtedy Bóg mu wybaczy. Nawet to.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi błyszczącymi oczami.

– Nawet to...? – powtórzyła, rozpaczliwie pragnąc dowiedzieć się, co miał na myśli.

Ojciec Quinn pochylił się do przodu i położył łokcie na kolanach. Wpatrując się w szklanekę, pokręcił głową.

– Bóg mu wybaczy, ale on chce czegoś więcej. Nie zagna spokoju, dopóki nie otrzyma wybaczenia od Kitty Deverill.

Grace odetchnęła głęboko i z powagą skinęła głową. Nie okazała zaskoczenia ani zachwytu, że szczer wpadł w zastawioną pułapkę i zaczął popiskiwać. Jej wyraz twarzy pozostawał niezmacony.

– Będę się modlić, żeby znalazła w sercu przebaczenie, ojciec.

Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

– Gdyby pani mogła coś zrobić, byłbym bardzo wdzięczny.

– Jak ojciec wie, Kitty jest moją kochaną przyjaciółką – powiedziała, z powrotem wsuwając chusteczkę w rękaw. – Zwierzyła mi się wiele lat temu. Proszę pozostawić to mnie. Teraz, gdy już wiem, że Michael jest gotów błagać o wybaczenie, postaram się pomóc. Życzę im jak najlepiej. Poproszę Boga, żeby dał mi inspirację. To nie będzie łatwe zadanie.

– Z pewnością – przyznał ojciec Quinn. – Ale jeśli ktoś mógłby tego dokonać, to tylko pani, lady Rowan-Hampton. Ufam w pani umiejętności.

Ja też, pomyślała nie bez próżności.

Gdy ojciec Quinn wyszedł i niepewnym krokiem zmierzał do samochodu zaparkowanego na żwirowym podjeździe, Grace wycofała się do sypialni. Zamknęła drzwi i podeszła do okna. Tutaj, w zaciszu swego pokoju jęknęła głucho, a nagły dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. A więc to z powodu Kitty Deverill Michael ją odtrącił! Przez te wszystkie lata przychodziły jej na myśl niezliczone powody, ale nigdy, ani przez chwilę, nie wyobrażała sobie właśnie takiego. Oczywiście nie wierzyła, że Michael zgwałcił Kitty, co sugerował ojciec Quinn. Kitty na pewno go uwiodła, a on nękany wyrzutami sumienia zaczął szukać

pocieszenia w alkoholu. Na pewno była to wina Kitty. Michael był dzikim i namiętym mężczyzną, rozważała, ale nie gwałcicielem.

Zmagała się przez chwilę z zazdrością, która wezbrała w niej jak fala zgniłej wody, kradnąc jej oddech. Musiała użyć całej siły, żeby się opanować i nie rzucić czymś o ścianę. Grace była jednak kobietą, która przez całe lata ćwiczyła samodyscyplinę. Wpatrywała się w ogród i starała się odepchnąć od siebie obraz Michaela wbijającego się w Kitty, który uczeplił się jej umysłu jak rzep.

W końcu udało jej się spożytkować złość do uknuć intrygi. Nie ma to jak dobry plan złamania oporu mężczyzny. Jeśli uda jej się namówić Kitty, by mu przebaczyła, być może znów zaciągnie Michaela do łóżka.

*

Tego wieczoru Laurel wróciła z popołudniowej przejażdżki po wzgórzach w towarzystwie Ethelreda Hunta. Odkąd zasugerował jej, że może wyglądać atrakcyjnie na koniu, zaczęła się nosić z pomysłem powrotu na siodło. W swoim czasie rzeczywiście była znakomitą i odważną amazonką, uczestniczyła w polowaniach, pomysł więc w żadnej mierze nie był nierozsądny. Hazel natomiast uważała, że Laurel się ośmiesza; przecież brakowało jej zaledwie kilku lat do osiemdziesiątki. Ale dlaczego pod koniec życia miała z czegośkolwiek rezygnować? – rozmyślała z wyzwaniem. Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje. A Ethelred Hunt sprawił, że znów poczuła się jak dziewczyna. Dziś, gdy jeździła po klifach, przyglądając się falom rozbijającym się na dole o skały i mewom kołującym nad ich głowami, ponownie przeżywała chwile ze swojej młodości.

Laurel była namiętnie zakochana. Nie różniło się to od pełnych uniesień, ożywczych uczuć, których doświadczała jako dwudziestolatka. Mogła być starą kobietą, ale serce miała nadal czułe, jak pączek róży otwierający się wraz z pierwszą piśszczotą wiosny. Nie uważała się za wariatkę. Dlaczego miłość ma być przywilejem młodości? Gdyby Adeline żyła, powiedziałaaby, że tylko ciało się starzeje, dusza zaś jest wieczna i dlatego nie ma metryki. Laurel mogła wyglądać jak babcia, ale gdy Ethelred Hunt patrzył jej prosto w oczy i przyciskał usta do jej ust, widział w niej kobietę.

Westchnęła i przymknęła oczy, przeżywając na nowo cudowną chwilę, gdy ich usta się spotkały. Nadal czuła piżmowy zapach jego skóry, a na twarzy dotyk jego miękkiej brody. Och, to było jak sen, piękny sen! Nie zapomni tego do końca życia.

– Musimy zachować to dla siebie – powiedział Ethelred, rozluźniając uścisk na jej talii, a raczej w tym miejscu, gdzie kiedyś ją miała. – W przeciwnym razie zrobimy przykrość Hazel. Podejrzewam, że czuje do mnie miętę – dodał.

Laurel jaśniała radością. Ostatecznie wygrała walkę z siostrą o względy tego srebrnego wilka o nieodpartym uroku.

– Och, potrafię zachować sekret przed Hazel – zapewniła. I rzeczywiście tak było.

Weszła do domu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Nie widziała siostry od rana, kiedy się rozstały. Hazel udała się do Bertiego na przedpołudniowego brydża, Laurel zaś do fryzjera. Z salonu dochodziły dźwięki muzyki z gramofonu. Laurel była zaskoczona. Czyżby Hazel miała towarzystwo? Nie zwykła nastawiać muzyki tylko dla siebie. Zastała siostrę stojącą przy oknie, wpatrzoną w zimowy ogród, gdzie wystawiały jedzenie dla dzielnych małych rudzików. Jedną rękę trzymała na karku, drugą na biodrze i kołysząc się, nuciła coś, jakby całkiem oderwana od rzeczywistości.

– Cześć, Hazel – przywitała ją pogodnie Laurel, zdejmując kapelusz.

Hazel odwróciła się zaskoczona.

– Och, Laurel, wróciłaś.

– Tak. Wiesz, jaka to przyjemność znów jeździć... Czuję się jak nowo narodzona. – Zerknęła na siostrę i zorientowała się, że nie ona jedna czuła się młodziej. Hazel miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy.

– Przynajmniej nie spadłaś – zauważyła lekkim tonem, jakby właściwie jej to nie interesowało.

Hazel nie spytała jej o Ethelreda, co Laurel przyjęła z ulgą; nie chciała się zdradzić, rumieniąc się jak nastolatka, że ją pocałował.

– Co robiłaś? – Przysiadła na podłokietniku sofy, kładąc kapelusz na kolanie.

– To i owo – odparła Hazel z roztargnieniem. – Brydż jak zwykle był przyjemny. A po południu, cóż... – Westchnęła zdawkowo. – Nic nie robiłam prócz obserwowania ptaków. Czyż nie są radosne?

– Kto był na brydżu?

– Ci, co zwykle. Bertie, Kitty i ja z Ethelredem. – Zadzwoiła na pokojówkę.

– Napijmy się herbaty i skończmy to ciasto porterowe. – Mijając Laurel, unikała jej wzroku. – Powiedz mi, jak to jest znów siedzieć w siodle? Bałaś się?

Laurel zlekceważyła podejrzone zachowanie siostry i usiadła bliżej ognia.

– Nie, w ogóle – powiedziała, uśmiechając się na samo wspomnienie. – To była najbardziej ekscytująca rzecz, którą zrobiłam od lat. – Przynajmniej choć raz żadna z nich nie próbowała prześcignąć drugiej kwiecistymi opowieściami o Ethelredzie Huncie. Jego imię ani razu nie padło i serdeczność, z którą zawsze się traktowały, powróciła wśród wesołej paplaniny i radosnego śmiechu. Ale co chwila obie kobiety przesuwwały palcami po wargach i przysyłaniały dłońmi uśmiechy.

*

Celia starała się oderwać myśli od okrutnej rzeczywistości, jaką była śmierć ojca oraz okropne długi, z którymi pozostawił ją Archie. Nie była jednak w stanie zignorować faktu, że musi gdzieś znaleźć pieniądze, i to szybko. Jej zawsze

pomocnego w takich sprawach ojca nie było już na świecie, a gdyby nawet żył, wiedziała, że nie miał takich zasobów, żeby ją wspomóc. Uśmiechała się do dzieci, do przyjaciół, którzy do niej przyjeżdżali z wizytą, do członków rodziny, którzy wpadali sprawdzić, jak się miewa, ale niepokój ciążył jej w żołądku jak ołów. Bywały chwile, gdy stojąc przy oknie w sypialni i wpatrując się w gwiazdy, przypominała sobie Letnie Bale w Deverill Castle ze swego dzieciństwa, gdy razem z Kitty i Bridie przyglądały się nadjeżdżającym powozom ze znamienitymi gośćmi z całego hrabstwa Cork. Jakże pragnęła móc obudzić się znów jako mała beztraska dziewczynka. Podczas tamtych magicznych nocy niebo było zawsze czyste, ciemniejac stopniowo, gdy zmrok ulegał nocy i pojawiały się pierwsze gwiazdy.

Przerażała ją myśl o konieczności sprzedaży zamku. Teraz tu był jej dom. Oddała swoje serce Ballinakelly i tutaj pozostanie.

W ten wietrzny poranek, gdy kamerdyner zapukał do drzwi, siedziała przy biurku i pisała listy.

– Jakiś mężczyzna chce się z panią zobaczyć, pani Mayberry.

Celia od razu domyśliła się, o kogo chodzi. Spodziewała się go. Ołów w dole brzucha zrobił się jeszcze cięższy; przycisnęła rękę do serca. Cóż, dłużej nie może go unikać.

– Proszę go wprowadzić, O’Sullivan. I poproś panią Connell, żeby zaparzyła herbatę.

Stała pośrodku pokoju, wygładziła spódnicę oraz kardigan i głęboko odetchnęła. Chwilę później w drzwiach stanął mężczyzna, którego Celia widziała po pogrzebie i na nabożeństwie za duszę ojca.

– Witam panią – powiedział, ale się nie uśmiechnął.

– Witam, panie Dupree – odparła, unosząc podbródek. – Oczekiwałam pana od jakiegoś czasu. Napije się pan herbaty?

10 *Dzieje Apostolskie* 3,19, Pallottinum, 1980.

Rozdział 26

– Dziękuję za herbatę – powiedział piskliwym głosem. – Wolę whisky.

Gdy O’Sullivan ją przyniósł, Dupree wypił trunek do dna, jednym haustem, zanim drżącą ręką odstawił szklankę na srebrną tacę. Celia zauważyła, że ma połamane i brudne paznokcie. Patrzył na nią zażawionymi, podbiegłymi krwią oczami.

– Teraz napiję się herbaty – oznajmił.

Celia skinęła na kamerdynera, który z ociąganiem wyszedł z pokoju. Bał się pozostawić swoją panią z tym podejrzanym włóczęgą.

Dupree mógł mieć i sto lat. Jego białe włosy były tak rzadkie, że prześwitywała przez nie pokryta strupami, różowa czaszka. Skórę miał przezroczystą, upstrzoną starczymi plamkami, twarz znaczyły głębokie, gniewne bruzdy i blizny, które mogły być skutkiem noża. Wyraz goryczy na dobre wykrzywił linię jego ust, a z pokrytych bielmem oczu, które ograniczało zdolność widzenia i powodowało łzawienie, błyskała złość. Jedną stronę twarzy przejął we władanie nerwowy tik wykrzywiający mu usta w brzydki grymas. Gość cuchnął alkoholem oraz potem, jak człowiek śpiący pod gołym niebem. Zła energia, którą emanował, była równie ostra i kłująca jak jego spojrzenie. Celia z wysiłkiem ukrywała awersję do tego mężczyzny, który wdarł się siłą do jej życia niczym robactwo wpełzające do zamku przez rury ściekowe. Ale było też coś nieuchwytnego w jego postawie, w lekkim opuszczeniu ramion i skrzywieniu kręgosłupa, co pozbawiało go groźnego rysu, a nawet budziło współczucie. Pod powłoką gniewu kryła się jakaś desperacja.

– Proszę usiąść – powiedziała tak chłodnym i pewnym siebie głosem, że sama ledwie go rozpoznawała. Obserwowała mężczyznę, jak przysiadła niezgrabnie na brzeжку fotela, sama zajmując ławę przed kominkiem. – Powinien pan wiedzieć, że przeczytałam listy, które wysłał pan do mojego ojca, i nie wierzę w ani jedno słowo. Listy, które wysłał pan do mnie, spaliłam bez czytania. Uważam za skandaliczne, że ma pan czelność nachodzić pogrążoną w żałobie rodzinę.

Dupree wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę papierosów i puknął w jej denko.

– Jak dobrze znała pani swego ojca, pani Mayberry? – spytał nieprzyjemnym tonem, wkładając papierosa pomiędzy suche wargi. Celia wyczuła w jego głosie wyraźny akcent, ale nie potrafiła go określić.

– Byłam z nim bardzo blisko – odparła lodowato.

Aurelius Dupree pokręcił głową.

– Podejrzewam, że wcale go pani nie знаła – stwierdził, wybuchając atakiem kaszlu. – Wierzy pani w sprawiedliwość? – zapytał, gdy kaszel minął.

– Czego pan chce, panie Dupree?

Była wściekła, że ten nieznajomy człowiek mógł przypuszczać, że wie cokolwiek o jej relacji z ojcem. Patrzyła, jak nagłym ruchem kciuka przesuwając zapalniczkę, zapala ją i przystawia płomień do papierosa. Schował zapalniczkę, wyprostował się w fotelu, założył kościstą nogę na nogę, odsłaniając znoszone skarpetki, zakurzone buty i żałośnie cienkie kostki.

– Posuwa się pan za daleko – zwróciła mu uwagę, pragnąc, by Dupree wstał i wyszedł, ale nie wyglądało na to, przynajmniej na razie, by się gdziekolwiek wybierał.

O’Sullivan wrócił z herbatą na tacy. Nalał gościowi filiżankę i mu podał. Cienka porcelana wyglądała dziwnie nie na miejscu w jego chropowatych i zrogowaciałych dłoniach.

– Pani pozwoli, że zacznę od początku, pani Mayberry. Opowiem o Digby Deverillu, jakiego ja znałem.

Celia westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Zgoda, bardzo proszę. – Nie była zainteresowana jego opowieścią, ale ponieważ zamierzał ją szantażować, nie miała wyboru i musiała jej wysłuchać. O’Sullivan nalał jej herbatę, po czym zostawił ich samych, cicho zamykając za sobą drzwi.

Aurelius Dupree wypuścił gęstą chmurę dymu i zmrużył oczy. Patrzył na Celię opanowanym, wyzywającym wzrokiem, ale ręka, w której trzymał papierosa, drżała.

– Gdy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku Digby Deverill przybył do Kapsztadu, a potem przyjechał do Kimberley, mój starszy brat Tiberius poszukiwał kamieni już od ośmiu lat – zaczął. – Wiedział wszystko o diamentach. Wszystko. Nazywano go „Brill”, ponieważ miał nosa do brylantów, po prostu wyczuwał je węchem, i wszyscy chcieli go mieć w swoim zespole. Pracował dla Rhodesa i Barnata – gigantów w branży. Dobrze mu za to płacili. Bardzo dobrze. Napisał, żebym do niego dołączył, a więc przyplłynąłem statkiem z Anglii, przebyłem ponad osiemset kilometrów do Kimberley i szybko się wszystkiego nauczyłem. – Sękatym palcem postukał się po skroni. – Jeśli się jasno myśli i błyskawicznie reaguje, można się dorobić na kopalniach. – Uśmiechnął się, a Celia aż się wzdrygnęła na widok czarnych dziur tam, gdzie kiedyś były zęby. – Gdy Digby przybył do Kimberley, to miejsce przypominało wielki kawał sera nadgryzany przez dziesięć tysięcy myszy. Rhodes i Barnato pilnowali, żeby trzymać rękę na wszystkim. Wszystko tam do nich należało. Nic nie zostało dla Deverilla. On był tylko zapalonym chłopcem z dobrej rodziny, ale tam to się nie liczyło, tylko pieniądze i diamenty miały znaczenie, a on nie posiadał ani jednego,

ani drugiego. Rhodes i Barnato byli bogaci jak Midas. Byli bogaci jak królowie. Jednak Digby miał wielką ambicję, optymizm i wiarę w siebie. Nigdy nie spotkałem człowieka, który cechowałby się taką pewnością siebie co on. Rozbił namiot na skraju kopalni; kurz, upał, środek lata, muchy, brak dostępu do... Nie może sobie pani tego wyobrazić! Zresztą nie będę opowiadał drastycznych szczegółów tak subtelnej damie jak pani. Nigdy by pani nie pomyślała, że był wytwornym chłopcem, wyrzuconym z Eton w wieku siedemnastu lat za nielegalny hazard i romans z jakąś matroną czy matką jakiegoś chłopca, a tak mi to przedstawił. – Zachichotał ponuro, a potem zaniósł się charczącym kaszlem. – Mówiono, że syn lorda Salisbury stracił sto funtów przy stoliku Deverilla. Ale w Kimberley Digby nie obracał się w doborowym towarzystwie, tylko wśród typów spod ciemnej gwiazdy, najgorszych, jakich można było spotkać: Jimmy’ego „Mad” McManusa, który walczył w wojnie krymskiej i własnymi rękami wypatroszył człowieka, Franka „Stone Heart” Flinta i Joshuy Steina, znanego jako „Spleen”[11] – nie chciałyby pani wiedzieć, czemu zawdzięczał to przydomko. I Digby potrafił się do nich dostosować. Nie bał się ich. Co więcej, pomimo jego manier i gadek z Eton te rzezimieszki się go bały. Diabeł mu dziecko kołysał. Prawdziwi z nich zbóje, ale Deverill miał to coś, czego żaden z nich nie posiadał: szczęście. Miał takiego farta przy stoliku karcianym, że wkrótce zyskał przydomek „Lucky Deverill”.

Celia od razu pomyślała o zwycięstwie ojca w Derby – ostatnim jego życiowym farcie.

– Proszę mówić dalej, panie Dupree. Co się stało potem?

Aurelius Dupree palił papierosa. Celia zauważyła z obrzydzeniem żółte plamy na jego palcach. Wyglądało, jakby cierpiał na żółtaczkę. Wypuścił chmurę dymu, pochylił się do przodu i strzepnął popiół do szklanej popielniczki, którą Celia kupiła u Aspreya przy New Bond Street. Następnie oczyścił swoje zaflegmione płuca kolejnym atakiem kaszlu, co przyprawiło Celię o mdłości.

– Pewnego dnia Lucky Deverill wygrywa przy karcianym stoliku – podjął opowieść. – Stone Heart Flint kompletnie się splukał. Pozostała mu tylko bezużyteczna działka na północ od Kimberley. W pewnym momencie szczęście Deverilla musi go opuścić, czyż nie? W pewnym momencie tak, ale jeszcze nie wtedy. Jeszcze nie przez wiele lat! Deverill odkrywa zwycięskie karty i zgarnia kasę. Oczywiście, następnie wygrywa ziemię – ten, jak się zdawało, jałowy kawałek. Teraz Tiberius i Deverill stają się niezwykle przyjaciółmi. Deverill nic nie wie o diamentach, ale za to mój brat wie wszystko. We trzech zawieramy umowę, dżentelmeńską umowę, że jeśli znajdziemy diamenty, podzielimy je na pół. Na dwie równe połowy, rozumie pani? Deverill się zgodził. Pięćdziesiąt procent dla niego, po dwadzieścia pięć dla mnie i mojego brata. To była jego ziemia, ale on nas potrzebował. Nie dałby sobie rady bez nas.

– Początkowo niczego nie znaleźliśmy – kontynuował. – Ten skrawek ziemi zostawiono na pastwę losu, kopalnia została opuszczona; wyglądało, że nie ma tu nic prócz gołej ziemi, kurzu, much i rozpadającej się szopy, która kiedyś była domem. Nawet studnia wyschła i przykrywały ją kamienie. To był zwykły śmietnik. Mimo to zaczęliśmy kopać w miejscach, gdzie jeszcze tego nie zrobiono. Nic. Deverill zniechęcił się i powtarzał, że trzeba się wycofać, ale tak jak mówiłem, Tiberius potrafił wywęszyć diamenty i wyczuł je na tym jałowym spłachetku. Deverill odszedł na bok i położył się w cieniu jedyne go na horyzoncie drzewa, nasunął kapelusz na twarz i zasnął. Kompletnie stracił zainteresowanie. Myślał już o następnym rozdaniu losu i kolejnej dziwce. Ale Tiberius i ja byliśmy uparci. Rozgrzebywaliśmy ziemię gołymi rękami, ja za jego przykładem, ponieważ Tiberius czuł te diamenty, jak pies wywachuje lisią norę. Wreszcie znalazł jeden, tuż pod płotem, lub raczej tym, co z płotu zostało. Diament leżał na ziemi, jakby spadł z nieba. Jak już mówiłem, Tiberius znalazł się na glebie; a to była gleba aluwialna, składająca się z luźnych cząsteczek ilów i gliny, doszedł więc do wniosku, że tu kiedyś płynęła woda i diamenty wypłukiwane z nurtem osadzały się na brzegu jej koryta. Zawołaliśmy Deverilla, który przybył biegiem. Teraz znów był zainteresowany. Wspięliśmy się na niewielki wzgórek, zaczęliśmy tam kopać i – alleluja! – wkrótce znaleźliśmy żółty piasek, świadczący jasno: tu muszą być diamenty! Tętno nam przyspieszyło i nawet Deverill nie myślał o kartach czy dziewczynach. Kopaliśmy wszyscy trzej, ryliśmy jak psy. Ziemia była usiana diamentami! Nie mogliśmy uwierzyć w nasze szczęście. Od razu też przystąpiliśmy do sformalizowania współpracy. Deverill zarejestrował spółkę o nazwie Deverill Dupree. – W tym momencie twarz Aureliusza pociemniała od głębokiego i palącego żalu. Skrzywił się cierpko. – Byliśmy tak zajęci kopaniem, że ledwie odrywaliśmy wzrok od ziemi, gdy podpisywaliśmy te papiery. Ufaliśmy Deverillowi, rozumie pani. To był największy błąd mojego życia, że zaufałem temu farciarzowi. – Ze smutkiem pokręcił głową i zgasił papierosa. – Miał diabelskie szczęście, nie ma co do tego wątpliwości.

Nastąpiła długa przerwa, kiedy dopijał herbatę, przezuwając okropną niesprawiedliwość, którą w jego przekonaniu popełnił ojciec Celi.

Celia siedziała na ławce przy kominku, nieruchoma, z narastającym uczuciem mdłości w żołądku. A jednak nie mogła przestać słuchać, przerażona i zarazem zafascynowana. Całkiem nowy świat, nowe wyobrażenie o ojcu otwierało się przed nią niczym okropna otchłań.

– Deverill był nie tylko hazardzistą – podjął swoją opowieść Dupree. – Ale też niepoprawnym kobieciarzem. Żadna kobieta nie była bezpieczna, gdy Lucky Deverill był w pobliżu. Niebieskooki blondyn, pomyślałby kto, że spłodzony przez anioły! Ale diabeł przybiera różne maski. Podczas gdy ja i Tiberius wykonywaliśmy całą robotę, Deverill był... – Zawahał się i obrzucił Celię

przelotnym spojrzeniem czarnych oczu. – Powiedzmy, że był bardzo zajęty czymś innym. Jedyne, co zrobił, gdy my oblewaliśmy się potem, było postawienie tablicy, na której napisał: „Zamek Deverilla jest jego królestwem”. Napisał to czarną farbą na drewnianej desce, a ja nie rozumiałem, co to znaczy, dopóki nie zobaczyłem tego zamku. Śmialiśmy się z niego, ale powinniśmy się domyślić – żalił się. – Naprawdę powinniśmy wiedzieć. Sprowadziliśmy robotników, setki Zulusów i Khosa, a Deverill zatrudnił swoich dawnych kumpli na nadzorców: Stone Heart Flinta, Spleena i Mad McManusa. Przyłapali raz jakiegoś chłopaka na próbie kradzieży i zatłukli go na śmierć.

– Potrzebowaliśmy kapitału, żeby wydobywać diamenty – ciągnął. – A więc Deverill udał się do sir Sydneya Shapiro, agenta rodziny Rothschildów – właścicieli Rothschild Bank – który pomógł Cecilowi Rhodesowi w założeniu Kompanii Południowoafrykańskiej. Deverill sypiał z jego żoną. Było na co popatrzeć: prawdziwe blond niewiniątko. Ale takie bywają najgorszymi zdzirami, proszę mi wybaczyć słownictwo, pani Mayberry. Jeśli chodzi o Shapiro, to sieć jego rozległych interesów przypominała wielką, grubą ośmiornicę, ale nie wiedział, że jego uroczą żonka wskakuje Deverillowi do łóżka. Deverill dzięki pieniądзом Shapiro stworzył własne przedsiębiorstwo – Deverill & Co, którego właścicielem była spółka Deverill Dupree. Ale Deverill oszukał nas, gdy ją rejestrował, zostawiając sobie pięćdziesiąt jeden procent udziałów, a nam czterdzieści dziewięć. Potem przyszedł do nas z propozycją wykupu. Wtedy po pięć tyśiaków dla każdego oraz obietnica udziałów wydawały się uczciwym rozwiązaniem. Ale Deverill utworzył firmę World Amalgamated Mining, znaną jako WAM, i sprzedał ją De Beerom za kilka milionów. W umowie nie było nic o naszych udziałach. Ani słowa! Deverill przeprowadził się do Kapsztadu, kupił sobie piękny dom i został jednym z wielkich diamentowych magnatów. Tiberius się wściekł. Postanowiliśmy pozwać go do sądu. Chcieliśmy naszej części i wierzyliśmy, że mamy mocne argumenty na wygranie sprawy.

Aurelius Dupree jeszcze bardziej trzęsącą się ręką znów wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zabłyśła zapalniczka i gwałtownie wciągnął dym do swoich dychawicznych płuc. Gdy patrzył na Celię, jego oczy nie były już czarne, ale przyćmione warstwami wieloletniego bólu.

– Ale przegraliście, panie Dupree? – spytała Celia. Wiedziała, że gdyby wygrali, nie siedziałby tutaj jak wrak człowieka. Czuła ulgę, że chodziło tylko o spór pomiędzy poszukiwaczami diamentów sprzed wielu lat. Słowo jednego człowieka przeciwko słowu jej ukochanego ojca.

– Wygralibyśmy, jestem tego pewien – kontynuował Dupree. – Coś byśmy uzyskali. Może nie siedem milionów, ale wszyscy w Kimberley wiedzieli, że należy się nam nasza część.

– A więc co się stało? Dlaczego nie wygraliście?

– Tu właśnie namieszał diabeł, pani Mayberry – powiedział Dupree tak cichym i złowrogim głosem, że Celia zadrżała. – Digby...

– Sir Digby – poprawiła go Celia z irytacją. – Proszę mówić o moim ojcu sir Digby.

– Ani mi się śni, droga pani! Dla mnie on nigdy nie będzie sir Digbym. Raczej diabłem na usługach samego szatana. Zaraz się pani przekonasz. W tamtym czasie często polowaliśmy. Nieomal każdego dnia – na gazy, antylopy, zebry, słonie, a nawet lwy. Tak, nawet na króla zwierząt! Podczas gdy Deverill przebywał w Kapsztadzie w swoim pałacu, zadając się z Rhodesem, Beitem i Barnato, my walczyliśmy, żeby związać koniec z końcem. Ale pewnego dnia wyruszyliśmy z Kapsztadu poza miasto. Od pewnego mężczyzny – kapitana Kleista, Niemca z Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej – usłyszeliśmy o lwie ludojadzie. Ten biały myśliwy zaprosił nas, żebyśmy wzięli udział w polowaniu. Odmowa byłaby niegrzecznością, a poza tym potrzebowaliśmy rozrywki. Gdy więc przybyliśmy ze strzelbami na skraj sawanny z niemieckim kapitanem Kleistem, zastaliśmy tam Mad McManusa, Spleena i Stone Heart Flinta. Wątpię, czy Kleist kiedykolwiek był kapitanem, ale nie będę odbiegać od tematu. W każdym razie była to niezręczna chwila, ale powitali nas jak za dawnych czasów, a my nie obwinialiśmy ich za Deverilla. A więc ruszyliśmy na sawannę. Świtało, choć nadal było jeszcze ciemno i chłodno. Ale wkrótce zrobił się upał. A upał jest jak smoła, ledwie można się poruszać. Ale parliśmy naprzód. Najpierw konno, potem piechotą. Widzieliśmy lwy, Tiberius i ja, ale nigdy nie spotkaliśmy ludojada, jeśli taki w ogóle istniał. Dowodził kapitan Kleist. Rozdzielił nas na pary. Sam wybrał Tiberiusa, a mnie dołączył do McManusa. Godziny mijały. Mad McManus snuł opowieści o Deverillu i jego występkach; słusznie powiadają, że nie ma honoru wśród złodziei. A potem, prawie w samo południe, gdy już zamierzaliśmy się wycofać, ponieważ było za gorąco, żeby iść dalej, w pobliżu rozległy się strzały. Pobiegliśmy przez sawannę. Krzyczeliśmy. W końcu usłyszeliśmy Kleista, który wzywał pomocy. Pobiegliśmy tam i naszym oczom ukazała się przerażająca scena. Tiberius leżał na ziemi, ale to już nie był on... To były zwłoki, pani Mayberry. Porozrywane na kawałki. Mój brat wyglądał jak impala z wyrwanymi wnętrznościami. Wyglądało to tak, jakby dopadł go lew ludojad, pani Mayberry. Nic już nie można było zrobić. Kapitan Kleist, Spleen i Stone Heart, którzy już tam byli, patrzyli na zwłoki mojego brata w milczeniu. Brakowało słów. Spytałem Kleista, co się stało. W końcu to on z nim szedł. Ale Kleist powiedział, że się rozdzielili i zostawił Tiberiusa samego. Twierdził, że strzelił do lwa, ale było już za późno. – Dupree zawiesił głos i otarł wilgotne czoło chusteczką.

– Bardzo nieszczęśliwy wypadek – wtrąciła Celia.

– Też tak myślałem przez jakiś czas – odparł Dupree. – Stała się tragedia, powiedział kapitan Kleist. Pozostali zeznali, że to był wypadek. Ale ja zabrałem

ciało do obozu i osobiście je umyłem. I zobaczyłem coś, czego nie miałem zobaczyć, pani Mayberry. W klatce piersiowej mojego brata dostrzegłem dziurę po kuli wśród innych ran, które mógł zadać sztylet, a niekoniecznie zęby lwa. Być może mój brat nie został zabity przez lwy, ale przez człowieka wynajętego przez pani ojca! Nagle domyśliłem się, kto za tym stał. – Zmrużył oczy i popatrzył ze złością na Celię, która siedziała sztywno na ławce, a jej herbata w filiżance całkiem ostygła. – Powiedziałem policji, żeby go aresztowali. Ale zamiast Deverilla aresztowano mnie.

– Dlaczego, na Boga, mieliby uznać, że zamordował pan własnego brata? – spytała Celia. – Nawet nie był pan przy nim na polowaniu.

– To właśnie powiedziałem policji. Ale kapitan Kleist twierdził, że to ja z nim byłem, a McManus, Stone Heart i Spleen to potwierdzili. Zeznali, że tylko ja i Tiberius tam byliśmy, a więc jestem jedynym człowiekiem, który mógł go zabić. Wszystko zostało ukartowane, pani Mayberry. Deverill pragnął się nas pozbyć i jak zawsze osiągnął to, co chciał.

– Ale trzeba mieć motyw, żeby kogoś zabić!

– Och, proszę się nie martwić, pani Mayberry. Deverill już się postarał, żeby go znaleźć. Powęszył tu i tam i odkrył, że obaj byliśmy zakochani w tej samej dziewczynie z naszego rodzinnego miasta Hove. Obydwaj chcieliśmy się z nią ożenić i to spowodowało między nami rozdzwięk. Ale nigdy nie zabiłbym brata z jej powodu! Jakaś kobieta zeznała, że słyszała, jak groziłem mu śmiercią, jeśli się z nią ożeni, ale to było w wirze kłótni. Myślałem, że ze mną koniec; myślałem, że sędzia skaże mnie na stryczek. Ale nie było wystarczających dowodów, żeby mnie powiesić. Zostałem oskarżony o spisek w celu zabójstwa i skazany na dożywocie. I kiedy ja, zapomniany, gnilem w południowoafrykańskim więzieniu, Deverill dorobił się fortuny. Ale zbudował ją na krwi mojego niewinnego brata.

Celia odstawiła filiżankę. Aurelius Dupree zgasił papierosa i nie zapalił następnego.

– Teraz, gdy mnie wypuścili, przyszedłem po moją część – dokończył, świdrując ją wzrokiem.

– A jeśli pan nic nie dostanie, to co? Sprzeda pan tę historię jakiemuś szmatławcowi i splami dobre imię mojego ojca? On nie żyje, panie Dupree.

– Zmarli nadal mają reputację, która jest ważna dla rodziny. Chcę tylko tego, co mi się należy. I dostanę – dodał cicho. – Pani ojciec nie może mi zwrócić życia, ale te kilka lat, które mi pozostało, mogę przeżyć w komforcie. Jest mi winien dwadzieścia tysięcy, pani Mayberry. To wystarczy. Nie jestem chciwy. Chciałbym jedynie zaznać trochę wygody, zanim odejdę.

Celia wstała.

– Jak na jeden dzień usłyszałam dość pańskich urojeń. – Podeszła do drzwi i je otworzyła. – O'Sullivan, odprowadź pana Dupree. – Kamerdyner

błyskawicznie pojawił się w holu ku wielkiej uldze Celi. – Pan Dupree wychodzi – powiedziała słabym głosem. Gdy odwróciła się, Dupree stał tuż przy niej. Wzdrygnęła się, ponieważ był tak blisko, że czuła zapach tytoniu w jego oddechu.

– On nie pociągnął za spust, pani Mayberry, ale za to zapłacił. Powinien wisieć. Wrócę tu jeszcze – zapowiedział. – Wrócę, żeby odzyskać to, co mi się należy.

11 Mad (ang.) – szalony, wściekły; stone heart (ang.) – kamienne serce; spleen (ang.) – chandra, zły humor.

Rozdział 27

Celia wyszła z zamku i skierowała się na wzgórze. Zimowe wiatry, rześkie i porywiste, przeczesywały lodowatymi palcami wysokie trawy i wrzosy. Powietrze było wilgotne. Zaczęło mżyć. Celia szła tak szybko, jak mogła. Z pochyloną głową i wzrokiem zagubionym gdzieś nad ziemią maszerowała wśród trawiastych zakątków i dolin, które przemierzała jako mała dziewczynka z Jackiem O'Learym, jego oswojonym jastrzębiem i psem. Wspominała, jak razem z Kitty i Bridie obserwowały ptaki, a Jack uczył je ich nazw. Nury, burzyki, perkozy i czajki – nawet teraz niektóre z nich pamiętała. Przywierali brzuchami do ziemi i szeptali podnieceni, wypatrując borsuków. Bawili się z gąsienicami, które Bridie nazywała włochatymi mięczakami, pajakami i ślimakami. A czasem, podczas balsamicznych letnich nocy, gdy kładli się na plecach i wpatrywali w gwiazdy, Celia doznawała uczucia głębokiego wewnętrznego wzruszenia, którego nie potrafiła wyjaśnić. Wciągała ją ta aksamitna czerń, jasno migoczące gwiazdy i bezkresna otchłań przestrzeni. Unoszący się w ciepłym powietrzu słodki zapach urodzajnej ziemi i wrzosów wprost oszałamiał. Ale te dni przeminęły, a wraz z nimi odeszła dziecięca niewinność. Teraz czuła tylko strach.

Nie wiedziała, czy jej ojciec był winny morderstwa. Ale co do jednego nie było wątpliwości: Aurelius Dupree żądał pieniędzy – pieniędzy, których nie miała. Ta skandaliczna opowieść, jeśli przekaże ją prasie, na pewno wykończy jej matkę. Nie mogła się nawet zmusić, żeby powiedzieć o tym siostrze czy Harry'emu i Boysiemu. Z nikim nie chciała się podzielić hańbą swego ojca.

Nie ma więc wyboru. Musi w jakiś sposób zdobyć pieniądze. I musi tego dokonać sama.

Aurelius Dupree nie tylko zażądał czegoś niemożliwego, lecz także odarł jej ojca z człowieczeństwa, przedstawiając go jako brutalnego potwora, którego chciwość przywiodła do morderstwa. Potwora, którego Celia nie знаła ani nie chciała znać.

Szła dalej, zagłębiając się pomiędzy wzgórze. Desperacko pragnęła zatracić się we mgle gęstniejącej w dolinach na podobieństwo niesamowitych rozlewających się niczym kałuże chmur. W końcu weszła między drzewa, żeby się skryć wśród pni i gałęzi. Łzy zamazywały jej widzenie, ale porośnięta mchem ziemia i powietrze przesycone zapachem sosen oraz wilgotnej roślinności zaczęły koić jej zbolące serce. Mrugając, zmusiła się, by odsunąć rozpacz, i rozglądając się po lesie, zaczęła dostrzegać jego piękno. A czymże jest piękno, jeśli nie miłością? Mistyczna energia ukryta głęboko w ziemi zdawała się otaczać ją ramionami,

dodając niespodziewanego poczucia siły – przeświadczenia, że nie jest sama. Przestała rozmyślać o Tiberiusie Dupree i swoim ojcu, o morderstwie i pieniądzach, i podziwiała cuda tej ziemi, których przedtem nie trudziła się nawet zauważać. Ptaki siedziały na drzewach, jakieś stworzenia w zaroślach; być może z krzaków obserwowały ją setki par oczu. Gdy jasny promień słońca przebił się przez gęstwinę, padając na ścieżkę, którą szła, Celia poddała się żywiołowi natury, pozwalając, aby potęga otaczającej ją przyrody, o wiele silniejsza od niej, odsunęła od niej ból.

Wróciła do zamku podniesiona na duchu i stęskniona za dziećmi i od razu pospieszyła do ich pokoju. Gdy dopraszały się jej uwagi, obejmując ją małymi ramionkami, myślała o Archiem i o ich marzeniu, by wypełnić zamek liczną niesforną gromadką. To już się nie stanie. Miała dwie córki, na zawsze łączące ją z ich ojcem, ale braci dziewczynki się nie doczekają. Cokolwiek się stanie, pomyślała, całując je w miękkie policzki, nie pozwolę, żeby moje kłopoty zrujnowały wasze życie. Jeśli trzeba, sprzeda zamek i stworzy nowy dom gdzie indziej. Domu przecież nie tworzą cegły, ale mieszkający w nim ludzie i miłość, która trzyma ich razem. A to można zabrać wszędzie.

Z nowym nastawieniem udała się w podróż do Londynu na spotkanie z prawnikiem panem Riswoldem oraz panem Chartersem, bankowcem Archiego. Wybadała wszystkie możliwości i w powrotnej drodze do Irlandii doszła do wniosku, że sprzedaż zamku jest jedyną opcją. Najwyższy czas przestać chować głowę w piasek i spojrzeć prawdzie w oczy: jest na skraju bankructwa. Tylko sprzedaż ukochanego zamku może ją ocalić.

Wczesną wiosną w drzwiach salonu, w którym Celia częstowała herbatą Krzaczki, pojawił się O'Sullivan.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale jakiś dżentelmen chce się z panią zobaczyć.

Na moment ścisnęło ją w sercu; pobladła na myśl, że to Aurelius Dupree wrócił po pieniądze, ale O'Sullivan podkreślił słowo „dżentelmen”, którym Dupree zdecydowanie nie był.

– Przedstawił się? – spytała.

– Tak, proszę pani, ale obawiam się, że nie potrafię powtórzyć nazwiska. – Celia zmarszczyła brwi, a kamerdyner załamał ręce. – To zagraniczne nazwisko, proszę pani.

– W porządku. – Uśmiechnęła się. – Poproś go do biblioteki.

– Och, nie musi czekać ze względu na nas – zreflektowała się Hazel. – Już wychodzimy.

– Tak, mamy mnóstwo zajęć, nieprawdaż, Hazel? – powiedziała Laurel.

– Oczywiście – przyznała jej rację Hazel. – Zamierzamy odwiedzić Grace. Jest paskudnie przeziębiona. Przygotowałam dla niej nalewkę.

– To stara receptura Adeline – wyjaśniła Laurel. – Czyni cuda.

– Och, to prawda – zgodziła się Hazel.

– Jeśli rzeczywiście nie macie nic przeciwko...

Celia przyglądała im się, gdy wstawały. W swoich kapeluszach z piórami wyglądały jak para gęsi. Obydwie się uśmiechnęły, ponieważ ostatnio były niezwykle szczęśliwe i zgodne, jak przed przyjazdem lorda Hunta.

– Absolutnie. Dziękujemy za herbatę i ciasto. Czyż to nie urocze, że nareszcie mamy wiosnę? – Hazel westchnęła z lubością.

– Od razu chodzę bardziej sprężysto. – Roześmiała się Laurel, w skrytości ducha podejrzewając, że to nie tylko zasługa wiosny.

– Ja również – pochwaliła się Hazel, ale żadna z nich nie wiedziała, że to lord Hunt wlał w nie nową energię.

Krzaczki i tajemniczy zagraniczny dżentelmen minęli się w holu. Siostry zachichotały jak nastolatki, gdy dżentelmen skłonił się nisko, pokazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby. W Ballinakelly nigdy nie widziały podobnego mężczyzny, pomyślały podniecone, wyruszając do Grace. Przekazą jej nalewkę wraz z entuzjastyczną opinią o wykwintnym gościu Celi.

Celia czekała, aż dżentelmen o niewymawialnym nazwisku zostanie wprowadzony do salonu. Wygładziła spódnicę niebieskiej popołudniowej sukni i stała ze złożonymi rękami, nie wiedząc, czego oczekiwać. Jednak nic nie mogło jej przygotować na nieodparty wdzięk hrabiego Cesarego di Marcantonio. Ledwie stanął w drzwiach, wypełnił pokój swoim szerokim, zaraźliwym uśmiechem, ciepłym spojrzeniem i miodowo-limonkowym zapachem wody kolońskiej. Celia była oszołomiona, nie spodziewała się zobaczyć tak fascynującego mężczyzny. Podszedł do niej, ujął jej wyciągniętą rękę i kłaniając się ceremonialnie, złożył na niej pocałunek. Przedstawiając się, zajrzał ciemnozielonymi oczami głęboko w jej oczy, przykuwając je na dłużej do siebie. Celi przemknęło przez myśl, że nigdy nie spotkała mężczyzny, który emanowałby taką pewnością siebie.

– Proszę usiąść – powiedziała, wskazując gestem na sofę. Ubrany w nienagannie skrojony szary garnitur z żółtą kamizelką i odpowiednio dobranym jedwabnym krawatem, wybrał sofę, oparł się o poduszki i założył nogę na nogę, odsłaniając prążkowane skarpetki i wyglansowane sznurowane półbuty. – Mogę zaproponować coś do picia? Może filiżankę herbaty albo coś mocniejszego? Mój mąż zwykł pić whisky o tej porze.

– Whisky z lodem, poproszę.

O'Sullivan skinął głową i wyszedł.

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę? – spytała Celia, ale domyśliła się, dlaczego przyszedł; nie mogło być innego powodu.

– Jestem zainteresowany kupnem pani pięknego domu – odparł.

Celia zarumieniła się z emocji. Decyzję o sprzedaży podjęła w styczniu, ale

jakaś cząstka niej nie przyjmowała tego do wiadomości. Nadal tliła się w niej isierka nadziei, że Aurelius Dupree ze swoimi żądaniami oraz ogromne długi Archiego – po prostu znikną. A oto siedział przed nią bogaty zagraniczny hrabia, który przybył, żeby ożywić jej lęki.

– Rozumiem – powiedziała, spuszczać wzrok.

Nastąpiła krótka przerwa, ale zdawało się, że trwa minuty. Wyraz twarzy hrabiego złagodniał pod wpływem współczucia.

– Przykro mi z powodu pani straty – rzekł cicho.

– Której? – Celia uśmiechnęła się gorzko.

– To straszne stracić ojca.

– I męża. Straciłam ich obu.

– A teraz traci pani dom. – Pokręcił głową, na jego przystojnej twarzy malowało się zrozumienie. – Jest pani piękną, młodą kobietą. Gdybym nie był żonaty, kupiłbym ten zamek i ofiarował go pani.

Celia się roześmiała. Gdyby nie jego uroczy zagraniczny akcent, słowa zabrzmiałyby dwuznacznie.

– A gdzie przebywa pańska żona? – spytała, mając nadzieję powściągnąć jego zapal do flirtu.

– Hrabina została w Nowym Jorku. Mieszkamy tam.

– Czy to przypadkiem nie pan złożył mi ofertę ubiegłego lata?

– Zrobił to w moim imieniu mój prawnik, pan Beaumont L. Williams.

– Tak, pamiętam. Musi więc panu niezwykle zależeć.

– Moja żona bardzo pragnie posiadać ten zamek, pani Mayberry. Dowiedziawszy się, że jest na sprzedaż, powiedziała, że pragnie go mieć bardziej niż cokolwiek na świecie. A więc kupię go dla niej, nie zważając na koszty. – Rozejrzał się po pokoju. – Teraz już ją rozumiem. Zamek jest przepiękny.

– Widziała go?

Hrabia zmarszczył brwi.

– Oczywiście – odpowiedział, ale nie wyglądał na przekonanego. – To sławny zabytek, nieprawdaż?

– Należy do mojej rodziny od siedemnastego wieku. Utrata go złamie mi serce. Pokolenia Deverillów traktowały go jak skarb; czuję, że ich zawiodłam. Zapiszę się w rodzinnej pamięci jako ta, która oddała go w obce ręce.

– Będziemy go kochać i o niego dbać, pani Mayberry. Może być pani tego pewna.

– Nie mam co do tego wątpliwości – powiedziała cicho, nadal z niechęcią akceptując fakt, że musi sprzedać zamek.

Do pokoju wszedł O'Sullivan z whisky dla hrabiego, a za nim pani O'Connell z czajniczką świeżo zaparzonej herbaty dla Celi. Hrabia poczekał, aż służba wyjdzie, po czym zamieszał lód w szklance i oświadczył:

– Złożę ofertę, której nie będzie pani mogła odrzucić. Zapłacę więcej niż ktokolwiek w Europie. Rozumie pani, moja żona bardzo go pragnie i żadne inne miejsce nie wchodzi w grę. Hrabina chce mieć właśnie ten zamek. Zatrzyma służbę. Nikt nie straci pracy. Wszystko przebiegnie płynnie.

Celia czuła się zakłopotana. Cóż takiego zainspirowało hrabinę, że tak bardzo pragnie posiadać właśnie ten zamek?

– Czy pańska żona tu kiedyś była? – indagowała.

Wzruszył ramionami i znów jego twarz wyrażała niepewność.

– Zawsze marzyła o irlandzkim zamku, a ten jest wyjątkowy. Ma fascynującą długą historię, a jednocześnie został w pełni zmodernizowany. Nie sądzę, żeby można było to powiedzieć o znakomitej większości irlandzkich zamków. – Rozejrzał się po pokoju. – Irlandzkie zamki na ogół nie są wiele warte, ale ten na ich tle się wyróżnia. To pani zasługa, pani Mayberry. Jestem potomkiem hrabiów Montblanca i książąt Barberinich, rodziny papieża Urbana VIII, potrafię więc docenić zarówno piękno, jak i jakość, gdy je widzę.

– Czy zamierzają państwo tu zamieszkać?

– Za jakiś czas, tak. Hrabina oczekuje naszego pierwszego dziecka. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Zostanę ojcem. Jestem bardzo szczęśliwy.

– Moje gratulacje – wybrnęła Celia. Zazdrościła hrabinie jej niezmiernego bogactwa i szczęścia. Był czas, nie tak odległy, gdy ona też je posiadała, ale okrutny los gwałtownie ją ich pozbawił. – Czy udał się pan w tak długą podróż z Ameryki tylko po to, by osobiście zobaczyć zamek?

Ten cudzoziemiec, którego żona tak bardzo pragnęła posiadać zamek, pomimo że prawdopodobnie nigdy w nim nie była, wzbudził ciekawość Celi. Wyczuwała w tej sytuacji coś podejrzanego.

Hrabia usiadł prosto, pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, patrząc na Celię spod lśniących włosów, które opadły mu na czoło.

– Chciałem porozmawiać z panią osobiście, pani Mayberry. Oczywiście, również zamierzałem obejrzeć zamek. Nie chciałem tak ważnego zakupu dokonywać na odległość, tylko za pośrednictwem prawnika. Wiedziałem, że to rodowa posiadłość, a więc uważałem, że byłoby uprzejmie spotkać się z panią osobiście. Rozumiem pani opory w kwestii sprzedaży, ale zapewniam, że będziemy o tę posiadłość dbać.

Celia zastanawiała się, czy czytał brytyjskie gazety, w których pełno było plotek o bankructwie jej ojca oraz spekulacji, że będzie zmuszona sprzedać zamek. Nie zamieszczono w nich jednak fotografii zamku. Dlaczego więc hrabina tak się nim zachwyciła?

– Może oprowadzę pana po zamku, hrabio? – zaproponowała.

– Jeśli może pani poświęcić mi czas.

– Mogę. – Westchnęła, wstając. – Mam mnóstwo czasu.

Celia najpierw oprowadziła hrabiego po wnętrzach. Pokazała mu wspaniałe pokoje, troskliwie odbudowane i odnowione po pożarze, meble i obrazy, które kupiła we Włoszech, a które szczególnie mu się spodobały, ponieważ z pochodzenia był Włochem. Opowiadała mu o historii, a przynajmniej o tych wydarzeniach, które znała, a on kiwał głową i z uwagą słuchał, jakby chciał wszystko zapamiętać. Celia, obserwując, jak omiata wszystko rozgorączkowanym wzrokiem, pomyślała, że chwając jej gust i podziwiając splendor architektury, jednocześnie wyobraża sobie, jak to będzie, kiedy tu zamieszka. Dziwiło ją, że cudzoziemiec, niemający żadnych związków z Irlandią, chce się tu przeprowadzić. Krajobraz jest piękny, bezsprzecznie, ale zimy bywają chłodne i wilgotne. Ale przede wszystkim, czy nie będzie im brakować atrakcji Nowego Jorku? Wyobrażała sobie hrabinę jako żywiołową, zadziorną Włoszkę o donośnym głosie i krzykliwym guście. Widziała, jak ubrana w futro i perły energicznym krokiem przemierza hol, pokrzykując na służbę. Oczywiście, taka wizja była całkiem nieuzasadniona, ponieważ hrabia był gustownie ubrany i miał nienaganne maniery. Może przemawiała przez nią zazdrość, która niechętnie nastawiła ją do tej kobiety?

Ogrody oblewało ostre wiosenne słońce. Ptaki ćwierkały na drzewach, które zaczynały się zielenić fosforyzującą jaskrawością świeżych liści. Płatki jabłoni fruwały na wietrze jak śnieg, a mewy skrzeczały, wirując nad nimi pod kłębamii pierzastych białych chmur. W istocie był to najwspanialszy dzień na oglądanie zamku. Lśnił w całej swej krasie, a Celię ścisnęło w gardle, ponieważ wiedziała, że wkrótce nie będzie jej domem. Niebawem z całą miłością i radością, które w niego wlała, należeć będzie do kogoś innego.

Hrabia zachwycił się starannie wypielonymi rabatkami, świeżo skoszonym trawnikiem, klombami, na których kiełkowały zielone pędy, tu i ówdzie poprzątkane niebieskimi i czerwonymi plamkami niezapominajek i tulipanów. Podziwiał cisowe żywopłoty, prastare cedry i gigantyczny czerwonolistny buk, który dominował za trawnikiem do kroieta. Przechadzali się po ogrodzie warzywnym, gdzie Celia pokazała hrabiemu szklarnie, w których kiedyś bawiła się jako mała dziewczynka. Pomyślała wtedy o Kitty i poczuła ostre ukłucie w sercu. Sprzedaż ją dotknie najboleśniej, nikt nie będzie cierpieł bardziej niż Kitty. Stłumiła poczucie winy i starała się skupić uwagę na oprowadzaniu hrabiego.

Nagle ktoś ją zawołał. Natychmiast rozpoznała ten głos. Odwróciła się i zobaczyła Grace w jasnej sukience w kwiaty sunącą ku nim po trawie. Ręką przytrzymała kapelusz, żeby wiatr go nie porwał. Hrabia również się odwrócił. Kiedy Grace do nich podeszła, twarz mu rozkwitła w szerokim czarującym uśmiechu.

– Przepraszam, Celio, myślałam, że jesteś już sama. – Przekrzywiła głowę we właściwy sobie wdzięczny i zalotny sposób, dzięki któremu zdobyła wiele serc i tyleż samo złamała.

– Myślałam, że jesteś przeziębiona. – Zdziwiła się Celia.
– Och, Krzaczki zawsze przesadzają. Czuję się doskonale. – Popatrzyła na hrabiego i się uśmiechnęła. – Przepraszam, że przeszkodziłam – dodała, podając mu rękę.

Hrabia skłonił się, ujął jej dłoń i pocałował.

– Hrabia Cesare di Marcantonio – przedstawił się, a jego słowa, jak się zdawało, spłynęły na nią niczym rozkoszna fala, ponieważ zadrżała z zachwytem.

– *È un grande piacere conoscerlei*[12] – odpowiedziała i obydwójce się uśmiechnęli, jakby nagle osiągnęli wzajemne zrozumienie.

Celia ze zdumieniem obserwowała bezwstydnie flirtującą Grace. Hrabia, który przed chwilą czarował Celię, teraz całą uwagę skupił na Grace. Celia doszła do wniosku, że od razu rozpoznał w Grace bratnią epikurejską duszę.

– Przedstawiam panu lady Rowan-Hampton – powiedziała, a hrabia obdarzył Grace długą pieśczętą swych ciemnozielonych oczu.

– Jakże miło oglądać Castle Deverill w tak piękny dzień! – kontynuowała Grace, lekko zdyszonym głosem.

– Właśnie stwierdziliśmy to samo. – Hrabia zaśmiał się cicho, jakby zaskoczony własnym szczęściem. – Czy wszystkie kobiety w Irlandii są tak piękne jak dwie obecne tu *bellissime donne*? – spytał retorycznie. – Jestem tu po raz pierwszy, ale dziwię się, że nikt mnie o tym nie uprzedził, bo przyjechałbym wcześniej!

– Nie wszystkie – zauważyła ze śmiechem Grace. – Mam wrażenie, że zobaczył pan najlepsze, co Zachodni Cork ma do zaoferowania.

Powoli zbliżali się do stajni.

– W Castle Deverill odbywały się najwspanialsze polowania – ciągnęła Grace. – Lord Deverill miał najznakomitszych łowczych. Czy pan jeździ konno, hrabio?

– Oczywiście, grywam w polo. W Southampton trzymam kilka koni.

Ta odpowiedź głęboko usatysfakcjonowała Grace.

– Cóż to za ekscytująca gra!

– Dorastałem w Argentynie, a tamtejsze konie nie mają sobie równych na świecie.

– Domyślam się, że również jeźdźcy – dopowiedziała Grace.

– Nie myli się pani. Ale jestem zbyt skromny, żeby się przechwalać. – Uśmiechnął się szeroko, pokazując garnitur lśniących zębów.

– Och, w naszym towarzystwie nie musi pan się krygować, nieprawdaż, Celio? Nie mamy nic przeciwko drobnym przechwałkom.

– Hrabia di Marcantonio przybył obejrzyć zamek, ponieważ chce go kupić – wyjaśniła Celia, mając nadzieję, że odpowiednio do okoliczności Grace powściągnie swoje zachowanie, ale ta tego nie uczyniła. Jej skośne kocie oczy

rozszerzyły się, a oddech przyspieszył w nieskrywanym podnieceniu, że tak olśniewający cudzoziemski arystokrata zamieszka w Castle Deverill.

– Najpierw muszę przekonać panią Mayberry, że jestem odpowiednią osobą do opieki nad tym historycznym zabytkiem. Być może pani, lady Rowan-Hampton, potrafi oceniać ludzi i pomoże mi ją przekonać?

– Zrobię co w mojej mocy dla dobra was obojga – obiecała Grace, ale nawet nie zerknęła na Celię. Oczywiście miała utkwione w hrabim.

Celia kontynuowała oprowadzanie hrabiego, chociaż wolałaby, żeby Grace zrobiła to za nią. Tych dwoje paplało jak para nastolatków na randce. Ciekawe, czy obydwójce są świadomi, że mają współmałżonków. Nawet jeśli tak, widać nie miało to dla nich znaczenia. Hrabina była w Ameryce, sir Ronald zaś... no cóż, mógł być wszędzie, byle nie w Ballinakelly.

W końcu Celia zgodziła się rozważyć propozycję hrabiego. Ale pod jednym warunkiem.

– Słucham? – powiedział, unosząc brwi.

– Na terenie posiadłości znajdują się dwa domy wynajmowane przez moją rodzinę, lorda Deverilla i jego córkę Kitty Trench. Sprzedam zamek tylko wtedy, jeśli uzyskam zapewnienie, że oba te domy nadal będą im wynajmowane za obecną stawkę. Zamierzam umieścić w umowie klauzulę, że zawsze będą mieli prawo pierwszeństwa wynajmu Hunting Lodge oraz White House.

Hrabia wzruszył ramionami.

– Myślę, że nie będzie z tym problemu. Mojej żonie zależy przede wszystkim na zamku.

– A gdy będzie pan nad tym rozmyślał, może wieczorem przyszedłby pan na kolację? – zasugerowała Grace. – Celio, mam nadzieję, że również przyjdiesz. Zaproszę kilkoro miłych ludzi, żeby pan ich poznał. Gra pan w brydża?

– Oczywiście – odpowiedział.

– Cudownie. Gdzie się pan zatrzymał, żebym mogła wysłać zaproszenie?

– W hotelu Vickery's Coaching Inn w Bantry.

Grace uśmiechnęła się szerzej.

– Jeśli zamierza pan tu zamieszkać, powinien pan poznać sąsiadów.

Raz jeszcze ucałował ich dłonie i się skłonił.

Stojąc na schodach, patrzyły, jak wsiada do taksówki i odjeżdża.

– Wielkie nieba, cóż za atrakcyjny mężczyzna! – uniosła się Grace. – Szczęściara z jego żony.

– Sądząc po tym, jak z tobą flirtował, nie byłabym taka pewna, czy jest z nim bardzo szczęśliwa. Nie miałabym do niego zaufania.

– Och, tacy są Włosi! Brak możliwości flirtu odbierają jak odcięcie od tlenu – powiedziała lekko Grace. Ale policzki miała zarumienione, a jej brązowe oczy lśniły. Hrabia Cesare di Marcantonio może okazać się tym mężczyzną, który

wyleczy ją z obsesji na punkcie Michaela Doyle'a. W myślach już była w królewskim apartamencie w Vickery's Coaching Inn w Bantry. – Przykro mi, że musisz sprzedać zamek, Celio – dodała. – Naprawdę. – Przykryła rękę Celi swoją dłonią.

– Chce go kupić dla żony – wyjaśniła Celia. – Zachodzę w głowę, dlaczego jakaś włoska hrabina uparła się, by zamieszkać w Ballinakelly. Mieszkają w Nowym Jorku. O ile dobrze rozumiałam, nigdy nie widziała tego zamku.

– Przyznaję, że to dziwne – zgodziła się Grace, chociaż w gruncie rzeczy jej to nie obchodziło. – Miło z twojej strony, że tak się troszczysz o Bertiego i Kitty.

– Czuję się winna – przyznała Celia.

– Za co? Że ocaliłaś zamek, a potem go straciłaś? Gdyby nie ty, nigdy nie zostałyby odbudowany. Nikt nie byłby tak szalony, żeby się na to porywać.

– I spójrz, dokąd mnie to zaprowadziło!

– Będziesz jeszcze bogata – pocieszyła ją Grace, tym razem poważnie. – Ten hrabia zapłaci fortunę. Ma więcej pieniędzy niż rozumu, to pewne. Nie przyjmuj pierwszej oferty. Możesz zyskać więcej, o wiele więcej. Jeśli jego żona tak się uparła na ten zamek, zapłaci jego trzykrotną wartość. To stary naciągacz. – Grace się roześmiała.

– Co masz na myśli? Myślałam, że ci się podoba.

– Owszem, podoba, ale mnie nie oszuka. Mam nosa do mężczyzn. Od razu rozpoznaję pozera. Ale faktycznie, jest na czym oko zatrzymać. – Wzięła Celię pod ramię. – Wejźmy do środka, napijmy się herbaty i opowiesz mi, jak ten hrabia w ogóle dowiedział się o istnieniu zamku.

Celia westchnęła, gdy wchodziły do holu.

– Obawiam się, że nie znam odpowiedzi.

Grace zmrużyła oczy.

– A więc będziemy musiały to sprawdzić.

12 Bardzo mi miło, że mogę pana poznać (wł.).

Rozdział 28

Adeline stała przy łóżku Stoke'a i obserwowała, jak jego ciężki oddech powoli wchodzi i z głośnym rżeniem opuszcza jego ciało. Skóra starego mężczyzny z wolna traciła kolory życia, przybierając zielonkawą barwę śmierci. Wąsy, kiedyś majestatyczne jak rozpostarte skrzydła łabędzia, teraz opadły, a fioletowe cienie zagościły w miejscach, gdzie dawniej były policzki. Adeline wiedziała, że czas Stoke'a się kończy, ponieważ jego syn Digby, wnuk George oraz inni członkowie jego rodziny, którzy dawno temu odeszli, przybyli, żeby zabrać go do domu. Adeline się uśmiechnęła; gdyby ludzie wiedzieli, że nie umierają w samotności, śmierć by ich tak nie przerażała.

Augusta siedziała przy łóżku i osuszała oczy chusteczką. Maud przysiadła na skraju materaca, Leona i Vivien stały natomiast przy oknie, zastanawiając się, ile to potrwa, ponieważ miały coś w planach. Beatrice nadal marniała w Deverill Rising, nie zdając sobie sprawy z ogromu długów zmarłego męża. A gdy ona chowała głowę pod kołdrą, jej zięciowie walczyli o utrzymanie domów. Nie mieli wielkich szans na sukces.

– To powinnam być ja – chlipała Augusta. – Stale walczyłam ze śmiercią. W końcu dopadnie mnie zniecka...

– Przeżyjesz nas wszystkich – powiedziała Maud.

– Bóg byłby okrutny, gdyby skazał mnie na długowieczność! To okropne przebywać tutaj, gdy wszyscy moi przyjaciele są już tam, na górze. – Wzniosła oczy do nieba. – Myślę, że właśnie odchodzi. Przestał oddychać. – Leona i Vivien pospieszyły do łóżka. Ale Stoke zakrztusił się i gwałtownie zaczerpnął powietrza. – Och, znów wrócił! – Augusta się rozplakała. – Nie sądzę, żeby chciał odejść.

Chciałby, gdyby wiedział, dokąd idzie, pomyślała Adeline. Ale Stoke kurczowo trzymał się życia jak alpinista, który zaczepia paznokcie o skalną krawędź i boi się puścić. Adeline przesunęła dłonią po czole umierającego.

– Chodź! – szepnęła. – Złapiemy cię.

Stoke otworzył oczy. Ze zdziwieniem patrzył na otaczające go twarze. Twarze, których od dawna nie widział.

– Digby... George! – wykrztusił, wyciągając rękę.

Augusta wstrzymała oddech i przestała płakać. Maud, zdumiona, otworzyła usta. Leona spojrzała na Vivien i zagryzła wargę. Oczy Vivien błyszczały od łez. Teraz żadna z wnuczek Stoke'a nie chciała być gdzie indziej.

Augusta zaniemówiła, zachłysnęła się powietrzem i przycisnęła chusteczkę do ust. Twarz Stoke'a pojaśniała szerokim uśmiechem, cienie zniknęły, a wąsy

wróciły do życia. Adeline przyglądała się, jak Digby i George biorą go za ręce i unoszą do góry. W otoczeniu ukochanych ludzi odszedł ku światłu. Adeline obserwowała, jak znikają w przestrzeni. Na chwilę przed tym Digby odwrócił się do Adeline i puścił do niej oczko.

– Umarł – stwierdziła Maud, przypatrując się martwej twarzy Stoke’a.

– Myślicie, że naprawdę zobaczył Digby’ego i George’a? – spytała Augusta, trzęsącą się ręką ściskając chusteczkę.

– Myślę, że tak, babciu – powiedziała Leona, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Jestem tego pewna.

– Mam nadzieję, że po mnie też przyjdą, gdy nadejdzie moja kolej – wyznała Augusta. Spojrzała na Maud i uśmiechnęła się ze smutkiem. – Nie byłam taka niedobra, prawda?

– Nie, nie byłaś, Augusto. Nie gorsza niż reszta z nas.

– Naprawdę mam nadzieję, że Stoke zajmie dla mnie miejsce tam na górze.

To już nie potrwa długo...

Leona przewróciła oczami do siostry, która stłumiła śmiech.

– Augusto, przewidujesz swoją śmierć od dwudziestu lat – zauważyła Maud pobłażliwie.

– A więc bardzo się spóźnia, czyż nie? – Podniosła się z krzesła, a Vivien podała jej laskę. – Tymczasem życie płynie dalej, nawet bez mojego ukochanego Stoke’a. Chodźmy coś zjeść. Nie zamierzam umrzeć z głodu!

Po powrocie do Castle Deverill Adeline złożyła Hubertowi relację ze śmierci Stoke’a.

– To przywilej tak umrzeć – skwitował smutno. – Co za przekleństwo umrzeć tak jak ja!

Adeline nie mogła temu zaprzeczyć. To prawda, nad nieszczęsnymi lordami Deverillami wisiało przekleństwo.

*

Celia siedziała przy oknie, zapatrzona w czerń nocy. Chmury zakryły gwiazdy i zasłaniały przed wścibskim okiem księżycy jej niedolę. Czuła się samotna i przerażona. Nikomu nie mogła się zwierzyć, do nikogo zwrócić po radę. Sprzeda zamek, kupi sobie coś skromniejszego do mieszkania, możliwie jak najbliżej Ballinakelly, i spłaci długi Archiego. Ale na myśl o Aureliusie Dupree i kupowaniu jego milczenia przeszywał ją dreszcz. Nie mogła pozwolić, żeby rozgłosił swe dziwaczne żądanie, ale uleganie szantażowi klóciło się z jej wewnętrznym instynktem. Ojciec nie tolerowałby takiego ataku.

Przyciągnęła kolana do klatki piersiowej, objęła je ramionami, oparła czoło w zagłębieniu łokci i zamknęła oczy. Och, żeby cała ta żalonna sprawa po prostu znikła! Zapadając w sen, znalazła ukojenie we wspomnieniach. Przypomniła

sobie, z jakim podnieceniem odbudowywała zamek i pełnego werwy pana Leclaire'a, który roztaczał przed nią oryginalne plany i pomysły; wspaniała podróż po Europie, którą cieszyli się razem z Archiem, wybieranie mebli i dzieł sztuki do upiększenia wnętrza. Wspominała dumę Archiego, zadowolenie ojca, ekscytację matki, zazdrość sióstr, aż łzy przecisnęły się przez zaciśnięte rzęsy i spłynęły jej na policzki. Wtedy pomyślała o Kitty, Harrym i Bertiem. Jeśli ona tak cierpi z powodu sprzedaży zamku, co oni czuli, gdy go kupiła? Nigdy nie przyszło jej do głowy, że sprawia im ból. Oczekiwała po nich, że będą dzielić jej radość, ale czy mogli? Dopiero teraz zrozumiała, jakie to musiało być dla nich trudne, jak mężnie to znosili. Poczowała wstyd. Była samolubna, egoistyczna, arogancka. Maud, Victoria i Elspeth nie miały emocjonalnego stosunku do tego miejsca, ale Kitty... Na tę myśl serce Celi weszło współczuciem i smutkiem. Kitty kochała ten zamek bardziej niż ktokolwiek, bardziej niż ona. Jakże musiała cierpieć!

Z tymi myślami Celia zasnęła na siedzisku przy oknie. Chmury przeredziły się i w końcu księżyc lśnił jasno, wlewając srebrne światło przez okno sypialni. Śnił jej się ojciec. Otaczał ją ramionami, zapewniając, że nie jest sama, ponieważ on będzie przy niej zawsze. Ale gdy spojrzała na niego, zobaczyła twarz jakiegoś potwora, tak straszną, że raptownie się obudziła. Uniosła głowę z kolan i oszołomiona rozglądała się po ciemnym pokoju. Nieprzeniknione chmury zaczerniały niebo i czuła zimno oraz sztywność członków. Wierzchem dłoni wytarła łzy z twarzy. Podeszła do łóżka, odsunęła koce i się położyła. Była zbyt zmęczona, żeby myśleć o Aureliusie Dupree. Zbyt zmęczona, by myśleć nawet o ojcu. Pomyśli o nich jutro. Inne kobiety złożyłyby broń i zapłaciły albo zalewałyby się łzami, ale z Celi zaczął z wolna wychodzić charakter Deverillów. Zrozumiała, że jedynym sposobem ustalenia prawdy – i oczyszczenia imienia ojca – jest podróż do Południowej Afryki.

Głowa opadła jej na poduszkę i ponownie znalazła się w objęciach snu.

*

Dziesięć dni później Celia popłynęła statkiem do Kapsztadu.

– Czy ona oszalała? – powiedział Boysie do Harry'ego, gdy siedzieli przy swoim ulubionym stoliku w White's, ciesząc się lunchem.

– Chyba tak – odparł Harry. – Była bardzo tajemnicza. Nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Bąknęła tylko, że ma coś ważnego do załatwienia.

– Musi to być bardzo ważne, skoro zdecydowała się przebyć pół świata! – Boysie popijał swoje sauvignon. – Co, u diabła, jej się stało? To niepodobne do niej, żeby miała przed nami tajemnice.

– Kitty mówi, że jakiś strasznie bogaty cudzoziemiec kupuje zamek wraz z całym inwentarzem – obwieścił Harry. – Nie mogę powiedzieć, żeby to była dla mnie niespodzianka, ale współczuję Celi. Ten zamek jest przeklęty.

Boysie pokręcił głową.

– To nie zamek jest przeklęty, stary, tylko ty i twoja rodzina.

– Nonsens, to głupia historia wymyślona przez Adeline. Ona wierzyła w całą masę nieprawdopodobnych rzeczy. Wiesz, że nawet wierzyła we wróżki? – Dwaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. – Słowo daję! Twierdziła, że widzi w ogrodzie jakieś świetlne duszki.

– Twoja rodzina jest wielce ekscentryczna.

– Po stronie babci – podkreślił Harry. – Spójrz choćby na Krzaczki.

– Rozumiem. One pewnie też widzą umarłych, czyż nie?

– To byłoby dla nich zbyt przerażające. Ledwie dają sobie radę z żywymi. Ten lord Hunt przysporzy im tylko niepotrzebnych kłopotów. Kitty twierdzi, że złamie im obu serce.

– To chyba mało prawdopodobne w ich wieku. Nie są trochę za leciwe na takie głupoty?

– Można by tak myśleć. – Harry wytarł usta serwetką. – Najwyraźniej Celi udało się wynegocjować od tego cudzoziemca słoną sumkę. Odrzuciła jego pierwszą ofertę i zmusiła go, aby ją podniósł. Pokusiłbym się o stwierdzenie, że niezwykle mu zależy na tym miejscu. Albo jego żonie. Kupuje zamek dla niej, rozumiesz.

– Odkąd to Celia stała się taką kobietą biznesu? – Boysie zaśmiał się gromko.

– Może ma w sobie więcej z ojca, niż zdawała sobie sprawę?

– Ale to dobrze. Należy jej się jak najwięcej za ten zamek. Razem z nim sprzedaje swoje serce.

Harry zmarszczył brwi.

– Bardzo smutne.

– Razem z tym zamkiem sprzedaje też nasze serca – dodał Boysie, odstawiając kieliszek.

– Nie moje – powiedział cicho Harry. – Moje serce należy do ciebie, Boysie. Zawsze będzie. – Spojrzeli na siebie przez stół z nagłą powagą.

– Ty też masz moje, Harry – odpowiedział Boysie. Potem odwrócił wzrok. Nie było sensu robić aluzji do hoteliku w Soho. Harry nie zmienił zdania. Muszą zaakceptować sprawy takimi, jakimi są.

*

Celia stała na pokładzie Carnarvon Castle, motorowego statku pasażerskiego o długości ponad dwustu metrów, który płynął do Kapsztadu, i oparta o barierkę wpatrywała się w ocean. Zastawiła biżuterię, żeby opłacić tę siedemnastodniową podróż do Południowej Afryki. Rzeczywiście czekała ją długa podróż, ale nie aż tak długa jak duchowa droga, którą sama przebyła. Przypomniała sobie młodą

kobietę, sprzed zaledwie roku – dziewczynę, której nawet w głowie nie powstała myśl, że popłynie kiedyś statkiem przez pół świata w poszukiwaniu prawdy o przeszłości swego ojca. Tamta dziewczyna nie mogłaby sobie wyobrazić nawet połowy tych zdarzeń, które miały miejsce w ciągu ostatniego roku. Straciła ojca, męża i dom, w dodatku szantażował ją mężczyzna, który twierdził, że jej ojciec był mordercą. Tego większość ludzi nie zdołałaby znieść. Ale Celia nie należała do większości – należała do Deverillów i zaczynała się uczyć, co to znaczy.

Patrząc w dół na wodę, która bulgotała i pienila się, gdy szary kadłub statku pruł z prędkością dwudziestu węzłów, doznawała przypływu radości. Wiatr rozwiewał jej włosy i smagał po twarzy, odpędzając od niej przygnębienie. Czuła w sobie narastającą siłę jak w pompowanym balonie – siłę, która przepęniała ją pewnością siebie i budziła optymizm. Na gruncie rozpaczony wykiełkowała w niej nadzieja. Była z rodu Deverillów, a Deverillowie nie dawali za wygraną. Tragedia mogła odebrać wszystko, co było jej drogie, ale nie mogła złamać jej ducha. Tego nic jej nie odbierze. Czyż Kitty nie powiedziała, że ci, których kochamy i tracimy, tak naprawdę nigdy nas nie opuszczają? Wystawiła twarz na wiatr i po raz pierwszy od miesięcy nie czuła się samotna.

Eleganckim liniowcem podróżowało dwieście szesnaścioro pasażerów w pierwszej klasie i dwa razy tyle w drugiej. Wśród tych pierwszych był słynny irlandzki tenor, Rafael O'Rourke, który rozpoczął światowe tournée. Był lekko po czterdziestce, miał wygląd melancholijnego romantyka, jasne oczy koloru irlandzkiego poranka i powłóczyście spojrzenie amanta filmowego. Celia z wielkim podnieceniem odkryła, że chętnie śpiewa dla pasażerów pierwszej klasy. Wieczorami po kolacji dawał recitale przy akompaniamencie pianisty z okrętowej orkiestry, podczas gdy dżentelmeni i damy sączyli szampana i koktajle przy małych, okrągłych stolikach w barze. Świece jaśniały miękkim światłem, lampy wygaszono i Celia, racząc się alkoholem, mogła zapomnieć o swoich kłopotach. Rafael śpiewał o miłości i stracie, a jego głos współgrał jak echo z jej najgłębszymi pragnieniami. Siedziała w kącie, sama przy stoliku, pozwalając, aby muzyka łagodziła niezagojone rany zadane przez rozpacz.

Pokład pierwszej klasy był przestronny i komfortowy, z luksusowymi apartamentami i gustownie umeblowaną przestrzenią publiczną. Celia spędzała dni w salonie, czytając książki albo grając w brydża z innymi pasażerami, których powoli zaczynała poznawać. Szybko została przygarnięta przez parę starszych ludzi, którym nazwisko Deverill nie było obce.

– Każdy, kto wie coś o Południowej Afryce, słyszał nazwisko Deverill – wyjaśnił Leonard Akroyd, gdy się poznali. – Edwina i ja mieszkamy w Kapsztadzie od czterdziestu lat. Lucky Deverill to jedna z wielkich postaci, które pamiętam z przeszłości. – Gdy Celia powiedziała, że Digby Deverill był jej ojcem, zaprosił ją do ich stolika do końca podróży. – Pani ojciec wyświadczył mi kiedyś wielką

przysługę, a więc chętnie skorzystam z okazji, żeby mu się za to zrewanżować, pilnując jego córkę. – Uśmiechnął się miło, podczas gdy żona uważnie przyglądała się Celi. – Pozwoli pani, że opowiem... – I zagłębił się w długą i nudną opowieść o poplamionej koszuli i pożyczeniu świeżej.

Celia zwracała uwagę na Rafaela O'Rourke'a za każdym razem, gdy się pojawił w salonie czy restauracji, ponieważ jego urok osobisty i przyjazny uśmiech poprawiał jej nastrój. Zawsze otaczali go ludzie, którzy jak podejrzewała, byli częścią jego świty. Pasażerowie tłoczyli się wokół sławnego artysty, by z nim zamienić choć słowo; zdawało się, że jedynym miejscem, gdzie mógł zaznać prywatności, jest jego własny apartament. Siedział, paląc, czytając gazety albo rozmawiał z mężczyznami w eleganckich garniturach. Co chwila przyłapywał ją, że na niego zerka z drugiego końca sali, a wtedy Celia czuła, że się rumieni, i czym prędzej spuszczała wzrok. Nie miała ochoty nawiązywać z nim romansu tak jak inne kobiety, jedynie wzbudzał jej ciekawość.

Dziwne, ale zaczęła zauważać te chwile, gdy nie było go w pobliżu. Wtedy czuła, że ma mniej energii i jakąś pustkę wokół siebie, pomimo że otaczała ją mnóstwo ludzi. Nastrój jej opadał z powodu rozczarowania, aż do chwili gdy Rafael O'Rourke pojawiał się w jej polu widzenia. Wtedy wstępowało w nią osobliwe ożywienie, które wprawiało ją w dezorientację, a nawet lekki niepokój. Czy to w porządku, żeby tak szybko po śmierci męża jakiś mężczyzna tak na nią działał? Szarpana wyrzutami sumienia, wycofywała się w głąb salonu i wysłuchiwała kolejnych nużących anegdotek sir Leonarda albo z ulgą oddawała się grze w karty.

Na pięć dni przed końcem podróży Celia była jedyną kobietą w pierwszej klasie, która nie poznała osobiście Rafaela O'Rourke'a. Nie było więc nic zaskakującego w tym, że pewnego wieczoru odnalazł ją na pokładzie po kolacji i sam jej się przedstawił. Nie ma nic bardziej atrakcyjnego dla sławnego i rozchwytywanego mężczyzny, takiego jak Rafael O'Rourke, niż kobieta, która trzyma się na uboczu. Oparł się o balustradę obok Celi i poczęstował ją papierosem. Uśmiechnęła się do niego zaskoczona i wzięła jednego.

– Dziękuję – powiedziała, wkładając papierosa do ust.

– Tu jest tak miło i spokojnie – zauważył, a jego wyraźny irlandzki akcent wzruszył ją i sprawił, że nagle zatęskniła za domem. Odwracając się od wiatru, zapalił zapalniczkę. Celia musiała mocno się pochylić i otoczyć dłońmi płomieniem. Dwa razy zgasł, za trzecim razem Rafael rozchylił marynarkę, żeby uchronić ogień przed wichrem. Było coś bardzo intymnego w sposobie, w jaki pochyliła się ku niemu; na szczęście w ciemności nie mógł zobaczyć jej rumieńca, gdy się zaciągała. W końcu cofnęła się i oparła łokieć o barierkę.

– Pięknie pan śpiewa, panie O'Rourke, ale zapewne słyszy to pan od wszystkich – wyznała, mając nadzieję, że jej głos brzmi spokojnie i pewnie. – Ale

pański śpiew jest jak balsam na moją skołataną duszę.

– Nie uszło mojej uwadze, że podróżuje pani sama.

– To prawda.

Omiótl czułym spojrzeniem jej twarz.

– Mogę spytać, czemu taka piękna kobieta podróżuje sama?

Roześmiała się, zastanawiając, ileż razy zwrócił się w ten sposób do obcych kobiet, które spotkał podczas swoich wojaży.

– Ponieważ mój mąż nie żyje, panie O'Rourke.

Wyglądał na wstrząśniętego.

– Pani mi wybaczy. Nie powinienem był pytać. – Odwrócił się do morza i wpatrywał w ciemność.

– Proszę nie przeproszać. Nic się nie stało. Przyzwyczajam się do samotnego życia.

Zerknął na nią i uśmiechnął się szeroko.

– Nie będzie pani długo sama.

– Gdyby sir Leonard postawił na swoim podczas całej podróży, nie miałabym chwili dla siebie. On i jego żona wzięli mnie pod swoje skrzydła.

– Ale udało się pani tutaj wymknąć.

– Tak, rzeczywiście. Oni są bardzo mili i mają dobre intencje, ale czasem człowiek potrzebuje trochę czasu dla siebie. Z pewnością pan rozumie, co mam na myśli. Zauważyłam, że pan również rzadko ma chwilę spokoju.

Uśmiechnął się znowu.

– A więc zwróciła pani na mnie uwagę, nieprawdaż? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Ponieważ ja zauważyłem panią już pierwszego dnia i od tej pory przykuwa pani mój wzrok. Widzę, kiedy pani wchodzi i wychodzi. – Celia wydmuchała dym i przyglądała się, jak rozplywa się w ciemnościach. – Chciałbym pani coś pokazać. Zechce mi pani towarzyszyć? – spytał.

– To zależy...

Roześmiał się gardłowym śmiechem.

– Jestem dżentelmenem, pani...

– Nazywam się Celia Deverill – przedstawiła się. Przybrawszy swą dawną tożsamość, poczuła się pokrzepiona na duchu, nieomal tak, jakby odzyskiwała coś z tamtej dziewczyny, którą kiedyś była. – Już nie jestem panią Mayberry, rozumie pan. Może pan mówić mi po imieniu.

– A pani może zwracać się do mnie Rafi.

– Wspaniale, Rafi. Co chciałbyś mi pokazać?

Przeszli wzdłuż promenady pokładowej, aż dotarli do końca, gdzie stały rzędy leżaków. Rafael zgasił papierosa, a potem usadowił się w jednym z nich i odchylił głowę na oparcie, by popatrzeć w gwiazdy.

– Czyż nie są wspaniałe?

Celia zajęła miejsce na sąsiednim leżaku i popatrzyła na niebo.

– Wspaniałe – przyznała z westchnieniem. – Piękne. – Przypomniała sobie wpatrywanie się w niebo w Castle Deverill i poczuła mocniejszy ucisk w sercu.

– Widzisz, jestem prawdziwym dżentelmenem. – Zaśmiał się cicho.

– To prawda – zgodziła się Celia.

– Skąd jesteś, Celio?

– Z Ballinakelly w hrabstwie Cork.

– Ja pochodzę z Galway – wyznał. – Jesteśmy daleko od domu.

– Tak – potwierdziła cicho.

– Pozostało nam pięć dni drogi do Kapsztadu.

– Jesteś żonaty, Rafi?

– Ożeniłem się w wieku dwudziestu jeden lat. Mam pięcioro dzieci, wszystkie są już dorosłe. Uwierzyłabyś, że jestem już dziadkiem?

– Powiedziałaabym, że na to nie wyglądasz. Czy to chciałeś usłyszeć?

– Rzecz jasna.

Celia wstrzymała oddech, gdy wziął ją za rękę i zaczął kciukiem pieścić jej skórę. Wpatrywała się w gwiazdy, a krew pulsowała jej w skroniach. Wydawało się, że minął eon czasu, odkąd dotykał ją mężczyzna. Serce zaczęło jej walić i stopniowo zalewało ją rozkoszne uczucie ciepła, otwierając na nowo uśpione pączki jej seksualności. Gdy odwróciła się do Rafaela, wpatrywał się w nią oczami lśnącymi w świetle księżyca.

– Pięć dni – powtórzyła, odwzajemniając jego spojrzenie.

Uśmiechnął się, przykładając dłoń do jej twarzy. Pochylił się i przycisnął usta do jej ust. Pocałunek był tak czuły i zmysłowy, że łatwo mu uległa.

Pięć dni – pomyślała – to wystarczająco długo, żeby nacieszyć się tym wspaniałym kaprysem, i dostatecznie krótko, żeby wyjść z tego, nie łamiąc sobie serca. A jeśli chodzi o moją cnotę, cóż, czyż nie czas najwyższy, bym zaznała trochę radości? W końcu jestem z Deverillów.

Rozdział 29

Przez ostatnie pięć dni podróży Celia żyła jakby w innym życiu, rzucając się w gwałtowną przygodę z entuzjazmem kogoś, kto rozpaczliwie chce zapomnieć o świecie istniejącym poza burtami statku. Na tej zacisznej wyspie kabin i pokładów rozkoszowała się przelotnym romansem. Rafael O'Rourke był delikatnym i czułym kochankiem. Celia znalazła pocieszenie oraz nową energię w ramionach mężczyzny, który nie miał żadnych powiązań z jej rodziną oraz jej ostatnimi nieszczęściami. Zdołała odciąć się od osoby, którą była, i stać kimś całkowicie innym – szczęśliwą, beztroską kobietą, przypominającą tamtą niefrasobliwą dziewczynę sprzed lat.

Publicznie udawali, że są tylko znajomymi z podróży. Pozdrawiali się oficjalnie, mijając się na korytarzu albo gdy przypadkiem okazywało się, że siedzą przy sąsiednich stolikach w salonie czy restauracji. Wieczorami Rafael występował w barze, a Celia siedziała jak co dzień w kącie sali, popijając szampana i słuchając rzewnych pieśni, które śpiewał swym wspaniałym i wzruszającym głosem tylko dla niej. Na pozór byli obcymi ludźmi, ale ich oczy spotykały się, spojrzenia płonęły, a gdy w końcu zostawali sami w kabinie Celii, rzucali się na siebie z niespotykaną zachłannością.

Nocami wymykali się na fotele pokładowe i leżeli w ciemnościach, obserwując lśniący nad nimi Krzyż Południa i dzieląc się historiami z własnego życia. Gdy statek delikatnie kołysał i wiatr omiatał pokłady, leżeli objęci, a ciepło ich przytulonych ciał oraz podniecenie tych kradzionych chwil burzyło im krew w żyłach. Ale mieli dla siebie zaledwie pięć dni i wkrótce z porannej mgły wyłonił się widok Góry Stołowej, oznaczający kres podróży, a zarazem krótkiego rozdziału w ich życiu.

Celia była przekonana, że rozstanie z Rafaelem przyjmie z nienaruszonym sercem, okazało się jednak, że uzależniła się od niego emocjonalnie i towarzyszy jej narastające poczucie straty i zagubienia. Nie wiedziała wszakże, czy ten stan wynika z raptownego powrotu do rzeczywistości i niepewności, dokąd zmierza i co odkryje u kresu tej podróży, czy istotnie z powodu rozstania z kochankiem i przeświadczenia, że prawdopodobnie nigdy się już nie spotkają. Pocałował ją na pożegnanie, omiótł pieśczośliwie jej twarz zasmuconymi oczami, jakby ucząc się na pamięć jej rysów, i powiedział jej, że ze wszystkich sił spróbuje o niej zapomnieć, ażeby tęsknota nie uprzykrzyła mu reszty życia. A potem zniknął.

Celia pozostała z tym większą i bardziej krzyczącą pustką w sercu, ponieważ przez rozkoszne pięć dni Rafael ją wypełniał. Sprawił, że zapomniała, kim jest i co

nosi w sobie. Teraz znów była sama. Nie pozostawało jej nic innego, jak zaakceptować sytuację, zejść ze statku i dzielnie zmierzyć się z tym, co przyniesie los. Przetrzywała już tak wiele, przetrwa jeszcze i to.

*

W Kapsztadzie panowała wczesna jesień, ale Celia poczuła się jak w środku lata, ponieważ słońce paliło mocniej niż kiedykolwiek w Anglii. Niebo lśniło żywym kolorem niebieskiego szafiru i ani jedna chmurka nie mąciła jego perfekcyjnej czystości. Światło posiadało tę zadziwiającą płynną właściwość, tak że natychmiast Celi poprawił się nastrój; mrużąc oczy w słońcu, zapomniała o ciemności, na której zerowały jej lęki.

Miasto było uporządkowane i czyste, rzędy domków w holenderskim stylu pomalowanych na jasne kolory ciągnęły się u podnóża płaskiej góry, przypominającej stół jakiegoś giganta. Celia, która uczyniła sobie na statku zabawę z ukrywania się przed sir Leonardem i jego żoną, teraz, gdy eskortowali ją na trapie, a potem wśród falującego tłumu do ich samochodu z szoferem, była im niewymownie wdzięczna za towarzystwo. Zamierzali ją odwieźć do hotelu Mount Nelson, gdzie zatrzymywała się na jedną noc, a nazajutrz dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła na stację, skąd wyjeżdżała do Johannesburga.

Celia, choć poznała wielu amerykańskich śpiewaków jazzowych w salonie matki w Londynie, nigdy nie widziała w jednym miejscu tylu czarnoskórych ludzi. Robili niebywały rwetes, wykrzykując z zapalem w niezrozumiałym dla Celi języku, żeby ich wynajęto, proponując hotele czy zanieśenie bagażu. Długonodzy Zulusi o hebanowej skórze w oryginalnych jaskrawo kolorowych strojach, z ogromnymi ozdobami z piór i kości na głowach, oferowali przejazdy swoimi riksami, mali chłopcy zaś kręcili się wśród znużonych podróżnych, sprzedając gazety, słodczyce i owoce. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, kurzu i słona woń oceanu.

Celia z ulgą zatonęła w spokojnym zaciszu luksusowego mercedesa Akroydów i przez okno przyglądała się sławnemu miastu, które jak z namaszczeniem oznajmił sir Leonard, było bramą Związku Południowej Afryki[13]. Wyobrażała sobie ojca, który przybył tu jako siedemnastoletni chłopak, i podziwiała jego odwagę i gotowość na przygody. Przypomniała sobie anegdotę sir Leonarda o poplamionej koszuli i była pewna, że wkrótce znajdzie dowody oczyszczające ojca z niegodziwych zarzutów Aurelius Dupree. Nie wątpiła, że mężczyzna był kłamcą; musiała to tylko udowodnić.

Kapsztad tętnił życiem – miasto budziło się, przeciągało i zmierzało do pracy. Samochody przepychały się, wymijały i wyprzedzały, lawirując pomiędzy piętrowymi tramwajami, podczas gdy mężczyźni w marynarkach i kapeluszach jechali rowerami albo szybkim krokiem szli po chodnikach. Sprzedawcy kwiatów

rozkładali stoiska na rogach ulic, kupcy otwierali sklepy. Wozy konne z towarami na sprzedaż wlokły się po asfalcie, a widoczna w oddali Góra Stołowa lśniła w porannym słońcu jak wielki stopień do nieba. Gdy mercedes sunął wolno w górę Adderley Street, sir Leonard, wyraźnie dumny, że tu mieszka, zwięźle opowiedział Celi historię miasta. Celia szeroko otworzyła okno i przyglądała się głównej ulicy z jej wspaniałymi budynkami, sklepami i restauracjami, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądała, gdy jej ojciec zobaczył ją po raz pierwszy.

Zawieźli Celię do bardzo brytyjskiego hotelu Mount Nelson, znajdującego się dokładnie u podnóża Góry Stołowej, gdzie zatrzymywała się na jedną noc. Nazajutrz rano sir Leonard i lady Akroyd odprowadzili ją na dworzec kolejowy. Nalegali, żeby spędziła u nich kilka dni na koniec swojej podróży.

– Tyle jest tu do zobaczenia – zachęcała Edwina. – Skoro pokonałaś taki szmat drogi, wypada zobaczyć choćby jedno zwierzę. Jestem pewna, że Leonardowi uda się namówić cię na wyprawę w busz.

Celia pomyślała o lwie, który rozszarpał na strzępy Tiberiusa Dupree, i od razu zdecydowała, że raczej pozostanie w mieście, niż zaryzykuje taką wyprawę.

Rozległ się gwizdek, Akroydowie zniknęli w kłębach pary i pociąg ruszył. Celia udała się w drogę do Johannesburga.

*

Celia z zadziwieniem oglądała rozpościerający się za oknem krajobraz. Nigdy nie czuła się tak mała pod tak kolosalnym niebem. Pociąg, buchając parą, mknął przez płaskie zielone równiny żyznej ziemi, gdzie od czasu do czasu migwały skąpane w słońcu zabudowania. Mały chłopiec, pasący stado krów, pomachał jej wesoło, gdy go mijala, a jego nagi tors świecił jak heban w porannym jesiennym świetle. Daleko, na granicy sawanny, przyciągało uwagę pasmo gór, które wydawały się wyrastać z ziemi jak gigantyczne skalne fale, drgające na horyzoncie w upalnym powietrzu. Wkrótce sawanna zmieniła się w skaliste, pobrużdżone wzgórza porośnięte niskimi zaroślami i pociąg wił się wzdłuż doliny, za którą w końcu otworzyła się szeroka przestrzeń suchych traw. Góry pozostały z tyłu i tylko niebo opadające miękko na horyzont jaśniało i migotało w słońcu.

W nocy Celia spała niespokojnie w swoim przedziale. Tęskniła za Rafaelem O'Rourke i zastanawiała się, czy jemu też jej brakuje. Podejrzewała jednak, że romanse były nieuchronnym elementem życia sławnego artysty – sposobem na uniknięcie samotności towarzyszącej mu podczas tournée. Celia bała się być tu sama. Lękiem napawał ją rytmiczny stukot pociągu, niepokoiły dźwięki dobiegające z korytarza, którym przechodzili inni pasażerowie, i stłumione odgłosy rozmów po drugiej stronie ściany. A jednak pomimo wszystko jednostajny stukot kół w końcu ukołysał ją do snu.

Dojechała na Park Station w Johannesburgu, nieco sztywna z powodu

twardego materaca i niewyspana po płytkim, nerwowym śnie. Stacja różniła się od majestatycznego i nieskazitelnie czystego dworca w Kapsztadzie. Była duża, hałaśliwa, ludzie przepychali się bez pardonowo pomiędzy sobą. Pan Botha, Afrykaner, dawny pracownik jej ojca, czekał na nią na peronie, tak jak się umówiła, a ponieważ był bardzo wysoki, wyższy o głowę od innych, od razu go dostrzegła, torującego sobie drogę przez tłum i machającego jej ręką na powitanie. Był to potężny mężczyzna o kędzierzawych włosach, miał na sobie szorty w kolorze khaki, białą koszulę opinającą jego wydatny okrągły brzuch, a na nogach białe skarpetki, naciągnięte na umięśnione łydki, i zdarte brązowe sznurowane botki. Na głowie nosił jasny połowy kapelusz, nasadzony nad dużymi, mięsistymi uszami. Celia podejrzewała, że był po sześćdziesiątce, ale pokrywająca go gruba warstwa tłuszczu oraz gęsta biała broda sprawiały, że wyglądał młodziej.

– Pani Mayberry, jak sądzę? – rzekł radośnie z silnym afrykanerskim akcentem i wyciągnął swą ogromną pulchną rękę. – Co za *murra leka dag!* Piękny dzień – przetłumaczył.

Celia uścisnęła mu dłoń i z wdzięcznością odwzajemniła uśmiech.

– Cieszę, że pana poznałam. – Pewność siebie tego wylewnego jegomościa natychmiast dodała jej otuchy.

– Widzę rodzinne podobieństwo – zauważył, dokładnie jej się przyglądając. – Ma pani oczy ojca. Tak samo niebieskie. Pani ojciec był wspaniałym człowiekiem – dodał, znacząco kiwając głową. – Współczuję pani straty.

– Dziękuję. To stało się tak nagle.

– Z tego, co wiem o Digbym Deverillu, nie chciałby długiej, powolnej śmierci. Za wcześnie, zdecydowanie, ale gdyby miał wybrać, tak chciałby odejść.

– Zapewne ma pan rację, panie Botha.

– Pomogę pani. – Podniósł jej walizkę z łatwością, jakby to była dziecięca zabawka. – Na pewno zechce się pani odświeżyć, zanim przejdziemy do sprawy. Zarezerwowałem dla pani pokój w hotelu Carlton, najlepszym w Jo'burgu. Sądzę, że będzie tam pani wygodnie. Potem zapraszam na dobry lunch. – Ruszył po peronie, a Celia musiała wydłużać krok, żeby za nim nadążyć. – To pani pierwsza wizyta w Południowej Afryce, prawda?

– Tak – odpowiedziała.

– Przebyła pani długą podróż, pani Mayberry.

– Mam nadzieję, że będzie tego warta.

– Na pewno – odparł z przekonaniem. – Powiedziała pani, że chce poznać przeszłość swego ojca. Nie ma nikogo, kto mógłby pani lepiej w tym pomóc niż ja. Jestem do usług, pani Mayberry.

Otwarty w tysiąc dziewięćset szóstym roku hotel Carlton był wielki, zbudowany w harmonijnym klasycznym stylu, z okiennicami i kutymi barierkami balkonów, czym przypominał Celi Paryż. Dostała duży, wygodny apartament

i poczuła ulgę, że znów znajduje się w znajomym luksusowym otoczeniu. Rozpakowała się i wykąpała, z zadowoleniem nucąc pod nosem. Po kąpieli przebrała się w lekką letnią sukienkę, na ramiona zarzuciła kremowy kardigan. Odświeżona po długiej podróży przez moment stała przy oknie, przyglądając się obcemu miastu, które kiedyś było domem jej ojca. Poniżej, przy Eloff Street, piętrowy tramwaj sunął powoli po szynach, kilka samochodów jechało majestatycznie w górę bądź w dół ulicy, a ich okrągłe reflektory lśniły w słońcu. Pewność siebie Celi wzrosła, była przekonana, że pan Botha uzna opowieść Aureliusa Dupree za wymysł. Będzie mogła wrócić do domu z podniesioną głową; prawda bez wątplenia oczyści ojca z zarzutów i utwierdzi jej wiarę w niego. Aurelius Dupree schowa się z powrotem do dziury, z której wypęzł, i już nigdy nie będzie jej niepokoił.

Pan Botha przyjechał samochodem, żeby zabrać Celię na lunch. Restauracja znajdowała się w eleganckim budynku w stylu holenderskim, zaprojektowanym wokół szerokiego cieniściego dziedzińca z drzewami i czerwonymi bugenwillami w donicach. Jesień już zmieniała kolory liści na gałęziach, ale słońce nadal prażyło ostro, a w powietrzu unosił się jeszcze zapach lata. Usiedli przy stoliku w ogrodzie, osłonięci przez żółknące liście jakarandy. Celia wróciła do równowagi fizycznej i psychicznej po dużym kieliszku południowoafrykańskiego wina. Pan Botha był uszczęśliwiony, mogąc opowiedzieć jej o młodym Luckym Deverillu i wczesnym okresie, zanim dorobił się wielkiej fortuny.

– Znał go pan od samego początku? – spytała Celia.

– Tak, i pozostawaliśmy w kontakcie aż do jego śmierci, pani Mayberry. Pani ojciec nigdy nie odpuścił. Przez całe życie był hazardzistą. Ryzyko go podniecało. Nie bez powodu dorobił się przydomku Lucky, nieprawdaż?

Gdy skończyli główne dania, Celia uznała, że nadszedł odpowiedni moment na zadanie pytania, z którym przebyła długą drogę do Południowej Afryki.

– Panie Botha, możemy szczerze porozmawiać?

– Oczywiście. – Zasepił się, skóra na jego czole zmarszczyła się w grube fałdy.

– Przypuszczam, że znał pan braci Dupree? – podjęła.

– Wszyscy tu o nich słyszeli, ale ja ich dobrze znałem. Tiberius został rozszarpany przez lwa, a jego brata Aureliusa skazano na dożywocie za morderstwo. – Pokręcił głową. – Byli dwójką nieudaczników, którzy lubili sobie golnąć.

– Czy mój ojciec powiedział panu o listach, które dostał tuż przed śmiercią od Aureliusa Dupree?

– Nie, nie powiedział. Co w nich było?

Celia, teraz całkowicie przekonana o niewinności ojca, była gotowa podzielić się ich treścią.

– Aurelius oskarża w nich tatę o zamordowanie brata.

Pan Botha wyglądał na autentycznie zbulwersowanego.

– To kłamstwo! Pani ojciec nie był mordercą.

Celia wzięła głęboki oddech.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo jestem szczęśliwa, słysząc to. Chociaż nigdy w ojca nie zwątpiłam.

– Pani ojciec nie był aniołkiem – powiedział, pochylając głowę tak, że jego podbródki utonęły w opalanej szyi. – Trudne to były czasy, konkurencja ogromna. Nieodzowna była odrobina sprytu... pewna przebiegłość, żeby osiągnąć sukces. Ale Lucky Deverill nie pobrudziłby sobie rąk morderstwem.

– Aurelius opowiedział mi o polowaniu na lwa ludojada. Twierdzi, że trzech mężczyźni towarzyszyli pewnemu białemu myśliwemu. Spleen, Stone Heart i McManus. Chciałabym z nimi porozmawiać.

Pan Botha pokręcił głową.

– Oni nie żyją, pani Mayberry.

– Nie żyją? Wszyscy?

– Tak, wszyscy – potwierdził.

– Aurelius oskarża tatę, że dwa razy go oszukał. Najpierw, gdy rejestrował firmę Deverill Dupree i przywłaszczył sobie większą część, i po raz drugi, gdy ich wykupił, obiecując im udziały...

– Wyjaśnijmy jedną sprawę, pani Mayberry – przerwał jej pan Botha ostrym tonem. – Tak, pan Deverill zarejestrował przedsiębiorstwo w korzystny dla siebie sposób, ale przecież to on wygrał ziemię w karty, a więc było naturalne, że powinien mieć pięćdziesiąt jeden procent do ich czterdziestu dziewięciu. A jeśli chodzi o udziały, tak, o tym też wiem. Chcieli go pozwać, ale w gruncie rzeczy nie mieli dowodów dla sądu. Skwapliwie podpisali wszystkie papiery i pan Deverill zapłacił im więcej, niż wtedy to było warte. Skąd mógł wiedzieć, że De Beersowie odkupią potem firmę za miliony? Ludzie są chciwi, pani Mayberry, a bracia Dupree byli gorsi niż większość.

– A więc tata ich nie oszukał?

– W żadnym wypadku.

Celia wyprostowała się na krześle.

– Czy może mi pan dostarczyć dowód, że ten okropny człowiek się myli? Obawiam się, że próbuje mnie szantażować.

– Dam pani kopie wszystkich dokumentów, które podpisali – powiedział pan Botha. Skinął na kelnera i zamówił następną butelkę wina. Słońce mocno grzało, restauracja była elegancka, a jemu sprawiało przyjemność wspomnianie mężczyzny, którego darzył najwyższym szacunkiem.

– Jaki tata był w młodości? – spytała Celia, której ulżyło, że pan Botha potwierdził niewinność jej ojca.

– To był wielki człowiek. Gdy tu przyjechał, nikt go nie znał. Urodził się w uprzywilejowanej rodzinie, ale był najmłodszym z trzech braci, a więc musiał sam sobie radzić. Nie chciał robić kariery ani w armii, ani w Kościele, ani też iść w ślady ojca i pracować w świecie finansów. Takie życie by go nudziło. Był żądny przygód. Potrzebował wyzwań. Nie tylko był bardzo inteligentny, ale odznaczał się również przebiegłością. Powinna go pani zobaczyć przy hazardowym stoliku. Nie wiem, jak to robił, ale rzadko przegrywał, a jeśli już, nigdy na przegranego nie wyglądał. Nikt nie miał bardziej pokerowej twarzy niż Digby Deverill.

Celia patrzyła, jak kelner nalewa jej wina. Już czuła przyjemny szmerek w głowie.

– A co z miłością, panie Botha? Czy mój ojciec miał romanse? Gdy przeglądałam jego gabinet, natrafiłam na jego stare fotografie. Był takim przystojnym mężczyzną! Założę się, że połowa tutejszych kobiet się w nim kochała.

– Oczywiście! – Pan Botha wybuchnął tubalnym śmiechem. – Ale wie pani, kto był jego największą miłością?

– Proszę mi powiedzieć. – Celia uśmiechnęła się zachęcająco.

– Kolorowa kobieta, którą nazywał Duchess[14].

– Kolorowa? Czy to znaczy czarna? – spytała zaintrygowana.

– Mulatka, pani Mayberry. Pani ojciec zakochał się w pięknej kolorowej kobiecie.

– Co się z nią stało?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mieszkała na przedmieściu, tuż pod Jo'burgiem. Jeśli żyje, prawdopodobnie nadal tam mieszka. Pani ojciec był kobieciarzem, to pewne, ale jego serce należało do Duchess. Przez trzy lata kochał się w niej na zabój. Przypuszczam, że dla niej to nie było tajemnicą.

– Chciałabym ją poznać – ożywiła się Celia. – Tę tajemniczą kobietę, którą kochał mój ojciec. Zapewne ona znała go lepiej niż inni, nieprawdaż?

Pan Botha pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. – Spuścił wzrok i zakręcił winem w kieliszku, budząc tym w Celiu dziwne podejrzenie. – Nie jestem pewien, czy nadal tam mieszka. Możemy jej nie odnaleźć. – Lekceważąco machnął ręką. – Znajdę pani bardziej interesujących ludzi, którzy znali pani ojca. Wytwornych mężczyzn...

– Chcę ją poznać – upierała się Celia. – Proszę, panie Botha.

– To było czterdzieści lat temu.

– Wiem. Na pewno jest mężatką, ma dzieci, kto wie, może wnuki, ale spotkanie z nią jest dla mnie bardzo ważne. Skoro mój ojciec kiedyś ją kochał, bardzo chciałabym ją poznać. Musi wiele wiedzieć o tamtych czasach. Przeżyłam

długą drogę i nie wrócę do domu, nie zajrzawszy w każdą dziurę.

– Pani ojciec miał też inne kobiety – dodał nerwowo, ale Celia pozostawała niewzruszona.

– Wiem o żonie pana Shapiro – powiedziała.

Pan Botha skinął głową.

– Tak, ją też miał.

– Ale Duchess... – Pokręciła głową i dopiła wino. – Chciałabym, żeby pan mnie do niej zabrał, panie Botha.

– Radzę dokładnie to przemyśleć, zanim zacznie pani kopać głębiej w przeszłości ojca – ostrzegł. – Może pani odkryć sprawy, których wolałaby nie poznać. To były naprawdę burzliwe czasy. Tylko twardziele osiągnęli sukces.

– Nie przyjmuję odmowy. – Celia wstała.

*

Pan Botha, aczkolwiek nie krył swej niechęci do tego pomysłu, wywiózł Celię z eleganckiego centrum na obskurne, zakurzone przedmieście prostych drewnianych chat, zardzewiałych blaszanych dachów, wysuszonych błotnistych ścieżek i wąskich, ciemnych uliczek. Celia nigdy nie widziała takiej biedy, nawet w najgorszych czasach w Irlandii. Jej entuzjazm powoli gasł w popołudniowym upale. Wychudzone psy wałęsały się po czerwonej ziemi, szukając pożywienia, podczas gdy mężczyźni o brudnych twarzach w górniczych czapkach podskakiwali na wozach ciągniętych przez konie, wracając z kopalni do domu. Kobiety w jaskrawo kolorowych zawojach na głowach plotkowały w cieniu, a na wpół nagie, bosonogie dzieci bawiły się uszczęśliwione w słońcu. Jakiś pijany mężczyzna zatoczył się przed samochodem i pan Botha musiał gwałtownie zahamować, żeby go nie potrącić.

Samochód powoli jechał zakurzonymi uliczkami; ludzie wychodzili z chat i ze zdziwieniem patrzyli na lśniący wóz. Białka ich oczu błyszczały jasno na tle ciemnej skóry. Celia przyglądała się im jak zahipnotyzowana, odwzajemniając ich spojrzenia.

Przypomniała sobie Adeline, która z takim zapałem dożywała biedotę w Ballinakelly, i teraz, gdy widziała rozpaczliwe warunki życia tych ludzi, zrozumiała jej potrzebę, by zmienić świat na lepsze.

Wkrótce przy samochodzie biegła grupka podekscytowanych dzieciaków. Szturchały dla zachęty jeden drugiego i dotykały karoserii, wykrzykując coś w języku, którego Celia nie rozumiała.

– Żałuję, że nie mam niczego, co mogłabym im dać – powiedziała do swego towarzysza.

– Nie nastarczyłaby pani – rzekł chłodno. – A poza tym, jeśli nakarmi pani jedno z nich, zaraz zbiegnie się cały tabun z okolicy, żeby zebrać o jedzenie.

Po chwili pan Botha, cały już spocony, wyraźnie zgubił drogę. Celia rozpoznała uliczkę, którą już raz przejeżdżali. Nie chcąc go denerwować, udawała, że nie zauważa, iż przejeżdżają nią po raz trzeci.

– Czy pan wie, dokąd jedziemy? – spytała po pewnym czasie.

– Nie byłem tu od lat, pani Mayberry. Chyba straciłem orientację. – Z kieszonki na piersiach wyciągnął chusteczkę i osuszał nią wilgotne czoło.

– Dlaczego pan nikogo nie spyta? – podsunęła. – Na pewno te dzieciaki nam pomogą. – Uśmiechnęła się do dzieci przez szybę, a one radośnie odwzajemniły jej uśmiech.

Pan Botha czuł niechęć do rozmowy z miejscowymi, ale rozumiał, że nie ma wyboru. Jeśli nie wie, gdzie się znajduje, nie znajdzie drogi powrotnej. Zatrzymał samochód i zapytał dzieci, gdzie jest Mampuro Street. Wszystkie z entuzjazmem wskazały kierunek, a potem zaczęły biec przed samochodem, pokrzykując i śmiejąc się do siebie.

Pan Botha wolno jechał za nimi. Okazało się, że przez cały czas kręcił się w kółko, znajdując się zaledwie dwie uliczki od celu. Odzyskawszy orientację, schował chusteczkę do kieszeni i dojechał do małej brązowej chaty z prostymi drewnianymi drzwiami i dwoma oszklonymi oknami, przed którą się zatrzymał.

– Ona tutaj mieszka? – spytała Celia, wysiadając. Dzieci cofnęły się, tworząc półkole wokół samochodu i dużymi, zaciekawionymi oczami przyglądały się pięknej blondynce w długiej powiewnej sukience i pantofelkach zapinanych na pasek.

Pan Botha zapukał do drzwi. Ze środka dobiegł szelest, a potem drzwi uchyliły się i czyjeś oko pojawiło się w szczelinie. Poczuli przyjemny zapach dymu. Kobiety głos wypowiedział kilka słów, których Celia oczywiście nie zrozumiała, przerywanych cmoknięciami. Po chwili, jak się zdawało, kobieta rozpoznała pana Bothę i drzwi otworzyły się szerzej. Kobieta ubrana w ciężką, kolorową suknię *shweshwe* i turban z takiego samego materiału wysunęła się do przodu, szurając gołymi stopami; wyciągnęła szyję, żeby lepiej przyjrzeć się swoim gościom. Na twarzy miała wymalowany wzór z białych kropek.

– Przywiozłem kogoś, kto chce się z tobą zobaczyć, Duchess – powiedział pan Botha.

Duchess, spojrzawszy na Celię, wyprostowała się, a na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Nie mrugając, przyglądała jej się przez dłuższą chwilę, wykrzywiając usta w wyrazie niezdecydowania. Następnie szok przerodził się w ciekawość. Zerknęła na dzieci, które w mig się rozpierzchły, i ściszyła głos.

– Lepiej niech pani wejdzie.

– Wejść z panią – zaoferował się pan Botha, ale Celia uniosła rękę.

– Nie, proszę poczekać w samochodzie.

Pan Botha nie był zadowolony, ale zrobił, o co prosiła. Celia weszła za

starszą kobietą do ciemnego wnętrza chaty. W środku panował chłód i było pełno kolorowych roślin w doniczkach. Na podłodze leżała słomiana mata, stał drewniany stół i kilka krzeseł. Ściany pomalowano na jasnoniebiesko, a półka nad otwartym kominkiem ugięła się od przedmiotów i kilku książek. Celia zerknęła do drugiej izby, gdzie stało łóżko pod małym oknem, z którego widać było podwórko kolejnego marnego domostwa. Na ścianie nad łóżkiem wisiał drewniany krzyż, co zaskoczyło Celię. Nie wyobrażała sobie, że kobieta jest chrześcijanką.

Już miała się przedstawić, gdy kobieta gestem długich, eleganckich palców wskazała jej krzesło.

– Wiem, kim pani jest – odezwała się, siadając naprzeciwko i biorąc do ręki fajkę z długą rączką, którą paliła. Była kobietą o pełnych kształtach, silnych ramionach i ponętym biuście, a siwiejące włosy wymykające się spod turbanu i nieco posępne rysy zdradzały jej wiek. Ale Celia widziała, że kiedyś musiała być piękna. Jej lekko skośnie kocie oczy przypominające lśniące brązowe kasztany spoglądały na Celię z pewną dozą wyniosłości. Zapewne dlatego zasłużyła sobie na imię Duchess. Jej skóra była gładka i pozbawiona zmarszczek, a wydatne kości policzkowe i wdzięcznie wygięte brwi nadawały jej twarzy wyraz szlachetności. Miała pełne usta, ładnie wykrojone w kształt łuku, i bardzo duże, białe zęby.

– Jest pani wykapaną córką Digby’ego Deverilla – powiedziała, intensywnym spojrzeniem badając twarz Celi. – Rozpoznałabym panią pośród tysiąca kobiet – dodała. – Te same oczy. Wszędzie bym je poznała.

– Jestem córką Digby’ego – potwierdziła z uśmiechem Celia. – Niedawno przyjechałam do Południowej Afryki i chciałam panią poznać.

Kobieta cmoknęła.

– Jak się miewa pani ojciec?

– Niestety zmarł – odpowiedziała cicho Celia. Kobieta zamrugła i głowa lekko opadła jej do tyłu, jakby wymierzono jej policzek. – Był to dla nas potworny cios. – Nagle przemknęło jej przez myśl, czy przyjazd tutaj był rozsądnym posunięciem. – Był jeszcze młody i pełen życia... – Pominęła opowieść o okolicznościach śmierci Digby’ego, widząc szczyry ból na twarzy tej kobiety.

Gdy Celia mówiła, Duchess drżącymi palcami dotykała ust. W końcu przepełnione smutkiem oczy utkwiała w Celi.

– A więc chciała się pani ze mną spotkać, ponieważ znałam pani ojca?

Celia poczuła zażenowanie i spuściła wzrok. Jakie miała prawo przychodzić tu nieproszona i grzebać w przeszłości tej kobiety, nic o niej nie wiedząc?

– Tak, chcę się jak najwięcej o nim dowiedzieć. Pan Botha zasugerował, że znała go pani lepiej niż ktokolwiek.

Oczy Duchess wydawały się trzymać Celię na uwięzi. Nie była w stanie oderwać od niej wzroku. Celia miała wrażenie, jakby ta kobieta była skarbcem pełnym sekretów, który właśnie się przed nią otwiera.

– Pani ojciec zdradził wszystkich, z którymi się zadawał – powiedziała Duchess cicho, wypuszczając dym z fajki. – Zdradził również i mnie. Ale Bóg mi świadkiem, że nigdy nie kochałam nikogo tak jak Digby’ego Deverilla.

– Zdradził panią? – spytała zaskoczona Celia. Uczucie beztroskiego szczęścia, gdy uzyskała potwierdzenie, że ojciec nie był mordercą z opowieści Aureliusa Dupree, teraz wyparowało; mdlący strach powrócił jak cienie połykające światło. – Przepraszam... być może nie powinnam była przychodzić. – Poruszyła się, jakby zamierzała wstać.

– Tak, być może nie powinna pani. Ale skoro już pani jest, proszę zostać.

Celia siedziała jak na szpilkach. Chciałaby opuścić ten dom, ale Duchess czekała ponad czterdzieści lat na opowiedzenie swojej historii i teraz nie zamierzała rezygnować.

– Bóg przysłał panią pod moje drzwi, panno Deverill – podjęła. – Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę pani ojca. Lata mijały, nasza historia bladła jak farba w słońcu. Ale nie dla mnie. Moje serce kocha tak samo jak wtedy. Nic tego nie zmieniło. A więc nie wyjdzie pani z niczym, panno Deverill. Z jakiegoś powodu przyjechała pani zobaczyć się ze mną i cieszę się z tego. – Zacisnęła wargi na fajce; Celia zauważyła bransoletki ze szklanych paciorków wokół jej nadgarstków i różnokolorowe naszyjniki o misternych wzorach na dekolcie. – Mam na imię Sisipho, co w języku ludu Khosa znaczy „dar”, ale pani ojciec nazwał mnie Duchess. Mówił, że jestem piękna, a wtedy byłam, panno Deverill. Tak jak pani teraz... – Uniosła podbródek, a w jej zmysłowych oczach zajaśniała duma. – Pani ojciec był dżentelmenem. Zawsze traktował mnie z szacunkiem, nie tak jak inni biali mężczyźni traktowali czarne kobiety. Słuchał mnie. Przy nim czułam się coś warta. Nawet zabrał mnie na wycieczkę wokół Johannesburga swoim powozem. – Przycisnęła pięść do serca. – Sprawił, że czułam się ważna. – Gestem głowy wskazała na półkę. – Widzi pani te książki... Nauczył mnie angielskiego i nauczył mnie czytać. Digby mi je podarował i czytałam je setki razy. Rozpieszczał mnie. Czułam się wyjątkowa i naprawdę taka byłam dla niego.

Czy potem ktokolwiek sprawił, że poczuła się wyjątkowa? – pomyślała Celia. Patrząc, jak kobieta wyciera oczy swymi nadzwyczaj eleganckimi palcami, powątpiewała.

– Dzielił się ze mną swoimi tajemnicami – ciągnęła Duchess. – Wiedziałam wszystko i dotrzymałam sekretów przez ponad czterdzieści lat. Ale nie chcę zabierać ich do grobu. To ciężkie brzemię do przeniesienia przez bramy niebios, panno Deverill. Chcę je pani powierzyć.

Celia też nie chciała nieść brzemia sekretów Duchess, ale nie miała wyboru. Siedząca przed nią kobieta była zdeterminowana, żeby się od nich uwolnić. Wydychała dym, który wypełnił pokój słodkim, aromatycznym

zapachem.

– Digby wygrał farmę w karty. Potrafił rozszyfrowywać ludzi i rzadko przegrywał. Przychodził i opowiadał mi o tym. O szalonych mężczyznach, którzy przy zielonym stoliku tracili majątki. Ale nie on. Nie był taki głupi jak tamci. Był bystry i miał tego świadomość. Wiedział, że zrobi tu pieniądze. Chciał wrócić do Londynu jako bogaty człowiek. Mężczyźni posuwali się do wszystkiego, żeby zbić fortunę. Pani ojciec nie był inny. – Zaśmiała się i po raz pierwszy Celia zobaczyła, jak jej twarz rozkwita niczym piękna czarna dalia. – I wrócił do Londynu jako bogaty człowiek. Bardzo bogaty człowiek. – Zmrużyła oczy i teraz jej uśmiech stał się nieco diabelski. – Był bezwzględny, panno Deverill. Pani ojciec nie zbił majątku, kierując się przykazaniami Mojżesza. Na drodze do majątku złamał ich kilka... Ostatecznie, gdyby był cnotliwym człowiekiem, nie pokochałby mnie.

Celia zafascynowana obserwowała, jak kobieta ożywia się w blasku swoich wspomnień. Wyciągała je jak skarby ukryte przez dziesiątki lat i wystawiała na jaskrawe dzienne światło przed jedyną osobą zainteresowaną ich oglądaniem. Przez cały czas, gdy wylewała z siebie słowa, jej oczy lśniły z ekscytacji.

– Ale Digby’ego nie obchodziło, co inni ludzie pomyślą, i się ze mną spotykał – ciągnęła. – Opowiadał mi o swoich wygranych i część pieniędzy wydawał na mnie. – Oczy jej zaszły mgłą, jakby wspominała dobre czasy. – Wpadał, podniecony jak mały chłopiec z prezentem dla mamy, a ja besztalam go, że tyle na mnie wydaje, gdy powinien oszczędzać na kopalnie, które zamierzał zbudować. Nie ufał ludziom podobnym do siebie. Biali mężczyźni mogli ukraść jego diamenty i pieniądze. Ufał tylko mnie. Wiedziałam, że będzie bogaty. Widziałam jego ambicję. Jeśli ktokolwiek miał się dorobić fortuny, był nim Digby Deverill. Tysiące mężczyzn podobnych do niego, pełnych zapału i ambicji, kopało w tym samym miejscu, ale miałam nieodparte przeczucie, że to jemu się powiedzie. Miał diabelskie szczęście. A więc gdy wygrał farmę na północ od Kimberley, razem z dwoma współnikami udał się na poszukiwanie diamentów i w końcu je znalazł.

– Pan Botha opowiedział mi o tym – wtrąciła Celia coraz żywiej zainteresowana. – To byli Tiberius i Aurelius Dupree.

Duchess pokręciła głową i paciorki, które zwisały z jej uszu, zakołysały się na boki.

– Ci chłopcy nie mogli się równać z Digbym – powiedziała z dumą. – Obdarzając go zaufaniem, popełnili największy błąd. Ale nie dziwota, z tymi swoimi wielkimi błękitnymi oczami i aureolą blond włosów wyglądał jak aniołek. Niewinnie jak owieczka. Ale on, gdy już ich nie potrzebował, pozbył się ich w starym stylu.

– Co pani ma na myśli? – spytała Celia. Wydawało się, że dym nagle zmienił się w lód, i zamknął ją w swoim zimnym uścisku.

– Tiberiusa zabił lew.

Duchess spojrzała na Celię chłodno. Twarz miała nieruchomą, w jej głosie zabrzmiał spokój i pewność. Zdawało się, że gęsty dym zawisł martwo w powietrzu.

– Nie zabił go lew. Zginął od kuli.

– Kuli Aureliusa – weszła jej w słowo Celia. Serce waliło jej tak mocno, że przyłożyła do niego rękę, jakby mogła je tym gestem uspokoić.

Duchess pokręciła głową, ale tym razem kolczyki z paciorków się nie poruszyły.

– Od kuli kapitana Kleista.

Celia wpatrywała się w kobietę oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

– Tego białego myśliwego?

– To był łotr, który walczył w pruskiej armii. Dla niego zabicie człowieka to była pestka. Zorganizował tę wyprawę i dopilnował, żeby śmierć Tiberiusa wyglądała na wypadek.

– Ale to Aurelius został oskarżony o morderstwo i spędził czterdzieści lat w więzieniu.

– On tego nie zrobił – powiedziała Duchess rzeczowo. – Digby go zrobił.

Celia zanosła się kaszlem. Dym zaczął ją dusić. Wstała i niepewnym krokiem ruszyła do drzwi. Na dworze słońce zachodziło, o zmroku powietrze robiło się ziarniste od kurzu, ale chłodny wiatr na przedmieściach niósł ze sobą zapowiedź jesieni. Oparła się o framugę drzwi i gwałtownie wciągnęła powietrze. Pan Botha spał w samochodzie. Głowę miał odchyloną do tyłu i szeroko otwarte usta. Z odległości dwóch metrów słyszała jego chrapanie.

A więc jej ojciec okazał się dokładnie taki, jakiego opisał Aurelius Dupree. Oszukał braci, zamordował jednego z nich, a drugiego zrobił w morderstwo. Zbierało jej się na wymioty. Chciała wyrzucić z siebie to, co usłyszała. Na litość boską, po co tu przyszła!

– A więc dlaczego pani go kochała? – spytała ostro, zamaszystym krokiem wchodząc z powrotem do izby.

Duchess nadal siedziała na krześle. Grzebała w kolorowej, ozdobionej paciorkami torebce z tytoniem.

– Ponieważ był diabłem – powiedziała wprost. – A nikt nie jest bardziej pociągający od diabła. – Uśmiechnęła się szeroko i raptownie podniosła wzrok na Celię. – A poza tym traktował mnie jak prawdziwą księżnę.

Celia opadła na krzesło. W zamyśleniu dotknęła zaciśniętą pięścią ust.

– Powiedziała pani, że panią też zdradził – odezwała się po chwili.

– Pewnego dnia przestał do mnie przychodzić. Zniknął z mojego życia i już nigdy go nie zobaczyłam. Z powodu pani ojca zostałam wykluczona ze swojej społeczności; rodzina się mnie wyrzekła. Ale jestem chrześcijanką i znalazłam

w sercu przebaczenie. Przebaczam im wszystkim.

Drżącą ręką Celia zaczęła otwierać torebkę.

– Nie mam wiele, ale to, co mi pozostało, pragnę pani ofiarować.

Duchess podniosła rękę, żeby ją powstrzymać.

– Nie potrzebuję pani pieniędzy. Nigdy o nic nie prosiłam Digby’ego i nie przyjmę nic od pani. Opowiedziałam pani moją historię.

– Ale ja chcę coś pani dać. Za dochowanie tajemnicy.

– Dochowałam jej, ponieważ go kocham.

– Ale on nie może podziękować pani osobiście.

Duchess zmrużyła oczy i uśmiechnęła się promiennie.

– To ja chcę pani podziękować za przyjście, moje dziecko. I chcę pani coś dać. Był rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty dziewiąty, kiedy mój brat, jeszcze jako dzieciak, pracował u pewnego Afrykanera poszukującego złota. Ten człowiek zabrał go na farmę położoną w Wolnym Państwie Orania^[15]. Mówiono, że tam jest złoto. Mnóstwo złota. Ale pokłady leżały tak głęboko, że nie było możliwości go wydobyć. Powiedziałam o tym Digby’emu. Sąsiednia farma była wystawiona na sprzedaż. Należała do człowieka o nazwisku van der Merwe. Nikt wtedy nie zainteresował się jej kupnem. Ale Digby był przewidujący. Wiedział, że choć teraz ziemia wydaje się bezużyteczna, to nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Powiedział: „Kto wie, co wymyśli człowiek, żeby kopać głębiej w ziemi?”. Kupił więc ten kawałek ziemi za bezcen. Leży tam, nietknięta przez lata. A z tego, co wiem, w kopalniach wokół Johannesburga drążą dziś naprawdę głęboko. Głębiej niż kiedykolwiek. Powinna pani raczej tam kopać zamiast w przeszłości ojca. Jeśli znajdzie pani złoto, wtedy pani mi trochę da.

13 Związek Południowej Afryki – dominium brytyjskie (1910–1961).

14 Duchess (ang.) – księżna.

15 Orange Free State – niepodległe państwo burskie (1854–1902), podbite przez Brytyjczyków i przyłączone do Związku Południowej Afryki (1910) jako prowincja.

Rozdział 30

Celia zostawiła Duchess palącą fajkę. Obudziła pana Bothę, potrząsając go za ramię. Wydał z siebie ostatnie głośnie chrapnięcie i usiadł.

– Tylko chwilkę się zdrzemnąłem – usprawiedliwił się, chwytając kierownicę.

– Dziękuję, że mnie pan tu przywiózł, panie Botha. To była bardzo pouczająca wizyta.

– Z powrotem do hotelu?

– Tak, proszę – powiedziała, zamykając drzwi pasażera i opierając się o skórzane siedzenie. Potrzebowała czasu, aby przetrwać to, co usłyszała od Duchess. Ciekawe, ile z tego pan Botha wie i przed nią ukrywa.

Samochód sunął wśród wydłużających się cieni, a dzieci stojące w chmurze czerwonego pyłu, który pozostawiali za sobą, przyglądały się, jak lśniąca karoseria znika za rogiem.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie o farmie van der Merwego? – spytała Celia po chwili.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

Celia rzuciła mu twarde spojrzenie.

– Pracował pan dla mojego ojca i nie wie nic o ziemi, którą ojciec kupił?

Pan Botha wzruszył szerokimi ramionami.

– Kopalnie pani ojca zostały sprzedane Ernestowi Oppenheimerowi z Anglo American Corporation. Nie zostało nic prócz starych papierów w sejfie.

– Chciałabym je przejrzeć – poprosiła Celia.

– Nie ma tam nic wartego oglądania, pani Mayberry.

Celia uśmiechnęła się do niego najbardziej uroczym ze swych uśmiechów.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Botha, chciałabym je zobaczyć. Na wszelki wypadek.

– Zgoda. – Mężczyzna westchnął ze znużeniem. – Zawiozę tam panią. Ale ja nic nie pamiętam na temat farmy van der Merwego. Szczerze mówię, Duchess jest stara i pamięć może ją zawodzić.

– Skoro tak szczerze rozmawiamy, czy zna pan niejakiego kapitana Kleista?

– *Der Kapitän* – rzucił. – To stary pijak i hultaj. W ogóle nie wierzę, że walczył w wojnie francusko-pruskiej. Czemu pani pyta? Z nim też chce się pani spotkać?

Celii nie podobał się ton jego głosu.

– Owszem – odparła. – Chciałabym.

Pan Botha z dezaprobatą pokręcił głową.

– To oszust i pozer, pani Mayberry. Jeśli sobie coś przypomni, to w pijanym widzie albo zwyczajnie coś zmyśli. On ma prawie dziewięćdziesiątkę na karku i traci głowę.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Podpiera bar w Rand Club – odpowiedział z pogardliwym parsknięciem. – Ale kobiet tam nie wpuszczają.

– A więc muszę zobaczyć się z nim tam, gdzie mogę wejść.

Westchnął.

– W porządku, zobaczę, co da się zrobić.

*

Biuro pana Bothy znajdowało się na pierwszym piętrze eleganckiego białego budynku, który pasowałby również do centrum Londynu, ale stał tu, w centrum Johannesburga. Pan Botha zaprosił ją do foyer i zamknął ciężkie drzwi, odgradzające ich od hałaśliwej ulicy, pełnej tramwajów, samochodów oraz mężczyzn na rowerach i kobiet idących pieszo, którzy zajmowali się swoimi sprawami z pośpiechem właściwym mieszkańcom wielkich miast. W środku panowała cisza. Siedząca w recepcji kobieta w okularach i błękitnym pasowanym żakiecie uśmiechnęła się do pana Bothy. Powiedział coś do niej po afrykanersku, a potem skierował się na schody. Zaprosił Celię do gabinetu i zaproponował jej szklankę wody, ale Celia chciała jak najszybciej zobaczyć dokumenty dotyczące farmy pana van der Merwego. Pan Botha nalał sobie szklankę, po czym poprowadził Celię do sejfu, który okazał się małą szafką w pokoju znajdującym się dalej w korytarzu. Otwarcie go zajęło trochę czasu i Celia odniosła wrażenie, że pan Botha robi to celowo powoli. Ale w końcu go otworzył, pochylił się i swą dużą ręką wyjął kartonowe pudełko.

– Oto papiery pani ojca – oznajmił, stawiając pudełko na biurku. – Może je pani przejrzeć, jeśli pani chce.

Karton miał spore rozmiary i znajdowało się tam wiele dokumentów. Celia wyciągnęła sobie krzesło i usiadła.

– Teraz poprosiłabym o szklankę wody – powiedziała. Wyjęła beżowy skoroszyt i otworzyła go.

Pan Botha wyszedł po szklankę i dzbanek z wodą. Gdy wrócił, biurko było zaścienione papierami, a na twarzy Celi malował się wyraz zadowolenia z siebie i satysfakcji.

– Jest pan bardzo dobrze zorganizowany – przyznała, a w jej głosie pobrzmiwało zaskoczenie. Nie przyszło jej do głowy, że pan Botha tak dokładnie oznaczy i uporządkuje wszystkie pliki. – Znalazłam akta farmy van der Merwego – dodała, podnosząc spłowiały niebieski skoroszyt. – Chciałabym, żeby zorganizował

mi pan spotkanie z kapitanem Kleistem.

Po powrocie do hotelu Celia zasiadła w salonie z dużą szklanką whisky. Choć z początku obawiała się zostać sama, teraz czuła ulgę, że może przemyśleć wszystko na osobności bez przytłaczającej obecności pana Bothy. Usiadła na sofie i zakręciła lodem w szklance. Złoty płyn palił jej gardło, ale miło rozgrzał żołądek i szybko złagodził niepokój. Celia nie mogła sobie wyobrazić, że jej ukochany ojciec mógł mieć tak zimne serce, żeby zlecić morderstwo. Ale słowa Duchess nie pozostawiały wiele wątpliwości. A mimo to kobieta twierdziła, że go kocha... Celia również pomimo tych strasznych wiadomości go kochała. Ale poznawała ojca jako zupełnie innego człowieka od tego, którego знаła. Zamówiła kolejną whisky z lodem.

Tej nocy dobrze spała. Hotel okazał się bardzo wygodny. W luksusie czuła się jak w domu i strach ją opuścił. Jednak w głębi jej duszy zapanowało znów otepienie i rezygnacja, kompletna emocjonalna pustka będąca wynikiem pogodzenia się z prawdą – okropną prawdą, że jej ojciec zbudował fortunę na krwi jednego z braci Dupree i osadzeniu w więzieniu drugiego z nich. Żadne pieniądze nie wynagrodzą Aureliusowi straconych lat ani nie przywrócą życia Tiberiusowi. Ta myśl była tak przytłaczająca, że jej umysł po prostu się wyłączył. Zamknęła oczy i zanurzyła się w błogiej niepamięci.

Rano zeszła na śniadanie do jadalni. W recepcji czekała na nią wiadomość. Kapitan Kleist miał przyjść na spotkanie z nią do hotelu o jedenastej. Była zaskoczona i trochę wytrącona z równowagi. Myślała, że nie będzie chciał się z nią spotkać i rozmawiać o ciemnych sprawach z przeszłości. Podniosło ją to na duchu, nawet wzbudziło w niej isierkę nadziei. Bo jeśli zabiłby człowieka z poduszczenia jej ojca, chyba miałby opory, żeby się z nią spotkać?

Czekała w hotelowym foyer, popijając herbatę, ubrana w elegancką sukienkę w kwiecisty wzór, kapelusz z małym rondkiem i siatkowe rękawiczki. Kiedy wskazówki zegara powoli zbliżały się do godziny jedenastej, zaczęła się niepokoić. W żołądku ją skręcało z nerwów, czuła, że się poci. Duża wskazówka przekroczyła dwunastkę i zdawała się nabierać prędkości, opadając w kierunku szóstki. Celia obserwowała drzwi. Za każdym razem, gdy ktoś wchodził, spodziewała się widoku kapitana Kleista, ale ciągle spotykało ją rozczarowanie. Uspokoila się, skręcanie w żołądku ustało i pot wysechł. Siedziała na sofie godzinę, wreszcie przyszło jej pogodzić się z faktem, że kapitan nie przyjdzie.

Gdy zadzwoniła do pana Bothy, nie okazał najmniejszego zaskoczenia.

– On jest stary i zniedołężniały – wyjaśnił. – Sugeruję, żeby dała sobie pani spokój, pani Mayberry. Najwyraźniej nie ma chęci się z panią spotkać.

Wiele osób by się poddało, tak jak radził pan Botha. Ale Celia odkrywała w sobie nieugiętą determinację, która wcześniej nie miała okazji się objawić. Przebyła tysiące kilometrów, żeby dowiedzieć się, czy Aurelius Dupree mówił

prawdę. Nie zamierzała wracać do Irlandii bez niezbitych dowodów. Kapitan Kleist był jedynym człowiekiem, który wiedział, co naprawdę wydarzyło się na sawannie. Musi z nim porozmawiać. Spotka się z nim, choćby nie wiem co. Przesiedziała na sofie następne dwie godziny, próbując wymyślić sposób, żeby jakoś podjąć kapitana i skłonić go do rozmowy. Gdy jej żołądek zaczął już dopominać się lunchu, przyszedł jej do głowy pewien plan. Plan, w którym nie było roli dla pana Bothy.

Poprosiła w recepcji o numer do Rand Clubu, a potem spytała, czy może skorzystać z telefonu stojącego na ladzie, by wykonać krótką lokalną rozmowę. Recepcjonista był uszczęśliwiony, wyświadczając przysługę tak ładnej, młodej kobiecie jak pani Mayberry. Dyskretnie odszedł na bok. Wykręciła numer i czekała. Serce biło jej tak głośno, że obawiała się, że zagłuszy sygnał. Rozległy się krótkie trzaski, potem już słyszała go wyraźnie. Odezwał się parę razy, zanim męski głos odpowiedział.

– Rand Club, słucham?

– Dzień dobry, nazywam się Temple – powiedziała spokojnym, oficjalnym tonem. – Dzwonię z biura gubernatora generalnego z Kapsztadu. Czy mogę rozmawiać z kapitanem Kleistem?

– Dzisiaj go tu nie ma – odparł mężczyzna.

Tego Celia się spodziewała.

– Może pan mógłby mi pomóc – podjęła. – Gabinet Jego Królewskiej Wysokości ma specjalną przesyłkę dla kapitana Kleista. Sądzę, że to może być medal. Czy byłby pan tak uprzejmy i podał mi jego adres, żebym mogła mu ją przesłać? To pilne. – Mężczyzna po drugiej stronie linii bez wahania podał jej adres kapitana. Podziękowała i z nagłym przypiływem triumfu odłożyła słuchawkę. Zarumieniona z powodu sukcesu podziękowała recepcjoniście.

Celia pojechała taksówką pod wskazany adres. Domek kapitana Kleista okazał się małym, skromnym bungalowem na cichym przedmieściu Johannesburga. Uzbrojona w butelkę dzinu podeszła krótką ścieżką do frontowych drzwi. Wzięła głęboki oddech i nacisnęła dzwonek. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, nim usłyszała grzechotanie łańcucha; drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem. Mężczyzna o surowych rysach i zmrużonych oczach, z których źle patrzyło, przyglądał się jej przez szparę. Gdy zobaczył kobietę w eleganckim kapeluszu i sukience, na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Kapitan Kleist?

Skinął głową i zmarszczył brwi, podejrzliwie mierząc ją wzrokiem.

– Przybywam z biura gubernatora. Mam dla pana przesyłkę.

– Jaką przesyłkę? – wymawiał słowa z wyraźnie niemieckim akcentem.

Spojrzała w głąb mieszkania i zobaczyła rzędy trofeów myśliwskich zawieszane na ścianach.

– Słyszałam, że pan jest doskonałym strzelcem – powiedziała. – Mogę wejść? – Nie czekając na odpowiedź, przecisnęła się obok niego jak taran.

Kleist odwrócił się z twarzą czerwoną z oburzenia, a wtedy Celia dostrzegła, że trzyma w ręce strzelbę.

– Wie pani, kiedyś zastrzeliłem kogoś, kto tak tu wszedł – rzucił.

– Ale nie zastrzeli pan córki Digby’ego Deverilla, nieprawdaż? – Wpatrywał się w nią zszokowany, nie mogąc wykrztusić słowa. – Napijemy się?

– Drinka? Nie mam nic do picia.

– Przyniosłam ze sobą butelkę. – Podała mu butelkę dżinu.

Wziął ją od niej i popatrzył na nalepkę. Usatysfakcjonowany podreptał do małego salonu.

– Jaki pani lubi, *Fräulein*?

– Z wodą i lodem – odparła.

Wyciągnął do niej rękę ze szklanką dżinu. Celia weszła za nim do pokoju udekorowanego skórą i głowami zwierząt. W powietrzu unosił się stęchły zapach starego dymu tytoniowego, który wsiąkł w tapicerkę. Usiadła i starała się nie spoglądać na martwe oczy, które żałośnie przypatrywały jej się ze ściany.

Kleist był nieogolony, miał poplamiony krawat i jedną klapę pogniecionej lnianej marynarki. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby wiele pamiętać. Podał Celi szklankę dżinu, przesunął zażawionymi niebieskimi oczami po jej twarzy i uśmiechnął się do niej krzywo.

– Jest pani wiernym odbiciem swego ojca – stwierdził, niemiecki akcent silnie pobrzmiewał w jego spółgłoskach. – Przypomina go pani, gdy był młodym człowiekiem. Ma pani takie same oczy.

– Wszyscy mi to mówią – zauważyła chłodno, nie wiedząc, czy ma to uznać za komplement. Czy dostrzegano w nich odłamki lodu, które również połyskiwały w oczach ojca?

Czując ulgę, że Kleist w ogóle coś pamięta, Celia poprosiła, żeby podzielił się z nią wspomnieniami. Podobnie jak inni, czynił to z wielką chęcią. Słuchała banalnych anegdotek o brawurze, sprycie i nieustającym szczęściu Digby’ego; przez cały czas zbaczał z tematu, opowiadając o sobie. Każda historyjka o jej ojcu zdawała się zmierzać do kolejnej na jego własny temat. Siedziała, popijając dżin, podczas gdy on przechwalał się francusko-pruską wojną i swoją odwagą w zabijaniu „miejsowych”. Chełpił się, że został nagrodzony medalem za męstwo.

Celia zaczynała być zmęczona długimi opowieściami i dygresjami, które jak słyszała, mogły być całkowicie zmyślane. Przestała wierzyć, że pomoże jej potwierdzić lub zaprzeczyć temu, co powiedziała jej Duchess. Czy to możliwe, by przyznał się do zamordowania białego człowieka przed dopiero co poznaną kobietą?

– Kapitanie Kleist – przerwała mu wreszcie – czy pamięta pan braci Dupree?

Der Kapitän w zamyśleniu skinął głową.

– Oczywiście, że tak. Jednego z nich, już nie pamiętam którego, rozszarpał lew.

– Tak, owszem. Czy to prawda, że to pan organizował to polowanie?

– A jeśli nawet, to co? Być może. – Wzruszył ramionami i odstawił pustą szklankę. Ręka już tak mu nie drżała.

– Myślę, że pamięta pan ten dzień, kapitanie Kleist. Myślę, że dobrze pan go pamięta. W końcu ilu z pańskich klientów zostało pożartych przez lwy? – Przyglądała mu się uporczywie. – Jestem przekonana, że tamtego dnia sporo pan zarobił. Więcej niż zazwyczaj.

– Biali myśliwi są dobrze opłacani – powiedział; zdawało się, że jego chytra twarz jeszcze się wydłużyła, a jeden kącik ust uniósł w nieznacznym uśmiešku. – Ale to prawda. Nigdy tyle nie zarobiłem jak tamtego dnia. Ale dobrze na to zapracowałem. Pani ojciec był wymagającym klientem. – Z zadumą skinął głową. – Pozostali, Mad McManus, Stone Heart i Spleen, też pracowali dla pani ojca. Wszyscy dobrze zarobiliśmy tamtego dnia. Ale Deverill był bardzo bogatym człowiekiem, a bogaci dostają, co chcą.

– Polowaliście na lwa ludojada, nieprawdaż?

– Tak, to prawda.

– Ale go nie dopadliście?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie dopadliśmy.

– Za to zabiliście tego, kogo wskazał mój ojciec, czy nie tak? – spytała ostrożnie, bacznie obserwując Kleista.

Kapitan w okamgnieniu wytrzeźwiał. Odwzajemnił jej spojrzenie z równą intensywnością. Zatęchłe powietrze w pokoju zrobiło się ciche i nieruchome jak w grobowcu. Twarz kapitana była pozbawiona jakichkolwiek oznak człowieczeństwa – bezwzględna, beznamiętna i ostra jak kamienny klif. Z wolna wykrzywiła się w nikłym uśmiechu – uśmiechu człowieka, który jest zbyt próżny, aby ukrywać swoje triumfy.

– Powiedzmy, panno Deverill, że nigdy nie puduję.

*

Kilka dni później Celia wyruszyła na farmę van der Merwego w Bloemfontein w Wolnym Państwie Orania, położoną pięć godzin jazdy od Johannesburga. Towarzyszył jej pan Gerber, młody geolog w okularach, panowie Scholtz i Daniels – poszukiwacze minerałów, którzy, jak utrzymywał pan Botha, byli niezbędni w tym przedsięwzięciu – oraz sam pan Botha, który zaczął przypisywać sobie zasługę, że Celia zainteresowała się farmą ojca.

– Myślałem o porozmawianiu o niej z sir Digbym niedługo przed jego śmiercią – twierdził. – Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, pani Mayberry, że

zdecydowała się pani na przyjazd do Południowej Afryki. Jestem przekonany, że to odpowiedni moment na kopanie.

Celia nie miała ochoty się z nim spierać. Jeśli znajdą złoto, będzie obojętne, kto wpadł na ten pomysł.

Farma okazała się małym skupiskiem drzew pośrodku rozległej wysuszonej, żółtej sawanny; była tu wysoka wieża ciśnięć i podupadający dom w stylu holenderskim z mocno spadzistym dachem i ciemnozielonymi okiennicami, otoczony rozpadającym się drewnianym ogrodzeniem. Zbędny sprzęt rolniczy leżał porzucony na trawie jak kości dawno umarłych zwierząt. Po zachodniej stronie domu znajdowało się pole, którego czerwona ziemia została ostatnio zaorana. Za domem, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się hektary ziemi, poprzetykanej gdzieniegdzie kępami drzew i stadami zwierzyny.

Dwie wychudłe kozy przyglądały im się z rezerwą, gdy zatrzymali samochody i wysiadali. Celia była szczęśliwa, że może rozprostować nogi i odetchnąć świeżym wiejskim powietrzem. Gdy podchodzili do frontowych drzwi, starsza kobieta wyszła im na powitanie, a za nią gromada kundli. Miała drobną postać, włosy siwe jak gołąbek, ściągnięte w ciasny koczek na czubku głowy i pomarszczoną skórę, brązową i zniszczoną przez ostre afrykańskie słońce. Maleńkie i lśniące jak dwa szafiry oczy spoglądały prosto na Celię. Z uśmiechem wyciągnęła rękę.

– Boobie van der Merwe – przedstawiła się. – Jestem żoną Flippy’ego, którego już niestety nie ma z nami. Pamiętam pani ojca. Ale minęło już wiele lat, odkąd kupił tę farmę. Witam! – Zaprosiła wszystkich, żeby się odświeżyli w domu, a potem przekąsili coś na tarasie. Potem, gdy mężczyźni poszli obejrzyć ziemię, Celia została sama z Boobie. Siedziała w dużym wiklinowym fotelu i podziwiała widok na sawannę.

– Piękne miejsce do życia – powiedziała, czując ucisk w piersiach na widok odległego horyzontu.

– Och, rzeczywiście. – Boobie z uśmiechem przyznała jej rację. – Mieszkam tu od siedemdziesięciu lat.

Celia zmarszczyła brwi.

– Siedemdziesięciu?

– Moja droga, mam dziewięćdziesiąt sześć lat.

– I nadal zajmuje się pani farmą?

– Farmer nigdy nie idzie na emeryturę, wie pani. Gospodarowanie na ziemi to nie jest zajęcie, ale sposób życia. Flippy zmarł dwanaście lat temu, a ja nadal uprawiam tę ziemię wraz z naszymi dwoma synami. Często zastanawialiśmy się, czy pani ojciec kiedykolwiek wróci, żeby tu kopać. Teraz w okolicy kopią głęboko. Nowoczesne technologie działy cuda. Być może sir Digby zapomniał o tym skrawku ziemi. – Albo miał poważniejsze powody, żeby tu nie wracać, pomyślała

Celia. – Na pewno zapomniał podnieść nam opłatę za dzierżawę – ciągnęła Boobie z błyskiem w maleńkich oczach. – Musiał być dobrym człowiekiem.

– Pani van der Merwe, jeśli zacznę tu kopać, daję pani słowo, że dobrze się wami zaopiekuję. Dopilnuję, żebyście zostali przeniesieni i uzyskali rekompensatę za utratę domu.

– Nie musi pani tego robić, moja droga. Jesteśmy tylko dzierżawcami. Możecie nakazać nam odejść, być może z wyprzedzeniem na miesiąc lub dwa. To wszystko. Już czterdzieści lat temu spodziewaliśmy się, że kiedyś to nastąpi. – Zaśmiała się cicho.

– Ale ja wiem, co to znaczy przywiązanie do miejsca. Pani serce jest tutaj, pani van der Merwe. Opuszczenie farmy będzie okropnie bolesne.

– Nic nie trwa wiecznie, pani Mayberry. Wszystko w końcu zmienia się w proch. Tak długo, jak będę mogła patrzeć na sawannę, będę szczęśliwa. Moi chłopcy się mną zaopiekują.

– Być może rozważą pracę dla mnie.

Boobie w zadumie pokiwała głową.

– Możliwe – odparła.

W końcu mężczyźni wrócili, zgrzani i zakurzeni, ale po wyrazie twarzy pana Bothy Celia od razu domyśliła się, że osiągnęli pozytywny rezultat. Pan Botha zdjął kapelusz i wachlował spoconą twarz.

– Zgodnie z tym, co czterdzieści lat temu ustalił sir Digby, tutejsze złoto leży głęboko. Ale dziś da się je wydobywać dzięki postępowi w technologii. Jeśli zechce pani sama się tym zająć, będziemy mogli wiercić. A może woli pani sprzedać działkę Anglo American? Ale złoto tu jest. Mnóstwo złota. Pokłady są równie duże jak inne odkryte w Wolnym Państwie. Pani ojciec był sprytny, pani Mayberry. Co pani zamierza?

– Zajmę się sama wydobywaniem – rzuciła bez zastanowienia. – Wejdę we współpracę z ludźmi, którzy kiedyś finansowali mojego ojca, i ich synami. Wszyscy oni dorobili się majątku z nim i zrobią go również ze mną. Panie Botha, proszę zrobić listę jego udziałowców.

Pan Botha założył z powrotem kapelusz i się uśmiechnął.

– Powinna pani pomyśleć o przeprowadzce do Johannesburga, pani Mayberry – powiedział.

*

Następnego dnia Celia napisała do matki i siostr list o swoich odkryciach. Istniała realna szansa, że uda jej się odbudować rodzinną fortunę w tym samym przemyśle, w którym zbudował ją pierwotnie ojciec. Pan Botha dopilnuje tu jej interesów, a ona tymczasem pojedzie do Anglii, żeby załatwić trudną sprawę z Aureliusem Dupree. Potem powróci do Johannesburga z córkami i zacznie tu

nowe życie. Nie miała już zamku, jej mąż i ojciec odeszli, najwyższy czas, by pogodzić się ze stratami i skoncentrować na odbudowywaniu.

Ale było coś jeszcze, co musiała zrobić przed wyjazdem do Londynu.

Duchess zdziwiła się, że znów ją widzi. Gdy samochód zatrzymał się przed jej skromnym domostwem, siedziała na krześle na zewnątrz i paliła fajkę. Ze zdumieniem popatrzyła na Celię.

– Nie sądziłam, że znów panią zobaczę, panno Deverill – powiedziała, wstając. – Zapraszam do środka.

Celia weszła za nią do ciemnego wnętrza. Poczowała znajomy zapach tytoniu, ziół i przypraw kuchennych.

– Przyjechałam podziękować, że powiedziała mi pani o farmie van der Merwego.

Duchess zachichotała, opadając na krzesło.

– Wiedziałam, że znajdzie pani złoto – rzekła, kręcąc głową. – Nie mówiłam, że tak będzie?

– Słusznie pani sugerowała, że znajduje się bardzo głęboko. Ale współczesne maszyny pozwalają kopać głęboko w ziemi.

Księżna skinęła głową i wypuściła kłęb dymu.

– Cieszę się. Będzie pani bogata jak ojciec. Tak jak on ma pani szczęście.

– Ale w przeciwieństwie do niego nie zawdzięczam swojego szczęścia diabłu. Nie zapomnę o kobiecie, która mi w tym pomogła. Nie zdradzę pani, tak jak to zrobił mój ojciec.

– Ma pani wielkie serce, panno Deverill. – Celia zauważyła, że jej oczy zaśniły z emocji. – Naprawdę dobre serce.

Gdy Celia usiadła, drzwi otworzyły się, wpuszczając promień światła na podłogę. Wysoki mężczyzna o lekko brązowej skórze wszedł do środka. Jej widok go zaskoczył. Stojący przed domem błyszczący samochód z szoferem musiał wzbudzić jego ciekawość. Przyglądał jej się z rezerwą.

– Panno Deverill, to jest mój syn – wyjawiała Duchess, robiąc gest długimi palcami.

Celia popatrzyła mężczyźnie w oczy i dech jej zapało. Wpatrywała się w niego i nie potrafiła wykrztusić słowa. Miała wrażenie, że patrzy w odbicie własnych oczu, ponieważ oczy tego mężczyzny miały taki sam migdałowy kształt, jasnoniebieski kolor i były tak samo osadzone. To były oczy jej ojca. Oczy Deverillów. Wyciągnęła do niego rękę, a on ją ujął, z równym zadziwieniem odwzajemniając jej spojrzenie.

– Celia Deverill – wykrztusiła w końcu.

– Lucky – przedstawił się, nie puszczać jej dłoni. – Lucky Deverill.

Rozdział 31

Grace przesunęła palcami po muskularnej klatce piersiowej hrabiego i się uśmiechnęła. Policzki miała zarumienione, oczy lśniły, ponieważ jej nadmierny apetyt seksualny został w pełni zaspokojony. Przynajmniej na jakiś czas. Rzeczywiście, hrabia Cesare jej nie rozczarował. Michael Doyle całkiem wyparował jej z myśli, gdy ten egzotyczny i kuszący jak diabeł mężczyzna rozpiął pierwszy guzik jej sukienki. Zaniósł ją do łóżka i potwierdził, co zawsze podejrzewała, że południowcy lepiej niż inni mężczyźni wiedzą, jak zadowolić kobietę.

Teraz Michael Doyle znów wślizgnął się do jej świadomości. Chciała, aby poznał jej opinię o hrabim Cesarem i gotował się z zazdrości.

– Cesare, teraz gdy już kupiłeś zamek, kiedy zamierzasz się wprowadzić? – spytała, opierając się na łokciu i potrząsając głową, tak że jej włosy opadły w płowych falach na ramiona.

– Być może na jesieni – odparł niezobowiązująco. – Najpierw muszę załatwić sprawy w Ameryce. Niewykluczone, że jeszcze wpadnę do Buenos Aires, żeby pograć w polo. – Uśmiechnął się szeroko, a Grace napawała się jego urodą zachłannymi oczami.

– Chciałabym popatrzeć, jak grasz w polo – powiedziała. – Ale wpierw zobaczę, jak polujesz. Nie możesz wyjechać do Ameryki, nie zaznając galopu po irlandzkich wzgórzach. Nic nie może się z tym równać.

– Nie spieszę się z wyjazdem. – Westchnął i wsunął palce w jej włosy, żeby popieścić jej kark. – Znalazłem tutaj rozrywkę i chętnie zakosztuję trochę więcej tego, co Irlandia ma do zaoferowania.

Scałowała arogancki uśmiezek z jego warg.

– Mam o wiele więcej do zaoferowania, tak samo jak Irlandia. Ledwie liznąłeś powierzchni. Zostań jeszcze trochę... – Wsunęła rękę pod kołdrę. – Jestem pewna, że potrafię wymyślić sposoby, żeby cię tu zatrzymać.

Skrecając się z przyjemności, jęknął.

– Dobrze... Hrabinie aż tak bardzo się nie spieszy. Skoro już kupiłem zamek, warto dokładniej poznać miejsce, w którym zamierzamy się zadomowić.

– Zdecydowanie – przyznała mu rację, gładząc go wprawnymi palcami. – Pokażę ci wszystko, co powinieneś poznać.

*

Kitty jechała konno z ojcem po piaszczystej plaży przy Smuggler's Cove, po

której często spacerowała z Jackiem. Spoglądając na morze, zastanawiała się, co Jack robi w Ameryce i czy jeszcze o niej myśli. Jej uczucia do niego nie osłabły przez te lata, ale była zadowolona z wyboru, jakiego dokonała. Miała teraz własną rodzinę i Irlandię – nieodmiennie Irlandię – w głębi serca. Tylko wtedy, gdy pozwalała swoim myślom na swobodną wędrówkę, wspomnienia o Jacku raniły ją do żywego.

Szybko rozeszły się wieści, że przystojny włoski hrabia kupił zamek i planuje przywieźć żonę z Ameryki, żeby tu osiąść. Kitty nie mogła sobie wyobrazić, żeby chcieli tu zostać długo. Cóż włoskiej parze po szarym niebie i mżawce? Nie wyobrażała sobie, żeby odpowiadał im irlandzki sposób życia. To tylko kwestia czasu, zanim wrócą do pełnego blasku i finezji Nowego Jorku. Posiadanie zamku w Irlandii było uroczą fantazją dla cudzoziemca, który miał więcej pieniędzy niż rozumu, ale twardą rzeczywistością dla kogoś, dla kogo ta dzika i bezlitosna ziemia była obca. Nie sądziła, by tutejsze towarzystwo zrobiło na nich wrażenie, aczkolwiek z tego, co zdążyła się zorientować, Grace zabawiała hrabiego jak mogła, zarówno przy stole, jak i w sypialni.

Kitty tęskniła za Celią. Wyjechała do Południowej Afryki bez słowa wyjaśnienia, pozostawiając dzieci pod opieką niani. Kitty nie spuszczała ich z oka, ale teraz, gdy Castle Deverill już nie należał do Celi, na pewno wrócą do Anglii i tam osiądą. Pomimo sentymentalnych wspomnień Celi z Ballinakelly, Kitty była przekonana, że jej kuzynka w głębi serca jest londyńską mieszkanką i gdy otrząśnie się z szoku i upokorzenia po sprzedaży zamku, z radością wróci do dawnego stylu życia. Będzie blisko Boysiego i Harry'ego, oraz oczywiście swej matki, która nadal odmawiała opuszczenia łóżka i pielęgnowała żalobę.

Celia zapewniła Kitty i Bertiego, że mogą mieszkać w White House i Hunting Lodge tak długo, jak zechcą. W umowie zostało zapisane, że Deverillowie zawsze będą mieli pierwszeństwo wynajmu tych dwóch rezydencji, pod warunkiem niezalegania z czynszem. Hrabia zgodził się pójść na to małe ustępstwo, w końcu odpowiadało mu, że domy są zajęte i pieniądze wpływają regularnie. Bertie i Kitty z ulgą przyjęli wiadomość, że mogą pozostać w swoich domach.

– Będzie mi brakować Celi – powiedziała Kitty, jadąc obok ojca po szerokiej plaży.

– Musimy pogodzić się ze zmianą – stwierdził Bertie filozoficznie. – Na nic się zda zgrzytanie zębami i biadolenie, ponieważ przeszłość i tak nie wróci. Musimy być wdzięczni za nasze wspomnienia, Kitty. Mieliśmy szczęście, że żyliśmy tak, jak żyliśmy.

– Świadomość, że zamek zamieszkają obcy ludzie, napawa mnie wielkim smutkiem.

– Hrabia wydaje się sympatycznym człowiekiem – zauważył Bertie. –

Zapewne go polubimy, gdy poznamy bliżej.

– Jeśli pozostanie tu wystarczająco długo. Obawiam się, że brak rozrywek ich znudzi. To przecież cudzoziemcy, tato.

– Będą się rozrywać tak samo jak my. Wsiąkną w irlandzki sposób życia, a jako nowość będzie dla nich ekscytujący. Smak życia leży w różnorodności.

– Na pewno zatęsknią za atrakcjami Nowego Jorku. Tutejsze towarzystwo nie jest szczególnie wytworne, nieprawdaż?

– Może są znużeni wytwornością?

Kitty wzruszyła ramionami.

– Nie mam przekonania. Trzeba mieć tę ziemię w sercu, inaczej umysł szybko się nudzi. Nas wiąże z tą ziemią miłość. Ty i ja kochamy ją bardziej niż ktokolwiek inny i nic tego nie zmieni. Ale hrabia i jego żona nie mają w sobie tego uczucia. A ona nawet nie postawiła stopy w Irlandii. Skąd wie, jak tu się żyje? Pewnie zobaczyła zdjęcie w gazecie i wyobraziła sobie siebie w roli księżniczki. Ale Ballinakelly nie jest bajkowym miasteczkiem. Zorientuje się niedługo po przyjeździe i założę się, że wsiądzie na najbliższy statek i ucieknie do Nowego Jorku, a biedny hrabia, jęcząc, poleci za nią. – Roześmiała się głośno. – Jeśli ty i ja zaoszczędzimy dość pieniędzy, może kupimy zamek, gdy będą go sprzedawać.

Bertie też się roześmiał.

– Masz bujną wyobraźnię, moja droga.

– To ty mnie stworzyłeś, tato.

– Ale twoja wyobraźnia i zainteresowanie magią natury pochodzą prosto od babci.

– Zawsze odrzucałeś to jako bzdury – powiedziała, uśmiechając się z czułością.

Spojrzał za nią z ukosa.

– Ale nauczyłem się, że szydzenie ze spraw, o których nic się nie wie, świadczy o głupocie. Wyczuwam obecność Boga, Kitty – wyznał, spoglądając gdzieś ponad wodę. – Chociaż Go nie widzę. A więc czemu nie świetlne duszki, duchy, gobliny czy skrzaty?

Uśmiechnął się na widok zaskoczenia na twarzy córki.

– Mądrość przychodzi z wiekiem, moja droga Kitty.

– Co babcia by powiedziała? – Kitty się roześmiała.

– Chciałbym to wiedzieć. Chciałbym, żeby tu była... – Pokręcił głową i zachichotał. – Ale przecież ona tu jest, nieprawdaż? Zawsze tu będzie. Czyż nie twierdziła, że ci, których kochamy, nigdy nas nie opuszczają?

– Rzeczywiście tak mówiłam – powiedziała Adeline, ale jej głos był zaledwie westchnieniem wiatru i tylko Kitty mogła go usłyszeć.

*

Dla Laurel powrót na siodło był ogromnie podniecający. Hazel z kolei wołała karciany stolik. Nagłe upodobanie do odmiennych rozrywek sprawiło, że dużo czasu siostry spędzały oddzielnie. W przeszłości tak częsta separacja ogromnie by je irytowała, teraz jednak chętnie się na nią godziły. I podczas gdy Laurel całowała się ukradkiem z Ethelredem Huntem za żywopłotami na wietrznych wzgórzach wokół Ballinakelly, Hazel pozwalała mu dotykać swojej stopy pod karcianym stolikiem, a gdy nikt nie patrzył, położyć rękę na nodze. Całowali się ukradkiem w ciemnych korytarzach i pustych pokojach, a aura tajemnicy tylko pogłębiała zachwyty Hazel. Obie kobiety starannie ukrywały swe sekretne romanse – aż do pewnego pechowego wieczoru w maju, gdy przypadkowe odkrycie zerwało welon tajemnicy.

Laurel udała się na samotną przejażdżkę. Pożyczyła konia ze stajni Bertiego i ruszyła sama, ponieważ Ethelred otrzymał zaproszenie do brydżowego stolika w Hunting Lodge i zanosilo się, że zabawi tam do wieczora. Samotna jazda sprawiała jej przyjemność, chociaż oczywiście wołałyby ją odbyć w towarzystwie dziarskiego srebrnego wilka. Małe ptaszki dokazywały w krzewach tarniny i dzikiego bzu, zajęte budową gniazd, podczas gdy młode zajęły buszowały w wysokich trawach i wrzosach. Była to jej ulubiona pora roku i Laurel czerpała nieomal fizyczną przyjemność z uroków wiosny, która w tym nieprzyjaznym krajobrazie eksplodowała feerią wspaniałych kolorów.

Zatrzymała się na szczycie wzgórza i zapatrzyła w morze, wdychając orzeźwiający zapach i wsłuchując się w ryk fal uderzających o skały. Gdy ruszyła w dół w stronę domu, było jej lekko i radośnie na duszy. Wszystko układało się znakomicie. Miała uroczy romans z Ethelredem Huntem i po miesiącach narastającego rozdzwiewu ona i Hazel znów były przyjaciółkami. Nie musiała już dłużej być zazdrosna o siostrę ani cierpieć bólu z powodu nieodwzajemnionej miłości. Ethelred Hunt kochał ją, co do tego nie miała wątpliwości. Dopóki Hazel o niczym się nie dowie, wszystko będzie w porządku. Biedna Hazel, pomyślała z prawdziwym współczuciem. Ale Ethelred wybrał ją, Laurel, a ona miała słaby charakter i była zanadto w nim zadurzona, by mu się oprzeć. Po raz pierwszy w życiu nie postawiła siostry na pierwszym miejscu. Nie był to powód do dumy, ale namiętność do Ethelreda wprawiała ją w rozkoszną beztroskę i uczucia do siostry skutecznie zepchnęła na bok.

Prowadziła konia po grzbiecie klifu. W dole mewy i głuptaki wydziobywały stworzenia morskie pozostawione przez przyptyw; przypadkowy motylek zatrzepotał przed jej oczami. Wtem usłyszała jakiś śmiech, dźwięk, którego zdecydowanie nie wydał ptak. Wstrzymała konia i rozejrzała się po plaży. Ciepły, zalotny śmiech niósł się na wietrze i po chwili rozpoznała, do kogo należał. Dał się słyszeć również męski głos; śmiech urwał się, gdy mężczyzna wziął swoją towarzyszkę w objęcia i namiętnie pocałował. Laurel była oszołomiona jego

zarliwością oraz tym, że pod kobietą ugięły się kolana i obsunęła się w jego ramiona. Laurel nie mogła oderwać od nich oczu. Co by powiedział sir Ronald, gdyby zobaczył swoją żonę w romantycznym uścisku z hrabią Cesarem? – pomyślała. A żona hrabiego? Laurel pokręciła głową i cmoknęła z dezaprobatą. Grace Rowan-Hampton powinna się wstydzić takiej rozwiązłości. Damie o jej statusie nie wypada się tak zachowywać. Każdy mógł się na nich natknąć. Mieli dużo szczęścia, że tylko ona ich przyłapała. Jej można zaufać, że będzie trzymała język za zębami.

A może mogłaby...?

Hazel się nie liczy, przekonała sama siebie. Plotkowanie z siostrą jest naturalne i normalne. Zresztą Hazel nikomu nie rozpowie.

Pozostawiając kochanków w nieświadomości, że ktoś ich zauważył, zawróciła konia znad krawędzi urwiska i pokłusowała pospiesznie ścieżką w kierunku Hunting Lodge.

Odkrycie romansu Grace i hrabiego świerbiło jej język. Nie mogła się doczekać, aż pozbędzie się ciężaru tej tajemnicy. Pospiesznie podjechała do stajni i przy pomocy stajennego zsiadła z konia i oddała chłopcu wodze. Energicznym krokiem przeszła przez podwórko, po drodze ściągając rękawiczki pojedynczo z każdego palca. W bibliotece zastała tylko Bertiego i Kitty. Obydwoje pili herbatę przy dźwiękach klasycznej muzyki z gramofonu.

– Och, witaj, Laurel. Mam nadzieję, że miałaś miłą przejażdżkę – odezwał się z fotela Bertie. Karty leżały starannie złożone na stole. Gra dobiegła końca.

– Jak najbardziej, Bertie, dziękuję. Wspaniały dzień! – Stała w drzwiach, wyraźnie nie mając zamiaru do nich dołączyć.

– Sama też chętnie bym się przejechała – powiedziała z zazdrością Kitty. – Szkoda takiego pięknego popołudnia na siedzenie w domu.

– Będą następne – zauważył ze śmiechem Bertie.

– Czy Hazel pojechała do domu? – spytała Laurel, chcąc jak najszybciej znaleźć siostrę.

– Jeszcze nie – odparł Bertie. – Poszła z Ethelredem na spacer do ogrodu.

– Pójdę ją znaleźć. Mam jej coś bardzo ważnego do powiedzenia – oznajmiła Laurel, zanim wyszła.

– Po powrocie będzie na ciebie czekać świeżo zaparzona herbata – rzuciła za nią Kitty, ale Laurel już zniknęła w holu.

Bertie uniósł brwi ze zdziwieniem, a Kitty wzruszyła ramionami.

– Zastanawiam się, o co chodzi? – Zdziwiła się.

– Na pewno szybko się dowiemy.

Na ogrody Hunting Lodge składały się trawniki, grządki warzywne, tajemniczy ogród okolony murem i sad. Każdą część oddzielono żywopłotem z cisów, krzewami, drzewami albo murkiem. Obecnie były trochę zaniedbane,

ponieważ Bertie nie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie armii ogrodników do systematycznego strzyżenia żywopłotów, pielienia rabat i nowych nasadzeń. Była też szklarnia, gdzie dawniej podczas zimowych miesięcy trzymano sadzonki oraz rośliny w doniczkach, które latem wystawiano na zewnątrz, ale teraz wiało tu pustką, a przez wybitą taflę szkła swobodnie przedostawały się do środka gawrony i woda deszczowa. Nie rosło tu nic oprócz chwastów i małego kasztanowca, który jakimś cudem sam się tu wysiał.

Laurel ruszyła szybkim krokiem. Pomimo zaniedbania ogrody mieniły się kolorami. Barwinki i niezapominajki rozlewały się na rabatach, atakując trawniki, a fioletowe klematisy wraz z glicynią i różami wspinały się na ściany. Stokrotki, jaskry i mlecze rozsypane wśród trawy służyły za kuszące lądowiska dla pszczoł, pijanych od nektaru. Motyle królewskie unosiły się nad krzewami budlei, a jaskółki wlatywały i wylatywały jak z procy ze szczelin w domu, zajęte budowaniem gniazd. Laurel pomyślała, że wszystko wygląda pięknie na swój dziki, wybujały sposób. Chciałaby znów być młoda i na tyle żwawa, żeby móc wyrwać dziki bez z korzeniami, ponieważ tłamsił rośliny, oraz powoje i inne chwasty przejmujące we władanie rabatki.

Maszerowała przez tajemniczy ogród, otoczony cisowym żywopłotem i murkiem. W zacisznym, nasłonecznionym miejscu postawiono ławeczkę, ale chwasty wybujały tak wysoko, że niemal ją połknęły. Rozglądała się uważnie, spoglądając ponad żywopłotem z cisów, gdzie w cieniu płaczącej wierzby błyszczał niezmacony, spokojny staw. Rośliny wodne przykrywały grubym zielonym kożuchem powierzchnię wody, a para dzikich kaczek, która tu się zagnieździła, dziobała je beztrąsco. Laurel wytężyła słuch, ale nie słyszała nic oprócz hałaśliwych ptasich treli. Zawołałaby głośno, ale takie zachowanie w ogrodzie nie uchodziło.

Już miała się wycofać, gdy zobaczyła ich przez szybę szklarni. Stali w cieniu po drugiej stronie, trzymając się za ręce – za obie ręce! – zauważyła wstrząśnięta Laurel. A potem, ku jej przerażeniu, mężczyzna, który sprawiał, że czuła się jedyną kobietą na świecie, jedyną pożądaną, pochylił głowę i pocałował jej siostrę w usta! To było więcej niż szokujące, to było wprost oburzające. Nie ujdzie mu to na sucho!

Przeszła naokoło szklarni i trzymając się pod boki, stanęła w odległości kilku metrów od nich, rzucając im wściekle spojrzenie. Byli tak zaabsorbowani sobą, że spostrzegli ją dopiero po chwili. Wtem Hazel otworzyła oczy i wyprostowała się jak struna. Czym prędzej odepchnęła Ethelreda.

– Nie jest tak, jak myślisz – powiedziała zakłopotana.

– Widzę to, co widzę – warknęła Laurel. Ethelred odwrócił się i patrzył na nią zaskoczony. Przynajmniej ma w sobie dość przyzwoitości, żeby wyglądać na zawstydzonego, pomyślała.

– Posłuchajcie, moje panie... – zaczął niepewnie.

Ale Hazel nie dała mu dojść do słowa. Pokręciła przepraszająco głową.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam, Laurel. Powinnam była... Ethelred i ja się spotykamy...

Laurel podeszła do lorda Hunta i wymierzyła mu policzek. Hazel usiłowała protestować, ale Laurel zwróciła się do siostry:

– Zrobił z nas idiotki, Hazel. Ja też spotykałam się z Ethelredem!

Hazel w osłupieniu wpatrywała się w lorda Hunta.

– Czy to prawda? – zapytała ostro. – Czy spotykałeś się z Laurel tak samo jak ze mną? Bawiłeś się nami, jedną przeciwko drugiej? – Zamachnęła się i spoliczkowała go z drugiej strony. – Jak śmiałeś!

– Kpił sobie z nas od miesięcy! – oświadczyła Laurel, nagle uświadamiając sobie pełen rozmiar jego niegodziwości.

– Nigdy w życiu nie zostałam tak upokorzona! – krzyknęła Hazel. – Nigdy się z tego nie otrząsnę. Nigdy!

Ethelred zwrócił się do obu sióstr.

– Ależ ja nie mogłem dokonać wyboru pomiędzy wami – wyjaśnił z zaczerwienioną twarzą, wyrzucając ręce w powietrze. – Naprawdę zakochałem się w was obu.

– Nigdy nie słyszałam czegoś równie skandalicznego! – Laurel ujęła Hazel pod ramię.

– Ani ja. Oburzające! – Hazel spojrzała z czułością na siostrę. – Chodź, Laurel, zostawmy tego drania, niech liże swoje rany. Ani mi się śni słuchać jego wyjaśnień.

– Ale ja naprawdę was kocham – powtórzył błagalnym tonem Ethelred; głos mu się załamał na słowie „kocham”. Ale obie siostry ruszyły już w kierunku domu, nie odwracając się.

– Nikomu o tym nie powiemy – poradziła Hazel, gdy podeszły pod Hunting Lodge.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się z nią Laurel.

– To zbyt poniżające. – Szły w milczeniu. Wstrząs z powodu nieuczciwości Ethelreda Hunta zaczął z wolna ustępować. Potem Hazel westchnęła ze smutkiem.

– Ale ja naprawdę jestem przekonana, że go kocham, Laurel – wyznała cicho.

Laurel skinęła głową, czując ulgę, że może z kimś dzielić swój ból.

– Ja też – powiedziała.

– Och, jesteśmy beznadziejne – lamentowała Hazel.

– Beznadziejne!

– Co powiedziałyby Adeline?

Laurel pokręciła głową.

– Nie znalazłaby słów – odparła. – Żadnych słów! – W zamęcie swojej

udreki Laurel całkiem zapomniiała o Grace Rowan-Hampton i jej pełnym zapachu hrabim.

Rozdział 32

Nowy Jork, 1931

Jack czekał przed Trapani, elegancką sycylijską restauracją przy Wschodniej Sto Szesnastej Ulicy w Harlemie. Spodziewał się tego telefonu. Wiedział, że pewnego dnia będzie potrzebny. Niewiele go przerażało i nikogo się nie bał. Zaciągnął się papierosem i rozejrzał wokół siebie. Trapani była klasyczną włoską knajpką, wyłożoną boazerią, z której roznosił się zapach cebuli i czosnku. Kelnerami byli przysadziści Sycylijczycy o siwiejących włosach i ogorzałych, zniszczonych przez słońce twarzach. Nosili czarne spodnie i białe marynarki, a ich rozmowy wznosiły się i opadały w melodyjny sposób, jak to u Włochów. Zauważył, że w głównej restauracji nie ma klientów, tylko krzepcy ochroniarze w czarnych garniturach i kapeluszach typu fedora – ludzie Salvatore’ a Maranzana. Po zabójstwie Joego „Bossa” Masserii Maranzano został *capo di tutti capi*, szefem wszystkich szefów. Ochroniarze spodziewali się Jacka. Posadzili go przy małym okrągłym stoliku pod markizą przed restauracją, poczęstowali papierosem, przynieśli włoską kawę. Jack siedział więc i czekał. W swoim fachu spędzał mnóstwo czasu na czekaniu.

– Szef wie, że tu jesteś – zakomunikował ochroniarz o głęboko osadzonych oczach neandertalczyka i zmiażdżonym nosie. – Jest w środku. Będzie gotowy, kiedy będzie gotowy.

– Wspaniale – rzekł Jack. – A więc proszę o jeszcze jedną. – Podniósł pustą filiżankę.

Jack nigdy nie poznał szefa, ale wiedział o nim wszystko. Maranzano słynął z obsesji na punkcie Imperium Rzymskiego. Pożerał książki o cesarzach, lubił cytować Kaligulę i Marka Aureliusza, przez co zyskał przydomek „Mały Cezar”, aczkolwiek nikt nie ośmielał się zwracać tak do niego prosto w oczy. Ostatnio wygrał wojnę przeciwko Joemu Masserii i zawarł przymierze z młodymi gangsterami: Charliem „Luckym” Lucianem oraz jego żydowskimi sojusznikami: Meyerem Lanskym i Benem „Bugsym” Siegelem. Był to świat, w którym wszyscy mieli przezwiska – tak jak w Irlandii – i był to świat znajomy dla Jacka, ponieważ walczył z rebeliantami podczas irlandzkiej wojny o niepodległość. Znał się na broni i potrafił jej użyć. Tamtej nocy przy Dunashee Road zabił pułkownika Manleya, a gdy raz się zabije, drugi raz przychodzi łatwiej. Zdesperowany, by pozostawić za sobą przeszłość z całym jej bólem i rozczarowaniem, bez chwili

wahania wskoczył do pełnego krwi nowojorskiego kotła. Postanowił zadbać o siebie, a diabeł niech zajmuje się resztą.

Najszybszym sposobem, aby tego dokonać w Nowym Jorku, było przyłączenie się do gangu. Dla Irlandczyka świeżo przybyłego do Ameryki nie było to trudne, w mieście bowiem roiło się od jego rodaków. Skontaktował się z przyjacielem ze Starego Kraju, który poznał go z odpowiednimi ludźmi i wkrótce zaczął pracować dla Owena Maddena, który prowadził Cotton Club. Praca ta polegała głównie na jeżdżeniu ciężarówkami szmuglującymi whisky z Kanady w charakterze ochroniarza ze spluwą. Wkrótce zyskał opinię człowieka o nerwach ze stali. Niebawem umocnił swoją pozycję, dokonując zabójstwa, co przyniosło mu szacunek w gangsterskim świecie. Nagle stał się rozchwytywany i podwoił zarobki. Gdy wspominał swoje marne dochody weterynarza w Ballinakelly, parsknął pogardliwie. W Nowym Jorku zyskał reputację zimnego cyngla oraz przezwisko. Nazywano go „Mad Dog”[16] O’Leary i w tym elitarnym gangsterskim świecie wszyscy wiedzieli, kim jest. Był człowiekiem o pewnej pozycji i cieszył się z nowego prestiżu. Nie mógł przystąpić do mafii, ponieważ status pełnoprawnego mafiosa zarezerwowany był dla Sycylijczyków, ale dla Jacka to nie miało znaczenia. Irlandczycy mieli swoje gangi i swoich reketierów[17], często pracowali wspólnie z Włochami i Żydami.

Irlandczycy trzymali się razem. Po dwóch i pół roku parania się nielegalnym alkoholowym biznesem Jack poślubił córkę jednego z cyngli Owena Maddena z Cotton Club, irlandzką dziewczynę, której rodzina pochodziła z hrabstwa Wicklow. Miała na imię Emer, była piegowata, ładna, delikatna i uległa, całkowicie różna od Kitty Deverill, której miłość była namiętna, złość zapalczywa, a determinacja żelazna. Chwilami atakowały go wspomnienia, widział ją biegnącą do Magicznego Kręgu i zarzucającą mu ramiona na szyję, jak to czyniła wielokrotnie, rozwiane na wietrze bujne rude włosy i skórę, której słońce nadało złotawy odcień, słyszał jej śmiech unoszący się ponad rykiem fal. Wyobrażał sobie jej twarz, namiętność w jej spojrzeniu i czuł siłę jej uścisku, jakby znów to przeżywali. Wymagało od niego ogromnego wysiłku, aby wymazać jej obraz z głowy i skupić myśli na kobiecie, którą poślubił.

Emer była młoda, słodka i bezwolna. Miłość bez komplikacji przyjął z prawdziwą ulgą. Kochał Emer. Był to inny rodzaj miłości, niemniej była to miłość, i pomimo całej swojej tęsknoty miał pewność, że Emer będzie dla niego dobrą żoną. Dorastając w świecie irlandzkich reketierów, była wyrozumiała i podobnie jak jej matka nie zadawała żadnych pytań, gdy nad ranem wracał z Cotton Clubu, pachnąc tanimi perfumami. Emer nie pytała o to, co robi oraz jakie ryzyko podejmuje, i była wdzięczna za pieniądze, nie interesując się, skąd pochodzą. Wiedziała, że nosi broń i doskonale zdawała sobie sprawę, że od czasu do czasu musi jej użyć ze śmiertelnym skutkiem. Urodziła mu córkę, Rosaleen,

dziś dwuletnią, a teraz była w ciąży z drugim dzieckiem. Ich dzieci nigdy nie poznają Irlandii ani nie dowiedzą się, jaką rolę pełnił ich ojciec w odzyskaniu niepodległości. Jack postanowił dopilnować, żeby miały lepsze życie niż tamto, które wiódł w Ballinakelly. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby zarobić pieniądze.

W pewnym momencie nastąpiło poruszenie. Lunch dobiegł końca, ochroniarze wstali z krzeseł, zapięli marynarki i ruszyli ku drzwiom. Młody Włoch w modnym garniturze i kapeluszu fedora dumnym krokiem wojownika przeszedł obok Jacka. Miał pełną twarz, a jego dziobatą skórę przecinała długa czerwona blizna, ciągnąca się wzdłuż szczęki. Małe ciemnobrązowe oczka patrzyły arogancko. Część ochroniarzy szła za nim, a ci, którzy byli z przodu, najpierw rzucali podejrzliwe spojrzenia w górę i dół ulicy, zanim stanęli obok czarnego, lśniącego samochodu. Jack wiedział, kto wychodził. Jego chód oraz wyraz twarzy były nie do pomylenia. Był to zastępca szefa, Lucky Luciano, człowiek, który zlecił zabójstwo Masserii. Luciano zerknął na Jacka ostrożnie, ponieważ jego twarz była mu nieznana. Potem jeden z ochroniarzy otworzył drzwi samochodu i Lucky Luciano wszedł do środka. Samochód z warkotem ruszył w górę ulicy.

– O’Leary, szef chce cię zobaczyć.

Jack wstał i wkroczył do restauracji. Dwóch mężczyzn obmacało go, zabrano mu pistolet oraz nóż, który zawsze trzymał w podwiązce przy goleni. Następnie zaprowadzili go do pomieszczenia na zapleczu, gdzie Salvatore Maranzano siedział za stołem poplamionym pomidorowym sosem i nitkami spaghetti. Miał około czterdziestu pięciu lat, był niski, krzepkiej budowy, ubrany w trzyczęściowy garnitur, który opinał się na jego wydatnym brzuchu, oraz tradycyjną krawatę. Twarz miał szeroką, przystojną i gęste czarne włosy zaczesane do tyłu z szerokiego czoła. Gdy Jack stanął w drzwiach, podniósł wzrok i wypuścił parę dymków z cygara.

– Wejdz, O’Leary – rzekł z silnym włoskim akcentem poprzez kłęby dymu, gestem wskazując krzesło naprzeciwko.

– Witaj, Don Salvatore – powiedział Jack z lekkim ukłonem, wiedział bowiem, że Włosi, a szczególnie Mały Cezar, oczekiwali tego rodzaju uniżoności. Maranzano podał mu rękę i Jack ją uściskał.

– Usiądź. Kawa? Papieros? Koniak?

– Nie, dziękuję – odparł Jack, zajmując miejsce naprzeciwko szefa.

Maranzano skinął na ochroniarzy, którzy wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Jack został sam z szefem; Irlandczyk z małego miasteczka z szefem z Nowego Jorku. Jackowi przemknęło przez myśl, że daleko zaszedł, ale nie miał czasu na zadumę, ponieważ Maranzano intensywnie mu się przyglądał i zmrużonymi oczami oceniał, czy naprawdę zasługuje na przydomek Mad Dog.

– Słyszałem, że masz odwagę i możesz każdego załatwić – powiedział cicho.

Jack nonszalancko wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówią.

– Musisz coś w sobie mieć, że nazywają cię Mad Dog. Ale wielu irlandzkich chłopaków tak nazywają. Potrzebuję psa, który jest wystarczająco wściekły, ale nie za bardzo wściekły. Rozumiesz, co mówię? Chcę sprawę załatwić skutecznie i szybko.

– Być może więc jestem człowiekiem, którego pan szuka – zasugerował Jack, odważnie patrząc mu w oczy.

– Rozumiesz, to nie może być Włoch ani Żyd, a więc to musi być Mick[18]. W dodatku nowy Mick. Ktoś świeży w mieście, ktoś, kogo nikt nie zna. I ktoś, kto potrafi celnie strzelać. Wiesz, o czym mówię?

– Zostałem wezwany, więc jestem – powiedział Jack, bardziej pewny siebie, niż naprawdę się czuł. Chciał takiej roboty, dużej roboty, ale zimne ciarki zaczęły skradać się po jego kręgosłupie, od podstawy w górę, i przemknęła mu przez głowę myśl, czy nie jest to jednak zbyt wielka robota. Przemyt alkoholu to jedno, ale praca dla mafii to całkiem co innego. Wiedział jednak, że nikt nie wychodzi cało z nieudanego spotkania z Małym Cezarem.

– Znasz historię starożytnego Rzymu, chłopcze? – spytał Maranzano, znów wypuszczając dym z cygara. Jezus, no to się zaczyna, pomyślał Jack. – Pozwól, że ci opowiem o moim ulubionym bohaterze Juliuszu Cezarze. To on mnie nauczył, jak zorganizować armię, centurie i legiony. – Krzesło Maranzana zaszurało po podłodze, gdy wstał. Następnie podniósł palec wskazujący niczym wykładowca na katedrze. – Potem Marek Aureliusz. On nauczył mnie filozofii zarządzania imperium. Powiedział: „Nie bądź zbyt cesarski, to niebezpieczne. Zachowaj przenikliwość!”. Rozumiesz, co mówię? Wreszcie August, on wiedział, że imperium potrzebuje pokoju po wojnie. To właśnie muszę zrobić teraz. On rządził z Markiem Antoniuszem, ale w końcu zrozumiał, że Marek Antoniusz musi odejść. *Capisci?*

Jack nie rozumiał, ale nie chciał się domyślać, ponieważ wiedział, że jeśli odgadnie źle, może go to kosztować głowę. A więc nie komentował. Maranzano znów podniósł wymownie palec.

– Powiem ci o innym cesarzu: o Kaliguli. Powiedział: „Niech mnie nienawidzą, byle się mnie bali”. Był szalony, ale nie głupi, *capisci?* Dlatego cię wezwałem. – Usiadł i włożył cygaro do ust.

– A więc dlaczego mnie pan wezwał, szefie? – zapytał Jack.

– Mam dla ciebie zadanie. Największą robotę w twoim życiu. – Dźgnął Jacka palcem. – Jeśli ją spieprzysz, jesteś skończony w tym mieście, ale jeśli dobrze się spiszesz, zostaniesz moim człowiekiem, moim irlandzkim setnikiem, *capisci?* Wezwałem cię tu z pewnego określonego powodu. Widziałeś tego człowieka, który jadł ze mną lunch? – Jack skinął głową. – Wiesz, kto to jest? –

Jack znów skinął głową. – Luciano, to właśnie on. Ale ten skurwiel próbuje mnie zabić. Po tym, jak zrobiłem go moim zastępcą i tyle mi zawdzięcza! – Podniósł głos, mrużąc z nienawiścią oczy. – Próbuje mnie zabić, razem ze swoimi żydowskimi kompanami, Bugsym i Meyerem. Znasz Bugsy’ego z tymi jego niebieskimi oczami i wyglądem gwiazdy filmowej? Ale ja nie boję się tych Żydków! Mam u nich swojego człowieka, który mi doniósł, że planują mnie dopaść! Ale to ja pierwszy dopadnę Luciano. Ty to dla mnie zrobisz.

– Niezła robótka – powiedział Jack, zachowując kamienny spokój. Nie chciał, żeby szef dostrzegł w jego oczach choćby cień wątpliwości.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów: dwadzieścia pięć teraz, dwadzieścia pięć potem. Sporo pieniędzy jak dla małomiasteczkowego Micka, nowego w tym mieście, co nie? Wystarczy?

– Tak, wystarczy. Wezmę tę robotę, Don Salvatore. Chociaż muszę panu coś powiedzieć, nie lubię, jak mówi się do mnie Mick.

Maranzano przeszedł naokoło stolika i uściśnął Jacka. Czuć było od niego czosnek, szczypiorek, cygara i cytrynową wodę kolońską.

– Jesteś dumnym człowiekiem, O’Leary. To mi się podoba. Cofam to, co powiedziałem. Szanuję waszych ludzi i lubię wasze piosenki. Przepraszam. Rozumiemy się?

– Oczywiście, nie ma problemu – zgodził się Jack.

– Dobrze. – Szef pocałował go w oba policzki i ujął jego dłoń pomiędzy swoje. – Za dwa dni Luciano pojawi się w moim biurze. Znajduje się ono na dziewiątym piętrze, ale on zawsze korzysta ze schodów, ponieważ obawia się pułapki windy. Przezornie, prawda? Kiedy wyjdzie ze spotkania, będzie sam i wtedy go dopadniesz pomiędzy moim biurem a schodami. *Capisci?*

– Niezły plan – przyznał Jack, chociaż nie był co do tego absolutnie pewny.

– Tu masz forszę, dwadzieścia pięć patyków. – Maranzano wyciągnął z kieszeni kopertę i cisnął ją na stół przed Jackiem.

Jack nigdy dotąd nie widział takich pieniędzy. Złożył kopertę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Z pięćdziesięcioma tysiącami może sobie na wiele pozwolić. Może kupić dom dla siebie i Emer. Może zagwarantować swoim dzieciom lepsze życie, niż on kiedykolwiek miał.

– Nikt o tym nie wie – podjął Maranzano. – Żaden z moich chłopaków, rozumiesz? Żaden. Tylko ty i ja. Dlatego zrobię z ciebie bogatego człowieka. Wiesz, że każdy żołnierz, każdy kwartał, każdy haracz w tym mieście należy do mnie. Jeśli mnie zawiedziesz, jeśli coś piśniesz albo spudłujesz, zniszczę cię. A jeśli uciekniesz, będę cię ścigał aż do tej twojej irlandzkiej dziury i zabiję każdego, kogo kochasz na tym świecie. Rozumiesz, co mówię? Ale jeśli ci się uda, dam ci wszystko. Nie pożałujesz. Wiesz, Jack, zabiłem wielu ludzi i jedno wiem na pewno, musisz przyłożyć broń komuś do czoła tak blisko, żebyś go poczuł.

Dopiero wtedy masz pewność, że to koniec. Człowiek to najtrudniejsze zwierzę do zabicia. Jeśli ujdzie z życiem, wróci i zabije ciebie.

16 Mad dog (ang.) – wściekły pies.

17 Reketier – osoba wymuszająca haracz.

18 Mick – pogardliwe określenie Irlandczyka.

Rozdział 33

Jack przysiadł na skraju biurka w małym pomieszczeniu sąsiadującym z recepcją gabinetu Salvatore'a Maranzana. Popijając kawę i przeglądając gazetę „New York Word-Telegram”, sprawdzał wyniki gonitw. Jego myśli powędrowały do tancerki z Cotton Clubu, którą miał poprzedniej nocy. Nadal czuł zapach jej perfum i siłę jej sprężystego ciała. To były profity z bycia irlandzkim gangsterem w Nowym Jorku. Zobacz ją również tej nocy i będzie mógł świętować posiadanie pięćdziesięciu tysięcy dolców.

Uśmiechnął się pod nosem i przewrócił stronę. W biurze roilo się jak w ulu. Ładne dziewczęta w eleganckich sukienkach mijały jego drzwi, ledwie na niego zerkając, zbyt zajęte telegramami, listami i dokumentami, które należało dołączyć do akt. Inne siedziały przy biurkach z pochylonymi głowami i pisały coś na maszynach. Biura były eleganckie i okazałe – z boazeriami, wysokimi sufitami, ozdobnymi gzymsami oraz lśniącymi marmurowymi podłogami, na których leżały purpurowe dywany. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające Rzym. Jack czytał podpisy: *Forum, Koloseum, Wzgórze Palatyńskie, Panteon, Bazylika Świętego Piotra*; co kilka kroków stał rzymski posąg jakiegoś cesarza albo innego Rzymianina w todze. Jack słyszał, że nie wszyscy byli zachwyceni obsesją szefa na punkcie Cezara, ale nikt nie śmiał okazać braku entuzjazmu.

Budynek przy Czterdziestej Piątej Ulicy przypominał pałac, cały błyszczący i nowy, zaprojektowany przez tych samych ludzi, którzy zbudowali dworzec Grand Central. Wewnętrzny hol wyłożony marmurem, lśniące windy, co Jack miał okazję sprawdzić osobiście, gdy drzwi zamknęły się, a on w drodze na górę, przeglądał się w nich, poprawiając krawat. Musiał przyznać, że wygląda dobrze: ciemny garnitur, szczupła sylwetka, filcowy kapelusz, czarno-białe sznurowane buty. Nieźle jak na prowincjusza z Ballinakelly. Nadal brakowało mu jednego zęba, wybitego w więzieniu, ale niebieskie oczy i łobuzerski uśmiech robiły nieodparte wrażenie na kobietach. Wiedział, dlaczego dostał tę robotę. Nie miał nerwów. Był nad wyraz spokojny, opanowany, dokładnie wiedział, co i kiedy robić. W kaburze pod pachą nosił colta super kaliber 38. Jeszcze niewielu go posiadało, ale on potrafił się nim posługiwać jak własną ręką. Gotówkę za celne trafienie miał w kieszeni garnituru. Poklepał ją, czerpiąc przyjemność z dotyku grubego pliku.

Wszystko w najlepszym porządku. Przeczeka tu wizytę Lucky'ego u szefa, potem zajmie swoją pozycję. Gdy Lucky wyjdzie, tak jak polecił szef, strzeli mu w czoło, przykładając lufę dokładnie do głowy, a potem przejdzie spokojnie korytarzem, wsiądzie do windy i zjedzie na dół, zanim ochroniarze Luciana,

czekający na niego przy drzwiach na schody, zarejestrują dwa strzały. Pozostało mu siedzieć i czekać.

Przyszedł tu kwadrans po drugiej. Luciano miał się zjawić o wpół do trzeciej, ale zawiadomił, że się spóźni. Jack zapalił papierosa i czekał. Miał oko na długi korytarz, w którym pojawiały się dziewczęta w jedwabnych pończochach i obcisłych spódnicach, wychodzące i wchodzące do biura Salvatore'a Maranzana, oraz poczekalnię, gdzie dziesiątki zwykłych kobiet i mężczyzn, urzędników miejskich, robotników, polityków i pojedynczych gangsterów czekało na audiencję u Małego Cezara. Czas mijał. Luciano się spóźniał. Bradzo spóźniał. Jack zerknął na zegarek. Za kwadrans trzecia. Wrócił do gazety. W jego fachu cierpliwość była złotem.

Nagle z windy wyłoniło się czterech mężczyzn. Energicznym krokiem podeszli do recepcji, gdzie sekretarka powitała ich uśmiechem. Jednak uśmiech szybko zgasł na jej twarzy, zastąpiony przez zaniepokojone zmarszczenie brwi i kręcenie głową. Czujność Jacka wzrosła. Ci mężczyźni nie byli z Lucianem, ponieważ jego ochroniarze skorzystaliby ze schodów. Potem Jack zauważył ich mundury. Opuścił gazetę i poruszył się, tak że mógł wyczuć przyjemny ciężar colta w kaburze pod pachą. Gdyby to był nalot policji, nie chciał zostać przyłapany z bronią lub gotówką. Ale to mało prawdopodobne, ponieważ szef był zaprzyjaźniony z policją. Kim byli ci mężczyźni i czego chcieli? Niespodziewana wizyta towarzyska? Raczej nie. Zaczynał odczuwać niepokój, włoski na jego skórze zjeżyły się jak u psa wietrzącego niebezpieczeństwo, chociaż nie wiedział jeszcze, skąd nadchodzi. Uważniej przyjrzał się mężczyznom. Dwóch było w mundurach, dwóch w ciemnych garniturach. Pierwszy pokazał odznakę sekretarce, która spojrzała na nią, po czym skinęła głową i wzruszyła ramionami. Jack obserwował i czekał. Wrócił mu spokój, ale zmysły miał wyostrzone. Jeśli była to policja podatkowa i zostaną tu aż do przybycia Luciana, będzie musiał zaatakować innym razem. Wszystko było zaplanowane, ale tego nie przewidziano.

Jack przyglądał się garniturowi wysokiego mężczyzny. Pomyślał, że jest zbyt dobrze skrojony jak na ubranie urzędnika państwowego. Opuścił wzrok na jego buty z lakierowanej skóry i poczuł nagle szarpnięcie w żołądku. Gwałtownie spojrzał mu w twarz i rozpoznał błyszczące niebieskie oczy Bugsy'ego Siegela.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Bugsy wyciągnął broń, ochroniarze szefa padli na podłogę i zostali rozbieni przez dwóch mężczyzn w mundurach. Bugsy i jego ludzie przeszli po nich jak koty. Sekretarki ani drgnęły, nikt nawet nie krzyknął. Potem Jack usłyszał głos Maranzana:

– Co, u diabła, tu robicie, chłopcy?

Następnie rozległ się miękki odgłos wbijania noży w ciało, a później strzały. Jack zerwał się na równe nogi i wybiegł do rozdzielni pocztowej na końcu

korytarza w pobliżu schodów. Wczołgał się pod biurko akurat w momencie, gdy zabójcy pospiesznie wychodzili, mijając miejsce, gdzie przed chwilą siedział. Mężczyźni przystanęli. Odezwał się Bugsy:

– Siedział tu jakiś Mick. Gdzie on się podział? Ta dziwka zaraz nam powie. Hej, ty, gdzie on jest? Nie mógł uciec daleko!

– Nie wiem – wykrztusiła przerażona sekretarka. – Nie wiem... proszę, nie róbcie mi krzywdy. Myślę, że uciekł.

Bugsy uderzył ją po ręce.

– Uciekł? Dokąd?

Dziewczyna łkała.

– Chodźcie, wynośmy się stąd – rzucił jeden z umundurowanych mężczyzn.

– Był tu ten Mick, który czekał na Lucky'ego – upierał się Bugsy. – Trzeba go załatwić. Od razu.

– Musimy stąd wiać.

– Zgoda – warknął Bugsy. – Ale dam pięćdziesiąt tysiąków i dom w Westchester temu, kto stuknie tego Micka, słyszycie? Pięćdziesiąt tysięcy i dom w Westchester!

W końcu wycofali się, słychać było odgłos ich kroków na schodach.

Jack trzymał colta w dłoniach, które tym razem mu się trzęsły. Powoli wypelzył spod biurka z wycelowanym przed siebie pistoletem. Ludzie ostrożnie wychodzili na korytarz, mrugając w oszołomieniu. Panowała upiorna cisza. Jack pospieszył do recepcji, gdzie siedziała sekretarka, która ocaliła mu życie. Dotknął jej policzka mokrego od łez.

– Dziękuję.

– Lepiej stąd znikaj – poradziła. – I to już.

Jack przeskoczył przez jakieś roztrzaskane rzymskie popiersie i ruszył do windy, ale praktycznie wszyscy na piętrze porzucili swe biura i do niej się tłoczyli. Wpadł więc do gabinetu Maranzana. Cezar Nowego Jorku, *capo di tutti capi*, leżał martwy pośrodku pokoju. Nogi miał szeroko rozpostarte, przesiąknięta krwią biała koszula wyciągnięta ze spodni odsłaniała duży brzuch zabarwiony szkarłatem od rany zadanej nożem. Palce mu jeszcze drgały, a krew z rany na głowie ciekła po twarzy. Był to *coup de grâce*, który szef zawsze sam rekomendował, żeby mieć pewność.

Jack zebrał myśli, mocno się skupił. Nie może tu zostać ani chwili dłużej. Musi wziąć Emer i Rosaleen i bezzwłocznie opuścić Nowy Jork. Luciano był teraz szefem, a Bugsy jego prawą ręką. W jakiś sposób dowiedzieli się, że Jack przybył tu, żeby zastrzelić Luciana. Za jego głowę wyznaczono nagrodę i każdy napotkany gangster w mieście, Irlandczyk, Włoch czy Żyd, jeśli go pozna, natychmiast go zabije. Musi wydostać się z Nowego Jorku i zniknąć na zawsze. Pojedzie na południe, postanowił. Tam rozpocznie nowe życie. Zrobił to już raz i może zrobić

znów. Stała mu przed oczami Irlandia i serce ścisnęło mu się z tęsknoty za zielonymi wzgórzami i skalnymi klifami wyłaniającymi się z mgły jak szmaragdowa oaza na bezkresnej jałowej pustyni. Ale nie mógł wrócić do Ballinakelly, tam na pewno będą go szukać. A poza tym nie było tam nic prócz popiołów dawnego życia. Nie, zacznie od początku, gdzieś daleko, gdzie nikt z Nowego Jorku go nie znajdzie.

Już miał wychodzić, gdy na biurku, obok figurki Cezara zobaczył gruby plik świeżych banknotów.

Jack zbiegł po schodach, opuścił budynek, naciągnął głęboko kapelusz na twarz i z publicznego telefonu zadzwonił do Emer.

– O nic nie pytaj, nikomu nic nie mów – rzekł stanowczo, a ona, słysząc ton jego głosu, od razu domyśliła się, co zamierza powiedzieć. – Weź Rosaleen, spakuj małą walizkę i jedź na Penn Station. Spotkamy się pod zegarem. Przyjedź jak najszybciej. Wyjeżdżamy z Nowego Jorku na zawsze, Emer, i nigdy tu nie wrócimy.

Rozdział 34

Bridie była zachwycona, że jest w ciąży. Ale nie mogła uciec od wspomnień, nie mogła zapomnieć poprzedniego razu i bezduszości, z jaką się wówczas spotkała. Pan Deverill wykazał się całkowitym brakiem wrażliwości i taktu, powątpiewając, czy dziecko rzeczywiście jest jego, zanim z niechęcią uwierzył i wysłał ją do Dublina, żeby pozbyła się tam kłopotu tak szybko i dyskretnie jak to możliwe. Lady Rowan-Hampton potraktowała ją z równą brutalnością. Wyraźnie dała jej do zrozumienia, że Bridie nie może zatrzymać dziecka, i bez możliwości wyboru wysłała ją na drugi koniec świata. Zakonnice ze zgromadzenia Matki Bożej Królowej Nieba też miały serca z kamienia. Wmawiały jej, że powinna się wstydić, i czuła się przy nich kompletnie bezwartościowa. Uważały ją za rozpustną jawnogrzesznicę, a jej wystający brzuch za afront wobec Maryi, Matki Bożej. Bridie została obrabowana ze swoich dzieci bez słowa współczucia czy zrozumienia, jakby nie była lepsza od mało wartościowego zwierzęcia na farmie. Chociaż w ciągu minionych lat nabyła trochę emocjonalnego dystansu do tamtego mrocznego okresu w swoim życiu, nadal nosiła w sobie poczucie winy niczym niezmywalną plamę na duszy. Jakkolwiek jej nowa sytuacja zacierała hańbę poprzedniej, nadal jednak czuła się podle w sercu.

Tym razem była mężatką, mogła cieszyć się ciążą i ją celebrować. Nikt nie znał jej skrywanych sekretów i bólu, który nadszedł wraz z radością, że rośnie w niej nowe życie, uczuć splątanych ze sobą jak nici. Przynoszono jej prezenty i gratulowano, ale Bridie nie mogła uciec od myśli, jakie to niesprawiedliwe, że o wartości życia decyduje obrączka na palcu.

Gdy Cesare był w Irlandii, miała mnóstwo czasu na rozmyślanie. Oczekiwała narodzin dziecka, które będzie mogła kochać, a jednocześnie odczuwała tęsknotę wynikającą z poczucia straty. Z pełną smutku goryczą wspominała Małego Jacka i miała nadzieję, że nowe dziecko wypełni pustkę w jej sercu, ponieważ nawet Cesare przy całej swojej miłości i oddaniu nie był w stanie tego uczynić. Leżała na łóżku z ręką na brzuchu i wspominała maleńką córeczkę, którą zakonnice odebrały jej w tajemniczy sposób, zanim w ogóle mogła jej dotknąć. Nie było grobu ani nagrobka, niczego, żeby zachować o niej pamięć. Zostało tylko przelotne wspomnienie maleńkiej twarzyczki, zanim zakonnice zawinęły ją w ręcznik i gdzieś wyniosły. I nawet ono bladło jak fotografia pozostawiona zbyt długo na słońcu. Nikt nie myślał o Bridie i o jej rozdartym sercu. Nikt nie obdarzył jej nawet odrobiną współczucia, ani jako istoty ludzkiej, ani jako matki. Te dzieci zostały jej skradzione, a jednak nie istniało prawo

pozwalające ścigać winnych i nie mogła liczyć na niczyją pomoc w odzyskaniu syna. Potraktowano ją jak śmiecia i dopiero teraz, gdy ponownie miała zostać matką, zdała sobie sprawę z rozmiaru swojej krzywdy.

Na początku lata Cesare powrócił z Irlandii. Bridie była przeszczęśliwa, gdy go zobaczyła, ponieważ tęskniła za nim bardzo i potrzebowała oderwać się od chaosu myśli. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Miała wrażenie, że w jego włosach wyczuwa zapach słonego wiatru i wrzosów. Szarpnęło ją w sercu, poczuła zazdrość, że to on miał szczęście dotknąć zielonych wzgórz Ballinakelly, które kiedyś należały do niej, i rozzalenie, że oddychał powietrzem, którego ją tak okrutnie pozbawiono. Ale niechęć zniknęła równie szybko, jak się zrodziła, gdy Cesare zapewnił ją, że wszystko jest gotowe na jej przyjazd. Irlandia stała przed nią otworem, wystarczy, że powie słowo, a ją tam zabierze.

Czy była gotowa? Na spotkanie twarzą w twarz z Kitty, lordem Deverillem i swoim synem? Czy kupiła ten zamek tylko po to, żeby tamci go nie mieli? Czyżby powodowała nią wyłącznie uraza? Kiedy Beaumont Williams dostał wiadomość od swojego pośrednika w Londynie, że Castle Deverill jest znów wystawiony na sprzedaż, i poinformował o tym Bridie, uchwyciła się tej szansy i tym razem była stanowcza. Chciała go mieć, bez względu na cenę, ponieważ знаła jego wartość, a raczej znała jego wartość dla Deverillów.

Bridie z narastającym zachwytem słuchała, gdy Cesare opisywał jej przepych, z jakim odbudowano Castle Deverill, i komfort związany z instalacją hydrauliczną i elektryczną. Klaskała w dłonie z radości i prosiła o więcej szczegółów, z lubością wsłuchując się w każde słowo, jakby była królową piratów, której opisywano ukradzione skarby. Chciała wiedzieć, jak wyglądają pokoje, jak pięknie są urządzone ogrody, a gdy Cesare opowiadał, wyobraziła sobie, że zamek wygląda tak jak w jej dzieciństwie, gdy ona, Celia i Kitty były przyjaciółkami i bawiły się na jego terenie, zanim wszystko się popsuło i Kitty stała się jej wrogiem. Zanim Kitty ukradła jej syna.

Bridie powiedziała mężowi o swoim dzieciństwie w Ballinakelly i o tym, że jej matka była kucharką na zamku, ale nie wspomniała o swoim synu. Nie mogła. Nie była w stanie opowiedzieć o Małym Jacku nawet Cesaremu. Zwłaszcza jemu... Ten włoski hrabia był takim tradycjonalistą i był tak dumny, że przyjmowanie pieniędzy wprawiało go w zażenowanie. A jeśli nie spodoba mu się, że jego żona ma nieślubne dziecko? Jeśli jego miłość do niej osłabnie, gdy dowie się, że je zostawiła? Było tyle powodów, żeby mu o tym nie mówić. A więc utrzymywała tajemnicę ukrytą głęboko w sercu i pozwalała mu cieszyć się zbliżającymi się narodzinami dziecka – ich wspólnego dziecka.

Cesare streścił jej rozmowę z Celią i zapewnił, że pomimo jej pytań udało mu się zachować w tajemnicy tożsamość Bridie. Ale gdy opowiadał o poznaniu Kitty przy stole u lady Rowan-Hampton, zauważył, że twarz żony twardnieje

i przybiera poważny wyraz.

– Nie chcę słuchać o tych dwóch kobietach – powiedziała zimno. – Kiedyś się przyjaźniłyśmy, ale to było w zamierzchłej przeszłości.

Po takim dictum Cesare nie przyznał się, ile czasu spędzał z Deverillami i zrećźnie zmienił temat na ich przyszłość. Oczywiście nawet się nie zająknął o długich radosnych godzinach w towarzystwie Grace ani innych młodych kobiet, z którymi sypiał w Cork. Pomyślał, że spodoba mu się życie w Irlandii – przynajmniej przez jakiś czas.

Zdecydowali, że przeprowadzka do Irlandii ze względu na ciążę Bridie byłaby teraz szaleństwem, a więc zaplanowali wyjazd dopiero na przyszłe lato, gdy Bridie będzie dość silna, aby znieść podróż. Ich synek przyszedł więc na świat w Nowym Jorku pewnego styczniowego poranka. Poród był szybki i stosunkowo łatwy. Bridie płakała, gdy w końcu trzymała dziecko w ramionach. Łkała z powodu dzieci, które straciła, i tego, które los pozwolił jej zatrzymać. Wpatrując się w jego twarzyczkę, pokochała go jak nikogo przedtem. Niczego w życiu nie mogła z tym uczuciem porównać. Nigdy nie czuła się tak spełniona. To było, jakby Bóg wynagrodził jej cierpienia podwójną dawką macierzyńskiej miłości. Wiedziała, że rany w jej sercu się zagoją. To maleństwo niosło ze sobą wystarczająco dużo miłości, żeby wyleczyć cały ból matki.

Cesare czekał w gabinecie na dole; zgodnie z tradycją przemierzał pokój wielkimi krokami, podczas gdy lekarz asystował Bridie w sypialni. Zaskoczyło go, że syn urodził się tak szybko; spodziewał się, że poród będzie trwał Bóg wie jak długo. Pokonał schody, przeskakując co drugi stopień, z walącym z podniecenia sercem. Gdy otworzył drzwi, zobaczył Bridie, siedzącą na łóżku z ich małym synkiem w ramionach. Jej twarz jaśniała szczęściem, wyraz oczu miała miękki i czuły, na jej wargach błąkał się dumny uśmiech. Cesare przysiadł na łóżku. Uważnie przyjrzał się buzi dziecka.

– Mój syn – wyszeptał z zachwytem, a serce Bridie zalała nowa fala szczęścia z powodu satysfakcji, jaką usłyszała w głosie męża. – Jesteś mądrą i piękną żoną, dziękuję, że dałaś mi syna – powiedział, czule ją całując. – Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy.

– Jak mu damy na imię? – spytała Bridie.

– A jak ty byś chciała go nazwać?

Popatrzyła na twarzyczkę syna i zrobiła zafrasowaną minę.

– Chciałabym, żeby to imię nie miało żadnych odniesień do przeszłości. Żadnego związku z moją rodziną. Imię, które będzie tylko jego.

– Zgoda – przytaknął Cesare, który przez dziewięć miesięcy rozmyślał o imionach. – Co sądzisz o Leopoldo?

– Leopoldo – powtórzyła Bridie i z uśmiechem oderwała wzrok od dziecka.

– Leopoldo di Marcantonio – wydekłamał, a te słowa spłynęły z jego ust

tak gładko, jakby były przesiąknięte oliwą. – Hrabia Leopoldo di Marcantonio.

– Rzeczywiście ma w sobie godność i majestat – oceniła Bridie.

– W sam raz dla hrabiego – rzekł Cesare. – Ale dla mnie jest księciem. Proszę, daj mi go potrzymać.

*

Latem Bridie doszła do wniosku, że nie jest jeszcze gotowa na przeprowadzkę do Irlandii. Bała się powrotu do przeszłości, gdy terażniejszość była taka szczęśliwa. Bała się zobaczyć Kitty i swojego syna, dla którego nie mogła być matką, bała się ciężaru swego sekretu. A jednak zamek wzywał ją szeptem, który budził ją w środku nocy. Opierała się pokusie i zatykała uszy przed tym natarczym wołaniem. Śniła o nim, o bieganiu jego długimi korytarzami w pogoni za Kitty, której długie rude włosy ciągnęły się w nieskończoność i były tak gęste, że Bridie zaczynała się w nich dusić. Często myślała o zamku, a cień, który rzucał na jej duszę, robił się coraz dłuższy i ciemniejszy, że zaczynała się go bać. Postanowiła, że pojedzie, gdy będzie gotowa. W końcu czas nadejdzie, wmawiała sobie. Ale jeszcze nie teraz. Cesare grał w polo i cieszył się szaloną karuzelą życia towarzyskiego. Nie spieszył się do rozpoczęcia nowego życia za wielką wodą. Kupili zatem wspaniały dom w Connecticut i opóźniali wyjazd. Irlandia poczeka.

*

Kitty kłęczała w ogrodzie, pieląc rabatki z powojów i dzikiego bzu. Kopała łopatką, ale korzenie sięgały tak głęboko i tworzyły pod ziemią tak złożoną płataninę macek, że jej wysiłki okazywały się daremne. Gdy już myślała, że wydobyła je wszystkie, odkrywała nowe. Słońce paliło ją w plecy, ale od morza wiał chłodny, przyjemnie orzeźwiający wiatr. Robert pisał w swoim gabinecie. Jego książki okazały się sukcesem i zarabiał niezłe pieniądze, które zapewniały im podstawowe środki do życia. Florence miała teraz pięć lat, JP dziesięć. Dwójka dzieci dostarczała jej ogromnej radości. Stanowili zżyłą, kochającą się rodzinę i pod tym względem Kitty czuła się spełniona. Jednak Jack O'Leary był ciągle obecny w jej myślach i pomimo że bardzo się starała uciec od wspomnień o nim, towarzyszyły jej jak nieodłączny cień. Bywały dni, w które podobnie jak cień, gdy słońce ostro świeci, wspomnienia te stawały się bardziej widoczne, a innym razem, w zachmurzone dni prawie znikwały. Ale nigdy całkiem jej nie opuszczały, podobnie jak wyrwa w sercu, której nikt prócz Jacka nie mógł zasklepić.

Usiadła na kolanach i wytarła czoło rękawiczką, brudząc sobie skórę. Myśli jej popłynęły z prądem, jakby Jack gdzieś z drugiej strony świata domagał się jej uwagi. Wyraźnie widziała jego twarz: oczy w kolorze chłodnego błękitu, długą brązową grzywkę, nieogoloną twarz, kanciastą szczękę, krzywy uśmiech oraz

niepełny komplet zębów, które odsłaniał, gdy uśmiechał się szeroko. Uśmiechnęła się na to wspomnienie i pod wpływem nagłej nostalgii przyłożyła rękę do serca. Zastanawiała się, co często jej się zdarzało, jak mu się powodzi w Ameryce. Czy w końcu się ustatkował i założył rodzinę? To nie było fair, by odmawiać mu szczęścia, a jednak nie chciała, żeby się ożenił i miał dzieci. Wolała myśleć, że należy wyłącznie do niej, chociaż to był przecież jej wybór, aby z nim nie uciec.

Pielęgnowała w sercu wyobrażenie samotnego mężczyzny, stojącego przy Kamiennym Kręgu i patrzącego na nią z miłością. W tym spojrzeniu była obietnica miłości na wieczność. Zaakceptowała jednak, że inaczej ułożył sobie życie. Wyobrażała go sobie teraz jako prostego, krzepkiego farmera gdzieś w Kansas, który stoi na słońcu obok swojego pikapa z kosą w rękę, żując kłos zboża, i o niej myśli.

Z tej mrzonki wyrwał ją chrzęst samochodu wjeżdżającego na wyźwirowany podjazd. Odwróciła się i zobaczyła powoli zbliżającego się lśniącego niebieskiego austina Grace. Wstała i ściągnęła rękawiczki.

– Co za uroczy dzień! – wykrzyknęła jej przyjaciółka, wysiadając z samochodu. Miała na sobie popołudniową sukienkę w kwiaty, różowy kardigan zarzucony na ramiona i pantofle z paskiem w kolorze kości słoniowej. Zaczesane do tyłu miękkie brązowe włosy w fantazyjnych puklach opadały jej na ramiona. Ale najbardziej przykuwał uwagę jej uśmiech – był wręcz promienny.

– Witaj, Grace! – powiedziała Kitty, wychodząc jej na spotkanie.

– Wielkie nieba, pracujesz w ogrodzie! – Zdziwiła się Grace.

– Po deszczu chwasty rosną jak szalone – odparła Kitty. – Masz czas na filiżankę herbaty? Przyda mi się przerwa.

– Bardzo chętnie – zgodziła się Grace, biorąc Kitty pod ramię i idąc w kierunku domu. – Dawno cię nie widziałam. Pomyślałam, że byłoby miło znów cię zobaczyć.

Wyniosły filiżanki na zewnątrz i usiadły na tarasie, chroniąc się przed wiatrem. Grace spytała o dzieci, a Kitty o lorda Hunta.

– A nie mówiłam, że te naiwne Krzaczkki będą miały złamane serca? Mój ojciec zabawiał się nimi okrutnie jak lis parą kwok. Problem polega na tym, że teraz on usycha za nimi z tęsknoty jak jakiś żalony pies. Doprawdy, gdybyś go zobaczyła! Wzbudza litość. Nie chce nigdzie wyjść. Nie chce nikogo widzieć. Siedzi w domu, pali, czyta i narzeka. Nawet nie chce zagrać w brydża. Czwórka Bertiego się rozpadła, ponieważ teraz ta trójka nie może przebywać w jednym pokoju i on błaga mnie, żebym coś z tym zrobiła. Chciałabym, żeby tata zebrał się w sobie i przestał zachowywać jak zakochany nastolatek!

– A Krzaczkki? Nie widziałam ich w kościele...

– Bo unikają mojego ojca. Jakaż dziecinada! Można by pomyśleć, że mają po dwadzieścia lat, a nie ponad siedemdziesiąt!

– O rany! Co to się porobiło! Myślałam, że w ich wieku rozterki sercowe należą już do przeszłości.

– Jak widać, to nigdy nie przechodzi. Ale lepiej powiedz mi, co Celia robi w Południowej Afryce?

– Wydaje się, że wyjechała wieki temu – powiedziała Kitty. – Bardzo za nią tęsknię.

– Nie dała znaku życia?

– Nic. Bóg jeden wie, co tam robi. Nawet nie wiem, co się dzieje w zamku. Nie chodzę tam. Nie mogę znieść, że zamieszka w nim ten hrabia bawidamek. Założę się, że jego żona też musi być okropna!

– Oni jeszcze nie przyjechali – zauważyła Grace, ukrywając uśmiech za brzegiem filiżanki. Nie mogła doczekać się, kiedy hrabia tu osiadzie i wznowie swoje popołudniowe schadzki. Był jedynym mężczyzną, z którym spotykała się podczas ostatniej dekady i który miał zdolność oderwania jej myśli od Michaela. – Sądzę, że wszyscy musimy zaakceptować zmianę – ciągnęła. – Czasy się zmieniają, a my musimy zmieniać się wraz z nimi. Celia wróci do swego dawnego życia w Londynie, prawdopodobnie ponownie wyjdzie za mąż, a ty i ja znajdziemy wspólną rozrywkę w towarzystwie hrabiego i jego żony. Wielkie nieba, życie byłoby nudne bez ludzi, z których można się podśmiewać. Och, chciałabym, żeby się pospieszyli i już tu przenieśli. Nie rozumiem, dlaczego zwlekają. Skoro zapłacili tyle pieniędzy za ten zamek, myślałam, że będą chcieli jak najszybciej się tu przeprowadzić.

– Nie mogłam znieść, że Celia kupiła zamek, ale teraz, gdy sprzedała go tym głupim ludziom, tęsknię za jej powrotem. To była z mojej strony małoduszność, że tak mnie to przygnębiało.

– Właśnie. Przecież to tylko cegły i zaprawa – stwierdziła Grace. Kitty skinęła głową, ale trudno jej było się zgodzić z tą opinią. – Ale, moja droga, jest coś ważnego, o czym muszę z tobą porozmawiać. Po pierwsze, chcę ci coś wyznać.

– Tak? – Kitty odstawiła filiżankę.

– Tylko pomiędzy nami, jak za dawnych czasów.

– W porządku. No to mów.

Grace również odstawiła filiżankę i złożyła ręce na kolanach.

– Przeszłam na katolicyzm.

Zaskoczona Kitty uniosła brwi.

– Na katolicyzm? Ty?

– Tak, ja – przyznała z uśmiechem Grace. – Poszłam za głosem serca, Kitty, i teraz jestem pełnoprawnym członkiem Kościoła katolickiego.

– A Ronald nic o tym nie wie, stąd ta potrzeba dyskrecji? – odgadła Kitty

– Nikt nie wie, oprócz ciebie i Doyle'ów.

Kitty zarumieniła się na wzmiankę o Doyle'ach. Przed jej oczami pojawiły

się twarze Michaela i Bridie. Nie była pewna, która była gorsza.

– Dlaczego Doyle'owie?

– Potrzebowałam pobożnej katolickiej rodziny, żeby mnie wprowadziła. Nalegał na to ojciec Quinn, wiedząc, że nie mogę uczęszczać na msze w Ballinakelly. Dlatego też nie jestem w stanie stać się częścią lokalnej katolickiej społeczności.

– Co za niezwykła decyzja, Grace. Ale religia to bardzo osobista sprawa, a więc nie będę kwestionować twojego wyboru. Musiałaś tego bardzo pragnąć, skoro zadałaś sobie tyle trudu, nie wspominając o ryzyku z tym związanym.

Grace westchnęła.

– Czuję się lekka – powiedziała uszczęśliwiona. – Czuję się tak, jakby wszystkie te straszne rzeczy, które uczyniłam podczas wojny o niepodległość, rozplynęły się w nicłość. Zostałam oczyszczona jak brudne okno.

– A nie czułaś, że protestancki Bóg też może ci wybaczyć?

– Potrzebowałam katolickiego rozgrzeszenia. Teraz jestem w stanie łaski i mogę wstąpić do nieba. To ulga, zważywszy na rozmiar moich grzechów.

Kitty zastanawiała się, czy Grace nie żartuje. Wyraz jej twarzy nie świadczył ani o powadze, ani o rozbawieniu, ale pozostawał zagadkowy.

– W porządku. Najważniejsze, że ty czujesz, że twoje sumienie jest czyste – podsumowała Kitty, częściowo spodziewając się, że Grace odrzuci głowę do tyłu i wybuchnie perlistym śmiechem. Ale ona tego nie zrobiła.

– Chrześcijaństwo polega na wybaczeniu – ciągnęła Grace. – Mnie wybaczone poprzez Chrystusa i ja wybaczyłam tym, którzy w przeszłości zrobili mi krzywdę. – Nagle popatrzyła na Kitty z większą intensywnością. – Czuję, że nosisz w sobie jakiś ciężar, Kitty. Chciałabym ci pomóc uwolnić się od niego.

– Czy ojciec Quinn poprosił cię, żebyś namówiła mnie na konwersję?

Grace pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. Ale teraz wiem, jak lekko czuje się człowiek, który pojednał się z tymi, którzy potraktowali go niesprawiedliwie.

– Czyżbyś sugerowała, żebym pojednała się z tymi, którzy mnie potraktowali niesprawiedliwie? – spytała Kitty, czując, że ciało jej sztywnieje jak u przestraszonego kota.

Grace wpatrywała się w nią świdrującym spojrzeniem brązowych oczu.

– Tak – przyznała Grace.

– Nie noszę takiego ciężaru, Grace. Ale dziękuję za ofertę pomocy.

– Ależ tak – upierała się Grace.

Kitty zmarszczyła brwi. Pod wpływem spojrzenia Grace czuła się zapędzona w kozi róg, ale nie mogła wymyślić żadnej wymówki, żeby móc wstać i wyjść.

– Wiem o tobie i Michaelu – dodała Grace cicho.

Kitty na moment straciła dech. Zaczęła gorączkowo poszukiwać w myślach

źródła przecieku informacji. Robert, Jack...? Nikt inny o tym nie wiedział...

– Michael mi o tym powiedział – skłamała Grace. – Zwierzył mi się z tego, co się wydarzyło. Wyznał to przed Bogiem. Ale nie przed tobą.

Kitty była wstrząśnięta. Nie znajdowała słów. W milczeniu wpatrywała się w Grace, podczas gdy starsza kobieta obserwowała ją z chłodnym współczuciem.

– Nie musisz się przede mną wstydzić – kontynuowała. – Dzieliłyśmy między sobą tak wiele sekretów. Potraktuj ten jako kolejny. Ale ze względu na twoje zdrowie psychiczne oraz spokój duszy Michaela musisz mu wybaczyć.

Kitty była tak wściekła na tę sugestię, że głos jej wrócił i po prostu wybuchła.

– Ja muszę mu wybaczyć? – warknęła. Grace przestraszona jej tonem i ogniem, który zapłonął w jej oczach, zbladła. – Ze względu na jego zdrowie psychiczne? Jeśli miałabyś pojęcie, co zrobił Michael, nie zabiegałabyś o spokój jego duszy, ale raczej o smażenie jej się w piekle. Jak śmiesz w ogóle zwracać się do mnie w tej sprawie? I jak Michael śmie wysyłać cię tu na przeszpiegi i szukać u mnie przebaczenia? Jeśli tak rozpaczliwie go pragnie, dlaczego nie ma odwagi przyjść osobiście?

– Nie śmiałyby się tu wpraszać. Wie, że nie zgodzisz się go przyjąć. – Grace gorączkowo szukała nowej taktyki. – Nie wysłał mnie nie jako szpiega, ale mediatora. Niosę białą flagę, Kitty.

– Zawsze wiedziałam, że masz słabość do Michaela Doyle’a – odparowała Kitty. Jej wściekłość ustępowała w miarę, jak Grace traciła grunt pod nogami. – Zawsze go broniłaś. Powinnam była wiedzieć. No cóż, byłaś jedyną kobietą, której Michael słuchał, jedyną kobietą, którą szanował, a ty w zamian go podziwiałaś. To było jasne jak na dłoni. Jakże byłam głupia, że tego nie widziałam! Przez cały czas, gdy my spiskowaliśmy, nosiliśmy listy, broń i ryzykowaliśmy życie dla sprawy, ty zabawiałaś się z Michaeliem Doyle’em! Od jak dawna wiesz o gwałcie, Grace? Czy powiedział ci, że rankiem po tym, jak spalił zamek, wziął mnie na stole w swojej kuchni? I że wydał Jacka brunatnym i szukał schronienia w twoim domu? Czy przez cały czas działaliście razem, knując jak złodzieje i zagrażając nam na każdym kroku? – Kitty nie była pewna tego, co mówi, ale prawda zaczęła przesiąkać do jej świadomości jak światło wślizgujące się przez cienką szczelinę do ciemnej jaskini. Pokręciła głową, gdy ogrom zdrady Grace stał się jasny. – Gdyby nie ty, Jack i ja mogliśmy mieć szansę. Dlaczego, Grace? Co takiego było w naszej miłości, że byłaś jej niechętna? Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

Twarz Grace zrobiła się brązowioletowa.

– Jestem twoją przyjaciółką. Przyszedłam tu, żeby ci pomóc i oto, jakie dostaję podziękowanie! Oskarżasz mnie o wszystkie krzywdy, jakie cię dotknęły?

– Zaprzeczasz, że spałaś z Michaeliem?

– Kategoriecznie – rzekła stanowczo Grace. – Michael to niespokojna dusza,

a ja jako dobra katoliczka postanowiłam mu pomóc. Jeśli mu nie wybaczysz, Kitty, skążesz go na życie pełne cierpienia.

– A co ze mną, Grace? Co z moim cierpieniem? – Kitty uderzyła się w pierś.
– Myślisz, że tamtego ranka wyszłam i pozostawiłam swój wstyd, ból i gniew w tamtej izbie? Otóż nie, zabrałam je ze sobą i dźwigam przez ponad dziesięć lat!

Grace chciała oskarżyć ją o kłamstwo. Chciała zmusić ją do przyznania, że to nie przemoc, lecz jej własne zachowanie było źródłem jej wstydu i bólu. Kitty musiała go sprowokować, ponieważ Michael nie był gwałcicielem i zrobił to, co zrobiłby każdy inny mężczyzna, gdy taka piękna kobieta jak Kitty rozkłada przed nim nogi. Ale była zbyt przebiegła, żeby zniszczyć przyjaźń z jedyną osobą, która mogła sprowadzić z powrotem Michaela do jej łóżka.

– Kitty – powiedziała spokojnie – jesteś zła i masz ku temu powody. Ale nie pozwól, aby gniew przesłonił ci rozsądny ogląd sytuacji. Jestem twoją przyjaciółką i zawsze nią byłam. Masz moją lojalność i współczucie. Nie akceptuję tego, co zrobił Michael, ale patrzę na niego oczyma Jezusa – jak na zbłąkane dziecko Boga. Popęlnił okropną zbrodnię i cierpi z powodu poczucia winy i żalu. Chcę tylko waszego spokoju, obydwójga z was. Ale widzę, że mocno cię uraziłam, a więc przepraszam. Nie przyszłam tu, żeby się z tobą kłócić. Miałam nadzieję, że uwolnię cię od ciężaru. Teraz rozumiem, że jedyną osobą, która może cię od tego uwolnić, jesteś ty sama, gdy wreszcie będziesz gotowa.

– Nigdy nie będę gotowa, Grace – burknęła Kitty; obserwowała, jak mięśnie szczęki starszej kobiety zaciskają się, gdy walczyła, żeby ukryć gniew. Kitty zachodziła w głowę, dlaczego dla Grace jest tak ważne, żeby wybaczyła Michaelowi. Poznała teraz swoją przyjaciółkę taką, jaką naprawdę jest. Zdała sobie sprawę, że za jej działaniem zawsze stał jakiś ukryty motyw, a zwykle chodziło o nią samą. Jedyną osobę, wobec której Grace była lojalna. Pozostawało pytanie: jakie korzyści może mieć Grace z uzyskania od Kitty wybaczenia dla Michaela? Tego Kitty nie wiedziała.

Rozdział 35

Londyn

Celia wróciła do Londynu, żeby spotkać się z Aureliusem Dupree. Podróż była nużąca, tym razem nie było Rafaela O'Rourke'a, który by ją urozmaicał. Celii pozostawało rozmyślanie o ojcu, a im więcej o nim myślała, tym bardziej twardniało jej serce. Postanowiła ukryć przed resztą rodziny informacje, które zebrała. Nie sądziła, by jej matka przeżyła szok, gdyby dowiedziała się, że Digby miał ciemnoskórego syna o imieniu Lucky! A jeśli to by jej nie wykończyło, na pewno dobiłaby ją wiadomość, że jej mąż był mordercą. Przekaze im tylko dobre wieści o kopalni złota. Już widziała, jak opadają im szczęki, gdy oświadczy, że wraca do Południowej Afryki, żeby zarządzać kopalnią. Skontaktowała się z Rothschildami, z Oppenheimerami oraz z innymi finansistami zaprzyjaźnionymi z jej ojcem. Skoro kompanie górnicze już finansowały kopalnie głębinowe w Witwatersrand, a teraz także w Wolnym Państwie Orania i ponieważ znały jej ojca, liczyła, że zainwestują pieniądze również w Przedsiębiorstwo Górnictwa Głębinowego Wolnego Państwa, bo tak nazwała swoją firmę.

Uruchomienie kopalni złota zabierze jej wiele lat pracy; przyjdzie jej wykazać się cierpliwością i gotowością do kompromisu, co do tego nie miała złudzeń. A zebranie kapitału będzie wymagało szczególnej determinacji. Wszystkiego będzie musiała się nauczyć. Jak wydobywa się złoto z głębokich złóż, gdzie występuje nie w lśniących kawałkach, ale w rudach żelaza, i konstrukcji szybów i klatek, w których spuszcza się górników pod ziemię. Nauczy się, na czym polega praca w wyrobiskach podziemnych oraz chemicznego procesu wytapiania rud żelaza, w których złoto tworzyło się podczas długiego i skomplikowanego procesu. Nauczy się, jak zbudować małą osadę, gdzie zamieszkają robotnicy i specjaliści od techniki, którzy będą nadzorować proces wydobycia. Kto by pomyślał, że to właśnie ona, sama uważająca się za „ptasi mózdzek” rodziny, podejmie się tego wyzwania!

Obawiała się jednego – że Bruce i Tarquin dojdą do wniosku, iż oni zrobią to lepiej, i zechcą przyjechać do Afryki. Wtedy ich zapewni, że pan Botha wszystkiego dopilnuje, chociaż już postanowiła, że gdy tylko wróci do Johannesburga, sama znajdzie sobie odpowiedniego pomocnika.

Aurelius Dupree nie dał na siebie długo czekać. Wiedział, że wyjechała i, jak się okazało, wiedział również, kiedy wróciła, ponieważ dzień po jej przyjeździe

zapukał do drzwi przy Kensington Palace Gardens. Tym razem bezzwłocznie został zaproszony do środka. Celia zauważyła, że bardzo się postarzał w ciągu tych dwóch miesięcy. Wydawał się bardziej przygarbiony, ataki kaszlu pojawiały się częściej, a ręce drżały, gdy oparł się o fotel, żeby usiąść. Jednak wojowniczość nie zniknęła mu z oczu i patrzył na Celię ze złością, gdy nalewała herbatę i podawała mu filiżankę.

– Byłam w Południowej Afryce – oświadczyła od razu. – Pojechałam do Johannesburga i spotkałam się z dawnym majstrem ojca, panem Bothą.

Aurelius Dupree skinął głową i z niechęcią wykrzywił wąskie usta.

– Z tym fagasem pani ojca – powiedział. – Nie sędzę, żeby panią oświecił.

– To fakt – przyznała Celia.

– Przebyła pani długą drogę, żeby nic nie odkryć, pani Mayberry?

– Mogłam na tym poprzestać. Bardzo by mnie to satysfakcjonowało. Wróciłabym z przekonaniem, że pan i pański brat wymyśliliście kłamliwą historyjkę, żeby spotwarzyć mojego niewinnego ojca, który był szlachetnym człowiekiem w tym brudnym świecie rzezimieszków i łotrów.

Dupree uniósł siwe brwi.

– Ale pani tego nie zrobiła?

Celia pokręciła głową.

– Nie. Kopałam głębiej, panie Dupree, i odkryłam, ku mojemu ogromnemu wstydowni, że ma pan rację.

Aurelius Dupree odstawił filiżankę i wpatrywał się w nią zaskoczony.

– Przepraszam, pani Mayberry, co pani powiedziała?

– Ma pan rację, panie Dupree. Mój ojciec was oszukał, zlecił morderstwo pańskiego brata i wtrącił pana do więzienia za zbrodnię, której pan nie popełnił. – Wzrok Aurelius Dupree zamglął się, gdy łzy napłynęły mu do suchych oczu i zebrały się pod powiekami niczym lśniąca sadzawki. – Nikomu o tym nie powiem, moje słowa nigdy nie opuszczą czterech ścian tego pokoju, ale przyznaję się do zbrodni w imieniu mojego ojca i proszę o pańskie wybaczenie. W tej chwili nie mogę zwrócić panu pieniędzy, które był panu winien, a tym bardziej lat, które stracił pan w więzieniu, ale odkryłam pokłady złota, których mój ojciec przed laty nie mógł eksploatować, ponieważ kruszec znajduje się bardzo głęboko. Dziś postęp techniki to umożliwia i zamierzam je wydobywać. Wróciłam do Londynu i zaczęłam zbierać fundusze. Obecnie mogę panu zaoferować tylko udziały. Dopilnuję również, żeby miał pan tu w Londynie najlepszą opiekę medyczną. Ma pan okropny kaszel... Jeśli wolno mi zauważyć, pańskie zdrowie mocno szwankuje. Chciałabym, żeby lata, które panu pozostały, przeżył pan w komforcie.

Aurelius Dupree wstał, niepewnym krokiem podszedł do Celi i ujął jej dłoń. Łzy spływały mu teraz po policzkach, wzdłuż głębokich zmarszczek i bruzd jego twarzy jak meandrujące strumienie.

– Jest pani dobrą kobietą, pani Mayberry – powiedział zduszonym głosem. – Przyjmuję pani propozycję. Gdy po raz pierwszy panią ujrzałem, wiele miesięcy temu, sądziłem, że jest pani pustą lalką. Ale udowodniła pani, że się myliłem. Jest pani szlachetną kobietą, pani Mayberry. To, co pani zrobiła, wymaga odwagi. Rzeczywiście, nie może mi pani zwrócić tych lat, ale dała mi pani coś, co prawie jest tyle samo warte: wiarygodność. Spędziłem trzydzieści lat, zapewniając o mojej niewinności, ale spotykałem się z drwinami i niedowierzaniem. Pani rozwiąła wszystkie wątpliwości tymi trzema błogosławionymi słowami: „Ma pan rację”. Nie może sobie pani wyobrazić, co one dla mnie znaczą. – Zaniósł się mokrym kaszlem. – Jestem człowiekiem przegranym, pani Mayberry. Przegranym... – Znów zakaszłał i Celia pomogła mu usiąść na sofie. Trząsł się tak bardzo, że poprosiła pokojówkę o przyniesienie koca, a kamerdynera o napalenie w kominku. Poczęstowała go ciepłym mlekiem z miodem oraz gorącą zupą. Mężczyzna, który nie zdjął kapelusza na pogrzebie, który wślizgnął się do kościoła na uroczyste nabożeństwo za duszę jej ojca, który terroryzował ją groźbami i oskarżeniami, teraz był nikim więcej jak bezdomnym starcem podupadłym na zdrowiu i pełnym wdzięczności w słabnącym sercu.

– Musi pan tu zostać, dopóki nie poczuje się lepiej – oświadczyła, czując że jej własne serce zalewa współczucie. – Nie przyjmuję odmowy. Przynajmniej to mogę dla pana zrobić.

– A więc proszę posłuchać kilku rad na temat tej kopalni – dorzucił słabym głosem. – Wiem to i owo o wydobywaniu i sporo o ludziach, z którymi przyjdzie się pani zmierzyć.

Celia słuchała, gdy dzielił się z nią swoją wiedzą, a gdy mówił, na jego blade policzki wrócił żywy rumieniec, a oczy rozbłyły zapomnianą przyjemnością, jak wybuchają nagłym płomieniem dopalające się żagwie w gasnącym kominku. Ale gdy nadszedł wieczór, jego energia osłabła i zapadł w głęboką drzemkę, a oddech złowieszczo rzeźił mu w piersiach. Celia wiedziała, że nie doczeka ani swoich udziałów, ani najlepszej opieki medycznej, jaką oferuje Londyn. Wyczuwała, że nie przeżyje tej nocy. Aurelius Dupree mógł w końcu zrezygnować z walki, ponieważ odnalazł spokój.

*

Tajemnice przeszłości Digby’ego Deverilla, które groziły zniszczeniem reputacji rodziny, zostały pogrzebane wraz ze śmiercią Aurelius Dupree. Tylko Duchess знаła prawdę, ale Celia nie wątpiła, że zabierze ją ze sobą do grobu.

Celia poinformowała rodzinę o planach powrotu do Johannesburga i zabranii ze sobą dzieci. Nikt nie był tą rewelacją bardziej zaskoczony niż Harry i Boysie. Jedząc z nią lunch w Claridge’u, zauważyli w niej powagę i głębię, których wcześniej nie miała. Zniknęła dziewczyna, która chciała tańczyć w Café de

Paris i w Embassy, dla której życie było ustawiczną zabawą, a na jej miejscu pojawiła się kobieta, która doznając tak wielkich strat, odkryła w sobie coś, o czym nie wiedziała, że istnieje: ducha Deverillów – zdolność przewyciężenia rozpaczy i wzniesienia się ponad granice własnej słabości. Nie tylko odnalazła w sobie siłę, lecz także cel na przyszłość. Zamierzała odbudować rodzinną fortunę, a Harry i Boysie, słuchając jej, zdali sobie sprawę, że nie są to czcze przechwałki.

– Przeszłość już minęła – zakomunikowała. – Nie ma sensu nad nią rozpaczać. Trzeba patrzeć w przyszłość i nie tracić celu z oczu. Jeśli mi się to uda, dam sobie radę.

– Ale co my zrobimy bez ciebie? – spytał Boysie.

– Życie już nie będzie takie samo – skonstatował ze smutkiem Harry.

– Będziecie mieli siebie – powiedziała z uśmiechem. – Zawsze stanowiliśmy trójkę, ale w gruncie rzeczy wcale nie byłam wam potrzebna, prawda?

– Ale lubimy twoje towarzystwo – zapewnił Boysie.

– Wrócę, gdy znowu będę bogata i wpływowa.

– Jesteś bardzo odważna, Celio – podkreślił Harry.

– Komu by to przyszło do głowy? – zadumał się Boysie.

Celia pomyślała o Aureliusie Dupree i się uśmiechnęła.

– Na pewno nie mnie – przyznała mu rację. – Ale się zmieniałam. Tutaj nic mi nie pozostało prócz was dwóch i lekkomyślnego życia, które mnie już nie bawi. Wyruszę na spotkanie z przygodą i jestem tym ogromnie podekscytowana. Napiszę do was, opowiem o wszystkim i być może, jeśli też zechcecie przygody, dołączycie do mnie. A na razie musicie opiekować się mamą i Kitty oraz często do mnie pisać. Chcę wiedzieć o wszystkim, tak żebym pewnego dnia, gdy wrócę, miała wrażenie, że nigdy stąd nie wyjechałam.

We trójkę uściśniły sobie ręce na znak zgody.

– Znikniesz nam z oczu, ale nie z serca – rzekł sentencjonalnie Boysie.

Harry podniósł kieliszek.

– Wypijmy za to! – zaproponował.

*

– Wielki Boże! Celia wyjechała do Południowej Afryki – obwieściła Laurel.

– Zamierza zająć się górnictwem.

– Górnictwem? – Przeraziła się Hazel, patrząc na list, który trzymała w ręku jej siostra.

– Tak tu jest napisane. Zamierza wydobywać złoto w starej kopalni Digby’ego.

– Sama?

– Na to wygląda.

– Czy ona cokolwiek wie o górnictwie?

– Z pewnością nie ma pojęcia.
– O rety! To brzmi niepokojąco – zafrasowała się Laurel, popijając herbatę.
– Pisze, że teraz, gdy zamek został sprzedany, nic jej tu nie trzyma.
– Ona ucieka – orzekła z przekonaniem Laurel. – Fatalna sprawa. Nie uważasz, że ktoś powinien tam po nią pojechać? Kiedy wyjechała?

– Moja droga, wyjechała już wiele tygodni temu. Jestem pewna, że gdy zda sobie sprawę, co to jest górnictwo złota, czym prędzej wróci. To nie jest zajęcie dla kobiety.

Nastała długa cisza. Hazel złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty. Cisza, która trwała pomiędzy nimi od pewnego czasu, a którą przerwały tą krótką rozmową, znów zapadła i zawisła w powietrzu – ciężka i smętna jak mgła. W tej mgle rysowała się niezmiennie postać Ethelreda Hunta.

Hazel zerknęła na siostrę.

– Dobrze się czujesz, Laurel? – spytała cicho.

Laurel wciągnęła powietrze przez nozdrza i uniosła podbródek.

– Dobrze – powiedziała. – A ty, Hazel?

– Też – odparła Hazel, ale głos jej drżał jak za słabo naciągnięta struna skrzypiec.

– Nieprawda, przecież widzę.

– To fakt, nie za dobrze.

– Ja też – przyznała Laurel.

– A więc co do tego się zgadzamy.

– Teraz zgadzamy się we wszystkim – zauważyła Laurel z niewesołym uśmiechem.

– Kocham go – wypaliła Hazel. – Kocham go do szpiku kości.

– Ja też. – Laurel wyciągnęła rękę i ujęła dłoń siostry. – Ale mamy siebie nawzajem.

– Dzięki Bogu za to. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wielkie nieba, oczekujemy kogoś? – spytała Laurel.

Hazel pokręciła głową z zaniepokojoną miną.

– Kto to może być? – Laurel podniosła się z sofy.

– Sprawdźmy – zaproponowała Hazel, idąc za siostrą do holu.

Dotarły do frontowych drzwi i chwilę im zajęło zdjęcie łańcucha i otwarcie zamka. Od czasu konfliktu traktowały z powagą bezpieczeństwo domu. Gdy uchylły drzwi, zobaczyły przygnębioną twarz Ethelreda Hunta, stojącego z kapeluszem w dłoniach. Akurat gdy Laurel zamierzała zatrzasać mu drzwi przed nosem, wsunął stopę w szczelinę.

– Pozwólcie mi coś powiedzieć – odezwał się. Krzaczki wpatrywały się w niego przez szparę jak para przerażonych ptaków. – Doszedłem do wniosku, że

kocham was obie i nie mogę bez was żyć. Nie potrafię dokonać pomiędzy wami wyboru i wydaje mi się, że jesteście tak ze sobą związane, że niemożliwością jest was rozdzielić. A więc mam, otwarcie mówiąc, wyśmienitą propozycję. Choć być może nieco szokującą. Chciałybyście ją usłyszeć?

Kobiety wymieniły spojrzenia.

– Tak – powiedziała Hazel.

– Proszę mówić dalej – zachęciła go Laurel.

– Co byście powiedziały na to, żebyśmy zamieszkali we trójkę? – Obie siostry oszołomione zamrugały. – Wiem, że to niekonwencjonalne i moja córka będzie miała na ten temat na pewno wiele do powiedzenia, ale nie widzę innego rozwiązania. Wszystko albo nic, a ja nie jestem mężczyzną, który zadowoliliby się niczym. Albo cała nasza trójka, albo... – Zawahał się. – Albo zgryzota. Przez ostatnie miesiące byłem głęboko nieszczęśliwy. Nie żałuję ani jednej chwili z przeszłości; chciałbym tylko, żeby było ich więcej. Co na to powiecie, dziewczęta?

Dało się słyszeć pospieszne szuranie, a potem drzwi się otworzyły.

– Może napijesz się herbaty? – spytała uszczęśliwiona Hazel.

– Nastawię wodę – zaoferowała się Laurel, zmierzając do kuchni.

– Myślę, że napijemy się czegoś mocniejszego – zasugerował Ethelred, wieszając kapelusz na wieszaku w holu pomiędzy dwoma różowymi kapeluszami słonecznymi z niebieskimi wstążkami. – Jest przecież co uczcić.

Rozdział 36

Connecticut, 1938

– Nie włożę tej sukienki, słyszysz?! – wrzeszczała Edith, tupiąc nogą.

– Edith, kochanie, babcia kupiła ją dla ciebie i przywiozła szmat drogi z Paryża, a więc ją włożysz – tłumaczyła cierpliwie pani Goodwin. – Jest Boże Narodzenie. Nie kłóćmy się w dzień narodzin Pana Jezusa.

– Nie obchodzi mnie, kto mi ją dał i nie obchodzą mnie urodziny Jezusa! Nienawidzę jej. Nie będę jej nosić. Nie zmusisz mnie!

Edith popatrzyła ze złością na siostrę, która pojawiła się w drzwiach ubrana w elegancką niebieską sukienkę, pantofelki na obcasie i pończochy, a włosy miała upięte w kunsztowny sposób, stosownie do uroczystego dnia.

– Na co się gapisz, Martho? – piekliła się. – Dlaczego nie mogę mieć sukienki takiej jak ona?

– Ponieważ masz dziesięć lat, a Martha prawie siedemnaście – odpowiedziała niania. – Gdy dorośniesz, będziesz nosiła takie sukienki jak Martha.

Edith usiadła na brzegu łóżka i skrzyżowała ramiona.

– Nie włożę tej głupiej sukienki. – Zacisnęła szczęki. Nic jej do tego nie skłoni.

W końcu pani Goodwin się poddała.

– Pójdę i powiem to twojej mamie.

Edith się uśmiechnęła.

– Idź, Goodwin. Mama mi pozwoli ubrać się, w co zechcę.

Ale to nie był powszedni dzień. Było Boże Narodzenie i lunch w domu Teda i Diany Wallace'ów miał być uroczystym rodzinnym spotkaniem. Pam pamiętała przestrożę teściowej, że jeśli nie zdyscyplinuje Edith, dziecko wyrośnie na potwora, a rozpaczliwie pragnęła zyskać uznanie Diany, zwłaszcza że dzieci Joan i Dorothy miały opinię uroczych i dobrych. Zakrawało na ironię, że to właśnie adoptowana dziewczynka, co do której zachodziła obawa, że może nie pasować do rodzinnego klanu Wallace'ów, stała się faworyzowaną wnuczką babci Wallace i wzorem dobrych manier oraz szlachetnego charakteru, podczas gdy jej naturalne dziecko, krew z krwi Wallace'ów, była utrapieniem rodziny. Dziś więc Edith musi się podporządkować. Pam postanowiła być stanowcza. Edith włożyła sukienkę od babci, choćby nie wiem co.

Edith nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Zeskoczyła z łóżka

i pomaszerowała korytarzem do pokoju matki. Pam siedziała przy toalecie i zakładała brylantowe kolczyki. Kiedy zobaczyła w lustrze swą rozwścieczoną młodszą latorośl, stojącą w drzwiach w samej bieliźnie, odwróciła się gwałtownie.

– Kochanie, nie patrz tak na mnie. Babcia podarowała ci tę sukienkę specjalnie na dzisiejszą okazję, a więc nie masz wyboru.

Edith zaczęła płakać. Podbiegła do matki i zarzuciła jej ramiona na szyję.

– Ale ja jej nienawidzę – biadoliła.

Pam pocałowała ją w czubek głowy.

– Pojedziemy do sklepu i znajdziemy sukienkę, która ci się spodoba.

– Teraz? – Edith od razu się rozchmurzyła.

– Oczywiście, że nie, kochanie. W Boże Narodzenie sklepy są zamknięte.

Pojedziemy, gdy je otworzą.

Edith odepchnęła się od matki, wydymając usta.

– Chcę teraz nową sukienkę!

– Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko. Opanuj się! – Pam była zadowolona ze swojej stanowczości.

Edith wpatrywała się w matkę z przerażeniem.

– Już mnie nie kochasz – załkała. Poprzednia taktyka nie podziałała, pora zastosować inną: wzbudzić w matce wyrzuty sumienia.

Ale tym razem Pam pozostała nieugięta. Dziewczynki muszą wypaść jak najlepiej, niech się dzieje, co chce. Babcia Wallace dała Edith tę sukienkę, bardzo ładną sukienkę, i Pam nie zamierza jej urazić, przyprawiając Edith na świąteczny lunch w czymś innym.

– Edith, pójdziesz teraz do swego pokoju i włożysz tę sukienkę. W przeciwnym razie nie dostaniesz żadnego prezentu. Obiecuję!

– Ty mnie nienawidzisz! – krzyknęła Edith na odchodnym. – A ja nienawidzę ciebie!

Pam odwróciła się z powrotem do lustra. Twarz miała bladą, a oczy jej błyszczały. Najchętniej spaliłaby tę sukienkę i pozwoliła Edith włożyć, co chce. Ale nie mogła tego zrobić. Raptem Diana Wallace wzbudziła w niej niechęć. Drżącym palcem wytarła łzę, po czym musnęła skórę wokół oczu puszką do pudru.

Edith ostatecznie włożyła niechcianą sukienkę, ale miała naburmuszoną minę i nie odzywała się, siedząc na tylnej kanapie samochodu i przyglądając się zaśnierzonym ogrodom i oblodzonym domom. Chciała wszystkich ukarać za swoje cierpienie, a szczególnie matkę. Jeszcze tego pożałujesz! – pomstowała w duchu. A fakt, że Martha wyglądała tak ładnie i zachowywała się wzorowo, doprowadzał ją do jeszcze większej pasji.

Pam i Larry przybyli ostatni. Bracia Larry'ego, Stephen i Charles, już byli ze swoimi żonami, Dorothy i Joan. Ich dzieci, wszystkie już dorosłe, miały na sobie

nienaganne garnitury i krawaty lub schludne sukienki. Pam doskonale zdawała sobie sprawę z wściekłości Edith, która od wyjścia z domu nie odezwała się ani słowem. Twarz miała poszarzałą ze złości, usta zaciśnięte. Nie ukrywała, że jest wściekła. Pam, starając się odciągnąć uwagę od swej nachmurzonej córki, entuzjastycznie witała się ze wszystkimi, podczas gdy Larry układał przywiezione prezenty pod choinką.

– Och, Edith, włożyłaś sukienkę, którą ci przywiozłam! – zauważyła Diana, z aprobatą przyglądając się wnuczce.

Edith nawet nie wysiliła się na uśmiech.

– Jest bardzo ładna, Ma – wtrąciła się Pam. – Doskonale wybrałaś. Zielony to uroczy kolor dla Edith.

Diana uśmiechnęła się do najmłodszej wnuczki. Zauważyła jej milczący protest i zdecydowała się go zignorować. Zwróciła się do Marthy:

– Moje drogie dziecko, wyglądasz pięknie. Tak szybko rośniesz. Chodź, usiądź przy mnie, żebym mogła dokładnie ci się przyjrzeć. Czy to nowa sukienka? Wyglądasz w niej jak dorosła panna. Ale przecież za chwilę kończysz siedemnaście lat. Jak ten czas leci!

Martha uklękła na podłodze obok fotela babci, podczas gdy Edith, zachęcona przez matkę delikatnym pchnięciem, niechętnie powłócząc nogami, poszła pomóc ojcu rozkładać prezenty. Wznowiono rozmowy, wydawało się, że puszczono w niepamięć niegrzeczne zachowanie Edith. Jednak Joan, obserwując, jak Edith niedbale rzuca kolorowo opakowane prezenty na podłogę, zmrużyła oczy. Zawsze myślała, że to Martha przysporzy Pam kłopotów, ale okazuje się, że to Edith jest niezdolna. Uśmiechnęła się szeroko nad swoim kieliszkiem z szampanem. Diana Wallace była kobietą przykładającą dużą wagę do dobrych manier. Pogardzała źle wychowanymi ludźmi i rozwydrzonymi dziećmi. Joan popatrzyła z dumą na własne i stwierdziła, że zły charakter Edith nie ma związku z naturą, ale przede wszystkim z wychowaniem. Pam udało się wychować Marthę zgodnie ze standardami Wallace'ów, ale ewidentnie zaniedbała Edith, zapewne spodziewając się, że jej biologicznej córce, mającej dobre geny, wychowywanie nie będzie potrzebne. A jednak tak się nie stało.

Po lunchu otworzono prezenty. Pokój wypełnił się dymem, gdy mężczyźni zapalili cygara, a kobiety papierosy. Wydawało się, że Edith nie spodobał się żaden prezent. Postanowiła popsuć wszystkim zabawę, nawet ze świadomością, że przede wszystkim sama sobie ją popsuje. Gdy Joan podarowała jej wytworny koszyk z przyborami do szycia, który miał oddzielną przegródkę na każdy miniaturowy kłębek nici, cisnęła nim o podłogę i skrzyżowała ramiona.

– Nie cierpię szycia! – burknęła. – To dobre dla Marthy!

Pam zauważyła zniesmaczoną twarz teściowej i pospieszyła skarcić swoje dziecko.

– Skoro nie potrafisz się odpowiednio zachować, proszę stąd wyjść! –
Chociaż podniesienie głosu na Edith było dla niej bolesne.

Edith, upokorzona przed całą rodziną, we łzach wybiegła z pokoju.

– Tak mi przykro – powiedziała Pam, wzdychając ciężko. – Nie wiem, co
w nią dzisiaj wstąpiło.

– Chodź tu, Pam – poprosił Larry, poklepując miejsce na sofie obok siebie. –
Wyrośnie z tego. Przechodzi trudny okres.

– Ten trudny okres trwa już od dość dawna – zauważyła oschle Diana. –
Sugeruję, żebyś zatrudniła jakąś wymagającą angielską guwernantkę. Goodwin jest
o wiele za łagodna. Czas, żeby przeszła na emeryturę, nie sądzisz?

– Mama ma rację – potwierdził Larry, wypuszczając dym z cygara.

– Marcie będzie okropnie przykro, gdy straci swoją nianię – powiedziała
Pam.

– A więc dlaczego nie wyślesz ich razem do Londynu? Martha zobaczy
trochę świata. Powinna udać się w podróż.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, mamo. Wygląda na to, że Europa
zmierza ku kolejnej wojnie.

– Nie bądź śmieszny, Larry. Nie będzie żadnej wojny. Nikt nie chce
powtórki wielkiej wojny. Zrobią wszystko, żeby jej uniknąć. Życie musi iść dalej.
Doprawdy, byłam w Paryżu na jesieni i czułam się bezpiecznie.

Ted, który stał przed kominkiem ze Stephenem i Charlesem, włączył się do
rozmowy.

– Dyktatorzy stanowią zagrożenie dla pokoju – rzekł z emfazą, zaciągając się
cygarem. – My, Amerykanie, moglibyśmy zachować neutralność, ale musimy
bardziej zaangażować się w Europie w celu uniknięcia kolejnej zawieruchy...

Joan wyszła do holu. Usłyszała pochlipywanie dochodzące z górnego
podestu schodów. Siedziała tam Edith. Joan wzięła popielniczkę i usiadła obok
dziewczynki. Włożyła papierosa do purpurowych ust i się zaciągnęła. Edith
przestała płakać i popatrzyła na ciotkę podejrzliwie.

– Przepraszam, że dałam ci ten koszyczek. Pomyślałam, że jest uroczy. –
Spojrzała na zapłakaną twarz dziecka. – Ale wcale nie chodzi o koszyk, prawda?
Co się stało?

– Mama zmusiła mnie do włożenia tej okropnej sukienki. Jest brzydka.

– Ma ci ją dała, a więc mimo wszystko wypadało ją włożyć. Wiesz, gdy
byłam dzieckiem, nigdy nie miałam nic do powiedzenia, w co mnie ubierano. Aż
do ukończenia szesnastu lat. Moja matka wszystko wybierała, a ja jej się
słuchałam. Wtedy dzieci były bardziej posłuszne.

– Mama mnie nienawidzi – pożałowała się Edith i znów zaczęła płakać.

Joan strzepnęła popiół do małej popielniczki. Miała bardzo długie paznokcie
pomalowane na taki sam kolor jak usta.

- Twoja mama cię nie nienawidzi? To absurd.
 - Właśnie że prawda! Ona woli Marthę. Martha wszystko robi dobrze i nigdy nie wpada w kłopoty. Martha jest doskonała.
 - Zdecydowanie dobrze się zachowuje.
 - Mama woli ją ode mnie.
 - Wiesz, że to nieprawda.
 - Prawda. Jeśliby mnie kochała, nie zmusiłaby mnie do włożenia tej okropnej sukienki.
 - Miłość nie ma nic wspólnego z sukienkami, Edith. Musiała cię zmusić, ponieważ zrobiłaby przykrość Ma, która ci tę sukienkę kupiła.
 - Mama mnie nie chce. Ona tylko chce Marthę – upierała się Edith, czując, że rozczulanie się nad sobą gwarantuje jej mnóstwo uwagi ciotki Joan.
 - Twoja mama bardzo cię chciała – przekonywała Joan. – Pragnęła cię od chwili, gdy poślubiła twojego tatę, ale upłynęło dużo czasu, zanim się pojawiłaś.
 - Miała Marthę – powiedziała z goryczą Edith.
 - Ale ona chciała ciebie.
- Edith zmarszczyła brwi.
- Ona mnie nie знаła, ciociu Joan.

Joan dokładnie przyglądała się swoim paznokciom i zastanawiała się nad tajemnicą, którą właśnie miała wyjawić. Wiedziała, że nie powinna, i doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli ją przyłapią, będzie w ogromnych kłopotach, ale dziecko wpatrywało się w nią dużymi, lśniąco-ciemnymi oczami i coś wewnątrz Joan chciało jej pomóc – kosztem Marthy, która była tak doskonała i ukochana, że przez to irytująca.

– Mogę ci powierzyć pewną tajemnicę – zaczęła, a Edith od razu wyczuła wagę tych słów jak pies myśliwski wyczuwa krew, i przestała płakać. Wpatrywała się w ciotkę, ledwie ośmielając się oddychać. Skinęła głową. – Ale musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie powiesz, nigdy – podjęła Joan. – To pozostanie tylko między tobą i mną, Edith.

– Obiecuję. – W tej chwili Edith obiecałaby wszystko.

– Przypieczętuźmy to uściskiem dłoni. – Joan wyciągnęła rękę, a Edith nią potrząsnęła. Joan zgasila papierosa. Gwar głosów dochodzący z salonu na dole oddalił się, gdy Joan pochyliła się nad dziewczynką. – Martha została adoptowana – wyznała. Stało się. Te słowa padły, nie da się już ich cofnąć. Edith wpatrywała się w nią oszołomiona. – To prawda. Twoi rodzice nie mogli mieć dzieci, a więc pojechali do Irlandii i kupili sobie niemowlę. Wiesz, bardzo pragnęli mieć dziecko. Tak bardzo, że gotowi byli zapłacić za cudze. A potem, wiele lat później, zdarzył się cud. Bóg obdarzył ich własnym dzieckiem i urodziłaś się ty. Widzisz, kochanie, możesz sobie myśleć, że nie kochają cię tak bardzo jak Marthę, ale prawda jest taka, że kochają cię bardziej niż ją, ponieważ należysz do nich w taki sposób, jak

ona nigdy nie będzie.

W tym momencie ich rozmowę przerwała Pam, która pojawiła się u podnóża schodów.

– Tutaj jesteś! – Rzuciła spojrzenie na podest, gdzie Edith i Joan siedziały przytulone do siebie jak para konspiratorów.

Edith, przytłoczona tajemnicą, zbiegła ze schodów i rzuciła się w ramiona matki.

– Przepraszam, mamusiu. Obiecuję, że już będę grzeczna.

Pam, marszcząc brwi, spojrzała na Joan, ta zaś wzruszyła ramionami z obojętną miną, udając, że nie wie, o co chodzi. Czując ulgę, że Edith się rozchmurzyła, Pam bezgłośnie powiedziała Joan „dziękuję”, i zabrała córkę do salonu.

U Edith nastąpiła natychmiastowa metamorfoza. Stała się grzeczna, urocza i posłuszna. Pam nie posiadała się ze zdumienia.

– Co jej powiedziałaś na schodach? – spytała.

– Że życie jest łatwiejsze, gdy słucha się poleceń – odparła Joan.

Po raz pierwszy, odkąd weszła do rodziny Wallace’ów, Pam poczuła sympatię do szwagierki.

– Masz fantastyczną rękę do dzieci.

– Och, doprawdy nic takiego – rzuciła Joan. – W głębi serca to dobra dziewczynka.

Pam poczuła jeszcze większą wdzięczność dla szwagierki.

Ale Edith aż rozpierała potrzebą wyjawienia sekretu. Wróciła do domu z aroganckim uśmieszkiem i poczuciem ogromnej satysfakcji w sercu. Za każdym razem, gdy patrzyła na siostrę, z ledwością się powstrzymywała, by zachować tę informację dla siebie, ponieważ dzięki niej czuła się lepsza, i musiała naprawdę gryźć się w język, żeby się nie wygadać. Ale wygadała się, ponieważ Edith jak większość dziesięciolatków nie potrafiła dochować tajemnicy, a poza tym chciała Marcie dokuczyć. Ciemna strona jej natury wynikała z poczucia niedoskonałości. Dlatego stale potrzebowała potwierdzać swoją wartość. Ale żeby zyskać przewagę nad Martha, jedynym sposobem było ją pognębić. Edith oczywiście nie zdawała sobie sprawy, jak brzemienne w skutkach będzie wyjawienie tej tajemnicy.

Nie trwało więc długo, nim Edith wyciągnęła zapalną i wznieciła pożar. Edith celowo podjudzała siostrę, aż ta przewróciła oczami i straciła nad sobą panowanie. Wtedy Edith wyprostowała się jak struna i stało się. Z triumfem zakomunikowała Marcie, że nie jest córką ich matki, ponieważ została adoptowana. Początkowo Martha jej nie uwierzyła.

– Nie bądź śmieszna, Edith. Dlaczego nie pójdziesz i nie znajdziesz sobie jakiegoś zajęcia, zamiast wszczynać ze mną kłótnie?

– Ale to prawda! – upierała się Edith. – Ciocia Joan mi powiedziała.

To zelektryzowało Marthę.

– Ciocia Joan ci powiedziała? – Nagle straciła pewność siebie.

– Tak, powiedziała, i obiecałam jej, że nikomu nie powiem.

– Dlaczego więc mi powiedziałaś?

– Bo powinnaś wiedzieć. Mama i tata tak naprawdę nie są twoimi rodzicami.

Tylko moimi. Ciocia Joan powiedziała mi, że bardzo mnie pragnęli i byli tak smutni, że nie mogą mnie mieć, że kupili ciebie. A potem ja się urodziłam. To był cud! – dodała z prawdziwą rozkoszą. – To był cud.

Oczy Marthy wypełniły łzy.

– Zmyślasz...

– Nie zmyślam. Jesteś ze sklepu.

Martha pokręciła głową i wyszła z pokoju, walcząc ze łzami. Pobieгла do zaśniewanego ogrodu i usiadła na ławce pod wiśnią, gdzie mogła płakać w samotności. Jeśli to prawda i jest adoptowana, dlaczego rodzice jej nie powiedzieli? Dlaczego ciocia Joan zdecydowała się wyjawić to Edith? Jak w ogóle można powierzać taką tajemnicę dziesięcioletce? A jeśli to nieprawda, dlaczego ciocia Joan pozwoliła sobie na taką złośliwość?

Martha siedziała na ławeczce pod drzewem i rozważała wszystkie warianty. Próbowwała wrócić wspomnieniami do dzieciństwa i przypomnieć sobie coś, co mogłoby potwierdzić opowieść Edith, ale nie znajdowała niczego, co mogłoby świadczyć, że została adoptowana. Wiedziała, że jest podobna do matki, każdy tak mówił, i żadne z jej rodziców nigdy nie dało jej odczuć, że jest mniej ważna od Edith. Była tylko jedna osoba, którą mogła o to spytać.

Znalazła panią Goodwin zajętą prasowaniem w dziecięcym saloniku. Gdy niania zobaczyła zalaną łzami twarz Marthy, odstawiła żelazko. Martha zamknęła za sobą drzwi.

– Gdzie jest Edith? – spytała niania.

– Przypuszczam, że w swoim pokoju, gdzie ją zostawiłam.

– Wszystko w porządku, moja droga? Czy ona znów była dokuczliwa?

Martha niepewnie stała przed drzwiami.

– Muszę panią o coś spytać... Musi pani powiedzieć mi prawdę.

Pani Goodwin, przeczuwając, że za chwilę stanie się coś złego, przysiadła na oparciu fotela.

– Dobrze – odparła nerwowo. – Powiem ci prawdę.

– Czy ja jestem adoptowana?

Usta starej niani otworzyły się w niemym przerażeniu. Twarz jej stanęła w płomieniach, energicznie pokręciła głową. Ale nie po to, by zaprzeczyć, lecz by odpędzić od siebie to pytanie. Ale tajemnica wyszła na jaw i żadne kręcenie głową nie mogło jej wymazać.

– Martho, kochanie, wejdź i usiądź – zaczęła, zdając sobie sprawę, że oczy ją

pieką od łez.

Martha się rozpląkała. Przyłożyła rękę do ust i wykrztusiła:

– Myślałam, że Edith kłamie...

Pani Goodwin nie czekała, aż Martha usiądzie. Pospieszyła ku niej, wzięła w ramiona i mocno uściskała.

– Moje drogie dziecko, to nie oznacza, że rodzice cię nie kochają. Tak naprawdę oznacza to coś całkiem przeciwnego. Oznacza, że tak bardzo cię pragnęli, że byli gotowi przebyć pół świata, żeby cię znaleźć.

– Ale gdzie jest moja prawdziwa matka?

– To nie ma znaczenia. Ona nie jest ważna. Pam jest kobietą, która cię kocha i opiekuje się tobą od maleńkiego. Była taka szczęśliwa, gdy znalazła cię w tym klasztorze w Irlandii, obydwójce byli. Po prostu zakochali się w tobie.

– A więc ona mnie nie chciała. Moja prawdziwa matka.

– Twoja biologiczna matka jest kobietą, która cię urodziła, ale nie tą, która cię kocha i...

– Najwyraźniej mnie nie chciała. Oddała mnie.

– Nie znasz faktów. Prawdopodobnie była młodą, niezamężną kobietą, która wpadła w kłopoty.

Martha odsunęła się i wnikliwie zajrzała w oczy starej przyjaciółki.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Ponieważ to nie ma znaczenia. Należysz do rodziny Wallace'ów i Tobinów, Martho. – Twarz pani Goodwin stężała. – Edith ci to powiedziała? – Martha skinęła głową. – Skąd ona wiedziała? Na pewno nie wyznała jej tego twoja matka.

– Ciocia Joan.

Pani Goodwin była przerażona.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie wiem. – Martha weszła głębiej do pokoju, usiadła na sofie i objęła się ramionami.

– Źle się czuję, pani Goodwin. Chyba zwymiotuję.

Pani Goodwin pobiegła po miskę. Chwilę później wróciła i położyła ją Marcie na kolanach.

– Oddychaj, kochanie. Weź kilka głębokich oddechów, a poczujesz się lepiej. To szok. – Martha rzeczywiście zrobiła się bardzo blada. – Twój rodzice nie powiedzieli ci, ponieważ nie chcieli, żebyś cierpiała tak jak teraz. Nie mogę uwierzyć, że Joan wykazała się taką bezmyślnością. Jak mogła oczekiwać, że dziesięcioletnie dziecko zachowa tajemnicę? Co sobie myślała? Twoja matka będzie wściekła, gdy się dowie.

– Nie dowie się – zdecydowała szybko Martha. – Miałam o tym nie wiedzieć, nie chcę więc denerwować ani mamy, ani taty. Edith nie rozumiała, co

robi – dodała i serce pani Goodwin wezbrało z powodu dobroci Marthy. Chociaż miała wszelkie powody, by potępić siostrę, chciała ją usprawiedliwić.

– Edith dokładnie wiedziała, co robi – stwierdziła pani Goodwin z nietypową dla niej złością w głosie. – Właśnie dlatego ci powiedziała.

Rozdział 37

Prawda o swoim pochodzeniu poruszyła coś w Marcie. Ale tylko pani Goodwin zauważyła tę zmianę. Martha umilkła, chodziła zamyślona i przygnębiona. W przeciwieństwie do Edith, która była bardziej ożywiona niż zwykle i skupiała na sobie uwagę rodziców, powagę Marthy ledwie zauważano, ale panią Goodwin, która tak dobrze ją znała i kochała, to niepokoiło. Jednak poczucie nieszczęścia sprawiło, że Martha spojrzała w głąb siebie i w ciemnym, cichym zakątku swej duszy znalazła coś, co straciła dawno temu: poczucie, że skądś przyszła i naprawdę jest kim innym. Słyszała szepty na wietrze i widziała przebliski dziwnego światła, które unosiło się wokół zaśnieżonego ogrodu. Nocami, gdy leżała, płacząc w poduszkę, miała nieodparte wrażenie, że nie jest sama. Nie wiedziała, kto to jest, a będąc wychowana w wierze katolickiej, zastanawiała się, czy to nie Bóg albo anioł wysłany, by ją pocieszyć. Często myślała o Irlandii i wyobrażała sobie matkę jako przestraszoną młodą kobietę, która w potrzebie nie miała do kogo się zwrócić. Nie pogardzała nią, że ją oddała – takie negatywne nastawienie nie leżało w jej naturze, przeciwnie – usychała za nią z tęsknoty. Gdzieś w dalekim kraju żyła kobieta, która była częścią niej. Kobieta, która ją straciła; dla tej przerażonej młodej kobiety czuła rozdzierające współczucie.

Martha nie chciała nigdzie wychodzić i siedziała w swoim pokoju, wyglądając przez okno, podczas gdy pani Goodwin wymyślała różne wymówki, żeby nie wzbudzić podejrzeń państwa Wallace'ów, że coś złego dzieje się z ich córką. Martha wolała pozostawać sama ze swoimi myślami. Szukała pocieszenia w wewnętrznym świecie, ponieważ zewnętrzny ją rozczarował.

Pewnej nocy na początku stycznia przyszła jej do głowy dziwna myśl. Wydawało się, że pojawiła się znikąd. W wyobraźni zobaczyła pudełko na buty w łazienkowej szafce matki i bardzo wyraźnie usłyszała słowa „świadeństwo urodzenia”, jakby ktoś wyszeptał jej do ucha. Raptownie usiadła na łóżku i rozejrzała się po pokoju. Panowała w nim zwyczajna ciemność, ale Martha wyczuła, że nie jest sama. Serce jej zaczęło bić szybciej, ręce się spociły ze zdenerwowania. Ktoś był w jej sypialni, była tego pewna! Wiedziała jednak, że jeśli zapali światło, ta istota zniknie, a tego nie chciała. Pragnęła ją zobaczyć.

Po chwili znów się położyła i zamknęła oczy. Ale serce jej waliło i czuła się kompletnie rozbudzona. Nagle w jej umyśle pojawiło się wspomnienie. Przypomniała sobie budynek z piaskowca i strach, gdy wjeżdżała windą, która wyglądała jak klatka. Przypomniała sobie, jak trzymała mamę za rękę, ale również

jej energiczny krok – determinację, z jaką szła w głąb korytarza. Zobaczyła wysokiego mężczyznę o niebieskich oczach, który pochyla się nad nią, by jej się przyjrzeć, jakby była owadem, i w żołądku ją ścisnęło ze strachu. Potem ujrzała osobliwą lampę, która wyglądała jak demoniczne oko, i dech jej zaparło. Przerażona zapaliła światło. Rozejrzała się po pokoju. Nikogo tu nie było. Żadnego dźwięku, oprócz walenia serca w jej piersi. Odetchnęła głęboko i próbowała przywołać więcej wspomnień z tamtej chwili. Mężczyzna jednak zniknął jej sprzed oczu, zabierając ze sobą strach, ale dziwne uczucie jej nie opuszczało. Coś, czego nie potrafiła wyłuskać z pamięci. Wysilała umysł, aż zaczęła odczuwać zmęczenie. Im bardziej starała się sobie przypomnieć, tym ta nieuchwytna myśl dalej odpływała. W końcu się poddała. Zgasiła światło i położyła się z powrotem na poduszce. Pomyślała, że wizja pudełka po butach musiała być snem, ale sprawdzi to następnego dnia, gdy matka wyjdzie z domu. Na wszelki wypadek. A jeśli znajdzie metrykę, będzie wiedziała kogo szukać – ponieważ zamierzała szukać. To już postanowiła.

Nazajutrz, gdy matka wyszła z domu z Edith, Martha pospieszyła do łazienki. Przykucnęła, żeby otworzyć szafkę pod umywalką. Wewnątrz znajdowały się starannie ustawione w rzędach buteleczki, torebki z wacikami oraz różne lekarstwa. Była zaskoczona, gdy zobaczyła pudełko ze swego snu, wciśnięte z tyłu, dokładnie takie, jak sobie wyobraziła. Wyjęła je drżącymi rękami. Ledwie ośmielając się oddychać, ostrożnie podniosła pokrywkę. Wewnątrz były papiery i kawałek starego kocyka. Pogrzebała pod nim i wyciągnęła dokumenty. Oto miała w dłoni swoją metrykę. Odczytanie informacji zajęło jej chwilę, ponieważ oczy zaszyły jej łzami. Zamrugowała i znów odzyskała zdolność widzenia.

Urodzona 5 stycznia 1922 roku o 12.20 w Dublinie w klasztorze Matki Bożej Królowej Nieba. Imię: Mary-Joseph. Płeć: dziewczynka. Imię i nazwisko ojca: nieznane. Imię i nazwisko matki: Grace, lady Rowan-Hampton.

Wstrzymała oddech. Jej matka była arystokratką! Przypuszczała, że zaszła w nieślubną ciążę i została zmuszona do oddania dziecka. Serce zalała jej fala współczucia. Czy lady Rowan-Hampton czasami o niej myśli i zastanawia się, co dzieje się z jej córką? Czy jest szczęśliwa, czy w ogóle wie o jej istnieniu? Czy żałuje, że ją oddała? A może podpisała papiery i po prostu żyła jak dawniej? Czy jest możliwe zapomnieć o dziecku, które się oddało? Odłożyła pudełko na miejsce i wróciła do swojego pokoju, gdzie wpatrując się w swoją twarz w lustrze, próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda lady Rowan-Hampton. Jej ojciec był nieznan, ale lady Rowan-Hampton musiała wiedzieć, kim on jest, pomyślała. Jeśliby odnalazła matkę, może uda jej się też odnaleźć ojca? Wtem przyszła jej do głowy straszna myśl: a jeśli lady Rowan-Hampton nie chce zostać odnaleziona? Ta myśl niemal pokrzyżowała jej plan, ale szybko odrzuciła negatywny scenariusz. Istniało pięćdziesiąt procent szans, że jej matka będzie za to wdzięczna, i musiała

na to postawić.

Niedługo potem pani Goodwin powiedziała Marcie, że wkrótce wyjeżdża do Anglii, ponieważ została zwolniona, a w lutym na jej miejsce przyjeżdża nowa guwernantka, żeby zająć się Edith. Reakcja Marthy zaskoczyła starą nianię. Nie łkała i nie błagała, żeby została, czego pani Goodwin mogła się spodziewać. Spojrzała uważnie na smutną twarz niani i oświadczyła, że z nią jedzie.

– Ależ, moja droga, twoje miejsce jest tutaj, z rodziną – zaprotestowała.

– Nie spocznię, dopóki nie znajdę mojej matki – odparła Martha, a determinacja w jej głosie uświadomiła pani Goodwin, że dziewczyna podjęła decyzję i nic jej nie zmieni.

– Ale co powiedzą twoi rodzice? – spytała zatroskana niania.

– Zostawię im list z informacją, co planuję zrobić. Gdybym im o tym powiedziała, staraliby się mnie powstrzymać. Od czasu tamtej naszej rozmowy w pokoju dziecięcym nie myślę o niczym innym.

– Ale gdzie zamierzasz szukać?

– Znalazłam moje świadectwo urodzenia w szafce w łazience i odkryłam, że moją matką jest lady Grace Rowan-Hampton.

Pani Goodwin rozszerzyła oczy.

– Coś takiego! – Była wyraźnie pod wrażeniem. – Jesteś więc arystokratką.

– Zamierzam pojechać do Dublina, do klasztoru, w którym się urodziłam. Na pewno mają dokumenty.

– Oczywiście. – Pani Goodwin wyglądała na zakłopotaną. – Nie mam zbyt wiele pieniędzy, Martho – ostrzegła. – Ale pomogę ci w miarę swoich możliwości.

– Dostałam trochę pieniędzy na urodziny – wyjaśniła Martha. – I zaoszczędziłam trochę przez lata. Na pewno starczy na podróż do Irlandii, a potem, jeśli będę skromnie żyła, na pobyt. – Ujęła dłonie pani Goodwin. – Pojedzie pani ze mną?

– Do Irlandii?

– Do Dublina. Och, proszę powiedzieć, że tak. To będzie przygoda. Boję się jechać sama. Nigdy nigdzie nie byłam. Ale pani już podróżowała. Jest pani mądra i doświadczona. Wiem, że mogę to zrobić, jeśli pojedzie pani ze mną.

– To prawda. Wiem trochę więcej o świecie niż ty. – Niania uśmiechnęła się czule. – Jeśli tego chcesz, pojedę. Ale musisz mi coś obiecać.

– Co? – spytała nerwowo Martha.

– Po powrocie naprawisz stosunki z rodzicami.

– Dobrze – odpowiedziała.

– Oni bardzo cię kochają, Martho. Będą nieszczęśliwi, gdy wyjedziesz.

– Nic na to nie poradzę. Teraz, gdy znam już prawdę, nie mogę tego tak pozostawić. Moja matka gdzieś tam jest. Być może za mną tęskni. A może nie, ale chcę to wiedzieć. Nie jestem tą dziewczyną, za którą się uważałam. Muszę

dowiedzieć się, kim jestem naprawdę, pani Goodwin.

– Zgoda – przyznała z ożywieniem pani Goodwin. – Zdaj się na mnie.

*

Ze swego miejsca w zaświatach Adeline uśmiechnęła się z satysfakcją z powodu dobrze wykonanego zadania.

*

W Nowym Jorku Bridie czytała list od Michaela. Stara pani Nagle była umierająca i matka wzywała ją do przyjazdu. Oczy Bridie wypełniły się łzami. Zdała sobie sprawę, że dłużej nie może unikać przeznaczenia. Kupiła zamek z chęci zemsty, ale być może jej najgłębsze pragnienie wiązało się z ziemią, na której go zbudowano. Obawiała się konfrontacji z ludźmi, których nienawidziła, żywiła jednak tęsknotę za tymi, których kochała, a ta tęsknota wzywała ją z powrotem do korzeni. Odłożyła list na stolik i zapatrzyła się w okno. Niebo było jasnoniebieskie, blade zimowe słońce lśniło słabo nad zamarzną ziemią. Rudzik podskakiwał na zaśnieżonym trawniku, rdzawa plamka na jego upierzeniu odcinała się wyraźnie na tle białego śniegu. Nie znalazłszy nic, rozprostował skrzydła i odleciał, a Bridie pożałowała, że też nie ma skrzydeł, żeby odlecieć jego śladem. Odlecieć do domu. Tym razem na zawsze.

*

Jack spędził siedem i pół roku w Buenos Aires. Za część pieniędzy, które dostał od Maranzana, otworzył irlandzki pub na Retiro, w północno-wschodniej dzielnicy miasta, i kupił niewielki apartament w pobliskiej kamienicy zbudowanej w paryskim stylu. Obydwoje z Emer bardzo starali się pokochać swój nowy dom. W końcu Buenos Aires to piękne miasto z alejami wysadzonymi drzewami, skąpanymi w słońcu placami i zielonymi parkami, ale dobra koniunktura, którą cieszyło się miasto w latach dwudziestych, skończyła się wraz z wielkim kryzysem. Teraz panowała tu ciężka i niepewna atmosfera. Nie był to moment na otwieranie nowego biznesu. Ale Jack musiał się ukrywać. Nie sądził, żeby Luciano i Siegel szukali go tutaj. Jednak każde pukanie do drzwi sprawiało, że podskakiwało mu serce, a każde przedłużające się spojrzenie na ulicy budziło obawy. Spał z bronią pod poduszką i bał się o dzieci, gdy wychodziły z domu. Emer była cierpliwa i spokojna, ale nawet ją zaczynała męczyć ta jego ustawiczna ostrożność.

Rosaleen miała teraz dziesięć lat, Liam prawie siedem, a rok temu Emer urodziła Aileen. Martwił się o ich bezpieczeństwo i przyszłość. Nie widział siebie, żyjącego do końca swoich dni w kraju, gdzie z trudem się porozumiewał i w którym bezskutecznie usiłował się zadomowić. Pub miał niewielu klientów, społeczność Irlandczyków w Buenos Aires była nieliczna, a Argentyńczycy nie

cenili ani irlandzkiej muzyki, ani irlandzkiego piwa. Zrobił kilka nietrafionych inwestycji i szybko tracił pieniądze. Pewnego dnia, wyglądając przez okno w sypialni, podjął decyzję. Czas na powrót do domu.

Minęło prawie osiem lat, odkąd uciekł mafii; nie wyobrażał sobie, że mogą nadal go szukać. Wierzył, że w Ballinakelly będzie bezpieczny. Ufał, że jego dzieci będą tam miały lepszą przyszłość. Chciał odłożyć broń, odkurzyć torbę weterynaryjną i wieść spokojne życie, nie oglądając się przez ramię i nie patrząc podejrzliwie na każdego obcego. Starał się nie myśleć o Kitty. Lecz skupić się na tym, co ma, a nie na tym, co stracił. Kochał Emer. Była jego terażniejszością; nie miał powodu bać się przeszłości.

Barton Deverill

Ballinakelly, hrabstwo Cork, 1667

Dzień wstawał szary i pochmurny. Powietrze było zimne, a podmuchy wiatru ostre jak noże. Wrony i gawrony podskakiwały na zamkowych murach, które ogień osmalił na brzydką czerń, ale chorągiew lorda Deverilla powiewała wysoko i dumnie na zachodniej wieży na znak zwycięstwa nad wrogami i przestrogi dla potencjalnych buntowników.

Lord Deverill obudził się z mdlącym uczuciem w żołądku. Z jękiem wstał z łóżka i zawołał na służącego, żeby przyniósł mu wino i chleb. Maggie O'Leary zdominowała jego myśli od pierwszego razu, gdy na nią spojrzał, ale dziś ten żaloszny epizod miał skończyć się raz na zawsze. Dzisiaj ona zakończy swój żywot. Jak wiele czarownic przed nią – spłonie na stosie. Miał nadzieję, że wraz z jej śmiercią zniknie też mu sprzed oczu jej wizerunek, który dręczył go we dnie i w nocy. Niezależnie od tego, jak bardzo starał się o niej zapomnieć, zawsze była obecna w jego myślach, torturując go siłą swego powabu. Widział ją również teraz, te niesamowite zielone oczy, wpatrujące się w niego z mieszaniną tupetu i zdziwienia. Dziś zamkną się na zawsze. Pozbędzie się jej, a wraz z nią poczucia winy, że uległ pożądaniu i wziął ją wtedy w lesie.

Ubrał się i kazał przyprowadzić konia. Jazda do Ballinakelly wydawała się trwać dłużej niż zazwyczaj. W towarzystwie garstki ludzi jechał powoli przez gęsty las, a potem doliną, gdzie mały strumyk wił się leniwie wśród połyskujących kamieni i urwistych skał. W wiosce, gdy do niej dotarł, panowała niezwykła cisza. Przy furkach nie widać było nikogo, droga też była pusta, oprócz chłopca, który biegł co tchu w płucach, by się nie spóźnić i nie przegapić widowiska. O to właśnie chodziło – o widowisko. Ludzie z Ballinakelly zgromadzili się na placu żądni rozrywki.

Barton Deverill minął skromne kamienne domki, kuźnię, karczmę i jechał dalej w głąb wioski. Im bardziej się zbliżał, tym mocniej w żołądku ścisnęło go ze strachu. Nie chciał jej zobaczyć. Nie chciał, żeby ona go zobaczyła. Nie chciał przypomnienia o swoim szaleństwie.

W końcu zbliżył się do tłumu ludzi, za nimi znajdował się drewniany stos na podobieństwo małego wzgórza, z którego agresywnie sterczał pał. Przełknął z trudem i mocno chwycił wodze, żeby powstrzymać drżenie rąk. Kilka osób odwróciło się i rozpoznało go, a wtedy szmer głosów przemknął przez tłum

i zamarł. Zapadła martwa cisza, nawet dzieci na rękach zamilkły z powodu szoku.

Lord Deverill zerknął znacząco na chłopca, który go przed chwilą minął na drodze, i skinął na niego palcem. Chłopiec podskoczył do jego konia i spojrzał w górę podekscytowany. Lord Deverill pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Chłopiec przytaknął, brudnymi rękami wziął małą torebkę oraz w nagrodę błyszczącą monetę, które dał mu lord Deverill. Następnie zniknął w tłumie jak zwinna fretka. Chwilę później rozległ się turkot i pojawił się wózek wiozący kobietę ubraną w prostą białą suknię. Klęczała na słomie ze skrępowanymi z tyłu rękami, a jej długie splecione włosy otaczały ją jak czarny welon. Nie mówiła nic, tylko ciskała w tłum spojrzenia, które wydawały się rzucać uroki na wszystkich, ponieważ nikt nie ośmielał się nawet pisać. Bali się jej, nawet gdy prowadzono ją na śmierć.

Ze związanymi rękami podeszła spokojnie do pala. Nie stawiała oporu. Nie walczyła, nie krzyczała, nie zawodziła. Wyglądała krucho tam, na górze drewna, jak dziecko, ale szlachetność, z jaką stała, była nie z tego świata. Ksiądz odczytał wyrok głosem, który odbił się echem po placu. Maggie wydawała się niewzruszona. Z podniesionym czołem i władczym wyrazem na swej pięknej twarzy przesuwiała wzrokiem po ludziach, jakby współczuła im wszystkim z powodu ich ciemnoty. Wyraźnie nie bała się śmierci i tłum, wyczuwając jej odwagę, zapadł w pełną bojaźni ciszę.

Kiedy mężczyźni z pochodniami podeszli, żeby podpalić stos, podniosła oczy i spojrzała na lorda Deverilla – prosto w jego duszę. Oddech zastygł Bartonowi w piersi. Nie był w stanie się poruszyć. Miał wrażenie, że kobieta patrzy w głąb jego istoty, w samo sedno. Nie wiedział, czy uśmiech, który wykrzywił jej wargi, wyraża wdzięczność czy raczej wyzwanie. Próbował odwrócić wzrok, ale przykuła go spojrzeniem jak wąż swoją ofiarę i gdy polana zaczęły płonąć, a ją zaczął otaczać szary dym, jej palące oczy ciągle na niego patrzyły.

Płomienie omiały jej stopy, rosły coraz wyżej, a ona nadal milczała. Tłum zaczął niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Dlaczego nie krzyczy? Dlaczego nie czuje ognia? Ale nareszcie wydała z siebie cichy jęk. Barton wpatrywał się w nią z przerażeniem, gdy jęk potęgował się, przechodząc w przesywający, świdrujący krzyk, od którego zgromadzonym ludziom mogły popękać bębunki. A potem nagle torebka prochu strzelniczego, który trzymała w dłoniach, złapała iskrę i eksplodowała z głośnym hukiem, uwalniając kobietę od powolnej śmierci, zgodnie z zamysłem Bartona.

Lord Deverill zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Zaczerpnął potężny haust powietrza. Osłupiały tłum cofał się, gdy iskry wzbijały się w niebo, a ogień buchał jak z paszczy smoka. Ludzie zasłaniali oczy, a ich okrzyki wzmagaly się wraz z trzaskami płonącego drewna oraz swądem przypiekanego mięsa.

Barton widział już dość. Zawrócił konia i galopem opuścił wioskę.

Rozdział 38

Martha i pani Goodwin przybyły przed bramę klasztoru Matki Bożej Królowej Nieba. Był pogodny lutowy dzień, ale szare ściany wyglądały surowo i budziły grozę. Martha poczuła się nieswojo. Wyobraziła sobie swoją matkę, która przybywa tu jako młoda kobieta „w kłopotach” – jak się wyraziła pani Goodwin – a był to najbardziej prawdopodobny scenariusz – i widziała jej strach, ponieważ te mury przywodziły na myśl raczej więzienie niż miejsce schronienia.

Umówiły się przez telefon na spotkanie z matką Evangelist, która przemawiała uprzejmym, serdecznym tonem, co Marcie dodało otuchy. Gdyby zakonnica nie miała żadnych informacji, na pewno powiedziałyby to przez telefon, oszczędzając im kłopotu i pieniędzy na taksówkę. Jednak teraz, w obliczu tych wysokich murów, Martha czuła, że jej nadzieja odpływa. Zaczynała tracić odwagę. Pani Goodwin wyczuła jej niepokój i uśmiechnęła się krzepiąco.

– Domy boże często wyglądają tak nieprzystępnie. Zarówno kościoły, katedry, jak i klasztory nie odznaczają się przytulnością.

– Pierwszy raz będę w klasztorze – powiedziała Martha, mając nadzieję, że również ostatni.

W końcu furta otworzyła się i zakonnica w granatowym habicie o słodkiej twarzy, przedstawivszy się jako siostra Constance, zaprosiła je do środka. Martha od razu poczuła zapach. Nie był nieprzyjemny; mieszanina pasty do podłóg, detergentów i wosku ze świec. Zaprowadzono je do poczekalni, gdzie w kominku palił się ogień, a na małym stoliku obok dużej, oprawionej w skórę Biblii migotała świeca i stał dzbanek z wodą oraz dwie szklanki.

– Proszę się rozgościć. Matka Evangelist was oczekuje. Przyjdzie za kilka minut. Może podać herbatę?

– Tak, proszę – zgodziła się pani Goodwin. – Obydwie chętnie się napijemy, dziękuję.

Siostra Constance opuściła pomieszczenie. Martha usiadła na brzegu sofy i się rozejrzała. Ściany były pomalowane na białe, a przez wysokie okno wpadało niewiele światła. Pomimo ognia w kominku pokój wyglądał na opuszczony. Martha splotła palce na kolanach. Pani Goodwin usiadła obok i położyła rękę na jej dłoniach.

– Wszystko będzie dobrze. Mają dokumenty. Wiele dzieci musi tu przychodzić, żeby odszukać swoje matki. Jestem pewna, że nie jesteś pierwsza i nie będziesz ostatnia.

Siostra Constance wróciła z tacą z dwiema filiżankami herbaty, cukierniczką,

dzbanuszkami z mlekiem oraz talerzykami z herbatnikami. Postawiła tacę na stoliku obok świecy.

– Proszę. – Podsunęła z ciepłym uśmiechem. – Przyjechały panie z daleka?

– Z Ameryki – odparła Martha.

Siostra Constance zaskoczona otworzyła szeroko oczy.

– Wielkie nieba, ależ to szmat drogi! Mam nadzieję, że miło spędzą panie czas w Dublinie. To urocze miasto. Jeśli będą panie miały czas, proszę pójść na herbatę do Shelbourne. Wspaniały stary hotel, niezwykle uroczy.

– Słyszałyśmy o Shelbourne – przyznała pani Goodwin.

– Och, oczywiście, wszyscy słyszeli o Shelbourne. – Siostra Constance spojrzęła na drzwi, w których pojawiła się matka Evangelist.

Młoda zakonnica czym prędzej wyszła, a matka Evangelist wkroczyła w aurze autorytetu i zasiadła w fotelu.

– Przepraszam, że musiały panie poczekać. Cieszę się, że siostra Constance poczęstowała panie herbatą. Dzień jest pogodny, ale chłodny. A więc przyjechała pani, żeby odnaleźć matkę? – zagaiła delikatnie, spoglądając na Marthę.

– Tak – odpowiedziała Martha, przyciskając rękę do serca, żeby je uspokoić.

– Chciałabym pani pomóc, panno Wallace. Wiele młodych matek przychodzi do nas, gdy wpadną w kłopoty. Wtedy adopcja jest jedyną opcją. Robimy, co w naszej mocy, żeby im pomóc i znaleźć dzieciom kochający dom. Rozumiem jednak, że chce pani odnaleźć kobietę, która panią urodziła, i z pomocą boską osiągnie pani swój cel. Powiedziała pani, że posiada metrykę...

– Nie mam jej ze sobą – wyjaśniła Martha. – Znalazłam ją, ale moja przybrana matka o tym nie wie, a więc nie mogłam jej zabrać ze sobą.

– Rozumiem. Jak nazywała się pani matka i kiedy się pani urodziła?

– Urodziłam się 5 stycznia 1922 roku. A moja matka nazywała się lady Grace Rowan-Hampton. Moi przybrani rodzice to Larry i Pamela Wallace'owie z Connecticut w Ameryce.

Matka Evangelist skinęła głową i zapisała dane w swoim notesie. Wstała.

– Zaraz wrócę. Muszę odszukać dokumenty. Być może zdołam odnaleźć adres lub przynajmniej jakąś wskazówkę, która skieruje panią na właściwą ścieżkę. Ludzie się przeprowadzają. Pani matka mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko. Jednak pójdę po dokumenty. Od tego zaczniemy, zgoda?

Gdy wyszła, pani Goodwin poklepała Marthę po dłoni.

– Widzisz, nie było to takie przerażające, prawda? Matka Evangelist chce ci pomóc. Jestem pewna, że te siostry połączyły już wiele matek z ich dziećmi. To słuszne posunięcie. Wygląda na to, że matka Evangelist chce postąpić słusznie.

Martha skinęła głową i podniosła do ust filiżankę. Herbata była letnia i słaba, ale nie zwracała na to uwagi. Zastanawiała się, co pomyśli lady Rowan-Hampton, gdy dowie się, że przyjechała córka, żeby ją odnaleźć.

Czas mijał, a matka Evangelist nie wracała. Martha zaczęła się denerwować. Przeczuwała, że coś jest nie tak.

– Dlaczego tak długo jej nie ma? – szepnęła do pani Goodwin.

– Muszą mieć pełne półki dokumentów – zauważyła jej towarzyska. – Może trzymają je gdzieś w piwnicy? Na pewno zaraz wróci.

Rzeczywiście matka Evangelist wróciła, ale wyraz jej twarzy się zmienił. Już się nie uśmiechała. Martha, przyglądając się zakonnicy, poczuła, jak ciarki niepokoju niczym jakieś kolczaste stworzenia zaczynają wpełzać na jej ciało. Matka Evangelist westchnęła.

– Bardzo mi przykro – powiedziała, kręcąc głową. – Wygląda na to, że pani dokumenty gdzieś się zapodziały. Długo mnie nie było, ponieważ poszłam spytać siostrę Agathę, która wtedy była matką przełożoną. Jest już leciwa i traci pamięć. Nie wie, dlaczego dokumenty się zagubiły, i nie przypomina sobie lady Rowan-Hampton, ale wówczas dziewczęta przebywały tu bardzo krótko. Poza tym to było siedemnaście lat temu. Przykro mi, że przynoszę rozczarowanie. Jednak zna pani nazwisko, co jest bardzo dobrym początkiem. Wiele dzieci, które tu wracają, nie ma nawet tego. To niecodzienne nazwisko i przy arystokratycznym tytule nie powinno być trudno ją odnaleźć.

Marcie zbierało się na płacz. Zarumieniła się gwałtownie i zacisnęła usta, żeby powstrzymać ich drżenie. Pani Goodwin podjęła konwersację. Podziękowała zakonnicy, która sprawiała wrażenie, że jest jej naprawdę przykro, że nie może im pomóc. Długim korytarzem odprowadziła je do wyjścia. Gdy matka Evangelist odsuwała zasuwę, Martha zauważyła starą zakonnicę stojącą w drzwiach pokoju w głębi korytarza. Wpatrywała się w nią małymi, świdrującymi oczami, z twarzą beznamiętną i cienkimi ustami zaciśniętymi w złośliwym grymasie. Martha instynktownie wiedziała, że to siostra Agatha. Zadrżała, a zakonnica zatrzasnęła drzwi. Wyglądało to jak ostentacyjna nagana.

Za murami klasztoru Martha się rozplakała. Niania otoczyła ją ramionami.

– Spokojnie, moja droga, nie płacz. Dopiero zaczęłyśmy poszukiwania. Znajdziemy ją, nie mam co do tego wątpliwości. To nie miało być łatwe. Już wiem, sprawimy sobie odrobinę przyjemności! Pójdziemy do hotelu Shelbourne na dobrą herbatę. Ta w klasztorze była słaba i zimna. Jestem pewna, że herbata w Shelbourne będzie wyśmienita.

Hotel Shelbourne nie rozczarował. Był okazały, w klasycznym stylu, z wysokimi sufitami, marmurowymi podłogami i dużymi oknami z widokiem na park St Stephen's Green. Przeszły przez foyer do herbaciarni Lord Mayor's, gdzie kelner zaprowadził je do okrągłego stolika przy oknie. Pani Goodwin zamówiła podwieczorek.

– Gdy zjesz bułeczki z dżemem, od razu poczujesz się lepiej – powiedziała do Marthy. – Nie będziemy się poddawać, potknąwszy się na pierwszej

przeszkodzie, Martho.

– Wiem. Przypuszczam, że uda nam się zdobyć adres, skoro znamy nazwisko. Jeśli była wielką damą, prawdopodobnie pochodzi z wielkiego domu, który mógł pozostawać w rękach jej rodziny od dawna.

– Nie mylisz się – zapewniła ją pani Goodwin. – Wiem co nieco o brytyjskich tytułach. Nie sądzę, żeby odnalezienie jej okazało się aż tak trudne.

– Od czego zaczniemy?

– Musimy pojechać do Londynu. Twoja matka mogła przyjechać do Dublinu z Anglii, żeby w tajemnicy urodzić dziecko. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek tu mieszkała. W Anglii mam rodzinę, która nam pomoże. Zacznijmy od tego.

– Zgoda, jedźmy do Londynu – zaaprobowala Martha. Kelner przyniósł herbatę, która była o wiele lepsza niż ta, którą piły w klasztorze, oraz bułeczki, które smakowały lepiej niż cokolwiek innego, czego próbowała w Ameryce. – Ale pyszne! – powiedziała i kolor zaczął wracać na jej policzki, a optymizm do serca. – Skoro już tu jesteśmy, możemy nacieszyć się parkiem i obejrzeć miasto. Staram się nie myśleć o mamie i ojcu – dodała cicho.

– List, który zostawiłaś, wszystko wyjaśnił – uspokoiła ją pani Goodwin. – Przypuszczam jednak, że Edith będzie mieć kłopoty.

– Podkreśliłam, żeby jej nie obwiniali. Ona jest jeszcze mała.

– Natomiast twojej ciotce Joan na pewno się za to dostanie, ale jej się to słusznie należy.

– Nie powinna powiedzieć tego Edith – stwierdziła stanowczo Martha. – Ale cieszę się, że to zrobiła. Mam prawo wiedzieć, skąd pochodzę.

– To prawda, kochanie – przyznała jej rację pani Goodwin.

W tym momencie ich uwagę przykuło dwóch dżentelmenów, którzy weszli do sali. Starszy mężczyzna był ubrany w trzyczęściowy garnitur i szary filcowy kapelusz; młodszy, równie elegancko ubrany, był trochę wyższy, szczuplejszy, o bardziej wysportowanej sylwetce. Obydwaj roztaczali wokół siebie atmosferę wielkopańskiego majestatu i ważności, ponieważ wydawało się, że cały personel hotelowy zgromadził się, by im nadskakiwać. W ceremonialny sposób wprowadzono ich do środka, a starszy dżentelmen witał się z tymi, których znał, z pełnym werwy uśmiechem i łobuzerskim błyskiem w jasnoszarych oczach. Ci, do których zagadnął, wydawali się uszczęśliwieni jego widokiem. Pani Goodwin zauważyła, jak panie odstawiały filiżanki i chichocząc zalotnie, podawały mu rękę, którą on całował z szarmanckim ukłonem.

Martha i jej guwernantka przyglądały się temu widowisku zafascynowane. Pani Goodwin, którą ujął urok starszego mężczyzny, jego płowe włosy i przykuwające oczy, zastanawiała się, kim jest, ponieważ wyglądało na to, że cieszy się szczególną pozycją w tym mieście. Martha wpatrywała się w rudego chłopca, który musiał być w podobnym wieku co ona, ponieważ zafrapowała ją

jego beztroska. Szedł zawadiackim krokiem, a w jego uśmiechu znać było dużą pewność siebie, jakby w życiu spotykało go samo dobro. Mężczyźni usiedli przy stoliku niedaleko pani Goodwin i Marthy, a kelnerzy kręcili się wokół nich z serwetkami, menu oraz uprzejmościami – chociaż goście złożyli zamówienie, nie czytając karty.

– Cóż za elegancy panowie, chyba nigdy takich nie widziałam! – zachwyciła się pani Goodwin. – To pewnie ojciec i syn, nie sądzisz? Oprócz koloru włosów są bardzo do siebie podobni.

Martha nie odpowiedziała. Nie była w stanie oderwać oczu od chłopca. Był zdecydowanie przystojnym młodzieńcem, miał figlarny, nieco krzywy uśmiech oraz żywy błysk w oczach, ale było w nim coś jeszcze... Coś, czego Martha nigdy nie dojrzała w nikim innym. Wyczuwając, że jest obserwowany, chłopiec podniósł wzrok i ich oczy się zetknęły, jakby ich przeznaczeniem zawsze było być razem. Patrzyli jedno na drugie oszołomieni i zachwyceni dziwnym nowym uczuciem, które w sobie wzbudzili.

– Na co patrzysz, JP? – spytał Bertie, podążając za wzrokiem syna. Uśmiechnął się, gdy zobaczył ładną dziewczynę siedzącą przy oknie. – Wpadła ci w oko, co? – skomentował ze śmiechem.

Ale JP był zbyt podekscytowany widokiem dziewczyny, żeby odpowiedzieć. Przyglądał się jej, jakby nigdy nie widział nikogo tak uroczonego. Bertie uśmiechał się i obserwował fascynację na twarzy syna, przypominając sobie ów pierwszy raz, gdy jego oczy spoczęły na Maud. Ona też od razu wzbudziła w nim podniecenie. Spojrzał na dziewczynę, która zdając sobie sprawę, że przyciągnęła uwagę obydwu mężczyzn, pospiesznie spuściła wzrok na talerz, bardzo się rumieniąc. Ale Bertie nie odwrócił oczu, ponieważ było w niej coś znajomego, roztaczała wokół siebie aurę zażyłości, której nie potrafił zrozumieć. Być może był to sposób, w jaki się zarumieniła albo słodycz w jej nieśmiałym uśmiechu, nie wiedział. Ale z pewnością gdzieś ją przedtem widział... Zaczęła skubać bułeczkę, podczas gdy jej towarzyszka gdała jak kwoka. Widział, że dokonuje wielkiego wysiłku, żeby znów nie spojrzeć w ich kierunku, ale na próżno. Gorączkowe spojrzenie JP przyciągało ją jak magnes.

– Chciałbyś, żebym je zaprosił do naszego stolika? – spytał Bertie.

JP był zaskoczony.

– A mógłbyś, tato?

Bertie uśmiechnął się szeroko.

– Pozostaw to mnie. – Skinął na kelnera i szepnął mu coś do ucha.

Chwilę później kelner przekazywał wiadomość pani Goodwin. Kobieta rozpromieniła się miło zaskoczona zaproszeniem od lorda Deverilla. Podniosła wzrok i popatrzyła na Bertiego, ten zaś skłonił się z zachęcającym uśmiechem.

– Przyjdą? – niecierpliwiał się JP.

– Myślę, że tak – zapewnił Bertie.

Chwilę później dwie kobiety stanęły przed nimi, a Bertie i JP natychmiast się poderwali, przedstawiając się ochoczo.

– Bardzo miło z panów strony – powiedziała pani Goodwin, gdy już usiadła. – Martha i ja właśnie przyjechałyśmy z Ameryki.

– Czy to pierwsza wizyta pań w Irlandii? – spytał Bertie, zauważając że dwójka młodych była zbyt onieśmielona, aby spojrzeć na siebie, i obydwójce byli zarumienieni.

– Martha jest tu po raz pierwszy – przyznała pani Goodwin.

– Jak się tu pani podoba, moja droga? – Bertie zwrócił się do zdenerwowanej młodej panienki, siedzącej po jego lewej stronie.

– Och, tu jest uroczo – odparła. – Doprawdy zachwycająco.

– Na długo panie przyjechały?

Dziewczyna spojrzała z niepokojem na panią Goodwin.

– Nie wiem. Niczego nie zaplanowałyśmy. Po prostu podróż sprawia nam przyjemność.

– Całkiem słusznie – odparł Bertie. – Ach, herbata – dodał, gdy czajniczki ze świeżym naparem, mały talerzyk pokrojonej cytryny oraz pięciopoziomowa patera z ciastem i kanapkami została postawiona na środku stołu.

– Wielkie nieba! – Pani Goodwin westchnęła. – Cóż za przysmaki. – Poczęstowała się kanapką z ogórkiem.

– A na co pani ma ochotę? – Bertie zwrócił się do Marthy, która wpatrywała się w ciasta szeroko otwartymi, zachwyconymi oczami.

– Och, sama nie wiem... – Niepewnie wysunęła rękę i w końcu zdecydowała się na leżącą na najniższym poziomie kanapkę z jajkiem i rzeżuchą.

– To też moja ulubiona – odezwał się JP, biorąc taką samą kanapkę dla siebie.

Dwoje młodych ludzi uśmiechało się szeroko do siebie, gdy JP wsadził sobie kanapkę do ust, a Martha ugryzła mały kawałek swojej.

– Dobra, prawda? – spytał JP, przełknąwszy. Martha skinęła głową.

– Jaką herbatę pani lubi, pani Goodwin? – Bertie zwrócił się do starszej.

– Z plasterkiem cytryny, proszę – odparła. – Martha lubi z mlekiem. Dużo mleka. Tak naprawdę w jej herbacie jest zawsze więcej mleka niż herbaty.

JP się roześmiał.

– Ja też taką lubię! – przyznał, zdziwiony, że dwie obce osoby mogą mieć ze sobą tyle wspólnego.

– Jakie to niezwykle – ucieszyła się pani Goodwin. – Nie znam nikogo, kto lubiłby tyle mleka w herbacie co Martha.

Bertie nalał herbatę. JP i Martha dolali sobie mleka aż po brzeg filiżanek, rozbawieni swoim podobnym gustem, który od razu ich połączył. Kontynuowali

rozmowę, pijąc herbatę i jedząc kanapki. Chwilę później, gdy Bertie przedstawiał im listę interesujących miejsc do zobaczenia w Dublinie, JP i Martha sięgnęli po ten sam kawałek czekoladowego biszkoptu z najwyższego piętra patery. Roześmieli się, gdy ich palce dotknęły się nad ciastem, i cofnęli je, jakby się poparzyli.

– Lubimy też takie same ciasta – zauważył cicho JP, wpatrując się z czułością w Marthę.

– Ale zostało tylko jedno – stwierdziła pani Goodwin.

– A więc się nim podzielimy – zdecydował JP. Położył ciasto na swoim talerzyku i podniósł srebrny nóż, żeby je przeciąć. Martha patrzyła, jak dzieli je na dwie części, czując zawrót głowy z powodu zauroczenia. – Połowa dla ciebie – powiedział, kładąc jeden kawałek na talerzyku przed nią. – Druga dla mnie – dodał.

Wkładając sobie po małym kawałku do ust, uśmiechali się do siebie, wyglądając jak para konspiratorów knujących spisek.

Epilog

Ballinakelly

Powietrze było gęste i duszne w bocznej salce pubu O'Donovana, znajdującej się na końcu pomieszczenia i oddzielonej od reszty drewnianą ścianą, która nie sięgała do sufitu. Dym z papierosów oraz zapach rozgrzanych ciał unosił się swobodnie nad przepierzeniem wraz ze słodką wonią piwa oraz dźwiękiem głębokich głosów. W pomieszczeniu specjalnie urządzonym dla kobiet (ponieważ kobietom nie wolno było bywać w pubie) wolontariuszki z Legionu Maryi, które za ich plecami nazywano „płaczącymi niewiastami jerozolimskimi”, spotykały się co tydzień.

Na ławce siedziały jak kury na grzędzie: dwie Nellie – Nellie Clifford i Nellie Moxley, Mag Keohane, jak zwykle w towarzystwie Didleen, swojej suczki, oraz Joan Murphy, Maureen Hurley i Kit Downey. Legion Maryi zajmował się opieką nad biednymi. Panie gotowały im posiłki, zabierały starsze osoby na mszę i chodziły do ich domów, gdy wymagały opieki. Ich małą przyjemnością były spotkania u O'Donovana nad szklanką cydru Bulmer's albo napoju pomarańczowego Little Norah. Pani O'Donovan wrzucała kawałek lodu do każdej szklanki, ponieważ posiadała lodówkę, oraz podawała talerz herbatników Mikado i Kimberley, których nie mogła sprzedać, gdyż były pokruszone. Największym jednak luksusem była możliwość skorzystania ze splukiwanej wodą toalety na górze.

– Masz Amerykę w domu, dziewczyno – powiedziała Mag Keohane do barmanki, gdy po raz pierwszy skorzystała z toalety. – Jesteś szczęściarą, że nie musisz walczyć z pogodą, wystarczy, że pociągniesz za łańcuszek, a wszystko znika. Na Boga, to cud, że nie dostałyśmy zapalenia płuc od wychodzenia na dwór z nocnikiem w środku zimy.

Niewiasty jerozolimskie korzystały więc z toalety, nawet gdy tego nie potrzebowały, dla samej przyjemności.

– Możecie uwierzyć, że Bridie Doyle kupiła zamek? – spytała Nellie Clifford, skubiąc ciasteczko. – Pamiętam pogrzeb jej biednego ojca, niech Bóg ma w opiece jego duszę! Była wtedy małą dziewięcioletnią bidulką.

– Przeszła długą drogę – przyznała jej rację Nellie Moxley, sącąc swój napój. – A teraz jest hrabiną, a to, jak mówią, przyjemna rzecz. Co prawda, to prawda, że zrobiła sute darowizny na nasz Legion. Niech Bóg jej to wynagrodzi!

– Jej nowy mąż szasta forszą na prawo i lewo. Przystojny gość, nawet jeśli z wyglądu trochę cudzoziemski – odezwała się Joan Murphy.

– Powiadają, że zagraniczne krowy mają długie rogi – wtrąciła Kit Downey z szerokim uśmiechem.

– Nie moja sprawa, ale słyszałam, że jest łasy na kobiety, niech Bóg ma nas w opiece. Nonie Begley, recepcjonistka z Shelbourne, mówi, że hrabia bywa tam zawsze w towarzystwie kobiety – powiedziała Joan Murphy.

Nellie Moxley rzuciła się w jego obronie.

– Może to jakaś siostra lub kuzynka.

Ale Nellie Clifford szybko wyprowadziła ją z błędu.

– Jesteś naiwna jak dziecko, Nellie. To nie siostra, tylko lady Rowan-Hampton. – Kobiety gwałtownie wciągnęły powietrze. – Siedzieli razem w jadalni, trzymając się za ręce i robiąc do siebie maślane oczy.

– Miłosierny Jezu! Jej pokojówki plotkują, że Michael Doyle regularnie ją odwiedzał, gdy nie było jej męża. I podobno tak pewnym siebie krokiem wchodził do holu, jakby tam mieszkał.

Kobiety pokręciły głowami i z dezaprobatą cmoknęły.

– A co nasz lord Deverill myśli o nowej pani na zamku? – spytała Mag Keohane. – Była córką kucharki, a teraz została właścicielką!

– Nie powinnyśmy i my tracić nadziei! – Zaśmiała się Kit Downey.

– Słyszałam, że Kitty Deverill klęła jak szewc, gdy usłyszała tę wiadomość.

– Niech Bóg ma nas w opiece! – wymamrotała Nellie Moxley.

– Michaelowi Doyle'owi dopiero teraz woda sodowa uderzy do głowy. Pewnie całą rodziną przeprowadzą się do zamku.

– Słyszałam, że Mariah za żadne skarby świata nie chce opuścić swego domu – powiedziała Kit Downey.

– Porządna kobieta z tej Mariah. A jeśli chodzi o starą panią Nagle, to już nie potrwa długo – dodała Nellie Moxley. Nastąpiła chwila ciszy, gdy zamyśliły się nad losem biednej pani Doyle i starej pani Nagle.

Potem Nellie Clifford odstawiała szklanekę na długą półkę przytwierdzoną do przepierzenia.

– To za biedną Bridie Doyle powinniśmy się modlić. Może i wyszła za mąż bogato, ale przypomnicie sobie moje słowa: jeszcze za to zapłaci! Do Bożego Narodzenia ten hrabia będzie miał dziewczynę w każdym zakątku kraju.

Nagle w przerwie nad przepierzeniem pokazała się czyjaś głowa.

– Wspaniale się modlicie, dziewczęta. Przykład dla nas wszystkich. Czy mam odprowadzić was do domu na wypadek, gdyby jakiś łotrzyk próbował się zacząć na jedną z was?

– Dajże sobie spokój, Badger. I przestań z nas kpić – ofuknęła go Kit Downey. – Mamy nasze cudowne medaliki i jesteśmy jak zakonnice, chodzimy

parami dla bezpieczeństwa, no i mamy Didleen do obrony. Rozerwałaby takiego gagatka na strzępy, niech go Bóg ma w swojej opiece!

Badgerowi zagrzechotało w klatce piersiowej.

– Kaszlesz, jakbyś za chwilę miał wylądować na cmentarzu – powiedziała Mag Keohane.

– Posłuchaj, dziewczyno – odparował Badger z uśmiechem – wielu umarłakom na pewno mój kaszel przypadłby do gustu.

Nagle zapadła cisza i zimny wiatr powiał przez otwarte drzwi.

– A oto i nasz hrabia we własnej osobie – syknął Badger i jego kędzierzawa głowa zniknęła za przepierzeniem.

– Hrabia! – Nellie Clifford gwałtownie złapała oddech i otworzyła usta w kształt litery „o”.

Sześć kobiet wyteżało uszy, aby usłyszeć słowa hrabiego.

– Co mogę podać, sir? – spytała stojąca za barem pani O'Donovan.

– Przyjechałem pociągiem z Dublina. Czy ktoś nie mógłby mnie podrzucić do zamku?

Rozległo się szuranie, gdy posiadacze bryczek zaczęli spoglądać jeden na drugiego, nie chcąc odrywać się od swoich drinków.

– A może wypije pan piwo i zagra partyjkę? – odezwał się śmiało Badger Hanratty. – Przecież tak bardzo się pan nie spieszy, prawda? A potem jeden z tych uprzejmych mężczyzn pana podwiezie.

Kobiety usłyszały głośny śmiech hrabiego.

– Kufel piwa i gra w karty? Czemu nie? Kolacja może poczekać. No więc, w co zagramy?

Rozległo się skrzypienie krzesel, gdy hrabia sadowił się przy jednym ze stołów. Chwilę później dodał głośnym, entuzjastycznym tonem:

– Kolejka dla wszystkich, proszę pani!

Podniósł się gwar głosów pełnych uznania dla szczodrości nieoczekiwanego gościa i mężczyźni pospieszyli do baru, żeby zamówić kolejkę.

– Na Boga, będą pijani jak bela i do niczego niezdolni – zawyrokowała Nellie Moxley, kręcąc głową.

– Wie, jak zdobyć serca w Ballinakelly – rzekła z uśmiechem Joan Murphy.

– Nie mogę się doczekać, jak to dalej się potoczy!

Podziękowania

Kontynuując opowieść o losach Kitty, Celi i Bridie, tak jak poprzednio polegałam na moim drogim przyjacielu i konsultancie Timie Kellym, który służył mi radą i wszelką pomocą. Podczas naszych regularnych spotkań przy cieście porterowym i herbacie Bewley dostarczał mi w równym stopniu rozrywki, jak informacji, a z jego cudownych opowieści śmiałam się jeszcze długo po tym, jak opuścił mój dom. Dzięki moim książkom zyskałam tak wspaniałego przyjaciela jak Tim.

Chciałabym podziękować mojej matce Patty Palmer-Tomkinson za przeczytanie pierwszej wersji powieści i poprawienie błędów gramatycznych oraz za dobór właściwych słów, dzięki czemu oszczędziła mojej redaktorce z Simon & Schuster prawdopodobnie najmniej interesującej części jej pracy! Moja matka jest cierpliwa i pełna entuzjazmu, a jej rady zawsze były mądre. Ma również doskonałą intuicję i potrafi wnikliwie ocenić ludzkie charaktery. Wiele się od niej nauczyłam. Chciałam także podziękować mojemu ojcu, ponieważ nie napisałabym tych książek, gdyby nie magiczne dzieciństwo, które zawdzięczam moim rodzicom w najcudowniejszym zakątku Anglii. Wszystko, co przenika do mojej pracy, płynie prosto od nich.

Opisanie wyścigu Derby było wielkim wyzwaniem i nie pokusiłabym się o to bez pomocy Davida Watta. Dziękuję ci stukrotnie, Watty, za dokładne przeczytanie i korektę – oraz za liczne sugestie, jak mogę ten opis poprawić.

Dziękuję Emer Melody, Frankowi Lyonsowi i Peterowi Nyhanowi za wasze ciepłe irlandzkie wsparcie i Julii Twigg za pomoc w zbieraniu materiałów o Johannesburgu.

Moja agentka Sheila Crowley zasługuje na szczególne podziękowania. Jest najlepszym agentem, jakiego może mieć pisarz, ponieważ zawsze jest przy mnie, gdy potrzebuję rady, gdy potrzebuję przyjaciela, gdy potrzebuję stratega i gdy potrzebuję wojownika. Mówiąc wprost – zawsze jest na miejscu, gdy jej potrzebuję. Kropka. Motto Sheili „Zawsze do przodu!” odzwierciedla jej pozytywne i bojowe nastawienie i za każdym razem, gdy to mówi, jestem wdzięczna, że zabiera mnie ze sobą!

Z Sheilą w Curtis Brown pracują Katie McGowan, Rebecca Ritchie, Abbie Greaves, Alice Lutyens oraz Luke Speed. Chciałabym im wszystkim ogromnie podziękować za ciężką pracę na moją rzecz.

Mam doprawdy szczęście, że moim wydawcą jest Simon & Shuster. Czuję, że to moja rodzina i do niej przynależę. Chciałabym podziękować im wszystkim za

zwrot w mojej karierze, który nastąpił około dwa tysiące jedenastego roku wraz z opublikowaniem pierwszego bestsellera według listy „Sunday Timesa” i za niestrudzone poświęcenie przy publikacji moich książek i słowa otuchy. Ogromne podziękowania dla redaktor naczelnej Suzanne Baboneau za redakcję moich powieści z tak wielką umiejętnością i wyczuciem. Jej poprawki wpływają na jakość tekstu, a entuzjazm i zachęta dodają mi pewności siebie. Dziękuję Ianowi Chapmanowi, dzięki któremu poczułam wiatr w żaglach, a raczej w sprzedaży moich książek! Dziękuję mu, że pięć lat temu dał mi szansę i moje powieści okazały się sukcesem, na jaki zawsze miałam nadzieję. Chciałabym również podziękować Clare Hey, mojej redaktorce, oraz jej błyskotliwemu zespołowi, którzy tak wiele energii wkładają w moje książki. Wszyscy wykonują fantastyczną robotę i jestem wdzięczna każdemu z nich z osobna: Dawn Burnett, Toby’emu Jonesowi, Emmie Harrow, Ally Grant, Gillowi Richardsonowi, Laurze Hough, Dominikowi Brendonowi i Sally Wilks.

Mój mąż Sebag odegrał kluczową rolę w wymyślaniu razem ze mną fabuły *Kronik Deverillów*, zachęcając mnie do stawiania sobie nowych wyzwań poprzez zbaczanie z utartych ścieżek. Chociaż jest pochłonięty własną twórczością, znalazł czas na przeczytanie manuskryptu i podzielenie się swoimi pomysłami. Cieszę się, że skorzystałam z jego rad, ponieważ wierzę, że napisałam coś, co naprawdę sprawi przyjemność czytelnikom. Bo mnie na pewno sprawiało przyjemność pisanie. Sebag jest moim najdroższym przyjacielem, najuczciwszym krytykiem, najbardziej lojalnym sojusznikiem i najwierniejszym stronnikiem. Dzięki Sebagowi wierzę, że daję z siebie wszystko, co najlepsze.

Na koniec chcę podziękować mojej córce Lily i synowi Sashy za radość, śmiech i miłość.

